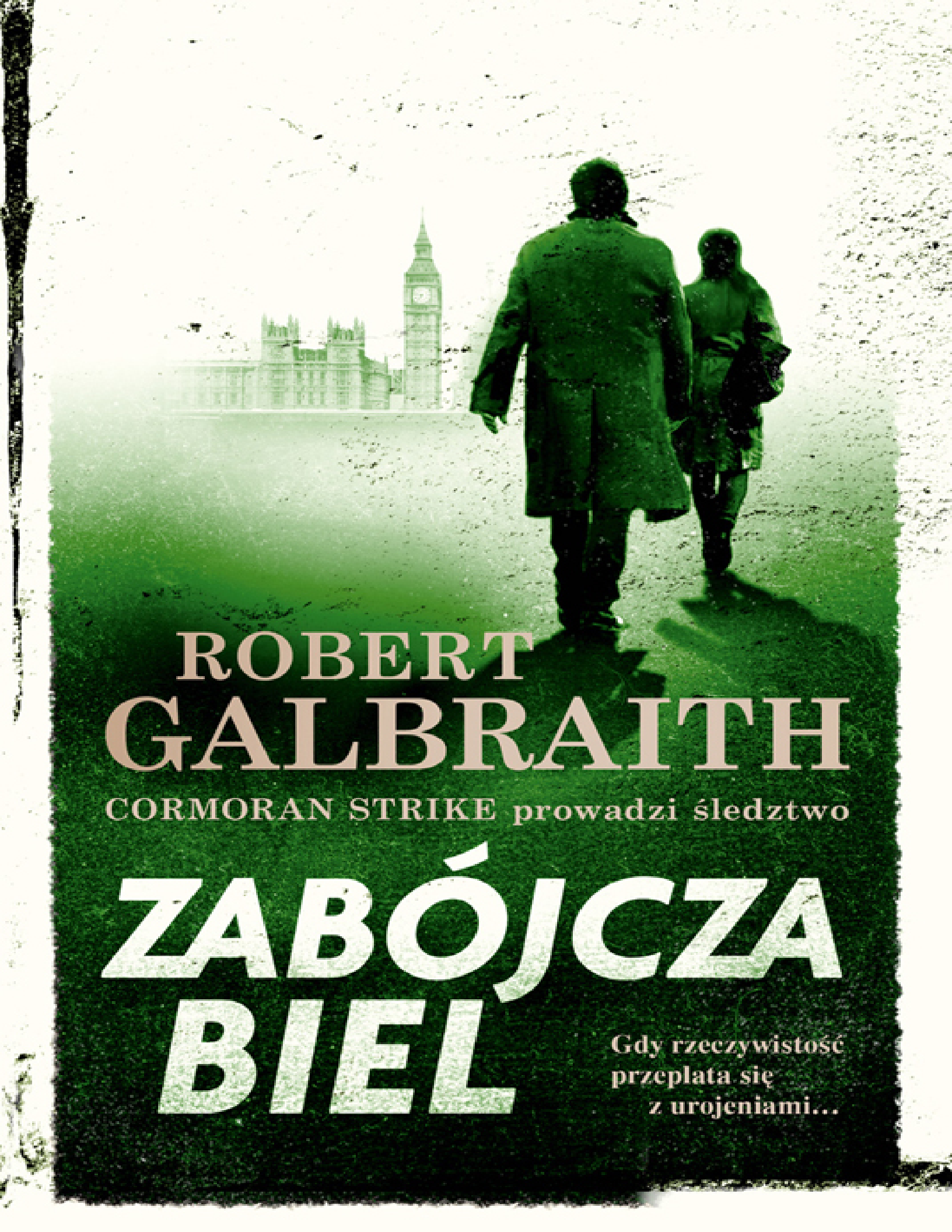

ROBERT
GALBRAITH

CORMORAN STRIKE prowadzi śledztwo

ZABÓJCZA BIEL

Gdy rzeczywistość
przeplata się
z urojeniami…

Cykl z detektywem
CORMORANEM STRIKIEM

WOŁANIE KUKUŁKI

JEDWABNIK

ŻNIWA ZŁA

ZABÓJCZA BIEL

ROBERT
GALBRAITH

ZABÓJCZA BIEL

Przełożyła z angielskiego
Anna Gralak

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2018

Tytuł oryginału
Lethal White
Projekt okładki i fotografie
Duncan Spilling © Little, Brown Book Group Ltd 2018
Tekstura na okładce
© Arigato/Shutterstock
Koordynacja projektu
NATALIA STECKA
Redakcja
IWONA GAWRYŚ
Korekta
ANNA KURZYCA
Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Copyright © J.K. Rowling 2018
All rights reserved.

Polish edition © Publicat S.A. MMXVIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

Powieść wydana po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii w 2018 roku przez Sphere. Osobiste prawa autorskie zastrzeżone. Wszelkie postaci i wydarzenia opisane w tym utworze, poza znajdującymi się w domenie publicznej, są fikcyjne, a jakiekolwiek podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany, przechowywany ani przesyłany w żadnej formie ani żadnymi środkami, bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy. Utwór nie może też być rozpowszechniany w oprawie lub okładce innej niż oryginalna oraz w formie innej niż ta, w której został wydany.

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN 978-83-271-5900-7

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Spis treści

Dedykacja

Prolog

Część pierwsza. Rok później

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
Część druga
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52

53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
Epilog. Miesiąc później
Podziękowania
Źródła cytatów z piosenek
Przypisy

Di i Rogerowi
oraz pamięci uroczego białego Spike'a

PROLOG

Szczęście, droga Rebeko, szczęście polega przede wszystkim na cichym, radosnym i niezachwianym uczuciu niewinności.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*[1]

Gdyby łabędzie płynęły obok siebie po ciemnozielonym jeziorze, to zdjęcie mogłoby się okazać szczytowym osiągnięciem w karierze fotografa weselnego.

Za nic w świecie nie chciał przeprowadzać nowożeńców w inne miejsce, ponieważ łagodne światło pod baldachimem drzew zmieniało pannę młodą z rozpuszczonymi rudozłotymi lokami w prerafaelickiego anioła i podkreślało wyraziste kości policzkowe jej męża. Nie pamiętał, kiedy ostatnio wynajęto go do fotografowania tak urodziwej pary. W przypadku państwa Cunliffe taktowne triki były zbędne: nie musiał ustawiać panny młodej w taki sposób, żeby ukryć wałki tłuszczu na jej plecach (ta panna młoda była raczej odrobinę zbyt szczupła, co jednak dobrze wychodziło na zdjęciach), nie trzeba było proponować panu młodemu „jednego ujęcia z zamkniętymi ustami", ponieważ zęby pana Cunliffe'a były proste i białe. Ukrycia i wyretuszowania wymagała jedynie brzydka blizna biegnąca wzdłuż przedramienia panny młodej – purpurowa i sina, z wciąż widocznymi śladami szwów.

Gdy fotograf zjawił się rano w domu jej rodziców, panna młoda miała na ręku ortezę. Przed sesją zdjęciową postanowiła ją zdjąć, a wtedy jego oczom ukazał się zaskakujący widok. Zastanawiał się

nawet, czy przypadkiem nie podjęła przed ślubem nieudanej próby samobójczej, bowiem już nic nie byłoby w stanie go zdziwić. Działał w tej branży od dwudziestu lat.

– Zostałam napadnięta – wyjaśniła pani Cunliffe, która jeszcze dwie godziny temu była panną Robin Ellacott. Fotograf był człowiekiem o słabych nerwach. Z trudem odpędził od siebie obraz, na którym stalowe ostrze przecinało tę miękką, bladą skórę. Na szczęście brzydki ślad zniknął teraz w cieniu bukietu kremowych róż panny młodej.

Łabędzie, te przeklęte łabędzie. Gdyby oba zniknęły z tła, nie byłoby problemu, ale jeden co rusz nurkował, prezentując na środku jeziora pierzastą piramidę kupra przypominającą puchatą górę lodową, a jego wygibasy marszczyły powierzchnię wody, przez co usunięcie go cyfrowo stawało się znacznie bardziej skomplikowane, niż sądził młody pan Cunliffe, który zaproponował takie rozwiązanie. Tymczasem drugi łabędź z gracją i spokojem krążył przy brzegu – i uparcie trzymał się poza kadrem.

– Już? – spytała panna młoda z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Wyglądasz cudownie, kwiatuszku – odezwał się stojący za fotografem Geoffrey, ojciec pana młodego. Wyglądało na to, że ma już lekko w czubie. Rodzice państwa młodych, drużba i druhny przyglądali się sesji zdjęciowej, chroniąc się w cieniu pobliskich drzew. Najmłodszą druhnę, kilkuletnią dziewczynkę, trzeba było powstrzymać od rzucania kamieni do jeziora, i teraz wypłakiwała się matce, która bez końca przemawiała do niej irytującym szeptem.

– Już? – powtórzyła Robin, ignorując teścia.

– Prawie – skłamał fotograf. – Odwróć się trochę bardziej w stronę męża, Robin. O tak. A teraz piękny, szeroki uśmiech. No, szeroki uśmiech!

Między młodymi wyczuwało się napięcie, którego nie można było przypisać wyłącznie komplikacjom związanym z sesją zdjęciową. Fotograf wcale się tym jednak nie przejmował. Nie prowadził przecież terapii małżeńskiej. Znał pary, które zaczynały na siebie krzyczeć już wtedy, gdy odczytywał wskazanie światłomierza. Pewna panna młoda wyszła wściekła z własnego wesela. Ku uciesze przyjaciół wciąż przechowywał niewyraźne zdjęcie z 1998 roku, na którym widać, jak drużba dostaje z bańki od pana młodego.

Choć Cunliffe'owie ładnie razem wyglądali, nie dawał im wielkich szans. Ta długa blizna na ręce panny młodej od początku kłuła go w oczy. Wydawała mu się złowróżbna i odpychająca.

– Dajmy już spokój – powiedział nagle pan młody, wypuszczając Robin z objęć. – Mamy wystarczająco dużo zdjęć, prawda?

– Zaraz, zaraz, nadpływa drugi! – zaprotestował zdenerwowany fotograf.

W chwili, w której Matthew odsunął się od Robin, łabędź trzymający się dotąd przeciwległego brzegu jeziora popłynął po ciemnozielonej tafli w stronę swojej wybranki.

– Można by pomyśleć, że te skurczybyki robią to specjalnie, co, Linda? – zagadnął Geoffrey matkę panny młodej, głośno się zaśmiewając. – Przeklęte ptaszyska.

– Nic nie szkodzi. – Robin odsunęła długą spódnicę od butów na trochę zbyt niskich obcasach. – Na pewno mamy już mnóstwo zdjęć.

Wyszła z zagajnika na jaskrawe słońce i ruszyła po trawie w stronę siedemnastowiecznego zamku, przed którym stała stłoczona większość gości weselnych, popijając szampana i podziwiając widoki z hotelu.

– Chyba boli ją ręka – powiedziała matka panny młodej do ojca pana młodego.

„Gówno prawda" – pomyślał fotograf z pewną chłodną satysfakcją. „Pokłócili się w samochodzie".

Gdy nowożeńcy wychodzili z kościoła w deszczu konfetti, wyglądali na całkiem szczęśliwych, lecz po przybyciu do wiejskiego hotelu mieli napięte twarze ludzi z trudem tłumiących wściekłość.

– Nic jej nie będzie. Po prostu potrzebuje drinka – orzekł ze spokojem Geoffrey. – Matt, idź dotrzymać jej towarzystwa.

Matthew pospieszył za żoną i dogonił ją z łatwością, gdyż szła po trawie na obcasach. Reszta osób ruszyła ich śladem. Miętowozielone szyfonowe sukienki druhen falowały w lekkich podmuchach gorącego wiatru.

– Robin, musimy porozmawiać.

– No to mów.

– Zaczekaj chwilę, dobrze?

– Jeśli się zatrzymam, będziemy mieli na głowie całą rodzinę.

Matthew obejrzał się przez ramię. Nie myliła się.

– Robin...

– N i e d o t y k a j m o j e j r ę k i!

Upał sprawiał, że rana pulsowała bólem. Robin miała ochotę pójść po solidną ortezę, ale torba, w której ją zostawiła, leżała teraz poza jej zasięgiem, w apartamencie dla nowożeńców, gdziekolwiek się znajdował.

Tłum gości stojących w cieniu hotelu stawał się coraz lepiej widoczny. Kobiety łatwo było odróżnić dzięki kapeluszom. Sue, ciotka Matthew, włożyła jaskrawoniebieski odpowiednik koła od wozu, Jenny, bratowa Robin, nosiła zdumiewającą konstrukcję z żółtych piór. Goście płci męskiej, ubrani w ciemne garnitury, zlali

się w jednolitą plamę. Z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy jest wśród nich Cormoran Strike.

– Zatrzymaj się, dobrze? – poprosił Matthew, ponieważ szybko zyskali przewagę nad resztą rodziny, która dostosowała tempo do jego małej siostrzenicy.

Robin przystanęła.

– Po prostu byłem w szoku, kiedy go zobaczyłem – zaczął ostrożnie Matthew.

– A według ciebie ja się spodziewałam, że zjawi się w połowie nabożeństwa i przewróci kwiaty? – spytała Robin.

Matthew byłby w stanie przyjąć taką odpowiedź, gdyby nie uśmiech, którego Robin nie zdołała powstrzymać. Wciąż pamiętał radość na twarzy żony, gdy jej były szef wparował do kościoła. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła jej wybaczyć, że powiedziała „tak", wpatrując się w wielką, brzydką, rozchełstaną postać Cormorana Strike'a zamiast w swojego świeżo poślubionego męża. Na pewno wszyscy zgromadzeni zauważyli, jak się rozpromieniła na widok tamtego.

Znów doganiała ich rodzina. Matthew delikatnie ujął Robin za ramię, trzymając palce z dala od rany zadanej nożem, i ruszyli przed siebie. Nie opierała się, ale przypuszczał, że po prostu chciała się znaleźć bliżej Strike'a.

– W samochodzie powiedziałem, że jeśli zamierzasz wrócić do agencji i znowu dla niego pracować...

– ...to jestem „pieprzoną kretynką" – dokończyła Robin.

Mężczyźni zebrani na tarasie byli już lepiej widoczni, ale Robin nie dostrzegła wśród nich Strike'a. To duży facet. Zauważyłaby go nawet wśród swoich braci i wujków mierzących ponad metr osiemdziesiąt. Wcześniej jego widok dodał jej skrzydeł, lecz teraz runęła na ziemię niczym przemoczone deszczem pisklę.

Najwyraźniej Strike wyszedł zaraz po ceremonii i nie wsiadł do minibusa jadącego do hotelu. Jego krótka wizyta stanowiła gest dobrej woli, nic więcej. Nie przyjechał po to, żeby z powrotem ją zatrudnić, a jedynie by życzyć jej szczęścia na nowej drodze życia.

– Posłuchaj – odezwał się Matthew cieplejszym tonem. Wiedziała, że on także zlustrował tłum, stwierdził, że Strike'a w nim nie ma, i doszedł do identycznych wniosków. – W samochodzie próbowałem tylko powiedzieć, że to, co zrobisz, zależy wyłącznie od ciebie. Jeśli on zechce... jeśli zechce przyjąć cię z powrotem... Na litość boską, po prostu się o ciebie martwię. Praca u tego gościa nie była zbyt bezpieczna, prawda?

– Prawda – przyznała Robin, czując pulsujący ból w ręce. – Nie była.

Znowu odwróciła się do rodziców i reszty rodziny, czekając, aż tamci ich dogonią. Słodki, łaskoczący w nos zapach rozgrzanej trawy wypełniał jej nozdrza, a słońce przypiekało jej odsłonięte ramiona.

– Chcesz do cioci Robin? – zapytała siostra Matthew.

Mała Grace skwapliwie złapała Robin za zranioną rękę i uwiesiła się na niej, wywołując okrzyk bólu.

– Och, Robin, przepraszam... Gracie, puść...

– Szampana! – zawołał Geoffrey. Objął synową ramieniem i poprowadził w stronę czekającego tłumu.

Jak można było się spodziewać po tak eleganckim wiejskim hotelu, męska toaleta okazała się pachnąca i nieskazitelnie czysta. Strike żałował, że nie przyniósł do chłodnej, pogrążonej w ciszy kabiny kufla piwa, lecz mogłoby to wzmóc wrażenie, że jest podejrzanym alkoholikiem, który wyszedł na przepustkę z więzienia, żeby przyjechać na ślub. Obsługa hotelu i tak

zareagowała ledwie skrywanym sceptycyzmem na jego zapewnienia, że został zaproszony na wesele Cunliffe'a i Ellacott.

Nawet niepokiereszowany Strike zwykle budził strach, ponieważ był wielkim ciemnowłosym facetem o gburowatym wyglądzie i profilu boksera. A dziś wyglądał, jakby właśnie zszedł z ringu. Jego złamany nos zrobił się fioletowy i nabrzmiał, powiększając się dwukrotnie, podbite oczy spuchły, a jedno ucho było czerwone i lepkie od świeżo założonych czarnych szwów. Przynajmniej rana od noża biegnąca w poprzek dłoni została przysłonięta bandażem. Jego najlepszy garnitur był jednak pognieciony i poplamiony winem, które wylądowało na nim, gdy Strike miał go na sobie poprzednim razem. W jego wyglądzie na pochwałę zasługiwało jedynie to, że przed podróżą do Yorkshire Strike zdołał zabrać buty do pary.

Ziewnął, zamknął obolałe oczy i na chwilę oparł głowę o zimną ściankę działową. Był tak zmęczony, że z łatwością mógłby zasnąć, siedząc na sedesie. Musiał jednak znaleźć Robin i poprosić ją – w razie konieczności błagać – by wybaczyła mu, że ją zwolnił, i wróciła do pracy. Wydawało mu się, że w kościele, gdy ich spojrzenia się spotkały, zauważył w jej oczach radość. Z całą pewnością promiennie się do niego uśmiechnęła, kiedy trzymając Matthew pod rękę, wychodziła z kościoła, więc szybko wrócił przez cmentarz do samochodu i poprosił Shankera, który spał w zaparkowanym mercedesie wypożyczonym specjalnie na tę podróż, aby pojechał za minibusami na wesele.

Strike nie miał ochoty zostawać na poczęstunek i przemówienia – nie odpowiedział na zaproszenie, które dostał, zanim wylał Robin z pracy. Chciał jedynie chwilę z nią porozmawiać, ale jak dotąd było to niemożliwe. Zapomniał, jak wyglądają wesela. Rozglądając się po zatłoczonym tarasie w poszukiwaniu Robin, czuł na sobie

krępujące spojrzenia stu par ciekawskich oczu. Wychylił szampana, którego nie lubił, i wycofał się w stronę baru w poszukiwaniu piwa. Ciemnowłosy młody mężczyzna, podobny z ust i czoła do Robin, ruszył w ślad za nim, a grupka innych młodych ludzi poszła za jego przykładem. Wszyscy mieli podobne miny, które wyrażały skrywane z trudem podekscytowanie.

– Ty jesteś Strike, no nie? – zagadnął go młody mężczyzna.

Detektyw potwierdził.

– Martin Ellacott – przedstawił się tamten. – Brat Robin.

– Miło mi. – Strike uniósł zabandażowaną rękę, żeby pokazać, że uścisk dłoni sprawiłby mu ból. – Nie wiesz przypadkiem, gdzie ona jest?

– Pozuje do zdjęć – odparł Martin. Skinął w stronę iPhone'a, którego ściskał w ręce. – Mówią o tobie w wiadomościach. Złapałeś Rozpruwacza z Shacklewell.

– A – mruknął Strike. – No tak.

Mimo świeżych ran od noża na dłoni i uchu miał wrażenie, że burzliwe wydarzenia sprzed dwunastu godzin rozegrały się dawno temu. Obskurna kryjówka, w której dopadł mordercę, kontrastowała z czterogwiazdkowym hotelem tak ostro, jakby należała do innego świata.

Do baru podeszła jakaś kobieta w bogato zdobionym turkusowym kapeluszu chwiejącym się wśród bardzo jasnych włosów. Ona też trzymała telefon, a jej wzrok gwałtownie przesuwał się w górę i w dół, gdy porównywała żywego Strike'a z czymś, co z całą pewnością było jego zdjęciem na ekranie.

– Przepraszam, muszę się odlać – powiedział Strike do Martina, wycofując się, zanim zdążył do niego podejść ktoś jeszcze. Po krótkiej rozmowie z podejrzliwym personelem hotelu schronił się w łazience.

Znowu ziewnął i spojrzał na zegarek. Robin na pewno skończyła już pozować. Krzywiąc się z bólu, ponieważ środki przeciwbólowe, które dali mu w szpitalu, już dawno przestały działać, Cormoran wstał, odryglował drzwi i wyszedł z toalety, odprowadzany wścibskimi spojrzeniami obcych ludzi.

Kwartet smyczkowy ulokowano w głębi pustej sali restauracyjnej. Zaczął grać, gdy najbliżsi krewni państwa młodych ustawiali się w szeregu, by przyjmować gratulacje, na co Robin, jak przypuszczała, prawdopodobnie zgodziła się na którymś z etapów weselnych przygotowań. Zaniedbała tak liczne obowiązki związane z organizacją tej uroczystości, że co chwila spotykały ją tego rodzaju niespodzianki. Zapomniała na przykład, że zdecydowali się na sesję zdjęciową w hotelu, a nie w kościele. Gdyby nie wskoczyli do daimlera zaraz po nabożeństwie, być może miałaby okazję porozmawiać ze Strikiem i poprosić go – w razie konieczności błagać – by przyjął ją z powrotem. Wyjechał jednak bez słowa, a ona mogła się już tylko zastanawiać, czy starczy jej odwagi – albo pokory – by po tym wszystkim do niego zadzwonić i prosić o pracę.

W porównaniu z jasnym, rozświetlonym słońcem ogrodem wnętrze hotelu wydawało się ciemne. Ściany były obite boazerią, w oknach wisiały brokatowe zasłony, a między nimi obrazy olejne w pozłacanych ramach. W powietrzu unosił się ciężki zapach kwiatów w wazonach, a na śnieżnobiałych obrusach połyskiwały kieliszki i srebrne sztućce. Kwartet smyczkowy, który w wypełnionym echem pomieszczeniu przypominającym drewniane pudło brzmiał bardzo donośnie, wkrótce został zagłuszony przez gości wspinających się po schodach na zewnątrz budynku, tłoczących się na podeście, rozmawiających i śmiejących się, napojonych już szampanem i piwem.

– No to jazda! – ryknął Geoffrey, który bawił się chyba najlepiej ze wszystkich. – Dawać ich tu!

Robin wątpiła, czy dałby pełen wyraz swojej żywiołowości, gdyby żyła matka Matthew. Świętej pamięci pani Cunliffe bardzo lubiła rzucać mężowi lodowate spojrzenia z ukosa i dawać mu kuksańce, nieustannie tropiąc wszelkie oznaki jego nieposkromionych emocji. Na początku kolejki gości znalazła się jej siostra Sue, od której wiało chłodem, ponieważ chciała zająć miejsce przy stole nowożeńców i odmówiono jej tego przywileju.

– Jak się czujesz, Robin? – spytała, cmokając powietrze w pobliżu ucha panny młodej. Nagle Robin, przygnębiona, rozczarowana i nękana poczuciem winy, że starsza kobieta jest niezadowolona, uświadomiła sobie, jak bardzo ciotka Matthew jej nie lubi. – Urocza suknia – dodała Sue, lecz jej spojrzenie skupiało się już na przystojnym siostrzeńcu. – Szkoda, że twoja matka... – zaczęła, po czym jęknęła i ukryła twarz w chusteczce, którą od początku trzymała w gotowości.

Podchodzili kolejni przyjaciele i krewni, uśmiechając się, rozdając całusy i potrząsając dłońmi. Geoffrey spowalniał tempo, obdarzając niedźwiedzimi uściskami każdego, kto nie stawiał czynnego oporu.

– A więc jednak się zjawił – powiedziała do Robin Katie, jej ulubiona kuzynka. Gdyby nie zaawansowana ciąża, byłaby druhną. Termin porodu wyznaczono właśnie na dzień ślubu. Robin nie mogła się nadziwić, że Katie w ogóle daje radę chodzić. Gdy kuzynka się przysunęła, żeby dać pannie młodej buziaka, brzuch miała twardy jak arbuz. – Mam na myśli twojego szefa, Strike'a. Przed chwilą Martin zagadywał go w...

– Siedzisz chyba tam, Katie – wtrącił się Matthew, pokazując jej stół na środku sali. – Na pewno masz ochotę odpocząć. Domyślam się, że ciężko ci w tym upale.

Robin ledwie zauważyła kilkoro następnych gości. Dziękowała im z roztargnieniem za życzenia, co chwila spoglądając na drzwi, przez które wchodzili kolejni. Czy Katie chciała powiedzieć, że Strike zjawił się w hotelu? Przyjechał za nią z kościoła? Zamierzał się pokazać? Gdzie się ukrywał? Przecież szukała wszędzie – na tarasie, w holu, w barze. Nabrała nadziei tylko po to, by znów ją stracić. Może Martin, słynący z braku taktu, już go przepłoszył? Po chwili przypomniała sobie, że Strike nie jest aż tak delikatny, i wstąpiła w nią otucha. Gdy w głębi duszy zmagała się z niepewnością i obawami, nie była w stanie symulować konwencjonalnych ślubnych emocji, których brak, jak doskonale wiedziała, Matthew zauważył i miał jej za złe.

– Martin! – zawołała radośnie, gdy pojawił się jej młodszy brat w towarzystwie kolegów, teraz już o trzy kufle bliższy upojenia.

– Pewnie już wiesz? – zagadnął, uznając to za oczywistość. Trzymał w ręku komórkę. Poprzednią noc spędził u przyjaciela, udostępniwszy swój pokój krewnym z południa.

– O czym?

– Że wczoraj wieczorem dopadł Rozpruwacza.

Martin podsunął jej ekran, żeby pokazać artykuł. Na wieść o tym, kim był Rozpruwacz, wydała z siebie zduszony okrzyk. Rana na przedramieniu, którą zadał jej ten człowiek, pulsowała bólem.

– Strike jest tu jeszcze? – spytała Robin, porzucając pozory. – Mówił, że zostaje na weselu, Mart?

– Na litość boską – syknął Matthew.

– Wybacz – powiedział Martin, zauważając zdenerwowanie szwagra. – Wstrzymuję kolejkę.

Oddalił się niedbałym krokiem. Robin odwróciła się do Matthew i jak na obrazie z kamery termowizyjnej zobaczyła gorejące w nim poczucie winy.

– Wiedziałeś – stwierdziła, machinalnie ściskając dłoń stryjecznej babki, która nachyliła się w oczekiwaniu na całusa.

– O czym? – warknął.

– O tym, że Strike złapał...

Jej uwagi domagali się już jednak Tom, stary kolega Matthew ze studiów i jego obecny współpracownik, oraz jego narzeczona Sarah. Robin prawie nie słyszała słów Toma, ponieważ ciągle spoglądała w stronę drzwi, gdzie miała nadzieję ujrzeć Strike'a.

– Wiedziałeś – powtórzyła, gdy Tom i Sarah zaczęli się oddalać. Znowu utworzył się zator. Geoffrey spotkał kuzyna z Kanady. – Prawda?

– Dziś rano słyszałem w wiadomościach końcówkę doniesień na ten temat – mruknął Matthew. Popatrzył ponad głową Robin w stronę drzwi i twarz mu stężała. – No tak, oto i on. Twoje życzenie się spełniło.

Odwróciła się. Strike właśnie wszedł do środka. Miał podbite oko, brodę porośniętą gęstą szczeciną oraz spuchnięte, pozszywane ucho. Gdy ich spojrzenia się spotkały, uniósł zabandażowaną rękę i spróbował ponuro się uśmiechnąć, ale ostatecznie tylko się skrzywił.

– Robin – odezwał się Matthew. – Posłuchaj, muszę...

– Za chwilę – powiedziała z radością, której brak rzucał się w oczy przez cały dzień.

– Zanim z nim porozmawiasz, muszę ci wyjaśnić...

– Matt, proszę, czy to nie może zaczekać?

Nikt z rodziny nie chciał zatrzymywać Strike'a, który z powodu doznanych obrażeń nie był w stanie wymieniać uścisków dłoni. Wysunął przed siebie zabandażowaną rękę i przesuwał się bokiem wzdłuż kolejki. Geoffrey rzucił mu wściekłe spojrzenie i nawet matka Robin, która polubiła Strike'a już przy pierwszym spotkaniu,

nie potrafiła zdobyć się na uśmiech, kiedy się z nią przywitał. Odnosiło się wrażenie, że obserwują go wszyscy goście w sali.

– Mogłeś sobie darować to efektowne wejście – stwierdziła Robin, uśmiechając się do jego spuchniętej twarzy, gdy wreszcie stanął naprzeciw niej. Też się uśmiechnął, mimo że sprawiło mu to ból: ostatecznie warto było wyruszyć w tę szaloną podróż i pokonać trzysta dwadzieścia kilometrów, żeby zobaczyć, jak Robin się do niego uśmiecha. – Mam na myśli to, jak wparowałeś do kościoła. Wystarczyło po prostu zadzwonić.

– No tak, przepraszam, że przewróciłem te kwiaty – powiedział Strike, kierując te posępne słowa skruchy także do Matthew. – Dzwoniłem, ale...

– Rano miałam wyłączony telefon. – Robin zdała sobie sprawę, że wstrzymuje kolejkę, ale zupełnie się tym nie przejęła. – Proszę przechodzić dalej – dodała, zwracając się wesoło do wysokiej, rudowłosej szefowej Matthew.

– Nie, dzwoniłem... jakieś dwa dni temu – wyjaśnił Strike.

– Co? – zdziwiła się Robin, podczas gdy Matthew prowadził sztywną rozmowę z Jemimą.

– Parę razy – uściślił Cormoran. – Zostawiłem wiadomość.

– Nie miałam żadnych nieodebranych połączeń – odrzekła Robin. – Ani wiadomości.

Paplanina, postukiwanie i pobrzękiwanie setki gości oraz cicha melodia grana przez kwartet smyczkowy nagle dziwnie przycichły, jakby oddzieliła je gruba kurtyna szoku.

– Mówisz, że kiedy... kiedy to było? Dwa dni temu?

Od przyjazdu do domu rodziców cały czas była pochłonięta żmudnymi obowiązkami związanymi ze ślubem, lecz mimo to często ukradkiem spoglądała na telefon, mając nadzieję, że Strike zadzwoni albo napisze esemesa. O pierwszej w nocy, gdy leżała

samotnie w łóżku, przejrzała całą historię połączeń, daremnie licząc na to, że znajdzie jakąś przeoczoną wiadomość, ale okazało się, że rejestr został skasowany. Przez ostatnie dwa tygodnie bardzo mało spała, więc doszła do wniosku, że z przemęczenia omyłkowo wcisnęła niewłaściwy przycisk i przez przypadek usunęła historię połączeń...

– Nie zostanę na przyjęciu – mruknął Strike. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro, i poprosić, żebyś wróciła...

– Musisz zostać – weszła mu w słowo, wyciągając rękę i łapiąc go za ramię, jakby mógł jej uciec.

Serce waliło jej tak szybko, że z trudem oddychała. Wiedziała, że zbladła, bo gwarna sala wirowała jej przed oczami.

– Proszę, zostań – powiedziała, mocno trzymając Strike'a za ramię i nie zwracając uwagi na zjeżonego Matthew u jej boku. – Muszę... Chcę z tobą porozmawiać. Mamo! – zawołała.

Linda wyszła z szeregu. Wyglądała, jakby spodziewała się tej prośby, i nie wydawała się uszczęśliwiona.

– Czy mogłabyś znaleźć Cormoranowi miejsce przy którymś ze stołów? – spytała Robin. – Na przykład obok Stephena i Jenny?

Linda bez uśmiechu poprowadziła Strike'a w stronę stołów. Kilkoro gości czekało jeszcze, żeby złożyć życzenia. Robin nie była jednak w stanie dłużej się uśmiechać i prowadzić kurtuazyjnych rozmów.

– Dlaczego Cormoran nie mógł się do mnie dodzwonić? – odezwała się do Matthew, gdy jakiś starszy mężczyzna oddalił się w stronę stołów, przez nikogo niepowitany ani nawet niepozdrowiony.

– Próbowałem ci powiedzieć...

– Dlaczego nie mógł się do mnie dodzwonić, Matthew?

– Robin, czy możemy porozmawiać o tym później?

Prawda uderzyła w nią tak nagle, że Robin cicho krzyknęła.

– To t y usunąłeś moją historię połączeń – powiedziała, gdy jej umysł błyskawicznie wyciągał kolejne wnioski. – Na stacji benzynowej, kiedy wróciłam z toalety, spytałeś o mój PIN. – Dwoje ostatnich gości rzuciło spojrzenie na miny państwa młodych i pospiesznie przeszło dalej, nie domagając się powitania. – Wziąłeś mój telefon. Mówiłeś, że chodzi o podróż poślubną. Odsłuchałeś wiadomość od Strike'a?

– Tak – odparł Matthew. – Usunąłem ją.

Cisza, która zdawała się na nią napierać, zmieniła się w piskliwy jęk. Robin poczuła, że zaraz zemdleje. Stała w rozłożystej białej koronkowej sukni, która wcale jej się nie podobała – w sukni, którą musiała oddać do poprawki, bo już raz przełożyli ślub – przygwożdżona obowiązkami towarzyszącymi tej ceremonii. Na obrzeżach jej pola widzenia kołysało się sto rozmazanych twarzy. Goście byli głodni i zniecierpliwieni.

Odszukała wzrokiem Strike'a, który stał odwrócony do niej plecami, czekając obok Lindy, aż przygotują mu dodatkowe nakrycie przy stole starszego brata Robin, Stephena. Wyobraziła sobie, jak podchodzi do niego i mówi: „Wynośmy się stąd". Co by odpowiedział, gdyby tak zrobiła?

Jej rodzice wydali na tę uroczystość tysiące funtów. Pełna sala czekała, aż państwo młodzi zajmą miejsce przy stole. Robin, bledsza niż jej suknia, poszła za swoim świeżo poślubionym mężem w stronę zarezerwowanych dla nich krzeseł, a goście obsypali ich oklaskami.

Pedantyczny kelner najwyraźniej postanowił przedłużyć męki Strike'a. Cormoranowi nie pozostało nic innego, jak tylko stać na widoku wszystkich gości i czekać na dodatkowe nakrycie. Linda, która była prawie trzydzieści centymetrów niższa od detektywa,

tkwiła u jego boku, podczas gdy młody mężczyzna wprowadzał niezauważalne zmiany w ułożeniu widelczyka do deserów i obracał talerz, tak aby wzorek znalazł się w tym samym położeniu co wzorki na sąsiednich talerzach. Skrawek twarzy Lindy widoczny pod kapeluszem emanował złością.

– Wielkie dzięki – rzucił Strike do kelnera, który w końcu się odsunął, lecz gdy detektyw złapał za oparcie krzesła, Linda położyła rękę na rękawie jego marynarki. Jej delikatny dotyk równie dobrze mógłby przyjąć postać kajdan, ponieważ towarzyszyła mu aura oburzonego macierzyństwa i urażonej gościnności. Linda była bardzo podobna do córki. Jej siwiejące włosy też miały rudozłoty kolor, a srebrzysty kapelusz podkreślał intensywną, szaroniebieską barwę oczu.

– Po co przyjechałeś? – spytała przez zaciśnięte zęby, podczas gdy wokół nich uwijali się kelnerzy, podając przystawki. Przynajmniej pojawienie się jedzenia odwróciło uwagę gości. Zaczęły się rozmowy i ludzie skupili się na długo wyczekiwanym posiłku.

– Chciałem poprosić Robin, żeby wróciła do pracy.

– Przecież ją wylałeś. To złamało jej serce.

Miał wiele na swoją obronę, lecz postanowił milczeć z szacunku do cierpienia, jakiego z pewnością Linda doświadczyła na widok dwudziestocentymetrowej rany od noża na ręce córki.

– Odkąd dla ciebie pracuje, zaatakowano ją trzy razy – ciągnęła Linda, coraz bardziej czerwona. – Trzy razy.

Strike mógłby zgodnie z prawdą poinformować, że czuje się odpowiedzialny tylko za pierwszą z tych napaści. Do drugiej doszło, gdy Robin zignorowała jego wyraźne polecenia, a do trzeciej – w konsekwencji tego, że nie tylko go nie posłuchała, lecz także naraziła na szwank dochodzenie w sprawie zabójstwa i całą agencję detektywistyczną.

– Ona nie może spać. Słyszę ją w nocy...

Oczy Lindy płonęły. Wypuściła rękę Strike'a, ale szepnęła:

– Nie masz córki. Nie jesteś w stanie zrozumieć, przez co przeszliśmy.

Zanim Strike zdołał zebrać nadwątlone siły i cokolwiek powiedzieć, matka Robin odmaszerowała do stołu nowożeńców. Napotkał spojrzenie Robin, która obserwowała go znad nietkniętej przystawki. Zrobiła zaniepokojoną minę, jakby się bała, że Strike sobie pójdzie. Lekko uniósł brwi i w końcu opadł na krzesło.

Rosła postać po jego lewej stronie złowrogo się poruszyła. Strike odwrócił się i znowu zobaczył oczy podobne do oczu Robin, tyle że osadzone nad wojowniczo wysuniętą żuchwą i zwieńczone nastroszonymi brwiami.

– Ty pewnie jesteś Stephen – powiedział Strike.

Starszy brat Robin tylko coś odburknął, nadal mierząc go wrogim spojrzeniem. Obaj byli dużymi facetami. Gdy Stephen sięgnął po piwo, otarli się łokciami. Reszta gości przy stole bez słowa wpatrywała się w Strike'a. Uniósł prawą rękę w geście czegoś w rodzaju mało entuzjastycznego powitania, poniewczasie przypomniał sobie, że jest zabandażowana, i poczuł, że wzbudził jeszcze większe zainteresowanie.

– Cześć, jestem Jenny, żona Stephena – odezwała się barczysta brunetka siedząca po drugiej stronie brata Robin. – Wyglądasz na kogoś, komu mogłoby się to przydać.

Podała mu nietknięte piwo. Strike był jej za to tak wdzięczny, że miał ochotę ją ucałować. Przez szacunek do nachmurzonego Stephena ograniczył się jednak do szczerego „dzięki" i wychylił jednym haustem pół kufla. Kątem oka zauważył, że Jenny szepcze coś Stephenowi na ucho. Ten zaczekał, aż Strike odstawi piwo, po czym odchrząknął i powiedział szorstko:

– Chyba należą ci się gratulacje.

– Z jakiego powodu? – spytał Strike, nie domyślając się, o co chodzi.

Wojownicza mina Stephena trochę złagodniała.

– Złapałeś tego mordercę.

– A, no tak – potwierdził Strike, biorąc widelec w lewą rękę i nadziewając na niego przystawkę. Dopiero gdy połknął ją w całości i usłyszał śmiech Jenny, uświadomił sobie, że powinien był okazać przekąsce więcej szacunku. – Przepraszam – mruknął. – Jestem strasznie głodny.

Stephen zaczął mu się przyglądać z odrobiną uznania.

– Bez sensu, nie? – stwierdził wreszcie, patrząc na mus na swoim talerzu. – Przecież to głównie powietrze.

– Cormoran – odezwała się Jenny – czy mógłbyś pomachać do Jonathana? To drugi brat Robin. Siedzi tam.

Strike spojrzał we wskazanym kierunku. Przy sąsiednim stole machał do niego z entuzjazmem szczupły chłopak o takiej samej karnacji jak Robin. Strike zakłopotany skinął mu ręką na powitanie.

– Więc chcesz, żeby wróciła? – wypalił Stephen.

– No – odparł Strike. – Chcę.

Myślał, że tamten zareaguje złością, lecz brat Robin przeciągle westchnął.

– Chyba powinienem się cieszyć. Nigdy nie widziałem, żeby była szczęśliwsza niż wtedy, kiedy u ciebie pracowała. W dzieciństwie strasznie się z niej śmialiśmy, jak mówiła, że chce zostać policjantką – dodał. – Teraz tego żałuję. – Przyjął od kelnera świeże piwo. Zanim znowu się odezwał, udało mu się wychylić imponującą część zawartości kufla. – Patrząc na to z perspektywy czasu, zachowywaliśmy się jak kutasy, ale ostatecznie... No cóż, dzięki temu trochę lepiej potrafi walczyć o swoje.

Spojrzenie Stephena powędrowało w stronę stołu dla nowożeńców i Strike, który siedział plecami do młodej pary, poczuł, że też ma prawo rzucić ukradkowe spojrzenie na Robin. Tkwiła w milczeniu na swoim miejscu. Nie jadła ani nie patrzyła na Matthew.

– Nie teraz, stary – zabrzmiał głos Stephena i gdy Strike odwrócił się z powrotem, zobaczył, jak jego sąsiad wyciąga długą, grubą rękę, odgradzając go od jednego z przyjaciół Martina, który zdążył już wstać i pochylić się nad Strikiem, żeby zadać mu jakieś pytanie. Zawstydzony chłopak szybko się wycofał.

– Dzięki – powiedział Strike i dopił piwo, które dostał od Jenny.

– Przywyknij do tego – odparł Stephen, rozprawiając się z całą przystawką naraz. – Złapałeś Rozpruwacza z Shacklewell. Będziesz sławny, chłopie.

Niektórzy mówią, że pod wpływem szoku wszystko zlewa się w bezkształtną plamę, ale w przypadku Robin było zupełnie inaczej. Sala wokół niej nabrała wyjątkowej wyrazistości, widoczny był każdy szczegół: jasne snopy światła wpadającego przez zasłonięte okna, emaliowa jaskrawość lazurowego nieba za szybą, adamaszkowe obrusy przysłonięte łokciami i porozstawianymi wszędzie kieliszkami, coraz bardziej zaczerwienione policzki zajadających się i popijających gości, wyniosły profil ciotki Sue, której nie zdołały udobruchać pogawędki siedzących obok niej osób, niedorzeczny żółty kapelusz Jenny, trzęsący się, gdy jej bratowa żartowała ze Strikiem. Robin widziała też Cormorana. Jej spojrzenie tak często przesuwało się w stronę jego pleców, że mogłaby szczegółowo odwzorować zagniecenia na jego marynarce, gęste loki z tyłu głowy i różnicę w grubości uszu spowodowaną raną od noża, od której lewe mocno spuchło.

Nie, jej otoczenie nie rozmazało się pod wpływem szoku, którego doznała, przyjmując życzenia od gości. Szok zaburzył jednak jej percepcję dźwięku i czasu. Wiedziała, że w którymś momencie Matthew zachęcał ją do jedzenia, lecz dotarło to do niej dopiero, gdy zatroskany kelner zabrał nietknięty talerz. Wszystkie kierowane do niej słowa musiały się przebić przez gruby mur, który otoczył ją po tym, jak Matthew przyznał się do perfidnego postępku. Tkwiąc w niewidzialnej celi, która całkowicie odgradzała ją od wszystkich osób w sali, Robin czuła, jak buzująca w niej adrenalina raz po raz woła do niej, by wstała i wyszła.

Gdyby Strike nie przyjechał, być może nigdy by się nie dowiedziała, że chciał ją przyjąć z powrotem i że mogła uniknąć poczucia wstydu oraz złości, upokorzenia i bólu, które nękały ją od tamtego okropnego wieczoru, kiedy Cormoran wylał ją z pracy. Matthew usiłował pozbawić ją jedynej rzeczy, która mogła ją ocalić, tego, za czym płakała w środku nocy, gdy inni spali: szansy odzyskania szacunku do samej siebie, pracy, która była dla niej wszystkim, i przyjaźni, jednej z najcenniejszych zdobyczy w jej życiu, choć Robin nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki jej nie straciła. Matthew skłamał i kłamał dalej. Uśmiechał się i śmiał, podczas gdy ona brnęła przez dni poprzedzające ślub, próbując udawać, że jest szczęśliwa, mimo utraty życia, które tak kochała. Czy zdołała go oszukać? Czy naprawdę uwierzył w radość Robin z tego, że jej współpraca ze Strikiem dobiegła końca? Jeśli tak, poślubiła mężczyznę, który w ogóle jej nie znał. A jeśli nie...

Uprzątnięto talerzyki deserowe i Robin musiała z wysiłkiem uśmiechnąć się do zaniepokojonego kelnera, który tym razem spytał, czy mógłby jej przynieść coś innego, ponieważ nie tknęła żadnego z trzech dań.

– A miałby pan naładowany pistolet? – rzuciła Robin.

Zdezorientowany jej poważną miną, uśmiechnął się niepewnie.

– Nieważne – powiedziała. – Nie ma o czym mówić.

– Robin, na litość boską – odezwał się Matthew, a wtedy gwałtowna wściekłość połączona z zadowoleniem uświadomiły jej, że jej mąż zaczyna wpadać w panikę, że boi się tego, co Robin zrobi, boi się, co będzie dalej.

Podawano kawę w eleganckich srebrnych dzbankach. Robin patrzyła, jak kelnerzy nalewają ją do filiżanek, widziała małe tace z ptifurkami ustawione na stołach. Dostrzegła Sarah Shadlock w turkusowej obcisłej sukience bez rękawów idącą pospiesznie do toalety, żeby zdążyć na przemówienia, obserwowała Katie w zaawansowanej ciąży, spuchniętą i zmęczoną, człapiącą za nią w butach na płaskiej podeszwie, z olbrzymim, sterczącym brzuchem. Potem spojrzenie Robin znów spoczęło na plecach Strike'a. Pochłaniał ptifurki i rozmawiał ze Stephenem. Cieszyła się, że posadziła go obok brata. Zawsze wiedziała, że się polubią.

Po chwili poproszono o ciszę. Nastąpiło szeleszczenie, wiercenie się i masowe szuranie krzesłami, gdy osoby zwrócone tyłem do stołu dla nowożeńców odwracały się w stronę mówców. Robin napotkała spojrzenie Strike'a. Nie potrafiła odczytać jego wyrazu twarzy. Cormoran nie odrywał od niej wzroku, dopóki nie wstał jej ojciec, który poprawił okulary i zaczął przemawiać.

Strike marzył o tym, żeby się położyć albo – skoro to było niemożliwe – by wrócić do Shankera, gdzie przynajmniej mógłby odchylić oparcie w samochodzie. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin uciął sobie zaledwie dwugodzinną drzemkę i pod wpływem mieszanki złożonej z mocnych środków przeciwbólowych i czterech piw zachciało mu się spać tak bardzo, że raz po raz zapadał w sen, podparłszy głowę ręką, i budził się gwałtownie, gdy jego skroń zsuwała się po knykciach.

Nigdy nie pytał Robin, czym zajmują się jej rodzice. Jeśli Michael Ellacott w którymś momencie przemówienia wspomniał o swojej profesji, to Strike przegapił tę wzmiankę. Ojciec Robin był człowiekiem o łagodnym, wręcz profesorskim wyglądzie, nosił okulary w rogowych oprawkach. Wszystkie dzieci odziedziczyły po nim wzrost, lecz tylko Martin miał jego ciemne włosy i orzechowe oczy.

Przemówienie zostało napisane – a może poprawione – gdy Robin była jeszcze bezrobotna. Michael z wielką miłością i uznaniem rozwodził się nad jej zaletami: inteligencją, determinacją, serdecznością i dobrocią. Musiał na chwilę zamilknąć i odchrząknąć, gdy zaczął mówić o swojej dumie z jedynej córki, lecz w miejscu, w którym należałoby wymienić jej osiągnięcia, została pustka, niewypełniona przestrzeń zarezerwowana dla dokonań i przeżyć. Oczywiście część tego, co Robin przeżyła, nie nadawała się do omawiania w pomieszczeniu przypominającym olbrzymi pojemnik na cygara, a przystrojeni w pióra i kwiaty w butonierkach goście nie powinni o tym słuchać, lecz właśnie fakt, że Robin przetrwała, był dla Strike'a najlepszym potwierdzeniem jej wartości. Dlatego, choć otumaniała go senność, uznał, że wypadałoby o tym wspomnieć.

Wyglądało jednak na to, że nikt nie podziela tej opinii. Wyczuł nawet lekką ulgę wśród zgromadzonych, gdy Michael przeszedł do podsumowania, nie wspominając o nożach i bliznach, o maskach goryli i kominiarkach.

Przyszła pora na przemówienie pana młodego. Matthew wstał, zagrzewany entuzjastycznymi oklaskami, lecz ręce Robin cały czas spoczywały na kolanach, a ona sama patrzyła przez okno naprzeciwko, za którym słońce wisiało już nisko na bezchmurnym niebie, rzucając na trawnik długie, mroczne cienie.

Gdzieś w sali bzyczała pszczoła. Strike nie przejmował się Matthew równie mocno jak tym, że mógłby urazić Michaela, więc rozsiadł się wygodniej na krześle, splótł ręce na piersi i zamknął oczy. Przez jakąś minutę słuchał, jak Matthew opowiada, że znają się z Robin od dziecka, lecz dopiero w szóstej klasie zwrócił uwagę na urodę dziewczyny, która przed laty pokonała go w wyścigu z jajkiem na łyżce...

– Cormoran!

Obudził się gwałtownie i czując wilgoć na klatce piersiowej, uświadomił sobie, że pociekła mu ślina. Zaspany, spojrzał na Stephena, który szturchnął go łokciem.

– Chrapałeś – mruknął brat Robin.

Zanim Strike zdążył odpowiedzieć, w sali ponownie zerwały się brawa. Matthew siadał na miejsce. Nie uśmiechał się.

Strike był pewny, że to już prawie koniec... ale nie, właśnie wstawał drużba Matthew. Obudziwszy się, Cormoran poczuł parcie na pęcherz. Bardzo liczył na to, że ostatni mówca nie będzie się zbytnio rozwodził.

– Poznałem Matta na boisku do rugby – zaczął drużba i przy stole w głębi sali rozległy się pijackie okrzyki.

– Na górę – powiedziała Robin. – W tej chwili!

Były to pierwsze słowa, jakie skierowała do męża, odkąd usiedli przy stole dla nowożeńców. Nie zdążyły jeszcze ucichnąć oklaski po przemówieniu drużby. Strike wstał, ale zauważyła, że idzie tylko do toalety, ponieważ zaczepił kelnera i spytał o drogę. W każdym razie teraz już wiedziała, że Cormoran chce ją przyjąć z powrotem, i była pewna, że zostanie na weselu, dopóki ona nie zgodzi się wrócić. Tyle wyczytała z jego wzroku, gdy wymienili spojrzenia przy przystawkach.

– Za pół godziny zacznie grać zespół – zaprotestował Matthew. – Przecież musimy...

Robin szła już jednak w stronę drzwi, zabierając ze sobą niewidzialną celę, w której na chłodno i nie roniąc ani jednej łzy, wysłuchała całego przemówienia ojca, wystąpienia zestresowanego Matthew oraz nudnych i wyświechtanych starych anegdot z klubu rugby, wyklepanych bezmyślnie przez drużbę. Brnąc przez tłum gości, miała niejasne wrażenie, że matka próbuje ją zatrzymać, ale nie zwracała na nią uwagi. Posłusznie wytrwała przy stole do końca posiłku i wysłuchała przemówień. Wszechświat był jej winien chwilę prywatności i wolności.

Weszła po schodach, przytrzymując spódnicę z dala od tanich butów, a potem ruszyła wyłożonym pluszową wykładziną korytarzem. Nie do końca zdawała sobie sprawę, dokąd właściwie zmierza; za sobą słyszała pospieszne kroki Matthew.

– Przepraszam – zagadnęła nastolatka w kamizelce, który wytaczał ze schowka kosz na brudną bieliznę – gdzie jest apartament dla nowożeńców?

Chłopak przeniósł spojrzenie na Matthew i posłał panu młodemu znaczący uśmieszek – naprawdę to zrobił!

– Nie zachowuj się jak palant – warknęła na niego Robin.

– Robin! – zawołał Matthew, gdy nastolatek się zarumienił.

– Tędy – bąknął chłopak.

Robin pomaszerowała dalej. Wiedziała, że Matthew ma klucz. Poprzednią noc spędził w hotelu razem ze swoim drużbą, choć oczywiście nie w apartamencie dla nowożeńców.

Matthew otworzył drzwi. Gdy Robin wparowała do środka, zauważyła płatki róż na łóżku, szampana w kubełku z lodem i olbrzymią kopertę zaadresowaną do „Państwa Cunliffe". Z ulgą zobaczyła też torbę, którą zamierzała zabrać jako bagaż podręczny

w ich tajemniczą podróż poślubną. Otworzyła ją, szybko wsadziła do środka zdrową rękę i wydobyła ortezę, którą zdjęła przed sesją zdjęciową. Ponownie włożyła w nią obolałe przedramię – rana dopiero zaczynała się goić – gwałtownie zsunęła z palca obrączkę i zamaszystym ruchem położyła ją na stoliku nocnym obok kubełka z szampanem.

– Co ty robisz? – spytał Matthew. Wydawał się przestraszony i jednocześnie agresywny. – Co... odwołujesz ślub? Nie chcesz być moją żoną?

Wpatrywała się w niego bez słowa. Myślała, że poczuje ulgę, gdy zostaną sami i będzie mogła swobodnie mówić, ale potworność tego, co zrobił Matthew, pozbawiła ją zdolności wysławiania się. W jego rozbieganych oczach i skulonych ramionach wyczytała strach przed jej milczeniem. Świadomie czy nie, stał dokładnie między nią a drzwiami.

– No dobrze – powiedział głośno. – Tak, powinienem był...

– Wiedziałeś, ile ta praca dla mnie znaczy. Wiedziałeś.

– Nie chciałem, żebyś do niej wróciła, rozumiesz? – krzyknął Matthew. – Robin, zostałaś zaatakowana i chlaśnięta nożem!

– To była moja wina!

– Kurwa, przecież on cię wywalił!

– Bo zrobiłam coś, czego mi zabronił...

– O ja pierdolę, wiedziałem, że będziesz go bronił a! – ryknął Matthew, tracąc wszelkie panowanie nad sobą. – Wiedziałem, że jeśli z nim porozmawiasz, pobiegniesz do niego z powrotem jak jakiś pieprzony fagas!

– Nie masz prawa podejmować za mnie decyzji! – zawołała. – Nikt nie ma prawa odbierać moich pieprzonych połączeń i usuwać moich wiadomości!

Powściągliwość i pozory wyparowały. Odtąd słyszeli siebie nawzajem tylko przypadkiem, w krótkich przerwach na zaczerpnięcie oddechu. Każde wykrzykiwało swój żal i ból, które przypominały płonące dzidy, obracające się w pył przed dotarciem do celu. Robin wściekle gestykulowała, a potem wyła z bólu, gdyż nadwyrężyło to jej skaleczoną rękę, Matthew zaś z niedopuszczającą dyskusji furią pokazywał na bliznę, którą miała nosić do końca życia z powodu bezmyślnej głupoty nakazującej jej pracować u Strike'a. Niczego nie osiągnięto, niczego nie wybaczono, za nic nie przeproszono – wszystkie kłótnie, które skaziły ich ostatni wspólny rok, były wstępem do tego wybuchu, tak jak przygraniczne potyczki poprzedzają wojnę. Za oknem popołudnie gwałtownie przechodziło w wieczór. Robin pękała głowa, ściskało ją w żołądku, coraz bardziej przytłaczało ją poczucie, że się dusi.

– Nie mogłeś znieść, że pracuję o różnych porach, miałeś gdzieś to, że pierwszy raz w życiu praca sprawia mi radość, więc s k ł a m a ł e ś! Wiedziałeś, ile dla mnie znaczy, i s k ł a m a ł e ś! Jak mogłeś skasować moją historię połączeń, jak mogłeś skasować zawartość mojej poczty głosowej...?

Nagle usiadła w głębokim fotelu z frędzlami i schowała twarz w dłoniach, oszołomiona siłą własnej złości i wpływem doznanego szoku na swój pusty żołądek.

Gdzieś w oddali, w ciszy hotelowych korytarzy wyłożonych wykładziną, zamknęły się jakieś drzwi, zachichotała jakaś kobieta.

– Robin – odezwał się Matthew zachrypniętym głosem.

Usłyszała, jak idzie w jej stronę, ale wyciągnęła rękę, by zatrzymać go z dala od siebie.

– Nie dotykaj mnie.

– Robin, źle zrobiłem, wiem o tym. Nie chciałem, żeby znowu stała ci się krzywda.

Prawie go nie słyszała. Była wściekła nie tylko na Matthew, lecz także na Strike'a. Powinien był zadzwonić jeszcze raz. Powinien był próbować dalej. „Może gdyby to zrobił, nie byłoby mnie tu teraz".

Ta myśl ją przestraszyła.

„Czy wyszłabym za Matthew, gdybym wiedziała, że Strike chce mnie przyjąć z powrotem?"

Usłyszała szelest marynarki Matthew i domyśliła się, że mąż spogląda na zegarek. Może goście czekający na dole pomyślą, że zniknęli, aby skonsumować małżeństwo. Wyobraziła sobie sprośne żarciki Geoffreya rzucane pod ich nieobecność. Zespół czekał już pewnie od godziny. Znowu przypomniała sobie, ile zapłacili za tę imprezę jej rodzice. Znowu przypomniała sobie, że poprzednim razem stracili zaliczkę na wesele, które trzeba było przełożyć.

– Dobrze – powiedziała bezbarwnym głosem. – Wróćmy na dół i zatańczmy.

Wstała, odruchowo wygładzając suknię. Matthew nabrał podejrzeń.

– Jesteś pewna?

– Musimy jakoś przetrwać ten dzień – oznajmiła. – Goście przyjechali z daleka. Rodzice zapłacili mnóstwo pieniędzy.

Ponownie uniosła spódnicę i ruszyła w stronę drzwi apartamentu.

– Robin!

Odwróciła się, myśląc, że Matthew powie „kocham cię", że się uśmiechnie, że będzie błagał, zabiegał o szczersze pojednanie.

– Lepiej włóż ją z powrotem – mruknął, podając jej obrączkę, którą przed chwilą zdjęła. Miał równie zaciętą minę jak ona.

Strike zamierzał zostać na weselu, dopóki nie uda mu się ponownie porozmawiać z Robin, lecz nie był w stanie znaleźć sobie

lepszego zajęcia jak tylko dalsze picie. Wyszedł spod opiekuńczych skrzydeł Stephena i Jenny, uznając, że powinni swobodnie cieszyć się towarzystwem przyjaciół i krewnych, i wrócił do metod, którymi na co dzień odstraszał ciekawskich nieznajomych: zdał się na swoje onieśmielające gabaryty i gburowatą minę, która zazwyczaj gościła na jego twarzy. Przez chwilę snuł się przy barze, popijając piwo, a później wyszedł na taras, gdzie stanął z dala od innych palaczy i kontemplował wieczorne niebo zasnute obłoczkami, wdychając słodki zapach łąki pod koralową poświatą. Nawet Martin i jego przyjaciele, też już porządnie nasączeni alkoholem i palący w kółeczku jak nastolatki, nie mieli odwagi mu się naprzykrzać.

Po chwili wszyscy goście zostali zręcznie zebrani i poprowadzeni *en masse* z powrotem do obitego boazerią pomieszczenia, które pod ich nieobecność zmieniono w salę do tańca. Połowę stołów wyniesiono, resztę odsunięto na bok. Zespół stał w gotowości za wzmacniaczami, ale wciąż brakowało państwa młodych. Spocony, pulchny i zarumieniony mężczyzna, który, jak domyślił się Strike, był ojcem Matthew, rzucił już kilka żarcików na temat tego, czym zajmują się teraz nowożeńcy. Strike'a zagadnęła kobieta w obcisłej turkusowej sukience. Gdy się przysunęła, by uścisnąć mu rękę, jej pierzasty kapelusz połaskotał go w nos.

– Cormoran Strike, prawda? Co za zaszczyt! Jestem Sarah Shadlock.

Strike dużo słyszał o Sarah Shadlock. Sypiała z Matthew na studiach, podczas gdy ten był w związku na odległość z Robin. Strike ponownie wskazał na swój bandaż, żeby wyjaśnić, dlaczego nie może podać jej dłoni.

– Och, biedactwo!

Za Sarah czaił się jakiś pijany, łysiejący facet, prawdopodobnie młodszy, niż na to wyglądał.

– Tom Turvey – przedstawił się, mierząc Strike'a rozbieganym spojrzeniem. – Cholernie dobra robota. Świetnie się spisałeś, kolego. C h o l e r n i e d o b r a r o b o t a.

– Już dawno chcieliśmy cię poznać – powiedziała Sarah. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi Matta i Robin.

– Roz... Rozpruwacz z Shacklewell. – Tom lekko czknął. – Cholernie dobra robota.

– Tylko spójrz na tę rękę, b i e d a c t w o. – Sarah dotknęła bicepsa Strike'a i uśmiechnęła się do jego posiniaczonej twarzy. – Ale chyba nie o n ci to zrobił?

– Wszyscy chcieliby się tego dowiedzieć – dorzucił z uśmiechem podpity Tom. – Cholernie ich to ciekawi. Powinieneś był wygłosić przemówienie zamiast Henry'ego.

– Ha, ha – zaśmiała się Sarah. – Domyślam się, że to ostatnia rzecz, o jakiej marzysz. Na pewno przyjechałeś tu zaraz po tym, jak go złapałeś... A może i nie... No więc jak to właściwie było?

– Przykro mi – odparł Strike z kamienną twarzą. – Policja prosiła, żebym o tym nie rozmawiał.

– Panie i panowie! – odezwał się udręczony mistrz ceremonii, zaskoczony dyskretnym powrotem Matthew i Robin na salę. – Powitajcie, proszę, państwa Cunliffe!

Gdy nowożeńcy bez uśmiechu przeszli na środek parkietu, wszyscy oprócz Strike'a zaczęli bić brawo. Wokalista zespołu wziął mikrofon od mistrza ceremonii.

– To piosenka z przeszłości Matthew i Robin, melodia, która wiele dla nich znaczy – ogłosił, gdy Matthew objął żonę w talii i sięgnął po jej dłoń.

Fotograf wynurzył się z cienia i znowu zaczął pstrykać zdjęcia, lekko marszcząc brwi na widok brzydkiej gumowanej ortezy, która powróciła na rękę panny młodej.

Popłynęły pierwsze dźwięki *Wherever You Will Go* The Calling. Robin i Matthew zaczęli obracać się w miejscu, nie patrząc na siebie nawzajem.

So lately, been wondering,
Who will be there to take my place
When I'm gone, you'll need love
To light the shadows on your face...[2]

„Dziwny wybór jak na »wspólną« piosenkę" – pomyślał Strike. Zauważył jednak, że po chwili Matthew przysuwa się do Robin, jego ramię ciaśniej obejmuje ją w wąskiej talii i pan młody pochyla przystojną twarz, żeby szepnąć żonie coś do ucha.

Nagłe szarpnięcie w okolicach splotu słonecznego wstrząsnęło zasłoną utkaną z wyczerpania, ulgi i alkoholu, która przez cały dzień chroniła Strike'a przed uświadomieniem sobie konsekwencji tego ślubu. Teraz, patrząc, jak nowożeńcy obracają się na parkiecie – Robin w długiej białej sukni, z wiankiem róż na włosach, Matthew w ciemnym garniturze, z twarzą przy policzku panny młodej – Strike był zmuszony uzmysłowić sobie, od jak dawna i jak bardzo liczył na to, że Robin nie wyjdzie za mąż. Chciał, żeby była wolna – i żeby między nimi mogło być tak jak dotąd. Żeby... jeśli okoliczności się zmienią... żeby istniała możliwość... żeby pewnego dnia mieli szansę odkryć, kim jeszcze mogliby być dla siebie nawzajem.

„Do diabła z tym".

Jeśli chce z nim porozmawiać, będzie musiała do niego zadzwonić. Odstawił pusty kufel na parapet, odwrócił się i ruszył do wyjścia, mijając innych gości, którzy odsuwali się, żeby go przepuścić – tak ponurą miał minę.

Odwracając się ze wzrokiem utkwionym w martwym punkcie, Robin zobaczyła, że Strike wychodzi. Otworzył drzwi. Zniknął.

– Puść mnie.

– Co?

Wyswobodziła się, jeszcze raz uniosła spódnicę, żeby zyskać swobodę ruchu, a potem na wpół zeszła, na wpół zbiegła z parkietu, o mało nie wpadając po drodze na swojego ojca i ciotkę Sue, którzy statecznie tańczyli w pobliżu. Matthew został sam na środku sali, a Robin przeciskała się wśród zdumionych gości w stronę drzwi, które przed chwilą się zamknęły.

– Cormoran!

Był już w połowie schodów, ale słysząc swoje imię, obejrzał się. Podobały mu się rozpuszczone fale jej długich włosów pod koroną z róż z Yorkshire.

– Gratuluję.

Pokonała jeszcze parę schodów, zmagając się z gulą, która utkwiła jej w gardle.

– Naprawdę chcesz, żebym wróciła?

Zmusił się do uśmiechu.

– Właśnie spędziłem cztery przeklęte godziny z Shankerem w samochodzie, który najprawdopodobniej jest kradziony. Jasne, że chcę, żebyś wróciła.

Roześmiała się, mimo że do jej oczu napłynęły łzy.

– Shanker też tu jest? Czemu go nie przyprowadziłeś?!

– Shankera? Tutaj? Przetrzepałby wszystkim kieszenie, a potem obrobił kasę w recepcji.

Znowu się roześmiała, ale z jej przepełnionych oczu wydostały się łzy, które spłynęły po policzkach.

– Gdzie będziesz spał?

– W samochodzie, kiedy Shanker będzie mnie wiózł do domu. Zażąda za to fortuny. Nieważne – dodał szorstko, gdy otworzyła usta. – Skoro zamierzasz wrócić, było warto. Zdecydowanie było warto.

– Tym razem chcę podpisać umowę – oświadczyła Robin, ale jej spojrzenie przeczyło surowości tonu. – Porządną umowę.

– Załatwione.

– W takim razie zgoda. No to... do zobaczenia.

Kiedy go zobaczy? Najbliższe dwa tygodnie miała spędzić w podróży poślubnej.

– Daj znać – powiedział Strike.

Odwrócił się i znowu zaczął iść w dół po schodach.

– Cormoran!

– Co?

Podeszła do niego i zatrzymała się o stopień wyżej. Ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

– Będziesz musiał mi dokładnie opowiedzieć, jak go złapałeś i w ogóle.

Uśmiechnął się.

– Jasne, opowiem. Ale bez ciebie by mi się nie udało.

Żadne z nich nie byłoby w stanie powiedzieć, kto wykonał pierwszy ruch ani czy zrobili to równocześnie. Zanim się spostrzegli, trzymali się mocno w objęciach: broda Robin na ramieniu Strike'a, jego twarz w jej włosach. Pachniał potem, piwem i spirytusem do dezynfekcji, ona – różami i delikatnymi perfumami, za którymi tęsknił, odkąd zniknęła z agencji. Przytulając ją, czuł coś nowego i jednocześnie znajomego, jakby obejmował ją już dawno temu, jakby przez lata nieświadomie za tym tęsknił. Za zamkniętymi drzwiami na górze grał zespół:

I'll go wherever you will go

If I could make you mine...[3]

Odsunęli się od siebie równie gwałtownie, jak padli sobie w objęcia. Po twarzy Robin płynęły łzy. Przez jedną szaloną chwilę Strike pragnął powiedzieć: „Chodź ze mną", ale pewnych słów nie sposób cofnąć ani zapomnieć; wiedział, że te również należą do takiej kategorii.

– Daj znać – powtórzył. Próbował się uśmiechnąć, ale za bardzo bolała go twarz. Machnął zabandażowaną ręką i ruszył po schodach, nie oglądając się więcej.

Patrzyła, jak Strike odchodzi, i gorączkowo ścierała z twarzy gorące łzy. Wiedziała, że gdyby powiedział: „Chodź ze mną", poszłaby. Ale co potem? Przełknęła ślinę i wytarła nos grzbietem dłoni, odwróciła się, znowu uniosła spódnicę i powoli zaczęła wspinać się po schodach, wracając do męża.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROK PÓŹNIEJ

1

Z bardzo dobrego źródła mam wiadomości, że poszukuje zdolnego współpracownika.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Tak to już jest z powszechnym pragnieniem sławy, że ci, którzy ją zdobywają przez przypadek albo wbrew swojej woli, na próżno czekają na zmiłowanie.

Po ujęciu Rozpruwacza z Shacklewell Strike'owi przez wiele tygodni towarzyszyła obawa, że jego największy sukces w roli detektywa zada jego karierze śmiertelny cios. Odrobina rozgłosu, jaki zyskała wcześniej jego agencja, przypominała teraz dwa zanurzenia tonącego, poprzedzające ostateczne pójście na dno. Biznes, dla którego Strike tyle poświęcił i który kosztował go tyle pracy, zależał w ogromnej mierze od możliwości przemieszczania się ulicami Londynu incognito, lecz po pojmaniu seryjnego zabójcy detektyw zapisał się trwale w świadomości publicznej: sensacyjna

osobliwość, żarcik na marginesie teleturniejów, obiekt wywołujący ciekawość i fascynujący tym bardziej, że nie chciał tej ciekawości zaspokajać.

Wycisnąwszy do ostatniej kropli zainteresowanie, jakie budziła pomysłowość Strike'a podczas tropienia Rozpruwacza, gazety ekshumowały historię jego rodziny. Nazywały ją „barwną", choć dla niego była to raczej bezkształtna masa; nosił ją w sobie przez całe życie i wolał jej nie dotykać: ojciec – gwiazda rocka, matka – jego zmarła fanka, kariera wojskowa zakończona utratą połowy prawej nogi. Uśmiechnięci dziennikarze z książeczkami czekowymi zwalili się na głowę jedynej osobie, z którą Strike dzielił dzieciństwo – jego przyrodniej siostrze Lucy. Znajomi z wojska rzucali spontaniczne uwagi, które okrojone z tego, co, jak wiedział Strike, było szorstkim poczuciem humoru, przyjmowały postać zazdrości i dyskredytacji. Ojciec, którego Strike spotkał tylko dwa razy w życiu i którego nazwiska nigdy nie używał, wydał za pośrednictwem rzecznika prasowego oświadczenie, dając w nim do zrozumienia, że łączą go z synem przyjazne relacje, trzymane z dala od wścibskich oczu. Reperkusje pojmania Rozpruwacza pobrzmiewały w życiu Strike'a przez rok i wciąż nie był pewny, czy już ucichły.

Oczywiście status najsławniejszego prywatnego detektywa w Londynie miał także dobre strony. Po procesie do Strike'a napłynęli nowi klienci i prowadzenie wszystkich dochodzeń wyłącznie przez Cormorana i Robin stało się fizycznie niemożliwe. A ponieważ Strike uznał, że na jakiś czas powinien się przyczaić, przez kilka miesięcy przeważnie siedział w agencji; większość roboty w terenie wykonywali zatrudnieni przez niego pracownicy – najczęściej byli policjanci i wojskowi, wielu z branży ochroniarskiej – podczas gdy on obstawiał nocki i załatwiał papierkową robotę.

Po roku zajmowania się tyloma sprawami, iloma tylko mogła się zająć powiększona w ten sposób agencja, Strike zdołał dać Robin podwyżkę, która od dawna jej się należała, spłacił resztę długów i kupił trzynastoletnie bmw serii 3.

Lucy i przyjaciele detektywa zakładali, że zakup samochodu i dodatkowi pracownicy to znak, iż Strike wreszcie osiągnął stan zamożności i statecznego spokoju. Tak naprawdę jednak, gdy pokrył ogromne koszty garażowania auta w centrum Londynu i zapłacił swoim ludziom, nie zostało mu prawie nic, co mógłby wydać na siebie, nadal więc mieszkał w dwóch pokojach nad agencją, gotując sobie na kuchence z jednym palnikiem.

Biurokratyczne wymogi związane z angażowaniem wolnych strzelców oraz nierówny poziom mężczyzn i kobiet chętnych do pracy w agencji przyprawiały Strike'a o nieustanny ból głowy. Znalazł tylko jednego człowieka, którego zatrudniał mniej więcej stale: Andy Hutchins był chudym, posępnym ekspolicjantem o dziesięć lat starszym od swojego nowego szefa i bardzo polecanym przez przyjaciela Strike'a z londyńskiej policji, komisarza Erica Wardle'a. Hutchins przeszedł na wcześniejszą emeryturę po tym, jak nagle doznał prawie całkowitego paraliżu lewej nogi i zdiagnozowano u niego stwardnienie rozsiane. Zgłaszając się do pracy w agencji, uprzedził Strike'a, że może nie zawsze być w formie: wyjaśnił, że choć w ciągu ostatnich trzech lat jego stan nie uległ pogorszeniu, choroba, na którą cierpi, jest nieprzewidywalna. Przestrzegał specjalnej niskotłuszczowej diety, która Strike'owi wydawała się istną katorgą: zero czerwonego mięsa, zero sera, zero czekolady i nic smażonego w głębokim tłuszczu. Strike mógł być spokojny, że metodyczny i cierpliwy Andy wykona robotę i nie będzie wymagał stałego nadzoru, czego nie dało się powiedzieć o żadnym innym pracowniku agencji – z wyjątkiem Robin. Nadal

nie mógł uwierzyć, że taka osoba jak ona pojawiła się w jego życiu jako tymczasowa sekretarka, a została jego wspólniczką i znakomitą współpracownicą.

To, czy nadal byli przyjaciółmi, nie wydawało się już jednak takie oczywiste.

Dwa dni po ślubie Robin i Matthew, gdy dziennikarze wypłoszyli go z mieszkania i wciąż nie mógł włączyć telewizora, żeby nie usłyszeć swojego nazwiska, Strike, mimo zaproszeń od przyjaciół i siostry, znalazł schronienie w hotelu Travelodge niedaleko stacji Monument. Tam zyskał samotność i odrobinę prywatności, o których marzył; tam mógł spokojnie spać godzinami i nikt mu nie przeszkadzał; tam też opróżnił dziewięć puszek piwa, a gdy z coraz mniejszą celnością wrzucał je do kosza na drugim końcu pokoju, narosło w nim pragnienie, żeby porozmawiać z Robin.

Nie kontaktowali się ze sobą od uścisku na schodach. W późniejszych dniach Strike wielokrotnie wracał myślami do tego zdarzenia. Był pewny, że Robin przeżywa okropne chwile, że zaszyła się w Masham i próbuje zdecydować, czy wystąpić o rozwód, czy może o unieważnienie małżeństwa, że organizuje sprzedaż domu, odpierając ataki ze strony zarówno dziennikarzy, jak i rodziny. Nie miał pojęcia, co dokładnie zamierza powiedzieć, kiedy się z nią skontaktuje. Wiedział tylko, że chce usłyszeć jej głos. Właśnie w tym momencie, gdy pijany przetrząsał torbę, odkrył, że opuszczając w pośpiechu mieszkanie, z powodu niewyspania zapomniał spakować ładowarkę do telefonu, w którym właśnie wyczerpała się bateria. Niezrażony, zadzwonił na informację i po licznych prośbach, by powtórzył swoje pytanie wyraźniej, udało mu się zdobyć numer do domu rodziców Robin.

Odebrał jej ojciec.

– Cześś... Moę mówiszobin?

– Z Robin? Obawiam się, że wyjechała w podróż poślubną.

W chwilowym zamroczeniu Strike nie do końca rozumiał, co usłyszał.

– Halo? – odezwał się Michael Ellacott, po czym dodał ze złością: – To pewnie znowu jakiś dziennikarz. Moja córka przebywa za granicą i proszę, żeby przestali państwo dzwonić do mojego domu.

Strike odłożył słuchawkę, a potem dalej pił, dopóki nie stracił przytomności.

Złość i rozczarowanie towarzyszyły mu przez wiele dni i w żaden sposób nie łagodziła ich świadomość, że większość osób nie przyznałaby mu żadnych praw do ingerowania w prywatne życie pracownicy. Robin nie była kobietą, za jaką ją uważał, skoro posłusznie wsiadła do samolotu z mężczyzną, którego nazywał w myślach „tą cipą". Mimo to, gdy siedział w Travelodge z nowiutką ładowarką i świeżym piwem, czekając, aż jego nazwisko zniknie z wiadomości, przytłaczało go coś zbliżonego do depresji.

Świadomie pragnąc oderwać myśli od Robin, zakończył narzuconą sobie izolację i przyjął zaproszenie, z którego normalnie by nie skorzystał: kolacja u komisarza Erica Wardle'a w towarzystwie jego żony April i ich przyjaciółki Coco. Strike doskonale wiedział, że próbują go zeswatać. Coco już wcześniej wypytywała Wardle'a, czy Strike kogoś ma.

Była drobną, gibką, bardzo ładną dziewczyną z włosami koloru pomidora, zawodową tatuażystką, która od czasu do czasu tańczyła burleskę. Powinien zauważyć znaki ostrzegawcze. Chichotała i sprawiała wrażenie lekko rozhisteryzowanej, jeszcze zanim zaczęli pić. Strike wziął ją do łóżka w Travelodge tak samo, jak wcześniej wziął do niego dziewięć puszek tennenta.

W następnych tygodniach musiał bardzo się starać, żeby się jej pozbyć. Nie czuł się z tym dobrze, ale jedną z zalet ukrywania się przed dziennikarzami jest to, że panienki na jedną noc też nie mogą cię tak łatwo namierzyć.

Minął rok, a Strike nadal nie miał pojęcia, dlaczego Robin postanowiła zostać z Matthew. Przypuszczał, że jej uczucia do męża sięgają zbyt głęboko, aby potrafiła ujrzeć go takim, jaki jest naprawdę. Sam był teraz w nowym związku. Trwało to od dziesięciu miesięcy, najdłużej, odkąd rozstał się z Charlotte, jedyną kobietą, przy której kiedykolwiek myślał o ślubie.

Emocjonalny dystans dzielący dwoje wspólników stał się zwyczajnym elementem ich codzienności. W sferze zawodowej Strike nie miał Robin nic do zarzucenia. Wszystkie polecenia wykonywała natychmiast, sumiennie, wykazując przy tym inicjatywę i pomysłowość. Zauważył jednak, że jest bardziej spięta niż kiedyś. Miał wrażenie, że stała się trochę bardziej nerwowa, a parę razy, gdy rozdzielał zadania między wspólniczkę i podwykonawców, zauważył nietypową dla niej nieobecną, rozkojarzoną minę. Nie dawało mu to potem spokoju. Znał objawy stresu pourazowego, a Robin przeżyła już dwa ataki, które mogły okazać się śmiertelne. Zaraz po tym, jak stracił w Afganistanie pół nogi, też doświadczał dysocjacji, czując, że nagle przenosi się z powrotem do tych kilku sekund wypełnionych strachem i złymi przeczuciami poprzedzającymi rozpadnięcie się vikinga, w którym wtedy siedział, a także jego ciała i kariery wojskowej. Pozostały mu po tym głęboka niechęć do podróżowania pojazdami prowadzonymi przez inne osoby i nawiedzające go do tej pory sny o krwi i konaniu, z których czasami budził się zlany potem.

Kiedy jednak spokojnym, odpowiedzialnym tonem pracodawcy spróbował porozmawiać z Robin o jej zdrowiu psychicznym,

przerwała mu ze stanowczością i żalem, które, jak przypuszczał, mogły mieć związek z wcześniejszym zwolnieniem jej z agencji. Później zauważył, że zaczęła zgłaszać się na ochotnika do bardziej ryzykownych zadań po zmroku, i miał niemały kłopot, organizując pracę w taki sposób, by nie wyglądało na to, że próbuje – co w istocie robił – ograniczać jej udział do najbezpieczniejszych, najbardziej przyziemnych zleceń.

Zachowywali się wobec siebie uprzejmie, miło i oficjalnie, temat życia prywatnego poruszali jak najbardziej ogólnikowo i tylko w razie konieczności. Cunliffe'owie właśnie się przeprowadzili i Strike nalegał, żeby Robin wzięła w związku z tym tydzień wolnego. Opierała się, ale i tak postawił na swoim. Przypomniał jej tonem niedopuszczającym dyskusji, że w ciągu ostatniego roku bardzo rzadko brała urlop.

W poniedziałek najnowszy z niedoskonałych podwykonawców Strike'a, pewny siebie były żołnierz żandarmerii wojskowej, którego Cormoran nie znał z czasów służby, wjechał skuterem w tył taksówki, którą miał śledzić. Strike z radością wyrzucił go z pracy. Dzięki temu miał kogoś, na kim mógł wyładować złość, ponieważ właściciel budynku, w którym detektyw mieszkał, wybrał sobie akurat ten tydzień, by poinformować, że podobnie jak prawie wszyscy właściciele powierzchni biurowych przy Denmark Street, sprzedał swoją nieruchomość deweloperowi. Teraz nad Strikiem wisiała groźba utraty nie tylko biura, ale i domu.

Ukoronowaniem tych kilku wyjątkowo gównianych dni była pracownica tymczasowa, którą zatrudnił na czas nieobecności Robin do podstawowej papierkowej roboty i odbierania telefonów – okazała się najbardziej irytującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Denise bezustannie trajkotała jękliwym nosowym głosem, docierającym do niego nawet przez zamknięte drzwi. W końcu

Strike zaczął się ratować słuchaniem muzyki przez słuchawki, co przyniosło taki skutek, że gdy Denise chciała mu coś powiedzieć, musiała kilka razy walić do drzwi i krzyczeć.

– Co?

– Właśnie to znalazłam – oznajmiła, wymachując przed nim ręcznie zrobioną notatką. – Ktoś tu napisał „klinika”... a obok jest jakieś słowo na V... Wizyta zaczyna się za pół godziny... Miałam panu o tym przypomnieć?

Strike rozpoznał charakter pisma Robin. Pierwsze słowo rzeczywiście było nieczytelne.

– Nie – powiedział. – Po prostu to wyrzuć.

Mając cichą nadzieję, że Robin potajemnie szuka profesjonalnej pomocy w związku z problemami psychicznymi, z którymi być może się zmaga, Strike z powrotem założył słuchawki i wrócił do czytania raportu, lecz trudno było mu się skupić. Dlatego postanowił wyjść na zaplanowaną rozmowę z potencjalnym podwykonawcą trochę wcześniej, niż to było konieczne. Umówił się z nim w swoim ulubionym pubie – przede wszystkim po to, żeby uciec od Denise.

Po ujęciu Rozpruwacza z Shacklewell Strike musiał unikać Tottenham przez kilka miesięcy, bo odkąd rozeszła się wieść, że jest stałym klientem tego pubu, czekali tam na niego dziennikarze. Nawet tym razem rozejrzał się podejrzliwie, zanim uznał, że może bezpiecznie podejść do baru, jak zwykle zamówić kufel doom bara i usiąść przy stoliku w kącie.

Trochę dlatego, że podjął wysiłek i zrezygnował z frytek stanowiących podstawowy składnik jego diety, a trochę z powodu przepracowania Strike był teraz szczuplejszy niż przed rokiem. Dzięki utracie kilogramów zmniejszył się nacisk na jego amputowaną nogę, tak że zarówno wysiłek, jak i ulga towarzysząca

siedzeniu nie rzucały się aż tak bardzo w oczy. Strike pociągnął łyk piwa, z przyzwyczajenia rozprostował kolano, rozkoszując się względną swobodą ruchu, po czym otworzył przyniesioną ze sobą papierową teczkę.

Teczka zawierała zapiski autorstwa kretyna, który roztrzaskał skuter o tył taksówki; trudno było je uznać za staranne. Strike nie mógł sobie pozwolić na utratę tego klienta, ale już przed wyrzuceniem drugiego podwykonawcy agencja z trudem dawała sobie radę z natłokiem obowiązków. Pilnie potrzebował nowego pomocnika, choć nie był do końca przekonany, czy postępuje mądrze, decydując się na przeprowadzenie rozmowy z tym kandydatem. Przed podjęciem odważnej decyzji o odnalezieniu człowieka, którego nie widział od pięciu lat, nie skonsultował się z Robin, a gdy drzwi pubu się otworzyły i wszedł przez nie Sam Barclay, punktualnie co do minuty, Strike wciąż się zastanawiał, czy przypadkiem nie popełni za chwilę ogromnego błędu.

Prawie wszędzie rozpoznałby w pochodzącym z Glasgow Barclayu byłego rekruta: facet miał koszulkę pod swetrem z dekoltem w serek, włosy ostrzyżone na zapałkę, nosił obcisłe dżinsy i oślepiająco białe trampki. Gdy Strike wstał i wyciągnął rękę, Barclay, który najwyraźniej rozpoznał go z taką samą łatwością, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– Już popijasz, co?

– Też masz ochotę? – rzucił Strike.

Czekając na kufel dla Barclaya, obserwował byłego żołnierza piechoty w lustrze za barem. Barclay był zaledwie nieco po trzydziestce, ale przedwcześnie siwiał. Poza tym wyglądał dokładnie tak, jak Strike zapamiętał: gęste brwi, wielkie, okrągłe niebieskie oczy i mocny podbródek. Z tymi ptasimi rysami trochę przypominał przyjaźnie nastawioną sowę. Strike polubił Barclaya

już wówczas, gdy zabiegał o to, żeby postawić go przed sądem wojskowym.

– Nadal palisz? – spytał Strike, kiedy przyniósł mu piwo i usiadł.

– Elektroniczne – odrzekł Barclay. – Urodziło się nam dziecko.

– Gratuluję – powiedział Strike. – Więc prowadzisz zdrowy tryb życia?

– No, coś w tym guście.

– Dilujesz?

– Nigdy nie dilowałem – obruszył się Barclay. – Dobrze, kurwa, wiesz. Ja tylko popalam, stary.

– Gdzie się teraz zaopatrujesz?

– Przez internet – odparł Barclay, sącząc piwo. – Łatwizna. Za pierwszym razem nie wierzyłem, że coś takiego może, kurwa, działać. Ale potem pomyślałem: „No dobra, potraktuję to jak przygodę". Przysyłają ci to w paczkach po fajkach i takich tam. Wybierasz z całego menu. Internet to supersprawa.

Zaśmiał się i dodał:

– No to o co chodzi? Nigdy bym nie przypuszczał, że się do mnie odezwiesz.

Strike wciąż się wahał.

– Myślałem o tym, żeby zaproponować ci pracę.

Przez chwilę Barclay wpatrywał się w niego bez słowa, a potem gwałtownie odchylił głowę i ryknął śmiechem.

– O kurwa – powiedział. – Czemu nie mówiłeś od razu?

– A jak myślisz?

– Nie palę tych elektronicznych skrętów codziennie – zapewnił z powagą Barclay. – Serio. Żonie się to nie podoba.

Strike trzymał rękę na teczce, nadal się zastanawiał.

Natknął się na Barclaya, rozpracowując w Niemczech sprawę handlu narkotykami. W brytyjskiej armii kupowano i sprzedawano

narkotyki tak jak w każdej innej części społeczeństwa, ale Wydział do spraw Specjalnych został wezwany, żeby zbadać coś, co wyglądało na wyjątkowo profesjonalną operację. Barclaya wskazano jako głównego gracza, a odkrycie wśród jego rzeczy osobistych kilogramowej cegły pierwszorzędnego marokańskiego haszu z pewnością uzasadniało przeprowadzenie przesłuchania.

Barclay uparcie twierdził, że został wrobiony, i Strike, obecny podczas jego przesłuchania, był skłonny w to uwierzyć, choćby dlatego że żołnierz wydawał się zbyt inteligentny na to, by schować haszysz w tak kiepskiej kryjówce jak własna wojskowa torba. Istniały jednak liczne dowody, że Barclay regularnie pali, do tego paru świadków zeznało, że ostatnio stał się nieprzewidywalny. Strike czuł, że zrobiono z Barclaya kozła ofiarnego, więc postanowił trochę podrążyć na własną rękę.

Zdobył w ten sposób interesujące informacje związane z materiałami budowlanymi i narzędziami, które zamawiano wielokrotnie i po zupełnie nieprawdopodobnych cenach. Choć nie po raz pierwszy odkrył tego rodzaju korupcję, tak się złożyło, że dwaj oficerowie odpowiedzialni za znikające w tajemniczych okolicznościach i znajdujące wielu nabywców towary okazali się tymi samymi ludźmi, którzy tak bardzo zabiegali o postawienie Barclaya przed sądem wojskowym.

W czasie przesłuchania w cztery oczy Barclay był zaskoczony, że sierżant Wydziału do spraw Specjalnych nagle zaczął się interesować nie haszyszem, lecz nieprawidłowościami związanymi z kontraktami budowlanymi. Początkowo żołnierz był nieufny i uważał, że biorąc pod uwagę to, w jakiej znalazł się sytuacji, nikt mu nie uwierzy, w końcu jednak przyznał przed Strikiem, że nie tylko zauważył coś, czego nie udało się zauważyć innym – lub w co inni woleli nie wnikać – ale także zaczął zapisywać

i dokumentować, ile dokładnie kradną dwaj oficerowie. Miał pecha, bo wspomniani panowie dowiedzieli się o jego nieco zbyt dużym zaciekawieniu ich działalnością – i wkrótce wśród jego rzeczy znalazł się kilogram haszyszu.

Gdy Barclay pokazał swoje zapiski (notes schowano znacznie lepiej niż haszysz), Strike był pod wrażeniem metody i inicjatywy przebijających z jego działań, zwłaszcza że Barclay nigdy się nie szkolił w metodach prowadzenia dochodzeń. Spytany, dlaczego podjął śledztwo, za które nikt mu nie płacił i przez które wpadł w takie kłopoty, Barclay wzruszył szerokimi ramionami i powiedział: „Bo to nie w porządku, no nie? Przecież oni okradają armię. Przywłaszczają sobie, kurwa, pieniądze podatników".

Strike poświęcił tej sprawie o wiele więcej godzin, niż jego koledzy uważali za słuszne, lecz ostatecznie dodatkowe śledztwo w połączeniu ze zgromadzonymi przez Barclaya dokumentami dotyczącymi działalności jego przełożonych doprowadziło do skazania winnych. Oczywiście wyrazy uznania popłynęły w stronę Wydziału do spraw Specjalnych, ale Strike dopilnował, żeby po cichu wycofano oskarżenia przeciwko Barclayowi.

– Mówiąc o pracy – zastanawiał się głośno Barclay, siedząc z nim teraz w gwarnym pubie – masz na myśli detektywistyczną robotę?

Strike czuł, że ten pomysł się Barclayowi podoba.

– Tak – potwierdził. – Co porabiałeś, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni?

Odpowiedź była przygnębiająca, choć wcale Strike'a nie zaskoczyła. W ciągu pierwszych paru lat po opuszczeniu armii Barclay miał trudności ze zdobyciem i utrzymaniem stałej pracy i od jakiegoś czasu zajmował się dorywczo malowaniem oraz wykończeniówką w firmie swojego szwagra.

– Utrzymuje nas przede wszystkim moja żona – powiedział. – Ma dobrą robotę.

– Okej – odparł Strike. – Myślę, że na początek mogę ci dać dwa dni w tygodniu. Będziesz mi wystawiał rachunki jako wolny strzelec. Jeśli to nie wypali, każdy z nas może się wycofać w dowolnej chwili. Brzmi uczciwie?

– No – zgodził się Barclay. – Całkiem w porządku. A ile mniej więcej płacisz?

Przez pięć minut rozmawiali o pieniądzach. Strike wyjaśnił, że zatrudnia ludzi na umowę-zlecenie, a rachunki za wydatki ponoszone w związku z pracą mają trafiać do agencji i koszty będą zwracane. Na koniec otworzył teczkę i przesunął ją w stronę Barclaya, żeby pokazać mu jej zawartość.

– Potrzebuję kogoś, kto będzie śledził tego gościa. – Stuknął w zdjęcie pucołowatego młodzieńca z gęstymi kręconymi włosami. – Chcę wiedzieć, z kim się spotyka i co kombinuje.

– Dobra – powiedział Barclay, wyjmując komórkę, żeby zrobić fotkę zdjęcia i adresu.

– Dzisiaj obserwuje go ktoś inny – wyjaśnił Strike – ale masz być pod jego domem jutro od szóstej rano.

Z zadowoleniem odnotował, że Barclay nie protestuje przeciwko tak wczesnej porze.

– A co się stało z tą panną? – spytał Barclay, chowając telefon z powrotem do kieszeni. – Z tą, która była obok ciebie na zdjęciach w gazetach.

– Z Robin? Jest na urlopie. Wraca w przyszłym tygodniu.

Na pożegnanie uścisnęli sobie ręce i Strike delektował się chwilą ulotnego optymizmu, zanim nie przypomniał sobie, że musi wracać do agencji, co oznaczało przebywanie w pobliżu Denise, jej papuziego trajkotu, zwyczaju mówienia z pełnymi ustami

i niezdolności do zapamiętania, że on nienawidzi słabej herbaty zaprawionej mlekiem.

Aby wrócić do agencji, musiał się przedrzeć przez wieczne roboty drogowe na końcu Tottenham Court Road. Minął najbardziej hałaśliwy odcinek, po czym zadzwonił do Robin, żeby poinformować ją o zatrudnieniu Barclaya, lecz połączenie trafiło prosto do poczty głosowej. Przypomniał sobie, że o tej porze Robin miała umówioną wizytę w jakiejś tajemniczej klinice. Rozłączył się, nie zostawiając wiadomości.

Gdy szedł dalej, zaświtała mu nagła myśl. Zakładał, że klinika ma związek ze zdrowiem psychicznym Robin, ale co, jeśli...

Telefon w jego dłoni zadzwonił: numer agencji.

– Halo?

– Pan Strike? – W jego uchu rozległ się skrzekliwy głos przerażonej Denise. – Panie Strike, czy mógłby pan jak najszybciej tu przyjść? Proszę... jest tu jakiś pan... chce z panem bardzo pilnie rozmawiać...

W tle rozległ się donośny huk i krzyk jakiegoś mężczyzny.

– Proszę, niech pan przyjdzie najszybciej, jak to możliwe! – zawołała Denise.

– Zaraz będę! – wrzasnął Strike, niezgrabnie puszczając się biegiem.

2

Ale on nie wygląda tak, żeby go było można wpuścić do salonu.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Dysząc i czując ból w prawym kolanie, Strike chwytał się poręczy i podciągał na niej, żeby pokonać ostatnich kilka stopni metalowych schodów prowadzących do jego agencji. Za szklanymi drzwiami rozbrzmiewały dwa podniesione głosy: jeden męski, a drugi damski – piskliwy i wystraszony. Gdy Strike wpadł do środka, Denise, która przywarła plecami do ściany, wydała z siebie zduszony okrzyk:

– Och, dzięki Bogu!

Strike ocenił, że stojący na środku pomieszczenia mężczyzna ma około dwudziestu pięciu lat. Kosmyki jego ciemnych, potarganych włosów opadały na chudą i brudną twarz, w której dominowały płonące, zapadnięte oczy. Koszulka, dżinsy i bluza z kapturem były porwane i wyświechtane, podeszwa jednego z adidasów się odklejała. W nozdrza detektywa uderzył zwierzęcy smród niemytego ciała.

Nie było wątpliwości, że nieznajomy jest chory psychicznie. Mniej więcej co dziesięć sekund wykonywał gest będący chyba tikiem: najpierw dotykał czubka nosa, który pod wpływem wielokrotnego trącania zrobił się czerwony, a potem z lekkim głuchym odgłosem uderzał się w środek mostka i gwałtownie opuszczał rękę. Prawie natychmiast unosiła się ona jednak z powrotem w stronę czubka nosa. Jakby zapomniał, jak należy się przeżegnać, albo uprościł tę czynność, żeby ją przyspieszyć. Nos, klatka piersiowa, ręka w dół; nos, klatka piersiowa, ręka w dół – obserwowanie tych machinalnych ruchów budziło niepokój, zwłaszcza że sam mężczyzna raczej nie zdawał sobie sprawy, że je wykonuje. Należał do tych chorych, zrozpaczonych ludzi, widywanych w stolicy. Zawsze są oni problemem kogoś innego, tak jak pasażer metra, którego wszyscy omijają wzrokiem, czy pomstująca kobieta na skrzyżowaniu, z której powodu ludzie

przechodzą na drugą stronę ulicy – fragmenty roztrzaskanej ludzkości zbyt rozpowszechnione, by na długo zaprzątały wyobraźnię.

– To pan? – odezwał się mężczyzna o płonących oczach, a jego ręka znowu dotknęła nosa i piersi. – To pan jest Strike? Ten detektyw?

Drugą ręką, która nie kursowała bez przerwy między nosem a klatką piersiową, gwałtownie pociągnął za rozporek. Denise jęknęła, jakby się wystraszyła, że mężczyzna nagle się obnaży, co rzeczywiście wydawało się całkiem prawdopodobne.

– Tak, nazywam się Strike. – Detektyw przesunął się, żeby stanąć między nieznajomym a pracownicą tymczasową. – Wszystko w porządku, Denise?

– Tak – szepnęła, wciąż przytulona do ściany.

– Widziałem, jak ktoś zabił dziecko – powiedział nieznajomy. – Udusił je.

– Okej – odrzekł Strike rzeczowym tonem. – Może wejdziemy do środka?

Wskazał swoje biuro.

– Muszę się wysikać! – oznajmił mężczyzna, ciągnąc za rozporek.

– W takim razie proszę tędy.

Strike pokazał mu drzwi do toalety znajdujące się tuż obok wejścia do agencji. Gdy się za nim zatrzasnęły, detektyw chyłkiem wrócił do Denise.

– Co się stało?

– Chciał się z panem widzieć. Powiedziałam, że pana nie ma, a wtedy się zdenerwował i zaczął walić we wszystko pięścią!

– Wezwij policję – polecił cicho Strike. – Zawiadom ich, że mamy tu poważnie chorego człowieka. To prawdopodobnie psychoza. Ale zaczekaj, aż wejdzie ze mną do biura.

Drzwi toalety otworzyły się z hukiem. Nieznajomy nie zapiął rozporka. Wyglądało na to, że nie nosi majtek. Denise znów jęknęła, gdy gorączkowo dotykał nosa i klatki piersiowej, nosa i klatki piersiowej, nieświadomy tego, że właśnie demonstruje gęstwinę ciemnych włosów łonowych.

– Tędy – powiedział uprzejmie Strike.

Mężczyzna przeszedł do jego biura. Po krótkiej chwili wytchnienia jego smród wydawał się dwa razy mocniejszy. Poproszony o zajęcie miejsca, przycupnął na krawędzi krzesła dla klientów.

– Jak się pan nazywa? – spytał Strike, siadając po drugiej stronie biurka.

– Billy – odparł mężczyzna. Jego dłoń trzykrotnie przemierzyła drogę między nosem a klatką piersiową. Gdy opadła, chwycił ją drugą ręką i mocno ścisnął.

– Dobrze, Billy, więc widziałeś, jak ktoś udusił dziecko? – zaczął Strike.

W sąsiednim pomieszczeniu trajkotała Denise:

– Z policją, szybko!

– Co ona powiedziała? – spytał Billy. Jego zapadnięte oczy wydawały się olbrzymie na tle twarzy, gdy nerwowo spojrzał w stronę sekretariatu, przytrzymując rękę, żeby przezwyciężyć tik.

– Nic ważnego – odrzekł bez zająknięcia Strike. – Prowadzę kilka innych spraw. Opowiedz mi o tym dziecku.

Sięgnął po notes i długopis, robiąc to powoli i ostrożnie, jakby Billy był dzikim ptakiem, który mógłby się spłoszyć.

– Udusił je... obok konia.

Za cienką ścianą działową Denise paplała głośno do słuchawki.

– Kiedy to się stało? – spytał Strike, cały czas pisząc.

– Wieki temu... To była mała dziewczynka, ale potem powiedzieli, że to był chłopiec. Byłem jeszcze dzieckiem. Jimmy też tam był, mówi, że niczego takiego nie widziałem, ale ja widziałem. Widziałem, jak to zrobił. On ją udusił. Widziałem.

– I to było obok konia, tak?

– Zaraz obok niego. Ale zakopali ją w innym miejscu. Jego. W leśnej dolince obok domu naszego taty. Widziałem ich, mogę pokazać panu miejsce. Ona nie pozwoli mi kopać, ale panu tak.

– I zrobił to Jimmy?

– Jimmy nigdy nikogo nie udusił! – rozzłościł się Billy. – Widział to, tak jak ja. Mówi, że nic takiego się nie wydarzyło, ale kłamie, był tam. Boi się, pan rozumie.

– Rozumiem – skłamał Strike, wciąż notując. – No tak, jeśli mam przeprowadzić śledztwo, będę potrzebował twojego adresu.

Spodziewał się oporu, ale Billy skwapliwie sięgnął po podsunięty notes i długopis. W Strike'a znów uderzył odór brudnego ciała. Billy zaczął pisać, lecz nagle chyba zmienił zdanie.

– Ale nie przyjdzie pan do Jimmy'ego? On by mnie za to zajebał. Nie może pan przyjść do Jimmy'ego.

– Nie, nie – zapewnił go Strike kojącym tonem. – Po prostu potrzebuję twojego adresu do dokumentacji.

Zza drzwi dobiegł skrzekliwy głos Denise:

– Proszę jak najszybciej kogoś przysłać, on jest bardzo zaburzony!

– Co ona mówi? – spytał Billy.

Ku rozczarowaniu Strike'a Billy nagle wyrwał kartkę z notesu, zgniótł ją, a następnie pięścią, w której ściskał papier, znowu zaczął dotykać nosa i klatki piersiowej.

– Nie zwracaj uwagi na Denise – powiedział Strike. – Zajmuje się innym klientem. Napijesz się czegoś, Billy?

– Na przykład czego?

– Herbaty? Albo kawy?

– Czemu? – Propozycja wzbudziła w Billym jeszcze większą podejrzliwość. – Czemu pan chce, żebym coś pił?

– Tylko jeśli masz ochotę. Jeśli nie, nie ma sprawy.

– Nie potrzebuję żadnych leków!

– Nie mam żadnych leków, które mógłbym ci podać – zapewnił Strike.

– Nie jestem psychiczny! On udusił dziecko, a potem pochowali je w leśnej dolince obok domu naszego taty. Owinęli je w koc. Różowy koc. To nie moja wina, ja byłem jeszcze mały. Nie chciałem na to patrzeć. Byłem jeszcze mały.

– Wiesz, ile lat temu to się stało?

– Wieki temu... lata... nie potrafię o tym zapomnieć – wymamrotał Billy. Jego oczy płonęły w chudej twarzy, a pięść ściskająca kartkę kursowała w górę i w dół, dotykając nosa, dotykając klatki piersiowej. – Zakopali ją w różowym kocu, w leśnej dolince obok domu mojego taty. Ale potem powiedzieli, że to był chłopiec.

– Gdzie jest dom twojego taty, Billy?

– Ona mnie tam już nie wpuści. Ale p a n mógłby kopać. P a n mógłby tam pójść. Udusili ją – ciągnął Billy, świdrując Strike'a spojrzeniem udręczonych oczu. – Ale Jimmy powiedział, że to był chłopiec. Uduszony obok...

Rozległo się pukanie do drzwi. Zanim Strike zdążył powiedzieć Denise, żeby nie wchodziła, kobieta wsunęła głowę do środka. Teraz, gdy już zjawił się Strike, była o wiele odważniejsza, wręcz zadzierała nosa.

– Już jadą – oznajmiła ze znaczącym spojrzeniem, które spłoszyłoby człowieka znacznie mniej nerwowego niż Billy. – Są już w drodze.

– Kto jedzie? – spytał ostro Billy, zrywając się z krzesła. – Kto jest w drodze?

Denise szybko cofnęła głowę i zamknęła drzwi. Tuż za nimi rozległ się głuchy odgłos i Strike domyślił się, że oparła się o drewniane skrzydło, starając się zatrzymać Billy'ego w środku.

– Miała na myśli przesyłkę, której się spodziewam – powiedział uspokajająco Strike, wstając. – Mów dalej o...

– Co pan zrobił?! – krzyknął Billy, wycofując się w stronę drzwi i raz po raz dotykając nosa i piersi. – Kto tu jedzie?!

– Nikt nie jedzie – odparł Strike, ale Billy już próbował otworzyć drzwi. Napotkawszy opór, uderzył w nie całym ciałem. Po drugiej stronie rozległ się pisk i Denise runęła na podłogę. Zanim Strike zdołał wyjść zza biurka, Billy wybiegł na korytarz. Było słychać, jak pędzi po metalowych schodach, biorąc trzy stopnie naraz, i Strike wściekły, wiedząc, że nie ma szans, by dogonić młodszego i – wszystko na to wskazywało – sprawniejszego mężczyznę, odwrócił się i wbiegł z powrotem do agencji. Szybko otworzył okno i wychylił się przez nie w samą porę, by zobaczyć, jak Billy skręca za rogiem i znika mu z oczu. – Niech to szlag!

Jakiś człowiek, wchodzący właśnie do sklepu z gitarami naprzeciwko, rozejrzał się z pewnym zdumieniem, szukając źródła hałasu.

Strike cofnął głowę i z wściekłością odwrócił się do Denise, która otrzepywała się z kurzu, stojąc w drzwiach do jego biura. To niewiarygodne, ale wydawała się bardzo zadowolona z siebie.

– Próbowałam zatrzymać go w środku – oświadczyła z dumą.

– Taa – mruknął Strike, wykazując dużą samokontrolę. – Widziałem.

– Policja już jedzie.

– Fantastycznie.

– Napije się pan herbaty?

– Nie – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– W takim razie chyba pójdę odświeżyć toaletę – powiedziała, po czym dorzuciła szeptem: – Zdaje się, że nie użył spłuczki.

3

Ale walkę toczyłem samotnie i w zupełnej tajemnicy.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Idąc nieznaną ulicą w Deptford, Robin na chwilę zapomniała o wszystkich zmartwieniach, a potem zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio czuła się tak beztrosko, i doszła do wniosku, że od tamtej pory minął ponad rok. Ożywiona i podniesiona na duchu przez popołudniowe słońce, kolorowe witryny sklepów oraz ogólny ruch i gwar, cieszyła się z tego, że nigdy więcej nie będzie musiała oglądać wnętrza kliniki Villiers Trust.

Jej terapeutka była niepocieszona, że Robin rezygnuje z leczenia.

– Zalecamy pełną terapię.

– Wiem – odrzekła Robin. – Przykro mi, ale myślę, że nie potrzebuję kolejnych sesji.

Terapeutka skwitowała jej słowa chłodnym uśmiechem.

– Terapia poznawczo-behawioralna jest wspaniała – mówiła dalej Robin. – Bardzo mi pomogła w radzeniu sobie z lękiem, nadal będę stosowała te metody...

Wzięła głęboki oddech, skupiła wzrok na butach Mary Jane na nogach kobiety, po czym zmusiła się, żeby spojrzeć jej w oczy.

– ...ale ta część mi nie pomaga.

Znowu zapadła cisza. Po pięciu sesjach Robin już do niej przywykła. W normalnej rozmowie robienie tak długich pauz i wpatrywanie się w drugiego człowieka w oczekiwaniu, że coś powie, uznano by za nieuprzejmość albo bierną agresję, lecz – jak zdążyła się zorientować – w terapii psychodynamicznej był to standard.

Lekarz Robin dał jej skierowanie na darmowe leczenie w ramach publicznej służby zdrowia, ale lista oczekujących była tak długa, że z milczącym wsparciem ze strony Matthew Robin postanowiła zapłacić za terapię z własnej kieszeni. Wiedziała, że jej mąż z trudem powstrzymuje się od stwierdzenia, że idealnym rozwiązaniem byłoby zrezygnowanie z pracy, która wywołała zespół stresu pourazowego i w której jego zdaniem Robin zdecydowanie za mało zarabia, biorąc pod uwagę zagrożenia, na jakie jest narażona.

– Widzi pani – Robin kontynuowała przygotowaną wcześniej wypowiedź – moje życie jest po brzegi wypełnione ludźmi, którym się wydaje, że wiedzą, co jest dla mnie najlepsze.

– No cóż, istotnie – powiedziała terapeutka w sposób, który poza murami kliniki uznano by według Robin za protekcjonalny. – Rozmawiałyśmy o...

– Co więcej...

Robin była z natury ugodowa i uprzejma. W tym obskurnym pokoiku z zielistką w nijakiej zielonej doniczce i z pudełkiem czterowarstwowych chusteczek leżącym na niskim sosnowym stole terapeutka wielokrotnie zachęcała ją jednak do przedstawiania nieupiększonej prawdy.

– Co więcej, tak właściwie – ciągnęła – mam wrażenie, że jest pani jedną z tych osób.

Znowu milczenie.

– No cóż – odparła terapeutka z powściągliwym śmiechem. – Jestem tu po to, żeby pomóc pani wyciągnąć wnioski na temat...

– Tak, ale robi to pani poprzez... poprzez nieustanne p r z y m u s z a n i e mnie – przerwała jej Robin. – W agresywny sposób. Kwestionuje pani wszystko, co mówię.

Zamknęła oczy i zalała ją ogromna fala zmęczenia. Bolały ją mięśnie. Przez cały tydzień składała meble do samodzielnego montażu, dźwigała pudła z książkami i wieszała obrazy.

– Wychodzę stąd wyczerpana – stwierdziła, otwierając oczy. – Wracam do męża, a on zachowuje się podobnie. Milczy naburmuszony i czepia się najdrobniejszych szczegółów. Potem dzwonię do matki i znowu to samo. Jedyną osobą, która nie domaga się ode mnie bez przerwy, żebym zrobiła coś ze swoim życiem, jest... – zamilkła gwałtownie, a po chwili dokończyła: – ...jest mój współpracownik.

– Pan Strike – uściśliła terapeutka słodkim głosem.

Zarzewiem konfliktu między Robin a terapeutką było to, że ta pierwsza nie chciała rozmawiać o swoich relacjach z Cormoranem, ograniczając się do potwierdzenia, że Strike nie ma pojęcia, jak bardzo wpłynęła na nią sprawa Rozpruwacza z Shacklewell. Zdecydowanie oświadczyła, że ich prywatne relacje nie wiążą się z jej aktualnymi problemami. Od tej pory terapeutka wspominała o Strike'u na każdej sesji, lecz Robin uparcie odmawiała zajmowania się tym tematem.

– Tak – powiedziała Robin. – Właśnie on.

– Ale, jak sama pani przyznała, nie wyjawiła mu pani, jak wielki odczuwa lęk.

– No więc – podjęła Robin, ignorując ostatnią uwagę terapeutki – tak naprawdę przyszłam dziś tylko po to, żeby panią poinformować,

że rezygnuję. Jak wspomniałam, terapia poznawczo-behawioralna bardzo mi pomogła i zamierzam nadal wykonywać ćwiczenia.

Terapeutka wydawała się oburzona, że klientka nie jest gotowa wytrzymać przynajmniej do końca godziny, lecz Robin zapłaciła za całą sesję i uznała, że może wyjść, kiedy jej się podoba, zyskując w ten sposób dodatkową godzinę w ciągu dnia. Czuła, że zamiast od razu spieszyć się do domu, żeby rozpakować kolejne pudła, ma prawo kupić sobie rożka Cornetto i delektując się lodami, pospacerować skąpanymi w słońcu ulicami swojej nowej dzielnicy.

Goniąc za własną radością jak za motylem, ponieważ bała się, że ta radość mogłaby jej uciec, skręciła w spokojniejszą ulicę i zmusiła się do skupienia na chłonięciu nieznanej wcześniej scenerii. Była przeszczęśliwa, mogąc opuścić pełne złych wspomnień poprzednie mieszkanie w West Ealing. W czasie procesu okazało się, że Rozpruwacz z Shacklewell zaczął śledzić i obserwować Robin znacznie wcześniej, niż kiedykolwiek przypuszczała. Policja powiedziała jej nawet, że prawdopodobnie kręcił się też w pobliżu Hastings Road, czając się za zaparkowanymi samochodami o kilka metrów od jej drzwi wejściowych.

Choć rozpaczliwie chciała się przeprowadzić, znalezienie nowego lokum zajęło jej i Matthew aż jedenaście miesięcy. Największy problem polegał na tym, że Matthew, który miał teraz nową, lepiej płatną pracę i dostał spadek po zmarłej matce, postanowił „wspiąć się o szczebel wyżej po drabinie nieruchomości". Rodzice Robin też wyrazili chęć wsparcia młodych małżonków, zdając sobie sprawę z okropnych skojarzeń, jakie wywołuje u córki obecne mieszkanie, ale Londyn był potwornie drogi. Matthew trzykrotnie decydował się złożyć ofertę na zakup nieruchomości, które tak naprawdę znajdowały się daleko poza ich zasięgiem finansowym. Trzy razy nie udało im się kupić tego, co – jak mogłaby mu powiedzieć Robin

– sprzedało się pewnie za kwotę o wiele tysięcy wyższą, niż byli w stanie zaproponować.

– To śmieszne! – powtarzał. – Przecież to mieszkanie nie jest aż tyle warte!

– Jest warte tyle, ile ktoś chce za nie zapłacić – mówiła Robin, sfrustrowana tym, że księgowy nie rozumie, jak działają prawa rynku. Sama była gotowa przeprowadzić się dokądkolwiek, nawet do kawalerki, byleby tylko uciec przed cieniem mordercy, który wciąż prześladował ją w snach.

Gdy już miała zawrócić w stronę głównej ulicy, jej wzrok przykuła brama w ceglanym murze, otoczona słupami zwieńczonymi najdziwniejszymi kwiatonami, jakie kiedykolwiek widziała.

Na wyrzeźbionych na słupach kościach tkwiły dwie olbrzymie, zniszczone kamienne czaszki, a za nimi wznosiła się wysoka kwadratowa wieża. Podchodząc, żeby przyjrzeć się pustym oczodołom, Robin pomyślała, że coś takiego pasowałoby do frontu jakiejś pirackiej rezydencji w filmie fantasy. Zajrzała do środka i zobaczyła kościół oraz porośnięte mchem groby w opustoszałym ogrodzie różanym w pełnym rozkwicie.

Dokończyła loda, spacerując wokół kościoła Świętego Mikołaja, dziwnego amalgamatu przywodzącego na myśl starą szkołę z czerwonej cegły wzniesioną obok kanciastej kamiennej wieży. W końcu usiadła na drewnianej ławce, która zrobiła się w słońcu prawie nieznośnie gorąca, rozprostowała obolałe plecy i chłonąc cudowny zapach rozgrzanych róż, nagle całkowicie wbrew swojej woli przeniosła się myślami z powrotem do apartamentu w hotelu w Yorkshire, prawie rok wstecz, gdzie bukiet krwistoczerwonych róż był świadkiem wydarzeń, które nastąpiły po tym, jak porzuciła Matthew na parkiecie podczas ich wesela.

Matthew, jego ojciec, ciotka Sue, rodzice Robin i jej brat Stephen zebrali się w apartamencie dla nowożeńców, gdzie Robin zaszyła się, żeby uciec przed gniewem męża. Gdy zdejmowała suknię ślubną, wszyscy po kolei wpadli do środka, domagając się wyjaśnień.

Nastąpiła kakofonia krzyków. Stephen, który pierwszy pojął, co zrobił Matthew, usuwając telefony Strike'a z historii połączeń, zaczął na niego wrzeszczeć. Pijany Geoffrey chciał się dowiedzieć, dlaczego Strike'owi pozwolono zostać na kolacji, skoro nie odpowiedział na zaproszenie. Matthew darł się na nich wszystkich, żeby się odwalili, bo to sprawa między nim a Robin, a ciotka Sue powtarzała w kółko: „Nigdy nie widziałam, żeby panna młoda wyszła w trakcie pierwszego tańca. Nigdy! N i g d y nie widziałam, żeby panna młoda wyszła w trakcie pierwszego tańca".

Potem Linda wreszcie zrozumiała, o co chodzi, i też zaczęła krzyczeć na Matthew. Geoffrey skoczył synowi na ratunek, dopytując się, dlaczego Linda chce, żeby jej córka wróciła do człowieka, przez którego chlaśnięto ją nożem. Zjawił się pijany w sztok Martin i z powodów, których nikt nie zdołał zadowalająco wyjaśnić, walnął Matthew w twarz, a Robin zamknęła się w łazience, gdzie, co niewiarygodne, bo przecież przez cały dzień prawie nic nie jadła, zwymiotowała.

Pięć minut później zmuszono ją, żeby wpuściła do łazienki męża, który krwawił z nosa, i właśnie tam, przy wtórze dobiegających z sypialni wrzasków członków ich rodzin, Matthew, przyciskając do nosa kawałek papieru toaletowego, poprosił ją, żeby poleciała z nim na Malediwy – nie w podróż poślubną, już nie, lecz by wyjaśnić sobie wszystko na osobności. „Z dala – jak to ujął niewyraźnym głosem, gestykulując w stronę źródła krzyków – od t e g o". „W dodatku będziemy mieli na głowie dziennikarzy" –

dodał oskarżycielsko. „Będą za tobą łazili z powodu tej historii z Rozpruwaczem".

Mierzył ją chłodnym spojrzeniem znad zakrwawionego papieru toaletowego, wściekły na nią za to, że upokorzyła go na parkiecie, wkurzony na Martina, który go uderzył. W jego zaproszeniu do wspólnej podróży samolotem nie było nic romantycznego. Proponował spotkanie na szczycie, okazję do przeprowadzenia spokojnej rozmowy. Gdyby po rozważnym namyśle doszli do wniosku, że ich małżeństwo to pomyłka, mieli wrócić do domu po dwóch tygodniach, wydać wspólne oświadczenie i każde z nich ruszyłoby w swoją stronę.

W tym momencie umęczona Robin, z obolałą ręką, do głębi wstrząśnięta uczuciami, które w niej wezbrały, gdy poczuła wokół siebie ramiona Strike'a, wiedząc, że być może dziennikarze już zaczęli ją tropić, ujrzała w Matthew może nie sojusznika, lecz przynajmniej ratunek. Myśl, że wsiądzie do samolotu, znajdzie się poza zasięgiem tsunami ciekawości, plotek, gniewu, troski i niechcianych rad, które, jak wiedziała, uderzyłoby w nią, gdyby została w Yorkshire, wydała jej się niezwykle atrakcyjna.

Wyjechali zatem, prawie się do siebie nie odzywając w trakcie lotu. Nigdy nie pytała, o czym Matthew myślał podczas tych długich godzin. Wiedziała tylko, że sama myślała o Strike'u. Patrząc, jak za oknem przesuwają się chmury, bez końca wspominała ich uścisk na schodach.

„Czy ja się w nim zakochałam?" – zadawała sobie pytanie, lecz nie dochodziła do żadnych konkretnych wniosków.

Zastanawiała się nad tym przez wiele dni. Nie mogła podzielić się tym wewnętrznym zamętem z Matthew, gdy chodzili po białych plażach, rozmawiając o napięciach i żalach w ich wzajemnych stosunkach. Nocą Matthew spał na kanapie w salonie, a Robin

w otoczonym moskitierą szerokim łóżku na górze. Czasem się kłócili, kiedy indziej pogrążali się w pełnym urazy i wściekłości milczeniu. Matthew miał na oku jej telefon, pytał, gdzie jest, nieustannie po niego sięgał i spoglądał na ekran, a ona wiedziała, że szuka wiadomości albo połączeń od jej szefa.

Co gorsza, żadnych wiadomości ani połączeń nie było. Najwyraźniej Strike nie czuł potrzeby, żeby z nią rozmawiać. Uścisk na schodach, do którego raz po raz wracała myślami jak pies do rozkosznie cuchnącej latarni, najwidoczniej znaczył dla niego o wiele mniej niż dla niej.

Codziennie wieczorem spacerowała samotnie po plaży, słuchając głębokich oddechów morza. Jej zraniona ręka pociła się w gumowanej ortezie, a komórka leżała w wynajętym domku, żeby Matthew nie miał pretekstu, by ją szpiegować i sprawdzać, czy przypadkiem nie kontaktuje się potajemnie ze Strikiem.

Siódmej nocy, gdy Matthew został w domku, postanowiła jednak zadzwonić do Cormorana. Ułożyła plan, prawie nie przyznając się do tego przed samą sobą. W barze był telefon stacjonarny, a numer agencji znała na pamięć. Wiedziała, że połączenie zostanie automatycznie przekierowane na komórkę Strike'a. Nie miała pojęcia, co powie, kiedy już się do niego dodzwoni, ale była pewna, że gdy usłyszy jego głos, pozna prawdę na temat swoich uczuć. W dalekim Londynie zaczął dzwonić telefon, a jej zaschło w ustach.

Ktoś odebrał połączenie, ale przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Robin usłyszała jakiś szelest, potem chichot i wreszcie czyjś głos:

– Halo? Tu Kiciuś-Cormuś...

Gdy kobieta parsknęła donośnym, rechotliwym śmiechem, w tle rozległ się głos Strike'a, trochę rozbawionego, trochę poirytowanego i z całą pewnością pijanego:

– Oddawaj to! Mówię serio, oddaj...

Robin z hukiem odłożyła słuchawkę na widełki. Na jej twarz i dekolt wystąpił pot: czuła się zawstydzona, głupia, upokorzona. Był z inną kobietą. Ten śmiech bez wątpienia miał intymne zabarwienie. Jakaś nieznana jej dziewczyna droczyła się ze Strikiem, odbierając jego telefon i nazywając go (jakie to odrażające) „Cormusiem".

Postanowiła, że jeśli Strike kiedykolwiek spyta ją o przerwane połączenie, zaprzeczy, że do niego dzwoniła. Będzie szła w zaparte, udawała, że nie wie, o co mu chodzi...

Kobiecy głos w słuchawce podziałał na nią jak mocne uderzenie w twarz. Skoro Strike mógł wziąć sobie kogoś do łóżka po upływie tak krótkiego czasu od ich uścisku na schodach – a założyłaby się o własne życie, że dziewczyna, kimkolwiek była, albo właśnie przespała się ze Strikiem, albo zamierzała to zrobić za chwilę – to nie siedział w Londynie, roztrząsając swoje prawdziwe uczucia do Robin Ellacott.

Sól na ustach sprawiła, że zachciało jej się pić, gdy brnęła po miękkim, białym piasku, żłobiąc w nim głęboki rów, a za jej plecami bez końca rozpryskiwały się fale. Kiedy w końcu się wypłakała, zadała sobie pytanie: Czy to możliwe, że pomyliła wdzięczność i przyjaźń z czymś głębszym? Że wzięła swoje zamiłowanie do tropienia przestępców za miłość do człowieka, który dał jej wymarzoną pracę? Oczywiście podziwiała Strike'a i czuła do niego ogromną sympatię. Przeżyli wspólnie wiele emocjonujących zdarzeń, więc to naturalne, że się do niego zbliżyła, ale czy to była miłość?

Spędzając samotnie ciepły, bzyczący komarami wieczór, gdy fale wzdychały na brzegu, a jej obolała ręka tkwiła w ortezie, Robin uświadomiła sobie mgliście, że jak na kobietę dobiegającą

dwudziestego ósmego roku życia ma bardzo niewielkie doświadczenie z mężczyznami. Zawsze znała tylko Matthew, był jej jedynym partnerem seksualnym, już od dziesięciu długich lat traktowała go jak swoją bezpieczną przystań. Gdyby rzeczywiście poczuła miętę do Strike'a – użyła staromodnego zwrotu, po który mogłaby sięgnąć jej matka – czy nie byłby to naturalny skutek uboczny braku urozmaicenia i doświadczeń, z których korzystała większość kobiet w jej wieku? Czy skoro przez tyle czasu była wierna Matthew, nie wydawało się oczywiste, że pewnego dnia się ocknie i przypomni sobie, że można żyć inaczej, dokonywać innych wyborów? Czy już dawno nie powinna była zauważyć, że Matthew nie jest jedynym mężczyzną na świecie? Tłumaczyła sobie, że Strike jest po prostu człowiekiem, z którym spędzała większość czasu, więc w naturalny sposób to właśnie na niego przelała swoje wątpliwości, swoją ciekawość i swoje niezadowolenie z Matthew.

Gdy już to sobie wytłumaczyła, udało jej się przemówić do rozsądku tej części siebie, która wciąż tęskniła za Strikiem, toteż wieczorem ósmego dnia podróży poślubnej powzięła mocne postanowienie. Chciała, żeby wrócili do domu wcześniej i poinformowali rodzinę o separacji. Musiała powiedzieć Matthew, że to nie ma nic wspólnego z innymi osobami i że po głębokich, poważnych przemyśleniach doszła do wniosku, że nie są w stanie kontynuować małżeństwa.

Wciąż pamiętała uczucie paniki pomieszanej ze strachem, gdy otwierała drzwi wynajętego domku, szykując się na kłótnię, do której nigdy nie doszło. Matthew siedział oklapnięty na kanapie, a na widok Robin wybełkotał:

– Mama?

Jego twarz, ręce i nogi lśniły od potu. Gdy do niego podeszła, po wewnętrznej stronie jego lewej ręki zobaczyła paskudną

siateczkę czarnych żył, jakby ktoś napełnił je atramentem.

– Matt?

Słysząc jej głos, uświadomił sobie, że to nie jego zmarła matka.

– Rob, nie... czuję się dobrze...

Pobiegła po telefon, zadzwoniła na recepcję, poprosiła o lekarza. Zanim się zjawił, Matthew zaczął majaczyć. Lekarz znalazł zadrapanie na grzbiecie jego dłoni i z niepokojem doszedł do wniosku, że to może być zapalenie tkanki łącznej, co – jak wywnioskowała Robin z zaniepokojonych min doktora i pielęgniarki – było poważną chorobą. Matthew cały czas widział postacie przesuwające się w ciemnych kątach domku – ludzi, których tak naprawdę tam nie było.

– Kto to? – ciągle pytał Robin. – Kto tam jest?

– Matt, tam nikogo nie ma.

Trzymała go za rękę, a pielęgniarka i lekarz rozważali hospitalizację.

– Nie zostawiaj mnie, Rob.

– Nie zostawię cię.

Miała na myśli to, że na razie nigdzie się nie wybiera, a nie to, że zostanie z nim na zawsze, lecz Matthew zaczął płakać.

– Och, dzięki Bogu. Myślałem, że odejdziesz... Kocham cię, Rob. Wiem, że spieprzyłem sprawę, ale kocham cię...

Lekarz podał Matthew doustne antybiotyki i poszedł gdzieś zadzwonić. Majaczący Matthew kurczowo uchwycił się żony i zaczął jej dziękować. Czasami popadał w stan, w którym znowu mu się wydawało, że widzi cienie poruszające się w pustych kątach pokoju, i jeszcze dwa razy mamrotał o zmarłej matce. Robin, sama w atłasowej czerni tropikalnej nocy, słuchając, jak skrzydlate owady zderzają się z moskitierami w oknach, na przemian pocieszała

i obserwowała mężczyznę, którego pokochała, kiedy miała siedemnaście lat.

Okazało się, że to jednak nie zapalenie tkanki łącznej. W ciągu dwudziestu czterech godzin infekcja zareagowała na antybiotyki. Dochodząc do siebie po tej nagłej, gwałtownej chorobie, Matthew nie spuszczał Robin z oka. Jeszcze nigdy nie był tak słaby i bezbronny. Bał się, że jej obietnica zostania z nim była tymczasowa.

– Nie możemy tego wszystkiego przekreślić, prawda? – spytał ją ochrypłym głosem, leżąc w łóżku na wyraźne zalecenie lekarza. – Tych wszystkich lat.

Pozwoliła mu wspominać dobre, wspólne chwile i przypominała jej się rozchichotana dziewczyna, która nazwała Strike'a „Cormusiem". Wyobraziła sobie, jak po powrocie do domu występuje o unieważnienie małżeństwa, uzasadniając to tym, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. Przypomniała sobie, ile wydali jej rodzice na ślub, który tak strasznie jej się nie podobał.

Wśród otaczających ją cmentarnych róż bzyczały pszczoły, a Robin po raz tysięczny zastanawiała się, gdzie by teraz była, gdyby Matthew nie zadrapał się koralowcem. Większość jej zakończonej właśnie terapii wypełniała potrzeba roztrząsania wątpliwości, które ją nękały, odkąd zgodziła się nie odchodzić od męża.

W późniejszych miesiącach, zwłaszcza gdy dogadywali się całkiem dobrze, miała wrażenie, że postąpiła słusznie, dając małżeństwu szansę, lecz nigdy nie myślała o tym inaczej niż jak o próbie, co samo w sobie czasami skłaniało ją w bezsenne noce do besztania się za tchórzliwą rezygnację z możliwości uwolnienia się od Matthew, gdy już wrócił do zdrowia.

Nigdy nie wyjaśniła Strike'owi, co się stało, dlaczego zgodziła się podjąć próbę ratowania swojego związku. Być może dlatego ich przyjaźń stała się tak chłodna i pełna dystansu. Po powrocie z podróży poślubnej odkryła, że Strike odnosi się do niej inaczej niż dotąd – i uświadomiła sobie, że być może sama też traktuje go w inny sposób z powodu tego, co usłyszała w słuchawce, gdy zdesperowana zadzwoniła do niego z baru na Malediwach.

– Więc jednak to ciągniesz? – spytał szorstko, spojrzawszy na obrączkę na jej palcu.

Ton jego głosu ją rozzłościł, podobnie jak to, że nigdy nie spytał, dlaczego wciąż próbuje, że od tamtej pory ani razu nie zainteresował się atmosferą w jej domu i nigdy nawet nie dał jej do zrozumienia, że pamięta, jak obejmowali się na schodach.

Czy to dlatego, że Strike tak chciał, czy z jakiegoś innego powodu – od czasu Rozpruwacza z Shacklewell nie pracowali razem nad żadną sprawą. Idąc za przykładem starszego wspólnika, Robin ograniczyła się do chłodnego profesjonalizmu.

Czasami jednak bała się, że Strike już nie ceni jej tak jak kiedyś, skoro pokazała, jak bardzo jest zwyczajna i tchórzliwa. Kilka miesięcy temu przeprowadzili krępującą rozmowę, podczas której zasugerował, żeby wzięła urlop, i spytał, czy w pełni doszła do siebie po ataku nożownika. Robin uznała to za afront dla swojej odwagi, toteż bojąc się, że znowu zostanie odsunięta na boczny tor i straci jedyną część życia, która dawała jej teraz spełnienie, uparcie twierdziła, że czuje się doskonale, i zdwoiła wysiłki na niwie zawodowej.

Zawibrował ściszony telefon w jej torebce. Wsunęła rękę do środka i spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił Strike. Zauważyła, że próbował się z nią połączyć już wcześniej, gdy z radością żegnała się z kliniką Villiers Trust.

– Cześć – powiedziała. – Nie zauważyłam, że wcześniej dzwoniłeś, przepraszam.

– Nie ma sprawy. Jak przeprowadzka?

– W porządku – odparła.

– Chciałem cię tylko powiadomić, że zatrudniłem nowego podwykonawcę. Nazywa się Sam Barclay.

– Wspaniale – stwierdziła Robin, obserwując muchę połyskującą na dorodnej bladoróżowej róży. – Skąd go wziąłeś?

– Z wojska – wyjaśnił Strike.

– Z żandarmerii?

– Eee... niezupełnie.

Gdy opowiadał jej historię Sama Barclaya, Robin poczuła, że się uśmiecha.

– Więc zatrudniłeś popalającego trawkę malarza pokojowego?

– Pali tylko e l e k t r o n i c z n e – sprostował Strike i domyśliła się, że on też się uśmiecha. – Przeszedł na zdrowy tryb życia. Urodziło mu się dziecko.

– No, brzmi to... ciekawie.

Czekała, ale Strike się nie odezwał.

– W takim razie do zobaczenia w sobotę wieczorem – powiedziała.

Czuła się w obowiązku zaprosić Strike'a na parapetówkę, bo dała zaproszenie ich najbardziej regularnemu i niezawodnemu współpracownikowi, Andy'emu Hutchinsowi, i uznała, że wyglądałoby dziwnie, gdyby pominęła Strike'a. Zdziwiła się, kiedy zgodził się przyjść.

– Taa, do zobaczenia.

– Przyjdziesz z Lorelei? – spytała Robin, siląc się na zwyczajny ton, ale nie była pewna, jak to wypadło.

W centrum Londynu Strike odniósł wrażenie, że usłyszał w tym pytaniu sardoniczną nutę, jakby Robin go prowokowała,

by przyznał, że jego dziewczyna ma absurdalne imię. Dawniej by ją za to objechał, spytałby, co ma przeciwko imieniu Lorelei, z przyjemnością by się z nią starł, ale teraz był to niebezpieczny teren.

– Tak, ona też się wybiera. Na zaproszeniu byliśmy obydwoje...

– Oczywiście – potwierdziła pospiesznie Robin. – No dobrze, to cześć...

– Zaczekaj chwilę – powiedział Strike.

Siedział w agencji sam, bo odesłał Denise wcześniej do domu. Tymczasowa pracownica nie chciała wyjść – płacono jej przecież od godziny – i dopiero gdy Strike ją zapewnił, że zapłaci jej za cały dzień, pozbierała swoje rzeczy, nie przestając przy tym trajkotać.

– Dziś po południu wydarzyło się coś dziwnego.

Robin słuchała w skupieniu barwnej relacji Strike'a z krótkiej wizyty Billy'ego. Pod koniec przestała się przejmować oschłością Cormorana. I rzeczywiście, brzmiał teraz całkiem jak Strike sprzed roku.

– Z całą pewnością jest chory psychicznie – ciągnął Strike, wpatrując się w bezchmurne niebo za oknem. – Możliwe, że to psychoza.

– No tak, ale...

– Właśnie. – Strike sięgnął po notes, z którego Billy wyrwał nienapisany do końca adres, i zamyślony obracał go w wolnej dłoni. – Czy jest chory psychicznie i d l a t e g o myśli, że widział, jak ktoś udusił dziecko? A może jest chory psychicznie i o p r ó c z t e g o widział, jak ktoś udusił dziecko?

Przez chwilę obydwoje milczeli, analizując w myślach historię Billy'ego i wiedząc, że drugie z nich robi to samo. Ta krótka przyjacielska chwila refleksji zakończyła się gwałtownie – jakiś cocker-spaniel, którego Robin nie zauważyła, gdy węsząc, wyłonił

się spomiędzy róż, bez ostrzeżenia przyłożył zimny nos do jej gołego kolana. Krzyknęła.

– Kurwa, co się stało?

– Nic... to pies...

– Gdzie jesteś?

– Na cmentarzu.

– Co? Dlaczego?

– Po prostu zapoznaję się z okolicą. Lepiej już pójdę – powiedziała, wstając. – W domu czeka na mnie kolejny mebel do złożenia.

– No tak – burknął Strike, odzyskując typową dla siebie gburowatość. – Do zobaczenia w sobotę.

– Bardzo panią przepraszam – odezwała się starszawa właścicielka cocker-spaniela, gdy Robin wsunęła komórkę z powrotem do torebki. – Boi się pani psów?

– Ani trochę. – Robin z uśmiechem poklepała zwierzę po miękkim, złocistym łbie. – Po prostu mnie zaskoczył.

Przechodząc obok wielkich czaszek i kierując się z powrotem do domu, pomyślała o Billym, którego Strike opisał z taką wyrazistością, że odniosła wrażenie, jakby też go spotkała.

Tak bardzo pogrążyła się w myślach, że po raz pierwszy od początku tygodnia zapomniała spojrzeć po drodze na pub White Swan. Wysoko nad ulicą, na narożniku budynku wyrzeźbiono łabędzia, który za każdym razem, kiedy Robin tamtędy przechodziła, przypominał jej o koszmarnym dniu jej ślubu.

4

Ale co ma pan zamiar robić w mieście?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Dziesięć kilometrów dalej Strike położył komórkę na biurku i zapalił papierosa. Zainteresowanie Robin tą historią poprawiło mu humor po przesłuchaniu, któremu go poddano pół godziny po ucieczce Billy'ego. Dwaj policjanci przybyli na wezwanie Denise najwyraźniej rozkoszowali się szansą zmuszenia sławnego Cormorana Strike'a do przyznania się do porażki i bez pośpiechu ustalali, że nie udało mu się poznać ani nazwiska, ani adresu Billy'ego, który najprawdopodobniej był chory psychicznie.

Świecące późnym popołudniem słońce padło ukośnie na leżący na biurku notes, ukazując leciutkie zagłębienia na pierwszej stronie. Strike wrzucił papierosa do popielniczki, którą dawno temu ukradł z baru w Niemczech, sięgnął po notes i zaczął przechylać go w różne strony, próbując odczytać litery utworzone przez te ślady, a następnie wziął ołówek i delikatnie je zacieniował. Ukazały się niestaranne drukowane litery, wyraźnie układające się w słowa „Charlemont Road". Zapisując numer domu, Billy przyciskał długopis do papieru słabiej, niż gdy pisał nazwę ulicy. Jedno z płytkich zagłębień przypominało piątkę albo niedokończoną ósemkę, ale rozmieszczenie wskazywało na obecność jeszcze jednej cyfry lub litery.

Nieuleczalna skłonność Strike'a do zgłębiania tajemnic zaskakujących incydentów zwykle przysparzała mu tyle samo kłopotów co innym ludziom. Choć był głodny i zmęczony – oraz mimo że odesłał tymczasową pracownicę do domu, żeby wcześniej zamknąć agencję – wyrwał z notesu kartkę, na której odkrył nazwę ulicy, i ruszył do sekretariatu, gdzie z powrotem włączył komputer.

W Wielkiej Brytanii było kilka ulic o nazwie Charlemont Road, ale zakładając, że Billy raczej nie posiadał środków na dalekie podróże, Strike przypuszczał, że chodzi o tę w East Ham. Z informacji

dostępnych w internecie wynikało, że mieszka tam dwóch Williamów, ale obaj byli po sześćdziesiątce. Przypomniawszy sobie, jak Billy się wystraszył, że Strike mógłby się zjawić „u Jimmy'ego", detektyw poszukał jeszcze Jimmych, a potem Jamesów – i w końcu znalazł niejakiego Jamesa Farradaya, lat czterdzieści dziewięć.

Zapisał jego adres pod zagłębieniami utworzonymi przez bazgroły Billy'ego, mimo że wcale nie był przekonany, że Farraday jest człowiekiem, którego szuka. Po pierwsze, w numerze jego domu nie było żadnych piątek ani ósemek, a po drugie, skrajne zaniedbanie Billy'ego sugerowało, że ten, kto z nim mieszka, ma dość swobodne podejście do jego higieny osobistej. Farraday zaś mieszkał z żoną i, jak się zdawało, z dwiema córkami.

Strike wyłączył komputer, lecz nadal wpatrywał się zamyślony w ciemny ekran, analizując historię Billy'ego. Szczegół w postaci różowego koca nie dawał mu spokoju. Jak na urojenie psychotyka wydawał się nietypowo konkretny i mało efekciarski.

Przypominając sobie, że musi wcześnie wstać, żeby wykonać pracę, za którą mu płacono, Strike podźwignął się z miejsca. Przed wyjściem z agencji wsunął do portfela karteczkę z odciskiem tego, co napisał Billy, i z adresem Farradaya.

Londyn, który niedawno znajdował się w epicentrum obchodów diamentowego jubileuszu królowej, szykował się do olimpiady. Brytyjskie flagi i logo Londynu 2012 były wszędzie – na szyldach, transparentach, chorągiewkach, breloczkach, kubkach i parasolkach – a bezładna mieszanina towarów związanych z olimpiadą zalegała dosłownie na wszystkich witrynach sklepowych. To logo kojarzyło się Strike'owi z odłamkami porozrzucanych odblaskowych szkiełek. W równie małym stopniu zachwycały go oficjalne maskotki, które przypominały mu parę cyklopicznych zębów trzonowych.

W stolicy wyczuwało się odrobinę podekscytowania i nerwowości zrodzonej bez wątpienia z wiecznego strachu Brytyjczyków przed tym, że naród mógłby się ośmieszyć. Dominującym tematem rozmów były narzekania na brak dostępności biletów na igrzyska, a ci, którym się nie poszczęściło, krytykowali loterię, która powinna była zapewnić wszystkim uczciwe i równe szanse obejrzenia zawodów na żywo. Strike, który liczył na to, że zobaczy jakąś walkę bokserską, nie zdołał dostać biletów, lecz głośno się roześmiał, gdy jego stary przyjaciel ze szkoły Nick zaproponował, że odstąpi mu swoje miejsce na zawodach w ujeżdżeniu, na które jego żona Ilsa z wielką radością zdobyła bilety.

Olimpijska gorączka ominęła Harley Street, na której Strike miał spędzić piątek, obserwując chirurga plastycznego. Wspaniałe wiktoriańskie fasady jak zwykle prezentowały światu swe niewzruszone oblicza, nieskażone krzykliwymi hasłami i flagami.

Strike, który włożył do pracy swój najlepszy włoski garnitur, zajął pozycję niedaleko wejścia do budynku naprzeciwko i udawał, że rozmawia przez komórkę, a tak naprawdę obserwował drogie gabinety dwóch wspólników, z których jeden był jego klientem.

„Nieuchwytny Doktorek", bo takie przezwisko nadał Strike swojemu obiektowi, dokładał starań, by zasłużyć na ten przydomek. Wszystko wskazywało na to, że niedawno zawiesił nieetyczną działalność, spłoszony przez wspólnika, który zrobił mu awanturę, gdy odkrył, że Nieuchwytny przeprowadził niedawno dwie operacje powiększenia biustu, nieodnotowane w dokumentach księgowych. Podejrzewając najgorsze, starszy wspólnik zwrócił się do Strike'a o pomoc.

– Jego wyjaśnienia były nieprzekonujące, pełne luk. Mój wspólnik jest – mówił opanowany, ale pełen złych przeczuć

siwowłosy chirurg – i zawsze był... hm... kobieciarzem. Zanim zrobiłem mu awanturę, przejrzałem strony odwiedzane przez niego w internecie i znalazłem taką, na której młode kobiety zbierają pieniądze na operacje plastyczne, oferując w zamian swoje niedwuznaczne zdjęcia. Obawiam się... właściwie sam nie wiem czego... ale być może zawarł z tymi paniami jakąś umowę o charakterze... niemonetarnym. Dwie z młodszych kobiet poproszono o skontaktowanie się z numerem telefonu, którego nie znam, ale zasugerowano im, że operacja może zostać przeprowadzona nieodpłatnie w zamian za „układ na wyłączność".

Jak dotąd Strike nie zaobserwował, by Nieuchwytny spotykał się z jakimiś kobietami poza godzinami pracy. Poniedziałki i piątki spędzał w gabinecie przy Harley Street, a środek tygodnia w prywatnej klinice, w której przeprowadzał operacje. Ilekroć Strike obserwował go poza miejscem pracy, chirurg wybierał się jedynie na krótkie spacery do sklepu po czekoladę, od której wydawał się uzależniony. Co wieczór jechał swoim bentleyem do Gerrards Cross, do żony i dzieci, a za nim podążał Strike w starym niebieskim bmw.

Tego wieczoru obaj chirurdzy wraz z żonami mieli wziąć udział w kolacji wydawanej przez Royal College of Surgeons, więc Strike zostawił auto w drogim garażu. Godziny wlokły się niemiłosiernie, uwaga Strike'a skupiała się przeważnie na regularnym przenoszeniu ciężaru ciała, żeby ulżyć protezie, gdy stał oparty o różne poręcze, parkometry i futryny. Napływająca nieprzerwaną strużką klientela wciskała dzwonek przy drzwiach Nieuchwytnego i kolejno wchodziła do środka. Były to same kobiety, większość z nich elegancka i zadbana. O piątej komórka Strike'a zawibrowała w kieszonce na jego piersi i detektyw zobaczył esemesa od klienta.

Na dziś może Pan już kończyć, za chwilę jadę z nim do Dorchester.

Strike przekornie pozostał na miejscu i jakieś piętnaście minut później patrzył, jak wspólnicy wychodzą z budynku: jego klient, wysoki i siwy, oraz Nieuchwytny, elegancki mężczyzna o oliwkowej skórze i czarnych lśniących włosach, który nosił trzyczęściowe garnitury. Strike obserwował, jak obaj wsiadają do taksówki i odjeżdżają, a potem ziewnął, przeciągnął się i pomyślał o powrocie do domu, być może z zakupionym po drodze daniem na wynos.

Niemal wbrew swojej woli wyjął portfel i wydobył z niego pogniecioną kartkę, na której udało mu się odkryć nazwę ulicy zapisaną przez Billy'ego.

Przez cały dzień przechodziło mu przez myśl, że jeśli Nieuchwytny Doktorek wyjdzie z pracy wcześniej, mógłby pojechać i poszukać Billy'ego na Charlemont Road, lecz teraz był zmęczony i bolała go noga. Gdyby Lorelei wiedziała, że Strike ma wolny wieczór, oczekiwałaby, że do niej zadzwoni. Ale nazajutrz wybierali się razem na parapetówkę do Robin, więc gdyby spędził ten wieczór u Lorelei, trudno byłoby mu się od niej wymknąć po imprezie. Nigdy nie spędzał w jej mieszkaniu dwóch nocy z rzędu, nawet gdy nadarzała się okazja. Lubił stawiać granice jej prawom do jego czasu.

Jakby miał nadzieję, że pogoda pokrzyżuje mu szyki, spojrzał na bezchmurne czerwcowe niebo i westchnął. Wieczór był pogodny, idealny, a agencja miała tyle zleceń, że nie wiedział, kiedy znowu trafi mu się kilka wolnych godzin. Jeśli chciał złożyć wizytę na Charlemont Road, musiał to zrobić teraz.

5

Rozumiem, że boisz się zebrań i [...] *związanych z tym kłopotów.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Jako że jego podróż zbiegła się z godzinami szczytu, dotarcie z Harley Street do East Ham zajęło Strike'owi ponad godzinę. Zanim znalazł Charlemont Road, rozbolał go kikut i na widok długiej ulicy, wzdłuż której stały budynki mieszkalne, detektyw pożałował, że nie należy do ludzi, którzy zwyczajnie zignorowaliby Billy'ego, uznając go za wariata.

Każdy dom szeregowy wyglądał inaczej: niektóre miały elewacje z gołej cegły, inne pomalowano albo obłożono kamieniem. W oknach wisiały brytyjskie flagi: kolejny dowód na olimpijską gorączkę lub pozostałość po królewskim jubileuszu. Na małych podwórkach przed domami urządzono tycie ogródki albo składowiska śmieci, w zależności od preferencji. W połowie ulicy leżał stary, brudny materac, porzucony do dyspozycji każdego, kto miałby ochotę go wziąć.

Pierwszy rzut oka na siedzibę Jamesa Farradaya nie wzbudził u Strike'a nadziei, że to kres podróży, ponieważ budynek należał do najlepiej utrzymanych domów przy tej ulicy. Drzwi otoczono maleńką werandą z kolorowymi szybami, we wszystkich oknach wisiały marszczone firanki, a mosiężna skrzynka na listy lśniła w słońcu. Strike wcisnął plastikowy dzwonek i czekał.

Po krótkiej chwili drzwi otworzyła zniecierpliwiona kobieta, wypuszczając pręgowanego kota, który najwidoczniej czekał zwinięty za drzwiami na szansę ucieczki. Jej rozzłoszczona mina nie

bardzo pasowała do fartuszka ozdobionego rysunkiem z napisem „Love Is...". Z domu dolatywał silny zapach pieczonego mięsa.

– Dzień dobry – powiedział Strike, śliniąc się z powodu tej woni. – Nie jestem pewny, czy może mi pani pomóc. Szukam Billy'ego.

– Trafił pan pod zły adres. Tu nie ma żadnego Billy'ego.

Zaczęła zamykać drzwi.

– Powiedział, że mieszka u Jimmy'ego – dodał Strike, widząc, jak szczelina robi się coraz węższa.

– Jimmy'ego też tu nie ma.

– Przepraszam, myślałem, że ktoś o imieniu James...

– Nikt nie mówi na niego Jimmy. To nie ten dom, którego pan szuka.

Zamknęła drzwi.

Strike i pręgowany kot zmierzyli się wzrokiem – w przypadku kota było to wyniosłe spojrzenie – po czym zwierzę usiadło na wycieraczce i zaczęło się wylizywać, dając do zrozumienia, że przestało zawracać sobie głowę Strikiem.

Detektyw wrócił na chodnik, gdzie zapalił papierosa i się rozejrzał. Według jego szacunków przy Charlemont Road stało dwieście domów. Ile czasu zajęłoby mu zapukanie do wszystkich drzwi? Więcej niż miał do dyspozycji tego wieczoru i niż mógłby mieć w najbliższych dniach – tak brzmiała nieprzyjemna odpowiedź. Ruszył przed siebie, sfrustrowany i coraz bardziej obolały, zerkając w okna i przyglądając się przechodniom w poszukiwaniu podobieństwa do mężczyzny, którego poznał poprzedniego dnia. Dwa razy spytał ludzi wchodzących albo wychodzących z domów, czy nie znają „Jimmy'ego i Billy'ego", których adres zgubił. Obie osoby odpowiedziały, że nie.

Mozolnie szedł dalej, starając się nie utykać.

Wreszcie dotarł do budynków, które zostały wykupione i przekształcone w mieszkania. Drzwi wejściowe umieszczono obok siebie parami, a podwórka przed domami zabetonowano.

Strike zwolnił kroku. Do jednych z najbardziej zaniedbanych drzwi, z których schodziła biała farba, przypięto wydartą z zeszytu kartkę formatu A4. Leciutkie, lecz znajome ukłucie zainteresowania, którego Strike nigdy nie zechciał nazwać „przeczuciem", popchnęło go w tamtą stronę.

Nabazgrana na kartce wiadomość brzmiała tak:

> *Zebranie o 19.30 przeniesione z pubu do domu kultury Well przy Vicarage Lane – na końcu ulicy skręcić w lewo.*
>
> *Jimmy Knight*

Strike odchylił kartkę palcem, zobaczył numer domu zakończony piątką, opuścił kartkę z powrotem i przesunął się, żeby zerknąć przez zakurzone okno na dole.

Nad oknem przypięto dla ochrony przed słońcem stare prześcieradło, ale jeden róg opadł. Strike, wystarczająco wysoki, by zajrzeć przez nieosłonięty kawałek szyby, zobaczył fragment pustego pokoju z rozłożoną kanapą, przykrytą poplamioną narzutą, oraz stertę ubrań w kącie i przenośny telewizor ustawiony na kartonowym pudle. Dywan był usłany pustymi puszkami po piwie i przepełnionymi popielniczkami. Wyglądało to obiecująco. Wrócił do obłażących z farby drzwi wejściowych, uniósł wielgachną pięść i zapukał.

Nikt się nie pojawił, a ze środka nie dobiegły żadne dźwięki.

Strike jeszcze raz spojrzał na kartkę na drzwiach, a potem ruszył przed siebie. Skręcił w lewo w Vicarage Lane i ujrzał przed sobą dom kultury, śmiało opatrzony napisem „The Well" z lśniącego pleksiglasu.

Jakiś starszy mężczyzna w czapce Mao i z potarganą siwiejącą brodą stał z plikiem ulotek w dłoni tuż obok szklanych drzwi. Gdy Strike się zbliżył, mężczyzna, mający na sobie koszulkę ze spranym wizerunkiem Che Guevary, pytająco zmierzył go wzrokiem. Strike był wprawdzie bez krawata, lecz włoski garnitur budził skojarzenia zupełnie niestosowne do okazji. Gdy stało się jasne, że detektyw zamierza wejść do domu kultury, człowiek z ulotkami przesunął się w bok, zagradzając drzwi.

– Wiem, że się spóźniłem – odezwał się Strike, dobrze udając poirytowanie – ale dopiero przed chwilą się dowiedziałem, że przeniesiono to cholerne zebranie w inne miejsce.

Jego pewność siebie w połączeniu z gabarytami najwyraźniej zbiły z tropu mężczyznę w czapce Mao, który mimo to uznał, że natychmiastowa kapitulacja w obliczu człowieka w garniturze byłaby poniżej jego poziomu.

– Kogo pan reprezentuje?

Strike zdążył już przeprowadzić pospieszny przegląd wypisanych drukowanymi literami haseł widocznych na ulotkach, które mężczyzna przyciskał do piersi. „BOJKOT – BEKA – BUNT" i dość dziwacznie wyglądające w tym zestawie „POSESJE". Był tam także mało finezyjny rysunek przedstawiający pięciu otyłych biznesmenów z cygarami, wydmuchujących dym, który układał się w kółka olimpijskie.

– Mojego tatę – odparł Strike. – Boi się, że zabetonują jego posesję.

– Aha – powiedział brodacz. Odsunął się, Strike wyjął mu z ręki ulotkę i wszedł do domu kultury.

W zasięgu wzroku nie było nikogo oprócz siwowłosej kobiety pochodzącej najprawdopodobniej z Indii Zachodnich, która zaglądała przez uchylone drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

Strike słyszał dochodzący stamtąd damski głos. Trudno było zrozumieć słowa, ale intonacja wskazywała, że ktoś wygłasza tam tyradę. Wyczuwając, że jakiś człowiek stanął za jej plecami, kobieta się odwróciła. Widok garnituru Strike'a najwyraźniej podziałał na nią odwrotnie niż na brodatego mężczyznę przed drzwiami.

– Reprezentuje pan organizatorów olimpiady? – szepnęła.

– Nie – odrzekł Strike. – Po prostu ciekawi mnie, co tam mówią.

Otworzyła drzwi szerzej, żeby wpuścić go do środka.

Na plastikowych krzesłach siedziało około czterdziestu osób. Strike zajął najbliższe wolne miejsce i przesunął wzrokiem po głowach siedzących przed nim ludzi, szukając potarganych, sięgających ramion włosów Billy'ego.

Z przodu ustawiono stół dla przemawiających. Jakaś młoda kobieta właśnie chodziła przed nim tam i z powrotem, zwracając się do publiczności. Włosy miała ufarbowane na ten sam odcień rudości co Coco, z którą Strike przeżył przygodę na jedną noc i której potem trudno było mu się pozbyć. Mówiła urywanymi zdaniami, raz po raz gubiąc się w dygresjach i wpadając w cockney. Strike przypuszczał, że jej przemówienie trwa już od dłuższego czasu.

– ...pomyślcie o mieszkańcach skłotów i artystach, których się teraz... Przecież to normalna społeczność, prawda, a oni przyłażą z tymi swoimi podkładkami z klipsem, jakby mówili: „Wynoście się, jeśli wiecie, co dla was dobre", przecież to niewinne początki opresyjnego systemu, no nie? Koń trojański... to skoordynowana kampania na rzecz, że tak powiem...

Połowa publiczności wyglądała na studentów. Wśród starszych osób Strike zauważył mężczyzn i kobiety, których uznał za zdeklarowanych uczestników wszelkich protestów – część z nich miała na sobie koszulki z lewicowymi hasłami, tak jak jego

„przyjaciel” przy wejściu. Tu i tam dostrzegł niepasujące do tego obrazka postacie, które, jak się domyślił, były zwykłymi członkami tej społeczności i nie odnosiły się przychylnie do organizowania olimpiady we wschodnim Londynie: artystowskie typy, być może mieszkające w skłotach, i starszą parę, która właśnie coś do siebie szeptała i zdaniem Strike’a mogła rzeczywiście obawiać się o losy swojej posesji. Patrząc, jak starsi państwo przyjmują postawę potulnej wytrwałości, charakterystyczną dla osób zgromadzonych w kościele, Strike domyślił się, że uznali, iż nie uda im się stąd wyjść, nie zwracając na siebie uwagi. Mocno wykolczykowany chłopak pokryty anarchistycznymi tatuażami głośno wysysał coś spomiędzy zębów.

Za przemawiającą dziewczyną siedzieli pozostali: starsza kobieta i dwaj mężczyźni, rozmawiający ze sobą przyciszonymi głosami. Jeden z nich miał co najmniej sześćdziesiąt lat, pękatą klatkę piersiową i zapadnięte policzki oraz wojowniczą minę człowieka, który odsłużył swoje na pikietach i w zwycięskich rozgrywkach z krnąbrnymi przedstawicielami szczebla kierowniczego. Coś w ciemnych, głęboko osadzonych oczach drugiego mężczyzny skłoniło Strike’a do spojrzenia na trzymaną w ręku ulotkę – chciał potwierdzić pewne przypuszczenie, które od razu zaświtało mu w głowie.

SPOŁECZNA GRUPA OLIMPIJSKIEGO OPORU (SGOO)
15 czerwca 2012
19.30 pub White Horse w East Ham E6 6EJ
Głos zabiorą:

Lilian Sweeting	Ochrona Przyrody, wschodni Londyn
Walter Frett	Sojusz Robotników/aktywista SGOO
Flick Purdue	kampania przeciwko ubóstwu/aktywistka SGOO
Jimmy Knight	Partia Prawdziwych Socjalistów/przywódca SGOO

Mimo nieogolonej twarzy i ogólnej niechlujności człowiek z zapadniętymi oczami z całą pewnością nie był tak brudny jak Billy i bez wątpienia zdarzyło mu się ostrzyc w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat i choć jego twarz była bardziej kanciasta, a ciało muskularne, miał takie same ciemne włosy i bladą skórę jak niedawny gość Strike'a. Na podstawie dostępnych dowodów Strike byłby skłonny założyć się o pokaźną sumę, że Jimmy Knight jest starszym bratem Billy'ego.

Jimmy skończył szeptaną rozmowę z kolegą z Sojuszu Robotników, po czym rozparł się na krześle, splatając umięśnione ramiona na piersi, z nieobecną miną wskazującą na to, że słucha młodej kobiety z nie większym zainteresowaniem niż coraz bardziej zniecierpliwiona publiczność.

Strike poczuł, że jest obserwowany przez niepozornego mężczyznę siedzącego w rzędzie przed nim. Gdy detektyw spojrzał w błękitne oczy tego człowieka, facet pospiesznie skupił uwagę na Flick, która cały czas przemawiała. Patrząc na czyste dżinsy błękitnookiego, jego koszulkę bez nadruków i krótkie, starannie uczesane włosy, Strike pomyślał, że tamten spisałby się lepiej, gdyby podarował sobie poranne golenie, ale być może londyńska policja uznała, że nie warto wysyłać najlepszych ludzi na zebranie tak marnej organizacji jak SGOO. Oczywiście należało się spodziewać, że pojawi się jakiś tajniak. Każde ugrupowanie zamierzające zakłócić organizację olimpiady albo się jej sprzeciwić najprawdopodobniej było teraz pod obserwacją.

Niedaleko tajniaka siedział młody, schludnie wyglądający Azjata bez marynarki. Był wysoki i szczupły, nie odrywał oczu od przemawiającej kobiety i obgryzał paznokcie lewej dłoni. Gdy

Strike mu się przyglądał, Azjata lekko się wzdrygnął i wysunął palec z ust. Obgryzł paznokieć do krwi.

– No dobrze – powiedział głośno jakiś człowiek. Publiczność lekko się ożywiła, rozpoznając głos kogoś obdarzonego autorytetem. – Bardzo dziękujemy, Flick.

Jimmy Knight wstał, inicjując mało entuzjastyczne brawa dla Flick, która okrążyła stół i usiadła na pustym krześle między dwoma mężczyznami.

Ubrany w znoszone dżinsy i niewyprasowaną koszulkę, Jimmy Knight przypominał Strike'owi facetów, których jego zmarła matka brała sobie za kochanków. Z tak muskularnymi ramionami i z tatuażami mógłby być basistą w jakiejś flejtuchowatej kapeli albo przystojnym pracownikiem technicznym obsługującym trasy koncertowe. Strike zauważył, że plecy niepozornego tajniaka stężały. Czekał właśnie na Jimmy'ego.

– Dobry wieczór wszystkim i wielkie dzięki za przybycie.

Jego osobowość wypełniła pomieszczenie jak pierwszy dźwięk muzycznego przeboju. Na podstawie tych kilku słów Strike zaliczył go do tego rodzaju mężczyzn, którzy w wojsku są albo niebywale przydatni, albo okazują się niesubordynowanymi draniami. Akcent Jimmy'ego, podobnie jak akcent Flick, niewiele mówił o pochodzeniu. Strike pomyślał, że to cockney zaszczepiony, w przypadku Jimmy'ego z większym powodzeniem, na ledwie dosłyszalnym wiejskim zaciąganiu.

– A więc olimpijska młockarnia dotarła do wschodniego Londynu!

Jego płonące oczy omiotły zgromadzonych, którzy znowu wykazywali zainteresowanie zebraniem.

– Równa z ziemią domy, powoduje śmiertelne wypadki wśród rowerzystów, pochłania ziemię, która należy do nas wszystkich –

albo należała. Usłyszeliście od Lilian, co oni robią z siedliskami zwierząt i owadów. Ja jestem tu po to, żeby mówić o wdzieraniu się do ludzkich społeczności. Zalewają betonem naszą wspólną ziemię – i po co? Czy stawiają budynki komunalne albo szpitale, których potrzebujemy? Oczywiście, że nie! Nie, panie i panowie, dostajemy stadiony za miliardy funtów, gabloty wystawowe systemu kapitalistycznego. Prosi się nas, żebyśmy celebrowali elityzm, podczas gdy za barierkami ingeruje się w swobody zwykłych ludzi, narusza się je i odbiera. W tych wszystkich lśniących artykułach w prasie, pożeranych i wypluwanych przez prawicowe media, wmawiają nam, że powinniśmy celebrować olimpiadę. Fetyszyzują flagę, wywołują w klasach średnich gorączkę szowinizmu! Czcijcie naszych wspaniałych medalistów – lśniące złoto dla każdego, kto da wystarczająco dużą łapówkę razem z próbką cudzego moczu!

Rozległ się pełen aprobaty pomruk. Kilka osób nagrodziło Jimmy'ego brawami.

– Mamy się podniecać uczniami i uczennicami z prywatnych szkół, którzy mogli uprawiać sport, podczas gdy reszta z nas musiała sprzedać swoje boiska za gotówkę! Czołobitność powinna być naszym sportem narodowym! Gloryfikujemy ludzi, w których zainwestowano miliony, dlatego że umieją jeździć rowerem, podczas gdy oni sprzedali się jako listki figowe wszystkim gwałcącym naszą planetę, uchylającym się od płacenia podatków draniom, którzy ustawiają się w kolejce, żeby umieścić swoje nazwiska na barierkach – na barierkach odgradzających lud pracujący od jego własnej ziemi!

Brawa, do których Strike, starsza para obok niego i Azjata postanowili się nie przyłączać, nagradzały zarówno charyzmę, jak i treść wystąpienia. Lekko łobuzowata, lecz przystojna twarz Jimmy'ego płonęła słusznym gniewem.

– Widzicie to? – spytał, biorąc ze stołu za swoimi plecami kartkę z postrzępionym logo „2012”, które tak bardzo nie podobało się Strike’owi. – Witajcie na olimpiadzie, przyjaciele, w mokrym śnie faszysty! Widzicie to logo? Widzicie je? Przecież to połamana swastyka!

Zebrani roześmiali się i znów nagrodzili go oklaskami, zagłuszając głośne burczenie w brzuchu Strike’a. Detektyw zastanawiał się, czy w pobliżu jest jakiś bar z jedzeniem na wynos. Zaczął nawet kalkulować, czy zdążyłby wyjść, kupić coś na ząb i wrócić, ale siwa kobieta z Indii Zachodnich, którą spotkał wcześniej, otworzyła drzwi prowadzące na korytarz i podparła je, żeby się nie zamknęły. Jej mina wyraźnie wskazywała, że SGOO nadużyła gościnności.

Jimmy rozkręcił się jednak na dobre.

– To tak zwane celebrowanie olimpijskiego ducha, fair play i amatorstwa to w rzeczywistości sankcjonowanie represji i autorytaryzmu! Obudźcie się: Londyn zmienia się w koszary! Państwo brytyjskie, od wieków doskonalące taktykę kolonizacji i inwazji, sięgnęło po olimpiadę jako doskonały pretekst, żeby wykorzystać policję, wojsko, helikoptery i broń przeciwko zwykłym obywatelom! Tysiąc dodatkowych kamer monitoringu, pospiesznie uchwalane nowe przepisy – myślicie, że zostaną unieważnione, gdy ten karnawał kapitalizmu dobiegnie końca? Dołączcie do nas! – krzyknął, gdy pracownica domu kultury powoli przesuwała się pod ścianą w głąb pomieszczenia, zdenerwowana, lecz pełna determinacji. – SGOO to część szerszego globalnego ruchu na rzecz sprawiedliwości, który odpowiada na represje oporem! Łączy nas wspólnota interesów ze wszystkimi lewicowymi i antyuciskowymi ruchami w całej stolicy! Będziemy organizowali legalne demonstracje i wykorzystamy wszelkie narzędzia pokojowego

protestu, po jakie mamy jeszcze prawo sięgnąć w Londynie, który gwałtownie zmienia się w okupowane miasto!

Znowu rozległy się oklaski. Starsza para siedząca obok Strike'a wydawała się kompletnie zrezygnowana.

– Dobrze, dobrze, wiem – rzucił Jimmy do pracownicy domu kultury, która dotarła już na czoło widowni i nieśmiało gestykulowała w jego stronę. – Chcą się nas pozbyć – zwrócił się do zgromadzonych, uśmiechając się z pogardą i kręcąc głową. – Oczywiście, że tego chcą. Oczywiście.

Kilka osób syknęło na pracownicę domu kultury.

– Wszystkich, którzy pragną usłyszeć więcej – powiedział Jimmy – zapraszamy do pobliskiego pubu. Adres znajdziecie na ulotkach!

Większość zebranych nagrodziła go brawami. Tajniak wstał z krzesła. Starsza para już spieszyła w stronę wyjścia.

6

Dochodzą mnie [...] *słuchy, że ja sam zostałem okrzyczany wściekłym fanatykiem.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Zastukały krzesła, zarzucono torby na ramiona. Większość publiczności ruszyła w stronę tylnych drzwi, lecz niektórzy ociągali się z wyjściem. Strike zrobił kilka kroków w kierunku Jimmy'ego, licząc na to, że uda mu się z nim porozmawiać, lecz ubiegł go młody Azjata, który z miną wyrażającą nerwową determinację podszedł nierównym krokiem do aktywisty. Jimmy zamienił jeszcze parę słów z mężczyzną z Sojuszu Robotników, po czym zauważył przybysza, pożegnał się z Walterem i przejawiając wszelkie oznaki

dobrej woli, ruszył naprzód, by porozmawiać z kimś, kogo najwyraźniej uznał za neofitę.

Jednak gdy tylko Azjata się odezwał, Jimmy spochmurniał. Mówili ściszonymi głosami na środku gwałtownie pustoszejącej sali, a Flick i grupka młodych ludzi szwendali się w pobliżu, czekając na Jimmy'ego. Wyglądało na to, że pracę fizyczną uważają za coś poniżej swojej godności – pracownica domu kultury sama składała krzesła.

– Pomogę pani – zaproponował Strike, biorąc od niej trzy sztuki i ignorując ostry ból, który przeszył jego kolano, gdy układał krzesła na wysokiej stercie.

– Bardzo dziękuję – odrzekła zasapana. – Nie sądzę, żebyśmy jeszcze kiedykolwiek wpuścili tych ludzi...

Zamilkła na chwilę, czekając, aż obok przejdzie Walter z kilkoma innymi osobami. Nikt z nich jej nie podziękował.

– ...do naszego domu kultury – dokończyła z goryczą. – Nie zdawałam sobie sprawy, co szykują. W ulotce była mowa o obywatelskim nieposłuszeństwie i sama nie wiem, o czym jeszcze.

– Jest pani zwolenniczką olimpiady? – spytał Strike, kładąc krzesło na stercie.

– Moja wnuczka trenuje biegi – odparła. – Mamy już bilety. Nie może się doczekać.

Jimmy nadal był pochłonięty rozmową z młodym Azjatą. Wyglądało na to, że wywiązała się mała sprzeczka. Aktywista wydawał się spięty, nieustannie wodził wzrokiem po sali, szukając szansy ucieczki albo sprawdzając, czy nikogo nie ma w zasięgu jego głosu. Dwaj mężczyźni zaczęli przesuwać się w stronę drzwi. Strike wytężał słuch, żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiają, ale głośne tupanie akolitów Jimmy'ego na drewnianej podłodze zagłuszyło wszystko z wyjątkiem kilku słów.

– ...od lat, koleś, rozumiesz? – mówił ze złością Jimmy. – Więc rób sobie, kurwa, co chcesz, nikt cię do tego nie zmuszał...

Znowu znaleźli się poza zasięgiem uszu Strike'a. Detektyw pomógł pracownicy domu kultury uprzątnąć ostatnie krzesła, a gdy wyłączyła światło, spytał, jak dojść do pubu White Horse.

Pięć minut później, mimo wcześniejszego postanowienia, że będzie się zdrowiej odżywiał, Strike kupił torbę frytek w barze serwującym jedzenie na wynos i ruszył wzdłuż White Horse Road, ponieważ, jak się dowiedział, na końcu ulicy znajdował się pub o tej samej nazwie.

Jedząc, zastanawiał się, jak najlepiej zacząć rozmowę z Jimmym Knightem. Jak pokazała reakcja podstarzałego fana Che Guevary przed wejściem do domu kultury, ubiór Strike'a nie zaskarbiał mu zaufania uczestników antykapitalistycznych demonstracji. Jimmy wyglądał na doświadczonego skrajnie lewicowego aktywistę i prawdopodobnie spodziewał się, że w mocno napiętej atmosferze poprzedzającej otwarcie igrzysk jego działania wzbudzą zainteresowanie władz. Rzeczywiście, detektyw zauważył, że niepozorny błękitnooki mężczyzna idzie za Jimmym, trzymając ręce w kieszeniach dżinsów. Na początek Strike będzie musiał przekonać Jimmy'ego, że nie przyszedł po to, żeby szpiegować SGOO.

White Horse okazał się brzydkim budynkiem z prefabrykatów, który stał przy ruchliwym skrzyżowaniu zwrócony w stronę olbrzymiego parku. Biały pomnik ku czci poległych w czasie wojny, ze starannie ułożonymi u podstawy wieńcami z maków, wznosił się nieopodal niczym wieczny wyrzut pod adresem ogródka piwnego, gdzie stare niedopałki papierosów gęsto zaścielały spękany, porozrywany przez chwasty beton. Klienci pubu tłoczyli się przed budynkiem, paląc papierosy. Strike zauważył Jimmy'ego, Flick

i kilka innych osób stojących w grupce przed oknem ozdobionym olbrzymim transparentem West Ham. Nigdzie nie było widać młodego Azjaty, ale tajniak kręcił się samotnie w pobliżu grupki.

Strike wszedł do środka, żeby kupić piwo. Wystrój pubu składał się głównie z flag z krzyżami świętego Jerzego i z kolejnych gadżetów West Ham. Kupiwszy kufel johna smitha, detektyw wyszedł na zewnątrz, zapalił nowego papierosa i ruszył w stronę grupki otaczającej Jimmy'ego. Dopiero gdy znalazł się tuż obok Flick, spostrzegli, że rosły nieznajomy w garniturze czegoś od nich chce. Wszelkie rozmowy ustały i na twarzach ich wszystkich natychmiast odmalowała się podejrzliwość.

– Cześć – powiedział detektyw. – Nazywam się Cormoran Strike. Jimmy, moglibyśmy chwilę porozmawiać? Chodzi o Billy'ego.

– O Billy'ego? – powtórzył ostro Jimmy. – Dlaczego?

– Poznałem go wczoraj. Jestem prywatnym detekty...

– Czizel go przysłał! – zawołała Flick zduszonym głosem i wystraszona odwróciła się do Jimmy'ego.

– Stul pysk! – warknął.

Podczas gdy reszta grupki przyglądała się Strike'owi z zaciekawieniem zabarwionym wrogością, Jimmy skinął na detektywa, żeby odszedł z nim na bok. Ku zdziwieniu Cormorana Flick ruszyła za nimi. Ostrzyżeni na zapałkę mężczyźni w koszulkach West Ham pozdrawiali przechodzącego aktywistę skinieniem głową. Jimmy zatrzymał się obok dwóch starych białych słupków zwieńczonych końskimi łbami, sprawdził, czy nikt ich nie słyszy, a następnie zwrócił się do Strike'a:

– Mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Cormoran, Cormoran Strike. Billy to twój brat?

– Tak, to mój młodszy brat – odparł Jimmy. – Mówisz, że cię odwiedził?

– Zgadza się. Wczoraj po południu.

– Jesteś prywatnym...?

– Detektywem. Tak.

Strike zobaczył w oczach Flick, że coś zaczyna jej świtać. Miała pulchną, bladą twarz, która wyglądałaby niewinnie, gdyby nie drapieżny makijaż oczu i nieuczesane włosy koloru pomidora. Znowu pospiesznie zaczęła mówić do Jimmy'ego:

– Jimmy, to ten...

– Rozpruwacz z Shacklewell? – spytał Jimmy, mierząc Strike'a spojrzeniem znad zapalniczki, którą właśnie przypalał kolejnego papierosa. – Lula Landry?

– To ja – potwierdził Strike.

Kątem oka zauważył, jak spojrzenie Flick wędruje w dół jego ciała w kierunku łydek. Jej usta wykrzywiły się w nieskrywanej pogardzie.

– Więc Billy cię odwiedził? – powtórzył Jimmy. – Czego chciał?

– Powiedział, że był świadkiem uduszenia dziecka – odrzekł Strike.

Jimmy ze złością wypuścił dym.

– Taa. Ma popieprzone w głowie. Zaburzenia schizoafektywne.

– Rzeczywiście sprawiał wrażenie chorego – przyznał Strike.

– Tylko tyle ci powiedział? Że widział, jak uduszono dziecko?

– Na początek wystarczyło – powiedział Strike.

Usta Jimmy'ego skrzywiły się w pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Nie uwierzyłeś mu, co?

– Nie – odparł Strike zgodnie z prawdą – ale wydaje mi się, że w tym stanie nie powinien włóczyć się po ulicach. Potrzebuje pomocy.

– Nie zauważyłem, żeby było z nim gorzej niż zwykle, a ty? – zwrócił się Jimmy do Flick, niezbyt wiarygodnie udając obojętne zaciekawienie.

– Też nie – powiedziała, po czym spojrzała na Strike'a z niemal otwartą wrogością. – Raz jest z nim lepiej, raz gorzej. Jeśli bierze leki, zachowuje się w porządku.

Z dala od reszty przyjaciół jej akcent wyraźnie przypominał sposób mówienia typowy dla klasy średniej. Strike zauważył, że umalowała oczy, mimo że w kąciku jednego z nich wciąż było widać śpiochy. Cormoran, któremu znaczna część dzieciństwa upłynęła w brudzie i nędzy, nie był w stanie wykrzesać z siebie sympatii dla braku dbałości o higienę, chyba że chodziło o ludzi tak nieszczęśliwych albo chorych, że nie zwracali uwagi na czystość.

– Jesteś byłym wojskowym, prawda? – spytała, ale Jimmy wszedł jej w słowo.

– W jaki sposób Billy cię znalazł?

– Zajrzał do książki telefonicznej? – podsunął Strike. – Nie mieszkam w jaskini.

– Billy nie potrafi korzystać z książki telefonicznej.

– Ze znalezieniem mojej agencji nie miał najmniejszych trudności.

– Nikt nie zabił żadnego dziecka – oznajmił gwałtownie Jimmy. – To wszystko stało się tylko w jego głowie. W kółko o tym mówi, kiedy ma kolejny epizod. Nie zauważyłeś tiku?

Z brutalną precyzją zademonstrował kompulsywny ruch, dotykając drżącą ręką nosa i klatki piersiowej. Flick się roześmiała.

– Tak, zauważyłem – odrzekł Strike z kamienną twarzą. – Więc nie wiesz, gdzie on teraz jest?

– Ostatni raz widziałem go wczoraj rano. Czego od niego chcesz?

– Jak mówiłem, moim zdaniem nie powinien w tym stanie błąkać się samotnie po ulicach.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony – zauważył Jimmy. – Bogaty i sławny detektyw martwi się o naszego Billa.

Strike milczał.

– Byłeś w wojsku – powtórzyła Flick. – Prawda?

– Tak – potwierdził Strike, spoglądając na nią z góry. – Jaki to ma związek?

– Tak tylko pytam. – Jej policzki zarumieniły się lekko w słusznym gniewie. – Nie zawsze tak się przejmowałeś krzywdzonymi ludźmi, co?

Strike, który spotykał już osoby podzielające poglądy Flick, nie odpowiedział. Pewnie by mu uwierzyła, gdyby powiedział, że wstąpił do armii z nadzieją, że będzie miał okazję nabijać dzieci na bagnet.

Jimmy najwidoczniej też nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnych opinii Flick na temat wojska.

– Billy'emu nic nie będzie. Czasami u nas pomieszkuje, potem znika. Ciągle tak robi.

– Gdzie mieszka, kiedy go u was nie ma?

– U przyjaciół. – Jimmy wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak się nazywają.

Po chwili, zaprzeczając samemu sobie, dodał:

– Dziś wieczorem podzwonię i sprawdzę, czy nic mu się nie stało.

– Jasne. – Strike dopił piwo i oddał pusty kufel wytatuowanemu barmanowi, który chodził przed budynkiem, zbierając szkło od wszystkich, którzy skończyli pić. Detektyw po raz ostatni zaciągnął się papierosem, dorzucił niedopałek do jego wielotysięcznej braci leżącej na popękanym betonie i zgasił go protezą, po czym wyjął portfel. – Wyświadcz mi przysługę – powiedział do Jimmy'ego, podając mu wizytówkę – i skontaktuj się

ze mną, kiedy Billy się pojawi, dobra? Chciałbym wiedzieć, że jest bezpieczny.

Flick prychnęła szyderczo, ale Jimmy wydawał się zbity z tropu.

– No dobra. Okej, dam znać.

– Nie wiecie przypadkiem, którym autobusem można stąd najszybciej dojechać na Denmark Street? – spytał ich Strike.

Nie był w stanie zmierzyć się z kolejnym długim spacerem na stację metra. Autobusy przejeżdżały obok pubu z częstotliwością, która budziła nadzieję. Jimmy, najwyraźniej dobrze znający okolicę, pokierował Strike'a na właściwy przystanek.

– Wielkie dzięki. – Chowając portfel z powrotem do kieszeni marynarki, Strike dodał jak gdyby nigdy nic: – Billy mówił, że też tam byłeś, kiedy uduszono to dziecko.

Zdradził ich gwałtowny ruch głowy Flick, która natychmiast spojrzała na Jimmy'ego. On był lepiej przygotowany. Jego nozdrza gwałtownie się rozszerzyły, ale poza tym całkiem zręcznie udał, że wcale go to nie zaniepokoiło.

– Taa, stworzył w tej swojej popieprzonej głowie całą chorą scenę morderstwa – odparł. – Czasami mu się wydaje, że była tam też nasza zmarła mama. Pewnie niedługo wciągnie w to papieża.

– To smutne – zgodził się Strike. – Mam nadzieję, że uda się wam go namierzyć.

Podniósł rękę na pożegnanie i zostawił ich przed pubem. Głodny mimo zjedzenia frytek, z rwącym bólem w kikucie zaczął utykać, jeszcze zanim dotarł do przystanku.

Po piętnastu minutach nadjechał autobus. Dwaj pijani młodzi mężczyźni siedzący kilka miejsc przed Strikiem wdali się w długi, pełen powtórzeń spór na temat zalet nowego zawodnika West Ham, Jussiego Jääskeläinena, choć żaden z nich nie potrafił poprawnie wymówić jego nazwiska. Strike z nieobecnym wyrazem

twarzy patrzył przez szybę. Bolała go noga, rozpaczliwie chciał się położyć, lecz nie był w stanie się odprężyć.

Wolałby tego nie przyznawać, lecz wyprawa na Charlemont Road nie stłumiła w nim maleńkich, uporczywych wątpliwości związanych z historią opowiedzianą przez Billy'ego. Wspomnienie gwałtownego, przestraszonego spojrzenia, jakim Flick obrzuciła Jimmy'ego, a przede wszystkim jej nagły okrzyk: „Czizel go przysłał!" zmieniły te uporczywe wątpliwości w poważną i prawdopodobnie trwałą przeszkodę na jego drodze do spokoju ducha.

7

Myśli pani o pozostaniu tutaj? Mówię o pozostaniu na stałe.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Robin z radością spędziłaby weekend na relaksowaniu się po długim tygodniu rozpakowywania i składania mebli, lecz Matthew nie mógł się doczekać parapetówki, na którą zaprosił mnóstwo kolegów z pracy. Jego dumę podsycała interesująca, romantyczna historia ulicy, którą zbudowano dla cieśli okrętowych i kapitanów statków, gdy Deptford było ośrodkiem stoczniowym. Być może Matthew nie zdobył wymarzonego kodu pocztowego, ale krótka brukowana ulica pełna ładnych starych domów stanowiła, tak jak chciał, „krok o szczebel wyżej" – nawet jeśli tylko wynajmowali z Robin zadbany klocek z cegły, ze szprosami w oknach i z płaskorzeźbami przedstawiającymi cherubinki nad drzwiami wejściowymi.

Początkowo Matthew protestował, kiedy Robin zaproponowała, żeby znowu zdecydowali się na wynajem, ale przekonała go, twierdząc, że nie zniesie kolejnego roku przy Hastings Road, podczas gdy wciąż będą przechodziły im koło nosa szanse zakupu domów o zawyżonych cenach. Spadek Matthew i jego pensja w nowej pracy wystarczały akurat na wynajęcie eleganckiego domku z trzema sypialniami, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży mieszkania przy Hastings Road mogły leżeć nietknięte w banku.

Właściciel nieruchomości – wydawca, który wyjeżdżał do Nowego Jorku, by pracować w głównej siedzibie swojej firmy – był zachwycony nowymi lokatorami. Czterdziestoparoletniemu gejowi spodobał się zadbany wygląd Matthew, uparł się więc, że w dniu przeprowadzki osobiście przekaże im klucze.

– W kwestii dobrego najemcy zgadzam się z Jane Austen – powiedział do Matthew, stojąc na brukowanej ulicy. – Mężczyzna „żonaty i bezdzietny – właśnie tego należało sobie życzyć”[4]. Nikt nie potrafi tak zadbać o dom jak dama! Czy może dzielą się państwo obowiązkami, jeśli chodzi o odkurzanie?

– Oczywiście – odrzekł z uśmiechem Matthew.

Robin, która wchodziła do domu tuż za nimi, niosąc pudełko z roślinami, powstrzymała się od kąśliwego komentarza.

Przypuszczała, że Matthew nie wyjawił przyjaciołom i kolegom z pracy, że zostanie najemcą, a nie właścicielem domu. Ubolewała nad swoją narastającą skłonnością do dopatrywania się u niego podłych albo dwulicowych zachowań, nawet w błahych sprawach, i w skrytości ducha wymierzała sobie kary za to, że wciąż miała o nim jak najgorsze mniemanie. Właśnie w tym duchu samokrytyki zgodziła się na imprezę, kupiła alkohol i plastikowe kubeczki, przyrządziła jedzenie i przygotowała wszystko w kuchni. Matthew poprzesuwał meble i przez kilka wieczorów układał playlistę, którą

właśnie puszczał na swoim iPodzie umieszczonym w stacji dokującej. Kiedy popłynęły pierwsze dźwięki *Cut Off* zespołu Kasabian, Robin pobiegła na górę, żeby się przebrać.

Nawinęła wcześniej włosy na piankowe papiloty, ponieważ postanowiła wystąpić w takiej samej fryzurze jak w dniu ślubu. Spiesząc się przed przybyciem gości, zdejmowała je jedną ręką, a drugą otwierała szafę. Miała nową obcisłą sukienkę w jasnoszarym kolorze, lecz obawiała się, że wygląda w niej blado. Z wahaniem wyjęła szmaragdową kreację od Roberta Cavallego, w której jeszcze nigdy się nie pokazywała. Był to najdroższy i zarazem najpiękniejszy strój, jaki posiadała: „pożegnalny" prezent, który podarował jej Strike, po tym jak zatrudniła się u niego w charakterze tymczasowej sekretarki i pomogła mu w ujęciu pierwszego mordercy. Gdy z radością pokazała tę sukienkę Matthew, zrobił taką minę, że nigdy nie odważyła się w nią ubrać.

Przyłożyła sukienkę do swojej figury i z jakiegoś powodu jej myśli popłynęły w stronę Lorelei, dziewczyny Strike'a. Lorelei, która zawsze nosiła jaskrawe barwy, gustowała w stylu pin-up z lat czterdziestych. Dorównywała Robin wzrostem, a lśniące brązowe włosy zaczesywała na jedno oko jak Veronica Lake. Robin wiedziała, że Lorelei ma trzydzieści trzy lata oraz jest współwłaścicielką dobrze prosperującego sklepu z ubraniami w stylu vintage przy Chalk Farm Road. Pewnego dnia te informacje wymknęły się Strike'owi. Robin zanotowała w głowie nazwę sklepu i po powrocie do domu sprawdziła go w internecie. Wszystko wskazywało na to, że butik jest wspaniały i przynosi krocie.

– Już za piętnaście – powiedział Matthew, wchodząc pospiesznie do sypialni i zdejmując po drodze koszulkę. – Chyba wezmę szybki prysznic.

Zauważył kątem oka, jak Robin przegląda się w lustrze, przyciskając do siebie zieloną kreację.

– Nie zamierzasz włożyć tej szarej?

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Rysy Matthew, stojącego z nagim torsem, opalonego i przystojnego, były tak symetryczne, że prawa strona jego twarzy wyglądała niemal identycznie jak lewa.

– Chyba jestem do niej za blada – odrzekła Robin.

– Wolę szarą – stwierdził Matthew. – Podoba mi się twoja bladość.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Dobrze – powiedziała. – Włożę szarą.

Kiedy już się przebrała, przeczesała loki palcami, żeby je rozluźnić, wsunęła stopy w srebrne sandałki z paseczków i zeszła na dół. Ledwie dotarła do przedpokoju, rozległ się dzwonek do drzwi.

Gdyby miała zgadywać, kto zjawi się pierwszy, postawiłaby na Sarah Shadlock i Toma Turveya, którzy niedawno się zaręczyli. To byłoby w stylu Sarah: spróbować zaskoczyć Robin, skorzystać z okazji i powęszyć w domu, zanim zjawi się reszta osób, oraz zająć miejsce, z którego można obserwować wszystkich kolejnych gości. I rzeczywiście, gdy Robin otworzyła drzwi, stała za nimi Sarah w szokującym różu. Trzymała w ramionach olbrzymi bukiet kwiatów, a Tom przyniósł piwo i wino.

– Och, Robin, tu jest c u d o w n i e – zaświergotała Sarah, rozglądając się po przedpokoju, kiedy tylko przekroczyła próg. Uściskała Robin z roztargnieniem, bo wpatrywała się już w schody, po których właśnie szedł Matthew, zapinając koszulę. – U r o c z o. Kwiaty są dla ciebie.

Robin przytłoczyło naręcze lilii Stargazer.

– Dzięki – mruknęła. – Pójdę je wstawić do wody.

Nie mieli wystarczająco dużego wazonu, ale przecież nie mogła ich zostawić w zlewie. Do kuchni dobiegał śmiech Sarah, zagłuszający nawet głośno nastawionego iPoda, z którego właśnie płynęło *Princess of China* w wykonaniu Coldplay i Rihanny. Robin wywlekła z szafki wiadro i zaczęła je napełniać, ochlapując się przy tym wodą.

Przypomniała sobie, jak kiedyś dyskutowali o tym, czy Matthew powinien zapraszać Sarah na lancz w godzinach pracy. Po tym, jak Robin odkryła, że w wieku dwudziestu paru lat Matthew zdradzał ją z Sarah, zastanawiali się nawet, czy w ogóle nie zerwać z nią stosunków. Dzięki Tomowi Matthew zdobył jednak lepiej płatną posadę w jego firmie, a odkąd Sarah stała się dumną posiadaczką olbrzymiego brylantu, Matthew najwyraźniej nie dostrzegał najmniejszej niezręczności w spotkaniach towarzyskich z przyszłymi państwem Turvey.

Robin słyszała, jak wszyscy troje chodzą po pomieszczeniach na piętrze. Matthew oprowadzał gości po sypialniach. Wyjęła ze zlewu ciężkie wiadro z liliami i wcisnęła je w kąt obok czajnika, zastanawiając się, czy nie jest złośliwa, skoro podejrzewa, że Sarah przyniosła kwiaty tylko po to, by na chwilę usunąć Robin ze swojej drogi. Skłonność Sarah do flirtowania z Matthew nie osłabła od czasów, w których byli razem na studiach.

Robin nalała sobie kieliszek wina i wynurzyła się z kuchni akurat w chwili, gdy Matthew prowadził Toma i Sarah do salonu.

– ...pod dziewiętnastką mieszkali ponoć lord Nelson i lady Hamilton, ale wtedy była tu jeszcze Union Street – oznajmił. – No dobra, kto chce drinka? Wszystko jest przygotowane w kuchni.

– Wspaniałe miejsce, Robin – powiedziała Sarah. – Takie domy nie trafiają się zbyt często. Musiało się wam naprawdę poszczęścić.

– Tylko go wynajmujemy – odrzekła Robin.

– Naprawdę? – zdziwiła się Sarah, świdrując ją wzrokiem, i Robin od razu się domyśliła, że Sarah wyciąga wnioski dotyczące nie rynku nieruchomości, lecz małżeństwa Robin i Matthew.

– Ładne kolczyki – pochwaliła Robin, starając się zmienić temat.

– Prawda? – Sarah odsunęła włosy, żeby Robin miała lepszy widok. – Prezent urodzinowy od Toma.

Znowu zadźwięczał dzwonek. Robin poszła otworzyć drzwi, mając nadzieję, że przyszła jedna z nielicznych osób, które sama zaprosiła. Oczywiście nie liczyła na Strike'a. Wiedziała, że Cormoran prawdopodobnie się spóźni, tak jak spóźniał się na wszystkie prywatne imprezy, na które go zapraszała.

– Och, dzięki Bogu – powiedziała, zaskoczona ulgą, jaką odczuła na widok Vanessy Ekwensi.

Vanessa była wysoką, czarnoskórą policjantką z oczami w kształcie migdałów, figurą modelki i opanowaniem budzącym zazdrość Robin. Przyszła sama. Jej chłopak, specjalista w dziedzinie medycyny sądowej pracujący dla stołecznej policji, miał wcześniejsze zobowiązania. Robin poczuła się zawiedziona: nie mogła się doczekać, kiedy go pozna.

– Wszystko w porządku? – spytała Vanessa, gdy weszła do środka. Przyniosła butelkę czerwonego wina i miała na sobie ciemnofioletową bieliźnianą sukienkę. Robin znowu pomyślała o wiszącej na górze szmaragdowej kreacji od Roberta Cavallego i pożałowała, że jej nie włożyła.

– Tak – odparła. – Chodź do ogródka, będziesz mogła zapalić.

Poprowadziła Vanessę przez salon, mijając Sarah i Matthew, którzy właśnie otwarcie nabijali się z łysiny Toma.

Mur odgradzający mały ogród za domem był porośnięty bluszczem. W terakotowych donicach rosły zadbane krzewy. Robin, która nie paliła, przygotowała tam popielniczki i kilka rozkładanych

krzeseł, rozstawiając wokół świeczki do podgrzewaczy. Matthew spytał ją z zaczepną nutą w głosie, dlaczego tak bardzo zawraca sobie głowę palaczami. Doskonale wiedziała, o co mu chodzi, ale udała, że nie ma pojęcia.

– Myślałam, że Jemima pali – stwierdziła, udając zdezorientowanie. Jemima była szefową Matthew.

– Aha – odparł zbity z tropu. – No tak... ale tylko dla towarzystwa.

– Matt, nie mam żadnych wątpliwości, że to będzie spotkanie towarzyskie – powiedziała Robin słodkim tonem.

Zrobiła Vanessie drinka, a gdy wróciła, policjantka właśnie zapalała papierosa, skupiając swe piękne oczy na Sarah Shadlock, która w dalszym ciągu drwiła z włosów Toma, ochoczo wspierana przez Matthew.

– To ona, prawda? – spytała Vanessa.

– Tak – potwierdziła Robin.

Była wdzięczna Vanessie za tę drobną oznakę moralnego wsparcia. Robin przyjaźniła się z Vanessą od miesięcy, zanim zwierzyła jej się z historii swojego związku z Matthew. Wcześniej rozmawiały o policyjnej robocie, polityce i ciuchach, chodząc wieczorami do kina albo do tanich restauracji. W towarzystwie Vanessy Robin czuła się lepiej niż wśród znanych sobie dotąd kobiet. Matthew, który dwa razy miał okazję spotkać się z Vanessą, powiedział Robin, że jego zdaniem policjantka jest „oschła", ale nie potrafił wyjaśnić dlaczego.

Vanessa miała wielu partnerów. Raz była zaręczona, ale odeszła od narzeczonego, kiedy ją zdradził. Czasami Robin się zastanawiała, czy nie wydaje się Vanessie śmiesznie niedoświadczona: kobieta, która wyszła za chłopaka ze szkoły.

Po chwili do salonu wparowało kilkanaście osób: kolegów i koleżanek Matthew z pracy, którzy przyszli z partnerami

i najwyraźniej zahaczyli po drodze o pub. Robin patrzyła, jak Matthew ich wita i kieruje w stronę drinków. Mówił nieco zbyt głośno, żartobliwym tonem, który znała z ich wcześniejszych spotkań z jego znajomymi z pracy. Ten ton działał jej na nerwy.

W salonie szybko zrobiło się tłoczno. Robin przedstawiała sobie ludzi, pokazywała im, gdzie znajdą coś do picia, wystawiła więcej plastikowych kubeczków i puściła w obieg dwa półmiski z jedzeniem, ponieważ w kuchni było już zbyt ciasno. Dopiero gdy zjawił się Andy Hutchins z żoną, poczuła, że może się na chwilę odprężyć i spędzić trochę więcej czasu ze swoimi gośćmi.

– Przygotowałam dla ciebie coś specjalnego – powiedziała do Andy'ego, poprowadziwszy jego i Louise do ogródka. – Poznajcie Vanessę, pracuje w stołecznej policji. Vanesso, to Andy i Louise... Zostań tu, Andy, sama przyniosę. To przekąska beznabiałowa.

Gdy weszła do kuchni, Tom stał oparty o lodówkę.

– Przepraszam, Tom, muszę się dostać do środka...

Zamrugał, a po chwili się odsunął. Pomyślała, że już się upił, choć przecież nie było jeszcze dziewiątej. Słyszała, jak Sarah rechocze w zatłoczonym salonie.

– Daj, pomogę ci – odezwał się Tom, przytrzymując drzwi lodówki, które zaczęły się zamykać, gdy Robin się pochyliła, żeby wyjąć z dolnej półki beznabiałowe niesmażone przekąski zarezerwowane dla Andy'ego. – Boże, Robin, ale masz ładny tyłek.

Wyprostowała się, nie komentując jego słów. Dostrzegła przebijający zza pijackiego uśmiechu Toma smutek, który przypominał powiew chłodnego powietrza. Matthew wspominał jej kiedyś, jak bardzo Tom przejmuje się swoją łysiną – podobno rozważał nawet przeszczep włosów.

– Ładna koszula – stwierdziła.

– Co, ta? Podoba ci się? Sarah mi ją kupiła. Matt dostał taką samą, prawda?

– Eee... nie jestem pewna – odparła Robin.

– Nie jesteś pewna – powtórzył Tom i wybuchnął krótkim, nieprzyjemnym śmiechem. – Te wszystkie pieprzone szkolenia detektywistyczne. Rob, lepiej zainteresuj się tym, co się dzieje w twoim domu.

Przyglądała mu się przez chwilę z politowaniem i złością, a potem, uznając, że za bardzo się upił, żeby się z nim kłócić, wyszła, niosąc jedzenie dla Andy'ego.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła, gdy ludzie przesuwali się na bok, żeby przepuścić ją z powrotem do ogródka, było to, że zjawił się Strike. Stał odwrócony do niej plecami i rozmawiał z Andym. Obok dostrzegła Lorelei w szkarłatnej sukience z jedwabiu. Lśniąca grzywa ciemnych włosów spływała jej na plecy jak w reklamie drogiego szamponu. Jakimś sposobem w czasie krótkiej nieobecności Robin do tego grona wkręciła się Sarah. Vanessa spojrzała Robin w oczy i kącik jej ust leciutko się uniósł.

– Cześć – przywitała się Robin, stawiając półmisek z jedzeniem obok Andy'ego na stoliku z kutego żelaza.

– Cześć, Robin! – powiedziała Lorelei. – Jaka ładna ulica!

– Prawda? – odrzekła Robin, gdy Lorelei całowała powietrze za jej uchem.

Strike też się pochylił. Jego zarost musnął twarz Robin, lecz usta nie dotknęły skóry. Właśnie otwierał jeden z sześciopaków doom bara, które ze sobą przyniósł.

Wcześniej Robin ćwiczyła w myślach słowa, jakie zamierzała skierować do Strike'a, gdy zawita do jej nowego domu: spokojne i zwyczajne, świadczące o tym, że niczego nie żałuje, jakby Strike nie potrafił dostrzec jakiejś cudownej przeciwwagi przesuwającej

szale na korzyść Matthew. Poza tym chciała go wypytać o tę dziwną sprawę z Billym, o uduszone dziecko. Jednak Sarah wałkowała właśnie temat domu aukcyjnego Christie's, w którym pracowała, i wszyscy jej słuchali.

– Tak, mamy *The Lock*, pojawi się na aukcji trzeciego – mówiła. – To Constable – dodała uprzejmie na użytek każdego, kto nie znał się na sztuce tak dobrze jak ona. – Przypuszczamy, że pójdzie za ponad dwadzieścia.

– Tysięcy? – spytał Andy.

– Milionów – odparła Sarah, kwitując to krótkim protekcjonalnym śmiechem.

Z tyłu roześmiał się Matthew, więc Robin odruchowo się odsunęła, żeby włączyć go do kręgu. Zauważyła, że jej mąż słucha Sarah w nabożnym skupieniu, jak zawsze, gdy dyskutowano o ogromnych kwotach. Być może, pomyślała, właśnie o tym rozmawiają z Sarah, jedząc razem lancz: o pieniądzach.

– *Gimcrack* sprzedał się w ubiegłym roku za dwadzieścia dwa. To Stubbs. Trzeci najdroższy stary mistrz w historii.

Kątem oka Robin zauważyła, jak dłoń Lorelei z pomalowanymi na szkarłatny kolor paznokciami wsuwa się do ręki Strike'a naznaczonej w poprzek tym samym nożem, który na zawsze oszpecił przedramię Robin.

– Nudy, nudy, nudy! – podsumowała nieszczerze Sarah. – Dosyć rozmów o pracy! Komu udało się zdobyć bilety na olimpiadę? Tom, mój narzeczony, jest wściekły. Wylosowaliśmy p i n g-p o n g a! – Zabawnie wykrzywiła twarz. – A wam jak poszło?

Robin zobaczyła, jak Strike i Lorelei wymieniają ukradkowe spojrzenia, i domyśliła się, że współczują sobie nawzajem konieczności znoszenia nudnej rozmowy na temat biletów

olimpijskich. Nagle pożałowała, że w ogóle przyszli, i wycofała się do domu.

Godzinę później Strike był już w salonie, gdzie rozmawiał z jednym z kolegów z pracy Matthew o szansach reprezentacji Anglii w mistrzostwach Europy w piłce nożnej, podczas gdy Lorelei tańczyła. Robin, z którą nie zamienił ani słowa, odkąd przywitali się w ogródku, przeszła przez pokój z półmiskiem w ręku, przystanęła, żeby porozmawiać z rudowłosą kobietą, po czym ruszyła dalej częstować gości jedzeniem. Była uczesana w sposób, który przypomniał Strike'owi o dniu jej ślubu.

Jego umysł wciąż pochłaniały podejrzenia związane z jej wizytą w tajemniczej klinice, więc Strike przyjrzał się jej figurze w obcisłej szarej sukience. Z całą pewnością nie wyglądała na kobietę w ciąży, a to, że piła wino, wydawało się kolejnym argumentem przeczącym takiemu stanowi rzeczy, lecz być może dopiero przystąpili do procedury zapłodnienia in vitro.

Dokładnie naprzeciwko Strike'a stała zasłaniana raz po raz przez tańczących gości komisarz Vanessa Ekwensi, której obecność na tej imprezie zaskoczyła detektywa. Vanessa opierała się o ścianę, rozmawiając z wysokim blondynem, który sądząc po jego przesadnym zainteresowaniu rozmową, na chwilę zapomniał o obrączce na swoim palcu. Vanessa napotkała spojrzenie Strike'a i skrzywiła się, dając mu do zrozumienia, że nie miałaby nic przeciwko temu, by przerwał to *tête-à-tête*. Nie czuł się zawiedziony, że musi zakończyć rozmowę o piłce nożnej, bo nie była aż tak fascynująca, i skorzystał z najbliższej okazji, by okrążyć tańczących i podejść do Vanessy.

– Dobry wieczór.

– Cześć – powiedziała, przyjmując cmoknięcie w policzek z elegancją charakteryzującą wszystkie jej ruchy. – Cormoran, to jest

Owen... Wybacz, nie dosłyszałam twojego nazwiska.

Wkrótce Owen stracił nadzieję, że mu się poszczęści, bez względu na to, czy liczył na zwyczajną przyjemność towarzyszącą flirtowaniu z piękną kobietą, czy na jej numer telefonu.

– Nie wiedziałem, że ty i Robin tak się zaprzyjaźniłyście – stwierdził Strike, gdy facet sobie poszedł.

– Tak, czasami się spotykamy – odrzekła Vanessa. – Kiedy ją zwolniłeś, wysłałam jej esemesa.

– Aha – powiedział Strike, pociągając łyk doom bara. – Racja.

– Zadzwoniła, żeby mi podziękować, i w końcu umówiłyśmy się na drinka.

Robin nigdy nie wspominała o tym Strike'owi, lecz z drugiej strony, jak doskonale wiedział, sam dokładał wszelkich starań, by po jej powrocie z podróży poślubnej ograniczali się do rozmów o pracy.

– Ładny dom – skomentował, usiłując nie porównywać gustownie urządzonego pomieszczenia ze swoim pokoikiem z aneksem kuchennym na poddaszu nad agencją. Pomyślał, że Matthew musi bardzo dobrze zarabiać, skoro stać ich na coś takiego. Bo z pewnością nie była to zasługa niedawnej podwyżki Robin.

– Tak, to prawda – zgodziła się Vanessa. – Wynajmują go.

Strike przez chwilę patrzył na tańczącą Lorelei i analizował w myślach tę interesującą informację. Jakaś figlarna nuta w tonie głosu Vanessy uświadomiła mu, że ona także nie do końca wiąże tę decyzję z sytuacją na rynku nieruchomości.

– Wszystko przez te morskie bakterie – dodała Vanessa.

– Słucham? – zdziwił się Strike.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie, po czym ze śmiechem pokręciła głową.

– A, nic. Nieważne.

– Tak, wylosowaliśmy nie najgorzej. – W przerwie między kolejnymi utworami dał się słyszeć głos Matthew rozmawiającego z rudowłosą kobietą. – Mamy bilety na boks.

„Jasne, kurwa mać" – pomyślał zirytowany Strike, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kolejnego papierosa.

– Dobrze się bawiłeś? – spytała Lorelei w taksówce o pierwszej w nocy.

– Nieszczególnie. – Strike wpatrywał się w przednie światła mijających ich samochodów.

Na imprezie miał wrażenie, że Robin go unika. Po stosunkowo sympatycznej czwartkowej rozmowie oczekiwał... właściwie czego? Rozmowy? Żartów? Był ciekaw, jak jej idzie w małżeństwie, lecz niewiele się dowiedział. Robin i Matthew odnosili się do siebie całkiem przyjaźnie, intrygowało go jednak to, że tylko wynajmowali dom. Czy taka decyzja nie świadczyła przypadkiem o braku chęci – nawet jeśli tylko podświadomym – inwestowania we wspólną przyszłość? Czy nie wskazywała na układ, który łatwiej zakończyć? Poza tym zastanawiała go przyjaźń Robin z Vanessą Ekwensi, kolejny element życia prowadzonego niezależnie od Matthew.

„Wszystko przez te morskie bakterie".

Co to znaczyło, do diabła? Czy miało związek z tajemniczą kliniką? Czy Robin była na coś chora?

Po kilkuminutowej ciszy Strike nagle zdał sobie sprawę, że też powinien spytać Lorelei, jak podobał jej się wieczór.

– Bywało lepiej – westchnęła. – Obawiam się, że ta twoja Robin ma mnóstwo nudnych przyjaciół.

– No – przyznał Strike. – Ale większość z nich to chyba przyjaciele jej męża. On jest księgowym. I takim trochę palantem – dodał

z przyjemnością.

Taksówka mknęła przez noc, a Strike wspominał figurę Robin w szarej sukience.

– Słucham? – odezwał się nagle, ponieważ odniósł wrażenie, że Lorelei coś powiedziała.

– Pytałam, o czym myślisz.

– O niczym – skłamał, a ponieważ wolał to niż rozmowę, objął ją ramieniem, przysunął do siebie i pocałował.

8

[...] *Mortensgaard zaczął stawać na nogi* [...]. *Teraz wielu ludzi utrzymuje z nim stosunki.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

W niedzielę wieczorem Robin wysłała do Strike'a esemesa, pytając, co ma robić w poniedziałek, ponieważ przed pójściem na tygodniowy urlop przekazała wszystkie obowiązki. Oschła odpowiedź nakazywała jej po prostu „przyjść do agencji", w której posłusznie zjawiła się nazajutrz za piętnaście dziewiąta, ciesząc się – bez względu na to, jak wyglądały relacje między nią a jej wspólnikiem – że wraca do tych starych, zapuszczonych pomieszczeń.

Gdy przyszła, drzwi do biura Strike'a były otwarte. Siedział za biurkiem, rozmawiając z kimś przez telefon. Promienie słońca tworzyły złote jak melasa plamy na wytartej wykładzinie. Cichy szmer ruchu ulicznego wkrótce został zagłuszony przez perkotanie starego czajnika i pięć minut po przyjściu do pracy Robin postawiła przed Strikiem kubek parującej ciemnobrązowej herbaty Typhoo.

W odpowiedzi uniósł kciuk i bezgłośnie poruszając ustami, powiedział „dzięki". Wróciła za swoje biurko, gdzie w aparacie telefonicznym mrugało światełko świadczące o nagranej wiadomości. Połączyła się ze skrzynką i usłyszała, jak beznamiętny kobiecy głos informuje, że wiadomość została nagrana dziesięć minut przed przyjściem Robin do pracy, prawdopodobnie gdy Strike był jeszcze na górze albo już rozmawiał przez komórkę.

W słuchawce rozległ się czyjś drżący szept:

– Panie Strike, przepraszam, że od pana uciekłem. Ale nie mogę wrócić. On mnie tu trzyma, nie mogę wyjść, okablował drzwi...

Końcówka zdania zginęła wśród szlochów. Zaniepokojona Robin próbowała przyciągnąć uwagę Strike'a, lecz odwrócił się od niej na obrotowym krześle i patrzył przez okno, wciąż słuchając rozmówcy. Spomiędzy rozpaczliwych dźwięków wydobywających się ze słuchawki do Robin docierały pojedyncze słowa:

– ...nie mogę się wydostać... jestem całkiem sam...

– Tak, w porządku – mówił Strike w swoim biurze. – W takim razie w środę, dobrze? Świetnie. Miłego dnia.

– ...p r o s z ę, n i e c h m i p a n p o m o ż e, p a n i e S t r i k e! – jęczał głos w uchu Robin.

Pospiesznie wcisnęła przycisk, żeby przełączyć na głośnik, i agencja natychmiast wypełniła się udręczonym głosem:

– Panie Strike, jeśli spróbuję stąd uciec, drzwi wylecą w powietrze, proszę, niech mi pan pomoże, proszę, niech mnie pan stąd wyciągnie, nie powinienem był tu przychodzić, powiedziałem mu, że wiem o tym dziecku i o innych sprawach, o wielu innych sprawach, myślałem, że mogę mu zaufać...

Strike obrócił się na krześle, wstał i szybko wszedł do sekretariatu. Rozległ się stukot, jakby ktoś upuścił słuchawkę. W oddali wciąż

było słychać czyjś płacz, jakby zrozpaczony rozmówca nieporadnie odsunął się od telefonu.

– To on – powiedział Strike. – Billy. Billy Knight.

Szloch i zduszone okrzyki znów przybrały na sile, a po chwili dał się słyszeć gorączkowy szept Billy'ego, który najwyraźniej przycisnął usta do słuchawki:

– Ktoś jest przy drzwiach. Pomocy! Niech mi pan pomoże, panie Strike!

Połączenie zostało przerwane.

– Zdobądź numer – polecił Strike.

Robin sięgnęła po słuchawkę, żeby wybrać 1471, lecz zanim zdążyła to zrobić, telefon zadzwonił jeszcze raz. Szybko podniosła słuchawkę, nie odrywając oczu od Strike'a.

– Agencja Cormorana Strike'a.

– Ach... dzień dobry – zabrzmiał głęboki, arystokratyczny głos.

Robin skrzywiła się do Strike'a i pokręciła głową.

– Cholera – mruknął i poszedł do swojego biura po herbatę.

– Chciałbym rozmawiać z panem Strikiem.

– Niestety, właśnie prowadzi rozmowę z drugiego aparatu – skłamała Robin.

Od roku wyznawali zasadę, że lepiej oddzwaniać do klientów. Dzięki temu odsiewało się dziennikarzy i różnych świrów.

– Zaczekam – odrzekł rozmówca. Wydawał się niezadowolony, jakby nie przywykł do takiego traktowania.

– Obawiam się, że to może chwilę potrwać. Czy mogłabym zapisać pana numer? Poproszę, żeby pan Strike do pana oddzwonił.

– Będzie musiał to zrobić w ciągu dziesięciu minut, bo zaraz idę na zebranie. Niech mu pani powie, że chcę porozmawiać o zadaniu, które zamierzam mu zlecić.

– Niestety, nie mogę zagwarantować, że pan Strike będzie w stanie podjąć się tego zadania osobiście – poinformowała Robin, co także było standardowym zabiegiem zniechęcającym dziennikarzy. – Nasza agencja pracuje obecnie nad wieloma sprawami.

Sięgnęła po długopis i przysunęła sobie kartkę papieru.

– O jakim zleceniu...

– To musi być pan Strike – oznajmił zdecydowanie głos w słuchawce. – Niech mu pani to przekaże. To musi być pan Strike, nikt inny. Nazywam się Czizel.

– Jak to się pisze? – spytała Robin, zastanawiając się, czy dobrze usłyszała.

– C-H-I-S-W-E-L-L. Jasper Chiswell. Proszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił pod następujący numer.

Robin zapisała cyfry, które podał jej Chiswell, i życzyła mu miłego dnia. Gdy odłożyła słuchawkę, Strike usiadł na obitej sztuczną skórą kanapie, którą wstawili do sekretariatu z myślą o klientach. Kanapa miała nieprzyjemny zwyczaj wydawania niespodziewanych pierdzących odgłosów, gdy siedząc na niej, zmieniało się pozycję.

– Jakiś Jasper Czizel, pisze się „Chiswell", chce ci zlecić zadanie. Mówi, że to musisz być ty, nikt inny. – Zdumiona Robin zmarszczyła brwi. – Skądś znam to nazwisko, prawda?

– Taa – mruknął Strike. – To minister kultury.

– Boże – powiedziała Robin, nareszcie kojarząc tego człowieka. – O c z y w i ś c i e! Duży facet z dziwną fryzurą!

– Ten sam.

Robin zaatakował rój niewyraźnych wspomnień i skojarzeń. Chyba pamiętała jakąś starą aferę, ustąpienie w niesławie

ze stanowiska, odkupienie win i całkiem niedawno nowy skandal, kolejną paskudną historię w wiadomościach...

– Czy jego syn nie trafił ostatnio do więzienia za nieumyślne spowodowanie śmierci? – zastanowiła się. – To był Chiswell, prawda? Jego naćpany syn potrącił śmiertelnie jakąś młodą matkę?

Strike ponownie skupił się na rozmowie, wracając do niej myślami, które, jak się zdawało, krążyły gdzieś daleko. Miał dziwną minę.

– Tak, coś mi to mówi.

– Co się dzieje?

– W zasadzie to kilka rzeczy. – Strike przesunął dłonią po zarośniętym podbródku. – Przede wszystkim w piątek namierzyłem brata Billy'ego.

– Jak?

– Długa historia – powiedział Strike. – Okazuje się, że Jimmy należy do ugrupowania, które protestuje przeciwko olimpiadzie. Nazywają się SGOO. W każdym razie był z dziewczyną, a pierwsze słowa, które wypowiedziała, kiedy przedstawiłem się jako prywatny detektyw, brzmiały: „Czizel go przysłał".

Strike rozważał to, popijając doskonale zaparzoną herbatę.

– Tylko że Chiswell nie potrzebowałby mnie po to, żebym miał na oku SGOO – ciągnął, głośno myśląc. – Przysłali tam już jakiegoś tajniaka.

Robin wprawdzie bardzo chciała usłyszeć, co jeszcze zaniepokoiło Strike'a w związku z telefonem Chiswella, lecz nie naciskała i tylko siedziała w milczeniu, pozwalając mu analizować w myślach nowe zdarzenie. Był to właśnie ten rodzaj taktu, za którym tęsknił, gdy miała urlop.

– To nie wszystko – podjął wreszcie, jakby ta chwila milczenia wcale nie nastąpiła. – Syn, który poszedł do więzienia

za nieumyślne spowodowanie śmierci, nie jest, a raczej nie był, jedynym synem Chiswella. Jego starszy brat miał na imię Freddie i zginął w Iraku. Taa. Major Freddie Chiswell, Królewscy Huzarzy Królowej. Poległy w czasie ataku na konwój w Basrze. Prowadziłem dochodzenie w sprawie jego śmierci, służąc jeszcze w Wydziale do spraw Specjalnych.

– Więc z n a s z Chiswella?

– Nie, nigdy nie miałem z nim styczności. Zwykle nie poznaje się członków rodzin... Za to wiele lat temu znałem jego córkę. Tylko przelotnie, ale spotkaliśmy się kilka razy. Była koleżanką Charlotte ze szkoły.

Na wzmiankę o Charlotte Robin poczuła dziwny dreszczyk. Charlotte, która przez szesnaście lat z przerwami była dziewczyną Strike'a i z którą miał się ożenić, zanim ich związek rozpadł się z hukiem i najwyraźniej na zawsze, budziła w niej wielką ciekawość, co jednak Robin skutecznie ukrywała.

– Szkoda, że nie udało nam się zdobyć numeru Billy'ego – powiedział Strike, znowu przesuwając po brodzie włochatym łapskiem.

– Postaram się go zapisać, kiedy znowu się odezwie – zapewniła go Robin. – Zamierzasz oddzwonić do Chiswella? Mówił, że wybiera się na jakieś zebranie.

– Bardzo chciałbym się dowiedzieć, o co mu chodzi, ale pytanie brzmi, czy mamy miejsce dla kolejnego klienta. Zastanówmy się...

Strike założył rękę za głowę, zmarszczył brwi i spojrzał na sufit, na którym słońce ukazało liczne drobne pęknięcia. „Walić to..." Niedługo biuro będzie przecież zmartwieniem dewelopera...

– Do śledzenia Webstera przydzieliłem Andy'ego i Barclaya. Nawiasem mówiąc, Barclay dobrze sobie radzi. Zaliczył trzy dni

porządnej inwigilacji, ze zdjęciami i z całą resztą. Zostaje zatem Nieuchwytny Doktorek. Nadal nie zrobił niczego godnego uwagi.

– Szkoda – stwierdziła Robin, po czym szybko się poprawiła. – Nie, źle to ujęłam. Nie miałam na myśli nic złego. – Przetarła oczy. – Ta robota – dodała z westchnieniem – zaburza człowiekowi system zasad etycznych. Kto dziś obserwuje Doktorka?

– Zamierzałem poprosić o to ciebie – odparł Strike – ale wczoraj po południu zadzwonił klient. Zapomniał mi powiedzieć, że Nieuchwytny jest na jakimś sympozjum w Paryżu. – Ze spojrzeniem utkwionym w suficie i zmarszczonymi w zamyśleniu brwiami dorzucił: – Jutro zaczyna się dwudniowa konferencja informatyczna. Co wolisz: Harley Street czy centrum konferencyjne w Epping Forest? Jeśli chcesz, możemy się zamienić. Masz ochotę obserwować jutro Doktorka czy setki śmierdzących mózgowców w koszulkach z superbohaterami?

– Nie wszyscy informatycy śmierdzą – powiedziała z wyrzutem. – Na przykład twój kumpel Spanner.

– Lepiej nie oceniaj Spannera po ilości dezodorantu, którą się spryskuje, zanim tu przychodzi – poradził jej Strike.

Spanner, który podrasował im system komputerowy i telefoniczny, gdy interes gwałtownie rozkwitł, był młodszym bratem Nicka, starego przyjaciela Strike'a. Spodobała mu się Robin, o czym zarówno ona, jak i Strike doskonale wiedzieli.

Strike rozważał różne możliwości, znowu drapiąc się po brodzie.

– Oddzwonię do Chiswella i dowiem się, czego chce – zdecydował w końcu. – Nigdy nie wiadomo, może to będzie lepsza robota niż śledzenie niewiernej żony tego prawnika. To on jest następny w kolejce, prawda?

– Albo on, albo ta Amerykanka, która wyszła za dilera Ferrari. Obydwoje czekają.

Strike westchnął. Niewierność była motywem obecnym w większości zlecanych im zadań.

– Mam nadzieję, że Chiswella nie zdradza żona. Marzę o jakiejś odmianie.

Gdy wstawał z kanapy, mebel jak zwykle wydał z siebie dźwięki wywołujące skojarzenia ze wzdęciem. Patrząc, jak detektyw idzie z powrotem do swojego biura, Robin zawołała za nim:

– Więc mogę spokojnie dokończyć papierkową robotę?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Robin odwróciła się w stronę monitora i zrobiło jej się całkiem wesoło. Jakiś uliczny grajek na Denmark Street właśnie zaczął śpiewać *No Woman, No Cry* i przez chwilę, gdy rozmawiali o Billym Knighcie i Chiswellach, czuła się tak, jakby znowu byli Strikiem i Robin sprzed roku, zanim wylał ją z pracy, zanim poślubiła Matthew.

Tymczasem Strike zadzwonił z biura do Jaspera Chiswella, który prawie natychmiast odebrał połączenie.

– Chiswell – warknął.

– Mówi Cormoran Strike – przedstawił się detektyw. – Przed chwilą rozmawiał pan z moją wspólniczką.

– A, tak – odrzekł minister kultury, który najprawdopodobniej właśnie siedział na tylnym siedzeniu samochodu. – Mam dla pana pracę. Nie chcę o niej rozmawiać przez telefon. Niestety dzisiaj jestem zajęty aż do wieczora, ale pasowałoby mi spotkać się jutro.

– *Ob-observing the hypocrites...* – śpiewał grajek na ulicy.

– Przykro mi, jutro nie ma szans – stwierdził Strike, obserwując drobinki kurzu spadające w jasnym świetle. – Właściwie to miałbym czas dopiero w piątek. Może mi pan zdradzić, jakiego rodzaju pracę ma pan na myśli, panie ministrze?

W odpowiedzi Chiswella pobrzmiewały zarówno napięcie, jak i złość.

– Nie mogę o tym rozmawiać przez telefon. Dopilnuję, żeby opłacało się panu ze mną spotkać, jeśli o to panu chodzi.

– To nie kwestia pieniędzy, tylko czasu. Do piątku będę bardzo zajęty.

– Och, na litość boską...

Chiswell nagle odsunął telefon od ust i Strike usłyszał, jak mówi do kogoś z wściekłością:

– W l e w o, kretynie! W l e... Kurwa mać! Nie, dalej pójdę pieszo. Pójdę piechotą, do cholery, otwieraj drzwi!

W tle rozległ się nerwowy męski głos:

– Przepraszam, panie ministrze, tam był zakaz wjazdu...

– Nieważne! Otwieraj... O t w i e r a j t e c h o l e r n e d r z w i!

Strike czekał z uniesionymi brwiami. Usłyszał trzask drzwi samochodu i szybkie kroki, a potem znowu odezwał się Jasper Chiswell, przysuwając usta do aparatu.

– Sprawa jest pilna! – syknął.

– Jeśli nie może zaczekać do piątku, obawiam się, że będzie pan musiał znaleźć kogoś innego.

– *My feet is my only carriage* – śpiewał grajek.

Chiswell przez chwilę milczał. W końcu powiedział:

– To musi być pan. Wyjaśnię, kiedy się spotkamy, ale... No dobrze, skoro to m u s i być piątek, spotkajmy się w klubie Pratt's. Przy Park Place. Niech pan przyjdzie w południe. Postawię panu lancz.

– Dobrze – zgodził się Strike, teraz już bardzo zaintrygowany. – Do zobaczenia w Pratt's.

Rozłączył się i wrócił do sekretariatu, gdzie Robin otwierała i segregowała pocztę. Gdy przekazał jej, jak zakończyła się rozmowa, wyszukała dla niego w internecie informacje na temat Pratt's.

– Nie przypuszczałam, że takie miejsca wciąż istnieją – powiedziała z niedowierzaniem, po tym jak przez minutę czytała informacje na stronie.

– Jakie miejsca?

– To klub dla dżentelmenów... bardzo torysowski... Kobiety nie mają tam wstępu, chyba że zaproszone na lancz jako goście członków klubu... i żeby „uniknąć zamieszania – czytała Robin z Wikipedii – wszystkich pracowników obsługi nazywają tam George".

– A jeśli zatrudnią kobietę?

– Wygląda na to, że zdarzyło im się to w latach osiemdziesiątych – poinformowała Robin z miną wyrażającą coś pomiędzy rozbawieniem a dezaprobatą. – Nazywali ją Georgina.

9

Tym lepiej dla ciebie, że nie [wiesz]. *Tym lepiej dla nas obojga.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

W piątek o wpół do dwunastej ubrany w garnitur i świeżo ogolony Strike wyszedł ze stacji metra Green Park i ruszył wzdłuż Piccadilly. Piętrowe autobusy przetaczały się obok witryn luksusowych sklepów, które wykorzystywały olimpijską gorączkę, wpychając klientom eklektyczną mieszankę towarów: zawinięte w złotko medale z czekolady, męskie półbuty ozdobione brytyjską flagą, zabytkowe plakaty sportowe i oczywiście pokawałkowane logo, które Jimmy Knight porównał do połamanej swastyki.

Strike zarezerwował sobie mnóstwo czasu na dotarcie do Pratt's, ponieważ po dwóch dniach, w czasie których rzadko miał okazję odciążyć kikut, znowu bolała go noga. Liczył na to, że konferencja informatyczna w Epping Forest, gdzie spędził poprzedni dzień, będzie stwarzała okazje do odpoczynku, ale się rozczarował. Jego obiekt, niedawno wyrzucony z pracy wspólnik start-upa, był podejrzany o próbę sprzedaży konkurencji najważniejszych elementów nowej aplikacji byłego pracodawcy. Strike godzinami chodził za tym młodym człowiekiem od stoiska do stoiska, dokumentując wszystkie jego ruchy i interakcje i mając nadzieję, że w pewnym momencie facet się zmęczy i usiądzie. Jednak pomiędzy wizytami w kawiarni, w której klienci stali przy wysokich stolikach, oraz barze kanapkowym, gdzie wszyscy na stojąco jedli palcami sushi z plastikowych pudełek, obiekt przez osiem godzin chodził albo stał. Jako że poprzedni dzień upłynął Strike'owi

na wielogodzinnym snuciu się po Harley Street, nic dziwnego, że wieczorem zdjęcie protezy nie było niczym przyjemnym i musiał się bardzo postarać, żeby odkleić żelową poduszeczkę oddzielającą kikut od sztucznej goleni. Mijając chłodne łuki Ritza w kolorze złamanej bieli, miał nadzieję, że w Pratt's znajdzie się co najmniej jedno wygodne krzesło o słusznych rozmiarach.

Od razu skręcił w Saint James's Street, która lekko opadając, doprowadziła go do szesnastowiecznego pałacu Świętego Jakuba. Strike zwykle nie bywał w tej części Londynu, ponieważ nie miał ani środków, ani skłonności do robienia zakupów w butikach dla dżentelmenów, otwartych dawno temu sklepach z bronią czy u sprzedawców oferujących butelki kilkusetletniego wina. Gdy jednak zbliżał się do Park Place, nawiedziło go pewne wspomnienie. Ponad dziesięć lat temu szedł tą ulicą z Charlotte.

Kierowali się wówczas w górę, a nie w dół wzniesienia, i zmierzali na lancz z jej ojcem, który teraz już nie żył. Strike był na przepustce z wojska i niedawno wznowili z Charlotte coś, co wszyscy, którzy ich znali, uważali za niezrozumiały romans skazany na oczywistą porażkę. Po żadnej stronie ich związku nigdy nie było nikogo, kto by im kibicował. Wśród jego przyjaciół i krewnych Charlotte wywoływała całą gamę uczuć: od nieufności do nienawiści, a jej bliscy zawsze uważali Strike'a, nieślubnego syna osławionego gwiazdora rocka, za kolejny przejaw dążenia Charlotte do szokowania i buntu. Wojskowa kariera Strike'a była dla jej rodziny niczym, raczej jedynie kolejną oznaką jego plebejskiej niezdatności, by aspirował do ręki dobrze urodzonej ślicznotki, ponieważ dżentelmeni z klasy społecznej Charlotte nie zaciągali się do żandarmerii wojskowej, lecz do kawalerii albo pułków gwardii.

Charlotte bardzo mocno ścisnęła go za rękę, gdy wchodzili do włoskiej restauracji gdzieś w pobliżu. Dokładne położenie lokalu

wyleciało Strike'owi z głowy. Pamiętał tylko wściekłość i dezaprobatę malujące się na twarzy sir Anthony'ego Campbella, kiedy podeszli do stolika. Zanim ktokolwiek się odezwał, Strike zdołał się domyślić, że Charlotte nie wspomniała ojcu, że wróciła do Strike'a ani że przyprowadzi go ze sobą na spotkanie. Było to przeoczenie całkowicie w stylu Charlotte, niechybnie poprzedzające scenę w stylu Charlotte. Strike już dawno doszedł do wniosku, że inscenizowała takie sytuacje z powodu najwyraźniej niezaspokojonej potrzeby konfliktu. Miała skłonność do wybuchów bolesnej szczerości powiązanej z jej zasadniczą mitomanią, a pod koniec ich związku powiedziała Strike'owi, że podczas kłótni przynajmniej czuła, że żyje.

Zrównując się z Park Place, rzędem pomalowanych na kremowo willi, ciągnącym się od Saint James's Street, zauważył, że nagłe wspomnienie Charlotte kurczowo trzymającej go za rękę nie sprawia mu już bólu, i poczuł się jak alkoholik, który po raz pierwszy czuje zapach piwa i nie oblewa się potem ani nie musi się zmagać z rozpaczliwym pragnieniem. „Może to już minęło" – pomyślał, zbliżając się do czarnych drzwi Pratt's zwieńczonych balustradą z kutego żelaza. Być może dwa lata po tym, jak przyłapał ją na niewybaczalnym kłamstwie i odszedł na dobre, zdołał się z niej wyleczyć, oddalić się od tego, co czasami – mimo że nie był przesądny – uważał za rodzaj trójkąta bermudzkiego, za niebezpieczny teren, na którym istniało ryzyko, że tajemnicza siła przyciągania, jaką wywierała na niego Charlotte, znowu wciągnie go pod powierzchnię, w odmęty cierpienia i bólu.

Z niewyraźnym poczuciem, że uczestniczy w jakimś odświętnym wydarzeniu, zapukał do drzwi klubu.

Otworzyła mu drobna kobieta o matczynym wyglądzie. Jej obfity biust i czujne jasne oczy przywiodły mu na myśl rudzika albo

strzyżyka. Gdy się odezwała, wychwycił ślad akcentu z West Country.

– Pan Strike, jak się domyślam. Ministra jeszcze nie ma. Proszę, niech pan wejdzie.

Przekroczył próg i wszedł do holu, z którego można było zobaczyć olbrzymi stół bilardowy. Dominowały tam nasycone karmazyny i zielenie oraz ciemne drewno. Kelnerka, którą, jak przypuszczał, nazywano Georgina, poprowadziła go w dół po stromych schodach. Stąpał ostrożnie, cały czas mocno trzymając się poręczy.

Schody wiodły do przytulnej sutereny. Sufit wisiał tak nisko, jakby z jednej strony podtrzymywał go olbrzymi kredens, w którym eksponowano rozmaite porcelanowe półmiski. Te stojące na samej górze niemal wbijały się w tynk.

– Nasz klub nie jest zbyt duży – oznajmiła kobieta, stwierdzając oczywisty fakt. – Liczymy sześciuset członków, ale jesteśmy w stanie obsłużyć tylko czternastu naraz. Napije się pan czegoś, panie Strike?

Podziękował, ale skorzystał z zaproszenia, żeby usiąść w jednym ze skórzanych foteli ustawionych wokół wiekowej planszy do gry w cribbage.

Sklepione przejście dzieliło pomieszczenie na salon i jadalnię. Przy długim stole w drugiej połowie sali, pod małym oknem z zamkniętymi okiennicami, nakryto dla dwóch osób. Jedynym człowiekiem obecnym w środku oprócz Strike'a i Georginy był szef kuchni w białym fartuchu, pracujący w maleńkiej kuchni zaledwie metr od miejsca, w którym usiadł Strike. Mężczyzna powitał gościa z francuskim akcentem, po czym wrócił do krojenia zimnej pieczeni wołowej.

Było to zupełne przeciwieństwo eleganckich restauracji, w których Strike śledził niewiernych mężów i żony, gdzie tak

dobierano oświetlenie, by podkreślało urodę szkła i granitu, a zgryźliwi krytycy kulinarni siedzieli niczym eleganckie sępy na niewygodnych nowoczesnych krzesłach. W Pratt's panował półmrok. Tu i tam w ścianach ozdobionych ciemnoczerwoną tapetą, w dużej części przysłoniętą wypchanymi rybami w szklanych gablotkach, rycinami przedstawiającymi sceny myśliwskie oraz rysunkami o treści politycznej, tkwiły mosiężne lampki umieszczone nad obrazami. W wyłożonej niebieskimi i białymi płytkami niszy biegnącej wzdłuż jednej strony pomieszczenia przycupnął stary żelazny piecyk. Porcelanowe talerze, wytarty dywan, stół, na którym bezpretensjonalnie postawiono keczup i musztardę, tworzyły nastrój przytulnej swobody, jakby zgraja młodych arystokratów przywlekła wszystkie rzeczy, które podobały im się w świecie dorosłych – gry, napoje i trofea – do piwnicy, gdzie troskliwa babcia rozdaje uśmiechy i pochwały.

Nastała dwunasta, ale Chiswell się nie pojawił. „Georgina" była jednak przyjaźnie nastawiona i chętnie opowiadała o klubie. Wraz z mężem, szefem kuchni, mieszkali na terenie Pratt's. Strike chcąc nie chcąc pomyślał, że to musi być jedna z najdroższych nieruchomości w Londynie. Utrzymanie małego klubu, który, jak poinformowała go Georgina, został założony w 1857 roku, kosztowało kogoś dużo pieniędzy.

– Tak, właścicielem klubu jest książę Devonshire – powiedziała wesoło Georgina. – Widział pan naszą księgę zakładów?

Strike przewracał strony ciężkiego, oprawionego w skórę tomiszcza, w którym dawno temu zapisywano zakłady. Przeczytał słowa zanotowane olbrzymimi bazgrołami w latach siedemdziesiątych: „O to, że następny rząd będzie tworzyła pani Thatcher. Zakład: kolacja złożona z jednego homara większego niż męski kutas w stanie wzwodu".

Gdy z uśmiechem wpatrywał się w te słowa, nad jego głową zadźwięczał dzwonek.

– To na pewno pan minister. – Georgina pospieszyła po schodach.

Strike odłożył księgę zakładów na półkę i wrócił na swoje miejsce. Z góry dobiegły ciężkie kroki, a potem rozległ się ten sam gniewny, zniecierpliwiony głos, który słyszał w poniedziałek:

– Nie, Kinvaro, nie mogę. Właśnie ci powiedziałem dlaczego, umówiłem się z kimś na lancz... Nie, nie możesz... Dobrze, w piątek... Tak... t a k!... Do widzenia!

Para ogromnych stóp w czarnych butach schodziła po stopniach, aż wreszcie w suterenie pojawił się Jasper Chiswell rozglądający się z zadzierzystą miną. Strike wstał z fotela.

– O! – zawołał Chiswell, przyglądając się detektywowi spod ciężkich brwi. – Jest pan.

Jak na sześćdziesięcioośmiolatka Jasper Chiswell trzymał się całkiem dobrze. Ten rosły, barczysty mężczyzna, choć nieco przygarbiony, wciąż miał bujne siwe włosy, które – co wydawało się nieprawdopodobne – były prawdziwe. Stanowił z ich powodu łatwy cel dla karykaturzystów, ponieważ jego szorstkie, proste i dość długie kudły sterczały na głowie, przywodząc na myśl perukę albo, jak sugerowali złośliwcy, szczotkę do czyszczenia kominów. Do włosów dochodziły małe oczka, czerwona twarz i wystająca dolna warga, co upodobniało go do przerośniętego bobasa, nieustannie będącego o krok od napadu złości.

– Żona – wyjaśnił Strike'owi, wciąż trzymając w ręku komórkę. – Zjawia się w mieście bez uprzedzenia. Dąsa się. Myśli, że mogę wszystko rzucić.

Chiswell wyciągnął wielką, spoconą dłoń, którą Strike uścisnął na powitanie, po czym zdjął ciężki płaszcz włożony mimo upału. Gdy to robił, Strike zauważył spinkę przytrzymującą jego

postrzępiony krawat pułkowy. Ktoś niewtajemniczony mógłby pomyśleć, że przedstawia konia na biegunach, lecz Strike natychmiast rozpoznał białego konia hanowerskiego.

– Huzarzy Królowej – powiedział detektyw, skinąwszy głową w stronę spinki, gdy obaj mężczyźni usiedli.

– Taa – potwierdził Chiswell. – Georgino, napiję się tego sherry, które mi podałaś, kiedy byłem tu z Alastairem. A pan? – warknął do Strike'a.

– Nie, dzięki.

Chiswell, choć z całą pewnością nie był tak zaniedbany jak Billy Knight, nie pachniał zbyt świeżo.

– Taa. Huzarzy Królowej. Aden i Singapur. Szczęśliwe czasy.

W tym momencie nie wydawał się jednak szczęśliwy. Jego rumiana cera wyglądała z bliska dziwnie, jakby pokrywał ją jakiś nalot. Wokół cebulek szorstkich włosów leżała gruba warstwa łupieżu, a pod pachami niebieskiej koszuli widniały olbrzymie plamy potu. Minister miał charakterystyczny wygląd – co wśród klientów Strike'a nie było niczym niezwykłym – człowieka w stanie silnego stresu. Gdy podano mu sherry, łyknął większość trunku jednym haustem.

– Przejdziemy do stołu? – zaproponował i nie czekając na odpowiedź, warknął: – Georgino, chcemy zjeść od razu.

Gdy już zasiedli przy stole nakrytym sztywnym śnieżnobiałym obrusem – tak jak stoły na weselu Robin – Georgina przyniosła grube plastry zimnej pieczeni wołowej i gotowane ziemniaki. Było to jedzenie rodem z angielskiego przedszkola, zwyczajne i niewyszukane, co zresztą niczego mu nie ujmowało. Dopiero gdy kelnerka zostawiła ich w spokoju w słabo oświetlonej jadalni, pełnej obrazów olejnych i martwych ryb, Chiswell odezwał się ponownie.

– Był pan na zebraniu z udziałem Jimmy'ego Knighta – powiedział bez wstępów. – Rozpoznał pana tajniak.

Strike pokiwał głową. Chiswell wepchnął do ust gotowanego ziemniaka, przeżuł go ze złością i połknął, po czym podjął:

– Nie wiem, kto panu płaci za zbieranie haków na Jimmy'ego Knighta ani co pan już na niego ma, ale ktokolwiek to jest i cokolwiek pan ma, jestem gotów zapłacić za te informacje dwa razy więcej.

– Obawiam się, że nie mam niczego na Jimmy'ego Knighta – odparł Strike. – Nikt mi nie płacił za udział w tym zebraniu.

Chiswell osłupiał.

– Więc po co pan tam poszedł? – spytał ostro. – Chyba mi pan nie powie, że pan też zamierza protestować przeciwko olimpiadzie?

„P" w słowie „protestować" było tak zwarto-wybuchowe, że kawałeczek ziemniaka wyleciał z ust Chiswella na stół.

– Nie – odrzekł Strike. – Próbowałem znaleźć kogoś, kto moim zdaniem mógł się zjawić na tym zebraniu. Ale się nie zjawił.

Chiswell znowu przypuścił atak na wołowinę, jakby wyrządziła mu jakąś osobistą krzywdę. Przez chwilę było słychać jedynie noże i widelce drapiące porcelanę. Chiswell nadział na widelec resztę gotowanych ziemniaków, włożył je wszystkie do ust, z brzękiem upuścił sztućce na talerz i powiedział:

– Myślałem o zatrudnieniu detektywa, jeszcze zanim się dowiedziałem, że obserwuje pan Knighta.

Strike milczał. Chiswell podejrzliwie mierzył go wzrokiem.

– Ma pan reputację bardzo dobrego fachowca.

– Miło, że pan tak mówi – odparł Strike.

Chiswell nadal wpatrywał się w detektywa z pewną wściekłą desperacją, jakby się zastanawiał, czy ośmieli się mieć nadzieję,

że detektyw nie okaże się kolejnym rozczarowaniem w życiu, które było nimi wypełnione.

– Panie Strike, jestem szantażowany – oznajmił nagle. – Szantażują mnie dwaj mężczyźni połączeni od niedawna, choć zapewne tylko doraźnie, pewnym przymierzem. Jednym z nich jest Jimmy Knight.

– Rozumiem.

Strike też odłożył sztućce. Georgina dzięki jakimś paranormalnym zdolnościom najwyraźniej wyczuła, że skończyli jeść pierwsze danie. Przyszła sprzątnąć ze stołu, po czym zjawiła się z tartą melasową. Dopiero gdy wycofała się do kuchni i obaj mężczyźni nałożyli sobie ogromne porcje deseru, Chiswell podjął przerwany wątek.

– Nie ma potrzeby wywlekania brudnych szczegółów. Powinno panu wystarczyć to, że Jimmy Knight wie, że zrobiłem coś, co wolałbym zachować w tajemnicy przed szanownymi przedstawicielami czwartej władzy.

Strike milczał, lecz Chiswell najwyraźniej uznał, że w ciszy, która zapadła, pobrzmiewa oskarżycielska nuta, bo dodał ostrym tonem:

– Nie popełniono żadnego przestępstwa. Niektórym może się to nie spodobać, ale wtedy to było zgodne z prawem... Mniejsza z tym. – Pociągnął solidny łyk wody. – Knight przyszedł do mnie dwa miesiące temu i zażądał czterdziestu tysięcy za milczenie. Odmówiłem. Zagroził, że mnie wyda, ale ponieważ nie wyglądało na to, żeby dysponował jakimikolwiek dowodami na poparcie swoich gróźb, ośmieliłem się mieć nadzieję, że nie będzie w stanie ich spełnić. W prasie nie ukazała się żadna wzmianka na ten temat, więc doszedłem do wniosku, że się nie myliłem i rzeczywiście brakuje mu dowodów. Kilka tygodni później zjawił się znowu i zażądał połowy tamtej kwoty. Znowu odmówiłem. Wtedy, chcąc, jak przypuszczam, wywrzeć na mnie większy nacisk, zwrócił się do Gerainta Winna.

– Przepraszam, nie bardzo wiem, kim jest...

– To mąż Delli Winn.

– Tej minister sportu? – spytał zaskoczony Strike.

– Oczywiście, że tej minister sportu – warknął Chiswell.

Wielce szanowna Della Winn, jak Strike dobrze wiedział, była sześćdziesięciokilkuletnią Walijką, niewidomą od urodzenia. Bez względu na sympatie polityczne ludzie zazwyczaj podziwiali tę przedstawicielkę liberalnych demokratów, która przed dostaniem się do parlamentu była prawniczką specjalizującą się w ochronie praw człowieka. Zwykle fotografowano ją razem z psem przewodnikiem, biszkoptową labradorką, a ostatnio dziennikarze poświęcali jej więcej uwagi, ponieważ aktualnie zajmowała się organizowaniem paraolimpiady. Gdy Strike leżał w szpitalu, dochodząc do siebie po utracie nogi w Afganistanie, odwiedziła Selly Oak. Jej inteligencja i empatia zrobiła na nim dobre wrażenie. Na temat męża nic nie wiedział.

– Nie mam pojęcia, czy Della wie, co knuje Geraint – powiedział Chiswell, nadziewając na widelczyk kawałek tarty i nie przestając mówić nawet z pełnymi ustami. – Pewnie tak, ale woli trzymać się od tego z daleka. To się nazywa wiarygodne zaprzeczenie. Przecież nie możemy wciągać świętej Delli w sprawę szantażu, prawda?

– Jej mąż zażądał od pana pieniędzy? – zapytał z niedowierzaniem Strike.

– Och, nie, nie. Geraint chce, żebym ustąpił ze stanowiska.

– Ma ku temu jakiś konkretny powód? – zainteresował się Strike.

– Nasza wzajemna wrogość sięga wiele lat wstecz, jest zakorzeniona w zupełnie bezpodstawnym... Ale to nie ma związku ze sprawą – uciął Chiswell, ze złością kręcąc głową. – Geraint spytał mnie o tę sprawę, „mając nadzieję, że to nieprawda" i „dając mi szansę, żebym się wytłumaczył". To mały, podły krętacz, który przez

całe życie trzymał się spódnicy żony i odbierał jej telefony. Oczywiście z rozkoszą zdobyłby trochę prawdziwej władzy.

Chiswell pociągnął tęgi łyk sherry.

– Jak pan widzi, panie Strike, znalazłem się między młotem a kowadłem. Nawet gdybym był skłonny zapłacić Jimmy'emu Knightowi za milczenie, musiałbym stawić czoło człowiekowi, który pragnie mojej hańby i zapewne może zdobyć potrzebne dowody.

– W jaki sposób miałby to zrobić?

Chiswell wsadził do ust kolejny olbrzymi kęs tarty i spojrzał przez ramię, żeby sprawdzić, czy Georgina nadal przebywa w kuchni i nie może go usłyszeć.

– Podobno – mruknął, wypuszczając przez obwisłe usta mgiełkę okruszków – są jakieś zdjęcia.

– Zdjęcia? – powtórzył Strike.

– Oczywiście Winn na razie ich nie ma. Gdyby miał, byłoby po sprawie. Ale być może zdoła znaleźć sposób, żeby je zdobyć. Taa. – Wrzucił do ust ostatni kawałek ciasta, po czym dodał: – Naturalnie jest szansa, że te zdjęcia wcale mnie nie obciążają. O ile mi wiadomo, nie było żadnych znaków szczególnych.

Strike poczuł, że to przerasta jego wyobraźnię. Chciał spytać: „Znaków szczególnych na czym, panie ministrze?", ale się powstrzymał.

– To wszystko wydarzyło się sześć lat temu – ciągnął Chiswell. – Roztrząsam tę sprawę bez końca. Brały w niej udział inne osoby, które mogły się wygadać, ale wątpię w to, szczerze wątpię. Zbyt wiele do stracenia. Nie, wszystko będzie zależało od tego, do czego dokopią się Knight i Winn. Przypuszczam, że jeśli Winn zdobędzie zdjęcia, od razu pójdzie do dziennikarzy. Wątpię, żeby Knight od tego zaczął. On po prostu chce forsy. No więc tak to wygląda,

panie Strike, *a fronte praecipitium, a tergo lupi.* Ta historia wisi nade mną od tygodnia. I nie jest to przyjemne.

Spojrzał na Strike'a maleńkimi oczkami i detektywowi nasunęło się nieodparte skojarzenie z kretem wpatrującym się w łopatę, która tylko czeka, żeby go zmiażdżyć.

– Kiedy się dowiedziałem, że był pan na tym zebraniu, założyłem, że prowadzi pan jakieś dochodzenie związane z Knightem i szuka pan na niego haków. Doszedłem do wniosku, że jedynym sposobem, żeby wyjść z tej piekielnej sytuacji, jest znalezienie czegoś, co mógłbym wykorzystać przeciwko nim obu, zanim te zdjęcia wpadną w ich łapy. Ogień najlepiej zwalczać ogniem.

– A szantaż szantażem? – spytał Strike.

– Nie chcę od nich niczego poza tym, żeby dali mi cholerny spokój – burknął Chiswell. – Chcę mieć jakąś kartę przetargową, nic więcej. Działałem w granicach prawa – oświadczył stanowczo – i zgodnie ze swoim sumieniem.

Chiswell nie wzbudzał szczególnej sympatii, ale Strike bez trudu potrafił sobie wyobrazić, że niepewność związana z czekaniem na publiczne zdemaskowanie jest udręką, zwłaszcza dla człowieka, który ma już na koncie sporą liczbę skandali. Spośród informacji, które detektyw zebrał pobieżnie na temat swojego potencjalnego klienta poprzedniego dnia wieczorem, wyłoniły się triumfalne relacje dotyczące romansu, który zakończył jego pierwsze małżeństwo, faktu, że jego druga żona spędziła tydzień w klinice z powodu „załamania nerwowego", oraz okropnego, spowodowanego pod wpływem narkotyków wypadku samochodowego, w którym jego drugi syn zabił młodą matkę.

– To bardzo poważna sprawa, panie Chiswell – stwierdził Strike. – Żeby dokładnie przyjrzeć się Knightowi i Winnowi,

potrzebowałbym dwóch albo i trzech ludzi, zwłaszcza jeśli czas nagli.

– Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało – powiedział Chiswell. – Nie obchodzi mnie, czy będzie pan musiał zaangażować w to całą agencję. Nie wierzę, że Winn nie ma czegoś na sumieniu, bo to podstępna gadzina. Winnowie to dziwna para. Ona, niewidomy świetlisty anioł – Chiswell wykrzywił usta – i on, jej brzuchaty giermek, wiecznie knujący i zadający ciosy w plecy, rzucający się na wszystkie darmowe fanty, jakie uda mu się zdobyć. Tam musi coś być. Musi. A jeśli chodzi o Knighta, tego wrzaskliwego komucha, na pewno ma za uszami coś, czego nie odkryła jeszcze policja. Zawsze był łobuzem, przeklęty drań.

– Znał pan Jimmy'ego Knighta, zanim zaczął pana szantażować? – spytał Strike.

– O tak – potwierdził Chiswell. – Knightowie pochodzą z mojego okręgu wyborczego. Ich ojciec pracował dla naszej rodziny jako złota rączka. Matki nie znałem. Zdaje się, że umarła, zanim oni trzej przeprowadzili się do Steda Cottage.

– Rozumiem – powiedział Strike.

Przypomniały mu się słowa wystraszonego Billy'ego: „Widziałem, jak ktoś udusił dziecko, ale nikt mi nie wierzy", nerwowy ruch od nosa do klatki piersiowej, gdy wykonywał swój niepełny znak krzyża, i prozaiczny, konkretny szczegół w postaci różowego koca, w którym rzekomo pochowano martwe dziecko.

– Panie Chiswell, zanim zaczniemy omawiać warunki, powinienem panu o czymś powiedzieć – zaczął Strike. – Byłem na zebraniu SGOO, dlatego że próbowałem znaleźć młodszego brata Knighta. Ma na imię Billy.

Bruzda między krótkowzrocznymi oczami Chiswella odrobinę się pogłębiła.

– Taa, pamiętam, że było ich dwóch, ale Jimmy był znacznie starszy... z dziesięć lat albo i więcej, powiedziałbym. Nie widziałem... Billy'ego, tak?... od wielu lat.

– Hm, cierpi na poważną chorobę psychiczną. W poniedziałek zjawił się u mnie, opowiedział dziwną historię, a potem uciekł.

Chiswell czekał i Strike był pewien, że wyczuwa napięcie.

– Billy twierdzi – uzupełnił Strike – że w dzieciństwie był świadkiem uduszenia dziecka.

Chiswell nie wzdrygnął się przerażony, nie zaczął krzyczeć ani pomstować. Nie spytał, czy się go oskarża ani co to ma, do diabła, z nim wspólnego. Nie zareagował żadną z efektownych prób obrony właściwych ludziom winnym, a mimo to Strike mógłby przysiąc, że słowa Billy'ego nie były dla Chiswella żadną nowością.

– I kto według niego udusił to dziecko? – odezwał się Chiswell, przesuwając palcami po nóżce kieliszka do wina.

– Nie powiedział mi... Może nie chciał powiedzieć.

– Myśli pan, że Knight szantażuje mnie z tego powodu? Z powodu dzieciobójstwa? – spytał szorstko Chiswell.

– Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, dlaczego szukałem Jimmy'ego – odparł Strike.

– Nie mam nikogo na sumieniu – oznajmił z mocą Jasper Chiswell. Przełknął ostatni łyk wody. – Nie można – dodał, odstawiając pusty kieliszek na stół – obarczać kogoś winą za niezamierzone konsekwencje.

10

Wierzyłam, że we dwoje potrafimy to zrobić.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Godzinę później detektyw i minister wyszli z klubu przy Park Place 14 i pokonali kilka metrów dzielących ich od Saint James's Street. Przy kawie Chiswell stał się mniej zrzędliwy i rzadziej popadał w sentencjonalność. Strike przypuszczał, że minister odczuł ulgę, inicjując działanie, które mogło zdjąć z jego barków coś, co najwyraźniej stało się trudnym do zniesienia brzemieniem strachu i niepewności. Uzgodnili warunki i Strike był zadowolony, ponieważ wróżyło to pracę lepiej płatną i ambitniejszą niż zlecenia, którymi ostatnio zajmowała się agencja.

– Dziękuję, panie Strike – powiedział Chiswell, spoglądając na Saint James's, gdy obaj przystanęli na rogu. – Muszę tu pana zostawić. Umówiłem się z synem.

Mimo to nie odszedł.

– Prowadził pan dochodzenie w sprawie śmierci Freddiego – stwierdził nagle, zerkając z ukosa na Strike'a.

Strike nie przypuszczał, że Chiswell poruszy ten temat, a już z pewnością nie w takim miejscu, mimochodem, po gorącej dyskusji, jaka wywiązała się w suterenie.

– Tak – odrzekł. – Wyrazy współczucia.

Chiswell nie odrywał oczu od widocznej w oddali galerii sztuki.

– Zapamiętałem pańskie imię, podano je w raporcie. Jest nietypowe.

Przełknął ślinę, wciąż wpatrując się w galerię. Wydawał się dziwnie nieskory do wyruszenia na umówione spotkanie.

– Freddie był cudownym chłopakiem. Cudownym. Zaciągnął się do mojego dawnego pułku... no, w zasadzie tak było. Jak pan wie, w dziewięćdziesiątym trzecim Huzarzy Królowej połączyli się z Królewskimi Irlandzkimi Huzarami Królowej. Więc zaciągnął się

do Królewskich Huzarów Królowej. Pełen perspektyw. Pełen życia. Ale pan oczywiście nie miał okazji go poznać.

– Nie – przyznał Strike. Poczuł, że wypada powiedzieć coś miłego. – Był pana najstarszym dzieckiem, prawda?

– Najstarszym z czworga. – Chiswell pokiwał głową. – Dwie córki – sądząc po modulacji głosu, były mu obojętne; przecież to tylko kobiety, plewy, a nie ziarno – i ten drugi syn – dodał ponuro. – Trafił do więzienia. Pewnie czytał pan o tym w gazetach?

– Nie – skłamał Strike, ponieważ wiedział, jakie to uczucie, gdy gazety roztrząsają szczegóły twojego prywatnego życia. Najuprzejmiej, choć raczej nie do końca wiarygodnie, było udawać, że w ogóle się ich nie czytało, pozwolić, by ludzie sami opowiadali swoje historie.

– Raff od początku sprawiał problemy – powiedział Chiswell. – Załatwiłem mu tam pracę. – Wskazał grubym palcem witrynę galerii w oddali. – Studiował historię sztuki, ale zrezygnował – ciągnął minister. – Właścicielem tej galerii jest mój przyjaciel, zgodził się go przyjąć. Moja żona uważa, że to beznadziejny przypadek. Zabił młodą kobietę, prowadząc samochód. Był naćpany.

Strike milczał.

– No cóż, do widzenia – zakończył Chiswell, jakby ocknął się z melancholijnego transu. Jeszcze raz podał detektywowi spoconą dłoń, a gdy Strike ją uścisnął, odszedł owinięty grubym płaszczem, zupełnie niepasującym do pięknego czerwcowego dnia.

Strike ruszył wzdłuż Saint James's Street w przeciwnym kierunku i wyjął z kieszeni komórkę. Robin odebrała po trzecim sygnale.

– Musimy się spotkać – oznajmił bez wstępów. – Mamy nową robotę, to gruba sprawa.

– Cholera! – odparła. – Jestem na Harley Street. Nie chciałam ci zawracać głowy, bo wiedziałam, że jesteś na spotkaniu z Chiswellem, ale żona Andy'ego spadła z drabiny i złamała rękę w nadgarstku. Obiecałam, że poobserwuję Doktorka, żeby Andy mógł ją zawieźć do szpitala.

– Niech to szlag. Gdzie jest Barclay?

– Nadal śledzi Webstera.

– Doktorek jest w gabinecie?

– Tak.

– Zaryzykujemy – zdecydował Strike. – W piątki zazwyczaj jedzie prosto do domu. To pilne. Muszę ci o tym opowiedzieć osobiście. Możemy się spotkać w Red Lion przy Duke of York Street?

Jako że przez całe spotkanie z Chiswellem Strike odmawiał sobie alkoholu, wolał wybrać się na piwo, niż wracać do agencji. W garniturze nie pasował do klienteli pubu White Horse w East Ham, ale w Mayfair taki strój był w sam raz i dwie minuty później detektyw wszedł do Red Lion przy Duke of York Street, przytulnego wiktoriańskiego pubu z mosiężnymi zdobieniami i ornamentowymi szybami, które kojarzyły mu się z Tottenham. Niosąc kufel london pride'a do stolika w kącie, wpisał w wyszukiwarkę imiona i nazwiska Delli Winn i jej męża, po czym zaczął czytać artykuł na temat zbliżającej się paraolimpiady, w którym wielokrotnie cytowano wypowiedzi Delli.

– Cześć – przywitała się Robin dwadzieścia pięć minut później, rzucając torebkę na krzesło naprzeciwko Strike'a.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

– Sama sobie przyniosę – powiedziała. Wróciła do niego parę minut później z sokiem pomarańczowym. – No i? – Strike uśmiechnął się, widząc jej ledwie skrywane zniecierpliwienie. – O co chodziło? Czego chciał Chiswell?

Pub, który miał kształt podkowy okalającej bar, był już wypełniony elegancko ubranymi mężczyznami i kobietami, którzy wcześnie zaczęli weekend albo, tak jak Strike i Robin, kończyli pracę przy drinku. Ściszonym głosem Strike opowiedział jej, o czym rozmawiał z Chiswellem.

– Aha – odrzekła zaskoczona Robin, gdy wreszcie skończył ją wtajemniczać. – Więc... więc mamy zbierać haki na Dellę Winn?

– Na jej męża – poprawił ją Strike. – Poza tym Chiswell woli określenie „karty przetargowe".

Robin milczała, sącząc sok.

– Robin, szantaż to przestępstwo – odezwał się Strike. Prawidłowo zinterpretował jej zaniepokojoną minę. – Knight próbuje wycisnąć z Chiswella czterdzieści tysiaków, a Winn chce go pozbawić stanowiska.

– Więc Chiswell też zamierza ich szantażować, a my mamy mu w tym pomóc?

– Codziennie zbieramy haki na ludzi – odparł szorstko Strike. – Trochę za późno na wyrzuty sumienia.

Pociągnął długi łyk z kufla, poirytowany nie tylko jej podejściem, lecz także tym, że pozwolił sobie na okazanie rozżalenia. Robin mieszkała z mężem w atrakcyjnym domu przy Albury Street, podczas gdy on nadal tkwił w dwupokojowym lokalu z przeciągami, z którego niebawem mógł zostać wyrzucony z powodu przebudowy ulicy. Agencja nigdy dotąd nie dostała zlecenia, które zapewniłoby pracę trzem osobom, i to być może na całe miesiące. Strike nie zamierzał przepraszać za to, że chętnie je przyjął. Był zmęczony po latach harówki i popadania w długi, ilekroć agencja miała gorszy okres. Wiązał ze swoimi interesami nadzieje, których nie można było spełnić, nie zadbawszy o lepsze

saldo w banku. Mimo wszystko czuł się jednak w obowiązku bronić swojego stanowiska.

– Robin, jesteśmy jak prawnicy. Stoimy po stronie klienta.

– Niedawno odmówiłeś temu bankierowi inwestycyjnemu, który chciał się dowiedzieć, gdzie jest jego żona...

– Bo było jasne jak cholera, że jeśli ją znajdzie, zrobi jej krzywdę.

– No tak – Robin patrzyła na niego wyzywająco – a jeśli to, czego dowiedzieli się o Chiswellu...

Jednak zanim zdążyła dokończyć zdanie, jakiś wysoki mężczyzna pochłonięty rozmową z kolegą wpadł na krzesło Robin i niechcący popchnął ją w stronę stołu, tak że przewróciła szklankę z sokiem.

– Ej! – warknął Strike, gdy Robin usiłowała zetrzeć sok z przemoczonej sukienki. – Może byś tak przeprosił?

– O kurczę – odezwał się mężczyzna, przeciągając samogłoski i wpatrując się w oblaną sokiem Robin. Kilka osób odwróciło się w ich stronę. – Ja to zrobiłem?

– Tak, do cholery. – Strike podniósł się z miejsca i zaczął okrążać stolik. – A to nie są przeprosiny!

– Cormoran! – rzuciła ostrzegawczo Robin.

– Cóż, przepraszam – wycedził mężczyzna, jakby to było jakieś wielkie ustępstwo. Gdy jednak ocenił gabaryty Strike'a, jego żal wydał się bardziej szczery. – Naprawdę, bardzo prze...

– Zjeżdżaj – warknął Strike. – Zamieńmy się miejscami – zwrócił się do Robin. – Jeśli przejdzie tędy następny fajtłapa, będzie miał do czynienia ze mną.

Po trosze zawstydzona, po trosze wzruszona Robin wzięła torebkę, też mokrą, i zrobiła tak, jak zaproponował. Strike wrócił do stolika, ściskając w garści papierowe serwetki.

– Dzięki – powiedziała, kiedy je podał.

Trudno było zachować wojowniczą postawę, gdy Strike z własnej woli usiadł na wilgotnym krześle, by oszczędzić jej kłopotu. Wycierając plamę na stoliku, Robin pochyliła się i odezwała ściszonym głosem:

– Dobrze wiesz, dlaczego się niepokoję. Chodzi o to, co mówił Billy.

Cienka bawełniana sukienka przykleiła się do jej ciała. Strike postanowił skupić wzrok na jej oczach.

– Spytałem o to Chiswella.

– Naprawdę?

– Jasne, że tak. Co innego mogłem pomyśleć, kiedy powiedział, że szantażuje go brat Billy'ego?

– I co on na to?

– Powiedział, że nie ma nikogo na sumieniu, ale „nie można obarczać kogoś winą za niezamierzone konsekwencje".

– Co to ma niby znaczyć, na litość boską?

– Też o to spytałem. Podał mi hipotetyczny przykład człowieka gubiącego miętówkę, którą potem dławi się na śmierć jakieś dziecko.

– C o?

– Rozumiem z tego tyle samo co ty. Domyślam się, że Billy więcej nie dzwonił?

Robin pokręciła głową.

– Słuchaj, ten chłopak najprawdopodobniej ma urojenia – stwierdził Strike. – Kiedy wspomniałem, co mi powiedział, Chiswell nie okazał najmniejszego poczucia winy ani strachu...

Mówiąc to, przypomniał sobie cień, który przemknął po twarzy Chiswella, oraz wrażenie, że ta historia nie była dla ministra całkiem nowa.

– No więc z jakiego powodu go szantażują? – spytała Robin.

– Żebym to ja wiedział – odrzekł Strike. – Mówił, że to się stało sześć lat temu, co nie pasuje do relacji Billy'ego, bo sześć lat temu nie był już małym dzieckiem. Chiswell powiedział, że niektórzy uznaliby jego postępek za niemoralny, ale był zgodny z prawem. Chyba miał na myśli to, że był zgodny z prawem, kiedy go popełniał, ale teraz już nie jest.

Strike powstrzymał się od ziewnięcia. Piwo i gorące popołudnie wywoływały w nim senność. Później był umówiony z Lorelei.

– Więc mu ufasz?

– Czy ufam Chiswellowi? – zastanowił się głośno Strike, wpatrując się w bogato zdobione lustro za Robin. – Gdybym miał się o to założyć, powiedziałbym, że dzisiaj był ze mną szczery, dlatego że jest zdesperowany. Czy uważam, że ogólnie jest godny zaufania? Pewnie nie bardziej niż inni ludzie.

– Ale chyba nie wzbudził twojej s y m p a t i i? – spytała z niedowierzaniem Robin. – Czytałam o nim.

– No i?

– Opowiada się za wieszaniem przestępców i przeciwko imigracji, głosował przeciwko wydłużeniu urlopu macierzyńskiego... – Nie zauważyła, jak Strike mimowolnie spogląda na jej brzuch, i ciągnęła: – Truł o wartościach rodzinnych, a potem zostawił żonę dla dziennikarki...

– No dobra, nie wybrałbym go sobie na kumpla od kufla, ale ten gość ma w sobie coś, co wzbudza lekkie współczucie. Stracił jednego syna, drugi niedawno zabił kobietę...

– Otóż to – weszła mu w słowo. – Opowiada się za zamykaniem drobnych przestępców i wyrzucaniem klucza, a kiedy jego syn rozjeżdża czyjąś matkę, pan minister wykorzystuje wszelkie sposoby, żeby zapewnić mu niski wyro...

Nagle urwała, gdy nieopodal odezwał się donośny damski głos:

– Robin! Jak cudownie!

Sarah Shadlock weszła do pubu z dwoma mężczyznami.

– O Boże – mruknęła Robin, zanim zdołała się powstrzymać, po czym dodała głośniej: – Cześć, Sarah!

Wiele by dała, żeby uniknąć tego spotkania. Wiedziała, że Sarah z radością opowie Matthew, że zastała Robin i Strike'a ucinających sobie pogawędkę w pubie w Mayfair, podczas gdy zaledwie godzinę wcześniej Robin powiedziała mężowi, że pracuje sama na Harley Street.

Sarah uparła się, żeby przecisnąć się wokół stolika i uściskać Robin, czego z całą pewnością by nie zrobiła, gdyby nie była w towarzystwie mężczyzn.

– Skarbie, co ci się stało? Cała się kleisz!

Tu, w Mayfair, była trochę bardziej wytworna niż w innych miejscach, w których widywała ją Robin, i o kilka stopni bardziej uprzejma.

– Nic – mruknęła Robin. – Po prostu rozlałam sok pomarańczowy.

– Cormoran! – zawołała beztrosko Sarah, pikując, żeby cmoknąć go w policzek. Strike, jak z zadowoleniem zauważyła Robin, nawet nie drgnął. – Zażywacie odrobiny relaksu? – zagadnęła Sarah, spoglądając na nich ze znaczącym uśmieszkiem.

– Pracujemy – uciął krótko Strike.

Nie doczekawszy się zaproszenia do stolika, Sarah ruszyła wzdłuż baru, zabierając ze sobą kolegów.

– Zapomniałam, że tuż za rogiem jest Christie's – wymamrotała Robin.

Strike spojrzał na zegarek. Nie chciał iść do Lorelei w garniturze, który był zresztą poplamiony sokiem pomarańczowym. – Musimy uzgodnić plan działania, bo zaczynamy już jutro.

– Okej – powiedziała Robin z pewną obawą, ponieważ minęło dużo czasu, odkąd pracowała w weekendy. Matthew przywykł, że spędzają je w domu.

– Nic się nie martw. – Strike odgadł jej myśli. – Będziesz mi potrzebna dopiero w poniedziałek. To robota dla co najmniej trzech osób. Myślę, że na Webstera znaleźliśmy już wystarczająco dużo, żeby zadowolić klienta, więc skierujemy Andy'ego do Nieuchwytnego Doktorka i damy znać dwóm klientom z listy oczekujących, że w tym miesiącu nie będziemy w stanie zająć się ich sprawami, a Barclay będzie mógł nam pomagać w sprawie Chiswella. W poniedziałek zaczniesz udawać chrześnicę Chiswella zainteresowaną karierą w parlamencie i skupisz się na Geraincie, który prowadzi biuro Delli na drugim końcu korytarza. Zagadniesz go i... – Wypił łyk piwa i marszcząc brwi, spojrzał na nią znad brzegu kufla.

– Co? – spytała Robin, nie wiedząc, do czego zmierza jej wspólnik.

– Co byś powiedziała – odrzekł Strike tak cicho, że musiała się pochylić, żeby go usłyszeć – gdybym cię poprosił o złamanie prawa?

– No wiesz, zazwyczaj jestem temu przeciwna. – Robin nie miała pewności, czy powinna być rozbawiona, czy zaniepokojona. – Chyba właśnie dlatego zawsze chciałam prowadzić dochodzenia.

– A jeśli prawo jest w pewnym stopniu szarą strefą i nie możemy zdobyć informacji w inny sposób? Miej na uwadze, że Winn z całą pewnością łamie prawo, próbując szantażem zmusić ministra do ustąpienia ze stanowiska.

– Mówisz o założeniu pluskwy w biurze Winna?

– Właśnie. – Prawidłowo odczytując jej powątpiewającą minę, kontynuował: – Słuchaj, z tego, co mówi Chiswell, Winn to nierozważny krzykacz, który właśnie dlatego utknął w biurze

poselskim, gdzie żona trzyma go z daleka od swojej pracy w Ministerstwie Sportu. Podobno przez większość czasu siedzi przy otwartych drzwiach, głośno rozmawia o poufnych sprawach wyborców, a jego prywatne dokumenty walają się w ogólnodostępnej kuchni. Są duże szanse, że uda ci się go nakłonić do wyjawienia różnych grzeszków i pluskwa okaże się zbędna, ale chyba nie powinniśmy na to liczyć.

Robin dopiła resztkę soku pomarańczowego, zastanowiła się, a potem stwierdziła:

– Dobrze. Zrobię to.

– Jesteś pewna? – spytał Strike. – Okej, ale nie będziesz mogła zabrać sprzętu ze sobą, bo żeby się dostać do środka, trzeba przejść przez wykrywacz metalu. Obiecałem, że jutro dostarczę pluskwy Chiswellowi. Przekaże ci je, kiedy już będziesz w biurze. Przyda ci się fałszywe nazwisko. Wymyśl sobie jakieś i prześlij mi esemesem, żebym mógł je podać Chiswellowi. Właściwie to pasowałoby znowu Venetia Hall. Chiswell wygląda na gościa mogącego mieć chrześnicę o takim imieniu.

Robin, która miała na drugie właśnie Venetia, była zbyt podekscytowana i pełna obaw, by przejąć się tym, że Strike, sądząc po jego uśmieszku, nadal uważał je za zabawne.

– Poza tym będziesz musiała zorganizować sobie jakieś przebranie – dodał Strike. – Nic wielkiego, ale Chiswell pamiętał, jak wyglądasz, bo czytał o tobie w związku ze sprawą Rozpruwacza, więc powinniśmy założyć, że Winn też może cię kojarzyć.

– Na perukę będzie za gorąco. Może spróbuję z kolorowymi szkłami kontaktowymi. Od razu poszłabym je kupić. A do tego na przykład okulary zerówki. – Na twarzy Robin znowu pojawił się uśmiech, którego nie zdołała powstrzymać. – Izba Gmin! – powtarzała z przejęciem.

Uśmiech zamarł jej na ustach, gdy w obrzeża jej pola widzenia wtargnęła jasnowłosa głowa Sarah Shadlock siedzącej po drugiej stronie baru. Sarah właśnie się przesiadła, żeby mieć Robin i Strike'a na oku.

– Chodźmy stąd – powiedziała Robin.

Gdy szli z powrotem na stację metra, Strike wyjaśnił, że Barclay będzie śledził Jimmy'ego Knighta.

– Ja nie mogę – dodał z żalem. – Zdemaskowałem się przed nim i jego ferajną z SGOO.

– Więc czym będziesz się zajmował?

– Łataniem dziur, badaniem tropów, w razie potrzeby obstawianiem nocek – powiedział.

– Biedna Lorelei – skwitowała Robin.

Wypsnęło jej się to, zanim zdążyła się powstrzymać. Na ulicy robiło się coraz głośniej, więc miała nadzieję, że Strike tego nie usłyszał.

– Czy Chiswell wspomniał o swoim synu, który zginął w Iraku? – spytała jak ktoś, kto pospiesznie odkasłuje, żeby zatuszować śmiech, który niebacznie mu się wyrwał.

– Taa – odparł Strike. – Najwidoczniej Freddie był jego ulubieńcem, co niestety nie najlepiej świadczy o zdolności ministra do oceny ludzkich charakterów.

– Jak to?

– Freddie Chiswell to był kawał skurwysyna. Prowadziłem sprawy wielu żołnierzy poległych w akcji, ale nigdy aż tyle osób nie pytało mnie, czy martwy oficer nie zginął przypadkiem od kuli wystrzelonej przez jego własnych ludzi.

Robin wydawała się wstrząśnięta.

– *De mortuis nil nisi bonum?* – spytał.

Pracując ze Strikiem, Robin liznęła co nieco łaciny.

– No wiesz – powiedziała cicho, po raz pierwszy odkrywając w swoim sercu odrobinę współczucia dla Jaspera Chiswella. – Trudno oczekiwać od ojca, że będzie mówił o nim źle.

Rozstali się na końcu ulicy: Robin poszła po kolorowe soczewki kontaktowe, Strike skierował się w stronę stacji metra.

Po rozmowie z Robin dziwnie poweselał: gdy analizowali ambitne zadanie, nagle znów zarysowały się między nimi znajome kontury ich przyjaźni. Podobało mu się, że Robin ucieszyła perspektywa pracy w Izbie Gmin; był zadowolony, że to właśnie on zaoferował jej tę szansę. Podobało mu się nawet, jak kwestionowała jego założenia dotyczące relacji Chiswella.

Przy wejściu na stację Strike nagle skręcił w bok, doprowadzając do wściekłości nachmurzonego biznesmena, który szedł piętnaście centymetrów za nim. Cmokając ze złością, mężczyzna cudem uniknął zderzenia i obrażony zszedł po schodach, podczas gdy niewzruszony Strike oparł się o skąpaną w słońcu ścianę i rozkoszując się ciepłem, które przeniknęło przez jego marynarkę, zadzwonił do komisarza Erica Wardle'a.

Strike powiedział Robin prawdę. Nie wierzył, że Chiswell kiedykolwiek udusił dziecko, a jednak w reakcji ministra na historię Billy'ego niezaprzeczalnie było coś dziwnego. Ponieważ Chiswell wyjawił, że rodzina Knightów mieszkała niedaleko jego domu rodzinnego, Strike już wiedział, że Billy spędził dzieciństwo w Oxfordshire. Pierwszym logicznym posunięciem mającym rozwiać jego obawy związane z tamtym różowym kocem było dowiedzenie się, czy dwadzieścia lat temu zaginęły na tym terenie jakieś dzieci, których nigdy nie odnaleziono.

11

A potem, już wolni i radośni, zdławimy wszystkie wspomnienia.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Lorelei Bevan mieszkała w eklektycznie umeblowanym mieszkaniu nad swoim dochodowym butikiem z odzieżą vintage w Camden. Strike zjawił się u niej o wpół do ósmej z butelką pinot noir w jednej ręce i komórką przyciśniętą do ucha w drugiej. Lorelei otworzyła drzwi, uśmiechnęła się dobrodusznie na widok znajomego obrazka, który przedstawiał Strike'a rozmawiającego przez telefon, pocałowała Cormorana w usta, wzięła od niego wino i wróciła do kuchni, z której wydobywał się apetyczny zapach pad thai.

– ...albo spróbuj przeniknąć do SGOO – powiedział Strike do Barclaya, zamykając za sobą drzwi i kierując się w stronę salonu, w którym dominował olbrzymi obraz Warhola z wizerunkami Elizabeth Taylor. – Prześlę ci wszystko, co wiem na temat Jimmy'ego. Działa w paru różnych ugrupowaniach. Nie mam pojęcia, czy gdzieś pracuje. Jego ulubiony lokal to White Horse w East Ham. Chyba jest kibicem Hammersów.

– Mogło być gorzej – mruknął Barclay, który mówił cicho, ponieważ właśnie ułożył do snu ząbkujące dziecko. – Mógłby kibicować Chelsea.

– Będziesz musiał się przyznać, że służyłeś w armii – ciągnął Strike, opadając na fotel i opierając nogę na ustawionym w dogodnym miejscu kwadratowym pufie. – Wyglądasz jak żołnierz.

– Żaden problem. Będę małym biednym chłopaczkiem, który nie miał pojęcia, w co się pakuje. Skrajni lewicowcy uwielbiają takie pierdoły. Niech mnie trochę popouczają.

Uśmiechając się, Strike sięgnął po papierosy. Mimo początkowych wątpliwości zaczynał dochodzić do wniosku, że dobrze zrobił, zatrudniając Barclaya.

– W porządku, wstrzymaj ogień, dopóki znowu się do ciebie nie odezwę. Prawdopodobnie w niedzielę.

Gdy Strike się rozłączył, zjawiła się Lorelei, przynosząc mu kieliszek czerwonego wina.

– Pomóc ci w kuchni? – spytał Strike, nie ruszając się jednak z miejsca.

– Nie, zostań tutaj. To nie potrwa długo – odpowiedziała z uśmiechem. Podobał mu się jej fartuszek w stylu lat pięćdziesiątych.

Gdy poszła z powrotem do kuchni, przypalił papierosa. Lorelei nie paliła, ale nie miała nic przeciwko bensonom & hedgesom Strike'a, pod warunkiem że korzystał z jej kiczowatej popielniczki w baraszkujące pudle, o którą wystarała się właśnie w tym celu.

Paląc, przyznał przed sobą, że zazdrości Barclayowi możliwości infiltrowania Knighta i jego zgrai skrajnie lewicowych kolegów. Właśnie taki rodzaj pracy najbardziej lubił w żandarmerii wojskowej. Pamiętał, jak czterej żołnierze w Niemczech zafascynowali się miejscowym ugrupowaniem ultraprawicowców. Strike'owi udało się ich przekonać, że podziela wiarę w białe nacjonalistyczne superpaństwo, dostał się na zebranie i doprowadził do czterech aresztowań i procesów, które sprawiły mu wyjątkową satysfakcję.

Włączył telewizor i przez chwilę oglądał wiadomości na Channel 4, pijąc wino, paląc podczas przyjemnego oczekiwania na pad thai oraz inne zmysłowe przyjemności i dla odmiany delektując się tym, co wielu jego pracowników uważało za oczywistość, lecz czego sam

doświadczał rzadko: ulgą i poczuciem swobody w piątkowy wieczór.

Strike poznał Lorelei na imprezie urodzinowej Erica Wardle'a. Pod pewnymi względami był to niezręczny wieczór, ponieważ Strike spotkał tam Coco po raz pierwszy, odkąd oznajmił jej przez telefon, że nie ma ochoty na następną randkę. Coco bardzo się upiła. O pierwszej w nocy, gdy siedział na kanapie pochłonięty rozmową z Lorelei, przemaszerowała przez pokój, rzuciła w nich oboje kieliszkiem wina i wypadła z imprezy jak burza. Strike nie zdawał sobie sprawy, że Coco i Lorelei są starymi przyjaciółkami – odkrył to dopiero rano, gdy obudził się w łóżku drugiej z nich. Uznał, że to raczej problem Lorelei, a nie jego, ona zaś najwyraźniej była z tej zamiany całkiem zadowolona (Coco nie chciała jej więcej znać).

– Jak ty to robisz? – spytał go Wardle podczas następnego spotkania. Był szczerze zdumiony. – Rany, chciałbym poznać twój...

Strike uniósł gęste brwi i Wardle zmilczał resztę tego, co w niebezpieczny sposób zbliżyło się do komplementu.

– Nie ma żadnego sekretu – wyjaśnił Strike. – Po prostu niektóre kobiety lubią grubych, jednonogich facetów z włosami łonowymi na głowie i złamanymi nosami.

– Hm, kiepsko to świadczy o naszej służbie zdrowia, że takie panie chodzą wolno po ulicach – odrzekł Wardle i Strike się roześmiał.

Lorelei było jej prawdziwym imieniem, zainspirowanym nie mityczną syreną z Renu, lecz postacią zagraną przez Marilyn Monroe w *Mężczyźni wolą blondynki*, ulubionym filmie matki Lorelei. Gdy szła ulicą, oglądali się za nią mężczyźni, lecz nie wywoływała głębokiej tęsknoty ani dotkliwego bólu, o które przyprawiała Strike'a Charlotte. Czy to dlatego, że Charlotte przytępiła jego zdolność odczuwania tak intensywnych emocji, czy

dlatego, że Lorelei brakowało jakiejś niezbędnej magii – nie wiedział. Ani on, ani Lorelei nie powiedzieli „kocham cię". Mimo że Strike uważał ją za kobietę atrakcyjną i zabawną, nie mógłby wypowiedzieć tych słów szczerze. Wygodnie było zakładać, że Lorelei żywi do niego podobne uczucia.

Gdy po kilku przeciągłych spojrzeniach rzuconych w słabo oświetlonym salonie Wardle'a podszedł do niej, żeby ją zagadnąć, dowiedział się, że niedawno zakończyła pięcioletni związek z mężczyzną, z którym mieszkała. Chciał jej wierzyć, kiedy mówiła, jak wspaniale jest odzyskać wolność i mieć swoje mieszkanie tylko dla siebie, lecz ostatnio wyczuwał leciutkie niezadowolenie, gdy oznajmiał jej, że musi pracować w czasie weekendu. Przypominało to pierwsze ciężkie krople deszczu poprzedzające burzę. Gdy spytał o to wprost, zaprzeczyła: „Nie, nie, oczywiście, że nie, skoro musisz pracować...".

Strike ustalił jednak sztywne warunki na samym początku ich związku: jego praca była nieprzewidywalna, a sytuacja finansowa niewesoła. Nie zamierzał odwiedzać łóżek innych kobiet, ale jeśli szukała przewidywalności albo stabilizacji, nie był dla niej odpowiednim mężczyzną. Wydawała się zadowolona z takiego układu, a jeśli w ciągu dziesięciu miesięcy przestało jej się to podobać, Strike był gotów odejść bez najmniejszej urazy. Być może to wyczuwała, gdyż nigdy nie dążyła do kłótni. Cieszyło go to, i to nie tylko dlatego, że nie tęsknił za nieprzyjemnymi sytuacjami. Lubił Lorelei, sypianie z nią sprawiało mu przyjemność i aktualnie – z powodu, którego roztrząsaniem nie zawracał sobie głowy, ponieważ doskonale wiedział, w czym rzecz – wolał nie być teraz sam.

Pad thai smakowało wyśmienicie, rozmowa toczyła się wartko i z humorem. Strike nie wspomniał Lorelei o swojej nowej sprawie.

Powiedział tylko, że liczy na lukratywne, ciekawe zajęcie. Pozmywali razem naczynia i skierowali się do sypialni z cukierkoworóżowymi ścianami i zasłonami w rysunkowe kowbojki i kucyki.

Lorelei lubiła się stroić. Tego wieczoru włożyła do łóżka pończochy i czarny gorset. Miała talent – z całą pewnością nieczęsto spotykany – do inscenizowania erotycznych scen bez popadania w parodię. Być może Strike z jedną nogą i złamanym nosem powinien czuć się niedorzecznie w tak frywolnym i ślicznym buduarze, lecz Lorelei grała Afrodytę przed jego Hefajstosem tak znakomicie, że chwilami zupełnie zapominał o Robin i Matthew.

„Ostatecznie tylko nieliczne przyjemności mogą się równać z tymi sprawianymi przez kobietę, która naprawdę cię pragnie" – pomyślał następnego dnia w porze lanczu, gdy siedzieli obok siebie w kawiarnianym ogródku i każde z nich czytało inną gazetę. Strike palił, a zamyślona Lorelei wodziła idealnie pomalowanymi paznokciami po jego dłoni. Dlaczego zatem już zdążył jej powiedzieć, że po południu będzie pracował? To prawda, musiał podrzucić sprzęt do podsłuchu do domu Chiswella w Belgravii, ale nic nie stało na przeszkodzie, by spędził z Lorelei kolejny wieczór, wrócił do jej sypialni, pończoch i gorsetu. Perspektywa była zdecydowanie kusząca.

Mimo to coś nieprzejednanego w jego wnętrzu nie chciało ustąpić. Dwa wieczory z rzędu oznaczałyby odejście od schematu. Potem już tylko krótka droga dzieliłaby go od prawdziwej intymności. W głębi ducha Strike nie potrafił sobie wyobrazić przyszłości, w której mieszkałby z kobietą, ożenił się albo spłodził dzieci. Niektóre z tych rzeczy planował z Charlotte w czasach, w których przyzwyczajał się do życia bez połowy nogi. Eksplozja improwizowanego urządzenia wybuchowego na nieutwardzonej

drodze w Afganistanie wyrwała Strike'a z życia, jakie detektyw sobie wybrał, i wrzuciła go do zupełnie innego ciała i nowej rzeczywistości. Czasami oświadczenie się Charlotte wydawało mu się najbardziej skrajnym przejawem chwilowej dezorientacji, w którą popadł po amputacji nogi. Musiał na nowo uczyć się chodzić i – co było prawie równie trudne – żyć poza armią. Z perspektywy dwóch lat widział, że starał się kurczowo trzymać jakiejś części przeszłości, podczas gdy cała reszta mu się wymykała. Lojalność wobec wojska przeniósł na przyszłość z Charlotte.

– Dobry ruch – powiedział bez mrugnięcia okiem jego stary przyjaciel Dave Polworth, gdy Strike poinformował go o zaręczynach. – Szkoda marnować takie doświadczenie bojowe. Tylko że w tym wypadku rośnie niebezpieczeństwo utraty życia, stary.

Czy kiedykolwiek naprawdę myślał, że dojdzie do tego małżeństwa? Czy faktycznie wyobrażał sobie, że Charlotte zdecyduje się na życie, jakie mógł jej zaoferować? Czy po tym wszystkim, przez co razem przeszli, sądził, że mogą doświadczyć razem odkupienia, każde z nich okaleczone na własny zagmatwany, swoisty i dziwny sposób? Strike'owi siedzącemu w słońcu z Lorelei wydawało się, że przez kilka miesięcy wierzył w to całym sercem i jednocześnie wiedział, że to niemożliwe, nigdy nie układał planów na dłużej niż kilka tygodni, a nocą trzymał Charlotte, jakby była ostatnim człowiekiem na Ziemi, jakby tylko Armagedon mógł ich rozdzielić.

– Chcesz jeszcze kawy? – odezwała się Lorelei.

– Lepiej już pójdę – odparł.

– Kiedy znowu cię zobaczę? – spytała, gdy Strike płacił kelnerowi.

– Mówiłem ci, mam nowe ważne zlecenie. Przez jakiś czas będę pracował w trudnych do przewidzenia godzinach. Zadzwonię jutro. Wybierzemy się gdzieś, jak tylko będę miał wolny wieczór.

– Dobrze – powiedziała z uśmiechem, po czym dodała ściszonym głosem: – Pocałuj mnie.

Pocałował. Przycisnęła pełne usta do jego warg, niezawodnie przywołując wspomnienie pewnych atrakcji, które zaserwowała mu wczesnym rankiem. Odsunęli się od siebie. Strike uśmiechnął się, pożegnał i zostawił Lorelei siedzącą w słońcu z gazetą.

* * *

Minister kultury nie zaprosił Strike'a do środka, gdy otworzył drzwi swojego domu przy Ebury Street. W zasadzie Strike odniósł wrażenie, że Chiswell chce się go jak najszybciej pozbyć. Minister wziął pudełko ze sprzętem do podsłuchu, mruknął: „Dobrze, dopilnuję, żeby to dostała", i gdy już miał zamknąć drzwi, nagle zawołał za Strikiem:

– Jak ona się nazywa?

– Venetia Hall – powiedział Strike.

Chiswell zamknął drzwi i zmęczony Strike ruszył z powrotem między pogrążonymi w ciszy złotymi willami, kierując się w stronę metra i Denmark Street.

Po nocy spędzonej w mieszkaniu Lorelei agencja wydała mu się surowa i ponura. Strike otworzył okna, by wpuścić do środka odgłosy ulicy, na której wielbiciele muzyki wciąż napływali do sklepów z instrumentami i starymi płytami. Obawiał się, że planowana przebudowa Denmark Street przypieczętuje także ich los. Dźwięki silników i klaksonów, rozmów i kroków, riffów granych przez potencjalnych nabywców gitar i pobrzmiewające w oddali bongosy kolejnego ulicznego grajka były przyjemne dla jego ucha, gdy brał się do pracy, wiedząc, że jeśli zamierza wydrzeć internetowi nagie fakty z życia swoich nowych obiektów, czekają go długie godziny na krześle.

Jeśli wiedziało się, gdzie szukać, a do tego miało się czas i umiejętności, w cyberprzestrzeni można było odnaleźć zarysy wielu ludzkich losów: upiorne egzoszkielety – czasami we fragmentach, innym razem niepokojąco kompletne – życia wiedzionego przez ich odpowiedników z krwi i kości. Detektyw poznał wiele trików i sekretów, zręcznie szperał nawet w najmroczniejszych zakamarkach internetu, lecz nieraz to właśnie najbardziej niewinne strony mediów społecznościowych skrywały nieprzebrane bogactwo, garść informacji odsyłających do wszystkiego, co niezbędne, by poskładać w całość szczegółowe prywatne historie, którymi beztroscy właściciele z całą pewnością nie chcieli dzielić się ze światem.

Najpierw otworzył Google Maps, by znaleźć miejsce, w którym wychowali się Jimmy i Billy. Chata zwana Steda Cottage najwyraźniej była za mała i zbyt mało ważna, by uwzględniono ją na mapie, lecz dom Chiswellów został wyraźnie zaznaczony, znajdował się tylko kawałek za wioską Woolstone. Strike przez kilka minut bezskutecznie przyglądał się zalesionym terenom wokół domu Chiswellów, zwracając uwagę na parę maleńkich prostokątów, na których mogły stać należące do posiadłości zabudowania – „Pochowali je w leśnej dolince obok domu naszego taty" – a następnie wrócił do gromadzenia informacji na temat starszego, bardziej poczytalnego brata.

Na stronie internetowej SGOO znalazł wciśnięty między rozwlekłe polemiki dotyczące celebrowania kapitalizmu i neoliberalizmu przydatny harmonogram demonstracji, podczas których Jimmy zamierzał protestować albo przemawiać. Strike wydrukował go i dołączył do reszty materiałów. Potem kliknął link odsyłający na stronę Partii Prawdziwych Socjalistów, na której znalazł jeszcze większy zamęt i bałagan niż na stronie SGOO.

Odkrył na niej kolejny rozwlekły artykuł autorstwa Jimmy'ego, w którym autor opowiadał się za rozwiązaniem „państwa apartheidu", czyli Izraela, i pokonaniem „syjonistycznego lobby", trzymającego w morderczym uścisku kapitalistyczny establishment Zachodu. Strike zauważył, że Jasper Chiswell został wymieniony na końcu artykułu wśród „zachodniej elity politycznej" jako „publicznie zdeklarowany syjonista".

Flick, dziewczyna Jimmy'ego, pojawiła się na paru zdjęciach na stronie internetowej Prawdziwych Socjalistów, gdzie z czarnymi włosami maszerowała przeciwko rakietom Trident, a jako przefarbowana na różowo blondynka oklaskiwała Jimmy'ego, który przemawiał na scenie pod gołym niebem na wiecu Partii Prawdziwych Socjalistów. Strike kliknął link do twitterowej nazwy użytkownika Flick i przejrzał jej oś czasu będącą dziwną mieszaniną mdlącej słodyczy i ciskania gromów. „Mam nadzieję, że dostaniesz raka dupy, ty torysowska cipo" – napisała tuż nad nagraniem wideo, na którym mały kotek kichnął tak mocno, że wypadł z koszyka.

Z tego, co zdążył zauważyć Strike, ani Jimmy, ani Flick nie mieli własnego kąta, zresztą podobnie jak on sam. Nie znalazł w internecie żadnej wzmianki mogącej podpowiedzieć, z czego żyją, chyba że pisanie do skrajnie lewicowych portali internetowych było lepiej płatnym zajęciem, niż przypuszczał. Jimmy wynajmował żałosne mieszkanie przy Charlemont Road od człowieka o nazwisku Kasturi Kumar, a co do Flick, to choć mimochodem wspominała w mediach społecznościowych, że mieszka w Hackney, Strike nie zdołał znaleźć jej adresu w internecie.

Kopiąc głębiej w informacjach dostępnych online, wygrzebał Jamesa Knighta w odpowiednim wieku, który – jak się zdawało – przez pięć lat mieszkał z niejaką Dawn Clancy, a zajrzawszy

na wielce pomocny, usiany piktogramami profil Dawn na Facebooku, odkrył, że byli małżeństwem. Dawn pracowała jako fryzjerka, prowadząc z powodzeniem salon w Londynie, a potem wróciła do swojego rodzinnego Manchesteru. Była o trzynaście lat starsza od Jimmy'ego, lecz najwyraźniej nie miała ani dzieci, ani kontaktu z byłym mężem. Strike'owi wpadła jednak w oko jej odpowiedź na wpis porzuconej przez mężczyznę przyjaciółki, która stwierdziła, że „wszyscy faceci to świnie". „Jasne – napisała Dawn – zasraniec z niego, ale przynajmniej cię nie pozwał! Wygrałam (znowu)!"

Zaintrygowany Strike skupił się na rejestrach sądowych i po chwili węszenia znalazł kilka cennych informacji. Jimmy został dwukrotnie oskarżony o zakłócanie porządku publicznego: raz podczas marszu przeciwko kapitalizmowi i raz na proteście przeciwko rakietom Trident, lecz akurat w tym nie było niczego zaskakującego. Znacznie bardziej interesujące wydawało się to, że Jimmy figurował na liście uciążliwych stron procesowych dostępnej w internetowym serwisie Sądów i Trybunałów Jej Królewskiej Mości. Z powodu sięgającego wiele lat wstecz zwyczaju pochopnego wszczynania postępowań sądowych Knightowi „zakazano wnoszenia pozwów w sprawach cywilnych bez zezwolenia".

Jimmy z całą pewnością zasłużył na takie traktowanie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat pozywał najróżniejsze osoby i organizacje. Sąd przyznał mu rację tylko raz, gdy w 2007 roku Jimmy wygrał proces o odszkodowanie z Zanet Industries. Orzeczono, że zwalniając go z pracy, przedsiębiorstwo nie dopełniło stosownych procedur.

Podczas rozprawy przeciwko Zanet Knight sam reprezentował się w sądzie i prawdopodobnie upojony zwycięstwem, występował w swoim imieniu także później, pozywając wiele innych osób,

między innymi właściciela warsztatu samochodowego, dwóch sąsiadów, dziennikarza, który rzekomo go zniesławił, dwóch funkcjonariuszy stołecznej policji, którzy, jak twierdził, go napadli, dwóch kolejnych pracodawców i wreszcie byłą żonę – utrzymywał, że go nękała i pozbawiła dochodów.

Z doświadczenia Strike'a wynikało, że ludzie rezygnujący z przedstawicielstwa w sądzie są albo niezrównoważeni, albo tak aroganccy, że właściwie na jedno wychodzi. Historia pozwów Jimmy'ego wskazywała, że jest on człowiekiem pazernym i pozbawionym zasad, bystrym, ale nie mądrym. Zawsze warto było się zorientować w czyichś słabościach, gdy próbowało się poznać jego sekrety. Strike dodał do gromadzonych dokumentów nazwiska wszystkich osób, które Jimmy ciągał po sądach, oraz aktualny adres jego byłej żony.

Przed północą Cormoran wycofał się do swojego mieszkania, żeby zakosztować snu, który był mu bardzo potrzebny, a w niedzielę wstał wcześnie rano i skupił się na Geraincie Winnie. Siedział zgarbiony przed komputerem, aż znów zaczęło zachodzić słońce. Jego nowa leżąca obok papierowa teczka opatrzona napisem CHISWELL wypełniła się przeróżnymi, ale dobrze sprawdzonymi informacjami na temat dwóch szantażystów ministra.

Przeciągając się i ziewając, nagle usłyszał dźwięki dobiegające przez otwarte okna. Sklepy muzyczne wreszcie pozamykano, ucichły bongosy, lecz po Charing Cross Road wciąż śmigały samochody. Strike podźwignął się z miejsca, opierając się o biurko, gdyż po długich godzinach na krześle zdrętwiała mu noga w kostce, i przystanął, żeby spojrzeć przez okno w swoim biurze na mandarynkowe niebo rozsmarowane nad miejską panoramą.

Była niedziela wieczór i za niespełna dwie godziny Anglia miała zagrać w Kijowie przeciwko Włochom w ćwierćfinałach mistrzostw

Europy. Jednym z nielicznych luksusów, na jakie pozwolił sobie Strike, było podpisanie umowy ze Sky, żeby mógł oglądać mecze. Może mały przenośny telewizor – jedyny, jaki mieścił się w jego mieszkaniu na poddaszu – nie stwarzał idealnych warunków do oglądania tak ważnego meczu, lecz Strike nie mógłby usprawiedliwić wieczoru w pubie, skoro w poniedziałek musiał wcześnie wstać i znowu śledzić Nieuchwytnego Doktorka, co zresztą nie bardzo go radowało.

Spojrzał na zegarek. Miał czas, żeby przed meczem kupić chińszczyznę na wynos, ale powinien jeszcze zadzwonić do Barclaya i Robin z instrukcjami na następnych kilka dni. Kiedy już sięgał po telefon, charakterystyczny dźwięk powiadomił go o nadchodzącym mejlu.

Temat brzmiał: „Zaginione dzieci w Oxfordshire". Strike położył komórkę i klucze z powrotem na biurku i otworzył wiadomość.

> Strike,
>
> to wszystko, co udało mi się znaleźć w tak krótkim czasie. Bez dokładnych dat jest oczywiście trudno. Na początku/w połowie lat 90. w Oxfordshire/Wiltshire były 2 przypadki zaginionych dzieci. O ile mi wiadomo, nierozwiązane. Suki Lewis, lat 12, zaginęła z domu dziecka w październiku 1992. Pięcioletni Immamu Ibrahim zaginął w 1996. W tym samym czasie zniknął jego ojciec, podobno przebywa teraz w Algierii. Bez dodatkowych informacji niewiele więcej mogę zrobić.
>
> Pozdrawiam
>
> E.

12

Żyjemy dziś w czasach pełnych burzliwego napięcia.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Zachód słońca rzucał czerwonawą poświatę na narzutę za plecami Robin, która siedziała przy toaletce w nowej, przestronnej sypialni należącej do niej i Matthew. Grill sąsiadów zasnuwał dymem powietrze przesycone wcześniej zapachem kapryfolium. Przed chwilą zostawiła Matthew na dole, gdzie leżał na kanapie i oglądał rozgrzewkę przed meczem Anglii z Włochami, trzymając w ręku zimną butelkę peroni.

Otworzyła szufladę w toaletce i wyjęła parę kolorowych szkieł kontaktowych, które tam ukryła. Po serii prób i błędów poprzedniego dnia doszła do wniosku, że orzechowe najlepiej pasują do jej jasnorudych włosów. Nieśmiało wyjęła pierwszą soczewkę, potem drugą, umieszczając je na swoich łzawiących szaroniebieskich tęczówkach. Musiała się do nich przyzwyczaić. Byłoby najlepiej, gdyby miała je na oczach przez cały weekend, ale zniechęciła ją do tego reakcja Matthew, kiedy ją w nich zobaczył.

– Twoje oczy! – powiedział, wpatrując się w nią ze zdumieniem przez kilka sekund. – Cholera, te soczewki wyglądają paskudnie, wyjmij je!

Ponieważ sobotę popsuła jedna z ich nerwowych kłótni na temat jej pracy, Robin postanowiła nie nosić soczewek przez cały weekend, gdyż stale przypominałyby Matthew o tym, co zamierzała robić w najbliższym tygodniu. Najwyraźniej uważał, że praca pod przykrywką w Izbie Gmin równa się zdradzie stanu, a gdy nie chciała mu wyjawić, kim jest jej klient ani kogo ma obserwować, rozzłościł się jeszcze bardziej.

Robin powtarzała sobie, że Matthew obawia się o jej bezpieczeństwo i że trudno mieć do niego o to pretensje. Ostatnio stało się to ćwiczeniem umysłowym, które wykonywała w ramach pokuty: „Nie dziw mu się, że się martwi, rok temu o mało nie zginęłaś, zależy mu na twoim bezpieczeństwie". To, że w piątek

poszła ze Strikiem do pubu, zdawało się jednak martwić Matthew o wiele bardziej niż potencjalni mordercy.

– Nie sądzisz, że to pieprzona hipokryzja? – spytał.

Gdy się denerwował, napinała się skóra wokół jego nosa. Robin zauważyła to już wiele lat temu, lecz ostatnio ta cecha wywoływała w niej uczucie bliskie odrazy. Nigdy nie wspomniała o tym terapeutce. Wydawało jej się to zbyt podłe, zbyt instynktowne.

– Co to ma wspólnego z hipokryzją?

– Umawiasz się z nim w przytulnym pubie...

– Matt, ja z nim pra...

– ...a potem narzekasz, że wychodzę na lancze z Sarah.

– A wychodź sobie! – fuknęła Robin, czując, jak ze złości przyspiesza jej puls. – Śmiało! Tak się składa, że spotkałam ją w Red Lion z jakimiś kolegami z pracy. Zamierzasz zadzwonić do Toma i poinformować go, że jego narzeczona chodzi na drinka z kolegami z pracy? A może jestem jedyną osobą, której nie wolno tego robić?

Skóra wokół jego nosa napięła się tak bardzo, że skojarzyła się Robin z psim pyskiem – z jasnym pyskiem warczącego psa.

– Powiedziałabyś mi, że poszłaś z nim do pubu, gdyby Sarah cię tam nie zobaczyła?

– Tak – odparła Robin, czując, jak puszczają jej nerwy. – I wiedziałabym, że zareagujesz jak kutas.

Nerwowa atmosfera pozostawiona przez tę kłótnię, w żadnym razie nie największą w ciągu ostatniego miesiąca, utrzymywała się przez całą niedzielę. Dopiero od paru godzin Matthew, któremu perspektywa zbliżającego się meczu poprawiła humor, znowu był miły dla żony. Robin zaproponowała nawet, że przyniesie mu z kuchni peroni, a zanim wyszła, pocałowała go w czoło z poczuciem, że teraz będzie mogła spokojnie włożyć kolorowe soczewki i przygotować się na następny dzień.

Dzięki regularnemu mruganiu szkła kontaktowe powoli przestawały ją uwierać. Podeszła do łóżka, na którym leżał jej laptop. Przysuwając go, zobaczyła, że właśnie przyszedł mejl od Strike'a.

> Robin,
> załączam trochę informacji na temat Winnów. Niedługo zadzwonię z krótkimi instrukcjami na jutro.
> CS

Zdenerwowała się. Strike miał „łatać dziury" i pracować nocami. Czyżby myślał, że w ciągu weekendu nie zgromadziła żadnych informacji na własną rękę? Mimo wszystko kliknęła pierwszy z wielu załączników: dokument streszczający to, co Strike'owi udało się znaleźć w sieci.

> **Geraint Winn**
> Geraint Ifon Winn, ur. 15 lipca 1950 w Cardiff. Syn górnika. Po szkole średniej poznał Dellę na Uniwersytecie w Cardiff. Był „doradcą do spraw nieruchomości", a potem szefem jej kampanii wyborczej i kierownikiem jej późniejszego biura poselskiego. W sieci brak informacji o wcześniejszym zatrudnieniu. Żadna firma nigdy nie zarejestrowała osoby o takim nazwisku. Mieszka z Dellą przy Southwark Park Road w Bermondsey.

Strike'owi udało się dotrzeć do dwóch kiepskiej jakości zdjęć przedstawiających Geraintа w towarzystwie sławnej żony, które Robin też już znalazła i zapisała na twardym dysku. Wiedziała, ile pracy musiało kosztować Strike'a znalezienie wizerunku tego człowieka, ponieważ poprzedniej nocy, gdy Matthew spał, poświęciła mnóstwo czasu, żeby namierzyć fotografie. Najwyraźniej reporterzy uznawali, że jego osoba niczego nie wnosi do zdjęć. Był chudym, łysiejącym mężczyzną w okularach w grubych oprawkach, miał ledwie widoczne usta, słaby podbródek i wyraźny tyłozgryz, a wszystko to razem kojarzyło się Robin z przerośniętym gekonem.

Strike załączył też informacje na temat minister sportu.

> **Della Winn**
> Ur. 8 sierpnia 1947. Z domu Jones. Urodziła się i wychowała w Vale of Glamorgan w Walii. Obydwoje rodzice byli nauczycielami. Niewidoma od urodzenia z powodu obustronnego małoocza. Od 5. do 18. roku życia uczyła się w szkole dla niewidomych Saint Enodoch Royal. Jako nastolatka zdobyła liczne nagrody w zawodach pływackich (więcej szczegółów w załączonych artykułach, m.in. na temat fundacji Równe Szanse).

Mimo że w czasie weekendu Robin przeczytała na temat Delli wszystko, co zdołała znaleźć, sumiennie przebrnęła przez oba artykuły. W zasadzie nie dowiedziała się z nich niczego, czego by już nie wiedziała. Della pracowała w znanej fundacji działającej na rzecz ochrony praw człowieka, a potem odniosła sukces w wyborach, startując z okręgu walijskiego, w którym się urodziła. Od dawna działała na rzecz rozwoju sportu na obszarach zacofanych gospodarczo, była orędowniczką niepełnosprawnych sportowców i wspierała przedsięwzięcia, które wykorzystywały sport w rehabilitacji rannych weteranów. Otwarcie jej fundacji Równe Szanse, za której pośrednictwem zamierzała pomagać młodym sportowcom w zmaganiu się z wyzwaniami – czy to z ubóstwem, czy to z niepełnosprawnością ruchową – wzbudziło dość duże zainteresowanie prasy. Wielu znanych zawodników zaangażowało się w gromadzenie funduszy.

W obu artykułach, które przesłał Strike, wspominano o czymś, o czym Robin już wiedziała dzięki własnym poszukiwaniom: Winnowie, podobnie jak Chiswellowie, stracili dziecko. Córka i jedyna latorośl Delli i Gerainta popełniła samobójstwo w wieku szesnastu lat, rok przed startem Delli w wyborach parlamentarnych. Wzmianki o tej tragedii znajdowały się w każdym biogramie pani Winn, jaki Robin udało się znaleźć, nawet w tych wychwalających jej liczne osiągnięcia. W pierwszym przemówieniu w parlamencie

Della poparła stworzenie gorącej linii dla ofiar prześladowania ze strony rówieśników, lecz poza tym nigdy nie wypowiadała się na temat samobójstwa córki.

Zadzwoniła komórka. Robin sprawdziła, czy drzwi do sypialni są zamknięte, i odebrała połączenie.

– Szybka jesteś – wymamrotał niewyraźnie Strike z ustami pełnymi makaronu po singapursku. – Wybacz... zaskoczyłaś mnie... Właśnie przywieźli mi jedzenie.

– Przeczytałam twojego mejla – powiedziała Robin. Usłyszała metaliczny trzask i domyśliła się, że Strike otwiera puszkę piwa. – Bardzo przydatne informacje, dzięki.

– Przygotowałaś już przebranie? – spytał.

– Tak – odrzekła Robin, odwracając się, żeby przejrzeć się w lustrze. Dziwne, jak bardzo kolor oczu potrafił zmienić całą twarz. Oprócz orzechowych soczewek zamierzała jeszcze założyć okulary zerówki.

– I wiesz o Chiswellu wystarczająco dużo, żeby udawać jego chrześnicę?

– Oczywiście – obruszyła się Robin.

– No to dawaj – rzucił. – Zaimponuj mi.

– Urodził się w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym – zaczęła natychmiast, nie zaglądając do notatek. – Studiował filologię klasyczną w Merton College w Oksfordzie, potem zaciągnął się do Huzarów Królowej i odbył czynną służbę w Adenie i Singapurze. Z pierwszą żoną, lady Patricią Fleetwood, miał troje dzieci: Sophię, Isabellę i Freddiego. Sophia wyszła za mąż i mieszka w Northumberland, Isabella prowadzi biuro poselskie Chiswella...

– Naprawdę? – wtrącił się Strike. Wydawał się nieco zaskoczony i Robin ucieszyła się, że udało jej się znaleźć coś, czego on nie zdołał.

– To ta córka, którą kiedyś znałeś? – spytała, przypominając sobie, co Strike mówił w agencji.

– Nie powiedziałbym, że ją znałem. Spotkałem ją kilka razy, kiedy byłem z Charlotte. Wszyscy nazywali ją „Izzy Chizzy". To jedno z tych przezwisk w stylu wyższych sfer.

– Lady Patricia rozwiodła się z Chiswellem po tym, jak zrobił dziecko dziennikarce politycznej...

– ...co zaowocowało rozczarowującym synem, zatrudnionym do niedawna w galerii sztuki.

– Właśnie...

Robin przesunęła myszkę, żeby otworzyć zapisane zdjęcie, tym razem przedstawiające ciemnowłosego i dość przystojnego młodego mężczyznę w grafitowym garniturze, wchodzącego po schodach sądu w towarzystwie eleganckiej czarnowłosej kobiety w okularach przeciwsłonecznych, do której był bardzo podobny, mimo że wydawała się zdecydowanie za młoda jak na jego matkę.

– ...ale Chiswell i dziennikarka rozstali się niedługo po narodzinach Raphaela – dokończyła Robin.

– Rodzina mówi na niego Raff – dodał Strike – a druga żona go nie lubi, uważa, że po wypadku samochodowym Chiswell powinien był się go wyrzec.

Robin zrobiła kolejną notatkę.

– Świetnie, dzięki. Obecna żona Chiswella, Kinvara, miała w ubiegłym roku problemy ze zdrowiem – ciągnęła Robin, otwierając zdjęcie ponętnej rudowłosej kobiety w seksownej czarnej sukience i z ciężkim brylantowym naszyjnikiem. Kinvara była jakieś trzydzieści lat młodsza od Chiswella i wydymała usta do obiektywu. Gdyby Robin nie wiedziała, że to jego żona, wzięłaby ich za ojca i córkę.

– Załamanie nerwowe – uprzedził ją Strike. – Taa. Jak myślisz: alkohol czy narkotyki?

Robin usłyszała brzęk i domyśliła się, że Strike właśnie wyrzucił pustą puszkę po tennencie do kosza w agencji. A więc był sam. Lorelei nigdy nie przychodziła do maleńkiego mieszkanka nad biurem.

– Kto wie – mruknęła Robin, nie odrywając oczu od Kinvary Chiswell.

– Jeszcze jedno – powiedział Strike. – Informacje z ostatniej chwili. Mniej więcej w czasie, o którym opowiadał Billy, w Oxfordshire zaginęło dwoje dzieci.

Nastąpiła krótka chwila milczenia.

– Jesteś tam?

– Tak... Myślałam, że nie wierzysz, że Chiswell udusił dziecko.

– Nie wierzę – potwierdził Strike. – Ramy czasowe się nie zgadzają, a zresztą gdyby Jimmy wiedział, że torysowski minister udusił dziecko, nie zwlekałby dwudziestu lat, żeby spróbować zbić na tym forsę. W każdym razie nadal chciałbym się dowiedzieć, czy Billy'emu tylko się wydaje, że widział, jak kogoś duszą. Powęszę trochę wokół nazwisk, które dał mi Wardle, i jeśli jedna z tych historii wyda mi się wiarygodna, poproszę cię, żebyś wybadała Izzy. Może pamięta coś o dziecku, które zaginęło w pobliżu domu Chiswellów.

Robin milczała.

– Jak mówiłem w pubie, Billy jest poważnie chory. To prawdopodobnie bez znaczenia – powiedział z obronną nutą w głosie. Jak obydwoje z Robin doskonale wiedzieli, zdarzało mu się już odrzucać płatne zlecenia i bogatych klientów, aby rozwiązywać zagadki, którymi inni nie zawracaliby sobie głowy. – Chodzi o to, że...

– ...nie zaznasz spokoju, dopóki się temu nie przyjrzymy – dokończyła Robin. – W porządku, rozumiem.

Strike uśmiechnął się i potarł zmęczone oczy.

– No to powodzenia jutro – rzucił. – W razie czego będę przy telefonie.

– Co masz w planach?

– Papierkową robotę. Była żona Jimmy'ego Knighta ma wolne poniedziałki. We wtorek pojadę do niej do Manchesteru.

Robin poczuła nagły przypływ tęsknoty za poprzednim rokiem, kiedy to razem ze Strikiem wyruszyli w trasę, by przesłuchiwać kobiety porzucone przez niebezpiecznych mężczyzn. Zastanawiała się, czy Strike też o tym myślał, planując tę podróż.

– Oglądasz mecz? – spytała.

– Taa. To już wszystko, prawda?

– Tak – zapewniła go pospiesznie. Nie chciała, żeby pomyślał, że próbuje go zatrzymać. – Do usłyszenia niedługo.

Gdy Strike się pożegnał, rozłączyła się i rzuciła komórkę na łóżko.

13

Nie dam się powalić na ziemię przez niepomyślne okoliczności.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Nazajutrz rano Robin obudziła się ze zdławionym okrzykiem na ustach, trzymając się za szyję i próbując poluźnić uścisk wyimaginowanych palców. Gdy obudził się też zdezorientowany Matthew, była już przy drzwiach sypialni.

– Nic się nie stało – mruknęła, zanim zdołał sformułować pytanie. Znalazła po omacku klamkę i wyszła z pokoju.

Dziwiła się, że nie zdarzało się to częściej, odkąd usłyszała historię o uduszonym dziecku. Doskonale wiedziała, jakie to uczucie, gdy ktoś zaciska palce wokół twojej szyi, gdy twój mózg zalewa się mrokiem, gdy wiesz, że za chwilę możesz zostać wymazana z rzeczywistości. W stronę terapii popchnęły ją ostro zakończone fragmenty wspomnień niepodobne do normalnych retrospekcji, potrafiące wyrwać ją nagle z jej własnego ciała i rzucić z powrotem w przeszłość, gdzie czuła woń poplamionych nikotyną palców obcego mężczyzny, a o jej plecy obijał się miękki, obleczony bluzą dresową brzuch napastnika.

Zamknęła drzwi do łazienki i usiadła na podłodze, ubrana w luźną koszulkę, którą wkładała do spania. Skupiła się na oddechu, na chłodzie płytek pod gołymi nogami, wsłuchując się, tak jak ją uczono, w gwałtowne bicie swojego serca i czując adrenalinę pędzącą w żyłach, nie próbując walczyć z paniką, lecz tylko ją obserwując. Po chwili dotarł do niej delikatny zapach

lawendowego żelu pod prysznic, którego użyła wieczorem, i usłyszała przelatujący w oddali samolot.

„Jesteś bezpieczna. To był tylko sen. Tylko sen".

Przez dwoje zamkniętych drzwi usłyszała, jak włącza się budzik Matthew. Kilka minut później jej mąż zapukał do drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Tak – zawołała w odpowiedzi, przekrzykując szum wody z kranu.

Otworzyła drzwi.

– Wszystko okej? – spytał, przyglądając jej się uważnie.

– Po prostu musiałam zrobić siku – odrzekła wesoło, wracając do sypialni po kolorowe soczewki kontaktowe.

Zanim Robin zatrudniła się u Strike'a, zgłosiła się do pracy w agencji o nazwie Tymczasowe Rozwiązania. Biura, do których ją stamtąd wysyłano, zlepiły się w jej umyśle w bezkształtną całość, pamiętała jedynie anomalie, dziwactwa i osobliwości: szefa alkoholika, którego dyktowaną korespondencję redagowała z uprzejmości, szufladę biurka, w której znalazła kompletną sztuczną szczękę i brudne majtki, pełnego nadziei młodego mężczyznę, który nazywał ją Bobbie i nieporadnie próbował z nią flirtować nad ich zwróconymi do siebie tyłem monitorami, kobietę, która obwiesiła swój boks zdjęciami aktora Iana McShane'a, i dziewczynę, która zerwała z chłopakiem przez telefon na środku open space'u, nie przejmując się nagłą pożądliwą ciszą w całym pomieszczeniu. Robin wątpiła, by ktokolwiek z tamtych przelotnych znajomych zapamiętał ją lepiej, niż ona zapamiętała te osoby – nawet nieśmiały adorator nazywający ją Bobbie.

Gdy tylko dotarła do pałacu westminsterskiego, wiedziała jednak, że to, co się tu wydarzy, na zawsze zapisze się w jej pamięci. Poczuła przyjemne łaskotanie, zostawiając za sobą turystów

i przechodząc przez bramę, przy której stał strażnik. Gdy zbliżała się do pałacu z misternymi złotymi gzymsami pogrążonymi o wczesnym poranku w cieniu, a na tle nieba odznaczała się słynna wieża zegarowa, narastało w niej zdenerwowanie i podniecenie.

Strike powiedział jej, którymi bocznymi drzwiami ma wejść do środka. Prowadziły one do długiego, słabo oświetlonego holu, lecz najpierw musiała przejść przez wykrywacz metalu i skaner rentgenowski podobny do tych używanych na lotniskach. Gdy zdjęła z ramienia torebkę, żeby ją przeskanowano, zauważyła wysoką, trochę niechlujną naturalną blondynkę po trzydziestce, czekającą kawałek dalej z małym pakunkiem owiniętym w szary papier. Kobieta patrzyła, jak Robin przystaje, pozując do automatycznie robionego zdjęcia, które miało się znaleźć na papierowej przepustce zawieszanej na szyi, a gdy strażnik pokazał Robin, że może przejść dalej, szybko do niej podeszła.

– Venetia?

– Tak – potwierdziła Robin.

– Jestem Izzy – przedstawiła się kobieta z uśmiechem, wyciągając rękę. Miała na sobie luźną bluzkę z krzykliwym wzorem w olbrzymie kwiaty i spodnie o szerokich nogawkach. – To od taty. – Wcisnęła pakunek w ręce Robin. – Naprawdę mi przykro, ale musimy już lecieć... Jak dobrze, że zjawiłaś się punktualnie...

Ruszyła żwawym krokiem, a Robin pospieszyła za nią.

– Właśnie drukuję stos dokumentów, które mam zanieść tacie do ministerstwa... Chwilowo jestem z a w a l o n a robotą. Tata jest ministrem kultury, a właśnie zbliża się olimpiada, więc mamy tu istny kocioł...

Prawie biegiem poprowadziła Robin korytarzem, w głębi którego były okna z witrażami, a potem pędziła długim labiryntem i przez

cały czas mówiła z pewnością siebie i akcentem typowym dla wyższych sfer, wzbudzając u Robin podziw dla pojemności jej płuc.

– Tak, odchodzę stąd na początku przerwy wakacyjnej... Otwieram ze swoim przyjacielem Jacksem studio projektowania wnętrz... Pracuję tu od pięciu lat... Tata nie jest ze mnie zadowolony... Potrzebuje kogoś naprawdę dobrego, a jedyna kandydatka, która mu się spodobała, nie przyjęła oferty.

Spoglądała przy tym przez ramię na Robin, która spieszyła się, żeby za nią nadążyć.

– Nie znasz przypadkiem jakichś z n a k o m i t y c h asystentów?

– Obawiam się, że nie – odparła Robin, która w czasie kariery pracownicy tymczasowej z nikim się nie zaprzyjaźniła.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – oznajmiła Izzy, prowadząc Robin oszałamiająco licznymi wąskimi korytarzami, wyłożonymi wykładziną w takim samym zielonym kolorze jak skórzane siedzenia, które Robin widywała w telewizyjnych relacjach z Izby Gmin. W końcu dotarły do bocznego holu z kilkorgiem ciężkich drewnianych drzwi zwieńczonych łukami w gotyckim stylu.

– To – powiedziała Izzy scenicznym szeptem, wskazując po drodze pierwsze drzwi z prawej – biuro Winna. A to – dodała, maszerując w stronę ostatnich drzwi po lewej – nasze.

Stanęła z boku, żeby Robin mogła wejść pierwsza.

Biuro było ciasne i zagracone. Nad łukowatymi oknami o kamiennych ramach wisiały firanki, a za nimi widać było bar na tarasie, na którym niewyraźne postacie poruszały się na tle oślepiającego blasku Tamizy. W pomieszczeniu stały dwa biurka, mnóstwo regałów i zapadnięty zielony fotel. Zasłony tej samej barwy nad przepełnionymi regałami ciągnącymi się wzdłuż jednej ze ścian tylko częściowo zasłaniały zgromadzone tam w nieładzie

sterty papierzysk. Na szafie na dokumenty stał monitor pokazujący puste ławki w opustoszałej aktualnie Izbie Gmin. Czajnik tkwił obok zbieraniny kubków na niskiej półce, a nad nim na tapecie widniała plama zostawiona przez parę. W kącie jękliwie rzęziła drukarka. Część wypluwanych przez nią kartek zsunęła się na wytarty dywan.

– O cholera. – Izzy podbiegła, żeby je pozbierać, a Robin zamknęła za nią drzwi. Układając porozrzucane kartki w zgrabny plik na biurku, Izzy znowu zaczęła mówić: – Strasznie się cieszę, że tata cię tu sprowadził. Ostatnio żyje w wielkim napięciu, które naprawdę nie jest mu do niczego potrzebne, bo i tak mamy teraz mnóstwo na głowie. Postaracie się ze Strikiem rozwiązać ten problem, prawda? Winn to okropny mały człowieczek – dodała, sięgając po skórzaną teczkę. – No wiesz, n i e p a s u j e t u. Długo pracujesz u Strike'a?

– Dwa lata – odrzekła Robin, otwierając pakunek, który dała jej Izzy.

– Poznałam go, wspominał ci? Taa... chodziłam do szkoły z Charlie Campbell, jego byłą. Charlie jest piękna, ale lubi kłopoty. Znasz ją?

– Nie – powiedziała Robin. Miała styczność z Charlotte tylko raz, dawno temu, gdy cudem uniknęła zderzenia się z tą kobietą przed agencją Strike'a.

– Strike zawsze bardzo mi się podobał – wyznała Izzy.

Robin spojrzała na nią zaskoczona, lecz Izzy dalej rzeczowo wsuwała kartki do teczki.

– Tak, ludzie tego nie zauważają, ale ja owszem. Był taki męski i taki... no cóż, niepokorny.

– Niepokorny? – powtórzyła Robin.

– No. Nigdy nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Miał gdzieś, że według wielu osób jest dla niej, no wiesz...

– Niewystarczająco dobry?

Zawstydziła się, gdy tylko te słowa wyszły z jej ust. Nagle poczuła dziwną potrzebę stanięcia w obronie Strike'a. Było to oczywiście niedorzeczne: jeśli ktokolwiek potrafił sam o siebie zadbać, to właśnie on.

– Chyba tak – zgodziła się Izzy, nadal czekając, aż wydrukuje się reszta dokumentów. – Dwa ostatnie miesiące były dla taty okropne. A przecież nie zrobił nic złego! – zapewniła żarliwie. – W jednej chwili coś jest legalne, a w drugiej już nie. To nie wina taty.

– Co było nielegalne? – spytała niewinnie Robin.

– Wybacz – odrzekła Izzy uprzejmym, ale zdecydowanym tonem. – Tata mówi, że im mniej osób o tym wie, tym lepiej. – Spojrzała przez firanki na niebo. – Żakiet nie będzie mi potrzebny, prawda? Nie... Przepraszam, że tak się spieszę, ale tata potrzebuje tych wydruków, a o dziesiątej ma spotkanie ze sponsorami olimpiady. Powodzenia.

Zniknęła w kłębach kwiecistego materiału i potarganych włosów, zostawiając Robin zaciekawioną, lecz dziwnie spokojną. Skoro Izzy była tak wyrozumiała wobec występku ojca, z pewnością nie mogło się wydarzyć nic strasznego – oczywiście zakładając, że Chiswell powiedział córce prawdę.

Robin zerwała ostatni kawałek papieru z małego pakunku, który dostała od Izzy. Zawierał, o czym już wiedziała, sześć urządzeń podsłuchowych, które Strike dał Jasperowi Chiswellowi w czasie weekendu. W przeciwieństwie do Robin Chiswell jako minister nie musiał przechodzić co rano przez skaner systemu ochrony. Ostrożnie obejrzała pluskwy. Przypominały zwyczajne plastikowe gniazdka elektryczne i zaprojektowano je tak, by można je było nałożyć na prawdziwe kontakty, umożliwiając im normalne działanie. Zaczynały nagrywać dopiero wówczas, gdy w pobliżu ktoś się

odezwał. W ciszy po wyjściu Izzy Robin słyszała bicie swojego serca. Dopiero zaczynało do niej docierać, jak trudne ma przed sobą zadanie.

Zdjęła płaszcz, powiesiła go, a następnie wyjęła z torebki dużą paczkę tamponów, które przyniosła z myślą o ukryciu niewykorzystanych urządzeń podsłuchowych. Włożyła do niej wszystkie pluskwy oprócz jednej i umieściła paczkę w dolnej szufladzie biurka. Następnie przetrząsała zagracone półki, dopóki nie znalazła pustej teczki na dokumenty, w której ukryła ostatnie urządzenie pod plikiem papierów z literówkami wyjętym ze sterty oznaczonej napisem „Do niszczarki". Uzbrojona w ten sposób, wzięła głęboki oddech i wyszła na korytarz.

Tymczasem ktoś otworzył drzwi do kancelarii Delli Winn. Mijając je, zobaczyła młodego Azjatę w okularach z grubymi szkłami, który właśnie wychodził, niosąc czajnik.

– Cześć! – przywitała się natychmiast, naśladując śmiały, beztroski sposób bycia Izzy. – Jestem Venetia Hall, będziemy sąsiadami! Jak się nazywasz?

– Aamir – mruknął mężczyzna z akcentem typowym dla londyńskiej klasy robotniczej. – Mallik.

– Pracujesz u Delli Winn? – spytała Robin.

– No.

– Och, to taka i n s p i r u j ą c a kobieta – zachwyciła się Robin. – Właściwie jest jedną z moich osobistych bohaterek.

Aamir nie odpowiedział, najwyraźniej marzył tylko o tym, żeby jak najszybciej się od niej uwolnić. Robin poczuła się jak terier dręczący konia wyścigowego.

– Długo tu pracujesz?

– Pół roku.

– Idziesz do kawiarni?

– Nie – odparł, jakby złożyła mu niestosowną propozycję, i gwałtownie ruszył w stronę łazienki.

Robin poszła dalej, trzymając swoją teczkę i zastanawiając się, czy przypadkiem nie uroiła sobie wrogości w zachowaniu tego młodego mężczyzny – może tak naprawdę był po prostu nieśmiały. Zbliżenie się do kogoś z biura Winna ułatwiłoby jej zadanie. Uwierała ją konieczność udawania podobnej do Izzy chrześnicy Jaspera Chiswella. Coś jej mówiło, że Robin Ellacott z Yorkshire dużo łatwiej zaprzyjaźniłaby się z Aamirem.

Jako że wyszła z biura pod fałszywym pretekstem, postanowiła, że przed powrotem chwilę się rozejrzy.

Biura poselskie Chiswella i Winn mieściły się w samym pałacu Westminster, który ze sklepionymi sufitami, z bibliotekami, herbaciarniami oraz atmosferą wygody i dostojeństwa mógłby być starym uniwersytetem.

Częściowo zabudowane przejście, strzeżone przez ogromne kamienne posągi jednorożca i lwa, prowadziło ku ruchomym schodom do Portcullis House. Był to nowoczesny kryształowy budynek ze składanym szklanym dachem i trójkątnymi szybami osadzonymi w czarnym grubym szkielecie. Pod tą konstrukcją rozpościerała się przestronna sala na planie otwartym, mieszcząca między innymi kawiarnię, z której korzystali zarówno posłowie, jak i urzędnicy służby cywilnej. Otoczone wysokimi drzewami ogromne wodne elementy wystroju – nadano im postać długich, płytkich sadzawek – zmieniły się w czerwcowym słońcu w lśniące srebrzyste pasma.

W gwarnej atmosferze wyczuwało się drżenie ambicji i poczucie przynależności do świata ważnych wydarzeń. Przechodząc pod sufitem z artystycznie ułożonych fragmentów szkła, Robin minęła dziennikarzy politycznych przycupniętych na skórzanych ławkach.

Wszyscy rozmawiali przez komórki, pisali na laptopach albo zaczepiali polityków z prośbą o komentarz. Robin zastanawiała się, czy praca w takim miejscu mogłaby się jej spodobać, gdyby nie wysłano jej do Strike'a.

Misja rozpoznawcza zakończyła się w trzecim, najbardziej obskurnym i najmniej interesującym z budynków, w których mieściły się biura poselskie. Był uderzająco podobny do trzygwiazdkowego hotelu: miał wytartą wykładzinę, kremowe ściany i niezliczone rzędy identycznych drzwi. Robin zawróciła, cały czas ściskając teczkę na dokumenty, i piętnaście minut później znowu minęła drzwi biura Winn. Szybko sprawdziła, czy w korytarzu nikogo nie ma, przyłożyła ucho do grubych dębowych drzwi i odniosła wrażenie, że usłyszała za nimi jakieś dźwięki.

– Jak leci? – spytała ją Izzy, gdy dwie minuty później Robin wróciła do kancelarii.

– Jeszcze nie widziałam Winna.

– Możliwe, że jest w ministerstwie. Korzysta z każdego pretekstu, żeby towarzyszyć Delli – stwierdziła Izzy. – Masz ochotę na kawę?

Zanim jednak zdążyła wstać zza biurka, zadzwonił jej telefon.

Podczas gdy Izzy rozmawiała ze wzburzoną wyborczynią, której nie udało się zdobyć biletów na zawody w skokach do wody („Tak, ja też lubię Toma Daleya – powiedziała Izzy, rzucając spojrzenie Robin i przewracając oczami – ale to jest l o t e r i a, proszę pani"), Robin wsypała do kubków kawę rozpuszczalną i dolała mleka z kartonu, zastanawiając się, ile razy wykonywała tę czynność w znienawidzonych biurach, i czując nagle niebywałą wdzięczność, że na dobre uciekła od takiego życia.

– Rozłączyła się – oznajmiła Izzy obojętnym tonem, odkładając słuchawkę. – O czym to my rozmawiałyśmy? Aha, no tak, o Geraincie. Jest wściekły, że Della nie zrobiła go swoim SPAD-em.

– Kto to jest SPAD? – spytała Robin, stawiając przed Izzy kawę i zajmując miejsce przy drugim biurku.

– Special Advisor. Specjalny doradca. Ktoś w rodzaju tymczasowego urzędnika służby cywilnej. Znacznie większy prestiż. Ale nie daje się takich stanowisk członkom rodziny, po prostu się tak nie robi. Zresztą Geraint jest beznadziejny, Della nie chciałaby go, nawet gdyby to było możliwe.

– Przed chwilą poznałam kogoś, kto pracuje u Winn – powiedziała Robin. – Aamira. Wydawał się niezbyt przyjazny.

– A, to dziwny gość – stwierdziła lekceważąco Izzy. – Wobec mnie też nie jest przesadnie uprzejmy. Prawdopodobnie dlatego, że Geraint i Della nienawidzą taty. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć dlaczego, ale mam wrażenie, że nie znoszą nas wszystkich... Aha, coś mi się przypomniało. Przed chwilą tata przysłał mi esemesa. Pod koniec tygodnia dołączy do nas mój brat Raff, żeby trochę pomóc. Może gdyby Raff się sprawdził – dodała Izzy, choć najwyraźniej nie bardzo w to wierzyła – mógłby przejąć moje obowiązki. Tylko że on nie ma pojęcia o szantażu ani o tym, kim naprawdę jesteś, więc nic mu nie mów, dobrze? Tata ma ze czternaścioro chrześniaków, Raff się nie zorientuje.

Izzy upiła kolejny łyk kawy, po czym z nagłym przygnębieniem podjęła:

– Pewnie słyszałaś o Raffie. Pisali o tym we wszystkich gazetach. Biedna kobieta... to było straszne. Miała czteroletnią córkę...

– Coś obiło mi się o uszy – przyznała wymijająco Robin.

– Tylko ja jedna z całej rodziny odwiedziłam go w więzieniu – ciągnęła Izzy. – Wszyscy byli zniesmaczeni tym, co zrobił. Kinvara, żona taty, powiedziała, że powinni byli go skazać na dożywocie, ale ona nie ma pojęcia, jak tam było k o s z m a r n i e... Ludzie nie

zdają sobie sprawy, jak jest w więzieniach... Oczywiście wiem, że zrobił coś strasznego, ale...

Zamilkła. Robin zastanawiała się, być może niezbyt życzliwie, czy Izzy miała na myśli to, że więzienie nie jest stosownym miejscem dla tak szacownych młodych mężczyzn jak jej brat. Bez wątpienia było to okropne doświadczenie, ale przecież zażył wcześniej narkotyki, wsiadł do samochodu i przejechał młodą matkę.

– Myślałam, że twój brat pracuje w galerii sztuki – zauważyła.

– U Drummonda też wpakował się w kłopoty – westchnęła Izzy. – Tak naprawdę tata przyjmuje go tu po to, żeby mieć go na oku.

A pensję wypłaca skarb państwa, pomyślała Robin, znowu przypominając sobie niezwykle krótką karę więzienia, którą odbył syn ministra za spowodowanie śmiertelnego wypadku pod wpływem narkotyków.

– W jakie kłopoty wpakował się w galerii?

Ku jej wielkiemu zdziwieniu z twarzy Izzy zniknęła zbolała mina i kobieta nagle się roześmiała.

– Och, Boże, przepraszam, nie powinnam się śmiać. Przeleciał w toalecie ekspedientkę – wyjaśniła, trzęsąc się ze śmiechu. – Wiem, że to naprawdę nie jest zabawne... Dopiero wyszedł z więzienia, a Raff jest śliczny i jeszcze żadna mu się nie oparła. Wcisnęli go w garnitur i postawili w pobliżu jakiejś ładnej blondyneczki po historii sztuki. Tak trudno było się domyślić, jak to się skończy? Ale jak możesz sobie wyobrazić, właściciel galerii nie był zbyt uszczęśliwiony. Usłyszał odgłosy dobiegające z toalety i dał Raffowi ostatnie ostrzeżenie. Potem Raff i ta dziewczyna zrobili to jeszcze raz, więc tata strasznie się wściekł i zadecydował, że sprowadzi Raffa tutaj.

Robin nie była szczególnie rozbawiona, ale Izzy najwyraźniej tego nie dostrzegła, bo pogrążyła się w myślach.

– Nigdy nic nie wiadomo, może to wszystko wyjdzie tacie i Raffowi na dobre – powiedziała z nadzieją, po czym spojrzała na zegarek. – Lepiej oddzwonię do kilku osób – dodała z westchnieniem, odstawiając kubek z kawą. Sięgając po telefon, zastygła jednak z palcami na słuchawce, ponieważ w korytarzu za zamkniętymi drzwiami rozbrzmiał śpiewny męski głos. – To on! Winn!

– W takim razie idę. – Robin znowu sięgnęła po teczkę na dokumenty.

– Powodzenia! – szepnęła Izzy.

Wychodząc na korytarz, Robin zobaczyła Winna stojącego na progu biura. Wszystko wskazywało na to, że rozmawia z siedzącym w środku Aamirem. Winn trzymał teczkę z pomarańczowym napisem „Równe Szanse". Słysząc kroki Robin, odwrócił się w jej stronę.

– O, dzień dobry – powiedział z akcentem z Cardiff, cofając się w stronę korytarza.

Jego spojrzenie spłynęło po szyi Robin w kierunku jej piersi, po czym wróciło do ust i oczu. Robin od razu wiedziała, z kim ma do czynienia. Spotykała mnóstwo takich typów w biurach: patrzyli na kobietę w taki sposób, że czuła się skrępowana i onieśmielona, kładli dłoń u dołu jej pleców, zjawiając się za nią chyłkiem albo przepuszczając ją w drzwiach, zaglądali jej przez ramię pod pretekstem spojrzenia na jej monitor i rzucali ryzykowne uwagi pod adresem jej stroju, które stopniowo przechodziły w komentowanie jej figury podczas grupowych spotkań po pracy. Jeśli się zdenerwowała, wołali: „Żartowałem!", a w obliczu skarg stawali się agresywni.

– No więc czym będziesz się tu zajmować? – spytał Geraint tonem, który nadał tym słowom sprośny wydźwięk.

– Jestem na stażu u wuja Jaspera – oznajmiła Robin z promiennym uśmiechem.

– U w u j a Jaspera?

– Tak, u Jaspera Chiswella – powiedziała Robin, wymawiając to nazwisko tak jak sami Chiswellowie: „Czizela". – Jest moim ojcem chrzestnym. Nazywam się Venetia Hall – dodała, wyciągając rękę.

Wszystko w postaci Winna, łącznie z wilgotną dłonią, kojarzyło się trochę z płazem. Robin pomyślała, że na żywo Geraint mniej przypomina gekona, a bardziej żabę: miał wydatne brzuszysko, patykowate ręce i nogi oraz lekko przetłuszczone rzednące włosy.

– Jak to się stało, że Jasper jest twoim ojcem chrzestnym?

– Och, wuj Jasper to stary przyjaciel taty – wyjaśniła Robin, która przygotowała sobie całą bajeczkę na ten temat.

– Z wojska?

– Z branży nieruchomości – odparła, trzymając się wcześniejszej wersji.

– Aha – powiedział Geraint. – Śliczne włosy – dorzucił po chwili. – Naturalne?

– Tak – potwierdziła Robin.

Jego wzrok znowu przesunął się po jej ciele. Uśmiechanie się do niego kosztowało Robin dużo wysiłku. W końcu, chichocząc aż do bólu mięśni twarzy, obiecała, że da mu znać, jeśli będzie potrzebowała jakiejkolwiek pomocy. Ruszyła dalej korytarzem. Czuła na sobie jego wzrok, dopóki nie skręciła, znikając mu z oczu.

Tak jak Strike po odkryciu zwyczaju Jimmy'ego Knighta ciągania ludzi po sądach, również Robin była pewna, że właśnie zyskała cenny wgląd w słabostkę Winna. Z jej doświadczenia wynikało, że mężczyźni w rodzaju Gerainta przejawiają zdumiewającą wiarę w to, że ich niewybredne umizgi spotykają się z przychylnością, a nawet są odwzajemniane. Całkiem spora część kariery w agencji

pracy tymczasowej upłynęła jej na próbach odmawiania takim typom i unikania ich. Każdy z nich dopatrywał się lubieżnych zachęt w najzwyklejszej uprzejmości, a młodość i brak doświadczenia były dla tych mężczyzn pokusą nie do odparcia.

Zadawała sobie pytanie, jak daleko jest gotowa się posunąć w dążeniu do gromadzenia informacji dyskredytujących Winna. Chodząc niekończącymi się korytarzami i udając, że ma do dostarczenia jakieś dokumenty, wyobraziła sobie, jak pod nieobecność Aamira, niewygodnego świadka, pochyla się nad biurkiem Gerainta, tak aby jej biust znalazł się na wysokości jego oczu, i prosi go o pomoc albo radę, chichocząc z jego sprośnych żartów.

Po chwili w nagłym, straszliwym zrywie wyobraźni zobaczyła wyraźnie, jak Winn się na nią rzuca, ujrzała zbliżającą się spoconą twarz, rozwarte usta bez warg, poczuła, jak jego dłonie zaciskają się na jej ramionach, jak ją chwytają, jak przywiera do niej pękate brzuszysko, przypierając ją do szafy na dokumenty...

Gdy wyimaginowane umizgi Winna zmieniły się w atak, niekończąca się zieleń wykładziny i krzeseł, łuki z ciemnego drewna i prostokątne płaszczyzny boazerii zaczęły zlewać się w bezkształtną plamę i kurczyć. Robin wparowała do najbliższego pomieszczenia, jakby mogła fizycznie zmusić się do przezwyciężenia paniki...

„Oddychaj, oddychaj, oddychaj".

– Pierwszego dnia to wszystko może trochę przytłaczać, prawda?

Męski głos brzmiał uprzejmie i niezbyt młodo.

– Tak – powiedziała, prawie nie wiedząc, co mówi. „Oddychaj".

– Tymczasowa pracownica? – A po chwili: – Dobrze się czujesz, skarbie?

– To astma – skłamała Robin.

Już wcześniej korzystała z tej wymówki. Dzięki niej miała pretekst, żeby przystanąć, głęboko pooddychać, wrócić do rzeczywistości.

– Masz inhalator? – spytał zaniepokojony starszawy strażnik.

Miał na sobie biały frak i zdobione insygnia urzędu. To niespodziewane dostojeństwo nasunęło Robin szaloną myśl o białym króliku wyskakującym w samym środku obłędu.

– Zostawiłam w kancelarii. Wszystko w porządku. Za chwilę mi przejdzie...

Po omacku poruszała się w złotej, wielobarwnej poświacie, która potęgowała uczucie opresji. Members' Lobby, ta znajoma, bogato dekorowana wiktoriańsko-gotycka sala, którą widywała w telewizji, mieściła się tuż za Izbą Gmin i kątem oka Robin zobaczyła cztery ogromne pomniki z brązu przedstawiające wcześniejszych premierów – Margaret Thatcher, Clementa Attlee, Davida Lloyda George'a i Winstona Churchilla – oraz popiersia pozostałych ustawione wzdłuż ścian. Przypominały Robin ucięte głowy, a złocenia z misterną siateczką i kolorowymi ornamentami tańczyły wokół niej, szydząc z jej niezdolności do sprostania ich wspaniale zdobionemu pięknu.

Usłyszała szurnięcie. Strażnik podsunął jej krzesło i poprosił kolegę, żeby przyniósł szklankę wody.

– Dziękuję... dziękuję... – wymamrotała zdrętwiałymi wargami, czując się niekompetentna, zawstydzona i zakłopotana. Strike nie mógł się o tym dowiedzieć. Odesłałby ją do domu, stwierdził, że nie nadaje się do tej roboty. Nie mogła też zwierzyć się Matthew, który traktował takie epizody jako kompromitujące, nieuniknione konsekwencje głupoty skłaniającej ją do kontynuowania pracy detektywa.

Gdy dochodziła do siebie, strażnik przemawiał do niej łagodnym głosem i po kilku minutach była w stanie normalnie reagować na jego dobroduszną paplaninę. Kiedy odzyskiwała oddech, opowiedział jej o tym, jak popiersie Edwarda Heatha zaczęło zielenieć po ustawieniu obok niego pomnika Thatcher i jakim zabiegom trzeba było je poddać, żeby przywrócić mu ciemnobrązowy kolor.

Robin uprzejmie się roześmiała, wstała z krzesła, oddała mężczyźnie pustą szklankę i kolejny raz mu podziękowała.

Wyruszając w drogę powrotną, zastanawiała się, jakim zabiegom trzeba by było poddać ją samą, żeby też stała się taka jak dawniej.

14

O, jakżeż będę szczęśliwy, gdy uda mi się rzucić odrobinę światła na ten wstrętny brud.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

We wtorek Strike wstał wcześnie. Wziął prysznic, przymocował protezę i opatrunek, napełnił termos ciemnobrązową herbatą, wyjął z lodówki kanapki, które zrobił poprzedniego dnia wieczorem, schował je do reklamówki razem z dwoma opakowaniami herbatników w czekoladzie, gumą do żucia oraz kilkoma paczkami czipsów z octem i solą, po czym wyszedł na słońce i skierował się do garażu, w którym trzymał swoje bmw. Na wpół do pierwszej był umówiony na strzyżenie u byłej żony Jimmy'ego Knighta w Manchesterze.

Gdy już usadowił się w samochodzie, kładąc torbę z prowiantem w zasięgu ręki, włożył trampki, które miał w samochodzie,

ponieważ zapewniały jego sztucznej stopie lepsze oparcie na pedale hamulca. Potem wyjął komórkę i zaczął układać esemesa do Robin.

Opierając się na nazwiskach podanych przez Wardle'a, większość poniedziałku poświęcił na pieczołowite szukanie informacji na temat dwojga dzieci, które, jak przekazał mu policjant, zniknęły z terenu Oxfordshire przed dwudziestoma laty. Wardle zrobił literówkę w imieniu chłopca, co kosztowało Strike'a sporo czasu, ale ostatecznie udało mu się dokopać do archiwalnych artykułów prasowych na temat Imamu Ibrahima, w których matka chłopca twierdziła, że po rozwodzie jej mąż porwał syna i wywiózł go do Algierii. Na koniec Strike wygrzebał dwie linijki na temat Imamu i jego matki na stronie internetowej organizacji działającej na rzecz rozstrzygania międzynarodowych sporów o opiekę nad dzieckiem. Na tej podstawie był zmuszony wysnuć wniosek, że Imamu, cały i zdrowy, został odnaleziony u ojca.

Los Suki Lewis, dwunastoletniej uciekinierki z domu dziecka, był bardziej tajemniczy. Strike w końcu trafił na jej zdjęcie w jakimś starym artykule. Suki zniknęła z domu dziecka w Swindon w 1992 roku i detektywowi nie udało się znaleźć żadnej późniejszej wzmianki na jej temat. Zamazana fotografia ukazywała małe jak na swój wiek dziecko o dość dużych zębach, delikatnej budowie i krótkich czarnych włosach.

„To była mała dziewczynka, ale potem powiedzieli, że to był chłopiec".

Zatem bezbronne dziecko o androgynicznej urodzie mogło zniknąć z powierzchni planety mniej więcej w tym samym czasie i na tym samym terenie, o których wspomniał Billy Knight, twierdząc, że był świadkiem uduszenia chłopcodziewczynki.

W samochodzie Strike napisał esemesa do Robin.

> Jeśli uda ci się zrobić to tak, żeby wypadło naturalnie, spytaj Izzy, czy pamięta coś na temat 12-letniej Suki Lewis. Uciekła 20 lat temu z domu dziecka w pobliżu rodzinnej posiadłości Chiswellów.

Gdy Strike wyjeżdżał z Londynu, brud na przedniej szybie połyskiwał i rozmazywał się w promieniach wschodzącego słońca. Prowadzenie samochodu nie sprawiało Cormoranowi już takiej przyjemności jak kiedyś. Nie było go stać na pojazd dostosowany do jego potrzeb i mimo że bmw miało automatyczną skrzynię biegów, obsługiwanie pedałów protezą pozostawało sporym wyzwaniem. W trudnych sytuacjach czasami uciekał się do wciskania hamulca i gazu lewą stopą.

Gdy wreszcie wjechał na M6, miał nadzieję, że uda mu się utrzymać prędkość stu kilometrów na godzinę, lecz jakiś dupek w vauxhallu corsie postanowił siedzieć mu na ogonie.

– Kurwa, wyprzedzaj – warknął Strike. Nie zamierzał przyspieszać, ponieważ było mu w fotelu wygodnie i nie chciał używać sztucznej stopy częściej, niż to konieczne, więc przez jakiś czas patrzył gniewnie we wsteczne lusterko, aż kierowca vauxhalla zrozumiał aluzję i go wyprzedził.

Odprężając się w stopniu, w jakim w obecnych czasach jest to możliwe za kółkiem, Strike opuścił szybę, żeby zaprosić do środka piękny, świeży letni dzień, po czym wrócił myślami do Billy'ego i zaginionej Suki.

„Ona nie pozwoli mi kopać – powiedział chłopak w agencji, kompulsywnie trącając dłonią nos i klatkę piersiową – ale panu tak".

Strike zastanawiał się, kim jest ta „ona". Może nową właścicielką Steda Cottage. Bardzo prawdopodobne, że rzeczywiście odmówiła, gdy Billy spytał, czy może rozkopać jej rabaty w poszukiwaniu zwłok.

Pomacawszy lewą ręką w reklamówce i wyjąwszy z niej paczkę czipsów, Strike otworzył torebkę zębami i po raz enty upomniał się w myślach, że cała historia Billy'ego to prawdopodobnie tylko wymysł chorego człowieka. Suki Lewis mogła znajdować się gdziekolwiek. Nie każde zaginione dziecko jest martwe. Może ją także wykradł wiarołomny rodzic. A może przed dwudziestoma laty, gdy internet jeszcze raczkował, niedoskonała komunikacja między siłami policji w oddalonych od siebie częściach kraju ułatwiała zadanie ludziom chcącym stworzyć na nowo siebie albo innych. I nawet jeśli Suki już nie żyła, nic nie wskazywało na to, że ją uduszono, a tym bardziej na to, że Billy Knight to widział. Większość ludzi z całą pewnością wysnułaby z tego wniosek, że jest to przypadek z mnóstwem dymu, ale bez ognia.

Pożerając garściami czipsy, Strike pomyślał, że ilekroć pojawia się kwestia tego, co pomyślałaby „większość ludzi", przed oczami staje mu jego przyrodnia siostra Lucy, jedyna z ośmiorga jego przyrodniego rodzeństwa, z którą dzielił chaotyczne i wędrowne dzieciństwo. Lucy była dla niego uosobieniem wszystkiego, co konwencjonalne i pozbawione wyobraźni, mimo że obydwoje dorastali za pan brat z makabrą, niebezpieczeństwem i ze strachem.

Zanim Lucy w wieku czternastu lat wyprowadziła się na stałe do ciotki i wuja w Kornwalii, ich matka ciągała ją i Strike'a po skłotach, komunach, wynajętych mieszkaniach i podłogach przyjaciół, rzadko zabawiając w jednym miejscu dłużej niż pół roku, a po drodze narażając dzieci na kontakty z całą paradą zdziwaczałych, okaleczonych i uzależnionych istot ludzkich. Z prawą ręką na kierownicy i lewą macającą w poszukiwaniu herbatników Strike przypominał sobie niektóre koszmarne sceny, które oglądali z siostrą w dzieciństwie: cierpiącego na psychozę chłopaka walczącego z niewidzialnym diabłem w suterenie w Shoreditch,

nastolatka, którego dosłownie wychłostano w niby-mistycznej komunie w Norfolk (dla Strike'a było to najgorsze miejsce, do jakiego kiedykolwiek zabrała ich Leda), i Shaylę, jedną z najbardziej nieporadnych przyjaciółek Ledy, pracującą czasami jako prostytutka, która płakała, opowiadając o swoim agresywnym chłopaku i o tym, jak uszkodził mózg jej małemu synkowi.

To nieprzewidywalne i czasami przerażające dzieciństwo zaszczepiło w Lucy pragnienie stabilizacji i konformizmu. Wyszła za specjalistę od kosztów budowlanych, którego Strike nie lubił, wychowywała trzech synów, których prawie nie znał, i prawdopodobnie odrzuciłaby historię Billy'ego o uduszonej chłopcodziewczynce, uznając ją za wytwór chorego umysłu i pospiesznie zamiatając w kąt razem ze wszystkimi innymi sprawami, o których nie była w stanie myśleć. Lucy musiała udawać, że przemoc i dziwactwa odeszły w przeszłość, równie martwe jak ich matka; że po śmierci Ledy życie stało się niewzruszenie bezpieczne.

Rozumiał to. Kochał Lucy, choć byli zupełnie inni i często działała mu na nerwy. Mknąc w stronę Manchesteru, nie potrafił jednak się powstrzymać od porównywania jej z Robin. Robin wychowała się w warunkach, które wydawały mu się kwintesencją stabilizacji klasy średniej, lecz w przeciwieństwie do Lucy była odważna. Obie kobiety zetknęły się z przemocą i sadyzmem. Reakcja Lucy polegała na zaszyciu się tam, gdzie, jak miała nadzieję, nic podobnego już jej nie spotka, reakcja Robin zaś na mierzeniu się z tym niemal codziennie, prowadzeniu dochodzeń oraz rozwiązywaniu zagadek zbrodni i traum, co zresztą robiła pod wpływem tego samego nieodpartego impulsu do aktywnego przezwyciężania komplikacji i odkrywania prawdy, który Strike wyczuwał w sobie samym.

Gdy słońce wspięło się wyżej, nadal pokrywając cętkami brudną szybę, Strike poczuł dojmujący żal, że nie ma jej teraz przy nim. Nigdy nie spotkał kogoś, kto umiałby lepiej analizować jego teorie. Odkręciłaby termos i nalała mu herbaty. „Pośmialibyśmy się".

Ostatnio parę razy znowu zdarzyło im się pożartować jak za dawnych czasów – odkąd Billy zjawił się w agencji z relacją budzącą wystarczająco duży niepokój, by przełamać dystans, który w ciągu roku zmienił się w trwałą przeszkodę w ich przyjaźni... „Czy cokolwiek to było" – pomyślał Strike i przez chwilę lub dwie znowu czuł ją w swoich ramionach na schodach, wdychał zapach białych róż i aromat perfum, który unosił się w całej agencji, gdy Robin siedziała przy biurku...

Krzywiąc się w myślach, sięgnął po kolejnego papierosa, zapalił go i zmusił mózg do skupienia się na Manchesterze oraz pytaniach, które zamierzał zadać Dawn Clancy, ekszonie Jimmy'ego Knighta.

15

O, z niej to lepszy numer. Zawsze wobec mnie zadzierała nosa.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Podczas gdy Strike pędził na północ, Robin wezwano bez wyjaśnienia na osobiste spotkanie z samym ministrem kultury.

Idąc w blasku słońca w stronę Ministerstwa Kultury, Mediów i Sportu, które mieściło się w olbrzymim, białym edwardiańskim budynku, leżącym w odległości kilku minut spacerem od pałacu westminsterskiego, Robin prawie zaczęła żałować, że nie jest jedną z turystek tłoczących się na chodniku – przez telefon bowiem Chiswell sprawiał wrażenie człowieka o przykrym usposobieniu.

Wiele by dała, żeby przekazać ministrowi jakieś wartościowe informacje na temat szantażysty, ale spędziła w pracy zaledwie półtora dnia, tak więc mogła stwierdzić bez cienia wątpliwości jedynie to, że pierwsze wrażenie, jakie wywarł na niej Geraint Winn, okazało się słuszne: był leniwy, lubieżny, zarozumiały i niedyskretny. Drzwi jego biura przeważnie stały otworem, a śpiewny głos rozbrzmiewał w korytarzu, gdy Winn z nierozważną beztroską rozprawiał o błahych zmartwieniach wyborców, rzucał nazwiskami celebrytów oraz doświadczonych polityków i ogólnie rzecz biorąc, starał się stwarzać wrażenie mężczyzny, dla którego prowadzenie jakiegoś tam biura poselskiego jest tylko nieistotną imprezą towarzyszącą.

Jowialnie pozdrawiał Robin zza swojego biurka, ilekroć mijała jego otwarte drzwi, i przejawiał wyraźną chęć częstszych kontaktów. Czy to przez przypadek, czy może umyślnie, Aamir Mallik ciągle jednak psuł Robin szyki, uniemożliwiając jej przekształcenie tych przelotnych spotkań w rozmowę, ponieważ albo wtrącał się z jakimiś pytaniami do Winna, albo, tak jak zaledwie przed godziną, zwyczajnie zamykał jej drzwi przed nosem.

Wielki budynek, w którym mieściło się ministerstwo – o neoklasycystycznej fasadzie z kamiennymi festonami i kolumnami – bynajmniej nie uspokoił Robin. Jego wnętrze zmodernizowano i wypełniono dziełami sztuki współczesnej, między innymi abstrakcyjną rzeźbą ze szkła zwisającą z kopuły nad głównymi schodami, po których Robin została poprowadzona przez kompetentnie wyglądającą młodą kobietę. Towarzyszka, przekonana, że ma do czynienia z chrześnicą ministra, starała się jej pokazać najciekawsze atrakcje.

– Pokój Churchilla – powiedziała, pokazując w lewo, gdy skręciły w prawo. – Z tego balkonu wygłosił przemówienie w Dniu

Zwycięstwa. Pan minister urzęduje nieco dalej...

Powiodła Robin szerokim, krętym korytarzem, który w pewnym momencie rozszerzał się jeszcze bardziej, tworząc otwartą przestrzeń biurową. Po prawej stronie eleganccy młodzi ludzie siedzieli przy długim rzędzie biurek przed podłużnymi oknami, z których roztaczał się widok na czworokątny dziedziniec, otoczony wysokimi białymi ścianami z szeregami okien, przypominający wielkością Koloseum. To wszystko bardzo się różniło od ciasnego biura, w którym Izzy zalewała kawę rozpuszczalną wodą z czajnika. Tu do parzenia kawy służył olbrzymi drogi ekspres zaopatrzony w kapsułki i ustawiony na jednym z biurek.

Gabinety po lewej stronie oddzielono od tej zaokrąglonej przestrzeni szklanymi ścianami i drzwiami. Robin już z daleka zauważyła ministra kultury: siedział przy biurku pod współczesnym obrazem przedstawiającym królową i rozmawiał przez telefon. Szorstkim gestem nakazał jej przewodniczce, by wprowadziła Robin do gabinetu. Potem kontynuował rozmowę, a Robin, nieco skrępowana, czekała, aż skończy. Ze słuchawki przy jego uchu wydobywał się kobiecy głos, który nawet siedzącej trzy metry dalej Robin wydawał się piskliwy i histeryczny.

– Kinvaro, muszę już kończyć! – warknął Chiswell do mikrofonu. – Tak... porozmawiamy o tym później. M u s z ę j u ż l e c i e ć.

Odkładając słuchawkę zamaszyściej, niż to było konieczne, wskazał Robin krzesło naprzeciwko siebie. Jego szorstkie, proste siwe włosy sterczały wokół głowy niczym druciana aureola, a mięsista dolna warga nadawała zagniewanej twarzy nadąsany wyraz.

– Pismaki już węszą – burknął. – To była moja żona. Dziś rano zadzwonił ktoś z „Sun", pytając, czy pogłoski są prawdziwe.

Spytała: „Jakie pogłoski?”, ale gość nie sprecyzował. Najwyraźniej tylko węszył. Próbował ją zaskoczyć i coś z niej wyciągnąć.

Zmarszczył brwi i spojrzał na Robin, której wygląd najwyraźniej go nie zadowolił.

– Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia siedem.

– Wygląda pani młodziej.

Nie brzmiało to jak komplement.

– Udało się pani podrzucić pluskwę?

– Niestety nie.

– Gdzie jest Strike?

– W Manchesterze, rozmawia z byłą żoną Jimmy’ego Knighta – odparła Robin.

Chiswell wydał z siebie gniewny, gardłowy dźwięk, nazywany zazwyczaj chrząknięciem, po czym wstał. Robin też zerwała się z miejsca.

– No, w takim razie niech pani lepiej tam wraca i bierze się do roboty – powiedział. – Państwowa służba zdrowia – dodał, nie zmieniając tonu, i skierował się w stronę drzwi. – Ludzie pomyślą, że zwariowaliśmy.

– Słucham? – spytała zupełnie zdezorientowana Robin.

Chiswell otworzył szklane drzwi i skinął na Robin, żeby pierwsza wyszła do open space’u, gdzie wszyscy ci eleganccy młodzi ludzie pracowali obok lśniącego ekspresu do kawy.

– Mówię o ceremonii otwarcia olimpiady – wyjaśnił, ruszając za nią. – Cholerne lewicowe pierdoły. Wygraliśmy dwie przeklęte wojny światowe, ale nie wolno nam tego świętować.

– Bzdura, Jasperze – odezwał się tuż obok głęboki melodyjny głos z walijskim akcentem. – Bez przerwy świętujemy zwycięstwa militarne. To po prostu inny rodzaj świętowania.

Della Winn, pani minister sportu, stała obok drzwi Chiswella, trzymając na smyczy prawie białą labradorkę. Była kobietą o dostojnym wyglądzie, siwe włosy zaczesała do tyłu, odsłaniając szerokie czoło, a na nosie miała tak ciemne okulary przeciwsłoneczne, że za szkłami nie dało się niczego dojrzeć. Przyczyną jej ślepoty – Robin dowiedziała się tego, zbierając informacje – było rzadkie schorzenie polegające na zahamowaniu wzrostu gałek ocznych *in utero*. Czasami Della nosiła protezy oczu, zwłaszcza gdy pozowała do zdjęć. Miała na sobie sporo ciężkiej, złotej biżuterii z wypukłymi wzorami, między innymi masywny naszyjnik z kamieni szlachetnych zdobionych reliefem, i była ubrana od stóp do głów na błękitno. W jednym z wydrukowanych biogramów pani polityk, które przygotował Strike, Robin przeczytała, że codziennie rano Geraint wykłada dla żony strój, a jako że brak mu wyczucia stylu, najprostsze wydaje mu się kompletowanie ubrań w tym samym kolorze. Robin wydało się to dość wzruszające.

Chiswell najwyraźniej nie był zachwycony nagłym pojawieniem się koleżanki, lecz biorąc pod uwagę, że jej mąż go szantażował, Robin uznała, że trudno się temu dziwić. Za to Della nie przejawiała najmniejszego zakłopotania.

– Pomyślałam, że moglibyśmy pojechać do Greenwich jednym samochodem – powiedziała do Chiswella, podczas gdy jasna labradorka delikatnie obwąchiwała rąbek spódnicy Robin. – Przy okazji omówilibyśmy plany na dwunastego. Co robisz, Gwynn? – dodała, czując, że suczka wysuwa łeb.

– Obwąchuje mnie – odezwała się niepewnie Robin, głaszcząc labradorkę.

– To moja chrześnica, eee...

– Venetia – przedstawiła się Robin, ponieważ Chiswell najwidoczniej miał kłopot z przypomnieniem sobie jej imienia.

– Miło mi – powiedziała Della, wyciągając rękę. – Wpadła pani z wizytą do Jaspera?

– Nie, jestem na stażu w biurze poselskim – odrzekła Robin, ściskając ciepłą, ozdobioną pierścionkami dłoń.

Chiswell odsunął się, żeby przejrzeć dokument podsunięty przez sterczącego obok młodego mężczyznę w garniturze.

– Venetia – powtórzyła Della, wciąż kierując twarz w stronę Robin. Na jej ładnym obliczu pojawił się lekki grymas przysłonięty nieprzeniknionymi czarnymi okularami. – Jak ma pani na nazwisko?

– Hall – odparła Robin.

Poczuła niedorzeczny dreszczyk paniki, jakby Della miała ją za chwilę zdemaskować. Chiswell, pochłonięty dokumentem, odszedł jeszcze dalej, zostawiając Robin – w każdym razie takie odniosła wrażenie – na pastwę Delli.

– Jesteś tą florecistką – stwierdziła Della.

– Słucham? – zdziwiła się Robin, znów zdezorientowana. Jej umysł skupił się na nutach i gamach, gdyż zrozumiała, że pani minister nazwała ją flecistką. Niektórzy młodzi ludzie wokół ekspresu do kawy na miarę dwudziestego pierwszego wieku odwrócili się w jej stronę i zaczęli się przysłuchiwać, a na ich twarzach odmalowało się uprzejme zainteresowanie.

– Tak – powiedziała Della. – Tak, pamiętam cię. Byłaś razem z Freddiem w reprezentacji Anglii w szermierce.

Jej uprzejma dotąd twarz spochmurniała. Chiswell pochylał się nad biurkiem, wykreślając niektóre zdania z dokumentu.

– Nie, nigdy nie trenowałam szermierki – zaprzeczyła Robin, czując, że to ją przerasta. W końcu zrozumiała, że nie chodzi o grę na flecie.

– Z całą pewnością tak – odparła beznamiętnie Della. – Pamiętam cię. Chrześnica Jaspera w drużynie razem z Freddiem.

Był to lekko wytrącający z równowagi pokaz arogancji, całkowitego przekonania o swojej racji. Robin poczuła, że dalsze oponowanie byłoby nie na miejscu, ponieważ rozmowy słuchało już kilka osób.

– No cóż, miło było panią poznać – bąknęła zatem tylko, po czym odeszła.

– Chciałaś powiedzieć: „poznać ponownie" – rzuciła ostro Della, ale Robin nie odpowiedziała.

16

Człowiek z tak ciemną przeszłością [...]. *Ktoś taki śmie odgrywać rolę trybuna ludu! I to mu się udaje!*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Po czteroipółgodzinnej podróży samochodem Strike wysiadł w Manchesterze, robiąc to bez krztyny gracji. Przez jakiś czas stał oparty o bmw na Burton Road, szerokiej, ładnej ulicy pełnej rozmaitych sklepów i domów, rozprostowywał plecy oraz nogę i cieszył się, że zdołał znaleźć miejsce parkingowe tuż obok salonu Stylz. Jaskraworóżowa witryna między kawiarnią i Tesco Express wyróżniała się na tle otoczenia. Wypełniały ją zdjęcia nachmurzonych modelek z włosami ufarbowanymi na nienaturalne kolory.

Wnętrze małego salonu z czarno-białymi płytkami na podłodze i różowymi ścianami przypominającymi Strike'owi sypialnię Lorelei było zdecydowanie modne, lecz najwyraźniej nie przyciągało

szczególnie młodej i żądnej przygód klienteli. Aktualnie z usług korzystały tylko dwie osoby – jedną z nich była masywna kobieta w wieku co najmniej sześćdziesięciu lat, która siedziała przed lustrem, czytając „Good Housekeeping", a jej włosy przypominały stos folii aluminiowej. Wchodząc, Strike założył się sam ze sobą, że Dawn okaże się szczupłą tlenioną blondynką odwróconą do niego tyłem, która właśnie rozmawiała z ożywieniem ze starszawą panią, nawijając na wałki jej niebieskie włosy.

– Jestem umówiony do Dawn – powiedział do młodej recepcjonistki, która chyba lekko się zdziwiła na widok kogoś tak olbrzymiego i męskiego w tym zaduchu wywołanym perfumowanym amoniakiem. Tleniona blondynka odwróciła się na dźwięk swojego imienia. Miała szorstką, nakrapianą ciemnymi plamami skórę zdeklarowanej klientki solariów.

– Za chwilę się tobą zajmę, skarbie – odezwała się z uśmiechem.

Strike postanowił zaczekać na ławce w oknie.

Pięć minut później prowadziła go na wyścielane różowe krzesło.

– No więc czego sobie życzysz? – spytała, zapraszając go gestem, żeby usiadł.

– Nie przyszedłem tu, żeby się ostrzyc – powiedział Strike, nadal stojąc. – Oczywiście zapłacę za usługę, nie chcę marnować pani czasu, ale – wyjął z kieszeni wizytówkę i swoje prawo jazdy – nazywam się Cormoran Strike. Jestem prywatnym detektywem i miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać o pani byłym mężu Jimmym Knighcie.

Wyglądała na zaskoczoną, zresztą nic dziwnego, lecz po chwili jakby coś ją w nim zafrapowało.

– Strike? – powtórzyła, wpatrując się w niego. – Chyba nie jesteś tym detektywem, który złapał Rozpruwacza?

– Tak, to ja.

– Jezu, co zrobił Jimmy?

– Nic takiego – odrzekł swobodnie. – Po prostu zbieram informacje.

Nie uwierzyła mu, rzecz jasna. Przypuszczał, że jej twarz ma w sobie mnóstwo wypełniacza, podejrzanie gładkie czoło lśniło nad starannie nakreślonymi brwiami. Tylko żylasta szyja zdradzała wiek.

– To już przeszłość. Byliśmy razem lata temu. Nigdy nie rozmawiam o Jimmym. Jak to mówią, im mniej słów, tym lepiej, prawda?

Czuł jednak zaciekawienie i podniecenie bijące od niej. W tle pobrzękiwało Radio 2. Spojrzała na dwie kobiety siedzące przed lustrami.

– Sian! – zawołała. Recepcjonistka podskoczyła i odwróciła się w jej stronę. – Bądź tak miła, kochana, zdejmij folię i miej oko na trwałą. – Zawahała się, nadal trzymając wizytówkę Strike'a. – Nie jestem pewna, czy powinnam... – Czekała, aż zacznie ją namawiać.

– To tylko dodatkowe informacje – zapewnił. – Bez żadnych zobowiązań.

Pięć minut później podawała mu kawę z dużą ilością mleka w maleńkim pomieszczeniu służbowym na zapleczu i wesoło paplała. W świetle wiszącej pod sufitem jarzeniówki wydawała się trochę wymizerowana, lecz mimo to wyglądała dość dobrze, by można było zrozumieć, dlaczego Jimmy zainteresował się kobietą starszą od niego o trzynaście lat.

– ...taa, demonstracja przeciwko broni jądrowej. Poszłam na nią z Wendy, moją przyjaciółką, była w to bardzo zaangażowana. Wegetarianka – dodała, zamykając nogą drzwi łączące pomieszczenie służbowe z salonem i wyjmując paczkę silk cutów. – Znasz ten typ.

– Mam własne – powiedział, gdy podsunęła mu paczkę. Przypalił jej papierosa, a potem jednego ze swoich bensonów & hedgesów. Równocześnie wypuścili smugi dymu. Założyła nogę na nogę, zwracając kolana w jego stronę, i trajkotała dalej:

– ...taa, no więc Jimmy przemawiał. O broni i o tym, ile moglibyśmy zaoszczędzić, przekazać na publiczną służbę zdrowia i tak dalej, że to wszystko jest bez sensu... Wiesz, on potrafi mówić.

– To prawda – przyznał Strike. – Słyszałem.

– Tak, no i połknęłam haczyk razem z żyłką i ciężarkiem. Myślałam, że jest kimś w rodzaju Robin Hooda.

Strike usłyszał, że zbliża się żart, jeszcze zanim go rzuciła. Czuł, że zdarza jej się to nie po raz pierwszy.

– A to raczej *Robbing*[5] Hood – powiedziała.

Gdy poznała Jimmy'ego, była już po rozwodzie. Pierwszy mąż zostawił ją dla dziewczyny z londyńskiego salonu, który razem prowadzili. Dawn dobrze wyszła na tym rozstaniu, udało jej się utrzymać interes. Jimmy wydawał się romantyczną postacią w porównaniu z drobnym cwaniaczkiem, jakim był jej pierwszy mąż, i choć wciąż lizała rany po rozwodzie, bardzo się w nim zakochała.

– Ale zawsze kręciły się przy nim inne – ciągnęła. – Lewicowcy, sam rozumiesz. Niektóre z nich były bardzo młode. Traktowały go jak kogoś w rodzaju gwiazdy popu. O tym, ile ich było, dowiedziałam się dopiero później, kiedy dorobił sobie karty do wszystkich moich kont.

Dawn rozwlekle opowiedziała Strike'owi o tym, jak Jimmy ją namówił, żeby wsparła finansowo jego pozew przeciwko byłemu pracodawcy, Zanet Industries, który nie dopełnił stosownych procedur, zwalniając go z pracy.

– Jimmy jest bardzo wrażliwy na punkcie swoich praw. Ale wiesz, on wcale nie jest głupi. Dostał od Zanet dziesięć tysiaków. Ja nie zobaczyłam z tego ani pensa. Wszystko przepieprzył, pozywając innych ludzi. Po naszym rozstaniu mnie też próbował zawlec do sądu. Utrata dochodu, nie rozśmieszajcie mnie. Utrzymywałam go przez pięć lat, a on twierdził, że pracował razem ze mną, tworząc za darmo firmę, i dorobił się astmy, którą wywołały odczynniki chemiczne. Wygadywał tyle bzdur... Na szczęście wyrzucili go z sądu. A potem próbował oskarżyć mnie o nękanie. Powiedział, że porysowałam mu samochód.

Zgasiła papierosa i sięgnęła po następnego.

– Bo i porysowałam – dodała z nagłym złośliwym uśmiechem. – Wiesz, że teraz wpisali go na listę? Nie może nikogo więcej pozwać bez zezwolenia.

– Tak, wiem – potwierdził Strike. – Dawn, czy kiedy byliście razem, wplątał się w jakąś działalność przestępczą?

Zapaliła papierosa, obserwując Strike'a i wciąż mając nadzieję, że się dowie, co takiego zrobił Jimmy. W końcu się odezwała:

– Nie wydaje mi się, żeby sprawdzał, czy wszystkie dziewczyny, z którymi się zabawiał, skończyły szesnaście lat. Słyszałam, że później jedna z nich... ale wtedy już nie byliśmy razem. To przestał być mój problem.

Strike zanotował.

– I nie ufałabym mu w żadnej sprawie dotyczącej Żydów. Nie lubi ich. Izrael to według niego źródło wszelkiego zła. Syjonizm... na dźwięk tego słowa robiło mi się niedobrze. Przecież chyba dość już wycierpieli – dodała oględnie. – Taa, jego kierownik w Zanet był Żydem i naprawdę się nie znosili.

– Jak się nazywał?

– Niech pomyślę... – Dawn mocno zaciągnęła się papierosem i zmarszczyła brwi. – Paul jakiś tam... aha, Lobstein. Paul Lobstein. Pewnie dalej pracuje w Zanet.

– Masz jakiś kontakt z Jimmym albo z kimkolwiek z jego rodziny?

– Broń Boże. Krzyżyk na drogę. Jedynym członkiem jego rodziny, jakiego kiedykolwiek poznałam, był mały Billy, jego brat.

Wypowiadając to imię, trochę złagodniała.

– Nie wszystko było z nim w porządku. Przez jakiś czas u nas mieszkał. Słodki chłopak, naprawdę, ale pomylony. Jimmy mówił, że to przez ojca. Ten ojciec był agresywnym alkoholikiem. Wychowywał ich sam i z tego, co mówili, ciągle ich tłukł: pasem i wszystkim, czym popadło. Jimmy wyjechał do Londynu, a biedny mały Billy został sam z ojcem. Nic dziwnego, że był taki, jaki był.

– Czyli jaki?

– Miał... chyba mówią na to tik.

Z doskonałą precyzją zademonstrowała gest od nosa do klatki piersiowej, który Strike widział w agencji.

– Z tego, co wiem, przepisali mu leki. Potem się od nas wyprowadził i przez pewien czas mieszkał z jakimiś ludźmi. Po rozstaniu z Jimmym nigdy więcej go nie widziałam. Tak, to był uroczy chłopak, ale działał Jimmy'emu na nerwy.

– Jak to? – spytał Strike.

– Jimmy nie lubił, jak Billy mówił o ich dzieciństwie. Bo ja wiem, chyba miał poczucie winy, że zostawił go samego. To wszystko było trochę dziwne...

Strike czuł, że od dawna nie myślała o tych sprawach.

– Dziwne? – podchwycił.

– Parę razy po kilku głębszych Jimmy zaczynał ględzić, że jego tata będzie się smażył w piekle za sposób, w jaki zarabiał na życie.

– Myślałem, że pracował jako złota rączka.

– Taa? A mnie mówili, że był stolarzem. Pracował dla rodziny tego polityka, jak on się nazywa? Ten z włosami.

Pokazała gestem sztywną gęstwinę sterczącą na głowie.

– Jasper Chiswell? – podsunął Strike, wymawiając nazwisko tak, jak się je pisało.

– O właśnie. Stary Knight mieszkał za darmo w domku na terenie należącym do tej rodziny. Chłopcy się tam wychowali.

– I Jimmy powiedział, że jego ojciec pójdzie do piekła za sposób, w jaki zarabiał na życie? – powtórzył Strike.

– Taa. Pewnie po prostu dlatego, że pracował dla torysów. Jimmy'emu zawsze chodziło o politykę. Zupełnie tego nie rozumiem – zdenerwowała się. – Trzeba przecież jakoś żyć. Wyobraź sobie, że pytałabym klientów, na kogo głosują, a dopiero potem... Jasna cholera! – krzyknęła nagle, zgasiła papierosa i zerwała się z miejsca. – Mam nadzieję, że Sian zdjęła wałki, bo inaczej pani Horridge wyjdzie stąd łysa.

17

Okazuje się więc, że jest niepoprawny.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Szukając okazji, żeby umieścić pluskwę w biurze Winna, Robin przez większość popołudnia kręciła się po pustym korytarzu, w którym znajdowały się drzwi do biur poselskich, lecz jej wysiłki szły na marne. Mimo że w porze lanczu Winn udał się na spotkanie, w biurze został Aamir. Robin z teczką na dokumenty w ramionach chodziła tam i z powrotem, czekając, aż Aamir pójdzie do toalety, i wracała do biura Izzy, kiedy ktoś próbował zagaić z nią rozmowę.

W końcu dziesięć po czwartej szczęście się do niej uśmiechnęło. Geraint Winn zamaszystym krokiem wyłonił się zza zakrętu korytarza, trochę podchmielony po lanczu, który najwyraźniej się przedłużył, a gdy ruszyła w jego stronę, w przeciwieństwie do swojej żony wydał się uradowany spotkaniem.

– Oto i ona! – oznajmił zbyt głośno. – Chciałem zamienić z tobą słowo! Wejdź, zapraszam!

Otworzył drzwi do swojego biura. Robin była zaskoczona, ale ponieważ bardzo chciała zobaczyć pomieszczenie, w którym miała umieścić pluskwę, poszła za nim.

Aamir pracował bez marynarki przy biurku stanowiącym maleńką oazę porządku w ogólnym bałaganie. Na biurku Winna walały się sterty teczek. Na szczycie stosu listów Robin zobaczyła pomarańczowe logo Równych Szans. Bezpośrednio pod biurkiem Gerainta było gniazdko elektryczne, które idealnie nadawało się do podłączenia pluskwy.

– Poznaliście się już? – rzucił jowialnie Geraint. – Venetia – Aamir.

Usiadł i wskazał Robin krzesło, na którym leżała krzywa sterta papierowych teczek.

– Czy Redgrave oddzwonił? – zwrócił się do Aamira, usiłując wyswobodzić się z marynarki.

– Kto? – spytał tamten.

– Sir Steve Redgrave! – powiedział Winn, patrząc na Robin i lekko przewracając oczami. Było jej za niego wstyd, zwłaszcza że „nie", które mruknął w odpowiedzi Aamir, zabrzmiało chłodno. – Równe Szanse – wyjaśnił Winn, zwracając się do Robin.

Udało mu się zdjąć marynarkę. Nieudanym teatralnym gestem cisnął ją na oparcie krzesła. Zsunęła się bezwładnie na podłogę, lecz Geraint najwidoczniej tego nie zauważył, bo właśnie stukał palcem w pomarańczowe logo na liście leżącym na szczycie sterty.

– Nasza fu... – Beknął. – Przepraszam... nasza fundacja. Ubodzy i niepełnosprawni sportowcy, rozumiesz. Wspiera nas mnóstwo znanych ludzi. Sir Steve też bardzo chce... – znowu beknął – ...przepraszam... pomóc. No, ale przede wszystkim chciałem cię przeprosić. Za moją nieszczęsną żonę.

Wyglądało na to, że sprawia mu to ogromną przyjemność. Kątem oka Robin zobaczyła, jak Aamir rzuca Geraintowi ostre spojrzenie przypominające błysk pospiesznie cofniętego pazura.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Mylą jej się nazwiska. Bez przerwy. Gdybym nie miał jej na oku, narobiłaby nam mnóstwo kłopotów, listy szłyby do niewłaściwych ludzi... Wzięła cię za kogoś innego. W czasie lanczu rozmawiałem z nią przez telefon. Uparcie twierdziła, że jesteś kimś, z kim dawno temu zetknęła się nasza córka. Verity Pulham, inna chrześnica twojego ojca chrzestnego. Od razu jej powiedziałem, że to nie ty, i obiecałem, że przekażę ci jej przeprosiny. Niemądra

z niej dziewczyna. Bardzo uparta, kiedy myśli, że ma rację, ale... – Znowu przewrócił oczami i popukał się w czoło jak od dawna cierpiący mąż wkurzającej żony. – W końcu udało mi się ją przekonać.

– Cieszę się, że zdaje sobie sprawę, że się pomyliła – odrzekła ostrożnie Robin – bo wyglądało na to, że nie przepada za Verity.

– Prawdę mówiąc, Verity rzeczywiście była niezłą suką. – Winn wciąż promieniał. Robin czuła, że wypowiedzenie tego słowa sprawiło mu przyjemność. – Rozumiesz, podle traktowała naszą córkę.

– Ojej – powiedziała Robin, czując, jak pod żebrami mocniej bije jej serce, gdyż przypomniała sobie, że Rhiannon Winn popełniła samobójstwo. – Przykro mi. To okropne.

– Wiesz – Winn usiadł, odchylił się na krześle tak, że oparcie dotknęło ściany, i założył ręce za głowę – wydajesz się zdecydowanie zbyt urocza jak na dziewczynę związaną z rodziną Chiswellów. – Z całą pewnością był trochę pijany. Robin wyczuła w jego oddechu lekki zapach wina, a Aamir znowu rzucił mu ostre, nienawistne spojrzenie. – Czym się wcześniej zajmowałaś, Venetio?

– Piarem – odparła Robin – ale chciałabym robić coś bardziej wartościowego. Zająć się polityką albo może działalnością dobroczynną. Czytałam o Równych Szansach – ciągnęła zgodnie z prawdą. – Wspaniale to wygląda. Pomagacie też weteranom, prawda? Wczoraj widziałam wywiad z Terrym Byrne'em. Z tym kolarzem startującym w paraolimpiadzie.

Jej uwagę zwróciło to, że noga Byrne'a została amputowana na tej samej wysokości co noga Strike'a.

– To zrozumiałe, że interesujesz się losem weteranów – stwierdził Winn.

Żołądek Robin podskoczył i opadł z powrotem na miejsce.

– Słucham?

– Freddie Chiswell – podpowiedział Winn.

– Ach, tak, oczywiście. Chociaż nie znałam go zbyt dobrze. Był ode mnie trochę starszy. To było straszne, kiedy... kiedy zginął.

– O tak, okropne – powiedział Winn, choć zabrzmiało to obojętnie. – Della była bardzo przeciwna wojnie w Iraku. Bardzo przeciwna. Ale nie zapominaj, że twój wuj Jasper zdecydowanie ją popierał.

Przez chwilę w powietrzu zdawała się pobrzmiewać niewyrażona sugestia, że Chiswell słono zapłacił za swój entuzjazm.

– Cóż, trudno mi to oceniać – odrzekła ostrożnie Robin. – Na podstawie dowodów, którymi wtedy dysponowaliśmy, wuj Jasper uznał, że działania wojskowe są uzasadnione. Poza tym – dodała odważnie – nikt nie może mu zarzucić, że działał w swoim prywatnym interesie, bo przecież musiał tam walczyć jego własny syn, prawda?

– Och, skoro zamierzasz obrać taką taktykę, któż mógłby się z tobą spierać? – Winn podniósł ręce, udając, że się poddaje; jego oparte o ścianę krzesło lekko się po niej zsunęło i przez kilka sekund usiłował odzyskać równowagę, chwytając za krawędź biurka i podciągając się z krzesłem z powrotem do pozycji pionowej. Powstrzymanie się od śmiechu kosztowało Robin sporo wysiłku.

– Geraint – odezwał się Aamir – jeśli chcemy wysłać te pisma przed piątą, musisz je podpisać.

– Jest dopiero czwarta trzydzieści – odparł Winn, spoglądając na zegarek. – Tak, Rhiannon była w brytyjskiej reprezentacji juniorów w szermierce.

– Wspaniale – powiedziała Robin.

– Wysportowana jak jej matka. W wieku czternastu lat reprezentowała Walię w kategorii juniorów. Woziłem ją na zawody

po całym kraju. Długie godziny razem, w trasie! W wieku szesnastu lat dostała się do reprezentacji narodowej. Ale Anglicy traktowali ją bardzo protekcjonalnie – stwierdził z błyskiem celtyckiej urazy. – Widzisz, nie chodziła do żadnej z tych waszych wielkich prywatnych szkół. Tam liczyły się tylko koneksje. Verity Pulham nie miała wielkich umiejętności. Właściwie dopiero kiedy Verity złamała nogę w kostce, Rhiannon dostała się do brytyjskiej reprezentacji, mimo że była o wiele lepszą zawodniczką.

– Rozumiem. – Robin starała się zrównoważyć współczucie udawaną lojalnością wobec Chiswellów. Bo chyba nie o to Winn miał żal do rodziny Jaspera? Fanatyczny ton głosu Gerainta świadczył jednak o jakiejś dawno zrodzonej urazie. – W sporcie powinny się liczyć przede wszystkim umiejętności.

– Zgadza się – potwierdził Winn. – Powinny. A teraz spójrz...

Pogmerał w poszukiwaniu portfela i wyjął z niego stare zdjęcie. Robin wyciągnęła rękę, ale Geraint, mocno trzymając fotografię, niezdarnie wstał, potknął się o stos książek obok krzesła, okrążył biurko, podszedł tak blisko, że Robin poczuła na karku jego oddech, i pokazał jej zdjęcie swojej córki.

Rozpromieniona Rhiannon Winn stała w stroju do szermierki, a na jej szyi wisiał złoty medal. Była blada i drobna. Robin nie dostrzegła w jej rysach wielkiego podobieństwa do rodziców, choć może w szerokim, inteligentnym czole było coś z Delli. Słysząc jednak tuż przy uchu głośny oddech Gerainta i starając się od niego nie odsuwać, nagle wyobraziła sobie Winna z ledwie widocznymi ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu, dumnie kroczącego przez wielką salę pełną spoconych nastolatek. Zapewne była karygodnie niesprawiedliwa, zastanawiając się, czy do wożenia córki po całym kraju nie skłaniało go przypadkiem coś więcej niż tylko rodzicielskie oddanie.

– Co ci się stało? – spytał Geraint, dysząc jej w ucho gorącym powietrzem. Pochylił się i dotknął fioletowej blizny od noża na jej nagim przedramieniu.

Odruchowo gwałtownie odsunęła rękę. Nerwy wokół blizny jeszcze nie do końca się zagoiły. Nie znosiła, kiedy ktoś jej dotykał.

– Wpadłam na szklane drzwi, kiedy miałam dziewięć lat – wyjaśniła, lecz poufała, sprzyjająca zwierzeniom atmosfera rozwiała się jak dym z papierosa.

Siedzący przy biurku Aamir majaczył gdzieś w tle, sztywny i milczący. Uśmiech Geraintа wyglądał na wymuszony. Zbyt długo pracowała w biurach, by nie zauważyć, że w pomieszczeniu doszło do subtelnego zaburzenia równowagi. Teraz to ona była uzbrojona w jego małą pijacką gafę, a Geraint poczuł się urażony i trochę zaniepokojony. Żałowała, że cofnęła rękę.

– Panie Winn – powiedziała, głośno wypuszczając powietrze – zastanawiałam się, czy nie zechciałby mi pan udzielić kilku rad dotyczących świata organizacji dobroczynnych. Po prostu nie umiem się zdecydować: polityka czy dobroczynność, a nie znam nikogo, kto zajmowałby się jednym i drugim.

– Och. – Geraint zamrugał za grubymi szkłami. – No dobrze... tak, zapewne mógłbym...

– Geraint – powtórzył Aamir – naprawdę musimy się zająć tymi listami...

– Dobrze, dobrze – odrzekł Geraint podniesionym głosem. – Porozmawiamy później – dodał, zwracając się do Robin i puszczając do niej oko.

– Cudownie – uśmiechnęła się.

Wychodząc, posłała lekki uśmiech także Aamirowi, lecz go nie odwzajemnił.

18

A więc tak daleko zaszło! Już tak daleko!

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Po blisko dziewięciu godzinach za kółkiem kark, plecy i nogi Strike'a były sztywne i obolałe, a jego reklamówka z prowiantem już dawno została opróżniona. Gdy na bladej, atramentowej warstewce na niebie zamrugała pierwsza gwiazda, zadzwoniła jego komórka. Była to pora, o jakiej jego siostra Lucy telefonowała zazwyczaj, „żeby pogadać". Zignorował już trzy z jej czterech telefonów, ponieważ mimo że kochał siostrę, nie potrafił wykrzesać z siebie zainteresowania szkolnymi osiągnięciami jej synów, sprzeczkami w komitecie rodzicielskim czy zawiłościami kariery jej męża w branży budowlanej. Widząc jednak, że tym razem dzwoni Barclay, skręcił w prowizoryczną zatoczkę, która w rzeczywistości była wjazdem na pole, wyłączył silnik i odebrał.

– Skumałem się – oznajmił lakonicznie Barclay. – Z Jimmym.

– Już? – Strike naprawdę był pod wrażeniem. – Jak?

– W pubie – odparł Barclay. – Zagadnąłem go. Chrzanił o niepodległości Szkocji. U angielskich lewicowców najlepsze jest to, że uwielbiają słuchać, jakim gównianym krajem jest Anglia. Stawiał mi browary przez całe popołudnie.

– A niech mnie, Barclay – powiedział Strike, zapalając kolejnego papierosa po tamtych dwudziestu, które wypalił już tego dnia. – Dobra robota.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął Barclay. – Szkoda, że ich nie słyszałeś, jak powiedziałem, że według mnie imperialistyczne

metody działania naszej armii to pomyłka. Ja pierdolę, co za łatwowierni ludzie. Jutro idę na zebranie SGOO.

– Z czego żyje Knight? Masz jakieś przypuszczenia?

– Mówił, że jest dziennikarzem i współpracuje z paroma lewicowymi stronami internetowymi, a poza tym sprzedaje koszulki tej ich organizacji i trochę marychy. Nawiasem mówiąc, to bezwartościowy szajs. Po wyjściu z pubu poszliśmy do niego. Lepiej byłoby palić pieprzone kostki rosołowe. Obiecałem, że załatwię mu coś lepszego. Możemy to wrzucić w koszty, no nie?

– Doliczę to do „wydatków różnych" – zgodził się Strike. – No dobra, bądź w kontakcie.

Barclay się rozłączył. Strike postanowił skorzystać z okazji i rozprostować nogi. Nadal paląc papierosa, wysiadł z samochodu, oparł się o bramę skleconą z pięciu desek i zwrócony w stronę szerokiego, ciemnego pola, zadzwonił do Robin.

* * *

– To Vanessa – skłamała Robin, gdy zobaczyła na wyświetlaczu numer Strike'a.

Właśnie zjedli z Matthew curry na wynos, trzymając je na kolanach i oglądając wiadomości. Matthew wrócił do domu późno i był zmęczony, nie potrzebowała kolejnej kłótni.

Wzięła komórkę i wyszła na taras, który w czasie parapetówki pełnił funkcję palarni. Upewniła się, że drzwi są dobrze zamknięte, i odebrała połączenie.

– Cześć. Wszystko w porządku?

– Jasne. Możemy chwilę porozmawiać?

– Tak. – Robin oparła się o ścianę i zapatrzyła w ćmę, która bezskutecznie obijała się o rozświetloną szybę, próbując dostać się do domu. – Jak ci poszło z Dawn Clancy?

– Nie dowiedziałem się niczego, co mogłoby się przydać – odrzekł Strike. – Myślałem, że udało mi się znaleźć trop, jakiegoś żydowskiego byłego szefa, na którym Jimmy chciał się zemścić, ale zadzwoniłem do firmy i okazało się, że we wrześniu biedak dostał udaru i umarł. Jak tylko od niej wyszedłem, odebrałem telefon od Chiswella. Podobno „Sun" zaczęło węszyć.

– Tak – potwierdziła Robin. – Dzwonili do jego żony.

– Tylko tego nam brakowało – mruknął Strike, co Robin uznała za wielką powściągliwość. – Ciekawe, kto dał cynk dziennikarzom.

– Stawiałabym na Winna – stwierdziła Robin, przypominając sobie sposób, w jaki Geraint rozmawiał z nią po południu: rzucanie nazwiskami, wysokie mniemanie o sobie. – Taki gość jak on chętnie wspomniałby dziennikarzowi, że szykuje się jakaś historia z Chiswellem w roli głównej, nawet gdyby nie miał jeszcze dowodu. A tak poważnie – dodała, nie bardzo licząc na odpowiedź – jak myślisz, co właściwie zrobił Chiswell?

– Fajnie byłoby wiedzieć, ale to w zasadzie bez znaczenia – odparł Strike. Wydawał się zmęczony. – Nie płaci nam za to, żebyśmy szukali dowodów obciążających j e g o. A skoro mowa o dowodach...

– Nie udało mi się jeszcze zainstalować pluskwy – powiedziała Robin, uprzedzając pytanie. – Długo kręciłam się w pobliżu, ale kiedy obaj wyszli, Aamir zamknął drzwi na klucz.

Strike westchnął.

– Nie bądź nadgorliwa i nie schrzań sprawy, ale jeśli wmiesza się w to „Sun", będziemy mieli poważny problem. Zrób wszystko, co się da. Przyjdź do biura wcześniej albo coś.

– Dobrze, spróbuję – obiecała Robin. – W każdym razie dowiedziałam się dzisiaj czegoś dziwnego o Winnach. – Opowiedziała mu o tym, jak Della pomyliła ją z jedną

z prawdziwych chrześnic Chiswella, i przytoczyła historię Rhiannon w drużynie szermierczej. Strike sprawiał wrażenie niezbyt zainteresowanego.

– Wątpię, czy akurat z tego powodu Winnowie chcą pozbawić Chiswella stanowiska. Zresztą liczy się...

– ...okazja, a nie motyw – dokończyła, cytując słowa, które często powtarzał.

– Właśnie. Słuchaj, możesz spotkać się ze mną jutro po pracy, żebyśmy szczegółowo to wszystko omówili?

– Jasne – powiedziała Robin.

– Za to Barclayowi idzie dobrze. – Strike jakby poweselał na tę myśl. – Udało mu się już zakumplować z Jimmym.

– Aha – odrzekła Robin. – To fajnie.

Powiedział, że prześle jej esemesem nazwę jakiegoś dogodnie położonego pubu, po czym rozłączył się, zostawiając Robin samą i zamyśloną w spokojnej ciemności ogródka, gdzie gwiazdy nad jej głową świeciły już jasnym blaskiem.

„Za to Barclayowi idzie dobrze".

W przeciwieństwie do Robin, która nie znalazła niczego oprócz niezwiązanej z tematem historii o Rhiannon Winn.

Ćma nadal rozpaczliwie biła skrzydełkami o przesuwne drzwi, gorączkowo usiłując dostać się do światła.

„Kretynko – pomyślała Robin – tu jest lepiej".

Przyszło jej do głowy, że łatwość, z jaką wypowiedziała kłamstwo o dzwoniącej Vanessie, powinna wywołać wyrzuty sumienia, lecz po prostu cieszyła się, że Matthew się nie zorientował. Patrząc, jak ćma dalej desperacko uderza skrzydełkami o lśniącą szybę, przypomniała sobie, co powiedziała jej terapeutka podczas jednej z sesji, gdy Robin długo rozwodziła się nad

odczuwaną przez siebie potrzebą oddzielenia prawdziwego Matthew od swoich złudzeń na jego temat.

– W ciągu dziesięciu lat ludzie się zmieniają – zauważyła terapeutka. – Czy na pewno musi być tak, że pomyliłaś się co do Matthew? Może po prostu obydwoje się zmieniliście?

W najbliższy poniedziałek wypadała pierwsza rocznica ich ślubu. Matthew zaproponował, żeby spędzili następny weekend w eleganckim hotelu niedaleko Oksfordu. W jakimś dziwnym sensie Robin czekała na to z niecierpliwością, ponieważ ostatnio, po zmianie otoczenia, chyba lepiej się ze sobą dogadywali. W obecności obcych ludzi słabła ich skłonność do sprzeczania się. Robin opowiedziała mężowi historię o zieleniejącym popiersiu Teda Heatha i podzieliła się z nim kilkoma innymi interesującymi (według niej) informacjami na temat Izby Gmin. Gdy mówiła, Matthew cały czas miał znudzoną minę, sygnalizując w ten sposób, że nie pochwala tego całego przedsięwzięcia.

Robin podjęła decyzję, otworzyła drzwi na taras i uradowana ćma wleciała do środka.

– Czego chciała Vanessa? – spytał Matthew, wpatrując się w telewizor, gdy Robin z powrotem usiadła na swoim miejscu. Lilie Stargazer od Sarah Shadlock stały tuż obok na stoliku, wciąż w rozkwicie po dziesięciu dniach od parapetówki, i Robin czuła ich oszałamiający zapach, nawet gdy jadła curry.

– Po naszym ostatnim spotkaniu zabrałam przez pomyłkę jej okulary przeciwsłoneczne – odparła Robin, udając poirytowanie. – Prosiła, żebym je oddała, są od Chanel. Obiecałam, że spotkam się z nią przed pracą.

– Chanel? – Matthew uśmiechnął się w sposób, który wydał się Robin protekcjonalny. Wiedziała, że uznał to za słaby punkt

Vanessy, lecz być może bardziej ją polubił, wiedząc, że ceni sobie markowe produkty i zależy jej na ich odzyskaniu.

– Będę musiała wyjść o szóstej – powiedziała Robin.

– O szóstej? – powtórzył zdenerwowanym tonem. – Jezu, jestem skonany, nie chcę się budzić o...

– Dlatego miałam zaproponować, że prześpię się w pokoju gościnnym – dodała Robin.

– Aha – odrzekł udobruchany. – No dobrze. Dzięki.

19

Nie czynię tego chętnie; ale – enfin – w przymusowej sytuacji...

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Nazajutrz Robin wyszła z domu za piętnaście szósta. Niebo było leciutko zaróżowione i robiło się już ciepło, dzięki czemu nie musiała wkładać żakietu. Gdy mijała lokalny pub, jej spojrzenie pomknęło ku rzeźbie przedstawiającej łabędzia, lecz siłą woli zwróciła myśli z powrotem w stronę czekającego ją dnia, a nie mężczyzny, którego zostawiła za sobą.

Godzinę później, skręcając w korytarz w pałacu westminsterskim, spostrzegła, że drzwi do biura Gerainta są już otwarte. Zajrzawszy do środka, zobaczyła puste pomieszczenie, lecz na oparciu krzesła Aamira wisiała jego marynarka.

Robin pobiegła do drzwi biura Izzy, otworzyła je, dopadła do swojego biurka, wyjęła z pudełka tampaxów jedno z urządzeń podsłuchowych, zgarnęła plik nieaktualnych programów, który miał jej posłużyć za alibi, po czym wybiegła z powrotem na korytarz.

Zbliżając się do drzwi Gerainta, zsunęła okrągłą złotą bransoletkę, którą założyła specjalnie w tym celu, i rzuciła ją lekko, tak by wtoczyła się do biura Gerainta.

– O cholera! – zawołała.

Z biura nie dobiegł żaden głos. Robin zapukała w otwarte drzwi, powiedziała „halo?" i wsunęła głowę do środka. W pomieszczeniu wciąż było pusto.

Robin podbiegła do podwójnego gniazdka elektrycznego tuż nad listwą przypodłogową obok biurka Gerainta. Przyklękła, wydobyła z torebki pluskwę, wyjęła z gniazdka wtyczkę wentylatora biurkowego, wcisnęła na jej miejsce urządzenie podsłuchowe, ponownie podłączyła wentylator, upewniła się, czy działa, a następnie, dysząc, jakby właśnie przebiegła sprintem sto metrów, rozejrzała się w poszukiwaniu bransoletki.

– Co ty tu robisz?

Aamir w samej koszuli stał w drzwiach, trzymając kubek ze świeżo zaparzoną herbatą.

– Pukałam – powiedziała Robin, pewna, że się rumieni. – Upuściłam bransoletkę i potoczyła się... O, jest.

Bransoletka leżała tuż pod krzesłem Aamira. Robin podpełzła, żeby ją podnieść.

– Należy do mojej matki – skłamała. – Gdybym ją zgubiła, nie byłaby zadowolona.

Wsunęła bransoletkę z powrotem na nadgarstek, wzięła dokumenty, które położyła na biurku Gerainta, uśmiechnęła się najbardziej beztroskim uśmiechem, na jaki zdołała się zdobyć, a potem wyszła z biura, mijając po drodze Aamira, który, jak zauważyła kątem oka, przyglądał jej się podejrzliwie.

Zadowolona, wróciła do biura Izzy. Przynajmniej będzie miała pomyślne wieści dla Strike'a, gdy wieczorem spotkają się w pubie.

Już nie tylko Barclay dobrze się spisywał. Była tak pochłonięta tymi myślami, że nie zauważyła, że w biurze pojawił się ktoś jeszcze, dopóki tuż za jej plecami nie zabrzmiał męski głos:

– Kim pani jest?

Teraźniejszość nagle się rozpłynęła. Obaj napastnicy z przeszłości rzucili się na nią od tyłu. Robin odwróciła się z krzykiem, gotowa walczyć o życie: dokumenty wystrzeliły w powietrze, a torebka zsunęła się jej z ramienia, upadła na podłogę i gwałtownie się otworzyła, rozsypując wokół zawartość.

– Przepraszam! – powiedział mężczyzna. – Jezu, przepraszam!

Robin z trudem łapała oddech. Dudniło jej w uszach, a całe ciało oblało się potem. Pochyliła się, żeby pozbierać swoje rzeczy, lecz tak bardzo się trzęsła, że ciągle wypadały jej z rąk.

„Nie teraz. Nie teraz".

Mówił coś do niej, ale nie rozumiała ani słowa. Świat znowu rozpadał się na kawałki pełne przerażenia i niebezpieczeństw, a mężczyzna podający jej eyeliner i buteleczkę z kroplami nawilżającymi do oczu rozmywał się w bezkształtną plamę.

– Och – wykrztusiła Robin. – Wspaniale. Przepraszam. Muszę do toalety.

Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę drzwi. Korytarzem zbliżały się dwie osoby, a gdy ją pozdrowiły, ich głosy zabrzmiały niewyraźnie i obco. Nie bardzo wiedząc, co odpowiedziała, minęła je i prawie biegiem popędziła do damskiej toalety.

Kobieta pracująca w biurze poselskim ministra zdrowia przywitała się z nią, stojąc obok umywalki, przy której malowała usta. Robin na oślep wparowała do kabiny i zamknęła się w niej drżącymi palcami.

Próby stłumienia paniki nie miały sensu: to ją tylko rozjuszało i skłaniało do podporządkowywania Robin swojej woli. Trzeba

było ją okiełznać jak spłoszonego konia, uspokoić tak, by pozwoliła nad sobą zapanować. Dlatego Robin stała bez ruchu, przyciskając dłonie do ścianek działowych i przemawiając do siebie w myślach, jakby była treserką zwierząt, a jej ciało, owładnięte irracjonalnym lękiem, rozgorączkowaną zwierzyną łowną.

„Jesteś bezpieczna, jesteś bezpieczna, jesteś bezpieczna..."

Powoli panika zaczęła ustępować, mimo że serce wciąż szarpało się nierównymi zrywami. W końcu Robin odsunęła zdrętwiałe dłonie od ścianek kabiny i otworzyła oczy, mrugając w ostrym świetle. W toalecie panowała cisza.

Robin wyjrzała z kabiny. Kobieta z biura ministra zdrowia już wyszła. W środku nie było nikogo oprócz bladego odbicia Robin w lustrze. Opryskała twarz zimną wodą, osuszyła ją papierowym ręcznikiem, założyła z powrotem okulary i wyszła z łazienki.

Tymczasem w biurze, z którego niedawno wybiegła, rozgorzała jakaś kłótnia. Robin wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Jasper Chiswell odwrócił się, obrzucając ją wściekłym spojrzeniem. Wokół jego zaróżowionej twarzy sterczały gęste, sztywne siwe włosy. Izzy stała za biurkiem. Obcy mężczyzna wciąż był w środku. Robin, nadal wstrząśnięta, wolałaby nie skupiać na sobie trzech par zaciekawionych oczu.

– Co się stało? – spytał ostro Chiswell, zwracając się do Robin.

– Nic – odparła, czując, jak pod sukienką znowu oblewa ją zimny pot.

– Wybiegła pani z biura. Czy on... – Chiswell wskazał ciemnowłosego mężczyznę – coś pani zrobił? Narzucał się?

– Co takie...? Nie! Po prostu się go nie spodziewałam... Odezwał się, a ja się wystraszyłam. A potem – czuła, że jeszcze nigdy nie była tak czerwona – potem musiałam pobiec do łazienki.

Chiswell odwrócił się w stronę mężczyzny.

– Dlaczego zjawiłeś się tak wcześnie?

Robin wreszcie zdała sobie sprawę, że to Raphael. Już na zdjęciach znalezionych w internecie zauważyła, że ten półkrwi Włoch wygląda dość egzotycznie na tle reszty rodziny, jasnowłosej i o bardzo angielskiej aparycji. Nie przypuszczała jednak, że Raphael okaże się tak przystojny. Grafitowy garnitur, białą koszulę i konwencjonalny granatowy krawat w kropki nosił ze swobodą niedostępną żadnemu z mężczyzn pracujących wzdłuż tego korytarza. Cerę miał tak ciemną, że wyglądał wręcz jak Mulat, a do tego dochodziły wysokie kości policzkowe, prawie czarne oczy, ciemne, długie, opadające włosy i szerokie usta, które, w przeciwieństwie do ust jego ojca, miały pełną górną wargę dodającą twarzy delikatności.

– Myślałem, że cenisz punktualność, tato – odrzekł, podnosząc ręce i opuszczając je w geście lekkiej bezradności.

– Daj mu coś do roboty – polecił jego ojciec Izzy, po czym wymaszerował z biura.

Zażenowana Robin podeszła do swojego biurka. Wszyscy milczeli, dopóki kroki Chiswella nie ucichły. Pierwsza odezwała się Izzy:

– Raff, skarbie, tata ma teraz mnóstwo zmartwień. To nie twoja wina. Naprawdę, wpada w szał z najmniejszego powodu.

– Bardzo przepraszam – bąknęła Robin. – Moja reakcja była mocno przesadzona.

– Nie ma sprawy – odrzekł Raphael z akcentem, który powszechnie kojarzy się z prywatnymi szkołami. – Chciałbym tylko zaznaczyć, że wcale nie jestem przestępcą seksualnym.

Robin nerwowo się roześmiała.

– Jesteś tą chrześnicą, o której nie wiedziałem? Nikt mi niczego nie mówi. Masz na imię Venetia, prawda? Jestem Raff.

– Eee... tak... cześć.

Uścisnęli sobie ręce i Robin usiadła z powrotem za biurkiem, skupiając się na bezsensownym przekładaniu papierów. Czuła, jak jej twarz na przemian pąsowieje i blednie.

– Po prostu mamy tu teraz istny kocioł – powiedziała Izzy. Robin domyślała się, że córka Chiswella próbuje z nie całkiem altruistycznych powodów przekonać Raphaela, że z ojcem nie współpracuje się tak strasznie, jak mogłoby się wydawać. – Mamy za mało ludzi, zbliża się olimpiada, TD ciągle urządza tacie awantury...

– Kto urządza tacie awantury? – spytał Raphael, opadając na wysiedziany fotel, poluzowując krawat i krzyżując długie nogi.

– TD – powtórzyła Izzy. – Skoro już tam siedzisz, Raff, pochyl się i nastaw czajnik. Marzę o kawie. TD. To skrót od Tinky Druga. Ja i Fizz nazywamy tak Kinvarę.

Podczas przerw w pracy Izzy zapoznała Robin z licznymi przezwiskami członków rodziny Chiswellów. Sophię, starszą siostrę Izzy, nazywano „Fizzy", a jej troje dzieci ni mniej, ni więcej, tylko „Pringle", „Flopsy" i „Pong".

– Dlaczego Tinky Druga? – zainteresował się Raff, odkręcając długimi palcami słoik z kawą. Robin nadal śledziła każdy jego ruch, mimo że skupiała wzrok na swojej rzekomej pracy. – Była jakaś Tinky Pierwsza?

– Och, Raff, daj spokój, na pewno słyszałeś o Tinky – powiedziała Izzy. – To ta upiorna australijska pielęgniarka, z którą ożenił się Dziaduś, kiedy zaczął popadać w demencję. Wpompował w nią większość pieniędzy. Dla niej był to drugi głupi stary piernik, który wziął ją za żonę. Dziaduś kupił jej beznadziejnego konia wyścigowego i mnóstwo paskudnej biżuterii. Tata musiał prawie iść do sądu, żeby po śmierci Dziadusia wykurzyć ją z domu. Dzięki

Bogu, padła na raka piersi, zanim zdążyło to wygenerować poważne koszty.

Robin, zdumiona tą nagłą bezdusznością, podniosła głowę znad dokumentów.

– Jaką pijesz, Venetia? – spytał Raphael, wsypując kawę do kubków.

– Poproszę białą bez cukru. – Uznała, że po niedawnym wtargnięciu do biura Winna na razie najlepiej będzie się nie wychylać.

– TD też wyszła za tatę dla forsy – ciągnęła Izzy – a do tego ma podobnego fioła na punkcie koni jak Tinky. Wiesz, że kupił jej już dziewięć? Dziewięć!

– Dziewięć czego? – zapytał Raphael.

– Koni, Raff! – zniecierpliwiła się Izzy. – Cholernych, nieusłuchanych, porywistych, gorącokrwistych koni, które ten babsztyl rozpieszcza jak substytuty dziecka, wydając na nie wszystkie pieniądze! B o ż e, marzę, żeby tata ją zostawił – dodała Izzy. – Podaj puszkę z ciastkami, skarbie.

Spełnił jej prośbę. Robin, która czuła na sobie jego spojrzenie, nadal udawała, że jest pochłonięta pracą.

Zadzwonił telefon.

– Biuro Jaspera Chiswella – powiedziała Izzy, próbując zdjąć jedną ręką pokrywkę z puszki z ciastkami i przytrzymując słuchawkę brodą. – Och. – W jej głosie pojawił się nagły chłód. – Dzień dobry, Kinvaro. Tata przed chwilą wyszedł...

Uśmiechając się na widok miny przyrodniej siostry, Raphael wziął od niej puszkę z ciastkami, otworzył ją i podsunął Robin, która pokręciła głową. Ze słuchawki Izzy wydobywał się potok niezrozumiałych słów.

– Nie... nie, już wyszedł... Wpadł tylko przywitać się z Raffem...

Głos na drugim końcu linii zabrzmiał jeszcze ostrzej.

– Z powrotem do ministerstwa, o dziesiątej ma zebranie – poinformowała Izzy. – Nie mogę... Dlatego że jest bardzo zajęty, przecież wiesz, olimpia... Tak... Do widzenia.

Zamaszyście odłożyła słuchawkę i wyswobodziła się z żakietu.

– Powinna znowu wyjechać, żeby „podreperować nerwy". Poprzednim razem chyba niewiele jej to pomogło.

– Izzy nie wierzy w choroby psychiczne – wyjaśnił Raphael, zwracając się do Robin.

Nadal przyglądał się jej z lekkim zaciekawieniem i, jak przypuszczała, próbował wciągnąć ją w rozmowę.

– Oczywiście, że wierzę w choroby psychiczne, Raff! – zaprotestowała wyraźnie dotknięta Izzy. – Oczywiście, że wierzę! Kiedy to się stało, było mi jej żal, n a p r a w d ę, Raff. Dwa lata temu Kinvara urodziła martwe dziecko, to oczywiście smutne, o c z y w i ś c i e, że tak, i doskonale rozumiem, że potem była trochę, no wiecie, ale... Nie, przykro mi – zdenerwowała się, spoglądając na Raphaela. – Ona to wykorzystuje. N a p r a w d ę, Raff. Myśli, że daje jej to prawo do wszystkiego, na co ma ochotę, i... Zresztą i tak byłaby okropną matką – oznajmiła wyzywająco. – Ciągle musi być w centrum zainteresowania. Jeśli poświęca się jej za mało uwagi, zaczyna grymasić jak mała dziewczynka: „Jasper, nie zostawiaj mnie samej, boję się, kiedy nie ma cię w nocy". Opowiada głupie kłamstwa... o dziwnych telefonach dzwoniących w domu, o mężczyznach chowających się za rabatami czy kręcących się przy koniach.

– C o? – odezwał się rozbawiony Raphael, ale Izzy nagle zmieniła temat.

– O Boże, patrzcie, tata zostawił materiały informacyjne.

Wybiegła zza biurka, chwyciła skórzaną teczkę leżącą na kaloryferze i zawołała przez ramię:

– Raff, możesz odsłuchiwać wiadomości z automatycznej sekretarki i zapisywać je, dopóki nie wrócę?

Ciężkie drewniane drzwi zamknęły się za nią z hukiem, zostawiając Robin sam na sam z Raphaelem. Nawet jeśli już przed wyjściem Izzy Robin nie mogła się przy nim skoncentrować, to teraz poczuła się tak, jakby wypełnił całe biuro i skupił na niej spojrzenie ciemnych, oliwkowych oczu.

„Wziął ecstasy i wjechał samochodem w matkę czterolatki. Nie odsiedział nawet jednej trzeciej wyroku, a teraz ojciec dał mu pracę na koszt podatników".

– Jak to się robi? – spytał ją, siadając za biurkiem Izzy.

– Chyba wystarczy wcisnąć Play – mruknęła Robin, sącząc kawę i udając, że zapisuje coś w notesie.

Z automatycznej sekretarki zaczęły się wydobywać nagrane wiadomości, zagłuszając cichy szmer pogawędek prowadzonych na tarasie za firankami w oknach.

Ktoś, kto przedstawił się imieniem Rupert, prosił, żeby Izzy oddzwoniła do niego w sprawie jakiegoś „DWZ-etu".

Wyborczyni o nazwisku Ricketts przez bite dwie minuty mówiła o ruchu ulicznym na Banbury Road.

Jakaś zdenerwowana kobieta oznajmiła z gniewem, że rozmowa z automatyczną sekretarką wcale jej nie zaskoczyła i że posłowie powinni osobiście odbierać telefony od przedstawicieli społeczeństwa, a następnie tak długo rozwodziła się na temat sąsiadów, którzy mimo wielokrotnych próśb ze strony rady gminy nie przycinają zwisających gałęzi drzewa, aż w końcu automatyczna sekretarka zakończyła połączenie.

Po chwili pogrążone w ciszy biuro wypełniło się niemal komicznie groźnym, warkliwym głosem jakiegoś mężczyzny:

– Kiedy umierają, podobno szczają w gacie. To prawda, Chiswell? Czterdzieści kawałków albo zacznę rozpytywać, ile dałyby mi za to gazety.

20

Obydwoje mamy do siebie pełne zaufanie.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Na spotkanie w środę wieczorem Strike wybrał pub Two Chairmen, ponieważ lokal mieścił się niedaleko pałacu Westminster. Pub stał na skrzyżowaniu liczących setki lat bocznych uliczek – Old Queen Street i Cockpit Steps – pośród rozmaitych urokliwych, spokojnych budyneczków wzniesionych pod dziwnymi kątami. Dopiero gdy Strike kuśtykał na drugą stronę ulicy i zobaczył metalowy szyld zawieszony nad wejściem, uświadomił sobie, że „Two Chairmen", na których cześć nazwano pub, nie byli, jak zakładał, dwoma przewodniczącymi jakiejś komisji parlamentarnej, lecz zwykłymi sługami taszczącymi ciężką lektykę[6]. Detektyw był zmęczony, więc obrazek wydał mu się adekwatny do sytuacji, mimo że w lektyce siedziała szacowna dama w bieli, a nie zwalisty, gderliwy minister ze sztywnymi włosami i wybuchowym temperamentem.

W barze tłoczyli się ludzie, którzy wpadli na drinka po pracy, i nagle Strike zaczął się obawiać, że nie znajdzie w środku miejsca do siedzenia, co wydało mu się przykrą perspektywą, ponieważ jego noga, plecy i kark wciąż były napięte i obolałe po długiej

podróży samochodem poprzedniego dnia, a także po niedawnych godzinach spędzonych na Harley Street, gdzie obserwował Nieuchwytnego Doktorka.

Gdy kupił kufel piwa London Pride, zwolnił się stolik przy oknie. Z prędkością zrodzoną z konieczności Strike zajął wysoką ławkę, siadając plecami do ulicy, zanim wolne miejsce zdążyła zaanektować najbliższa grupka mężczyzn w garniturach. Nie było wątpliwości, że nikt nie zakwestionuje jego prawa do samotnego zasiadania przy czteroosobowym stoliku. Strike był na tyle duży i opryskliwy z wyglądu, że nawet tych paru urzędników służby cywilnej zwątpiło w swoją zdolność do wynegocjowania kompromisu.

Bar z drewnianą podłogą należał do kategorii, którą detektyw określał mianem „modnego funkcjonalizmu". Wyblakłe malowidło na ścianie w głębi sali ukazywało rozplotkowanych mężczyzn w perukach z osiemnastego wieku, lecz wszystko poza tym było drewniane i oszczędne w formie albo monochromatyczne. Wyjrzał przez okno, by sprawdzić, czy nie nadchodzi Robin, ale ponieważ nie było jej jeszcze widać, napił się piwa i zaczął czytać najnowsze informacje w telefonie, próbując nie zwracać uwagi na leżące przed nim na stoliku menu, które kusiło go zdjęciem ryby w cieście.

Robin miała przyjść o szóstej, ale o wpół do siódmej wciąż jeszcze jej nie było. Nie potrafiąc dłużej opierać się zdjęciu w menu, Strike zamówił sobie dorsza z frytkami i następny kufel piwa, po czym zajął się czytaniem długiego artykułu w „The Times" o zbliżającej się ceremonii otwarcia olimpiady, który tak naprawdę był niekończącą się wyliczanką, mówiącą, jak według dziennikarzy może ona przedstawić w złym świetle i upokorzyć cały naród.

Za piętnaście siódma Strike zaczął się martwić o Robin. Gdy wreszcie postanowił do niej zadzwonić, wpadła do pubu,

zarumieniona i w okularach, mimo że, jak wiedział, wcale nie miała problemów ze wzrokiem. Jej mina, którą już znał, świadczyła o ledwie skrywanym podnieceniu kogoś, kto chce jak najszybciej podzielić się czymś ważnym.

– Orzechowe oczy – zauważył, gdy usiadła naprzeciwko niego. – Nieźle. Zmieniają wygląd całej twarzy. Czego się dowiedziałaś?

– Skąd wiesz, że się czegoś...? No, w zasadzie to mnóstwa rzeczy – odparła, uznając, że nie ma sensu się z nim droczyć. – Miałam do ciebie zadzwonić, ale przez cały dzień byłam wśród ludzi, a kiedy rano zakładałam podsłuch, o mało nie wpadłam.

– Udało ci się? Cholera, dobra robota!

– Dzięki. Zaczekaj, strasznie chce mi się pić.

Wróciła z kieliszkiem czerwonego wina i od razu zaczęła opowiadać o wiadomości, którą Raphael odsłuchał rano z automatycznej sekretarki.

– Nie było szans, żeby uzyskać numer, z którego dzwonił ten człowiek, bo po nim nagrały się jeszcze cztery inne osoby. Mają tam przestarzałą sieć telefoniczną.

– Pamiętasz, w jaki sposób wymawiał nazwisko Chiswell? – spytał Strike, marszcząc brwi.

– Prawidłowo: „Czizel".

– To mógł być Jimmy – stwierdził Strike. – Co wydarzyło się potem?

– Kiedy Izzy wróciła do biura, Raff powiedział jej o tym telefonie – podjęła Robin i Strike odniósł wrażenie, że wymówiła imię syna Chiswella z pewnym onieśmieleniem. – Wszystko wskazywało na to, że Raphael nie wie, co się dzieje. Izzy natychmiast zadzwoniła do ojca, a on wpadł w szał. Słyszeliśmy, jak krzyczy na drugim końcu linii, ale nie mogłam zrozumieć słów.

Strike w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Jak brzmiał ten anonimowy rozmówca?

– Londyński akcent – powiedziała Robin. – Groźny ton.

– „Kiedy umierają, podobno szczają w gacie" – powtórzył Strike ściszonym głosem.

Robin chciała coś dodać, lecz pewne brutalne wspomnienie z własnej przeszłości sprawiło, że trudno jej to było wyartykułować.

– Duszone ofiary...

– Taa – wszedł jej w słowo. – Wiem.

Obydwoje pociągnęli po łyku.

– Jeśli to rzeczywiście był Jimmy – ciągnęła Robin – dzwonił dziś do ministerstwa dwa razy.

Otworzyła torebkę i pokazała Strike'owi ukryty w niej sprzęt do podsłuchu.

– Udało ci się go wynieść? – spytał osłupiały.

– I podłączyłam drugi. – Nie była w stanie powstrzymać zwycięskiego uśmiechu. – Właśnie dlatego się spóźniłam. Zaryzykowałam. Aamir, ten, który pracuje z Winnem, poszedł już do domu, a Geraint zjawił się w naszym biurze, kiedy się pakowałam, i zaczął mnie zagadywać.

– Jakoś mnie to nie dziwi – zaśmiał się Strike.

– Cieszę się, że tak cię to bawi – odparła chłodno. – To nie jest fajny facet.

– Przepraszam. W jakim sensie nie jest fajny?

– Uwierz mi na słowo – odrzekła Robin. – Poznałam w biurach mnóstwo takich typów. To zboczeniec, i to z odrażającymi dodatkami. Powiedział mi – pod wpływem wzburzenia jej twarz oblewała się falą coraz głębszej czerwieni – że przypominam mu jego nieżyjącą córkę. A potem dotknął moich włosów.

– Dotknął twoich włosów? – powtórzył Strike już bez uśmiechu.

– Podniósł kosmyk z mojego ramienia i przesunął go między palcami – wyjaśniła. – Potem chyba wyczuł, co o nim sądzę, bo próbował udawać, że to taki ojcowski gest. W każdym razie powiedziałam, że muszę iść do toalety, ale poprosiłam, żeby na mnie zaczekał, bo chciałabym z nim porozmawiać o działalności dobroczynnej. Wymknęłam się na korytarz i podmieniłam pluskwy.

– Cholernie dobrze się spisałaś, Robin.

– W drodze do pubu odsłuchałam pierwsze nagranie – wyjęła słuchawki z kieszeni – i...

Podała mu je.

– ...nastawiłam na ciekawy moment.

Strike posłusznie włożył do uszu słuchawki i Robin włączyła urządzenie ukryte w torebce.

– ...o wpół do czwartej, Aamir.

Męskiemu głosowi z walijskim akcentem przerwał dźwięk komórki. Niedaleko gniazdka elektrycznego zaszurały czyjeś stopy, sygnał ustał i ponownie odezwał się Geraint:

– O, witaj, Jimmy... Chwileczkę... Aamir, zamknij drzwi.

Znowu szuranie, odgłos kroków.

– Tak, Jimmy...?

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której Geraint próbował chyba nadążyć za coraz głośniejszą tyradą.

– Zaraz... zacze... Jimmy, posłu... Jimmy, posłuchaj... P o s ł u c h a j! Wiem, że jesteś zawiedziony, rozumiem twoje rozgorycze... J i m m y, p r o s z ę c i ę! Rozumiemy, jak się czujesz... To nie w porządku, Jimmy, ani ja, ani Della nie pochodzimy z bogatych rodzin... Jimmy, mój ojciec był górnikiem! A teraz proszę, posłuchaj! J u ż p r a w i e m a m y t e z d j ę c i a!

Strike'owi wydawało się, że przez chwilę słyszy bardzo niewyraźne wznoszenie się i opadanie potoczystej przemowy Jimmy'ego Knighta na drugim końcu linii.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział w końcu Geraint – ale zaklinam cię, powstrzymaj się od gwałtownych ruchów. On nie zamierza ci dać... Jimmy, posłuchaj! On ci nie da tych pieniędzy, wyraźnie to powiedział. Teraz pozostaje nam tylko pójść z tym do gazet, więc... Dowód, Jimmy! Dowód!

Nastąpił kolejny, krótszy moment wypełniony niezrozumiałym trajkotem.

– Przecież już ci mówiłem, prawda? Tak... Nie, ale Ministerstwo Spraw Zagranicznych... No cóż, raczej nie... Nie, Aamir ma tam dojście... Tak... tak... W takim razie w porządku... Dobrze, Jimmy. Dobrze... Tak, w porządku. Tak. Do widzenia.

Rozległ się stukot odkładanej na biurko komórki, a po chwili głos Gerainta:

– Głupi kutas.

Znowu dały się słyszeć kroki. Strike spojrzał na Robin, która gestem pokazała mu, że ma słuchać dalej. Jakieś pół minuty później zabrzmiał nieśmiały i niespokojny głos Aamira:

– Geraint, Christopher niczego mi nie obiecywał w sprawie tych zdjęć.

Nawet na niewyraźnym nagraniu i pośród szelestu kartek na biurku Gerainta dało się słyszeć wiszące w powietrzu napięcie.

– Słyszałeś, Gera...?

– Tak, słyszałem! – warknął Winn. – Dobry Boże, chłopcze, byłeś najlepszy na roku w London School of Economics, a nie potrafisz wymyślić sposobu, żeby skłonić tego drania do udostępnienia ci zdjęć? Nie proszę cię, żebyś wyniósł je z ministerstwa, masz tylko

zdobyć kopie. To chyba nie leży poza zasięgiem ludzkich możliwości.

– Nie chcę kolejnych kłopotów – mruknął Aamir.

– A można by pomyśleć – powiedział Geraint – że po tym wszystkim, co zrobiła dla ciebie Della...

– Jestem jej wdzięczny – odrzekł natychmiast Aamir. – Przecież wiesz... No dobrze, postaram się.

Przez następną minutę nie było słychać niczego oprócz szurania butów i szeleszczenia papieru, a wreszcie rozległ się metaliczny dźwięk. Urządzenie automatycznie wyłączało się po minucie ciszy i uruchamiało ponownie, gdy ktoś się odezwał. Następny głos należał do jakiegoś innego mężczyzny, który pytał, czy Della weźmie udział w popołudniowym posiedzeniu podkomisji.

Strike wyjął słuchawki z uszu.

– Słyszałeś wszystko? – spytała Robin.

– Chyba tak.

Rozparła się na krześle i z wyczekiwaniem wpatrywała się w jego twarz.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych? – powtórzył cicho Strike. – Co on, do cholery, zrobił, że zdjęcia trafiły aż do Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

– Myślałam, że nie powinno nas interesować, co zrobił. – Robin uniosła brwi.

– Nigdy nie mówiłem, że mnie to nie interesuje. Mówiłem tylko, że nikt mi nie płaci za dowiadywanie się tego.

Podano mu rybę z frytkami. Podziękował barmance, a następnie wycisnął na talerz ogromną porcję keczupu.

– Cokolwiek zrobił Chiswell, Izzy mówiła o tym zupełnie rzeczowym tonem – zauważyła Robin, wracając myślami do tamtej

rozmowy. – Przecież nie mogłaby się tak zachowywać, gdyby jej ojciec... no wiesz... kogoś zamordował.

Celowo unikała słowa „udusił". Trzy ataki paniki w ciągu trzech dni w zupełności jej wystarczały.

– Muszę powiedzieć – odezwał się Strike, przeżuwając frytki – że po tym anonimowym telefonie stałaś się... Chyba że – powiedział, porażony inną myślą – Jimmy wpadł na genialny pomysł, żeby dodatkowo spróbować wciągnąć Chiswella w tę historię z Billym. Zamordowanie dziecka nie musi być prawdą, żeby narobić kłopotów ministrowi, któremu prasa już i tak siedzi na ogonie. Wiesz, co się dzieje w internecie. Mnóstwo ludzi uważa, że bycie torysem jest równoznaczne z byciem dzieciobójcą. Może Jimmy chce w ten sposób wywrzeć na niego większą presję.

W zamyśleniu nadział na widelec kilka frytek.

– Chętnie bym się dowiedział, gdzie jest Billy, gdybyśmy mieli czas, żeby go szukać. Barclay jeszcze ani razu go nie widział, a Jimmy nie wspomniał mu, że ma brata.

– Billy mówił, że ktoś go przetrzymuje – podsunęła nieśmiało Robin.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyśmy mogli teraz przywiązywać wielką wagę do tego, co mówi Billy. Znałem w pucusiach gościa, który miał epizod psychotyczny w czasie manewrów. Myślał, że pod jego skórą zalęgły się karaluchy.

– W...?

– Pucusiach. Królewskim Pułku Piechoty. Chcesz frytkę?

– Lepiej nie – westchnęła, mimo że była głodna. Matthew, którego uprzedziła esemesem, że się spóźni, odpisał, że będzie na nią czekał, by mogli zjeść razem kolację. – Słuchaj, to jeszcze nie wszystko.

– Suki Lewis? – spytał z nadzieją.

– Na razie nie udało mi się porozmawiać o niej z Izzy. Nie, chodzi o żonę Chiswella: podobno twierdzi, że jacyś mężczyźni czają się w jej rabatach i kręcą się przy koniach.

– Mężczyźni? – powtórzył Strike. – W liczbie mnogiej?

– Tak powiedziała Izzy... Ale jej zdaniem Kinvara to histeryczka, która ciągle chce być w centrum zainteresowania.

– Robi się z tego stały motyw, prawda? Ludzie, którzy podobno są tak stuknięci, że sami nie wiedzą, co widzieli.

– Myślisz, że to też mógł być Jimmy? W ogrodzie?

Strike zastanawiał się, przeżuwając.

– Nie wiem, co miałby zyskać na czajeniu się w ogrodzie albo kręceniu się przy koniach, chyba że postanowił po prostu nastraszyć Chiswella. Spytam Barclaya, czy Jimmy ma samochód albo wspominał ostatnio o wyprawie do Oxfordshire. Czy Kinvara zadzwoniła na policję?

– Kiedy Izzy wróciła do biura, Raff spytał o to samo – powiedziała Robin i Strike znowu odniósł wrażenie, że wymówiła jego imię z pewnym skrępowaniem. – Kinvara twierdzi, że psy szczekały i widziała w ogrodzie cień mężczyzny, ale facet uciekł. Podobno rano na wybiegu dla koni były ślady czyichś stóp, a jedno ze zwierząt zostało zranione nożem.

– Wezwała weterynarza?

– Nie wiem. Odkąd w biurze jest Raff, trudniej mi zadawać pytania. Nie chcę się wydać zanadto wścibska, przecież on nie wie, kim naprawdę jestem.

Strike odsunął talerz i pogmerał w kieszeni w poszukiwaniu papierosów.

– Zdjęcia – powiedział zadumany, wracając do najważniejszego punktu. – Zdjęcia w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Co może

na nich być, do diabła, że obciążają Chiswella? On nigdy nie pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, prawda?

– Nie – odparła Robin. – Najwyższe stanowisko zajmował, będąc ministrem handlu. Musiał ustąpić z powodu romansu z matką Raffa.

Drewniany zegar na gzymsie kominka podpowiadał Robin, że pora już iść. Nie ruszyła się z miejsca.

– Widzę, że ten Raff ci się spodobał? – rzucił nagle Strike, zbijając ją z tropu.

– Co? – Bała się, że zrobiła się czerwona. – Jak to: „spodobał"?

– Po prostu tak mi się wydaje – wyjaśnił Strike. – Zanim go poznałaś, potępiałaś go za to, co zrobił.

– Chcesz, żebym była dla niego niemiła, udając chrześnicę jego ojca? – spytała ostro.

– Nie, oczywiście, że nie – odrzekł Strike, choć odniosła wrażenie, że się z niej podśmiewa, i miała mu to za złe.

– Lepiej już pójdę. – Zgarnęła słuchawki ze stolika z powrotem do torebki. – Obiecałam Mattowi, że wrócę na kolację.

Wstała, pożegnała się ze Strikiem i wyszła z pubu.

Detektyw odprowadzał ją wzrokiem. Trochę żałował, że skomentował jej zachowanie, wspominając o Raphaelu Chiswellu. Po kilku minutach samotnego popijania piwa zapłacił rachunek i wyszedł na ulicę, gdzie zapalił papierosa i zadzwonił do ministra kultury, który odebrał po drugim sygnale.

– Niech pan zaczeka – powiedział Chiswell. Strike słyszał gwar w tle. – Nie jestem sam.

Rozległ się trzask zamykanych drzwi i hałas przycichł.

– Jem kolację – wyjaśnił Chiswell. – Ma pan coś dla mnie?

– Obawiam się, że to nie są dobre wieści – oznajmił Strike, oddalając się od pubu w górę Queen Anne Street i idąc między

pomalowanymi na biało budynkami, które połyskiwały o zmierzchu. – Dziś rano mojej wspólniczce udało się zainstalować pluskwę w biurze pana Winna. Mamy nagranie, na którym Winn rozmawia z Jimmym Knightem. Asystent Winna... Aamir, tak?... próbuje zdobyć kopie zdjęć, o których mi pan wspominał. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Cisza, która zapadła po tych słowach, trwała tak długo, że Strike zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem ich nie rozłączyło.

– Panie mini...

– Jestem! – warknął Chiswell. – Mówi pan o tym całym Malliku, prawda? Cholerny mały drań. C h o l e r n y m a ł y d r a ń. Jedną posadę już stracił... Niech próbuje, a co tam. Niech próbuje! Wydaje mu się, że nie... że nic nie wiem na temat Aamira Mallika. Och, wiem.

Nieco zaskoczony Strike czekał na rozwinięcie tych słów, lecz na próżno. Chiswell tylko dyszał w słuchawkę. Słysząc cichy, stłumiony stukot, Strike domyślił się, że Chiswell chodzi tam i z powrotem po dywanie.

– To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? – spytał wreszcie minister.

– Jest coś jeszcze – odrzekł Strike. – Moja wspólniczka mówi, że w nocy pańska żona widziała jakiegoś mężczyznę albo mężczyzn kręcących się po pańskiej posiadłości.

– A – mruknął Chiswell. – No tak. – Nie wydawał się szczególnie przejęty. – Moja żona hoduje konie i bardzo poważnie podchodzi do ich bezpieczeństwa.

– Nie sądzi pan, że to ma jakiś związek z...

– Nie, żadnego, żadnego. Kinvara czasami... Cóż, jeśli mam być szczery, potrafi cholernie histeryzować. Trzyma pełno koni, ciągle się boi, że ktoś je ukradnie. Nie chcę, żeby marnował pan czas

na uganianie się za cieniami w zaroślach Oxfordshire. Moje problemy są w Londynie. To wszystko?

Strike potwierdził i po szorstkim pożegnaniu Chiswell się rozłączył, a detektyw pokuśtykał w stronę stacji Saint James's Park.

Dziesięć minut później, siedząc na narożnym miejscu w wagonie metra, Strike splótł ręce na piersi, rozprostował nogi i wbił tępe spojrzenie w szybę naprzeciwko.

Dochodzenie, które prowadził, było bardzo nietypowe. Jeszcze nigdy nie zajmował się sprawą szantażu, w której klient tak niechętnie poruszałby temat swojego przewinienia – jednak nigdy dotąd, jak tłumaczył sobie Strike, nie miał klienta ministra. Równie rzadko zdarzało się, by do jego agencji wpadali młodzi i prawdopodobnie chorzy psychicznie mężczyźni utrzymujący, że byli świadkami zamordowania dziecka, choć odkąd Strike trafił na łamy gazet, odebrał sporą liczbę niezwykłych komunikatów od niezrównoważonych osób: to, co wbrew sporadycznym protestom Robin nazywał szufladą świrów, zajmowało teraz połowę szafy na dokumenty.

Najbardziej martwił go związek między uduszeniem dziecka a sprawą szantażu Chiswella, choć z pozoru był to związek oczywisty: polegał na pokrewieństwie Jimmy'ego z Billym. Poza tym ktoś (sądząc po anonimowym telefonie, o którym opowiedziała Robin, Strike uważał, że najprawdopodobniej Jimmy) najwyraźniej postanowił połączyć historię Billy'ego z Chiswellem, mimo że przewinieniem, w związku z którym szantażowano ministra i które skłoniło go do skontaktowania się ze Strikiem, nie mogło być dzieciobójstwo – ponieważ gdyby tak było, Geraint Winn poszedłby na policję. Myśli Strike'a, niczym język badający dwa wrzody, raz po raz bezowocnie wracały do braci Knight: charyzmatycznego, wygadanego, łobuzersko przystojnego cwaniaka

i narwańca oraz nieszczęśliwego, brudnego, niewątpliwie chorego Billy'ego, nękanego wspomnieniem potwornym tym bardziej, że mogło być fałszywe.

„Kiedy umierają, podobno szczają w gacie".

Kto? Strike znowu usłyszał w głowie głos Billy'ego Knighta.

„Zakopali ją w różowym kocu, w leśnej dolince obok domu mojego taty. Ale potem powiedzieli, że to był chłopiec".

Przed chwilą klient wyraźnie polecił mu ograniczyć dochodzenie do Londynu i nie zaprzątać sobie głowy Oxfordshire.

Sprawdzając nazwę stacji, do której właśnie dojechał, Strike przypomniał sobie onieśmielenie Robin, gdy mówiła o Raphaelu Chiswellu. Ziewając, znowu wyjął komórkę i udało mu się znaleźć liczne zdjęcia najmłodszego potomka swojego klienta, zrobione w chwili, gdy Raphael wchodził po schodach do sądu przed procesem w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci.

Przeglądając kolejne fotki Raphaela, Strike czuł wzbierającą niechęć do młodego przystojnego mężczyzny w ciemnym garniturze. Pomijając fakt, że syn Chiswella wyglądał jak włoski model i miał w sobie niewiele z Brytyjczyka, jego zdjęcia sprawiły, że skrywany żal zakorzeniony w klasowych i osobistych urazach rozgorzał w piersi Strike'a trochę mocniej niż zwykle. Raphael należał do tej samej kategorii ludzi co Jago Ross, mężczyzna, za którego wyszła Charlotte po rozstaniu ze Strikiem: pochodził z wyższej klasy społecznej, nosił drogie ubrania i kształcił się w prywatnych szkołach, a jego grzeszki traktowano z większą pobłażliwością, ponieważ było go stać na najlepszych adwokatów i przypominał synów sędziów, którzy decydowali o jego losie.

Pociąg ruszył i Strike, tracąc zasięg, wcisnął telefon z powrotem do kieszeni, założył ręce na piersi i znów wbił tępe spojrzenie w ciemną szybę, próbując nie dopuszczać do siebie niewygodnej

myśli, lecz trącała go niczym pies domagający się jedzenia i nie sposób było ją ignorować.

Właśnie sobie uświadomił, że nigdy nie przypuszczał, by Robin mogła się zainteresować innym mężczyzną niż Matthew – pomijając oczywiście tę jedną chwilę, gdy w dniu jej ślubu sam trzymał ją w objęciach na schodach i na moment...

Zły na siebie, odepchnął tę bezużyteczną myśl i z wysiłkiem skierował błądzący umysł z powrotem w stronę dziwnego przypadku ministra, poranionych nożem koni i owiniętych różowym kocem zwłok pogrzebanych w leśnej dolince.

21

[...] *w tym domu prowadzi się jakąś brudną grę za twoimi plecami.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

– Dlaczego jesteś taka zajęta, a ja zdycham tu z nudów? – spytał Raphael w piątek przed południem.

Robin właśnie wróciła z Portcullis House, gdzie śledziła Gerainta. Obserwując go z daleka, widziała, jak uprzejme uśmiechy wielu młodych kobiet, które pozdrawiał po drodze, zmieniały się w wyraz niechęci, gdy tylko się oddalił. Winn zniknął w sali posiedzeń na pierwszym piętrze, więc Robin wróciła do biura Izzy. Zbliżając się do drzwi Gerainta, miała nadzieję, że uda jej się wślizgnąć do środka i wydobyć stamtąd drugą pluskwę, ale w otwartym pomieszczeniu zobaczyła Aamira pracującego przy komputerze.

– Raff, skarbie, za chwilę dam ci coś do roboty – mruknęła spięta Izzy, która pospiesznie bębniła w klawiaturę. – Muszę to dokończyć, to dokument dla lokalnej przewodniczącej partii. Za pięć minut tata przyjdzie go podpisać.

Rzuciła udręczone spojrzenie bratu, który siedział rozwalony w fotelu. Rozstawił szeroko nogi, podwinął rękawy koszuli, poluzował krawat i bawił się papierową przepustką dla gości, która wisiała na jego szyi.

– Może pójdziesz na taras napić się kawy? – zaproponowała Izzy. Robin wiedziała, że chce usunąć brata z drogi przed pojawieniem się Chiswella.

– Venetia, masz ochotę na kawę? – spytał Raphael.

– Nie mogę – odpowiedziała Robin. – Jestem zajęta.

Wentylator na biurku Izzy obrócił się w stronę Robin, więc skorzystała z kilku sekund chłodnego powiewu. Za firanką w oknie widać było tylko mglisty zarys pięknego czerwcowego dnia. Obcięte od dołu sylwetki parlamentarzystów pojawiały się na tarasie za szybą niczym jaśniejące zjawy. W zagraconym biurze było duszno. Robin miała na sobie bawełnianą sukienkę, włosy ściągnęła w kucyk, lecz mimo to od czasu do czasu ocierała górną wargę grzbietem dłoni, udając, że pracuje.

Obecność Raphaela w biurze była, jak już powiedziała Strike'owi, niewygodna. Wcześniej Robin nie musiała szukać pretekstów, żeby powęszyć w korytarzu. Co więcej, Raphael często jej się przyglądał, i to zupełnie inaczej niż obrzucający ją pożądliwymi spojrzeniami Geraint. Nie pochwalała tego, co zrobił syn Chiswella, ale od czasu do czasu przyłapywała się na tym, że niebezpiecznie zbliża się do współczucia mu. W obecności ojca wydawał się spięty, a poza tym – no cóż, k a ż d y uznałby go za przystojnego mężczyznę. Przede wszystkim dlatego unikała spoglądania w jego stronę: jeśli chciała zachować obiektywizm, najlepiej było się od tego powstrzymać.

Cały czas próbował się z nią zaprzyjaźnić, a ona usiłowała go do tego zniechęcić. Zaledwie poprzedniego dnia przeszkodził jej, gdy czaiła się obok drzwi Gerainta i Aamira, podsłuchując w skupieniu telefoniczną rozmowę Aamira o „śledztwie". Na podstawie skąpych informacji, które zdołała dotąd zdobyć, domyślała się, że sprawa dotyczy fundacji Równe Szanse.

– Ale to nie jest dochodzenie u s t a w o w e? – dopytywał się właśnie zaniepokojony Aamir. – Nie jest oficjalne? Myślałem, że to po prostu rutynowe... Pan Winn był przekonany, że w swoim piśmie do organu nadzorczego rozwiał wszelkie wątpliwości.

Robin widziała, że sytuacja jest niebezpieczna, ale nie mogła przepuścić takiej szansy. Nie spodziewała się jednak, że zaskoczy ją nie Winn, lecz Raphael.

– Co tu tak węszysz? – spytał ze śmiechem.

Prędko odeszła. Usłyszała z tyłu, jak Aamir zatrzaskuje drzwi, i doszła do wniosku, że przynajmniej on będzie dbał o to, aby w przyszłości były zamknięte.

– Zawsze jesteś taka nerwowa czy to moja wina? – Raphael pospiesznie ruszył za nią. – Daj spokój, chodźmy na kawę, cholernie mi się tu nudzi.

Robin szorstko odmówiła, ale nawet gdy udawała, że znowu jest zajęta, musiała przyznać, że w pewnym – maleńkim – stopniu jego zainteresowanie jej schlebia.

Rozległo się pukanie do drzwi i ku zaskoczeniu Robin do pokoju wszedł Aamir Mallik z listą nazwisk w ręku. Był spięty, ale zdeterminowany.

– Eee... cześć – zwrócił się do Izzy. – Geraint chciałby dopisać członków zarządu Równych Szans do przyjęcia paraolimpijskiego dwunastego lipca.

– Nie mam z tym przyjęciem nic wspólnego – warknęła Izzy. – Organizuje je ministerstwo, nie ja. – D l a c z e g o – wybuchła, odgarniając z czoła spoconą grzywkę – wszyscy przychodzą z tym d o m n i e?

– Geraintowi zależy, żeby oni tam byli – odparł Aamir. Lista nazwisk drżała w jego dłoni.

Robin zastanawiała się, czy starczy jej tupetu, żeby zakraść się teraz do pustego biura Aamira i podmienić pluskwy. Dyskretnie wstała z krzesła, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

– Dlaczego nie poprosi Delli? – spytała Izzy.

– Della jest zajęta. To tylko osiem osób – powiedział Aamir. – Naprawdę mu zależy...

– „Oto Konieczności córa, dziewica Lachesis”[7]!

Tubalny głos ministra kultury poprzedził jego wkroczenie do biura. Chiswell stanął w drzwiach, ubrany w pognieciony garnitur, tarasując Robin wyjście. Cicho usiadła z powrotem. Aamir (w każdym razie Robin odniosła takie wrażenie) struchlał.

– Wie pan, kim była Lachesis, panie Mallik? – spytał Chiswell.

– Obawiam się, że nie – odrzekł Aamir.

– Nie? Nie uczył się pan greki w tej pańskiej państwowej szkole średniej w Harringay? Zdaje się, że masz za dużo wolnego czasu, Raff. Opowiedz panu Mallikowi o Lachesis.

– Też nie wiem, kto to był – powiedział Raphael, spoglądając na ojca zza gęstych, ciemnych rzęs.

– Udajesz głupiego, co? Lachesis była jedną z Mojr – wyjaśnił Chiswell. – Odmierzała długość życia przypisaną każdemu człowiekowi. Wiedziała, kiedy jego czas się skończy. Nie jest pan wielbicielem Platona, panie Mallik? Domyślam się, że woli pan Katullusa. Pisał piękne wiersze o mężczyznach przejawiających takie zainteresowania jak pan. *Pedicabo ego vos et irrumabo, Aureli pathice et cinaede Furi*, hę? Wiersz szesnasty, niech pan sobie przeczyta, spodoba się panu.

Raphael i Izzy bez słowa wpatrywali się w ojca. Aamir stał przez kilka sekund, jakby zapomniał, po co przyszedł, a następnie sztywnym krokiem opuścił biuro.

– Odrobina klasycznej edukacji dla każdego. – Chiswell odwrócił się, odprowadzając go wzrokiem z miną wyrażającą złośliwą satysfakcję. – Nigdy nie jesteśmy za starzy, żeby się czegoś nauczyć, co, Raff?

Na biurku Robin zawibrowała komórka. Strike przysłał esemesa. Uzgodnili, że nie będą się ze sobą kontaktowali w godzinach pracy, chyba że w pilnych sprawach. Wsunęła telefon do torebki.

– Gdzie są dokumenty do podpisu? – zwrócił się Chiswell do Izzy. – Skończyłaś pisać list do tej cholernej Brendy Bailey?

– Właśnie go drukuję – odparła Izzy.

Podczas gdy Chiswell podpisywał stertę dokumentów, sapiąc jak buldog w pomieszczeniu, w którym poza tym panowała cisza, Robin bąknęła, że musi wyjść, i szybko zniknęła.

Chcąc przeczytać esemesa od Strike'a bez obawy, że ktoś jej przeszkodzi, ruszyła za drewnianym kierunkowskazem do krypty, zeszła po wąskich schodach i na dole znalazła opustoszałą kaplicę.

Krypta była urządzona jak średniowieczna szkatułka, każdy centymetr złotej ściany zdobiły heraldyczne i religijne motywy oraz symbole. Nad ołtarzem zawieszono mieniące się jak klejnoty obrazy świętych, a błękitne piszczałki organów ozdobiono złotymi wstęgami i szkarłatnymi *fleurs-de-lys.* Robin pospiesznie usiadła w obitej czerwonym aksamitem ławce i otworzyła esemesa od Strike'a.

> Potrzebuję przysługi. Barclay od 10 dni pracuje nad Jimmym Knightem, ale właśnie się dowiedział, że w weekend jego żona musi iść do pracy, i nie udało mu się znaleźć nikogo do opieki nad dzieckiem. Andy wyjeżdża wieczorem z rodziną na tydzień do Alicante. Nie mogę śledzić Jimmy'ego, zna mnie. SGOO weźmie jutro udział w marszu przeciwko broni rakietowej. Zaczyna się o 2 w Bow. Dasz radę?

Robin zastanawiała się przez kilka sekund, po czym wydała z siebie jęk, który odbił się echem w krypcie.

Pierwszy raz od ponad roku Strike poprosił ją o wzięcie dodatkowych godzin z tak krótkim wyprzedzeniem, lecz akurat w ten weekend wypadała rocznica jej ślubu. Pokój w drogim hotelu był już zarezerwowany, spakowane walizki czekały w samochodzie.

Za dwie godziny miała wyjść z pracy i spotkać się z Matthew, by wyruszyć prosto do Le Manoir aux Quat'Saisons. Matthew byłby wściekły, gdyby powiedziała, że nie może jechać.

W złoconej ciszy krypty powróciły do niej słowa, które wypowiedział Strike, gdy zgodził się ją wysłać na szkolenie detektywistyczne.

„Potrzebuję partnera, który może się zgodzić na nienormowany czas pracy. Kogoś, komu nie przeszkadza robota w weekendy... Masz wielkie predyspozycje do tej roboty, ale zamierzasz poślubić człowieka, który nienawidzi tego, co robisz".

Powiedziała mu wtedy, że to, co myśli Matthew, jest bez znaczenia, że sama decyduje o tym, co robi.

Komu była teraz winna lojalność? Postanowiła wytrwać w małżeństwie, obiecała dać mu szansę. Strike nie zapłacił jej za mnóstwo nadgodzin. Nie mógł jej zarzucić, że miga się od pracy.

Powoli, kasując słowa i zastępując je innymi, zastanawiając się nad każdą sylabą, napisała odpowiedź.

> Naprawdę mi przykro, ale w ten weekend mam rocznicę ślubu. Zarezerwowaliśmy hotel, wyjeżdżamy dziś wieczorem.

Chciała napisać coś więcej, ale co mogła dodać? „Moje małżeństwo nie jest udane, więc powinniśmy je celebrować"? „Zdecydowanie wolałabym przebrać się za demonstrantkę i śledzić Jimmy'ego Knighta"? Wcisnęła Wyślij.

Siedząc i czekając na odpowiedź Strike'a, jakby za chwilę miała otrzymać wyniki badań lekarskich, wodziła wzrokiem wzdłuż krętych pnączy pokrywających sufit. Z płaskorzeźb spoglądały na nią dziwne twarze przypominające mityczny motyw dzikiego zielonego człowieka. Heraldyczne i pogańskie wyobrażenia mieszały się z aniołami i krzyżami. Ta kaplica była czymś więcej niż

miejscem Boga. Nawiązywała do epoki przesądów, magii i władzy feudalnej.

Mijały minuty, a Strike nie odpisywał. Robin wstała i okrążyła kaplicę. Z tyłu zauważyła jakąś szafkę. Otworzywszy ją, ujrzała tablicę upamiętniającą sufrażystkę Emily Davison. Wyglądało na to, że Davison kiedyś nocowała w tej kaplicy, by w spisie ludności z 1911 roku, siedem lat przed tym, jak kobiety uzyskały prawo głosu, móc podać Izbę Gmin jako swoje miejsce zamieszkania. Chcąc nie chcąc, Robin poczuła, że Emily Davison nie pochwaliłaby jej decyzji o przedłożeniu nieudanego małżeństwa nad wolność pracy.

Znowu zawibrowała komórka. Robin spojrzała w dół, obawiając się tego, co za chwilę przeczyta. Strike odpowiedział dwiema literami:

OK

Miała wrażenie, że ołowiany ciężar zsuwa się z jej piersi do żołądka. Strike, jak doskonale wiedziała, nadal mieszkał w prowizorycznym lokum nad agencją i pracował w weekendy. Tylko on jeden w agencji nie wziął jeszcze ślubu, więc granica między jego życiem osobistym i zawodowym była, jeśli nie zupełnie niewidoczna, to elastyczna i porowata, podczas gdy ona, Barclay i Hutchins mieli ją wyraźnie wytyczoną. A najgorsze było to, że Robin nie potrafiła wymyślić, jak powiedzieć Strike'owi, że jest jej przykro, że wszystko rozumie i wolałaby, aby wyglądało to inaczej, nie przypominając jednocześnie im obojgu o tamtym uścisku na schodach w dniu jej ślubu, o którym nie wspominali od tak dawna, że nie była pewna, czy rzeczywiście się wydarzył.

Potwornie przygnębiona, wyszła z krypty, wciąż trzymając dokumenty, które rzekomo miała gdzieś dostarczyć.

Gdy wróciła do biura, był tam już tylko Raphael. Siedział przy biurku Izzy i pisał coś na komputerze trzy razy wolniej niż jego przyrodnia siostra.

– Izzy poszła z tatą załatwić coś tak nudnego, że wypadło mi z głowy, o co właściwie chodziło – powiedział. – Niedługo wrócą.

Robin zmusiła się do uśmiechu i wróciła za swoje biurko, cały czas myśląc o Strike'u.

– Ten wiersz był trochę dziwny, prawda? – spytał Raphael.

– Co? A... a, ten po łacinie? Tak – zgodziła się Robin. – Rzeczywiście, trochę dziwny.

– Całkiem jakby nauczył się go specjalnie z myślą o Malliku. Nikt nie recytuje takich rzeczy z pamięci.

Robin pomyślała, że Strike też zna na pamięć dziwne fragmenty po łacinie.

– Rzeczywiście. Raczej nie.

– Ten Mallik mu się jakoś naraził czy co?

– Naprawdę nie mam pojęcia – skłamała Robin.

Zaczynały jej się kończyć pomysły na zagospodarowanie czasu przy biurku, więc znowu zaczęła przekładać papiery.

– Długo tu będziesz, Venetia?

– Nie jestem pewna. Chyba do przerwy wakacyjnej.

– Naprawdę chcesz tu pracować? Na stałe?

– Tak – powiedziała. – To ciekawe zajęcie.

– Co robiłaś wcześniej?

– Zajmowałam się piarem – wyjaśniła. – Było całkiem fajnie, ale potrzebowałam odmiany.

– Masz nadzieję, że upolujesz jakiegoś posła? – spytał z lekkim uśmiechem.

– Nie mogę powiedzieć, żebym spotkała tu kogoś, kogo chciałabym poślubić – odrzekła.

– To było okrutne. – Raphael teatralnie westchnął.

W obawie, że się zarumieniła, Robin pochyliła się nad szufladą i wyjęła z niej kilka przypadkowych rzeczy, próbując ukryć zmieszanie.

– Czy zatem Venetia Hall spotyka się z jakimś mężczyzną? – spytał niezrażony, gdy się wyprostowała.

– Tak – odparła. – Ma na imię Tim. Jesteśmy razem od roku.

– Tak? I czym się ten Tim zajmuje?

– Pracuje w Christie's – powiedziała Robin.

Wpadła na ten pomysł, przypominając sobie mężczyzn, których widziała z Sarah Shadlock w Red Lion: zadbanych gości w garniturach kojarzących się z prywatnymi szkołami i pasujących do jej wyobrażenia na temat ludzi, jakich powinna znać chrześnica Chiswella.

– A ty? – spytała. – Izzy wspomniała o...

– O galerii? – wszedł jej w słowo. – To nic nie znaczyło. Była dla mnie za młoda. Zresztą rodzice wysłali ją do Florencji.

Obrócił się na krześle, żeby spojrzeć jej w twarz. Miał poważną minę i przyglądał się jej badawczo, jakby interesowało go coś, czego nie można odkryć podczas zwyczajnej rozmowy. Robin odwróciła wzrok. Odwzajemnianie tak intensywnego spojrzenia nie pasowało do zadowolonej dziewczyny wyimaginowanego Tima.

– Wierzysz w odkupienie?

Pytanie zupełnie ją zaskoczyło. Miało w sobie rodzaj powagi i piękna, który przywodził na myśl lśniący klejnot w kaplicy na końcu krętych schodów.

– No... tak, wierzę – powiedziała.

Sięgnął po ołówek leżący na biurku Izzy. Bez końca obracał go w długich palcach, patrząc na nią w skupieniu. Jakby poddawał ją ocenie.

– Wiesz, co zrobiłem? Jadąc samochodem?

– Tak – odparła.

Robin miała wrażenie, że cisza, która zapadła po tym słowie, wypełnia się migoczącymi światłami i niewyraźnymi postaciami. Wyobraziła sobie zakrwawionego Raphaela za kierownicą i zmasakrowaną postać młodej matki na ulicy, radiowozy i taśmę policyjną, i gapiów w przejeżdżających samochodach. Wpatrywał się w nią w skupieniu, mając nadzieję, jak przypuszczała, na jakieś błogosławieństwo, jakby jej przebaczenie coś dla niego znaczyło. Czasami – wiedziała o tym – uprzejmość ze strony obcej osoby czy nawet przygodnego znajomego miewa przeobrażającą moc, możesz się jej uchwycić, gdy przytłaczają cię starania najbliższych, którzy chcą ci pomóc. Pomyślała o starszawym strażniku w Members' Lobby. Nie wiedział, co się dzieje, ale niezmiernie podniósł ją na duchu, a jego lekko zachrypnięty, miły głos był nicią, której mogła się trzymać i która doprowadziła ją z powrotem do stanu równowagi.

Znowu otworzyły się drzwi. Robin i Raphael drgnęli zaskoczeni, gdy do biura weszła ponętna rudowłosa kobieta z zawieszoną na szyi przepustką dla gości. Dzięki zdjęciom w internecie Robin od razu rozpoznała w niej Kinvarę, żonę Jaspera Chiswella.

– Dzień dobry – powiedziała, gdyż Kinvara tylko stała ze wzrokiem wbitym w Raphaela, który pospiesznie odwrócił się w stronę komputera i znowu zajął się pisaniem.

– Ty musisz być Venetia – odezwała się Kinvara, kierując jasne, złotawe spojrzenie w stronę Robin. Miała piskliwy, dziewczęcy głosik. Jej oczy w lekko nabrzmiałej twarzy kojarzyły się z kotem. – Jakaś ty ładna. Nikt mi nie mówił, że jesteś taka ładna.

Robin nie miała pojęcia, jak na to zareagować. Kinvara opadła na wysiedziany fotel, który zazwyczaj zajmował Raff, zdjęła

markowe okulary przeciwsłoneczne przytrzymujące długie rude włosy z dala od twarzy i potrząsnęła głową. Jej nagie ramiona i nogi były gęsto usiane piegami. Górne guziki zielonej koszulowej sukienki bez rękawów z trudem trzymały w ryzach ciężki biust.

– Czyją jesteś córką? – spytała Kinvara z naburmuszoną nutą w głosie. – Jasper mi nie powiedział. Właściwie to nie mówi mi nic, czego nie m u s i. Przywykłam. Wspomniał tylko, że jesteś jego chrześnicą.

Nikt nie uprzedził Robin, że Kinvara nie wie, kim naprawdę jest nowa stażystka jej męża. Może Izzy i Chiswell nie przewidzieli takiego spotkania.

– Jestem córką Jonathana Halla – odrzekła zdenerwowana Robin. Przygotowała sobie kilka podstawowych faktów z przeszłości córki chrzestnej, lecz nie przypuszczała, że będzie musiała je przedstawiać żonie Chiswella, która prawdopodobnie znała wszystkich jego przyjaciół i znajomych.

– A kim on jest? – spytała Kinvara. – Pewnie powinnam wiedzieć, Jasper będzie zły, że nie uważałam...

– Zajmuje się zarządzaniem nieruchomościami w...

– Aha, chodzi o posiadłość w Northumberland? – przerwała jej Kinvara, która wydawała się nieszczególnie zainteresowana tematem. – To było jeszcze przede mną.

„Dzięki Bogu" – pomyślała Robin.

Kinvara założyła nogę na nogę i splotła ręce na obfitym biuście. Zaczęła kołysać stopą. Rzuciła Raphaelowi ostre, wręcz nienawistne spojrzenie.

– Nie przywitasz się, Raphael?

– Dzień dobry – wymamrotał.

– Jasper kazał mi tu na siebie zaczekać, ale jeśli wolisz, żebym postała na korytarzu, to nie ma sprawy – powiedziała Kinvara

swoim piskliwym, pełnym napięcia głosem.

– Oczywiście, że nie – mruknął Raphael, marszcząc brwi i z determinacją wpatrując się w monitor.

– Nie chciałabym w niczym przeszkadzać – ciągnęła Kinvara, odwracając się od Raphaela do Robin.

Robin przypomniała się historia o blondynce w toalecie w galerii sztuki. Po raz drugi udała, że szuka czegoś w szufladzie, i wkrótce z ulgą usłyszała dobiegające z korytarza głosy Chiswella i Izzy.

– ...tylko najpóźniej o dziesiątej, bo inaczej nie zdążę przeczytać tego całego cholerstwa. I powiedz Hainesowi, że to o n będzie musiał porozmawiać z BBC, ja nie mam czasu dla bandy kretynów ględzących o integra... O, Kinvara.

Chiswell stanął jak wryty na progu biura.

– Kazałem ci przyjść do ministerstwa, nie tutaj – powiedział bez śladu czułości w głosie.

– Ja też się cieszę, że cię widzę po trzech dniach rozłąki, Jasper. – Kinvara wstała i przygładziła wygniecioną sukienkę.

– Cześć, Kinvara – przywitała się Izzy.

– Zapomniałam, że mówiłeś o ministerstwie – odezwała się Kinvara do męża, ignorując pasierbicę. – Od rana próbuję się do ciebie dodzwonić...

– Przecież ci mówiłem – warknął Chiswell – że do pierwszej mam zebrania, a jeśli znowu chodzi o te pieprzone opłaty za pokrycie klaczy...

– Nie, Jasper, właściwie to nie chodzi o opłaty za pokrycie klaczy i wolałabym ci o tym powiedzieć na osobności, ale jeśli chcesz, żebym mówiła przy twoich dzieciach, to nie ma sprawy!

– Och, na litość boską! – wybuchnął Chiswell. – W takim razie chodźmy, znajdziemy jakieś spokojne miejsce...

– Wczoraj w nocy – zaczęła Kinvara – był tam jakiś mężczyzna, który... N i e p a t r z t a k n a m n i e, I s a b e l l o!

Mina Izzy rzeczywiście wyrażała otwarty sceptycyzm. Córka Chiswella uniosła brwi i weszła do biura, zachowując się tak, jakby Kinvara stała się dla niej niewidzialna.

– Mówiłem, że możesz mi to powiedzieć na osobności! – zirytował się Chiswell, lecz Kinvara nie pozwoliła zbić się z tropu.

– Jasper, wczoraj w nocy widziałam w lesie jakiegoś mężczyznę! – oznajmiła donośnym głosem, który, jak domyślała się Robin, niósł się echem w całym wąskim korytarzu. – Nic mi się nie przywidziało. W lesie był mężczyzna z łopatą, widziałam go, uciekł, kiedy pobiegły za nim psy! Ciągle mi powtarzasz, żebym nie robiła rabanu, ale nocą jestem w tym domu sama i jeśli t y nic z tym nie zrobisz, Jasper, to s a m a zadzwonię na policję!

22

[...] *czy dla przysłużenia się dobrej sprawie nie zdecydowałbyś się na* [to]?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Strike był w podłym humorze.

Dlaczego, do kurwy nędzy – zadawał sobie pytanie, kuśtykając nazajutrz rano w stronę parku Mile End – o n, starszy wspólnik i założyciel agencji, musi zajmować się obserwowaniem jakiejś demonstracji w upalny sobotni poranek, skoro ma trzech pracowników i oderżniętą nogę? Dlatego, odpowiedział sobie w myślach, że o n nie ma dziecka, które trzeba pilnować, ani żony, która zabukowałaby bilety na samolot albo złamała nadgarstek, ani

planów związanych z pieprzoną rocznicą ślubu. On nie jest żonaty, więc to właśnie on musi poświęcić swój wolny czas, to jego weekend zmienił się w kolejne dwa dni pracy.

Robin wywoływała w nim te wszystkie myśli, których się obawiała: wspominał jej dom przy brukowanej Albury Street i porównywał go ze swoimi pełnymi przeciągów dwoma pokoikami na poddaszu; myślał o jej obecnym statusie i prawach nadanych przez małą obrączkę na palcu, porównując je z rozczarowaniem, jakie okazała Lorelei, gdy oznajmił, że nie da rady zjeść z nią lanczu i prawdopodobnie także kolacji; myślał o obietnicach Robin dotyczących równego podziału obowiązków, gdy robił z niej wspólniczkę, i zestawiał je z rzeczywistością, w której pędziła do domu, do męża.

Owszem, w ciągu dwóch lat w agencji Robin przepracowała bezpłatnie mnóstwo nadgodzin. Owszem, wiedział, że robiła więcej, niż od niej wymagał. Owszem, teoretycznie był jej zajebiście wdzięczny. Faktem pozostawało jednak to, że dzisiaj, gdy samotnie kuśtykał ulicą, zaczynając długie godziny obserwacji, która prawdopodobnie nie przyniesie żadnych owoców, ona i ten dupek, jej mąż, spędzali weekend w jakimś wiejskim hoteliku. Ta myśl sprawiała, że ból nogi i pleców stawał się bardziej znośny.

Nieogolony, ubrany w stare dżinsy, postrzępioną i wyblakłą bluzę z kapturem oraz znoszone trampki, z reklamówką kołyszącą się w dłoni, wszedł do parku. W oddali widział gromadzących się demonstrantów. Ryzyko, że Jimmy go rozpozna, o mało nie skłoniło Strike'a do podjęcia decyzji o zrezygnowaniu z tej obserwacji, lecz po przeczytaniu ostatniego esemesa od Robin (na który z czystej złości nie odpowiedział) zmienił zdanie.

Do biura przyszła Kinvara Chiswell. Twierdzi, że wczoraj w nocy w lesie obok domu widziała jakiegoś mężczyznę z łopatą. Z jej słów wynika,

że Chiswell zabronił jej zawiadamiać o intruzach policję, ale ona grozi, że to zrobi, jeśli on nie kiwnie palcem w tej sprawie. Nawiasem mówiąc, Kinvara nie wiedziała, że Chiswell się do nas zgłosił, myślała, że naprawdę jestem Venetią Hall. Poza tym Komisja Nadzoru Działalności Dobroczynnej prowadzi chyba dochodzenie w sprawie Równych Szans. Próbuję zdobyć więcej szczegółów.

Ta wiadomość tylko jeszcze bardziej popsuła Strike'owi humor. W obecnej chwili, gdy sprawą Chiswella interesowało się „Sun", a klient był coraz bardziej rozdrażniony i zestresowany, detektywa zadowoliłby tylko konkretny dowód przeciwko Geraintowi Winnowi.

Według Barclaya Jimmy Knight miał dziesięcioletnie suzuki alto, lecz samochód nie przeszedł przeglądu technicznego i nie został dopuszczony do ruchu. Barclay nie mógł zagwarantować, że Jimmy nie wymyka się pod osłoną nocy, by wtargnąć na teren ogrodów i lasów Chiswella oddalonych o sto dziesięć kilometrów od Londynu, ale Strike uważał, że to mało prawdopodobne.

Wydawało mu się jednak całkiem możliwe, że Jimmy posłał kogoś, by nastraszył żonę Chiswella. Prawdopodobnie nadal miał przyjaciół i znajomych w okolicy, w której się wychował. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że Billy mógł uciec z więzienia, prawdziwego albo urojonego, w którym, jak powiedział Strike'owi, ktoś go przetrzymywał, i postanowił odkopać dowód świadczący o tym, że obok dawnego domu jego ojca leżą pod ziemią zwłoki dziecka zawinięte w różowy koc, lub też owładnięty Bóg wie jaką paranoiczną fantazją pociął nożem jednego z koni Kinvary.

Zaniepokojony tymi trudnymi do wyjaśnienia elementami sprawy i zainteresowaniem, jakie osoba ministra wzbudziła wśród dziennikarzy „Sun", oraz świadomy, że agencja wcale nie jest bliższa zdobycia „karty przetargowej" mogącej unieszkodliwić dwóch szantażystów Chiswella niż w dniu, w którym zgodził się pracować

dla ministra, Cormoran poczuł, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko badać każdy trop. Mimo zmęczenia, obolałych mięśni i dużego prawdopodobieństwa, że na demonstracji niczego wartościowego się nie dowie, w sobotę rano zwlókł się z łóżka, z powrotem przypiął protezę do kikuta, który już teraz był lekko spuchnięty, i nie będąc w stanie wymyślić czynności, na którą miałby mniejszą ochotę niż na chodzenie przez dwie godziny po ulicach, ruszył w stronę parku Mile End.

Gdy znalazł się w wystarczającej odległości od tłumu demonstrantów, by rozróżnić poszczególne osoby, wyjął z reklamówki białą plastikową maskę Guya Fawkesa, z zaokrąglonymi brwiami i wąsem, kojarzoną obecnie przede wszystkim z hakerskim ugrupowaniem Anonymous, i ją założył. Zgniótł reklamówkę, wcisnął ją do kosza, który akurat stał w pobliżu, po czym pokuśtykał w stronę transparentów: „Precz z pociskami spadającymi na domy!", „Precz ze snajperami na ulicach!", „Nie igrajcie z naszym życiem!" oraz kilku plakatów z wizerunkiem premiera i napisem „On musi odejść!". Sztuczna stopa Strike'a zawsze słabo radziła sobie na trawie. Spocił się, zanim jeszcze zauważył pomarańczowe transparenty członków SGOO z logo przedstawiającym połamane kółka olimpijskie.

Transparentów było kilkanaście. Czając się za grupką rozgadanej młodzieży, Strike poprawił zsuwającą się maskę, której nie stworzono z myślą o człowieku ze złamanym nosem, i zauważył Jimmy'ego Knighta rozmawiającego z dwiema młodymi kobietami. Obie właśnie odrzuciły do tyłu głowy i zachwycone, śmiały się z czegoś, co przed chwilą powiedział Knight. Przytrzymując maskę, żeby otwory na oczy się nie zsuwały, Strike powiódł wzrokiem po reszcie członków SGOO i doszedł do wniosku, iż brak rudych

włosów nie wynika z tego, że Flick ufarbowała je na inny kolor, lecz raczej z faktu, że jej tam nie było.

Koordynatorzy właśnie zaczęli ustawiać ludzi w coś przypominającego szereg. Strike wmieszał się między demonstrantów – milcząca, zwalista postać – i udawał lekko ociężałego umysłowo, dzięki czemu młodzi organizatorzy, onieśmieleni jego posturą, potraktowali go jak skałę, wokół której należy kierować strumień ludzi, a jemu udało się ustawić zaraz za aktywistami SGOO. Jakiś chudy chłopak, też w masce Anonymous, pokazał Strike'owi uniesione kciuki, gdy kierowano go na koniec szeregu. Strike odpowiedział mu tym samym gestem.

Jimmy palił skręta i nadal żartował z dwiema stojącymi obok młodymi dziewczynami, które zabiegały o jego uwagę. Ta z ciemniejszymi włosami, wyjątkowo atrakcyjna, trzymała dwustronny transparent z bardzo szczegółowym portretem Davida Camerona jako Hitlera spoglądającego na stadion olimpijski w 1936 roku. Dzieło było całkiem imponujące – Strike miał czas, żeby je popodziwiać, zanim pochód wreszcie ruszył miarowym krokiem, otoczony z obu stron przez policję oraz koordynatorów w jaskrawych kamizelkach, i powoli wyszedł z parku na długą, prostą Roman Road.

Gładki asfalt był trochę łaskawszy dla protezy Strike'a, ale detektyw i tak czuł w kikucie pulsujący ból. Kilka minut później zaczęło się skandowanie: „Rakiety PRECZ! Rakiety PRECZ!".

Dwaj fotoreporterzy szli tyłem przed demonstrantami, robiąc zdjęcia pierwszym szeregom maszerujących.

– Hej, Libby – powiedział Jimmy do dziewczyny z ręcznie namalowanym Hitlerem na transparencie. – Ponieść cię na ramionach?

Strike zauważył kiepsko skrywaną zazdrość jej przyjaciółki, gdy Jimmy przykucnął, żeby Libby mogła na nim usiąść i górować nad tłumem, z transparentem uniesionym wystarczająco wysoko, by zobaczyli go fotoreporterzy z przodu.

– Pokaż im cycki, będziemy na pierwszej stronie! – zawołał do niej Jimmy.

– J i m m y! – pisnęła z udawanym oburzeniem. Uśmiech jej przyjaciółki wyglądał na wymuszony. Aparaty pstrykały i Strike, krzywiąc się z bólu za plastikową maską, starał się, żeby jego utykanie nie rzucało się w oczy.

– Facet z największym aparatem nie odrywał od ciebie wzroku – stwierdził Jimmy, gdy wreszcie postawił dziewczynę z powrotem na ziemi.

– O kurwa, jeśli będę w gazetach, moja mama się wścieknie – ucieszyła się, idąc dalej u boku Jimmy'ego i korzystając z każdej okazji, żeby dać mu kuksańca albo trzepnąć go dłonią, gdy droczył się z nią, mówiąc, że boi się rodziców. Strike ocenił, że jest od niego o co najmniej piętnaście lat młodsza.

– Dobrze się bawisz, Jimmy?

Maska ograniczała Strike'owi pole widzenia, więc dopiero gdy nieuczesane włosy koloru pomidora pojawiły się bezpośrednio przed nim, uświadomił sobie, że do marszu dołączyła Flick. Jej nagłe pojawienie się zaskoczyło także Jimmy'ego.

– O, jesteś! – powiedział, słabo udając radość.

Flick rzuciła wściekłe spojrzenie dziewczynie o imieniu Libby, która wystraszyła się i przyspieszyła kroku. Jimmy próbował objąć Flick ramieniem, lecz je odtrąciła.

– Ej – obruszył się, udając niewinnego. – Co cię ugryzło?

– Zgadnij, kurwa. Masz trzy szanse – warknęła Flick.

Strike widział, że Jimmy zastanawia się, jaką obrać taktykę. Na jego łobuzersko przystojnej twarzy malowało się poirytowanie, ale poza tym Strike dostrzegł tam chyba pewną nieufność. Jimmy znowu spróbował objąć Flick. Tym razem się nie opierała.

– Ej – powtórzył, tym razem agresywnie. – Co to, kurwa, miało znaczyć?

– Odwalam za ciebie brudną robotę, a ty opierdalasz się tu z tą cizią? Uważasz mnie za kretynkę, Jimmy?

– Rakiety PRECZ! – krzyknął koordynator z megafonem i tłum znowu zaczął skandować. Krzyki idącej obok Strike'a kobiety z irokezem były piskliwe i głośne jak wrzaski pawia. Jedyną korzyścią z tego całego pokrzykiwania wydawało się to, że Strike mógł bez obaw stękać z bólu, ilekroć stawiał protezę na ziemi, co przynosiło mu pewną ulgę i sprawiało, że plastikowa maska drżała, łaskocząc go w spoconą twarz. Patrząc przez otwory na oczy, obserwował kłótnię Jimmy'ego i Flick, lecz w tym hałasie nie był w stanie dosłyszeć ani słowa. Dopiero gdy skandowanie wreszcie ucichło, mógł co nieco zrozumieć z ich rozmowy.

– Kurwa, mam tego dość – mówił Jimmy. – To nie ja podrywam studentów w barach, kiedy...

– Rzuciłeś mnie! – zaprotestowała Flick, wydając z siebie coś w rodzaju szeptanego krzyku. – Przecież mnie, kurwa, rzuciłeś! Powiedziałeś, że nie chcesz układu na wyłączność...

– Zrobiłem to pod wpływem chwili – burknął Jimmy. – Żyłem w stresie. Przez Billy'ego miałem pierdolony mętlik w głowie. Nie przypuszczałem, że od razu pójdziesz do baru i poderwiesz jakiegoś pieprzonego...

– Mówiłeś, że masz po dziurki w nosie...

– Kurwa mać, puściły mi nerwy i mówiłem mnóstwo pieprzonych rzeczy, których tak naprawdę nie miałem na myśli.

Gdybym posuwał inne kobiety za każdym razem, kiedy się mnie czepiasz...

– Wiesz co, czasami myślę, że jesteś ze mną tylko dlatego, że Chis...

– C i s z e j, k u r w a!

– Myślisz, że dobrze się dzisiaj bawiłam w domu tej mendy...

– Ja pierdolę, już mówiłem, że jestem ci wdzięczny, przecież o tym rozmawialiśmy. Gdyby nie to, że musiałem wydrukować ulotki, pojechałbym z tobą...

– N a d o d a t e k tam sprzątam. – Niespodziewanie zaniosła się płaczem. – To jest obrzydliwe, a dzisiaj jeszcze wysłałeś mnie... To było okropne, Jimmy, on powinien być w szpitalu, jest w fatalnym stanie...

Jimmy się rozejrzał. Strike, który na chwilę znalazł się w jego polu widzenia, starał się iść normalnie, mimo że ilekroć prosił kikut, by udźwignął cały ciężar jego ciała, miał wrażenie, że wciska go w tysiąc jadowitych mrówek.

– Potem zabierzemy go do szpitala – syknął Jimmy. – Obiecuję. Gdybyśmy wypuścili go teraz, wszystko by spieprzył, przecież go znasz... Kiedy Winn zdobędzie te zdjęcia... Hej – odezwał się łagodnym tonem, po raz trzeci obejmując ją ramieniem. – Słuchaj, jestem ci naprawdę zajebiście wdzięczny.

– Jasne. – Flick czknęła, wycierając nos grzbietem dłoni. – Z powodu pieniędzy. Dlatego że nie miałbyś pojęcia, co zrobił Chiswell, gdyby nie...

Jimmy przyciągnął ją do siebie gwałtownym ruchem i pocałował. Przez chwilę się opierała, potem rozchyliła usta. Pocałunek trwał i trwał, a oni szli dalej. Strike widział, jak język każdego z nich porusza się w ustach drugiego. Idąc, lekko się zataczali, zwarci w uścisku. Inni członkowie SGOO spoglądali

na nich z uśmiechem, ale dziewczyna, którą Jimmy nosił wcześniej na ramionach, wyglądała na zdruzgotaną.

– Jimmy – mruknęła Flick, gdy pocałunek wreszcie się skończył. Knight nadal ją obejmował. Teraz robiła już do niego maślane oczy i ogarnięta pożądaniem, mówiła miękkim głosem. – Chyba powinieneś tam pójść i z nim porozmawiać. Naprawdę. Ciągle mówi o tym cholernym detektywie.

– Co? – spytał Jimmy, choć Strike był pewny, że Knight usłyszał każde słowo.

– O Strike'u. Tym pieprzonym żołnierzu z jedną nogą. Billy ma obsesję na jego punkcie. Myśli, że Strike go uratuje.

Wreszcie ukazała się meta marszu: Bow Quarter przy Fairfield Road, gdzie w niebo wbijała się kwadratowa ceglana wieża starej fabryki zapałek, w której chciano produkować rakiety.

– Uratuje go? – powtórzył z pogardą Jimmy. – Ja pierdolę. Przecież nikt go tam, kurwa, nie torturuje.

Maszerujący wychodzili z szeregów, ponownie tworząc bezkształtną masę, która zebrała się wokół ciemnozielonego stawu przed proponowanym miejscem produkcji pocisków rakietowych. Strike wiele by dał, żeby usiąść na ławce albo oprzeć się o drzewo, tak jak inni demonstranci, i odciążyć kikut. Jego koniec, obrośnięty skórą, która nie została stworzona do dźwigania ciężaru całego ciała, był podrażniony i obolały, a ścięgna w kolanie błagały o lód i odpoczynek. Zamiast tego detektyw pokuśtykał jednak za Jimmym i Flick, którzy okrążali staw, oddalając się od kolegów z SGOO.

– Chciał się z tobą zobaczyć, ale powiedziałam, że jesteś zajęty – mówiła Flick. – Rozpłakał się. Jimmy, to było okropne.

Strike podszedł do nich bliżej, udając, że wpatruje się we wchodzącego na scenę młodego czarnoskórego mężczyznę

z mikrofonem.

– Zajmę się Billym, kiedy zdobędę pieniądze – zapewnił Jimmy. Wydawał się teraz nękany poczuciem winy i dylematami. – Jasne, że się nim zajmę... i tobą też. Nie zapomnę, ile dla mnie robisz.

Podobały jej się te słowa. Kątem oka Strike dostrzegł, jak jej brudna twarz rumieni się z radości. Jimmy wyjął z kieszeni dżinsów paczuszkę z tytoniem i bibułki, po czym zaczął sobie skręcać kolejnego papierosa.

– Więc ciągle mówi o tym pieprzonym detektywie?

– No.

Jimmy przypalił papierosa i przez chwilę zaciągał się w milczeniu, wodząc spojrzeniem po ludziach w tłumie.

– Wiesz co? – odezwał się nagle. – Pójdę do niego od razu. Trochę go uspokoję. Po prostu musi jeszcze jakiś czas wytrzymać. Idziesz ze mną?

Wyciągnął rękę i Flick ujęła z uśmiechem jego dłoń. Poszli.

Strike odczekał chwilę, po czym zdjął maskę i starą szarą bluzę, zastąpił tę pierwszą okularami przeciwsłonecznymi, które trzymał w kieszeni na wypadek takiej sytuacji, i ruszył za nimi, ciskając maskę i bluzę na stos transparentów.

Tempo, które narzucił Jimmy, w niczym nie przypominało powolnego marszu. Co kilka kroków Flick musiała podbiegać, żeby za nim nadążyć, a Strike już wkrótce zaciskał zęby, gdy zakończenia nerwowe w zaognionej skórze na końcu kikuta ocierały się o protezę, a przepracowane, napięte mięśnie wołały o litość.

Mocno się pocił, idąc coraz bardziej nienaturalnym krokiem. Przechodnie zaczynali się na niego gapić. Czuł ich zaciekawienie i współczucie, gdy wlókł za sobą sztuczną nogę. Wiedział, że powinien był wykonywać ćwiczenia zalecone przez fizjoterapeutę, że powinien był trzymać się z dala od frytek,

że w idealnym świecie miałby teraz dzień wolny, odpoczywałby z odczepioną protezą i workiem lodu przyłożonym do kikuta. Kuśtykał jednak dalej, nie słuchając ciała, które błagało go, żeby się zatrzymał, a odległość między nim a Jimmym i Flick rosła. Równoważące ruchy górnej części jego ciała zaczynały wyglądać groteskowo. Mógł się tylko modlić, żeby ani Jimmy, ani Flick nie odwrócili się w jego stronę, ponieważ gdyby zobaczyli, jak za nimi kuśtyka, nie zdołałby zachować anonimowości. Już znikali w małym schludnym budynku z cegły, w którym mieściła się stacja Bow – Strike sapał i klął po drugiej stronie ulicy.

Gdy schodził z krawężnika, tylną część jego prawego uda przeszył rozdzierający ból, jakby mięsień przecięło ostrze noża. Noga nie wytrzymała i Strike upadł z wyciągniętą przed siebie ręką, uderzając biodrem, ramieniem i głową w nawierzchnię ulicy. Gdzieś w pobliżu krzyknęła przerażona kobieta. Ci, którzy go widzieli, myśleli pewnie, że się upił. Już mu się to zdarzało, kiedy się przewracał. Upokorzony, wściekły, jęcząc z potwornego bólu, wczołgał się z powrotem na chodnik, ciągnąc prawą nogę, żeby usunąć ją z drogi nadjeżdżających pojazdów. Jakaś młoda przestraszona kobieta podeszła sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Warknął na nią, a potem poczuł wyrzuty sumienia.

– Przepraszam – wychrypiał, ale już jej nie było. Odeszła prędko z dwiema przyjaciółkami.

Podczołgał się do barierek biegnących wzdłuż chodnika i usiadł oparty plecami o metal, pocąc się i krwawiąc. Wątpił, czy zdoła wstać bez niczyjej pomocy. Przesuwając rękami po tylnej części kikuta, wyczuł opuchliznę w kształcie jajka i jęknął, domyślając się, że zerwał ścięgno podkolanowe. Ból był tak ostry, że zbierało mu się na mdłości.

Wyjął z kieszeni komórkę. Ekran ucierpiał w czasie upadku, był popękany.

– O. Ja. Pierdolę – mruknął detektyw, zamykając oczy i znowu opierając głowę o zimny metal.

Przez kilka minut siedział bez ruchu, brany przez przechodniów za włóczęgę albo pijaka, i w milczeniu analizował swoje nieliczne możliwości. W końcu, czując, że nie ma innego wyjścia, otworzył oczy, wytarł twarz przedramieniem i wybrał numer Lorelei.

23

[...] *cherlałeś i tonąłeś w mrokach tego twojego małżeństwa.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Patrząc na to z perspektywy czasu, Robin wiedziała, że jej rocznicowy weekend był skazany na klęskę, jeszcze zanim się zaczął – już w krypcie w Izbie Gmin, gdzie odmówiła Strike'owi, który prosił ją o śledzenie Jimmy'ego.

Próbując zdusić poczucie winy, zwierzyła się z tego Matthew, który przyjechał po nią po pracy. Matthew – już i tak spięty z powodu wyzwania związanego z prowadzeniem w piątkowy wieczór nielubianego przez siebie land rovera – przeszedł w tryb ofensywny i spytał ostrym tonem, dlaczego Robin ma wyrzuty sumienia po tylu godzinach przeharowanych u Strike'a w ciągu ostatnich dwóch lat, a następnie tak złośliwie wycierał sobie gębę jej wspólnikiem, że Robin poczuła się w obowiązku stanąć w jego obronie. Godzinę później, gdy nadal kłócili się o jej pracę, Matthew nagle zauważył, że na palcach gestykulującej lewej ręki Robin nie ma ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego. Nigdy ich nie

nosiła, odgrywając rolę niezamężnej Venetii Hall, i zupełnie zapomniała, że przed wyjazdem nie zdąży wrócić po nie na Albury Street.

– To nasza pieprzona rocznica, a ty zapomniałaś nawet o tym, żeby włożyć obrączkę?! – krzyknął Matthew.

Półtorej godziny później dojechali do hotelu z żółtej cegły. Uśmiechnięty mężczyzna w uniformie otworzył przed Robin drzwi. Jej „dziękuję" było prawie niedosłyszalne z powodu twardej guli wściekłości, która utkwiła jej w gardle.

Przy kolacji nagradzanej gwiazdkami Michelin właściwie się do siebie nie odzywali. Robin, która równie dobrze mogłaby jeść styropian albo kurz, rozejrzała się, spoglądając na stoliki wokół. Byli z Matthew zdecydowanie najmłodszą parą na sali i zastanawiała się, czy którekolwiek z pozostałych małżeństw przechodziło taki kryzys i go przetrwało.

Tej nocy spali odwróceni do siebie plecami.

W sobotę Robin obudziła się ze świadomością, że każda chwila w hotelu, każdy krok na tym pięknie utrzymanym terenie z lawendową alejką, ogrodem japońskim, sadem i zagonami ekologicznych warzyw kosztują ich małą fortunę. Możliwe, że Matthew myślał podobnie, gdyż przy śniadaniu stał się bardziej pojednawczy. Mimo to ich rozmowy wydawały się ryzykowne, regularnie zbaczając na niebezpieczny teren, z którego obydwoje pospiesznie się wycofywali. Ciągłe napięcie wywołało pulsujący ból w skroniach Robin, lecz nie chciała prosić obsługi hotelowej o środki przeciwbólowe, ponieważ każda oznaka niezadowolenia mogła doprowadzić do kolejnej kłótni. Robin zastanawiała się, jak by to było przeżyć dzień ślubu i miesiąc miodowy, które można by bezpiecznie wspominać. W końcu postanowili rozmawiać podczas spaceru o pracy Matthew.

W następną sobotę miał się odbyć charytatywny mecz krykieta z udziałem jego firmy. Matthew, równie dobry w krykiecie jak kiedyś w rugby, wyczekiwał go z niecierpliwością. Robin słuchała, jak przechwala się swoją sprawnością i żartuje z nieprawidłowych serwów Toma, śmiała się w stosownych momentach i potakiwała, lecz przez cały czas jakaś chłodna i przygnębiona cząstka w jej wnętrzu zastanawiała się, co się dzieje teraz w Bow, czy Strike poszedł na marsz, czy zdobył jakieś przydatne informacje na temat Jimmy'ego i jak to się stało, że ona, Robin, skończyła u boku nadętego, zapatrzonego w siebie mężczyzny, podobnego do przystojnego chłopaka, którego kiedyś kochała.

Tego wieczoru po raz pierwszy w życiu uprawiała z Matthew seks wyłącznie dlatego, że nie była w stanie zmierzyć się z kłótnią, jaka by się wywiązała, gdyby odmówiła. Mieli rocznicę, więc musieli uprawiać seks. Przypominało to pieczęć notariusza na ich weekendzie i było mniej więcej równie przyjemne. Gdy Matthew szczytował, ona czuła szczypanie łez, a jej zimne, nieszczęśliwe ja, zakopane głęboko w uległym ciele, zastanawiało się, dlaczego Matthew nie wyczuwa jej przygnębienia i jak w ogóle może mu się wydawać, że ich małżeństwo jest sukcesem.

W ciemności, gdy już się z niej stoczył i powiedział wszystko, co należy powiedzieć, zasłoniła mokre oczy ręką. Mówiąc: „Ja też cię kocham", po raz pierwszy nie miała żadnych wątpliwości, że kłamie.

Gdy Matthew zasnął, Robin bardzo ostrożnie sięgnęła w ciemności po telefon leżący na szafce nocnej i sprawdziła skrzynkę odbiorczą. Nie było żadnych wieści od Strike'a. Znalazła w internecie zdjęcia z marszu w Bow i wydawało jej się, że rozpoznaje w tłumie wysokiego mężczyznę ze znajomo wyglądającymi kręconymi włosami i z maską Guya Fawkesa

na twarzy. Odłożyła komórkę ekranem do dołu, żeby zasłonić światło, i zamknęła oczy.

24

[...] *o jej nieopanowanej, dzikiej namiętności... Żądała, abym ją odwzajemniał.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Strike wrócił do swoich dwóch pokoi na poddaszu przy Denmark Street po sześciu dniach, w piątek wczesnym rankiem. Szedł o kulach, niosąc protezę w torbie na ramieniu, miał podpiętą nogawkę spodni, a wyraz jego twarzy odpychał większość ukradkowych współczujących spojrzeń, które kierowali w jego stronę przechodnie, gdy przesuwał się po krótkiej ulicy w stronę numeru dwadzieścia cztery.

Nie był u lekarza. Lorelei zadzwoniła do lokalnej przychodni, gdy razem z nagrodzonym hojnym napiwkiem taksówkarzem udało jej się doprowadzić Strike'a do swojego mieszkania, lekarz poprosił jednak, żeby pacjent zgłosił się do gabinetu na badanie.

– Jak miałbym to zrobić? Skacząc na jednej nodze? Zerwałem ścięgno podkolanowe, czuję to – warknął Strike do słuchawki. – Znam zalecenia: odpoczynek, lód i inne pierdoły. Już to przerabiałem.

Został zmuszony do złamania swojej zasady, żeby nie spędzać u kobiety dwóch nocy z rzędu, i mieszkał u Lorelei przez pięć dni i sześć nocy. Teraz tego żałował, ale czy miał wtedy inny wybór? Jak powiedziałby Chiswell, został przyłapany *a fronte praecipitium, a tergo lupi.* Mieli z Lorelei zjeść kolację w sobotni wieczór.

Postanowił powiedzieć jej prawdę, zamiast szukać wymówek, żeby odwołać spotkanie, więc ostatecznie musiał pozwolić sobie pomóc. Teraz żałował, że nie zadzwonił do swoich starych przyjaciół Nicka i Ilsy, albo nawet do Shankera, lecz było już za późno. Krzywda została wyrządzona.

Świadomość, że jest niesprawiedliwy i niewdzięczny, bynajmniej nie poprawiała mu humoru, gdy taszczył po schodach siebie samego i torbę. Mimo że chwilami pobyt w mieszkaniu Lorelei był niezwykle przyjemny, wszystko zostało popsute przez to, co zaszło poprzedniego dnia wieczorem, i to z jego własnej winy. Sam do tego dopuścił – do tego, przed czym starał się bronić, odkąd odszedł od Charlotte. Dopuścił do tego, ponieważ stracił czujność i przyjmował kubki z herbatą, domowe posiłki oraz czułą opiekę, aż w końcu, ostatniej nocy, w ciemności, Lorelei wyszeptała w jego nagą pierś:

– Kocham cię.

Krzywiąc się z wysiłku, jakiego wymagało balansowanie o kulach i jednoczesne otwieranie drzwi, Strike o mało nie runął na podłogę, wchodząc do swojego mieszkania. Zatrzasnął za sobą drzwi, rzucił torbę, podszedł do małego krzesła przy plastikowym stoliku w salonie z aneksem kuchennym, opadł na nie i odepchnął kule. Czuł ulgę, będąc z powrotem w domu, sam, mimo że trudno było sobie poradzić z nogą w tym stanie. Oczywiście powinien był wrócić wcześniej, lecz ponieważ i tak nie mógłby nikogo śledzić, a do tego bardzo kiepsko się czuł, łatwiej było mu pozostać w wygodnym fotelu, położyć kikut na olbrzymim kwadratowym pufie oraz przesyłać Robin i Barclayowi esemesowe instrukcje, podczas gdy Lorelei przynosiła mu jedzenie i napoje.

Strike zapalił papierosa i pomyślał o wszystkich kobietach, z którymi się spotykał od rozstania z Charlotte. Pierwsza była Ciara

Porter, piękna przygoda na jedną noc bez żalu po żadnej ze stron. Kilka tygodni po tym, jak znalazł się na łamach gazet po rozwiązaniu sprawy Landry, Ciara do niego zadzwoniła. W umyśle modelki awansował dzięki rozgłosowi z przygodnego bzykanka na ewentualny materiał na chłopaka, lecz on nie chciał się z nią więcej spotykać. Dziewczyny pragnące pozować z nim do zdjęć nie współgrały z jego profilem zawodowym.

Następna była Nina. Pracowała w wydawnictwie i wykorzystał ją, żeby zdobyć informacje dotyczące sprawy. Polubił Ninę, ale patrząc na to z perspektywy czasu, uznał, że niewystarczająco mocno, by traktować ją poważnie. Zranił jej uczucia. Nie był z tego dumny, ale nie spędzało mu to snu z powiek.

Elin była inna, piękna i, co najlepsze, związek z nią był wygodny – właśnie to go przy niej trzymało. Rozwodziła się akurat z bogatym mężczyzną, więc jej potrzeba dyskrecji i wyraźnego rozgraniczenia poszczególnych sfer życia była prawie tak silna jak jego własna. Wytrzymali ze sobą kilka miesięcy, zanim wylał na nią wino i wyszedł z restauracji, w której jedli kolację. Później zadzwonił, żeby przeprosić, a ona go rzuciła, zanim dokończył zdanie. Zważywszy, że zostawił ją upokorzoną w Le Gavroche z wysokim rachunkiem za pralnię chemiczną, uznał, że reakcja w rodzaju „Miałem zamiar powiedzieć to samo" byłaby w złym guście.

Po Elin była Coco, o której wolał nie rozmyślać, a teraz Lorelei. Polubił ją bardziej niż inne i właśnie dlatego było mu przykro, że to ona powiedziała „kocham cię".

Dwa lata temu Strike coś sobie przyrzekł, a robił to bardzo rzadko, gdyż wierzył, że przysiąg należy dotrzymywać. Nigdy nie wyznał miłości żadnej kobiecie oprócz Charlotte i nie zamierzał mówić „kocham cię", dopóki nie będzie pewny ponad wszelką wątpliwość, że pragnie zostać z tą kobietą i ułożyć sobie z nią życie. Zadrwiłby

z tego, przez co przeszedł z Charlotte, gdyby wypowiedział te słowa w choć trochę mniej poważnych okolicznościach. Tylko miłość mogła uzasadnić chaos, w jakim razem żyli, oraz fakt, że tyle razy do niej wracał, choć w głębi duszy wiedział, że nie może im się udać. Miłość była dla Strike'a bólem i smutkiem, których się szuka, które przyjmuje się i znosi. W sypialni Lorelei z kowbojkami na zasłonach jej nie znalazł.

Dlatego po jej wyszeptanym wyznaniu nie odezwał się słowem, a gdy spytała, czy słyszał, co powiedziała, odrzekł:

– No, słyszałem.

Strike sięgnął po papierosy. „No, słyszałem". Cóż, w każdym razie odpowiedział uczciwie. Nie miał żadnych problemów ze słuchem. Potem zapadła dość długa cisza, a następnie Lorelei wstała z łóżka, poszła do łazienki i spędziła w niej pół godziny. Strike przypuszczał, że zamknęła się tam, żeby płakać, choć była na tyle miła, że robiła to cicho, tak by tego nie słyszał. Leżał w łóżku, zastanawiając się, czy mógłby jej powiedzieć coś miłego i jednocześnie zgodnego z prawdą, ale wiedział, że nie zadowoli jej nic oprócz „Ja też cię kocham", a prawda wyglądała tak, że jej nie kochał i nie zamierzał kłamać.

Gdy wróciła do łóżka, wyciągnął do niej rękę. Pozwoliła głaskać się przez chwilę po ramieniu, a potem powiedziała, że jest zmęczona i musi trochę pospać.

„Co miałem, kurwa, zrobić?" – spytał ostro wyimaginowaną rozmówczynię, która bardzo przypominała jego siostrę Lucy.

„Mogłeś spróbować odmówić, gdy proponowała ci herbatę albo zrobienie laski" – padła drwiąca odpowiedź, którą Strike, czując, jak w jego kikucie pulsuje ból, skwitował tylko: „Spierdalaj".

Zadzwoniła jego komórka. Skleił roztrzaskany ekran przezroczystą taśmą i za tą zniekształconą skorupą zobaczył nieznany numer.

– Strike.

– Cześć, Strike. Mówi Culpepper.

Dominic Culpepper, który pracował w redakcji „News of the World" aż do jej zamknięcia, kiedyś czasami zlecał Strike'owi robotę. Ich wzajemne relacje, choć nigdy nie były serdeczne, stały się raczej wrogie, gdy Strike odmówił Culpepperowi przedstawienia kulis swoich dwóch niedawnych spraw o morderstwo. Teraz pracujący dla „Sun" Culpepper należał do grona tych dziennikarzy, którzy z największym entuzjazmem rozkładali na czynniki pierwsze życie prywatne Strike'a po aresztowaniu Rozpruwacza z Shacklewell.

– Zastanawiałem się, czy miałbyś czas przyjąć od nas zlecenie – zaczął Culpepper.

„Masz, kurwa, tupet".

– Co was interesuje?

– Szukamy haków na pewnego ministra.

– Którego?

– Dowiesz się, jeśli przyjmiesz tę robotę.

– Teraz jestem dość zajęty. O jakich hakach mówimy?

– Właśnie tego musimy się dowiedzieć.

– Skąd wiecie, że są jakieś haki?

– Z dobrze poinformowanego źródła – powiedział Culpepper.

– Do czego jestem wam potrzebny, skoro macie dobrze poinformowane źródło?

– Facet nie jest gotowy mówić. Dał tylko do zrozumienia, że szykuje się afera. Gruba afera.

– Przykro mi, Culpepper, nie dam rady. Mam kupę roboty.

– Jesteś pewny? Dobrze zapłacimy, Strike.

– Ostatnio nie najgorzej mi się wiedzie – odparł detektyw, odpalając papierosa od końca poprzedniego.

– Jasne, domyślam się, ty cholerny farciarzu – rzucił Culpepper. – W porządku, w takim razie będziemy musieli pójść do Pattersona. Znasz go?

– Tego byłego gliniarza? Miałem z nim styczność parę razy – odrzekł Strike.

Rozmowa zakończyła się obopólnie nieszczerymi życzeniami wszystkiego dobrego i wywołała u Strike'a narastające złe przeczucia. Wpisał nazwisko Culpeppera w wyszukiwarkę – znalazł je pod artykułem o fundacji Równe Szanse sprzed dwóch tygodni.

Oczywiście było możliwe, że demaskacja na łamach „Sun" związana z przestępstwem przeciwko dobrym obyczajom grozi więcej niż jednemu ministrowi, lecz to, że Culpepper przebywał niedawno w pobliżu Winnów, wyraźnie wskazywało, iż Robin miała rację, podejrzewając, że Geraint skontaktował się z „Sun" i że ministrem, który niebawem stanie się obiektem dochodzenia Pattersona, będzie Chiswell.

Strike zastanawiał się, czy Culpepper wie, że on, Strike, pracuje już dla Chiswella – czyżby dzwoniąc do detektywa, chciał go zaskoczyć i wyciągnąć od niego jakieś informacje? – lecz wydawało się to mało prawdopodobne. Gdyby dziennikarz wiedział, że minister zatrudnił Strike'a, musiałby być bardzo głupi, żeby zdradzić detektywowi, do kogo zamierza się zwrócić.

Cormoran słyszał o Mitchu Pattersonie: dwa razy w ciągu ostatniego roku zostali zatrudnieni przez zwaśnione połówki rozwodzących się małżeństw. Patterson, były starszy oficer stołecznej policji, który „przeszedł na wcześniejszą emeryturę", osiwiał w młodym wieku i miał twarz rozzłoszczonego mopsa. Choć z natury był nieprzyjemnym typem, a przynajmniej tak powiedział Strike'owi Eric Wardle, miał reputację człowieka „osiągającego wyniki".

– Oczywiście w nowej branży nie będzie mógł nikogo napieprzać podczas przesłuchań – dodał Wardle – więc jego arsenał zostanie uszczuplony o jedno użyteczne narzędzie.

Strike'owi nie bardzo podobała się myśl, że niedługo Patterson zacznie interesować się sprawą. Ponownie sięgając po komórkę, zauważył, że ani Robin, ani Barclay nie zadzwonili w ciągu ostatnich dwunastu godzin, żeby przekazać najnowsze wieści. Zaledwie poprzedniego dnia musiał uspokajać Chiswella, który zatelefonował, by wyrazić wątpliwości w związku z Robin, ponieważ jak dotąd niczego nie zdziałała.

Strike, sfrustrowany postawą współpracowników i własną niemocą, wysłał Robin i Barclayowi tego samego esemesa:

> Sun właśnie próbowało mi zlecić dochodzenie w sprawie Chiswella. Jak najszybciej przekaż najnowsze wieści. Potrzebuję użytecznych informacji. NATYCHMIAST.

Sięgnął po kule, wstał, by przejrzeć zawartość lodówki oraz kuchennych szafek, i odkrył, że jeśli nie wybierze się do supermarketu, jego następne cztery posiłki będą miały postać zupy z puszki. Wylał do zlewu zepsute mleko, zaparzył sobie kubek czarnej herbaty i wrócił do plastikowego stolika, gdzie zapalił trzeciego papierosa i bez przyjemności kontemplował perspektywę wykonania ćwiczeń rozciągających ścięgno podkolanowe.

Znowu zadzwonił telefon. Widząc, że to Lucy, zaczekał, aż siostra połączy się z pocztą głosową. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, były najnowsze doniesienia z zebrania rady szkoły.

Kilka minut później, gdy był w łazience, zadzwoniła jeszcze raz. Dostał się do kuchni, skacząc na jednej nodze ze spodniami opuszczonymi do połowy masztu, w nadziei, że to Robin albo Barclay. Widząc po raz drugi numer siostry, zaklął tylko głośno i wrócił do łazienki.

Trzeci telefon uświadomił mu, że Lucy nie zamierza się poddać. Z hukiem odstawił puszkę zupy, którą akurat otwierał, i zgarnął z blatu komórkę.

– Lucy, jestem zajęty, o co chodzi? – rzucił cierpko.

– Mówi Barclay.

– A, najwyższa pora. Jakieś wieści?

– Co nieco o tej małej Jimmy'ego. O Flick.

– Wszystko może się przydać – powiedział Strike. – Dlaczego nie dałeś znać wcześniej?

– Dowiedziałem się tego dopiero dziesięć minut temu – odrzekł niezrażony Barclay. – Słyszałem, jak rozmawia z Jimmym w kuchni. Podprowadza forsę w pracy.

– W jakiej pracy?

– Nie mówiła. Ale z tego, co zauważyłem, Jimmy wcale za nią nie szaleje. Nie jestem pewny, czyby się przejął, gdyby ją przyskrzynili.

W uchu Strike'a rozległ się rozpraszający dźwięk. Ktoś inny próbował się z nim połączyć. Spojrzał na ekran i zobaczył, że to znowu Lucy.

– Ale powiem ci, czego jeszcze się o nim dowiedziałem – ciągnął Barclay. – Wczoraj wieczorem, kiedy się upalił. Wspomniał, że zna ministra, który ma krew na rękach.

Piip. Piip. Piip.

– Strike? Jesteś tam?

– No, jestem.

Strike nie wspominał Barclayowi o historii Billy'ego.

– Barclay, co konkretnie powiedział?

– Ględził o rządzie, torysach, o tym, jaka to zgraja drani. Nagle ni z tego, ni z owego mówi: „W dodatku to pieprzeni mordercy". Pytam: „Co masz na myśli?", a on na to: „Znam takiego jednego, co ma, kurwa, krew na rękach. Krew dzieci".

Piip. Piip. Piip.

– Miej na uwadze, Strike, że ta cała SGOO to banda kretynów. Możliwe, że miał na myśli cięcia w zasiłkach rodzinnych. Dla nich to to samo co morderstwo. Chociaż sam też nie mam najlepszego zdania o polityce Chiswella.

– Natknąłeś się na jakiś ślad Billy'ego? Brata Jimmy'ego.

– Nie. Nikt o nim nawet nie wspominał.

Piip. Piip. Piip.

– I nic nie wskazuje na to, że Jimmy wymyka się do Oxfordshire?

– Nie, kiedy mam go na oku.

Piip. Piip. Piip.

– No dobra – powiedział Strike. – Szukaj dalej. Jeśli coś znajdziesz, daj znać.

Rozłączył się, stuknął w ekran i przez przypadek odebrał telefon od Lucy.

– Cześć, Lucy – odezwał się zniecierpliwionym tonem. – Jestem teraz trochę zajęty, mogę do ciebie...

Gdy jednak zaczęła mówić, pobladł. Zanim zdążyła przedstawić do końca zdławionym głosem powód, dla którego do niego wydzwaniała, już chwycił klucze i po omacku szukał kul.

25

Będziemy próbowali cię unieszkodliwić.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Esemes Strike'a z prośbą o wieści dotarł do Robin za dziesięć dziewiąta, gdy skręciła w korytarz, przy którym znajdowały się biura Izzy i Winna. Była tak ciekawa, co napisał, że zatrzymała się gwałtownie w połowie pustego korytarza, żeby przeczytać wiadomość.

– O cholera – mruknęła, dowiadując się, że „Sun" coraz bardziej interesuje się Chiswellem. Oparła się o ścianę w korytarzu z zaokrąglonymi kamiennymi ościeżnicami i upewniwszy się, że wszystkie dębowe drzwi są zamknięte, przygotowała się na rozmowę ze Strikiem.

Nie odzywali się do siebie, odkąd odmówiła śledzenia Jimmy'ego. Gdy w poniedziałek zadzwoniła, żeby go przeprosić, odebrała Lorelei.

– O, cześć, Robin, to ja!

Jedną z okropnych cech Lorelei było to, że budziła sympatię. Z powodów, których Robin nie chciała roztrząsać, zdecydowanie wolałaby, żeby dziewczyna Strike'a była nieprzyjemna.

– Przykro mi, Corm jest pod prysznicem! Spędził u mnie cały weekend, załatwił sobie kolano, kiedy kogoś śledził. Nie chce mi zdradzić szczegółów, ale przypuszczam, że wiesz, o co chodzi! Musiał zadzwonić po mnie z ulicy, to było okropne, nie mógł wstać. Pojechałam po niego taksówką, a potem musiałam zapłacić

kierowcy, żeby pomógł mi zaprowadzić Corma na górę. Nie może przypiąć protezy, chodzi o kulach...

– Powiedz mu tylko, że dzwoniłam – rzuciła Robin, czując, jak jej żołądek zmienia się w bryłę lodu. – To nic ważnego.

Od tamtej pory Robin wiele razy odtwarzała tę rozmowę w głowie. Gdy Lorelei mówiła o Strike'u, w jej słowach wyraźnie pobrzmiewał ton właścicielki. To do niej zadzwonił, gdy wpadł w tarapaty („No pewnie, że do niej. Co miał zrobić? Zadzwonić po ciebie do Oxfordshire?"), to w jej mieszkaniu spędził resztę weekendu („Są parą, niby gdzie miałby się podziać?"), to Lorelei się nim opiekowała, pocieszała go i być może mu wtórowała, gdy pomstował na Robin, przez którą zapewne doszło do tej kontuzji.

A teraz Robin musiała zadzwonić do Strike'a i powiedzieć, że choć upłynęło pięć dni, nie zdobyła żadnych przydatnych informacji. Biuro Winna, tak łatwo dostępne jeszcze dwa tygodnie temu, było teraz starannie zamykane, ilekroć Geraint i Aamir musieli gdzieś wyjść. Robin była pewna, że to zasługa Aamira – że to on nabrał wobec niej podejrzeń po incydencie z upuszczoną bransoletką i po tym, jak Raphael głośno zwrócił jej uwagę, kiedy podsłuchiwała Aamira rozmawiającego przez telefon.

– Poczta!

Robin gwałtownie się obróciła i ujrzała toczący się w jej stronę wózek, pchany przez sympatycznego siwowłosego mężczyznę.

– Odbiorę wszystko, co przyszło do Chiswella i Winna. Zaraz mamy zebranie – usłyszała własne słowa. Mężczyzna podał jej stos listów i pudełko z przezroczystym celofanowym okienkiem, przez które Robin zobaczyła bardzo realistyczny plastikowy płód naturalnej wielkości. Podpis u góry głosił: „Można mnie legalnie zamordować". – O Boże, to straszne.

Mężczyzna zachichotał.

– To nic w porównaniu z innymi przesyłkami – powiedział uspokajająco. – Pamięta pani ten biały proszek, o którym mówili w wiadomościach? Twierdzili, że to wąglik. Zrobiła się z tego straszna afera. Aha, raz zdarzyło mi się dostarczyć kał w pudełku. Był tak zapakowany, że nie wyczułem smrodu. To dziecko jest dla Winn, nie dla Chiswella. To ona opowiada się za prawem kobiet do przerywania ciąży. Podoba się tu pani, prawda? – spytał, wykazując chęć rozmowy.

– Bardzo – odparła Robin, której uwagę zwróciła jedna ze zgarniętych kopert. – Przepraszam.

Odwróciła się od drzwi biura Izzy, pospiesznie minęła dostarczyciela poczty i pięć minut później dotarła do kawiarni na tarasie nad brzegiem Tamizy. Od rzeki oddzielał ją niski kamienny murek z czarnymi lampami z żelaza. Po obu stronach ciągnęły się most Westminsterski i most Lambeth: ten pierwszy, z lewej, pomalowany na zielony kolor siedzeń w Izbie Gmin, a drugi, z prawej, szkarłatny jak te w Izbie Lordów. Na przeciwległym brzegu wznosiła się biała fasada County Hall, a między nią a pałacem wiła się szeroka Tamiza z oleistą, połyskliwą szarą powierzchnią skrywającą muliste głębiny.

Siadając poza zasięgiem słuchu nielicznych osób pijących kawę o tak wczesnej porze, Robin skupiła się na jednym z listów zaadresowanych do Gerainta Winna, które tak zuchwale przechwyciła od mężczyzny roznoszącego pocztę. Na odwrocie koperty widniało starannie napisane drżącą kursywą nazwisko nadawcy wraz z jego adresem: „Sir Kevin Rodgers, The Elms 16, Fleetwood, Kent", a tak się składało, że dzięki długiemu gromadzeniu informacji na temat fundacji Winnów Robin wiedziała, że starszawy sir Kevin, który na olimpiadzie w 1956 roku

zdobył srebrny medal w biegu przez płotki, jest jednym z członków zarządu Równych Szans.

W związku z tym zadała sobie pytanie: O jakich sprawach ludzie pragną pisać w listach, gdy o wiele łatwiej i szybciej jest zadzwonić albo wysłać mejla?

Korzystając z komórki i adresu, znalazła numer sir Kevina i jego żony. Tak jak myślała, byli wystarczająco wiekowi, by nadal używać telefonu stacjonarnego. Wzmocniła się łykiem kawy i odpisała Strike'owi:

> Badam trop, niedługo zadzwonię.

Następnie wyłączyła identyfikację dzwoniącego w swoim telefonie, wyjęła długopis i notes, w którym zapisała numer sir Kevina, po czym wystukała cyfry.

Po trzecim sygnale odebrała starsza kobieta. Robin odezwała się głosem, który, jak się obawiała, był słabą imitacją walijskiego akcentu Delli.

– Czy mogę rozmawiać z sir Kevinem?

– Della?

– Zastałam sir Kevina? – powtórzyła Robin trochę głośniej. Miała nadzieję, że uniknie podawania się za panią minister.

– Kevin! – zawołała kobieta. – Kevin! To Della!

Rozległo się szuranie, które skojarzyło się Robin z pantoflami w szkocką kratę.

– Halo?

– Kevinie, Geraint właśnie odebrał twój list – powiedziała Robin, krzywiąc się, gdyż jej akcent oscylował gdzieś między Cardiffem a Lahaur.

– Przepraszam, Dello, co mówisz? – odrzekł mężczyzna słabym głosem.

Wyglądało na to, że jest przygłuchy, co było ułatwieniem i jednocześnie pewną komplikacją. Robin zaczęła mówić głośniej, wymawiając słowa najwyraźniej, jak umiała. Sir Kevin zrozumiał ją za trzecim razem.

– Mówiłem Geraintowi, że będę musiał zrezygnować, jeśli nie podejmie szybkich działań – stwierdził z rozpaczą. – Dello, przyjaźnimy się od dawna i to było... to jest... wartościowe przedsięwzięcie, ale muszę dbać o swoje dobre imię. Ostrzegałem go.

– Ale dlaczego, Kevinie? – spytała Robin, unosząc długopis.

– Nie pokazał ci mojego listu?

– Nie – odrzekła zgodnie z prawdą Robin, trzymając długopis w gotowości.

– Och – jęknął sir Kevin słabym głosem. – No cóż, po pierwsze... brakujące dwadzieścia pięć tysięcy funtów to poważna sprawa.

– A oprócz tego? – spytała Robin, notując pospiesznie.

– Słucham?

– Powiedziałeś: „po pierwsze". Co jeszcze cię martwi?

Robin usłyszała w tle głos kobiety, która odebrała telefon. Wydawał się wzburzony.

– Dello, wolałbym nie mówić o tym przez telefon – wymamrotał skrępowany sir Kevin.

– Cóż, jestem zawiedziona – powiedziała Robin, naśladując ton, który, jak miała nadzieję, mógł uchodzić za melodyjny, dostojny sposób wyrażania się Delli. – Liczyłam na to, że przynajmniej wyjaśnisz mi powody, Kevinie.

– Chodzi o tę sprawę z Mo Farahem...

– Mo Farahem? – powtórzyła Robin z nieudawanym zdziwieniem.

– Słucham?

– M o F a r a h e m?

– Nic nie wiesz? – zapytał sir Kevin. – Ojej. Ojej...

Robin usłyszała czyjeś kroki i w słuchawce znowu odezwał się kobiecy głos, początkowo stłumiony, później już wyraźny.

– Pozwól mi z nią porozmawiać... Puść słuchawkę, Kevinie... Posłuchaj, Dello, to wszystko bardzo Kevina przygnębiło. Przypuszczał, że nie wiedziałaś, co się dzieje, no i proszę, okazuje się, że miał rację. Nikt nigdy nie chce cię martwić, Dello – powiedziała takim tonem, jakby uważała to za zbędną nadopiekuńczość – ale fakty wyglądają tak, że... nie, Kevinie, ona musi się o tym dowiedzieć... że Geraint obiecuje ludziom coś, czego nie jest w stanie im dać. Mówił niepełnosprawnym dzieciom i ich rodzinom, że odwiedzą ich David Beckham, Mo Farah i nie wiadomo kto jeszcze. To wszystko wyjdzie na jaw, Dello, zwłaszcza że sprawą zainteresowała się Komisja Nadzoru Działalności Dobroczynnej, a ja nie zamierzam pozwolić, żeby szargano dobre imię Kevina. To prawy człowiek i robił wszystko, co w jego mocy. Od miesięcy prosił Gerainta, żeby jak najszybciej zaprowadził porządek w rachunkach, a do tego jeszcze Elspeth... Nie, Kevinie, n i e, mówię jej tylko, że... No cóż, Dello, jeśli zrobi się z tego paskudna sprawa... Ta historia może trafić do policji i do prasy. Przykro mi, ale dla mnie najważniejsze jest zdrowie Kevina.

– O co chodzi z Elspeth? – spytała Robin, nadal szybko notując.

W tle sir Kevin powiedział coś błagalnym tonem.

– Nie będę się wdawała w szczegóły przez telefon – oświadczyła z naciskiem lady Rodgers. – Musisz spytać ją samą.

Znowu dało się słyszeć szuranie i słuchawkę przejął sir Kevin. Mówił takim tonem, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Dello, wiesz, jak cię podziwiam. Żałuję, że tak się stało.

– Tak – mruknęła Robin. – No cóż, będę musiała zadzwonić do Elspeth.

– Słucham?

– Zadzwonię... do... Elspeth.

– Och – jęknął sir Kevin. – Ale wiesz, może jeszcze wszystko się wyjaśni.

Robin zastanawiała się, czy poprosić go o numer do Elspeth, ale postanowiła tego nie robić. Della z pewnością by go miała.

– Chciałabym, żebyś mi wyjaśnił, o co chodzi z Elspeth – powiedziała, trzymając długopis nad notesem.

– Wolałbym nie – wyrzęził sir Kevin. – Krzywda, jaką tego rodzaju plotki mogą wyrządzić reputacji człowieka...

W słuchawce znowu rozbrzmiał głos lady Rodgers:

– To wszystko, co mamy do powiedzenia. Ta cała sprawa jest dla Kevina bardzo trudna, niezwykle go stresuje. Przykro mi, Dello, ale nie chcemy dłużej o tym rozmawiać. Do widzenia.

Robin położyła komórkę na stoliku obok i rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Ponownie sięgnęła po telefon i przejrzała listę członków zarządu Równych Szans. Znalazła wśród nich doktor Elspeth Curtis-Lacey, lecz jej prywatny numer nie figurował na stronie internetowej fundacji, a bezowocne poszukiwania w książce telefonicznej wskazywały na to, że jest zastrzeżony.

Zadzwoniła do Strike'a. Połączenie od razu zostało przekierowane do poczty głosowej. Odczekała dwie minuty i spróbowała jeszcze raz, z takim samym skutkiem. Po trzeciej nieudanej próbie napisała do Strike'a esemesa:

> Mam coś na GW. Zadzwoń.

Wilgotny cień, który rozciągał się na tarasie, gdy tam przyszła, bardzo powoli się kurczył. Kiedy Robin powoli sączyła kawę, czekając, aż Strike oddzwoni, na jej stolik wpełzło ciepłe słońce. W końcu telefon zawibrował, sygnalizując nadejście wiadomości. Podniosła go z łomoczącym sercem, lecz okazało się, że to tylko Matthew.

Masz ochotę wybrać się dziś po pracy na drinka z Tomem i Sarah?

Robin rozważała tę propozycję z mieszaniną znużenia i strachu. Nazajutrz miał zostać rozegrany charytatywny mecz krykieta, którym tak bardzo emocjonował się Matthew. Drinki po pracy w towarzystwie Toma i Sarah bez wątpienia oznaczałyby mnóstwo żarcików na ten temat. Już sobie wyobrażała ich czworo przy barze: Sarah i jej wieczną skłonność do flirtowania z Matthew, Toma odpierającego za pomocą coraz bardziej nieporadnych i nerwowych ripost żartobliwe docinki Matthew na temat jego beznadziejnych serwów oraz siebie samą, udającą rozbawienie i zainteresowanie, co ostatnio zdarzało się jej coraz częściej, ponieważ właśnie taką cenę musiała płacić, żeby Matthew nie prawił jej potem kazań, twierdząc, że wyglądała na znudzoną albo czuła się lepsza od reszty towarzystwa, lub też (jak zarzucał jej podczas ich najgorszych kłótni) że wolałaby pójść na drinka ze Strikiem. Przynajmniej, pocieszyła się w myślach, tym razem jej mąż nie mógł pić do późna ani przesadzać z ilością alkoholu, gdyż poważnie podchodził do wszystkich imprez sportowych i z pewnością zamierzał porządnie się wyspać przed meczem. Dlatego odpisała:

OK. Gdzie?

I dalej czekała, aż oddzwoni Strike.

Czterdzieści minut później zaczęła się zastanawiać, czy Cormoran nie jest przypadkiem gdzieś, skąd nie może do niej zadzwonić, a w związku z tym nasuwało się pytanie, czy powinna sama poinformować Chiswella o tym, czego się właśnie dowiedziała. Czy Strike uznałby to za bezczelność, czy może zdenerwowałby się bardziej, gdyby nie przekazała Chiswellowi jego „karty przetargowej", gdy czas naglił tak bardzo?

Rozważała tę kwestię jeszcze przez chwilę, a następnie zadzwoniła do Izzy, patrząc na górną połowę okien biura widoczną z miejsca, w którym siedziała.

– Izzy, to ja, Venetia. Dzwonię, bo nie mogę tego powiedzieć w obecności Raphaela. Chyba mam dla twojego ojca informacje dotyczące Winna...

– Och, wspaniale! – ucieszyła się głośno Izzy. Robin usłyszała w tle Raphaela pytającego: „To Venetia? Gdzie jest?", i stukanie klawiszy komputera. – Już zaglądam do terminarza... Do jedenastej będzie w ministerstwie, ale potem przez całe popołudnie ma zebrania. Mam do niego zadzwonić? Pewnie mógłby się z tobą spotkać od razu, jeśli się pospieszysz.

Robin włożyła więc komórkę, notes i długopis z powrotem do torebki, dopiła duszkiem kawę i popędziła do Ministerstwa Kultury, Mediów i Sportu.

Gdy stanęła przed szklanymi drzwiami gabinetu Chiswella, minister chodził tam i z powrotem, rozmawiając przez telefon. Skinął, żeby weszła do środka, wskazał jej niską skórzaną kanapę niedaleko biurka i kontynuował rozmowę z kimś, kto najwyraźniej nie budził jego sympatii.

– To był prezent – mówił wyraźnie do słuchawki – od mojego najstarszego syna. Dwudziestoczterokaratowe złoto z inskrypcją *Nec Aspera Terrent.* A niech to jasna cholera! – ryknął nagle i Robin

zobaczyła, jak głowy młodych bystrych ludzi pracujących tuż obok gabinetu ministra odwracają się w jego stronę. – To po łacinie! Proszę przekazać słuchawkę komuś, kto zna angielski! Jasper Chiswell. Jestem ministrem kultury. Przecież podałem datę... Nie, nie mogę... Nie mam na to całego dnia, do cholery...

Słysząc część rozmowy, Robin domyśliła się, że Chiswell zgubił klips do banknotów, mający dla niego wartość sentymentalną, i sądził, że mógł go zostawić w hotelu, w którym spędził z Kinvarą dzień jej urodzin. Z tego, co słyszała, pracownicy hotelu nie tylko nie znaleźli klipsa, lecz także nie okazywali Chiswellowi szacunku należnego komuś, kto raczył skorzystać z ich usług.

– Żądam, żeby ktoś do mnie oddzwonił! Bezużyteczni idioci – mruknął Chiswell, odkładając słuchawkę i patrząc na Robin, jakby zapomniał, kim ona właściwie jest. Nadal ciężko oddychając, opadł na kanapę obok niej. – Mam dziesięć minut, więc lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Zdobyłam pewne informacje dotyczące pana Winna – zaczęła Robin, wyjmując notes.

Nie czekając na odpowiedź, przekazała ministrowi zwięzłe streszczenie tego, co usłyszała od sir Kevina.

– Poza tym możliwe, że pan Winn dopuścił się jeszcze innego przewinienia, tyle że dokładniejsze informacje posiada rzekomo doktor Elspeth Curtis-Lacey, a jej numer telefonu jest zastrzeżony – dodała na zakończenie niespełna półtorej minuty później. – Raczej nie powinniśmy mieć problemu ze znalezieniem sposobu, żeby się z nią skontaktować, ale pomyślałam – powiedziała z niepokojem, gdyż maleńkie oczka Chiswella zmrużyły się, jakby minister był niezadowolony – że powinnam natychmiast przekazać panu informacje, które udało mi się dotąd zdobyć.

Przez kilka sekund tylko się w nią wpatrywał, naburmuszony jak jeszcze nigdy dotąd, ale potem trzepnął dłonią w udo, dając wyraz niewątpliwemu zadowoleniu.

– No, no, no – odezwał się. – Mówił, że jest pani jego najlepszym pracownikiem. Taa. Właśnie tak powiedział.

Wyjął z kieszeni pomiętą chusteczkę i wytarł nią twarz, która podczas rozmowy z nieszczęsnym członkiem personelu hotelowego zrosiła się potem.

– No, no, no – powtórzył. – Okazuje się, że mamy dziś całkiem dobry dzień. Wszyscy po kolei zaczynają popełniać błędy... A więc Winn jest złodziejem, kłamcą i być może ma na sumieniu coś jeszcze?

– Cóż – odrzekła ostrożnie Robin. – Nie potrafi wyjaśnić, gdzie się podziało dwadzieścia pięć tysięcy funtów, i z pewnością obiecuje coś, czego nie jest w stanie...

– Doktor Elspeth Curtis-Lacey – przerwał Chiswell, podążając własnym tokiem myślenia. – To nazwisko brzmi znajomo...

– Była kiedyś radną Northumberland z ramienia Liberalnych Demokratów – podsunęła Robin, która przed chwilą przeczytała to na stronie Równych Szans.

– Przemoc wobec dzieci – przypomniał sobie nagle Chiswell. – To stąd ją znam. Taa, przemoc wobec dzieci. Była w jakiejś komisji. Ma cholernego świra na punkcie przemocy wobec dzieci, widzi ją wszędzie. Oczywiście wśród liberalnych demokratów można znaleźć pełno świrów. To ich wylęgarnia. Ta partia jest po brzegi wypchana dziwakami.

Wstał, zostawiając na czarnej skórzanej kanapie drobinki łupieżu, i ze zmarszczonymi brwiami zaczął krążyć po gabinecie.

– Cała ta afera z fundacją prędzej czy później na pewno wyjdzie na jaw – powiedział, powtarzając jak echo słowa żony sir Kevina. –

Ale, Chryste Panie, na pewno by nie chcieli, żeby to się stało akurat teraz, kiedy Della jest pochłonięta przygotowaniami do paraolimpiady. Winn wpadnie w panikę, gdy się dowie, że o tym wiem. Taa. Myślę, że zamknie mu to usta... w każdym razie na jakiś czas. Ale jeśli zabawiał się z dziećmi...

– Nie ma na to dowodów – zaznaczyła Robin.

– ...na zawsze miałbym go z głowy – dokończył Chiswell, chodząc tam i z powrotem. – No, no, no. To wyjaśnia, dlaczego Winn chciał zaprosić członków zarządu fundacji na przyjęcie paraolimpijskie w przyszły czwartek, prawda? Wyraźnie próbuje ich udobruchać, żeby nikt więcej nie uciekł z tonącego okrętu. Będzie tam książę Harry. Ci ludzie z fundacji uwielbiają rodzinę królewską. Połowa z nich zasiada w ich zarządach tylko z tego powodu.

Podrapał się po gęstej, siwej czuprynie, odsłaniając olbrzymią plamę potu pod pachą.

– Oto, co teraz zrobimy – zdecydował. – Dopiszemy tych jego członków zarządu do listy gości i zjawi się pani na tym przyjęciu. Będzie pani mogła przyprzeć do muru tę Curtis-Lacey, dowiedzieć się, co na niego ma. Dobrze? Dwunastego wieczorem?

– Tak – odparła Robin, zapisując datę w notesie. – Oczywiście.

– Tymczasem dam Winnowi znać, że wiem, że podprowadził pieniądze.

Gdy Robin była już prawie przy drzwiach, rzucił nagle:

– Przypuszczam, że nie interesuje pani posada osobistej asystentki?

– Słucham?

– Może chciałaby pani przejąć posadę Izzy? Ile pani płaci ten detektyw? Pewnie mógłbym dać tyle samo. Potrzebuję kogoś z głową na karku i odrobiną charakteru.

– Jestem... zadowolona z obecnej pracy – powiedziała Robin.

Chiswell chrząknął z niezadowoleniem.

– Hm. No cóż, może to i lepiej. Niewykluczone, że kiedy już pozbędziemy się Winna i Knighta, będę miał dla pani kolejną sprawę. Zatem do widzenia.

Odwrócił się do niej plecami, sięgając po telefon.

Robin wyszła na słońce i znowu wyjęła komórkę. Strike wciąż nie oddzwaniał, lecz Matthew przesłał jej esemesem nazwę pubu w Mayfair znajdującego się w dogodnej odległości od pracy Sarah. Mimo to Robin była teraz w stanie myśleć o zbliżającym się wieczorze z trochę większą radością niż przed spotkaniem z Chiswellem. Wracając do siedziby parlamentu, zaczęła nawet nucić piosenkę Boba Marleya.

„Mówił, że jest pani jego najlepszym pracownikiem. Taa. Właśnie tak powiedział".

26

Nie będę też tak bardzo samotny. Będziemy we dwoje.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Była czwarta nad ranem, ta beznadziejna godzina, w której rozdygotani ludzie cierpiący na bezsenność zamieszkują świat płytkich cieni, a istnienie wydaje się ulotne i dziwne. Strike, który zapadł w drzemkę, ocknął się gwałtownie na szpitalnym krześle. Przez sekundę czuł jedynie obolałe ciało i głód rozdzierający mu żołądek. Potem zobaczył swojego dziewięcioletniego siostrzeńca Jacka, który leżał obok bez ruchu, z opaską żelową na oczach, rurką wystającą z gardła i wężykami biegnącymi do szyi i nadgarstka. Woreczek z moczem wisiał z boku łóżka, a trzy różne kroplówki

przekazywały zawartość ciału, które wydawało się maleńkie i bezbronne pośród szemrzących urządzeń w cichej, ogromnej przestrzeni oddziału intensywnej opieki medycznej.

Gdzieś za zasłoną otaczającą łóżko Jacka rozległ się stłumiony odgłos miękkich butów jakiejś pielęgniarki. Nie chcieli, żeby Strike spędził noc na krześle, lecz on się uparł i celebrycki – choć niezbyt wysoki – status Cormorana w połączeniu z niepełnosprawnością zadziałały na jego korzyść. Kule stały oparte o szafkę nocną. Na oddziale było zbyt ciepło, jak we wszystkich szpitalach. Po tym, jak wybuch oderwał mu nogę, Strike spędził wiele tygodni na kolejnych żelaznych łóżkach. Zapach tej sali przeniósł go z powrotem w czas bólu i brutalnych zmian, kiedy to był zmuszony przedefiniować swoje życie w kontekście niezliczonych przeszkód, upokorzeń i niedostatku.

Zasłona zaszeleściła i do środka weszła pielęgniarka, która w fartuchu wyglądała statecznie i pragmatycznie. Widząc, że Strike nie śpi, posłała mu krótki, profesjonalny uśmiech, po czym zdjęła kartę zawieszoną na łóżku Jacka i przystąpiła do zapisywania odczytów z ekranów monitorujących jego ciśnienie tętnicze i poziom tlenu we krwi. Gdy skończyła, spytała szeptem:

– Napiłby się pan herbaty?

– Co z nim? – Strike nie zadał sobie trudu, by stłumić błagalną nutę w głosie. – Jak wygląda sytuacja?

– Jego stan jest stabilny. Nie ma powodu do obaw. Na tym etapie właśnie tego należy się spodziewać. Herbaty?

– Z wielką chęcią. Bardzo dziękuję.

Gdy zasłona zasunęła się za pielęgniarką, uświadomił sobie, że ma pełny pęcherz. Pożałował, że nie poprosił jej o podanie kul. Podźwignął się, przytrzymując się podłokietnika, by nie stracić równowagi, zbliżył się do ściany, skacząc na jednej nodze, i chwycił

kule, po czym pokołysał się w stronę jasno oświetlonego prostokąta na drugim końcu pogrążonego w mroku oddziału.

Skorzystał z pisuaru pod niebieską lampą mającą utrudniać narkomanom znajdowanie żył i ruszył w kierunku poczekalni niedaleko oddziału, gdzie poprzedniego dnia późnym popołudniem siedział, czekając, aż wywiozą siostrzeńca z sali operacyjnej. Dotrzymywał mu towarzystwa ojciec jednego ze szkolnych przyjaciół Jacka, u którego chłopiec spędziłby noc, gdyby nie pękł mu wyrostek robaczkowy. Zdeterminowany mężczyzna postanowił nie opuszczać Strike'a, dopóki nie „zobaczą, jak mały wychodzi na prostą", i gdy Jacka operowano, cały czas mówił nerwowym tonem, rzucając frazesy w rodzaju: „W tym wieku migiem wraca się do zdrowia", „To twardy mały skurczybyk", „Na szczęście mieszkamy tylko pięć minut od szkoły", oraz bez końca powtarzając, że „Greg i Lucy na pewno odchodzą od zmysłów". Strike prawie go nie słuchał – w milczeniu przygotowywał się na najgorsze i co pół godziny pisał do Lucy esemesy z najnowszymi wieściami.

> Jeszcze operują.
>
> Na razie nic nie wiadomo.

W końcu przyszedł chirurg i powiedział, że Jack, który po przywiezieniu do szpitala był reanimowany, przeżył operację, że miał „paskudną sepsę" i że wkrótce przewiozą go na oddział intensywnej opieki medycznej.

– Przyprowadzę jego kolegów – podekscytował się kumpel Lucy i Grega. – Rozweselą go... Przyniosą karty z pokemonami...

– Na razie jest na to jeszcze za wcześnie – stwierdził kategorycznie chirurg. – Przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny będzie pod działaniem silnych środków uspokajających, podłączony do respiratora. Jest pan kimś z rodziny?

– Nie, to ja – wychrypiał Strike. Gdy wreszcie się odezwał, miał sucho w ustach. – Jestem jego wujkiem. Jego rodzice pojechali do Rzymu uczcić rocznicę ślubu. Właśnie próbują zdobyć miejsca na lot powrotny.

– Aha, rozumiem. Niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane, ale operacja się udała. Oczyściliśmy brzuch i podłączyliśmy sączek. Niedługo zwiozą go na dół.

– Mówiłem ci – powiedział przyjaciel Lucy i Grega, uśmiechając się do Strike'a ze łzami w oczach. – Mówiłem, że w tym wieku migiem wraca się do zdrowia!

– Taa – mruknął Strike. – Lepiej dam znać Lucy.

Pech jednak chciał, że na lotnisku ogarnięci paniką rodzice Jacka odkryli, że gdzieś między pokojem hotelowym a kontrolą dokumentów Lucy zgubiła paszport. Pogrążeni w bezowocnej rozpaczy, zawrócili, próbując wyjaśniać swój problem każdemu po kolei, od pracowników hotelu przez policjantów po przedstawicieli brytyjskiej ambasady, i w rezultacie uciekł im ostatni samolot tego dnia.

O wpół do piątej rano w poczekalni na szczęście było pusto. Strike włączył komórkę, którą przez cały czas spędzony na oddziale miał wyłączoną, i zobaczył kilkanaście nieodebranych połączeń od Robin oraz jedno od Lorelei. Ignorując je, napisał esemesa do Lucy, która, jak doskonale wiedział, spędzała bezsenną noc w hotelu w Rzymie, dokąd tuż po północy jakiś taksówkarz przywiózł jej zgubiony paszport. Lucy błagała Strike'a, żeby przesłał jej fotografię Jacka po operacji. Strike udawał, że zdjęcie nie chce się załadować. Wolał, żeby po tak napiętym dniu Lucy nie oglądała swojego syna podłączonego do respiratora, z oczami zasłoniętymi żelową opaską, tonącego w workowatej szpitalnej koszuli.

Sytuacja wygląda dobrze – napisał. – Dalej podają mu środki uspokajające, ale pielęgniarka jest pewna, że mały dojdzie do siebie.

Wcisnął Wyślij i czekał. Tak jak się spodziewał, odpisała w ciągu dwóch minut.

Na pewno jesteś wykończony. Dali ci tam jakieś łóżko?

Nie, siedzę obok Jacka – odpowiedział. – Zostanę tu do waszego powrotu. Spróbuj trochę pospać i nie martw się. x

Wyłączył komórkę, podźwignął się z powrotem do pozycji stojącej, chwycił kule i wrócił na oddział.

Herbata już na niego czekała, równie słaba i z podobną ilością mleka jak herbata zaparzana przez Denise, lecz po dodaniu do niej dwóch saszetek cukru wypił ją dwoma łykami, wodząc wzrokiem od Jacka do urządzeń, które utrzymywały pacjenta przy życiu i monitorowały jego stan. Nigdy dotąd nie przyglądał się chłopcu tak dokładnie. W zasadzie to w ogóle miał z nim niewiele wspólnego, mimo że Jack za pośrednictwem swojej mamy wciąż obdarowywał go rysunkami.

– Uważa cię za bohatera – powtarzała Lucy. – Chce zostać żołnierzem.

Strike unikał jednak spotkań rodzinnych, trochę dlatego że nie przepadał za Gregiem, ojcem Jacka, a trochę dlatego że przymilne próby Lucy nakłonienia brata do bardziej konwencjonalnego stylu życia niezmiennie go wykańczały, nawet jeśli w pobliżu nie było jej synów (najstarszy nadzwyczajnie wdał się w ojca). Strike nie chciał mieć dzieci i choć był gotów przyznać, że niektóre dają się lubić – w zasadzie mógł powiedzieć, że w następstwie opowieści Lucy o Jacku i jego marzeniu o służbie w żandarmerii wojskowej poczuł do siostrzeńca pewną powściągliwą sympatię – niewzruszenie odrzucał zaproszenia na przyjęcia urodzinowe i bożonarodzeniowe

spotkania rodzinne, podczas których mogłaby się między nimi zrodzić bliższa więź.

Teraz jednak, gdy poranek wpełzał przez cienką zasłonę odgradzającą łóżko Jacka od reszty oddziału, Strike po raz pierwszy ujrzał podobieństwo chłopca do jego babci Ledy, matki Cormorana i Lucy. Jack miał takie same bardzo ciemne włosy, bladą skórę i delikatne usta. W zasadzie byłaby z niego piękna dziewczynka, lecz syn Ledy wiedział, jak okres dojrzewania wpłynie wkrótce na kształt żuchwy i karku chłopca... O ile Jack przeżyje.

„Jasne, że przeżyje, do cholery. Pielęgniarka powiedziała..."

„Jest na pierdolonym oddziale intensywnej opieki medycznej. Nie przyjmują tu z powodu czkawki".

„To twardziel. Chce służyć w wojsku. Nic mu nie będzie".

„Lepiej, kurwa, żeby nie było. Nigdy nawet nie wysłałem mu esemesa z podziękowaniem za rysunki".

Minął jakiś czas, zanim Strike ponownie zapadł w niespokojny sen.

Obudziło go poranne słońce, które przedzierało się przez jego powieki. Mrużąc oczy, usłyszał skrzypienie butów na podłodze. Następnie rozległo się głośne szurnięcie, gdy odsunięto zasłonę, ukazując inne nieruchome postacie leżące na łóżkach wokół Jacka. Do Strike'a uśmiechnęła się nowa, młodsza pielęgniarka z długimi ciemnymi włosami spiętymi w kucyk.

– Dzień dobry! – przywitała się wesoło, sięgając po kartę Jacka. – Nieczęsto miewamy tu sławnych ludzi! Wiem o panu wszystko, czytałam o tym, jak złapał pan tego seryjnego...

– To mój siostrzeniec Jack – odrzekł chłodno Strike. Rozmawianie w tej chwili o Rozpruwaczu z Shacklewell wydało mu się czymś odrażającym. Uśmiech pielęgniarki lekko zbladł.

– Mógłby pan zaczekać za zasłoną? Musimy pobrać próbki krwi, zmienić kroplówki i cewnik.

Strike znowu podparł się kulami i z wysiłkiem wyszedł z oddziału, starając się nie skupiać uwagi na żadnej z pozostałych bezwładnych postaci, podłączonych do szemrzących urządzeń.

Gdy dotarł do stołówki, była już w połowie pełna. Nieogolony i zaspany, przesuwał tacę aż do kasy i dopiero gdy zapłacił, nagle uświadomił sobie, że nie da rady jej nieść, podpierając się jednocześnie kulami. Jakaś młoda dziewczyna sprzątająca ze stolików zauważyła jego kłopotliwą sytuację i podeszła, żeby pomóc.

– Dzięki – burknął, gdy postawiła tacę na stoliku obok okna.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała. – Niech ją pan tu później zostawi. Odniosę.

Ta drobna uprzejmość wywołała u Strike'a nieproporcjonalnie silne emocje. Ignorując smażone jedzenie, które przed chwilą kupił, wyjął telefon i znowu napisał do Lucy.

Wszystko w porządku, zmieniają mu kroplówki, zaraz do niego wrócę. X

Tak jak się spodziewał, jego komórka zadzwoniła, gdy tylko zabrał się do jajka sadzonego.

– Mamy bilety na samolot – oświadczyła bez wstępów Lucy – ale dopiero na jedenastą.

– Nie ma sprawy – odrzekł Strike. – Nigdzie się nie wybieram.

– Obudził się?

– Nie, nadal śpi.

– Ale się ucieszy, jak cię zobaczy, jeśli się obudzi, zanim... zanim...

Rozpłakała się. Cormoran słuchał, jak jego siostra próbuje mówić przez łzy.

– ...chcę po prostu wrócić do domu... chcę go zobaczyć...

Strike po raz pierwszy w życiu ucieszył się, słysząc Grega, który wziął od żony telefon.

– Corm, jesteśmy ci cholernie wdzięczni. To nasz pierwszy wspólny weekend od pięciu lat, dasz wiarę?

– Jak pech, to pech.

– No. Narzekał, że boli go brzuch, ale byłem pewien, że znowu coś wymyśla. Że nie chce, żebyśmy wyjeżdżali. Mówię ci, czuję się teraz jak ostatni drań.

– Nie przejmuj się – powiedział Strike, a po chwili powtórzył: – Nigdzie się nie wybieram.

Zamienili jeszcze kilka słów i po łzawym pożegnaniu Lucy Strike został sam na sam ze swoim angielskim śniadaniem. Jadł machinalnie i bez przyjemności, otoczony postukiwaniem i brzęczeniem, siedząc w stołówce wśród innych przygnębionych i zaniepokojonych ludzi, wsuwających pełne tłuszczu i cukru posiłki.

Gdy skończył jeść bekon, przyszedł esemes od Robin.

> Próbowałam się dodzwonić i przekazać najnowsze wieści o Winnie. Daj znać, kiedy będziesz mógł rozmawiać.

Sprawa Chiswella wydawała się teraz Strike'owi czymś odległym, lecz po przeczytaniu esemesa nagle zatęsknił za nikotyną i za głosem Robin. Zostawił tacę i dziękując miłej dziewczynie, która pomogła mu dotrzeć do stolika, wziął kule i wyszedł.

Na świeżym porannym powietrzu obok wejścia do szpitala stała grupka palaczy, przygarbionych jak hieny. Strike zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i oddzwonił do Robin.

– Cześć – rzucił, kiedy odebrała. – Przepraszam, że się nie kontaktowałem, jestem w szpitalu...

– Co się stało? Nic ci nie jest?

– Nie, ze mną wszystko w porządku. Chodzi o Jacka, mojego siostrzeńca. Wczoraj pękł mu wyrostek robaczkowy i... i...

Ku swojemu zażenowaniu Strike poczuł, że łamie mu się głos. Gdy usiłował nad sobą zapanować, zastanawiał się, ile upłynęło czasu, odkąd płakał po raz ostatni. Być może nie robił tego, odkąd uronił łzy bólu i wściekłości w szpitalu w Niemczech, do którego przewieziono go śmigłowcem z zakrwawionej ziemi, po tym jak bomba domowej roboty oderwała mu nogę.

– Kurwa – mruknął w końcu, gdyż były to jedyne dwie sylaby, jakie zdołał z siebie wydobyć.

– Cormoran, co się stało?

– Jack jest... Leży na oddziale intensywnej opieki medycznej – powiedział Strike, wykrzywiając twarz z wysiłku, żeby wziąć się w garść i mówić normalnie. – Jego mama... Lucy i Greg utknęli w Rzymie, więc poprosili mnie...

– Kto tam z tobą jest? Lorelei?

– Boże, nie.

Wydawało mu się, że odkąd Lorelei wyznała mu miłość, minęły całe tygodnie, mimo że tak naprawdę były to dopiero dwie noce.

– Co mówią lekarze?

– Ich zdaniem wyjdzie z tego, ale... no wiesz, przecież... przecież to oddział intensywnej opieki medycznej. Cholera – wychrypiał Strike, ocierając oczy. – Wybacz. Mam za sobą ciężką noc.

– Który to szpital?

Powiedział jej. Dość szybko się pożegnała i rozłączyła. Strike'owi pozostało dopalić papierosa, raz po raz wycierając twarz i nos rękawem koszuli.

Gdy wrócił na pogrążony w ciszy oddział, przez okna wpadało jasne światło. Oparł kule o ścianę, ponownie usiadł obok łóżka Jacka, trzymając wczorajszą gazetę, którą właśnie podkradł

w poczekalni, i przeczytał artykuł o tym, że Arsenal może wkrótce stracić Robina van Persiego na rzecz Manchesteru United.

Godzinę później przy łóżku Jacka zjawili się chirurg i anestezjolog kierujący oddziałem. Badali chłopca, a Strike z niepokojem przysłuchiwał się ich szeptanej rozmowie.

– ...nie udało się zmniejszyć poziomu tlenu bardziej niż do pięćdziesięciu procent... utrzymująca się gorączka... ilość wydalanego moczu zmalała w ciągu ostatnich czterech godzin...

– ...prześwietlenie klatki piersiowej, sprawdźmy, czy w płucach nie dzieje się nic złego...

Strike, sfrustrowany, czekał, aż ktoś rzuci mu jakieś strawne informacje. Wreszcie chirurg odwrócił się do niego.

– Na razie nie będziemy go jeszcze wybudzali. Nie jest gotowy na odłączenie tlenu i musimy przywrócić równowagę płynów.

– Co to znaczy? Pogorszyło mu się?

– Nie, często tak się dzieje. Miał paskudną infekcję. Musieliśmy dość dokładnie przemyć otrzewną. Chciałbym na wszelki wypadek zrobić prześwietlenie klatki piersiowej, żeby się upewnić, czy podczas reanimacji niczego nie uszkodziliśmy. Zajrzę do niego później.

Zostawiając zaniepokojonego i rozstrojonego Cormorana, ruszyli w stronę szczelnie zabandażowanego nastolatka, podłączonego do jeszcze większej liczby wężyków niż Jack. W nocy Strike zaczął traktować urządzenia jako sprzymierzeńców pomagających jego siostrzeńcowi wrócić do zdrowia. Teraz wydawały się nieprzejednanymi jurorami unoszącymi tabliczki z cyframi, które wskazywały, że Jack nie daje rady.

– Kurwa – mruknął znowu Strike, przysuwając krzesło do łóżka. – Jack... twoi rodzice... – Poczuł pod powiekami zdradzieckie szczypanie. Obok przechodziły dwie pielęgniarki. – ...cholera...

Nadludzkim wysiłkiem zdołał nad sobą zapanować i odchrząknął.

– Wybacz, Jack, twoja mama nie chciałaby, żebym przeklinał w twojej obecności... Nawiasem mówiąc, to ja, wujek Cormoran, w razie gdybyś nie... W każdym razie rodzice już jadą, okej? Będę przy tobie, dopóki nie...

Urwał w pół zdania. Na drugim końcu oddziału ujrzał na tle drzwi sylwetkę swojej wspólniczki. Patrzył, jak Robin pyta pielęgniarkę o drogę i rusza w jego kierunku. Była ubrana w dżinsy i koszulkę, jej oczy odzyskały naturalny szaroniebieski kolor, miała rozpuszczone włosy i niosła dwa styropianowe kubki.

Na widok niepowstrzymanej w porę miny Strike'a, która wyrażała radość i wdzięczność, Robin poczuła się sowicie wynagrodzona za przykrą kłótnię z Matthew oraz długą podróż autobusem z dwiema przesiadkami i taksówką, żeby dostać się do szpitala. Po chwili jej oczom ukazała się drobna, wyprostowana postać leżąca obok Strike'a.

– O nie – powiedziała cicho, stając w nogach łóżka.

– Robin, nie musiałaś...

– Wiem, że nie musiałam – ucięła. Przysunęła krzesło do krzesła Strike'a. – Ale nie chciałam, żebyś został z tym sam. Uważaj, jest gorąca – dorzuciła, podając mu herbatę.

Wziął od niej kubek, postawił go na szafce nocnej, po czym wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń tak mocno, że aż zabolało. Wypuścił ją, zanim zdążyła odwzajemnić ten gest. Potem obydwoje siedzieli i przez chwilę wpatrywali się w Jacka, aż wreszcie Robin, wciąż czując w palcach pulsujący ból, spytała:

– Co z nim?

– Nadal potrzebuje tlenu i za mało sika – poinformował Strike. – Nie wiem, co to znaczy. Wolałbym usłyszeć ocenę w skali

od jednego do dziesięciu albo... kurwa, sam już nie wiem. Aha, i chcą mu zrobić prześwietlenie klatki piersiowej, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie przebili mu czegoś, wkładając w niego tę rurkę.

– Kiedy operowali?

– Wczoraj po południu. Upadł w czasie szkolnych biegów przełajowych. Jakiś przyjaciel Grega i Lucy, który mieszka obok szkoły, przyjechał z nim karetką i potem go tutaj spotkałem.

Przez chwilę obydwoje milczeli, nie odrywając oczu od Jacka.

– Jestem beznadziejnym wujkiem – odezwał się w końcu Strike. – Nie wiem, kiedy moi siostrzeńcy mają urodziny. Nie potrafiłbym ci powiedzieć, ile on ma lat. Ojciec jego kolegi, ten, który go tu przywiózł, wiedział o nim więcej niż ja. Jack chce zostać żołnierzem, Lucy twierdzi, że ciągle o mnie mówi i rysuje dla mnie obrazki, a ja, do diabła, nigdy mu nawet nie podziękowałem.

– No wiesz – odrzekła Robin, udając, że nie widzi, jak Strike niedbale wyciera oczy rękawem. – Jesteś przy nim, kiedy cię potrzebuje, a poza tym masz mnóstwo czasu, żeby nadrobić zaległości.

– Taa. – Strike gwałtownie zamrugał. – Wiesz, co zrobię, jeśli Jack da radę i...? Zabiorę go do Imperialnego Muzeum Wojny. Na cały dzień.

– Dobry pomysł – zgodziła się uprzejmie.

– Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– Fajne muzeum.

Zjawił się pielęgniarz w towarzystwie pielęgniarki, dla której Strike był wcześniej niemiły.

– Musimy go zabrać na prześwietlenie – oznajmiła dziewczyna, zwracając się do Robin, a nie do detektywa. – Mogliby państwo

zaczekać na zewnątrz?

– Ile to potrwa? – spytał Strike.

– Pół godziny. Góra czterdzieści minut.

Robin podała Strike'owi kule i poszli do stołówki.

– Robin, to naprawdę miło z twojej strony – powiedział Strike przy dwóch kolejnych słabych herbatach i kilku ciastkach imbirowych – ale jeśli masz coś do zrobienia...

– Zostanę tu, póki nie przyjadą Greg i Lucy – odparła Robin. – Na pewno czują się teraz okropnie, nie mogąc tu być. Matt ma dwadzieścia siedem lat, a kiedy rozchorował się na Malediwach, jego ojciec odchodził od zmysłów.

– Rozchorował się?

– No tak, wiesz, wtedy gdy... A, jasne. Przecież ci o tym nie wspominałam.

– O czym?

– W czasie naszej podróży poślubnej Matthew złapał paskudną infekcję. Zadrapał się o jakiś koralowiec. W pewnej chwili zastanawiali się nawet, czy nie przewieźć go śmigłowcem do szpitala, ale potem doszedł do siebie. Nie było tak źle, jak początkowo myśleli.

Mówiąc to, przypomniała sobie, jak wciąż rozgrzana po całym dniu na słońcu, otworzyła drewniane drzwi i ze ściśniętym ze strachu gardłem szykowała się, by powiedzieć Matthew, że chce unieważnienia małżeństwa. Nie przypuszczała, co za chwilę zobaczy.

– Jakiś czas przedtem zmarła mama Matta, więc Geoffrey naprawdę się o niego bał... ale wszystko skończyło się dobrze. – Robin upiła łyk letniej herbaty, skupiając wzrok na kobiecie za ladą, nakładającej pieczoną fasolę na talerz chudego nastolatka.

Strike przyglądał się Robin. Wyczuł w tej historii przemilczane elementy. „Wszystko przez te morskie bakterie".

– To musiało być straszne – przyznał.

– No wiesz, zabawne nie było – odrzekła, przyglądając się swoim krótkim, czystym paznokciom, a potem spojrzała na zegarek. – Jeśli chcesz zapalić, powinniśmy już iść, niedługo przywiozą go z powrotem.

Jeden z palaczy, do których dołączyli na zewnątrz, miał na sobie piżamę. Przyciągnął stojak z kroplówką i trzymał się go mocno niczym pasterz kija, żeby nie stracić równowagi. Strike przypalił papierosa i wypuścił dym w stronę bezchmurnego błękitnego nieba.

– Nie pytałem, jak ci się udał rocznicowy weekend.

– Wybacz, że nie mogłam pracować – powiedziała pospiesznie. – Zarezerwowaliśmy już hotel i...

– Nie o to mi chodziło.

Zawahała się.

– Szczerze mówiąc, było niezbyt fajnie.

– No tak. Czasami kiedy człowiek czuje presję, żeby się dobrze bawić...

– Właśnie.

Po kolejnej krótkiej chwili milczenia spytała:

– Domyślam się, że Lorelei jest w pracy?

– Chyba tak – odrzekł. – Co dzisiaj mamy, sobotę? No to pewnie tak.

Stali w milczeniu, papieros Strike'a kurczył się milimetr po milimetrze, a oni obserwowali nadjeżdżające karetki i ludzi, którzy przychodzili odwiedzić chorych. Nie czuli się skrępowani w swoim towarzystwie, lecz w powietrzu wyczuwało się dziwne napięcie, jakby wcześniejsza rozmowa zostawiła po sobie pewne domysły i niewypowiedziane słowa. W końcu Strike zgasił

niedopałek w dużej otwartej popielniczce, na którą większość palaczy nie zwracała uwagi, i spojrzał na telefon.

– Dwadzieścia minut temu weszli do samolotu – powiedział, czytając ostatniego esemesa od Lucy. – Powinni tu być o trzeciej.

– Co się stało z twoją komórką? – spytała Robin, patrząc na ekran sklejony taśmą.

– Upadłem na nią – odparł. – Kiedy Chiswell nam zapłaci, kupię sobie nową.

Wchodząc na oddział, minęli radiologa, który właśnie wytaczał stamtąd aparat rentgenowski.

– Klatka piersiowa wygląda dobrze! – oznajmił mężczyzna.

Siedzieli obok Jacka przez kolejną godzinę i cicho rozmawiali, a potem Robin poszła kupić w pobliskim automacie herbatę i batony, którymi posilili się w poczekalni, gdzie przekazała Strike'owi wszystko, czego dowiedziała się o fundacji Winnów.

– Przeszłaś samą siebie – stwierdził Cormoran, będąc w połowie drugiego marsa. – Świetna robota, Robin.

– Nie masz mi za złe, że sama poinformowałam Chiswella?

– Nie, dobrze zrobiłaś. Odkąd Mitch Patterson zaczął węszyć przy tej sprawie, nie mamy czasu do stracenia. Czy ta cała Curtis-Lacey przyjęła zaproszenie na przyjęcie?

– Dowiem się w poniedziałek. A Barclay? Jak sobie radzi z Jimmym Knightem?

– Nadal nie odkrył niczego, co mogłoby się przydać – westchnął Strike, przesuwając dłonią po szczeciniastym zaroście, który gwałtownie zmieniał się w brodę – ale nie tracę nadziei. Barclay jest niezły. Tak jak ty. Ma dryg do tej roboty.

Do poczekalni weszła jakaś rodzina. Ojciec pociągał nosem, matka płakała. Syn, z wyglądu najwyżej sześcioletni, gapił się na krótszą nogę Strike'a, jakby była jedynie kolejnym okropnym szczegółem

w koszmarnym świecie, w którym nagle się znalazł. Strike i Robin spojrzeli na siebie i wyszli. Robin niosła jego herbatę, a on kołysał się na kulach.

– Jak zareagował Chiswell, kiedy mu powiedziałaś, co wiesz o Winnie? – spytał Strike, gdy już siedzieli z powrotem obok Jacka.

– Był zachwycony. W zasadzie to zaproponował mi pracę.

– Zawsze się dziwię, że nie zdarza się to częściej – mruknął nieporuszony Strike.

Po chwili obok łóżka znowu pojawili się anestezjolog i chirurg.

– Wygląda na to, że jest lepiej – powiedział anestezjolog. – Na prześwietleniu nic nie ma, a temperatura spada. Tak to już bywa z dziećmi – dodał, uśmiechając się do Robin. – Podróżują szybko w obu kierunkach. Zobaczymy, jak będzie sobie radził z trochę mniejszą ilością tlenu, ale myślę, że wszystko jest na dobrej drodze.

– Och, dzięki Bogu – odparła Robin.

– Będzie żył? – spytał Strike.

– Oczywiście, tak sądzimy – odrzekł chirurg z lekko protekcjonalną nutą w głosie. – Wie pan, znamy się na tej robocie.

– Muszę napisać do Lucy – wymamrotał Strike, bezskutecznie próbując wstać, gdyż dobre wieści osłabiły go jeszcze bardziej niż złe. Robin podała mu kule i pomogła się podnieść. Gdy patrzyła, jak Cormoran kuśtyka w stronę poczekalni, usiadła z powrotem, głośno wypuściła powietrze i na chwilę schowała twarz w dłoniach.

– Matki zawsze przeżywają to najbardziej – powiedział uprzejmie anestezjolog.

Nie zadała sobie trudu, żeby wyprowadzić go z błędu.

Strike zniknął na dwadzieścia minut.

– Właśnie wylądowali – oznajmił po powrocie. – Uprzedziłem ją, jak wygląda Jack, więc są przygotowani. Powinni dotrzeć mniej

więcej za godzinę.

– Wspaniale – powiedziała Robin.

– Robin, możesz już iść, nie chcę ci marnować soboty.

– Aha – odrzekła dziwnie przygnębiona. – Okej.

Wstała, zdjęła żakiet z oparcia krzesła i sięgnęła po torebkę.

– Jesteś pewny?

– Tak, tak, skoro już wiadomo, że będzie dobrze, pewnie i tak utnę sobie drzemkę. Odprowadzę cię.

– Nie musisz...

– Ale chcę. Przy okazji będę mógł jeszcze zapalić.

Gdy jednak dotarli do wyjścia, Strike poszedł z nią dalej, mijając grupkę palaczy, karetki pogotowia i parking, który zdawał się ciągnąć kilometrami, a dachy samochodów połyskiwały niczym grzbiety morskich stworzeń wynurzające się z szarej mgiełki.

– Jak się tu dostałaś? – spytał, gdy już zostawili za sobą tłumy i znaleźli się obok trawnika otoczonego lewkoniami, których zapach mieszał się z wonią rozgrzanego asfaltu.

– Autobusem, potem taksówką.

– Oddam ci za taryfę...

– Nie bądź śmieszny. Mówię poważnie, nie.

– W takim razie... dzięki, Robin. To wiele dla mnie znaczy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Od czego są przyjaciele.

Niezdarnie oparł się na kulach i pochylił w jej stronę. Uścisk był krótki i Robin odsunęła się pierwsza, bojąc się, że Strike straci równowagę. Cormoran zamierzał cmoknąć ją w policzek, lecz gdy zwróciła ku niemu twarz, jego usta wylądowały na jej wargach.

– Przepraszam – mruknął.

– Nie bądź niemądry – odrzekła, rumieniąc się.

– Lepiej już pójdę z powrotem.

– Tak, jasne.

Odwrócił się.

– Daj znać, co z Jackiem – zawołała za nim, a on uniósł rękę, żeby pokazać, że usłyszał.

Robin, nie oglądając się, ruszyła przed siebie. Wciąż czuła na ustach kształt jego warg, skóra mrowiła ją w miejscu, gdzie musnął ją zarostem, lecz nie było to nieprzyjemne.

Strike zapomniał, że chciał zapalić jeszcze jednego papierosa. Może dlatego, że właśnie zyskał pewność, iż będzie mógł zabrać siostrzeńca do Imperialnego Muzeum Wojny, a może z jakiegoś innego powodu jego wyczerpanie było teraz zaprawione szaloną beztroską, jakby przed chwilą golnął coś mocniejszego. Brud i skwar londyńskiego popołudnia razem z zapachem lewkonii w powietrzu nagle wydały mu się przesycone pięknem.

Cudownie było zyskać nadzieję, gdy wszystko wydawało się już stracone.

27

Wy tutaj w Rosmersholmie długo pamiętacie swych zmarłych.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Zanim Robin przebiła się z powrotem przez Londyn i dotarła do nieznanego sobie wcześniej boiska do krykieta, minęła piąta i mecz charytatywny z udziałem Matthew dobiegł końca. Zastała męża w barze. Zdążył już się przebrać, był obrażony i prawie się do niej nie odzywał. Jego drużyna przegrała. Rywale triumfowali.

Mając w perspektywie wieczór z ignorującym ją mężem i jego kolegami z pracy, spośród których nikt się z nią nie przyjaźnił,

postanowiła nie iść do restauracji z zawodnikami obu drużyn oraz ich partnerami i wróciła samotnie do domu.

Nazajutrz rano zastała Matthew śpiącego w ubraniu na kanapie. Był pijany i chrapał. Gdy się obudził, zaczęli się kłócić. Trwało to godzinami i nie rozwiązało żadnego problemu. Matthew chciał wiedzieć, dlaczego to ona musiała pobiec i trzymać Strike'a za rękę, skoro Cormoran ma dziewczynę. Robin uparcie twierdziła, że tylko beznadziejny człowiek zostawiłby przyjaciela samego przy dziecku mogącym umrzeć.

Kłótnia eskalowała, sięgając wyżyn złośliwości, na które nigdy dotąd się nie wznieśli, mimo że mieli za sobą rok wypełniony sprzeczkami małżeńskimi. Robin puściły nerwy i spytała, czy nie zasłużyła na skrócenie wyroku w nagrodę za dobre sprawowanie po dziesięciu latach patrzenia, jak Matthew dumnie paraduje po różnych boiskach. Poczuł się naprawdę urażony.

– Jeśli nie lubisz patrzeć, jak gram, powinnaś była powiedzieć!

– Nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogłabym tego nie lubić, prawda? Bo wszystkie twoje zwycięstwa powinnam traktować jak własne, co, Matt? Podczas gdy m o j e osiągnięcia...

– Osiągnięcia? Jakie osiągnięcia? – odparował Matthew, zadając jej cios poniżej pasa. – Chyba że masz na myśli j e g o osiągnięcia!

Minęły trzy dni, a oni wciąż sobie nie wybaczyli. Od tamtej kłótni Robin spała w pokoju gościnnym i codziennie wstawała wcześnie rano, żeby wyjść z domu, zanim Matthew skończy brać prysznic. Czuła za oczami ciągły ból, przygnębienie, które łatwiej było ignorować w pracy, lecz wracało jak niż atmosferyczny, gdy tylko wieczorem kierowała kroki do domu. Milcząca złość Matthew napierała na ściany ich lokum, które, choć dwa razy większe od mieszkań, jakie dotychczas razem zajmowali, wydawało się mroczniejsze i ciasne.

Matthew był jej mężem. Obiecała, że spróbuje. Zmęczona, zła, nękana poczuciem winy i przygnębiona, Robin miała wrażenie, że czeka, aż wydarzy się coś definitywnego, coś, co pozwoli im obojgu rozstać się z honorem, bez kolejnych paskudnych kłótni, z zachowaniem rozsądku. Wielokrotnie wracała myślami do dnia ich ślubu, kiedy odkryła, że Matthew skasował wiadomości od Strike'a. Całym sercem żałowała, że nie odeszła od męża, zanim zdążył zadrapać się koralowcem, zanim wpadła w pułapkę – bo tak to teraz widziała – tchórzostwa ukrytego pod płaszczykiem współczucia.

Gdy w środę rano Robin zbliżała się do Izby Gmin, nie skupiając jeszcze myśli na czekającym ją dniu, lecz roztrząsając swoje problemy małżeńskie, jakiś rosły mężczyzna w płaszczu odsunął się od barierki, przy której stał w grupce pierwszych turystów tego dnia, i ruszył w jej stronę. Był wysoki i barczysty, miał gęste siwe włosy oraz płaską, dziobatą twarz poznaczoną głębokimi zmarszczkami. Robin nie zdawała sobie sprawy, że się do niej zbliża, dopóki nie zatrzymał się naprzeciw niej, ustawiając pewnie stopy pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i zagradzając jej drogę.

– Venetia? Możemy zamienić słówko, złotko?

Poczuła paniczny strach. Zrobiła mały krok do tyłu, wpatrując się w zaciętą, spłaszczoną twarz, usianą rozszerzonymi porami. To na pewno dziennikarz. Rozpoznał ją? Z bliska orzechowe soczewki kontaktowe dało się trochę lepiej zauważyć, nawet przez szkła okularów.

– Właśnie zaczęłaś pracować u Jaspera Chiswella, prawda? Zastanawiałem się, jak do tego doszło. Ile ci płaci? Znasz go od dawna?

– Bez komentarza – odparła Robin, próbując go okrążyć. Przesunął się razem z nią. Walcząc z narastającym uczuciem paniki, dodała

zdecydowanym tonem: – Proszę zejść mi z drogi. Muszę iść do pracy.

Dwaj młodzi wysocy Skandynawowie obserwowali tę scenę z wyraźnym zaniepokojeniem.

– Kochanie, po prostu daję ci szansę opowiedzenia tej historii z twojej perspektywy – powiedział natręt ściszonym głosem. – Zastanów się. Taka okazja może się nie powtórzyć.

Odsunął się. Odchodząc w pośpiechu, Robin wpadła na swoich niedoszłych wybawicieli. „Cholera, cholera, cholera…" Kto to był?

Gdy już przeszła przez skaner bezpieczeństwa, zatrzymała się na uboczu w wypełnionym echem kamiennym holu, którym przechodzili inni pracownicy, i zadzwoniła do Strike'a. Nie odebrał.

– Oddzwoń, proszę, to pilne – mruknęła, zostawiając wiadomość na jego poczcie głosowej.

Zamiast pójść do biura Izzy albo do przestronnej kawiarni w Portcullis House, Robin schroniła się w jednej z mniejszych herbaciarni, która – gdyby nie lada i kasa – przypominałaby uczelniany klub wykładowców: była obita ciemną boazerią i wyłożona wykładziną we wszechobecnym zielonym kolorze. Salę przedzielał ciężki dębowy parawan, za którym siedzieli posłowie, oddaleni od szeregowych pracowników. Robin kupiła filiżankę kawy, usiadła przy stoliku obok okna, powiesiła płaszcz na oparciu krzesła i czekała, aż Strike oddzwoni. Cisza i spokój wokoło bynajmniej nie koiły jej nerwów.

Zanim Cormoran się odezwał, minęło prawie czterdzieści pięć minut.

– Przepraszam, nie słyszałem, jak dzwoniłaś, jechałem metrem – powiedział zdyszany. – Potem zadzwonił Chiswell. Dopiero przed chwilą skończyłem z nim rozmawiać. Mamy kłopoty.

– Boże, co znowu? – Robin odstawiła filiżankę. Pod wpływem panicznego strachu ścisnęło ją w żołądku.

– „Sun" przypuszcza, że to ty jesteś bohaterką skandalu.

Robin natychmiast się domyśliła, kim był człowiek, którego spotkała przed parlamentem: to Mitch Patterson, detektyw zatrudniony przez gazetę.

– Węszyli w poszukiwaniu jakichś nowości w życiu Chiswella – ciągnął Strike – i znaleźli ciebie: nową, ładną pracownicę jego biura. Oczywiście będą chcieli cię sprawdzić. Pierwsze małżeństwo Chiswella rozpadło się z powodu jego romansu w pracy. Problem w tym, że szybko odkryją, że w rzeczywistości nie jesteś jego chrześnicą. A u a... kurwa mać...

– Co się stało?

– To mój pierwszy dzień z powrotem na dwóch nogach, a Nieuchwytny Doktorek wreszcie postanowił spotkać się na boku z jakąś dziewczyną. W Chelsea Physic Garden. Metrem na Sloane Square, a potem zajebiście dużo łażenia. Mniejsza z tym – wysapał. – Jakie są t w o j e złe wieści?

– Właściwie takie same – odrzekła. – Przed chwilą Mitch Patterson zaczepił mnie obok wejścia do parlamentu.

– Cholera. Myślisz, że cię rozpoznał?

– Wygląda na to, że nie, ale nie jestem pewna. Powinnam stąd zniknąć, prawda? – spytała, wpatrując się w kremowy sufit pokryty sztukaterią we wzór zachodzących na siebie kręgów. – Moglibyśmy skierować tu kogoś innego. Andy'ego albo Barclaya.

– Jeszcze nie – powiedział Strike. – Jeśli wyjdziesz zaraz po spotkaniu z Mitchem Pattersonem, będą pewni, że faktycznie chodzi o ciebie. Zresztą Chiswell chce, żebyś jutro wieczorem zjawiła się na jego przyjęciu i spróbowała wydobyć resztę haków na Winna od tej drugiej członkini zarządu... Jak ona ma na imię? Elspeth?

K u r w a m a ć... przepraszam... mam tu pewne problemy, wysypali te ścieżki jakimiś cholernymi wiórkami z drewna. Nieuchwytny zabrał dziewczynę na spacer w krzaki. Ona wygląda na jakieś siedemnaście lat.

– Nie potrzebujesz telefonu, żeby zrobić zdjęcia?

– Mam na nosie te okulary z wbudowanym aparatem... O, no i proszę – dodał cicho. – Wziął się do obmacywania w zaroślach.

Robin czekała. Słyszała cichutkie pstryknięcia.

– Nadchodzą prawdziwi ogrodnicy – mruknął Strike. – Wypłoszyli ich z krzaków... Słuchaj – podjął – spotkajmy się w agencji jutro po pracy, zanim pójdziesz na to przyjęcie. Zbierzemy wszystko, czego się dotąd dowiedzieliśmy, i zadecydujemy, co dalej. Postaraj się odzyskać drugą pluskwę, ale nie podłączaj nowej, żebyśmy w razie czego mogli cię stamtąd szybko wycofać.

– Dobrze – odparła Robin pełna złych przeczuć – ale to nie będzie łatwe. Aamir na pewno coś podejrze... Cormoran, muszę kończyć.

Do herbaciarni właśnie weszli Izzy i Raphael. Raphael obejmował przyrodnią siostrę ramieniem, a ona – Robin natychmiast to zauważyła – była czymś tak zdenerwowana, że prawie płakała. Raphael zauważył Robin, która pospiesznie zakończyła rozmowę ze Strikiem, skrzywił się, dając jej do zrozumienia, że Izzy jest w kiepskim stanie, po czym powiedział coś cicho do siostry, która kiwnęła głową i ruszyła w stronę Robin, pozwalając mu zamówić jakieś napoje.

– Cześć, Izzy! – powitała ją Robin, wysuwając dla niej krzesło. – Dobrze się czujesz?

Gdy Izzy usiadła, z jej oczu popłynęły łzy. Robin podała jej papierową serwetkę.

– Dzięki, Venetia – powiedziała Izzy zachrypniętym głosem. – Bardzo cię przepraszam. Robię scenę. Jestem niemądra.

Wzięła głęboki oddech, zadrżała i wyprostowała się, przyjmując postawę dziewczyny, której przez lata powtarzano, żeby siedziała prosto i trzymała fason.

– Po prostu jestem niemądra – powtórzyła i jej oczy znów wypełniły się łzami.

– Tata właśnie potraktował ją jak ostatni drań – wyjaśnił Raphael, przynosząc tacę.

– Raff, nie mów tak. – Izzy czknęła, a po jej nosie popłynęła kolejna łza. – Wiem, że nie miał tego na myśli. Już kiedy przyszłam, był zdenerwowany, a potem niechcący pogorszyłam sprawę. Wiedziałeś, że zgubił klips do banknotów, który dostał od Freddiego?

– Nie – odrzekł Raphael, nie okazując większego zainteresowania.

– Myśli, że zostawił go w dzień urodzin Kinvary w jakimś hotelu. Kiedy przyszłam do pracy, właśnie do niego stamtąd zadzwonili. Nic nie znaleźli. Wiesz, jaki jest tata, jeśli chodzi o Freddiego.

Po twarzy Raphaela przebiegł dziwny cień, jakby poraziła go jakaś nieprzyjemna myśl.

– A potem – dodała Izzy drżącym głosem – wpisałam w liście niewłaściwą datę i wtedy puściły mu nerwy...

Izzy wykręciła w dłoniach wilgotną serwetkę.

– Pięć lat! – wybuchła. – Pracuję dla niego od pięciu lat i na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy za cokolwiek mi podziękował! Kiedy go poinformowałam, że zamierzam odejść, powiedział tylko – zadrżał jej głos – „Dopiero po olimpiadzie, żebym nie musiał wcześniej nikogo wdrażać".

Raphael zaklął pod nosem.

– Och, ale tata nie jest taki zły, naprawdę – dorzuciła pospiesznie Izzy, niemal komicznie zmieniając ton. Zapewne właśnie sobie

przypomniała, że zamierza przekazać swoje stanowisko Raphaelowi.
– Po prostu jestem zdenerwowana i to wszystko brzmi gorzej niż...

Zadzwoniła jej komórka. Izzy spojrzała na ekran i jęknęła.

– Tylko nie TD, tylko nie teraz, nie dam rady. Raff, ty z nią porozmawiaj.

Podsunęła bratu telefon, lecz on się wzdrygnął, jakby poprosiła, żeby potrzymał tarantulę.

– Raff, proszę... błagam...

Ze skrajną niechęcią wziął komórkę.

– Cześć, Kinvara, mówi Raff. Izzy nie ma w biurze. Nie... Venetii też nie ma... nie... Jestem tylko ja, jak widać, właśnie odebrałem telefon Izzy... Poszedł do Parku Olimpijskiego. Nie... Nie, nie jestem... Nie wiem, gdzie jest Venetia, wiem tylko, że tutaj jej nie ma... Tak... tak... Okej... No to cześć... – Uniósł brwi. – Rozłączyła się.

Popchnął telefon w stronę Izzy, a ona spytała:

– Dlaczego tak się dopytywała o Venetię?

– Zgadnij, masz trzy szanse – odrzekł rozbawiony Raphael. Domyślając się, o co mu chodzi, Robin spojrzała przez okno i poczuła, jak się czerwieni. Zastanawiała się, czy Mitch Patterson zadzwonił do Kinvary, żeby zaszczepić jej tę myśl.

– Och, daj spokój – powiedziała Izzy. – Myśli, że tata... Venetia mogłaby być jego córką!

– Jego żona też, w razie gdybyś nie zauważyła – odparł Raphael. – Dobrze wiesz, jaka ona jest. Im gorzej dzieje się w ich małżeństwie, tym bardziej robi się zazdrosna. Tata nie odbiera jej telefonów, więc Kinvara wyciąga paranoiczne wnioski.

– Tata nie odbiera, bo Kinvara doprowadza go do szału – stwierdziła Izzy. Żal do ojca nagle ustąpił miejsca niechęci do macochy. – Od dwóch lat nie chciała wychylić nosa z domu ani zostawić tych swoich przeklętych koni. Teraz, kiedy zbliża się

olimpiada i w Londynie jest pełno celebrytów, nagle zapragnęła przyjeżdżać do miasta, stroić się i grać żonę ministra.

Znowu wzięła głęboki oddech, jeszcze raz wytarła twarz, a potem wstała.

– Lepiej już wrócę, mamy mnóstwo pracy. Dzięki, Raff. – Dała mu lekkiego kuksańca w ramię.

Poszła. Raphael odprowadził ją wzrokiem, a potem odwrócił się w stronę Robin.

– Wiesz, tylko Izzy zadała sobie trud, żeby mnie odwiedzić, kiedy siedziałem.

– Tak – powiedziała Robin. – Mówiła mi.

– A kiedy w dzieciństwie musiałem jechać do tego przeklętego domu Chiswellów, tylko ona ze mną rozmawiała. Byłem małym bękartem, który rozbił ich rodzinę, więc nienawidzili mnie jak cholera, ale Izzy pozwalała mi czesać swojego kucyka. – Patrząc ponuro, zakołysał filiżanką z kawą. – Pewnie podkochiwałaś się w tym łobuziaku Freddiem, prawda? Jak wszystkie dziewczyny. Nienawidził mnie. Przezywał mnie „Raphaela" i udawał, że tata przedstawia mnie rodzinie jako dziewczynkę.

– To okropne – zgodziła się Robin i posępna mina Raphaela złagodniała, przechodząc w nieśmiały uśmiech.

– Jesteś taka słodka.

Chyba się zastanawiał, czy powiedzieć coś jeszcze. Nagle spytał:

– Poznałaś kiedyś Jacka o'Kenta, będąc u nas w domu?

– Kogo?

– Starszego faceta, który kiedyś pracował dla taty. Mieszkał na terenie posiadłości. W dzieciństwie cholernie się go bałem. Miał ściągniętą twarz i szaleństwo w oczach, a kiedy bawiłem się w ogrodzie, zjawiał się nie wiadomo skąd. Nigdy nie odzywał się ani słowem, najwyżej przeklinał, jak wszedłem mu w drogę.

– Chyba... przypominam sobie kogoś takiego – skłamała Robin.

– To tata przezywał go Jack o'Kent. Kim był prawdziwy Jack o'Kent? Nie miał przypadkiem czegoś wspólnego z diabłem? Śniły mi się koszmary z jego udziałem. Raz mnie przyłapał, jak chciałem wejść do stodoły, i urządził mi straszną awanturę. Nachylił się nade mną i powiedział, że nie spodobałoby mi się to, co bym tam zobaczył, że to niebezpieczne dla małych chłopców albo... Nie pamiętam dokładnie. Byłem jeszcze mały.

– Brzmi przerażająco – przyznała Robin. Ta opowieść wzbudziła jej zainteresowanie. – Dowiedziałeś się kiedyś, co tam robił?

– Prawdopodobnie przechowywał maszyny rolnicze – odparł Raphael – ale mówił o tym tak, jakby odprawiał jakieś rytuały satanistyczne. Wiesz, był dobrym stolarzem. Zrobił trumnę dla Freddiego. Ściął dąb... Tata chciał pochować Freddiego w trumnie z drzewa, które wyrosło na terenie posiadłości...

Chyba znów zaczął się zastanawiać, czy powinien powiedzieć coś, co go gryzło. Przyglądał się jej spod ciemnych rzęs i wreszcie spytał:

– Czy twoim zdaniem tata... no wiesz... czy zachowuje się ostatnio normalnie?

– Co masz na myśli?

– Nie odnosisz wrażenia, że zrobił się jakiś dziwny? Dlaczego wyżywa się na Izzy z byle powodu?

– Napięcia w pracy? – podsunęła Robin.

– No... możliwe... – Zmarszczył brwi i dodał: – Kilka dni temu zadzwonił do mnie wieczorem, co już samo w sobie jest dziwne, dlatego że zwykle nie może znieść mojego widoku. Powiedział, że chce tylko porozmawiać, a nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Nawiasem mówiąc, wypił o kilka drinków za dużo, domyśliłem się, jak tylko się odezwał. W każdym razie zaczął ględzić o Jacku o'Kencie. Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

Wspomniał o śmierci Freddiego i dziecka Kinvary, a potem... – Raphael przysunął się do Robin, a ona poczuła, jak pod stolikiem stykają się ich kolana. – Pamiętasz tę wiadomość, którą ktoś nagrał na sekretarkę w pierwszym dniu mojej pracy w biurze? Tego cholernego świra mówiącego, że kiedy ludzie umierają, podobno szczają w gacie?

– Tak – odrzekła Robin.

– Tata powiedział: „To wszystko kara. Dzwonił Jack o'Kent. Chce mnie dopaść".

Robin wpatrywała się w niego bez słowa.

– Ale ktokolwiek wtedy dzwonił – ciągnął Raphael – na pewno nie był to Jack o'Kent. On umarł wiele lat temu.

Robin milczała. Nagle jej się przypomniało, jak Matthew majaczył tamtej nocy w tropikach, gdy wziął ją za swoją zmarłą matkę. Miała wrażenie, że kolana Raphaela przyciskają się mocniej do jej kolan. Lekko odsunęła krzesło.

– Nie spałem pół nocy, zastanawiając się, czy przypadkiem mu nie odbija. Nie możemy dopuścić, żeby tata też zwariował, prawda? Wystarczą nam urojenia Kinvary o nożownikach kaleczących konie i grabarzach...

– Grabarzach? – powtórzyła gwałtownie Robin.

– Powiedziałem „grabarzach"? – spytał nerwowo Raphael. – Wiesz, co miałem na myśli. Facetów z łopatami w lesie.

– Myślisz, że tylko się jej przywidziało?

– Nie mam pojęcia. Izzy i reszta uważają, że tak, ale oni ją traktują jak histeryczkę, odkąd straciła dziecko. Zmarło w jej łonie, a i tak musiała je urodzić. Wiedziałaś o tym? Potem była w kiepskiej formie, a jeśli należysz do rodziny Chiswellów, nie wolno ci rozpamiętywać takich historii. Wkładasz kapelusz i idziesz otwierać jakąś imprezę albo coś w tym rodzaju.

Wyglądało na to, że Raphael czyta w myślach Robin.

– Myślałaś, że jej nienawidzę, dlatego że inni jej nie znoszą? Jest jak wrzód na tyłku i uważa mnie za śmiecia, ale nie marnuję życia na podliczanie kwot, które wydaje na swoje konie, uszczuplając przyszły majątek mojej siostrzenicy i siostrzeńców. Kinvara nie jest pazerna, bez względu na to, co myślą Izzy i F i z z y – wymówił z naciskiem przezwisko drugiej siostry. – Moją matkę też uważały za naciągaczkę. Nie rozumieją innej motywacji. Myślą, że nie wiem, że dla mnie i matki też wymyśliły milutkie przezwiska w stylu Chiswellów... – Jego ciemna skóra oblała się rumieńcem. – Wbrew temu, co może im się wydawać, Kinvara naprawdę zakochała się w tacie, czuję to. Gdyby zależało jej na pieniądzach, mogłaby się urządzić o niebo lepiej. On jest spłukany.

Robin, według której definicja słowa „spłukany" nie obejmowała posiadania olbrzymiego domu w Oxfordshire, dziewięciu koni, londyńskiego mieszkania w budynku przerobionym z dawnych stajni ani ciężkiego naszyjnika z brylantami, który widywała na szyi Kinvary pozującej do zdjęć, zachowała obojętny wyraz twarzy.

– Byłaś ostatnio w domu Chiswellów?

– Ostatnio nie – powiedziała Robin.

– Popada w ruinę. Wszystko jest nadgryzione przez mole i wygląda okropnie.

– Pamiętam tylko, że kiedy tam byłam, dorośli rozmawiali o jakiejś zaginionej dziewczynce.

– Naprawdę? – zdziwił się Raphael.

– Tak, nie mogę sobie przypomnieć, jak miała na imię. Byłam jeszcze mała. Susan? Suki? Coś w tym rodzaju.

– Nic mi to nie mówi. – Raphael znowu otarł się kolanami o jej nogi. – Wszyscy zwierzają ci się z rodzinnych sekretów po pięciu minutach znajomości czy tylko ja?

– Tim zawsze powtarza, że wyglądam na życzliwą osobę – powiedziała Robin. – Może powinnam zapomnieć o polityce i zostać terapeutką.

– Tak, może powinnaś – odrzekł, patrząc jej w oczy. – Nie nosisz mocnych szkieł. Dlaczego zawracasz sobie głowę okularami? Nie wystarczyłyby ci soczewki kontaktowe?

– Och, okulary... wydają mi się wygodniejsze. – Robin poprawiła je na nosie i zebrała swoje rzeczy. – Wiesz, naprawdę powinnam już iść.

Raphael odchylił się na krześle i smutno się uśmiechnął.

– Zrozumiałem aluzję... Ten twój Tim to szczęściarz. Przekaż mu to ode mnie.

Robin uśmiechnęła się lekko i wstała, przytrzymując się krawędzi stolika. Onieśmielona i lekko zarumieniona, wyszła z herbaciarni.

Idąc do biura Izzy, rozmyślała o zachowaniu ministra kultury. Uznała, że wybuchy złości i paranoiczne ględzenie nie są niczym zaskakującym u człowieka będącego na łasce dwóch szantażystów, lecz pomysł Chiswella, że zadzwonił do niego zmarły, był niewątpliwie dziwny. Podczas żadnego z dwóch spotkań minister nie sprawiał wrażenia człowieka wierzącego w duchy czy karę boską, ale z drugiej strony, pomyślała, alkohol wydobywa z ludzi dziwne rzeczy... I nagle przypomniała sobie wykrzywioną twarz Matthew, który w niedzielę wydzierał się na nią na cały salon.

Gdy już prawie minęła drzwi Winna, zauważyła, że znów są uchylone. Zajrzała do środka. Wyglądało na to, że w biurze jest pusto. Zapukała dwa razy. Nikt się nie odezwał.

Potrzebowała niespełna pięciu sekund, żeby dotrzeć do gniazdka pod biurkiem Gerainta. Odłączyła wentylator, wyjęła pluskwę i już miała otworzyć torebkę, gdy nagle zabrzmiał głos Aamira:

– Co ty tu robisz, do cholery?

Robin wydała z siebie zduszony okrzyk, spróbowała wstać, mocno uderzyła głową w biurko i krzyknęła z bólu. Aamir właśnie podniósł się z fotela odwróconego tyłem do drzwi i wyjmował z uszu słuchawki. Wyglądało na to, że chciał przez chwilę się zrelaksować, słuchając iPoda.

– Pukałam! – powiedziała Robin. Gdy rozcierała guza na czubku głowy, do oczu napłynęły jej łzy. Pluskwę, którą wciąż trzymała w ręku, schowała za plecami. – Nie wiedziałam, że ktoś tu jest!

– C o t u r o b i s z? – spytał ponownie, podchodząc do niej.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi stanęły otworem. Do środka wszedł Geraint.

Tego ranka nie miał na ustach bezwargowego uśmiechu, nie biła od niego pewność siebie, nie rzucił żadnego sprośnego komentarza, widząc Robin na podłodze w swoim biurze. Z jakiegoś powodu wydawał się skurczony, pod jego pomniejszonymi przez szkła oczami widać było fioletowawe sińce. Zdumiony, patrzył to na Robin, to na Aamira, a gdy Aamir zaczął mu wyjaśniać, że Robin nieproszona weszła do środka, udało jej się wepchnąć pluskwę do torebki.

– Bardzo mi przykro – odezwała się, wstając i obficie się pocąc. Jej myśli zmącił paniczny strach, lecz nagle pewien pomysł wpadł jej do głowy niczym szalupa ratunkowa. – Naprawdę przepraszam. Zamierzałam zostawić liścik. Chciałam go tylko pożyczyć.

Gdy obaj mężczyźni zmarszczyli brwi, mierząc ją wzrokiem, wskazała odłączony wentylator.

– Nasz się popsuł. W biurze jest gorąco jak w piekarniku. Uznałam, że nie stanie się nic złego – dodała, zwracając się do Geraintа. – Chciałam go tylko pożyczyć na pół godziny. – Uśmiechnęła się żałośnie. – Naprawdę, niedawno o mało nie zemdlałam.

Odciągnęła bluzkę od ciała. Rzeczywiście była spocona. Spojrzenie Winna padło na jej piersi i jego lubieżny uśmieszek powrócił.

– Pewnie nie powinienem tego mówić, ale upał ci służy – stwierdził z upiornym grymasem i Robin zdołała zachichotać. – No cóż, chyba możemy rozstać się z wentylatorem na pół godziny, prawda? – spytał, zwracając się do Aamira. Jego asystent milczał. Stał wyprostowany jak struna i wpatrywał się w Robin z nieskrywaną podejrzliwością. Geraint delikatnie podniósł wentylator z biurka i podał go Robin. Gdy odwróciła się w kierunku drzwi, poklepał ją u dołu pleców.

– Miłych wrażeń.

– Och, na pewno będą miłe – odparła, czując, jak ciarki przebiegają jej po skórze. – Bardzo panu dziękuję, panie Winn.

28

Czy się przejmuję! Widząc, jak ktoś stara się rzucać mi kłody pod nogi i utrudniać pracę?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Długa wędrówka do Chelsea Physic Garden i po samym ogrodzie poprzedniego dnia nie wpłynęła dobrze na kontuzję ścięgna podkolanowego Strike'a. Jako że jego żołądek źle znosił dietę złożoną z ibuprofenu, detektyw od dwudziestu czterech godzin wystrzegał się środków przeciwbólowych. W rezultacie w czwartek po południu Cormoran, oparłszy półtorej nogi na kanapie w agencji, a protezę o ścianę obok, przeglądał akta Chiswella, będąc

w stanie, który jego lekarze lubili określać jako „pewien dyskomfort".

Za szybą w drzwiach jego biura odznaczał się przypominający bezgłowego stróża najlepszy garnitur, który razem z koszulą i krawatem wisiał na karniszu, a pod oklapłymi nogawkami spodni stały buty z czystymi skarpetkami. Wieczorem Strike wybierał się na kolację z Lorelei i zaplanował to tak, żeby przed wyjściem uniknąć konieczności wspinania się po schodach do swojego mieszkania na poddaszu.

Lorelei jak zwykle okazała wyrozumiałość w kwestii braku komunikacji z jego strony podczas pobytu Jacka w szpitalu i tylko zauważyła z leciutkim niezadowoleniem, że na pewno czuł się okropnie, przechodząc przez to sam. Strike miał za dużo oleju w głowie, by wspominać jej o odwiedzinach Robin. Później Lorelei pozbawionym urazy słodkim głosem zaproponowała wspólną kolację, „żeby omówić parę spraw".

Spotykali się ze sobą od nieco ponad dziesięciu miesięcy i gdy niedawno zaniemógł, opiekowała się nim przez pięć dni. Czuł, że prosząc, by to, co miała do powiedzenia, przekazała przez telefon, nie zachowałby się ani w porządku, ani nawet przyzwoicie. Podobnie jak wiszący garnitur, perspektywa konieczności szukania odpowiedzi na nieuniknione pytanie: „Dokąd według ciebie zmierza nasz związek?", majaczyła złowrogo na obrzeżach jego świadomości.

Myśli Strike'a zdominował jednak niebezpieczny status sprawy Chiswella, za którą jak dotąd nie zobaczył jeszcze ani pensa, a którą przypłacał znacznymi kosztami z tytułu wynagrodzeń i wydatków. Być może Robin udało się zażegnać bezpośrednie zagrożenie ze strony Geraintа Winna, lecz Barclay po obiecującym początku nie znalazł zupełnie niczego, co można by wykorzystać przeciwko

pierwszemu szantażyście Chiswella, i Strike przewidywał katastrofalne skutki, gdyby dziennikarze z „Sun" dotarli do Jimmy'ego Knighta. Chiswell zapewniał, że Jimmy nie zechce dopuścić, aby ta historia przedostała się do gazet, lecz Strike przypuszczał, że rozzłoszczony i sfrustrowany Knight, nie dostawszy obiecywanych przez Winna tajemniczych zdjęć z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z całą pewnością spróbuje skorzystać z okazji, która najwyraźniej właśnie przechodziła mu koło nosa. Jego bogata historia pozwów sądowych mówiła sama za siebie: Jimmy był człowiekiem gotowym na złość babci odmrozić sobie uszy.

Na domiar złego po kilku dniach i nocach z rzędu spędzonych w towarzystwie Jimmy'ego i jego kumpli Barclay oznajmił Strike'owi, że jeśli niedługo nie wróci do domu, jego żona wystąpi o rozwód. Strike, który był winien Barclayowi za wydatki, powiedział mu, żeby przyszedł do agencji po czek, a potem będzie mógł wziąć dwa dni wolnego. Ku jego wielkiemu rozdrażnieniu Hutchins, na którym zazwyczaj można było polegać, zaczął się upierać, że zamiast przejąć śledzenie Jimmy'ego Knighta, powinien dalej kręcić się po Harley Street, gdzie Nieuchwytny Doktorek znowu przyjmował pacjentki.

– O co ci chodzi? – spytał szorstko Strike, czując dotkliwy ból w kikucie. Wprawdzie lubił Hutchinsa, ale doskonale pamiętał, że były policjant wziął niedawno wolne z okazji jakiejś uroczystości rodzinnej, a potem znowu, by zawieźć żonę do szpitala, gdy złamała rękę w nadgarstku. – Po prostu cię proszę, żebyś zmienił obiekt. Nie mogę sam śledzić Knighta, zna mnie.

– No dobra, zgoda.

– Miło z twojej strony – burknął ze złością Strike. – Dzięki.

Dopiero o wpół do szóstej odgłosy towarzyszące wspinaniu się Robin i Barclaya po metalowych schodach do agencji poprawiły

Strike'owi humor.

– Cześć – przywitała się Robin, wchodząc do agencji ze sportową torbą przewieszoną przez ramię. Widząc zdziwione spojrzenie Strike'a, wyjaśniła: – To strój na przyjęcie paraolimpijskie. Przebiorę się w toalecie, nie zdążę pojechać do domu.

Barclay wszedł za Robin i zamknął drzwi.

– Poznaliśmy się na dole – oznajmił wesoło Cormoranowi.

– Sam właśnie mi opowiadał, ile marychy musiał wypalić, żeby dotrzymać kroku Jimmy'emu – powiedziała ze śmiechem Robin.

– Nie zaciągam się – zapewnił Barclay ze śmiertelną powagą. – W pracy to byłoby niedopuszczalne.

To, że tych dwoje najwyraźniej od razu się polubiło, w przewrotny sposób działało Strike'owi na nerwy. Właśnie z wielkim trudem wstawał z poduszek obciągniętych skajem, które jak zwykle wydawały pierdzące odgłosy.

– To kanapa – warknął na Barclaya, który rozejrzał się z uśmiechem. – Przyniosę ci forsę.

– Siedź, ja to zrobię – zaproponowała Robin, odkładając torbę i sięgając do dolnej szuflady biurka po książeczkę czekową, którą podała Strike'owi razem z długopisem. – Napijesz się herbaty, Cormoran? A ty, Sam?

– Jasne, chętnie – odrzekł Barclay.

– Cholernie wam wesoło – zauważył kwaśno Strike, wypisując Barclayowi czek – biorąc pod uwagę, że niedługo stracimy klienta dającego nam wszystkim zatrudnienie. Chyba że macie informacje, o których jeszcze nie wiem.

– Jedynym emocjonującym wydarzeniem, do jakiego doszło w tym tygodniu w Knightville, była wielka kłótnia Flick ze współlokatorką – powiedział Barclay. – Laska ma na imię Laura. Twierdziła, że Jimmy ukradł jej z torebki kartę kredytową.

– A ukradł? – spytał ostro Strike.

– Według mnie zrobiła to raczej Flick. Mówiłem ci, jak się przechwalała, że w pracy częstuje się gotówką z kasy, nie?

– No, mówiłeś.

– Wszystko zaczęło się w pubie. Ta dziewczyna, Laura, była czymś zdenerwowana. Pokłóciły się z Flick o to, która z nich ma w sobie więcej z klasy średniej.

Mimo odczuwanego bólu i podłego nastroju Strike się uśmiechnął.

– No i zrobiło się paskudnie. Wciągnęły w to kucyki i wakacje za granicą. Potem ta Laura powiedziała, że kilka miesięcy temu Jimmy zwędził jej z torebki nową kartę kredytową. Jimmy się wkurzył, krzyczał, że to pomówienie...

– Szkoda, że ma zakaz, bo inaczej by ją pozwał – wtrącił Strike, wyrywając czek.

– ...a Laura się rozbeczała i wybiegła z pubu w ciemną noc. Potem się wyprowadziła.

– Wiesz, jak ma na nazwisko?

– Spróbuję się dowiedzieć.

– Ustaliłeś coś na temat przeszłości Flick? – spytał Strike, gdy Barclay włożył czek do portfela.

– Wspomniała, że zrezygnowała ze studiów. Oblała egzaminy na pierwszym roku i dała sobie spokój.

– To zdarza się najlepszym. – Robin przyniosła dwa kubki z herbatą. Podobnie jak Strike, nie skończyła studiów.

– Dzięki – powiedział Barclay, biorąc od niej kubek. – Jej rodzice są po rozwodzie – ciągnął. – Nie rozmawia z żadnym z nich. Nie lubią Jimmy'ego. Trudno im się dziwić. Jeśli moja córka kiedykolwiek spiknie się z takim lujem jak Knight, będę wiedział, co z tym zrobić. Kiedy Flick nie ma w pobliżu, Jimmy opowiada

chłopakom, co wyrabia z młodszymi laskami. Wydaje im się, że bzyka je wielki rewolucjonista, robią to dla sprawy. Flick nawet w połowie nie ma pojęcia o tym, co ten gość kombinuje.

– Niektóre są niepełnoletnie? Jego żona dała do zrozumienia, że Jimmy ma do takich słabość. Że to mogłaby być nasza karta przetargowa.

– Z tego, co wiem, wszystkie mają co najmniej szesnaście lat.

– Szkoda – westchnął Strike. Pochwycił wzrok Robin, gdy wróciła do nich, niosąc swoją herbatę. – Wiesz, o co mi chodzi. – Znowu odwrócił się do Barclaya. – Z tego, co usłyszałem na tamtej demonstracji, ona też nie jest monogamistką.

– Taa, jedna z jej kumpelek rzuciła jakiś żarcik o indyjskim kelnerze.

– O kelnerze? Słyszałem o studencie.

– Jedno nie wyklucza drugiego – stwierdził Barclay. – Moim zdaniem niezła z niej...

Widząc spojrzenie Robin, zrezygnował jednak z dokończenia zdania i skupił się na piciu herbaty.

– A co nowego u ciebie? – spytał Strike, zwracając się do Robin.

– Odzyskałam drugą pluskwę.

– Żartujesz. – Wyprostował się na kanapie.

– Właśnie skończyłam wszystko przepisywać, tam są całe godziny materiału. Większość nieprzydatna, ale...

Odstawiła kubek, otworzyła torbę i wyjęła urządzenie podsłuchowe.

– ...znalazłam dziwny fragment. Posłuchajcie.

Barclay przysiadł na podłokietniku kanapy. Robin poprawiła się na krześle przy biurku i puściła nagranie.

Biuro wypełniło się śpiewnym akcentem Gerainta.

– ...zajmę się nimi, postaram się przedstawić Elspeth księciu Harry'emu. No dobra, w takim razie wychodzę, do zobaczenia jutro.

– Dobranoc – mruknął Aamir.

Robin pokręciła głową, spoglądając na Strike'a i Barclaya, po czym dodała, bezgłośnie poruszając ustami: „Zaraz".

Usłyszeli trzaśnięcie drzwiami. Jak zwykle po półminutowej przerwie rozległo się pstryknięcie w miejscu, w którym taśma się zatrzymała, a następnie ruszyła ponownie. Zabrzmiał głęboki damski głos z walijskim akcentem.

– Jesteś tu, skarbie?

Strike uniósł brwi. Barclay przestał pić.

– Tak – odezwał się Aamir z bezbarwnym londyńskim akcentem.

– Podejdź do mnie i daj mi buziaka – powiedziała Della.

Barclay lekko się zakrztusił. Z urządzenia doszedł odgłos cmokających ust. Szuranie stóp. Ktoś przesunął krzesło. Rozległo się lekkie rytmiczne stukanie.

– Co to? – spytał Strike.

– Pies przewodnik macha ogonem – wyjaśniła Robin.

– Podaj mi rękę – poleciła Della. – Geraint nie wróci, nie martw się, wysłałam go do Chiswick. O, właśnie. Dziękuję. A teraz musimy o czymś porozmawiać. Chodzi o to, kochanie, że twoi sąsiedzi się skarżą. Mówią, że zza ścian dobiegają dziwne odgłosy.

– Niby jakie? – Aamir sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Przypuszczają, że to jakieś zwierzę. Popiskujący albo skomlący pies. Chyba nie masz...

– Oczywiście, że nie – przerwał. – To na pewno telewizor. Po co miałbym kupować psa? Całymi dniami siedzę w pracy.

– Pomyślałam, że przygarnąłeś jakiegoś biednego małego przybłędę, to byłoby w twoim stylu – odrzekła Della. – Masz takie miękkie serce...

– Nie, nie przygarnąłem – uciął Aamir. Wydawał się spięty. – Nie musisz mi wierzyć na słowo. Jeśli chcesz, możesz tam pójść i sprawdzić, masz przecież klucz.

– Skarbie, nie bądź taki – powiedziała Della. – Nie przyszłoby mi do głowy zjawiać się tam bez twojego pozwolenia. Nie lubię węszyć.

– Masz do tego pełne prawo – odparł Aamir i Strike dosłyszał w tym rozgoryczenie. – W końcu to twój dom.

– Zdenerwowałeś się. Wiedziałam, że tak będzie. Musiałam o tym wspomnieć, bo jeśli następnym razem zadzwonią i odbierze Geraint... Całe szczęście, że to ja podniosłam słuchawkę...

– Od tej pory będę pamiętał, żeby ściszać telewizor. W porządku? Będę uważał.

– Rozumiesz, kochanie, że jeśli o mnie chodzi, możesz robić, co tylko...

– Posłuchaj, tak sobie myślałem – wszedł jej w słowo Aamir. – Naprawdę uważam, że powinienem płacić ci czynsz. Może...

– Już o tym rozmawialiśmy. Nie wygłupiaj się, nie chcę od ciebie pieniędzy.

– Ale...

– Pomijając całą resztę – powiedziała – nie byłoby cię na to stać. Sam w domu z trzema sypialniami?

– Ale...

– Kiedy się wprowadziłeś, wydawałeś się zadowolony... Myślałam, że ci się podoba...

– Oczywiście, że mi się podoba. To wielka hojność z twojej strony – odparł sztywno.

– Hojność... Na litość boską, przecież tu nie chodzi o hojność... Posłuchaj, może zjedlibyśmy razem curry? Czeka mnie dzisiaj późne głosowanie i chciałam wpaść do Kennington Tandoori. Ja stawiam.

– Przykro mi, nie mogę. – Aamir był zestresowany. – Muszę wracać do domu.

– Aha – odrzekła Della znacznie mniej serdecznym tonem. – Czuję się zawiedziona. Wielka szkoda.

– Przykro mi – powtórzył. – Umówiłem się z przyjacielem. Z przyjacielem ze studiów.

– Ach. Rozumiem. No cóż, zapamiętam, żeby następnym razem zgłosić się z wyprzedzeniem. Będziesz mógł znaleźć okienko w terminarzu.

– Dello, przecież...

– Nie bądź niemądry, tylko się z tobą droczę. Mógłbyś mnie przynajmniej odprowadzić?

– Oczywiście.

Znowu rozległo się szuranie, a po chwili dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi. Robin wyłączyła urządzenie.

– Oni się p i e p r z ą? – spytał głośno Barclay.

– Niekoniecznie – odparła Robin. – Może całowała go w policzek.

– „Podaj mi rękę"? – powtórzył Barclay. – Odkąd to w biurach panują takie zwyczaje?

– Ile lat ma ten cały Aamir? – spytał Strike.

– Może ze dwadzieścia pięć – powiedziała Robin.

– A ona...?

– Koło sześćdziesięciu pięciu – odrzekła.

– I dała mu dach nad głową. Nie są spokrewnieni, prawda?

– Z tego, co wiem, nie łączą ich więzi rodzinne – stwierdziła Robin. – Ale Jasper Chiswell wie coś o jego życiu osobistym. Kiedy zobaczył Aamira w naszym biurze, zacytował mu jakiś wiersz po łacinie.

– Nie wspominałaś mi o tym.

– Przepraszam – powiedziała Robin, przypominając sobie, że wydarzyło się to niedługo przed tym, jak odmówiła śledzenia Jimmy'ego podczas demonstracji. – Zapomniałam. Tak, Chiswell zacytował coś po łacinie, a potem wspomniał o „mężczyznach przejawiających takie zainteresowania" jak Mallik.

– Co to był za wiersz?

– Nie wiem. Nie uczyłam się łaciny.

Spojrzała na zegarek.

– Lepiej pójdę się przebrać, za czterdzieści minut mam być w ministerstwie.

– No, ja też będę spadał, Strike – rzucił Barclay.

– Dwa dni, Barclay – podkreślił Strike, gdy Sam skierował się ku drzwiom. – Potem wracasz do Knighta.

– Bez obaw – uspokoił go Barclay. – Za dwa dni będę marzył o wyrwaniu się z domu.

– Polubiłam go – odezwała się Robin, gdy kroki Barclaya ucichły na metalowych schodach.

– No – mruknął Strike, sięgając po protezę. – Jest w porządku.

Z Lorelei miał się spotkać o dość wczesnej porze, sam to zaproponował. Przyszedł zatem czas, by rozpocząć żmudny proces doprowadzania się do przyzwoitego stanu. Robin poszła do ciasnej toalety w korytarzu, żeby się przebrać, a Strike, przyczepiwszy protezę, zaszył się w swoim biurze.

Gdy włożył spodnie od garnituru, zadzwoniła jego komórka. Mając cichą nadzieję, że to Lorelei z informacją, że coś jej wypadło i nie przyjdzie na kolację, sięgnął po telefon z popękanym ekranem. Owładnięty niewyjaśnionym złym przeczuciem, zobaczył, że dzwoni Hutchins.

– Strike?

– Co tam?

– Strike... spieprzyłem sprawę.

Hutchins mówił słabym głosem.

– Co się stało?

– Knight jest z jakimiś kumplami. Poszedłem za nimi do pubu. Coś planują. Mają plakat z wizerunkiem Chiswella...

– No i? – spytał głośno Strike.

– Strike, przepraszam... Przewróciłem się... Zgubiłem ich.

– Ty pojebie! – ryknął Strike, zupełnie tracąc panowanie nad sobą. – Dlaczego nie powiedziałeś, że źle się czujesz?

– Ostatnio często brałem wolne... Wiedziałem, że jesteś w potrzebie...

Strike przełączył Hutchinsa na głośnik, położył komórkę na biurku, zdjął koszulę z wieszaka i zaczął się szybko ubierać.

– Stary, wybacz... Mam problem z chodzeniem...

– Wiem, kurwa, jak to jest!

Wściekle dźgnął palcem przycisk, przerywając połączenie.

– Cormoran? – zawołała Robin zza drzwi. – Wszystko w porządku?

– Nie, kurwa, nie!

Otworzył drzwi.

Jakąś częścią mózgu zarejestrował, że Robin ma na sobie zieloną sukienkę, którą kupił jej dwa lata temu w ramach podziękowania za pomoc w ujęciu pierwszego mordercy. Wyglądała oszałamiająco.

– Knight ma plakat z wizerunkiem Chiswella. Zamierza coś zrobić razem z grupą kolesiów. Wiedziałem, kurwa, w i e d z i a ł e m, że to się stanie, odkąd Winn go wystawił... Założę się o wszystko, że wybiera się na to samo przyjęcie co ty. Cholera. – Uświadomił sobie, że nie włożył butów, i zawrócił. – A Hutchins ich zgubił! – krzyknął przez ramię. – Ten głupi cymbał nie powiedział mi, że mu się pogorszyło.

– Może udałoby ci się jeszcze wezwać Barclaya? – podsunęła.

– Teraz jest już pewnie w metrze. Będę musiał zająć się tym sam, no nie? – Strike opadł z powrotem na kanapę i wsunął stopy w buty. – Skoro dziś wieczorem ma się tam pojawić Harry, będzie też mnóstwo dziennikarzy. Wystarczy, że skumają, co znaczy ten głupi plakat Jimmy'ego, i Chiswell wyleci z roboty, a my razem z nim. – Podźwignął się z powrotem na nogi. – Gdzie jest to przyjęcie?

– W Lancaster House – odparła Robin. – Przy Stable Yard.

– Dobra – powiedział Strike, ruszając w stronę drzwi. – Trzymaj rękę na pulsie. Chyba będziesz musiała wyciągnąć mnie z aresztu. Całkiem możliwe, że go walnę.

29

Teraz nie takie czasy, by można pozostać biernym obserwatorem.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Gdy dwadzieścia minut później taksówka, którą Strike zatrzymał na Charing Cross Road, skręcała w Saint James's Street, detektyw rozmawiał przez komórkę z ministrem kultury.

– Plakat? Co na nim jest?

– Pańska twarz – wyjaśnił Strike. – Nic więcej nie wiem.

– I Knight jedzie z nim na przyjęcie? Zatem to koniec, do cholery! – krzyknął Chiswell tak głośno, że Strike się skrzywił i odsunął telefon od ucha. – Jeśli dziennikarze go zobaczą, będzie po mnie! Niech to szlag, przecież miał pan temu zapobiec!

– I zamierzam to zrobić – odparł Strike – ale na pana miejscu wolałbym zostać ostrzeżony. Radzę...

– Nie płacę panu za rady!

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał Strike, lecz Chiswell już się rozłączył.

– Dalej nie dam rady, stary – powiedział taksówkarz, spoglądając na Strike'a we wstecznym lusterku, na którym dyndała komórka, otoczona kępkami kolorowej bawełny i ozdobiona złotą podobizną indyjskiego boga Ganeśi. Końcowy odcinek Saint James's Street został zamknięty. Wzbierający tłum wielbicieli rodziny królewskiej i kibiców olimpijskich, z których wielu trzymało małe flagi Wielkiej Brytanii, gromadził się za przenośnymi barierkami, czekając na przybycie paraolimpijczyków i księcia Harry'ego.

– Okej, wysiądę tutaj – stwierdził Strike, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu portfela. Znów miał przed sobą zwieńczony blankami front pałacu Świętego Jakuba z pozłacanym romboidalnym zegarem lśniącym w słońcu wczesnego wieczoru. Tak jak poprzednim razem, pokuśtykał w dół wzniesienia, kierując się w stronę tłumu i mijając boczną uliczkę, przy której mieścił się Pratt's, a elegancko ubrani przechodnie, pracownicy oraz klienci galerii i winiarni uprzejmie schodzili mu z drogi, gdyż nierówność jego kroku stawała się coraz bardziej widoczna.

– Kurwa, kurwa, kurwa – mamrotał pod nosem, a ból przeszywał go aż po pachwinę, ilekroć Strike opierał ciężar ciała na protezie, zbliżając się do zebranych kibiców sportowych i wielbicieli rodziny królewskiej. Nie widział żadnych plakatów ani transparentów o charakterze politycznym, lecz dołączając do tłumu i rozglądając się po Cleveland Row, zauważył wydzielony sektor dla dziennikarzy i rzędy fotoreporterów, którzy czekali na pojawienie się księcia i sławnych sportowców. Dopiero gdy minął go samochód z brunetką o lśniących włosach, którą mgliście kojarzył z telewizji, przypomniał sobie, że nie zadzwonił do Lorelei, by ją uprzedzić, że spóźni się na kolację. Pospiesznie wybrał jej numer.

– Cześć, Corm.

Wydawała się zaniepokojona. Prawdopodobnie myślała, że dzwoni, aby odwołać spotkanie.

– Cześć – powiedział, gorączkowo wodząc wzrokiem w poszukiwaniu jakiegoś śladu Jimmy'ego. – Naprawdę mi przykro, ale coś mi wypadło. Mogę się spóźnić.

– Och, nic nie szkodzi – odrzekła i wyczuł, jak jej ulżyło, że jednak zamierzał przyjść. – Mam spróbować przesunąć rezerwację?

– No... może na ósmą zamiast na siódmą?

Odwracając się po raz trzeci, żeby zlustrować Pall Mall, Strike zauważył pomidorowe włosy Flick. W stronę tłumu szło ośmioro członków SGOO, w tym żylasty chłopak z jasnymi dredami i przysadzisty mężczyzna wyglądający jak wykidajło. Flick była wśród nich jedyną kobietą. Wszyscy oprócz Jimmy'ego trzymali plakaty z połamanymi kołami olimpijskimi i takimi hasłami jak „Fair play w miejscu pracy" i „Domy zamiast bomb". Jimmy niósł swój plakat kijem do góry, ze zdjęciem zwróconym do siebie.

– Lorelei, muszę kończyć. Porozmawiamy później.

Policjanci w mundurach chodzili wzdłuż barierek, pilnując, żeby nikt z rzeszy ludzi nie przedostał się dalej. Mieli w dłoniach krótkofalówki i nieustannie wodzili wzrokiem po wesołych twarzach gapiów. Oni także dostrzegli członków SGOO, którzy próbowali dostać się na miejsce naprzeciwko dziennikarzy.

Strike zacisnął zęby i nie odrywając oczu od Jimmy'ego, zaczął się przedzierać przez gęstniejący tłum.

30

Niewątpliwie korzystniej byłoby powstrzymać ten prąd wcześniej.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Robin, nieco speszona w obcisłej zielonej sukience i butach na obcasie, przyciągnęła sporo pełnych uznania spojrzeń ze strony przechodniów płci męskiej, wysiadając z taksówki przed wejściem do Ministerstwa Kultury, Mediów i Sportu. Przy drzwiach zobaczyła, że z odległości pięćdziesięciu metrów zbliżają się do niej Izzy w jaskrawopomarańczowej sukience i Kinvara w czymś, co wyglądało na czarną suknię z jedwabiu i ciężki naszyjnik

z brylantami, w którym pozowała do zdjęć znalezionych przez Robin w internecie.

Bardzo niepokojąc się tym, co działo się teraz z Jimmym i Strikiem, Robin zauważyła jednak, że Kinvara wydaje się przygnębiona. Kiedy się zbliżyły, Izzy przewróciła oczami. Kinvara zmierzyła sylwetkę Robin wymownym spojrzeniem sugerującym, że zielona kreacja jest według niej niestosowna na tę okazję albo wręcz zupełnie nieprzyzwoita.

– Mieliśmy się spotkać t u t a j – odezwał się donośny męski głos tuż obok Robin.

Jasper Chiswell właśnie wyszedł z budynku, niosąc trzy tłoczone zaproszenia. Jedno z nich podał Robin.

– Tak, Jasper, teraz już wiem, dziękuję – powiedziała lekko zasapana Kinvara, podchodząc do męża. – Bardzo przepraszam, znowu źle cię zrozumiałam. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy mam właściwe informacje.

Przechodnie gapili się na Chiswella, kojarząc skądś jego włosy przypominające szczotkę kominiarską. Robin dojrzała, jak jakiś mężczyzna w garniturze trąca kolegę łokciem i wskazuje polityka. Do krawężnika podjechał elegancki czarny mercedes, z którego wysiadł szofer. Kinvara podeszła do tylnych drzwi, żeby usiąść za nim. Izzy wślizgnęła się na środek tylnego siedzenia, zostawiając Robin miejsce bezpośrednio za Chiswellem.

Gdy samochód oddalał się od krawężnika, w środku panowała nieprzyjemna atmosfera. Robin odwróciła głowę, by spojrzeć na ludzi, którzy wyskoczyli po pracy na drinka lub poszli na wieczorne zakupy. Zastanawiała się, czy Strike znalazł już Knighta, bała się, co może się wydarzyć, gdy to nastąpi, i żałowała, że nie potrafi przenieść auta od razu do Lancaster House.

– Więc nie zaprosiłeś Raphaela? – wypaliła Kinvara, kierując to pytanie do odwróconej tyłem głowy męża.

– Nie – powiedział Chiswell. – Zależało mu na zaproszeniu, ale tylko dlatego że spodobała mu się Venetia.

Robin poczuła, że się rumieni.

– Wygląda na to, że Venetia ma licznych wielbicieli – odrzekła cierpko Kinvara.

– Jutro zamierzam porozmawiać z Raphaelem – oznajmił Chiswell. – Muszę ci powiedzieć, że ostatnio ujrzałem go w zupełnie innym świetle.

Robin zobaczyła kątem oka, że dłonie Kinvary zaciskają się na łańcuszku brzydkiej wieczorowej torebki ozdobionej końskim łbem wykonanym z kryształów. Gdy samochód z cichym warkotem sunął przez ciepłe miasto, wewnątrz zapadła pełna napięcia cisza.

31

Ale w zamian dostał lanie [...].

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Dzięki adrenalinie Strike'owi łatwiej było wytrzymać narastający ból w nodze. Cormoran zbliżał się do Jimmy'ego i jego towarzyszy, którym udaremniono zamiar zaprezentowania się dziennikarzom w pełnej okazałości, ponieważ na widok pierwszych samochodów z gośćmi w środku rozemocjonowany tłum ruszył naprzód, mając nadzieję na ujrzenie jakichś celebrytów. SGOO spóźniła się na imprezę i teraz musiała się zmierzyć z nieprzebraną masą ludzi.

Mercedesy i bentleye cicho przejeżdżały obok, ukazując gapiom sławnych i mniej sławnych. Pewien aktor komediowy pomachał

ręką i został nagrodzony głośnymi brawami. Błysnęło kilka fleszy.

Jimmy najwyraźniej uznał, że nie może liczyć na lepsze miejsce, i zaczął wydobywać domowej roboty plakat spomiędzy plątaniny nóg, szykując się, by go podnieść.

Jakaś kobieta przed Strikiem krzyknęła z oburzeniem, gdy detektyw odepchnął ją na bok. Strike zrobił trzy duże kroki i zacisnął wielgachną lewą dłoń na nadgarstku Jimmy'ego, uniemożliwiając mu podniesienie plakatu wyżej niż do pasa i zmuszając Knighta do opuszczenia go z powrotem. Strike zdążył jeszcze zobaczyć błysk w oczach Jimmy'ego, który od razu go rozpoznał, i w stronę gardła detektywa wystrzeliła pięść. Inna kobieta zauważyła zbliżający się cios i krzyknęła.

Strike zrobił unik i lewą nogą z impetem nadepnął na plakat, łamiąc kij. Jego amputowana noga nie była jednak w stanie utrzymać całego ciężaru ciała, zwłaszcza że drugi cios Jimmy'ego dosięgnął celu. Padając, Strike uderzył Jimmy'ego w jaja. Knight wydał z siebie okrzyk bólu, zgiął się wpół, zdzielił pięścią osuwającego się Strike'a i obaj runęli na ziemię, przewracając wrzeszczących z oburzeniem ludzi, którzy stali obok. Gdy Strike wylądował na chodniku, jeden z kumpli Jimmy'ego usiłował kopnąć go w głowę. Strike chwycił chłopaka za stopę i ją wykręcił. W rosnącym zamieszaniu usłyszał krzyk trzeciej kobiety:

– Biją tego mężczyznę!

Strike był zbyt pochłonięty próbami pochwycenia połamanego kartonowego plakatu, by zainteresować się tym, czy został uznany za ofiarę, czy za agresora. Ciągnąc za plakat, który, podobnie jak on sam, był właśnie tratowany, zdołał podrzeć go na kawałki. Jeden z nich przyczepił się do obcasa wystraszonej kobiety w szpilkach, która próbowała uciec od bijatyki, i zniknął w oddali.

Strike poczuł, jak czyjeś palce zaciskają się od tyłu na jego szyi. Wymierzył łokciem w twarz Jimmy'ego i uścisk zelżał, lecz po chwili ktoś kopnął detektywa w brzuch, a drugi cios wylądował z tyłu jego głowy. Przed oczami zawirowały mu czerwone plamki.

Rozległy się kolejne krzyki, potem gwizd i tłum wokół nagle się przerzedził. Strike czuł smak krwi, lecz z tego, co zdołał zauważyć, w czasie bijatyki połamane szczątki plakatu Jimmy'ego zostały rozrzucone. Ręce Knighta znowu pełzły w stronę szyi Strike'a, ale po chwili napastnik został przez kogoś odciągnięty, klnąc potoczyście na cały głos. Zasapanego Strike'a również schwycono i podniesiono na nogi. Nie stawiał oporu. Wątpił, czy zdołałby utrzymać się w pionie o własnych siłach.

32

A my możemy teraz zasiąść do stołu. Pan pozwoli, panie rektorze.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Mercedes Chiswella skręcił z Saint James's Street w Pall Mall i ruszył wzdłuż Cleveland Row.

– Co się dzieje? – warknął Chiswell, gdy limuzyna zwolniła, a następnie się zatrzymała.

Krzyki, które było słychać, nie kojarzyły się z podekscytowanym, rozentuzjazmowanym tłumem, jakiego można się spodziewać w pobliżu przedstawicieli rodziny królewskiej albo celebrytów. Kilku umundurowanych policjantów biegło w stronę ludzi zgromadzonych po lewej stronie ulicy, którzy przepychali się i potrącali, próbując uciec od czegoś, co wyglądało na starcie policji z demonstrantami. Z wiru wynurzyli się dwaj rozchełstani

mężczyźni w dżinsach i koszulkach, prowadzeni przez wykręcających im ręce funkcjonariuszy: Jimmy Knight i jakiś chłopak z oklapniętymi jasnymi dredami.

Robin stłumiła okrzyk przerażenia, gdy po chwili jej oczom ukazał się kuśtykający, zakrwawiony Strike, również prowadzony przez policję. Awantura wśród ludzi za jego plecami bynajmniej nie ucichła, a nawet rozgorzała jeszcze bardziej. Zakołysała się barierka.

– Zatrzymaj się, ZATRZYMAJ SIĘ! – ryknął Chiswell do kierowcy, który właśnie próbował ruszyć. Minister opuścił szybę. – Otwórz drzwi... Venetio, otwieraj drzwi!... Ten człowiek! – zawołał Chiswell do stojącego nieopodal policjanta, który odwróciwszy się ze zdumieniem, zobaczył, że minister kultury krzyczy coś do niego i wskazuje Strike'a. – To mój gość... ten mężczyzna... Puśćcie go, do cholery!

Mając przed sobą służbowy samochód, ministra, władczy arystokratyczny głos i grube tłoczone zaproszenie, policjant zrobił, co mu kazano. Uwaga większości ludzi skupiła się na coraz brutalniejszym zajściu z udziałem policji i SGOO oraz na tratującym się i popychającym tłumie, który próbował od niej uciec. Dwaj fotoreporterzy oddzielili się od reszty dziennikarzy i biegli w stronę zamieszania.

– Izzy, przesuń się... Niech pan wsiada, NIECH PAN WSIADA! – warknął Chiswell na Strike'a znad opuszczonej szyby.

Robin przesunęła się, prawie siadając Izzy na kolanach, by zrobić miejsce Strike'owi, który gramolił się na tylne siedzenie. Drzwi się zatrzasnęły. Samochód ruszył.

– Kim pan jest? – pisnęła wystraszona Kinvara, przygwożdżona przez Izzy do drugich drzwi. – Co tu się dzieje?

– To prywatny detektyw – warknął Chiswell. Wyglądało na to, że jego decyzja o zaproszeniu Strike'a do auta została podyktowana

panicznym strachem. Odwracając się, żeby rzucić Cormoranowi wściekłe spojrzenie, spytał: – Co mi przyjdzie z tego, że pana aresztują, do cholery?

– Nie aresztowali mnie – odparł Strike, wycierając nos grzbietem dłoni. – Chcieli spisać zeznania. Knight mnie zaatakował, kiedy sięgnąłem po jego plakat. Dzięki – dodał, gdy Robin udało się w tym ścisku podać mu paczkę chusteczek, która leżała na półce za tylnym siedzeniem. Przycisnął jedną z nich do nosa. – Pozbyłem się plakatu – powiedział zza zakrwawionej chusteczki, lecz nikt mu nie pogratulował.

– Jasper – odezwała się Kinvara – co się dzie...

– Zamknij się – burknął Chiswell, nie patrząc w jej stronę. – Nie mogę pana wypuścić w obecności tych wszystkich ludzi – zwrócił się do Strike'a ze złością, jakby detektyw coś takiego zasugerował. – Tu też są dziennikarze... Będzie pan musiał iść na przyjęcie razem z nami. Załatwię to.

Samochód podjeżdżał już do barierki, przy której policja i pracownicy ochrony sprawdzali dowody tożsamości i zaproszenia.

– Nie odzywajcie się – rozkazał Chiswell. – Z a m k n i j s i ę – rzucił zapobiegawczo do Kinvary, która już otworzyła usta.

Przepuszczono czekającego z przodu bentleya i mercedes podjechał kilka metrów dalej.

Robin, czując ból w lewym biodrze i lewej nodze, przygniecionych znaczną częścią ciężaru ciała Strike'a, usłyszała dobiegający z tyłu wrzask. Odwracając się, zobaczyła biegnącą za limuzyną młodą kobietę i ścigającą ją policjantkę. Dziewczyna miała wściekle czerwone włosy, koszulkę z logo przedstawiającym połamane kółka olimpijskie i darła się w stronę samochodu Chiswella:

– Robił na nich pieprzonego konia, Chiswell! Robił na nich konia, ty kłamliwy, pieprzony złodzieju, ty m o r d e r c o...

– Przywiozłem gościa, do którego nie dotarło zaproszenie! – krzyknął Chiswell znad opuszczonej szyby do uzbrojonego policjanta przy barierce. – To Cormoran Strike, ma amputowaną nogę. Pisali o nim w gazetach. W ministerstwie było zamieszanie i nie wysłano zaproszenia. Książę – dodał z zapierającym dech zuchwalstwem – mówił, że bardzo chce go poznać!

Strike i Robin obserwowali scenę za samochodem. Dwoje policjantów złapało szamoczącą się Flick i poprowadziło ją w przeciwną stronę. Błysnęło kilka fleszy. Ustępując pod ciężarem ministerialnych nacisków, uzbrojony funkcjonariusz poprosił Strike'a o okazanie dowodu tożsamości. Strike, który zawsze nosił przy sobie kilka takich dokumentów, choć niekoniecznie z własnym nazwiskiem, podał mężczyźnie prawo jazdy. Z tyłu wydłużała się kolejka limuzyn. Za piętnaście minut miał przybyć książę. Wreszcie policjant pozwolił im przejechać.

– Nie powinien tego robić – mruknął Strike do Robin. – Nie powinien mnie wpuścić. Cholerne niedbalstwo.

Mercedes przeciął dziedziniec i w końcu zatrzymał się u stóp płaskich schodów przykrytych czerwonym dywanem i prowadzących do olbrzymiego budynku w miodowym kolorze przypominającego rezydencję. Po obu stronach schodów przygotowano podjazdy dla wózków inwalidzkich i pewien znany niepełnosprawny koszykarz był już w połowie jednego z nich.

Strike otworzył drzwi, wygramolił się z auta, po czym odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby pomóc Robin. Skorzystała z jego uprzejmości. Lewa noga, którą przygniatał Strike, prawie całkiem jej zdrętwiała.

– Miło znowu cię widzieć, Corm – powiedziała rozpromieniona Izzy, wysiadając za Robin.

– Cześć, Izzy – przywitał się Strike.

Chiswell obarczony towarzystwem detektywa, bez względu na to, czy mu się to podobało, czy nie, pospiesznie wszedł po schodach, by wyjaśnić jednemu ze stojących obok wejścia mężczyzn w liberiach, że Strike'a należy wpuścić mimo braku zaproszenia. Dotarły do nich słowa „po amputacji". Z kolejnych samochodów wokół wysiadali elegancko ubrani pasażerowie.

– O co tu chodzi? – odezwała się Kinvara, która okrążyła mercedesa, żeby zadać Strike'owi to pytanie. – Co tu się dzieje? Po co mojemu mężowi prywatny detektyw?

– Zamkniesz się wreszcie, głupia pindo?

Mimo że Chiswell niewątpliwie żył w stresie i nękały go rozmaite obawy, jego jawna wrogość w stosunku do żony zaszokowała Robin. „On jej nienawidzi" – pomyślała. „Naprawdę jej nienawidzi".

– Wy dwie, do środka. – Minister wskazał żonę i córkę. – Niech mi pan poda jeden dobry powód, dla którego powinienem dalej panu płacić – zwrócił się do Strike'a, gdy obok przechodzili kolejni goście. – Zdaje pan sobie sprawę – dodał z tłumioną wściekłością, opluwając krawat Strike'a kropelkami śliny – że właśnie zostałem nazwany cholernym mordercą w obecności dwudziestu osób, w tym dziennikarzy?

– Potraktują ją jak wariatkę – stwierdził Strike.

Jeśli to zapewnienie choć trochę podniosło Chiswella na duchu, nie dał tego po sobie poznać.

– Chcę pana widzieć jutro o dziesiątej rano – oznajmił minister. – Nie w moim gabinecie. Niech pan przyjdzie do mojego domu przy

Ebury Street. – Już miał odejść, lecz po namyśle zawrócił. – Pani też – warknął do Robin.

Stojąc ramię w ramię, patrzyli, jak Chiswell ciężkim krokiem wspina się po schodach.

– Wyleje nas, prawda? – szepnęła Robin.

– Powiedziałbym, że wszystko na to wskazuje – odrzekł Strike, który po wyjściu z samochodu zaczął odczuwać dotkliwy ból.

– Cormoran, co było na tym plakacie? – spytała Robin.

Strike zaczekał, aż minie ich kobieta w brzoskwiniowej szyfonowej sukience, po czym powiedział ściszonym głosem:

– Zdjęcie Chiswella wiszącego na szubienicy, a poniżej martwe dzieci. Ale jedno mnie zastanowiło.

– Co?

– Wszystkie dzieci były czarne.

Nadal wycierając nos, Strike sięgnął do kieszeni po papierosa, po czym przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i opuścił rękę z powrotem.

– Słuchaj, jeśli zjawi się ta cała Elspeth, równie dobrze możesz spróbować się dowiedzieć, co jeszcze wie na temat Winna. Dzięki temu łatwiej nam będzie uzasadnić kwotę na rachunku.

– Okej – zgodziła się Robin. – Tak na marginesie, z tyłu głowy leci ci krew.

Bezskutecznie próbując ją wytrzeć chusteczkami, które w samochodzie schował do kieszeni, detektyw pokuśtykał po schodach, idąc obok Robin.

– Nie powinniśmy się dziś razem pokazywać – powiedział, gdy przekroczyli próg i poraził ich blask w kolorach ochry, szkarłatu i złota. – Przy Ebury Street niedaleko domu Chiswella jest kawiarnia. Spotkajmy się tam jutro o dziewiątej. Będziemy mogli razem stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Śmiało, idź pierwsza.

Gdy jednak zaczęła się oddalać w stronę szerokich schodów w holu, zawołał za nią:

– A tak przy okazji, ładna sukienka!

33

A kogo pani nie potrafi oczarować – gdy zależy pani na tym?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Szeroki hol w rezydencji stanowił olbrzymią przestrzeń. Umieszczone pośrodku schody pokryte czerwono-złotą wykładziną prowadziły na balkon, z którego można było skręcić w prawo albo w lewo. Ściany obłożono chyba marmurem w kolorze ochry, zgaszonej zieleni i różu. Paraolimpijczyków kierowano do windy po lewej stronie drzwi, lecz utykający Strike mozolnie doczłapał do schodów i wspiął się po nich, raz po raz opierając się na poręczy. Niebo widoczne nad olbrzymim zdobionym świetlikiem podtrzymywanym przez kolumny bledło różnymi odcieniami technikoloru, które dodawały głębi barwom ciężkich weneckich obrazów o klasycznej tematyce, wiszących na wszystkich ścianach.

Starając się iść normalnie, żeby nikt nie wziął go za weterana paraolimpiad i nie poprosił o opisanie dawnych triumfów, Strike ruszył za tłumem zmierzającym w prawo, okrążył balkon i wszedł do niewielkiego przedpokoju z widokiem na dziedziniec, na którym stały zaparkowane służbowe samochody. Stamtąd kierowano gości w lewo, do podłużnej, przestronnej galerii wyścielonej jasnozieloną wykładziną w rozetowe wzory. Po obu stronach pomieszczenia wznosiły się wysokie okna, a prawie każdy centymetr białych ścian pokrywały obrazy.

– Coś do picia, proszę pana? – zaproponował kelner stojący tuż za drzwiami.

– To szampan? – spytał Strike.

– Angielskie wino musujące – odrzekł kelner.

Strike poczęstował się, choć bez entuzjazmu, i ruszył dalej przez tłum, mijając po drodze Chiswella i Kinvarę, którzy słuchali (albo raczej, jak przypuszczał Strike, udawali, że słuchają) sportowca na wózku inwalidzkim. Kinvara rzuciła Strike'owi szybkie, podejrzliwe spojrzenie z ukosa, gdy kierował się w głąb sali, mając nadzieję, że znajdzie tam krzesło albo coś, o co mógłby się wygodnie oprzeć. Niestety wisiało tu tyle obrazów, że opieranie się o ściany nie wchodziło w rachubę, a w zasięgu wzroku nie było nic, na czym można by usiąść, więc Strike postanowił odpocząć obok olbrzymiego malowidła hrabiego d'Orsaya przedstawiającego królową Wiktorię na jabłkowitym koniu. Popijając wino musujące, próbował dyskretnie zatamować krew, która nadal ciekła mu z nosa, i wytrzeć najgorszy brud ze spodni.

Kelnerzy krążyli, roznosząc tace z maleńkimi kanapkami. Strike zdołał zgarnąć dwa miniaturowe kotleciki krabowe, po czym wrócił do obserwacji otoczenia i zauważył następny imponujący świetlik, tym razem podtrzymywany przez kilka pozłacanych palm.

W pomieszczeniu wyczuwało się osobliwą energię. Lada chwila miał się pojawić książę i wesołość gości wzbierała i odpływała nerwowymi falami połączonymi z coraz częstszym zerkaniem w stronę drzwi. Ze swojego punktu obserwacyjnego obok królowej Wiktorii Strike dostrzegł majestatyczną postać w bladożółtej sukience, stojącą prawie dokładnie naprzeciw niego, niedaleko zdobionego czarno-złotego kominka. Jedną ręką delikatnie trzymała smycz biszkoptowej labradorki, która lekko dysząc, siedziała u jej stóp w zatłoczonej sali. Strike nie od razu poznał Dellę, ponieważ nie miała okularów przeciwsłonecznych, lecz protezy. Nieco zapadnięte, matowe sztuczne oczy koloru błękitnej porcelany nadawały jej dziwnie niewinny wygląd. Geraint stał niedaleko

żony, paplając coś do chudej, myszowatej kobiety, która gorączkowo wodziła wzrokiem, rozglądając się w poszukiwaniu kogoś, kto by ją uratował.

Nagle za drzwiami, przez które wszedł Strike, zapadła cisza. Zobaczył czubek rudej głowy i gąszcz garniturów. Onieśmielenie rozprzestrzeniało się w zatłoczonym pomieszczeniu niczym podmuch zmieniający ludzi w kamień. Strike dojrzał, jak czubek rudej głowy oddala się w stronę prawego krańca sali. Nadal sącząc angielskie wino i zastanawiając się, która z pań w pomieszczeniu jest członkinią zarządu fundacji i posiada kompromitujące informacje na temat Gerainta Winna, detektyw nagle zwrócił uwagę na stojącą nieopodal wysoką kobietę zwróconą do niego plecami.

Długie ciemne włosy upięła w niedbały kok i w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych obecnych tu pań nie miała na sobie kreacji, która kojarzyła się z najlepszym ciuchem w szafie. Jej prosta czarna sukienka do kolan była tak zwyczajna, że wręcz skromna, a na gołe nogi kobieta wsunęła sięgające do kostki szpilki z odkrytym palcem. Przez ułamek sekundy myślał, że mu się przywidziało, lecz wtedy się poruszyła i już był pewny, że to ona. Zanim zdążył się oddalić, odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

Jej policzki, zwykle blade jak kamea, oblały się rumieńcem. Była w zaawansowanej ciąży. Ten stan uwidocznił się jedynie pod postacią nabrzmiałego brzucha. Twarz i kończyny miała szczupłe jak zawsze. Była najmniej wystrojona ze wszystkich kobiet w sali, lecz z całą pewnością wyglądała najpiękniej. Przez kilka sekund przyglądali się sobie nawzajem, po czym nieśmiało zrobiła kilka kroków w jego stronę, a rumieniec zniknął z jej twarzy równie szybko, jak się pojawił.

– Corm?

– Witaj, Charlotte.

Jeśli przyszło jej do głowy, by pocałować go na powitanie, to jego kamienny wyraz twarzy skutecznie ją do tego zniechęcił.

– Co ty tu robisz, na Boga?

– Zaprosili mnie – skłamał. – Celebryta bez nogi. A ty?

Wydawała się oszołomiona.

– Siostrzenica Jago jest paraolimpijką. Chyba poszła...

Charlotte rozejrzała się, jakby próbowała znaleźć wspomnianą siostrzenicę, i upiła łyk wody. Jej dłoń drżała. Kilka kropli wylało się ze szklanki. Zobaczył, jak rozpryskują się na jej nabrzmiałym brzuchu niczym szklane koraliki.

– No, w każdym razie gdzieś tu jest. – Zaśmiała się nerwowo. – Cierpi na porażenie mózgowe i jest naprawdę niezwykła, wspaniale jeździ konno. Jej ojciec pojechał do Hongkongu, więc jej mama zaprosiła mnie zamiast niego.

Milczenie Cormorana coraz bardziej ją stresowało. Paplała dalej:

– Rodzina Jago chce, żebym wychodziła z domu i brała udział w różnych imprezach, ale szwagierka jest na mnie zła, bo pomyliły mi się terminy. Myślałam, że dziś wieczorem jest kolacja w Shardzie, a to przyjęcie będzie jutro, więc nie mam odpowiedniego stroju na spotkanie z członkami rodziny królewskiej, ale byłam już spóźniona i nie zdążyłam się przebrać.

Wskazała bezradnie swoją zwyczajną czarną sukienkę i botki na szpilkach.

– Jago nie przyszedł z tobą?

W jej nakrapianych złotymi plamkami zielonych oczach pojawił się lekki błysk.

– Nie, jest w Stanach.

Uwaga Charlotte skupiła się na jego górnej wardze.

– Biłeś się?

– Nie – zaprzeczył, znowu wycierając nos grzbietem dłoni. Wyprostował się i ostrożnie przeniósł ciężar ciała z powrotem na protezę, gotów, by odejść. – Miło było cię...

– Corm, nie idź jeszcze – powiedziała, wyciągając rękę. Jej palce nie dotknęły jego rękawa, cofnęła dłoń. – Nie idź, jeszcze nie teraz, bo... Zrobiłeś tyle niesamowitych rzeczy. Czytałam o tym w gazetach.

Gdy widzieli się po raz ostatni, też krwawił – wtedy jednak powodem była rzucona popielniczka, która trafiła go w twarz, kiedy oznajmił, że odchodzi. Pamiętał esemesa: „Było twoje", wysłanego w przeddzień jej ślubu z Rossem i odnoszącego się do innego dziecka, które, jak twierdziła, nosiła w brzuchu, lecz które zniknęło, zanim kiedykolwiek ujrzał dowód na jego istnienie. Pamiętał też zdjęcie, które przesłała mu do agencji kilka minut po tym, jak powiedziała „tak" Jago Rossowi: przedstawiało ją samą, piękną i przerażoną, podobną do rytualnej ofiary.

– Gratulacje – powiedział, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Jestem taka ogromna, bo to bliźnięta.

W przeciwieństwie do innych ciężarnych kobiet, które widywał, nie dotknęła brzucha, mówiąc o dzieciach, lecz spojrzała w dół, jakby była lekko zdziwiona zmianą, jaka zaszła w jej ciele. Gdy byli ze sobą, nigdy nie chciała mieć dzieci. W tej kwestii się zgadzali. Dziecko, które według jej słów było jego, niemile zaskoczyło ich obydwoje.

Strike wyobraził sobie potomstwo Jago Rossa, skulone pod czarną sukienką niczym dwoje białych szczeniąt, nie do końca ludzkich, emisariuszy swojego ojca, który przypominał rozwiązłego lisa polarnego. Cormoran poczuł się zadowolony – o ile tak pozbawione radości emocje można nazwać zadowoleniem. Wszelkie

utrudnienia, przeszkody były mile widziane, ponieważ właśnie stało się dla niego jasne, że grawitacyjne przyciąganie Charlotte, które tak długo na niego oddziaływało, nawet po setkach kłótni i scen oraz tysiącach kłamstw, nie straciło jeszcze całej mocy. Jak zwykle miał wrażenie, że te zielone oczy w złote plamki doskonale wiedzą, co się dzieje w jego głowie.

– Miną całe wieki, zanim się urodzą. Robiłam USG, to chłopiec i dziewczynka. Jago cieszy się z chłopca. Przyszedłeś tu sam?

– Tak.

Mówiąc to, zauważył błysk zieleni nad ramieniem Charlotte. Robin właśnie prowadziła wesołą rozmowę z ubraną w purpurową sukienkę z brokatu myszowatą kobietą, której wreszcie udało się uwolnić od Gerainta.

– Ładna – skomentowała Charlotte, która spojrzała w tę samą stronę, żeby sprawdzić, co zwróciło jego uwagę. Zawsze miała nadprzyrodzoną umiejętność wyczuwania choćby najmniejszego zainteresowania, jakie budziły w nim inne kobiety. – Nie, zaczekaj – powiedziała powoli. – Czy to nie ta dziewczyna, która u ciebie pracuje? Pisali o niej w gazetach... Jak ona ma na imię...? Rob...

– Nie – uciął Strike. – To nie ona.

Wcale go nie zdziwiło, że Charlotte zapamiętała imię Robin ani że ją rozpoznała mimo orzechowych szkieł kontaktowych. Od początku wiedział, że będzie śledziła jego poczynania.

– Zawsze podobały ci się dziewczyny z taką karnacją, prawda? – spytała Charlotte z pewną sztuczną wesołością. – Ta Amerykaneczka, z którą zacząłeś się spotykać po tym, jak rzekomo rozstaliśmy się w Niemczech, miała takie same...

Niedaleko rozległ się stłumiony okrzyk.

– O mój Boże, C h a r l i e!

Rozpromieniona Izzy Chiswell szła w ich stronę, a kolor jej zaróżowionej twarzy gryzł się z pomarańczową sukienką. Strike przypuszczał, że wypiła już więcej niż jeden kieliszek wina.

– Witaj, Izz – odezwała się Charlotte z wymuszonym uśmiechem. Strike niemal czuł, ile wysiłku kosztuje ją wyplątanie się z gmatwaniny dawnych urazów i ran, która powoli zadusiła ich związek.

Znowu był gotów sobie pójść, lecz tłum się rozstąpił i nagle książę Harry ukazał się w całej swej hiperrealistycznej znajomej postaci jakieś trzy metry od miejsca, w którym Strike stał obok dwóch kobiet. Oddalając się, detektyw zwróciłby na siebie uwagę połowy osób na sali. Schwytany w pułapkę, zaskoczył przechodzącego obok kelnera, wyciągając długą rękę po kolejny kieliszek wina. Przez kilka sekund Charlotte i Izzy obserwowały księcia. Potem, gdy stało się jasne, że w najbliższym czasie Harry do nich nie podejdzie, ponownie zwróciły się w swoją stronę.

– Już widać! – stwierdziła Izzy, podziwiając brzuch Charlotte. – Byłaś na USG? Znasz już płeć?

– To będą bliźniaki – oznajmiła bez entuzjazmu Charlotte. Wskazała Strike'a. – Pamiętasz...

– Corm, no jasne, oczywiście, to my go tutaj przywieźliśmy! – powiedziała z uśmiechem Izzy, najwyraźniej nieświadoma, że dopuszcza się niedyskrecji.

Charlotte odwróciła się od dawnej szkolnej koleżanki w stronę swojego byłego i Strike poczuł, jak węszy w powietrzu w poszukiwaniu powodu, dla którego miałby przyjechać razem z Izzy. Przesunęła się lekko, z pozoru włączając Izzy do rozmowy, lecz tak naprawdę zagradzając Strike'owi drogę, żeby nie mógł odejść, nie poprosiwszy którejś z nich, by się odsunęła.

– Ach, zaraz, oczywiście. Prowadziłeś dochodzenie w sprawie śmierci Freddiego w akcji, prawda? – zapytała. – Pamiętam, jak mi o tym wspominałeś. Biedny Freddie.

Izzy przyjęła ten hołd dla brata, lekko unosząc kieliszek, po czym spojrzała nad ramieniem Charlotte w stronę księcia Harry'ego.

– Z każdym dniem robi się seksowniejszy, nie uważasz? – szepnęła.

– Ale ma rude włosy łonowe, skarbie – odrzekła Charlotte ze śmiertelną powagą.

Strike uśmiechnął się wbrew swojej woli. Izzy parsknęła śmiechem.

– A skoro o tym mowa – podjęła Charlotte (nigdy nie dawała po sobie poznać, że wie, że powiedziała coś zabawnego) – czy to nie Kinvara Hanratty?

– Moja upiorna macocha? Tak – potwierdziła Izzy. – Znasz ją?

– Moja siostra sprzedała jej konia.

W ciągu szesnastu lat przerywanego i wznawianego związku z Charlotte Strike uczestniczył w niezliczonych pogawędkach tego typu. Nawet jeśli rozmówczynie nie znały się osobiście, znały swoich braci, siostry, kuzynów, przyjaciół albo kolegów z klasy, bądź też ich rodzice znali czyichś rodziców: wszyscy byli powiązani, tworzyli rodzaj sieci będącej środowiskiem wrogim dla ludzi z zewnątrz. Mieszkańcy tego środowiska rzadko wypuszczali się poza nie, by szukać towarzystwa lub miłości wśród reszty społeczeństwa. Charlotte była w tym gronie wyjątkiem, ponieważ wybrała kogoś tak trudnego do sklasyfikowania jak Strike, którego niewidzialny urok i niski status stanowiły – jak doskonale wiedział – przedmiot wiecznej debaty prowadzonej przez przerażoną większość jej przyjaciół i krewnych.

– Mam nadzieję, że Amelia nie lubiła tego konia – powiedziała Izzy – bo przy Kinvarze zejdzie na psy. Beznadziejna ręka i paskudny dosiad, ale wydaje jej się, że jest drugą Charlotte Dujardin. Jeździsz konno, Cormoran? – spytała.

– Nie – odparł Strike.

– Nie ma zaufania do koni. – Charlotte uśmiechnęła się do niego.

Nie odpowiedział. Nie miał ochoty nawiązywać do starych dowcipów i wspólnych wspomnień.

– Kinvara jest wściekła, spójrzcie na nią – zauważyła Izzy z pewną satysfakcją. – Przed chwilą tata wyraźnie dał do zrozumienia, że spróbuje namówić mojego brata Raffa, by przejął po mnie stanowisko. W s p a n i a l e, właśnie na to liczyłam. Dotąd tata pozwalał, żeby Kinvara rozkazywała mu, jak ma postępować z Raffem, ale ostatnio zaczął robić to, co sam uważa za słuszne.

– Chyba poznałam Raphaela – stwierdziła Charlotte. – Nie pracował przypadkiem w galerii Henry'ego Drummonda ze dwa miesiące temu?

Strike rzucił okiem na zegarek, a potem znów rozejrzał się po sali. Książę oddalał się od części pomieszczenia, w której stali. Nigdzie nie było widać Robin. Jeśli dopisało im szczęście, poszła do toalety za członkinią zarządu, która dysponowała kompromitującymi informacjami na temat Winna, i właśnie słuchała jej zwierzeń przy umywalce.

– O Boże – powiedziała Izzy. – Uważajcie. Cholerny Geraint... Dzień dobry, Geraint!

Wkrótce stało się jasne, że Winnowi chodzi o Charlotte.

– Dzień dobry, dzień dobry – przywitał się, patrząc na nią przez upaćkane szkła okularów. Jego bezwargowy uśmiech przypominał lubieżny grymas. – Właśnie wskazała mi panią pani siostrzenica. Cóż za wyjątkowa młoda kobieta, naprawdę wyjątkowa. Nasza

fundacja wspiera drużynę jeździecką. Nazywam się Geraint Winn – przedstawił się, wyciągając rękę. – Fundacja Równe Szanse.

– Aha – odrzekła Charlotte. – Dzień dobry.

Strike przez lata obserwował, jak studzi zapał napalonych mężczyzn. Odnotowawszy obecność Gerainta, wpatrywała się chłodno w jego twarz, jakby nie miała pojęcia, dlaczego ten człowiek nadal przebywa w jej pobliżu.

W kieszeni Strike'a zawibrowała komórka. Sięgając po nią, zobaczył nieznany numer. Miał pretekst, żeby odejść.

– Przepraszam, muszę iść. Przepuścisz mnie, Izzy?

– Och, jaka szkoda – nadąsała się Izzy. – Chciałam ci zadać mnóstwo pytań o Rozpruwacza z Shacklewell!

Strike zobaczył, jak Geraint wytrzeszcza oczy. Przeklinając ją w duchu, powiedział:

– Dobranoc. Cześć – dodał, zwracając się do Charlotte.

Odchodząc najszybciej, jak umiał, odebrał połączenie, lecz zanim przyłożył telefon do ucha, rozmówca się rozłączył.

– Corm.

Ktoś lekko dotknął jego ramienia. Odwrócił się. Charlotte poszła za nim.

– Ja też wychodzę.

– A siostrzenica Jago?

– Spotkała Harry'ego, będzie zachwycona. W zasadzie to za mną nie przepada, jak oni wszyscy. Co się stało z twoją komórką?

– Upadłem na nią.

Szedł dalej, lecz Charlotte miała długie nogi i nadążała za nim bez trudu.

– Charlotte, raczej nie idę w tym kierunku co ty.

– Musimy pokonać razem dwieście metrów, chyba że zamierzasz wyjść tunelem.

W milczeniu kuśtykał dalej. Po lewej znowu błysnął mu zielony kolor. Gdy dotarli do szerokich schodów w holu, Charlotte wyciągnęła rękę i złapała go lekko za ramię, chwiejąc się na obcasach zupełnie nieodpowiednich dla ciężarnej kobiety. Powstrzymał gwałtowną chęć strącenia jej dłoni.

Znowu zadzwonił jego telefon. Na ekranie wyświetlił się ten sam nieznany numer. Charlotte przystanęła obok i skupiła spojrzenie na jego twarzy.

Gdy tylko przystawił komórkę do ucha, usłyszał rozpaczliwy, przejmujący krzyk:

– O n i m n i e z a b i j ą , p a n i e S t r i k e , n i e c h m i p a n p o m o ż e , p r o s z ę , n i e c h m i p a n p o m o ż e ...!

34

Lecz kto mógł przewidzieć, co nastąpi? Ja w każdym razie nie.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Mglista, bezchmurna zapowiedź kolejnego letniego dnia nie przełożyła się jeszcze na rzeczywiste ciepło, gdy nazajutrz rano Robin zjawiła się w kawiarni niedaleko domu Chiswella. Mogła wybrać jeden z okrągłych stolików na chodniku, lecz zamiast tego przycupnęła w kącie kawiarni, gdzie miała się spotkać ze Strikiem, i chcąc się rozgrzać, objęła dłońmi kubek z latte. Jej odbicie w ekspresie ciśnieniowym było blade i zaspane.

Z jakiegoś powodu wiedziała, że Strike'a jeszcze nie będzie. Czuła się jednocześnie przygnębiona i podenerwowana. Wolałaby nie siedzieć sam na sam ze swoimi myślami, lecz tak to się niestety skończyło: towarzystwa dotrzymywało jej tylko syczenie ekspresu,

zmarzła mimo żakietu, który zabrała, wychodząc z domu, i nękały ją obawy związane z czekającą ich rozmową z Chiswellem – po katastrofie, jaką była bójka Strike'a z Jimmym Knightem, minister mógł zakwestionować rachunek.

Martwiło ją jednak coś jeszcze. Tego ranka obudziła się z zagmatwanego snu, w którym pojawiła się mroczna postać Charlotte Ross w botkach na szpilkach. Na przyjęciu Robin natychmiast ją rozpoznała. Starała się nie obserwować byłych narzeczonych, gdy ze sobą rozmawiali, i złościła się na siebie, że tak bardzo ją interesowało, co się między nimi dzieje, a jednak nawet gdy przechodziła od grupki do grupki, bezwstydnie wkręcając się do rozmów i mając nadzieję, że znajdzie nieuchwytną Elspeth Curtis-Lacey, ciągle szukała wzrokiem Strike'a i Charlotte. A kiedy wyszli razem z przyjęcia, poczuła w brzuchu paskudne łaskotanie, jakby runęła winda.

Wróciła do domu, nie będąc w stanie myśleć o niczym innym, a potem miała z tego powodu poczucie winy. Gdy Matthew wyszedł z kuchni, jedząc kanapkę, odniosła wrażenie, że mąż jest w domu od niedawna. Otaksował wzrokiem zieloną sukienkę zupełnie jak Kinvara. Chciała go wyminąć i pójść na górę, lecz przesunął się, żeby zagrodzić jej drogę.

– Robin, daj spokój. Proszę, porozmawiajmy.

Poszli zatem do salonu i porozmawiali. Zmęczona konfliktem, przeprosiła Matthew, że zraniła jego uczucia, nie przychodząc na mecz krykieta, i że zapomniała włożyć obrączkę w ich rocznicowy weekend. Matthew wyraził żal z powodu tego, co powiedział podczas niedzielnej kłótni, zwłaszcza o jej braku osiągnięć.

Robin miała wrażenie, że przesuwają figury szachowe na tablicy drżącej przed trzęsieniem ziemi. „Już za późno. Chyba wiesz, że to

wszystko nie ma już znaczenia?”

Gdy jednak rozmowa dobiegła końca, Matthew spytał:

– Więc między nami wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała.

Wstał, podał jej rękę i pomógł podnieść się z krzesła. Zmusiła się do uśmiechu, a wtedy ją pocałował, mocno, w usta, i szarpnął za zieloną sukienkę. Usłyszała, jak materiał wzdłuż zamka się rozdziera, a gdy zaprotestowała, Matthew znowu zamknął jej usta pocałunkiem.

Wiedziała, że może go powstrzymać, wiedziała, że Matthew czeka, aż ona go powstrzyma, że poddaje ją brzydkiemu, podstępnemu sprawdzianowi, że w razie czego wszystkiemu by zaprzeczył i stwierdził, że to on jest ofiarą manipulacji. Była na niego wściekła, że robi to w taki sposób. Jakaś część niej chciała być kobietą, która potrafiłaby oddzielić się od własnego obrzydzenia i niechętnego ciała, ale ona zbyt długo i zbyt zaciekle walczyła o odzyskanie władzy nad swoim ciałem, by kupczyć nim w taki sposób.

– Nie – powiedziała, odpychając go. – Nie chcę.

Natychmiast ją wypuścił, dokładnie tak, jak przewidziała, z miną wyrażającą złość i triumf. Nagle sobie uświadomiła, że wcale nie udało jej się go oszukać, gdy uprawiali seks w ich rocznicowy weekend, i paradoksalnie wzbudziło to w niej czułość.

– Przepraszam – mruknęła. – Jestem zmęczona.

– Tak – odrzekł Matthew. – Ja też.

I wyszedł z pokoju, zostawiając Robin z uczuciem chłodu na plecach w miejscu, w którym rozdarła się zielona sukienka.

Gdzie, do cholery, podziewał się Strike? Było pięć po dziewiątej i potrzebowała towarzystwa. Poza tym chciała się dowiedzieć, co się wydarzyło po tym, jak wyszedł z przyjęcia razem z Charlotte.

Wszystko byłoby lepsze od siedzenia w kawiarni i rozmyślania o Matthew.

Zadzwonił telefon, jakby ściągnęła Strike'a myślami.

– Przepraszam – rzucił, zanim zdążyła się odezwać. – Podejrzany pakunek na cholernej stacji Green Park. Utknąłem w metrze na dwadzieścia minut i dopiero teraz złapałem zasięg. Przyjdę najszybciej, jak się da, ale chyba będziesz musiała zacząć beze mnie.

– O Boże – westchnęła Robin, zamykając zmęczone oczy.

– Przepraszam – powtórzył Strike. – Jestem w drodze. Muszę ci o czymś powiedzieć. Wczoraj wieczorem wydarzyło się coś dziwnego... O, ruszamy. Do zobaczenia niedługo.

Rozłączył się, zostawiając ją z perspektywą samotnego stawienia czoła pierwszym porywom złości Jaspera Chiswella. Na domiar złego Robin nadal zmagała się z nieokreślonym strachem i przygnębieniem wirującymi wokół pięknej ciemnowłosej kobiety, która w kwestii Strike'a wyprzedzała ją o szesnaście lat wiedzy i wspomnień. „I co z tego?" – powtarzała sobie Robin. „Na litość boską, czy nie masz wystarczająco dużo problemów i bez martwienia się o życie uczuciowe Strike'a? Przecież to nie ma z tobą nic wspólnego..."

Nagle poczuła zaprawione poczuciem winy łaskotanie na ustach, na których wylądował chybiony pocałunek Strike'a przed szpitalem. Jakby mogła go zmyć, dopiła resztę kawy, wstała i wyszła z kawiarni na szeroką, prostą ulicę, wzdłuż której ciągnęły się dwa symetryczne szeregi identycznych dziewiętnastowiecznych domów.

Maszerowała żwawym krokiem – nie dlatego, że było jej spieszno przyjąć na siebie ciężar złości i rozczarowania Chiswella, lecz dlatego, że działanie sprzyjało rozproszeniu niewygodnych myśli.

Dotarła do domu ministra o umówionej porze i zatrzymała się na kilka pełnych nadziei sekund obok lśniących czarnych drzwi wejściowych, w razie gdyby Strike miał się zjawić w ostatniej chwili. Nie zjawił się. Wzięła się zatem w garść, weszła po trzech czystych białych stopniach i zapukała do drzwi, które były lekko uchylone. Stłumiony męski głos krzyknął coś, co znaczyło chyba „proszę".

Robin weszła do małego, obskurnego korytarza, w którym dominowały schody mogące przyprawić o zawrót głowy. Oliwkowa tapeta była poszarzała i miejscami odchodziła od ściany. Robin zostawiła drzwi w takiej pozycji, w jakiej je zastała, i zawołała:

– Panie ministrze?

Nie odpowiedział. Zapukała lekko w drzwi po prawej i je otworzyła.

Czas się zatrzymał. Miała wrażenie, że ta scena rozwija się przed nią, przedzierając się przez jej siatkówki w stronę nieprzygotowanego na to umysłu, a doznany wstrząs zatrzymał ją w drzwiach z ręką znieruchomiałą na klamce i lekko otwartymi ustami, próbującą pojąć widok, który ukazał się jej oczom.

Po krótkiej walce rozum Robin pojął, że nie ma przed sobą rzepy, lecz ludzką głowę owiniętą przezroczystym foliowym workiem, z którego wystawała rura łącząca go z dużą metalową butlą. Mężczyzna wyglądał, jakby się udusił. Jego lewa stopa leżała bokiem na dywanie, ukazując niewielką dziurę w podeszwie kapcia, grube palce rąk dyndały, prawie dotykając dywanu, a w okolicach pachwiny widniała plama powstała wskutek opróżnienia pęcherza.

Po chwili Robin zrozumiała, że człowiekiem siedzącym na krześle jest Chiswell, że jego gęsta, siwa czupryna przylgnęła do twarzy

w próżni powstałej wewnątrz worka, a rozwarte usta zassały fragment folii i dlatego zieje w nich taka ciemność.

35

Białego konia! W jasny dzień!

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Gdzieś w oddali, przed domem, krzyknął jakiś mężczyzna. Brzmiał jak robotnik i pewną częścią umysłu Robin zrozumiała, że to właśnie jego usłyszała, czekając na zaproszenie do środka. Drzwi po prostu zostawiono uchylone.

Nie wpadła w panikę, choć byłoby to całkiem zrozumiałe. Bez względu na to, jak przerażający był widok okropnego manekina z głową jak rzepa i wystającą z niej rurą, nic jej tutaj nie groziło, ta nieszczęsna, pozbawiona życia postać nie mogła zrobić jej krzywdy. Wiedząc, że musi sprawdzić, czy mężczyzna faktycznie nie żyje, podeszła do Chiswella i delikatnie dotknęła jego ramienia. Było jej łatwiej, gdyż nie widziała jego oczu: sztywne włosy zasłoniły je niczym końska grzywa. Ciało pod koszulą w prążki było twarde i chłodniejsze, niż się spodziewała.

Po chwili wyobraziła sobie jednak, że te rozdziawione usta zaczynają mówić, i szybko zrobiła kilka kroków do tyłu, a jej stopa wylądowała z chrupnięciem na czymś twardym i Robin lekko się poślizgnęła. Rozdeptała jasnoniebieską plastikową fiolkę z lekami leżącą na dywanie. Rozpoznała tabletki homeopatyczne, które widywała w swojej lokalnej aptece.

Wyjęła komórkę, wybrała numer 999 i poprosiła o połączenie z policją. Wyjaśniła, że znalazła zwłoki, podała adres i usłyszała,

że za chwilę ktoś przyjedzie.

Starając się nie skupiać uwagi na Chiswellu, patrzyła na postrzępione zasłony w nieokreślonym burym kolorze, obszyte smutnymi pomponikami, na bardzo stary telewizor w obudowie ze sztucznego drewna, na pociemniałą tapetę nad kominkiem, gdzie kiedyś wisiał obraz, i na zdjęcia w srebrnych ramkach. Głowa w foliowym worku, gumowa rura i zimny połysk metalowej butli zdawały się jednak zmieniać tę codzienną normalność w tekturowe tło. Tylko koszmar był prawdziwy.

Robin włączyła zatem aparat w telefonie i zaczęła robić zdjęcia. Odgrodzenie się od tej sceny soczewką złagodziło strach. Dokumentowała ją powoli i metodycznie.

Na stoliku do kawy naprzeciw zwłok stała szklanka z kilkoma milimetrami czegoś, co wyglądało na sok pomarańczowy. Obok leżały rozrzucone książki i kartki. Był wśród nich arkusz grubego kremowego papieru listowego, opatrzony u góry różą Tudorów przypominającą kroplę krwi i drukowanym adresem domu, w którym właśnie stała Robin. Ktoś napisał okrągłymi, dziewczęcymi literami:

> *Dziś miara się dopełniła. Umieściłeś tę dziewczynę w swoim biurze, tuż przed moim nosem. Uważasz mnie za idiotkę? Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś śmieszny, jak ludzie z ciebie drwią, gdy uganiasz się za dziewczyną młodszą od twoich córek.*
>
> *Mam dość. Rób z siebie głupca, mnie to już nie obchodzi, to koniec.*
>
> *Wyjeżdżam do Woolstone. Gdy zadbam o konie, zniknę stamtąd na dobre. Twoje przeklęte okropne dzieci się ucieszą, ale czy ty też będziesz szczęśliwy, Jasper? Wątpię, tylko że teraz jest już za późno.*
>
> *K.*

Gdy Robin pochyliła się, żeby zrobić zdjęcie listu, usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych i odwróciła się gwałtownie, wydając z siebie zduszony okrzyk. Na progu stał Strike, wielki, nieogolony,

wciąż w garniturze, który miał na sobie podczas przyjęcia. Wpatrywał się w postać na krześle.

– Policja już jedzie – poinformowała Robin. – Wezwałam ich przed chwilą.

Strike ostrożnie wszedł do środka.

– Jasna cholera.

Zauważył pokruszoną fiolkę z tabletkami na podłodze, przeszedł nad nią, po czym przyjrzał się rurze i twarzy w foliowym worku.

– Raff wspominał, że jego ojciec dziwnie się zachowywał – powiedziała Robin – ale chyba nie przyszło mu do głowy...

Strike milczał. Nadal oglądał zwłoki.

– Miał to wczoraj wieczorem?

– Co?

– To. – Strike wskazał palcem.

Na grzbiecie dłoni Chiswella widniał półkolisty ślad, ciemnoczerwony na tle szorstkiej, bladej skóry.

– Nie pamiętam – odparła Robin.

Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, co się stało, i miała trudności z poukładaniem myśli, które unosiły się niezakotwiczone i rozproszone w jej głowie: Chiswell warczący do policjanta znad opuszczonej szyby samochodu, by wpuścił Strike'a na przyjęcie, Chiswell nazywający Kinvarę głupią pindą, Chiswell domagający się spotkania dziś rano. Oczekiwanie, że zapamiętała, jak wyglądały grzbiety jego dłoni, było niedorzeczne.

– Hm – mruknął Strike. Zauważył komórkę w ręce Robin. – Zrobiłaś zdjęcia?

Kiwnęła głową.

– Wszystkiego? – spytał, wykonując gest w stronę stolika. – Tego też? – dodał, wskazując fiolkę na dywanie.

– Tak. To moja wina. Nadepnęłam na nią.

– Jak tu weszłaś?

– Drzwi nie były zamknięte na klucz. Myślałam, że zostawił je uchylone z myślą o nas – powiedziała Robin. – Na ulicy krzyknął jakiś robotnik i wydało mi się, że Chiswell mówi „proszę". Myślałam, że...

– Nie ruszaj się stąd – polecił Strike.

Wyszedł z pokoju. Usłyszała, jak wchodzi po schodach, a po chwili na piętrze rozległy się jego ciężkie kroki. Wiedziała jednak, że nikogo tam nie znajdzie. Czuła brak życia przenikający wszystko w tym domu, jego wątłą, papierową nierealność. I rzeczywiście, Strike wrócił niespełna pięć minut później, kręcąc głową.

– Nikogo tu nie ma.

Minął ją i wszedł do pomieszczenia sąsiadującego z salonem. Słysząc odgłos kroków na płytkach, domyśliła się, że to kuchnia.

– Całkiem pusto – stwierdził, wracając.

– Co się stało wczoraj wieczorem? – spytała Robin. – Wspomniałeś, że zdarzyło się coś dziwnego.

Chciała porozmawiać o czymś innym niż okropna postać, która zdominowała pokój swoją martwą groteskowością.

– Zadzwonił do mnie Billy. Powiedział, że jacyś ludzie próbują go zabić... że go ścigają. Mówił, że jest w budce telefonicznej na Trafalgar Square. Szukałem go, ale nie znalazłem.

– Aha.

Więc jednak nie był z Charlotte. Nawet w tak ekstremalnej sytuacji odnotowała ten fakt i poczuła zadowolenie.

– A to co, do cholery? – odezwał się Strike ściszonym głosem, spoglądając nad jej ramieniem w stronę rogu pokoju.

W ciemnym kącie stała oparta o ścianę skrzywiona szpada. Wyglądała, jakby wygięto ją siłą albo jakby ktoś specjalnie na niej

stanął. Strike ostrożnie okrążył zwłoki, żeby się jej przyjrzeć, ale po chwili usłyszeli, jak przed domem zatrzymuje się radiowóz, i detektyw się wyprostował.

– Oczywiście powiemy im o wszystkim.

– Tak – zgodziła się Robin.

– Ale nie o pluskwach. Cholera... znajdą je w biurze...

– Nie znajdą – uspokoiła go. – Wczoraj zabrałam je do domu, na wypadek gdybym musiała się stamtąd ulotnić z powodu dziennikarzy z „Sun".

Zanim zdążył wyrazić podziw dla jej dalekowzroczności, ktoś głośno zapukał do drzwi.

– No to było miło, nie? – powiedział Strike z ponurym uśmiechem, ruszając w stronę przedpokoju. – Kiedy nie pisały o nas gazety.

CZĘŚĆ DRUGA

36

Można przemilczeć to, co zaszło, albo przynajmniej interpretować jako [...].

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Sprawa Chiswella zachowała swój wyjątkowy charakter, nawet gdy ich klienta nie było już wśród żywych.

Kiedy ciało denata objęły standardowe żmudne procedury i formalności, Strike'a i Robin przewieziono z Ebury Street do Scotland Yardu, gdzie poddano ich osobnym przesłuchaniom. Strike domyślał się, że po śmierci ministra przez londyńskie redakcje informacyjne przeszło tornado spekulacji – i się nie mylił: kiedy po sześciu godzinach wyszli ze Scotland Yardu, w telewizji i radiu opowiadano o barwnych szczegółach z prywatnego życia Chiswella, a po otwarciu internetowych wyszukiwarek w telefonach ukazały im się zwięzłe wiadomości ze stron serwisów informacyjnych oraz rozprzestrzeniająca się na blogach i w mediach społecznościowych plątanina barokowych teorii, w których niezliczeni rysunkowi Chiswellowie ginęli z rąk mnóstwa przeróżnych nieokreślonych

wrogów. Wracając taksówką na Denmark Street, Strike czytał o tym, że skorumpowanego kapitalistę Chiswella zamordowała rosyjska mafia, której nie zapłacił odsetek od jakiejś podejrzanej nielegalnej transakcji, podczas gdy Chiswell obrońca solidnych angielskich wartości z całą pewnością został wysłany na tamten świat przez mściwych islamistów za sprzeciwianie się wprowadzeniu szariatu.

Strike wrócił do swojego mieszkania na poddaszu tylko po to, by zabrać trochę rzeczy, po czym zaszył się w domu starych przyjaciół, Nicka i Ilsy, gastroenterologa i prawniczki. Robin, która pod naciskiem Strike'a też wzięła taksówkę i pojechała prosto do domu przy Albury Street, została powitana przez męża obowiązkowym uściskiem. Te cienkie jak bibułka pozory współczucia wydały jej się gorsze niż jawna wściekłość.

Gdy Matthew usłyszał, że nazajutrz Robin ma ponownie stawić się na przesłuchanie w Scotland Yardzie, jego samokontrola osłabła.

– Można było się tego spodziewać!

– Zabawne, bo wygląda na to, że większość ludzi jest zupełnie zaskoczona – odparła Robin. Właśnie zignorowała czwarty telefon od matki.

– Nie miałem na myśli tego, że Chiswell się zabił...

– Wymawia się „Czizel".

– ...chodziło mi o to, że wpakowałaś się w kłopoty, węsząc w siedzibie parlamentu!

– Nie martw się, Matt, w rozmowach z policją będę podkreślała, że byłeś temu przeciwny. Nie chciałabym narazić na szwank twojej kariery.

Nie była jednak pewna, czy drugie przesłuchanie rzeczywiście prowadził policjant. Mówiący łagodnym tonem mężczyzna w ciemnoszarym garniturze nie wyjawił, dla kogo pracuje. Wydał

się Robin o wiele bardziej onieśmielający niż policjanci indagujący ją poprzedniego dnia, mimo że chwilami pewność siebie tych drugich graniczyła z agresją. Robin powiedziała człowiekowi w ciemnoszarym garniturze wszystko, co widziała i słyszała w Izbie Gmin, pomijając jedynie dziwną rozmowę Delli Winn z Aamirem Mallikiem zarejestrowaną przez drugie urządzenie podsłuchowe. Ta wymiana zdań odbyła się za zamkniętymi drzwiami i po godzinach pracy, byłoby więc jasne, że usłyszała ją dzięki pluskwie. Robin uspokajała sumienie, powtarzając sobie, że na pewno nie miało to nic wspólnego ze śmiercią Chiswella, lecz gdy po raz drugi wyszła ze Scotland Yardu, nieprzyjemne poczucie winy i strach nie odstępowały jej na krok. Styczność ze służbami bezpieczeństwa przyprawiła ją o tak silną paranoję – miała nadzieję, że nieuzasadnioną – że zadzwoniła do Strike'a nie z komórki, ale z automatu niedaleko metra.

– Właśnie wyszłam z drugiego przesłuchania. Jestem prawie pewna, że ten facet był z MI5.

– To nieuniknione – odrzekł Strike i jego rzeczowy ton dodał jej otuchy. – Muszą cię sprawdzić, upewnić się, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Możesz pójść gdzieś indziej niż do domu? O dziwo, dziennikarze jeszcze nie zaczęli nas ścigać, ale to na pewno tylko kwestia czasu.

– Chyba mogłabym pojechać do Masham – powiedziała Robin – ale jeśli będą chcieli mnie znaleźć, też się tam zjawią. Szukali mnie tam już po historii z Rozpruwaczem.

W przeciwieństwie do Strike'a nie miała w Londynie mieszkających w anonimowych domach przyjaciół, u których mogłaby się schronić. Prawie wszyscy jej znajomi byli zarazem znajomymi Matthew i bez wątpienia podobnie jak jej mąż baliby

się przygarnąć kogoś, kim interesowały się służby bezpieczeństwa. Nie wiedząc, co robić, poszła do domu.

Dziennikarze nie zjawili się jednak na Albury Street, mimo że w sprawie Chiswella bynajmniej nie zachowywali powściągliwości. W „Mail" ukazał się już dwustronicowy artykuł na temat zgryzot i skandali, jakie nękały Jaspera Chiswella za życia. „Niegdyś wymieniany wśród kandydatów na stanowisko premiera", „romans z seksowną Włoszką Ornellą Serafin, po którym rozpadło się jego pierwsze małżeństwo", „ponętna Kinvara Hanratty, młodsza od niego o trzydzieści lat", „porucznik Freddie Chiswell, najstarszy syn, zginął na wojnie w Iraku, tak zdecydowanie popieranej przez jego ojca", „Raphael, najmłodszy potomek, prowadząc samochód pod wpływem narkotyków, zabił młodą matkę".

W gazetach wielkoformatowych drukowano wspomnienia pisane przez przyjaciół i współpracowników Chiswella: „błyskotliwy umysł, niezwykle kompetentny minister, jeden z młodych bystrych ludzi Margaret Thatcher", „pomijając nieco burzliwe życie osobiste, nie było takich wyżyn, których nie byłby w stanie osiągnąć", „jako osoba publiczna bywał wybuchowy, wręcz opryskliwy, lecz Jasper Chiswell, którego poznałem w Harrow, był chłopakiem dowcipnym i inteligentnym".

Prasa miała używanie przez pięć dni, lecz wciąż zachowywała tajemniczą powściągliwość wobec udziału Strike'a i Robin w sprawie i nikt nie napisał ani słowa na temat szantażu.

* * *

W piątek rano, tydzień po odkryciu ciała Chiswella, Strike siedział w ciszy w kuchni Nicka i Ilsy, a przez okno za jego plecami wlewało się słońce.

Jego gospodarze byli w pracy. Nick i Ilsa, którzy przez kilka lat starali się o dziecko, zaadoptowali niedawno parę kociąt i Nick uparł się, by nazwać je Ossie i Ricky na cześć dwóch zawodników z drużyny Spurs, których wielbił, mając kilkanaście lat. Koty dopiero od niedawna pozwalały przybranym rodzicom brać się na kolana i nie były zadowolone z pojawienia się wielkiego, obcego Strike'a. Zostając z nim sam na sam, szukały schronienia na szafce w kuchni. Właśnie czuł na sobie baczne spojrzenie dwóch par jasnozielonych oczu, które śledziły z wysoka każdy jego ruch.

Nie żeby dużo się ruszał. Przeciwnie, przez większość ostatniej półgodziny prawie nie drgnął, ślęcząc nad zdjęciami, które Robin zrobiła przy Ebury Street. Żeby było wygodniej, wydrukował je w gabinecie Nicka. W końcu wybrał dziewięć fotek, a resztę odłożył na bok, na co Ricky zerwał się z miejsca, przypominając kłębowisko zjeżonej sierści. Gdy Strike przyglądał się wybranym zdjęciom, kot uspokoił się i usiadł z powrotem, kołysząc koniuszkiem czarnego ogona w oczekiwaniu na następny ruch detektywa.

Pierwsza fotka ukazywała zbliżenie małego półkolistego śladu na lewej dłoni Chiswella.

Na drugiej i trzeciej widać było uchwyconą pod różnymi kątami szklankę, która stała przed ministrem na stoliku do kawy. Na ściankach nad resztkami soku pomarańczowego dawało się zauważyć jakiś proszkowy osad.

Czwarte, piąte i szóste zdjęcie ułożył w rzędzie. Każde z nich ukazywało z nieco innej perspektywy zwłoki wraz ze znajdującymi się w kadrze elementami otoczenia. Strike ponownie przyjrzał się upiornemu zarysowi zgiętej szpady w kącie, plamie nad kominkiem, gdzie dawniej wisiał jakiś obraz, oraz widocznym pod nią, ledwie zauważalnym na tle ciemnej tapety, dwóm mosiężnym haczykom umieszczonym mniej więcej metr od siebie.

Siódme zdjęcie w połączeniu z ósmym przedstawiało cały stolik do kawy. Na kilku kartkach i książkach, wśród których było widać jedynie skrawek listu podpisanego przez jakąś Brendę Bailey, spoczywał pożegnalny list Kinvary. Jeśli chodziło o książki, Strike'owi udało się zidentyfikować jedynie fragment tytułu starego wydania oprawionego w płótno – „KATUL" – i dolną część książki Penguina w miękkiej okładce. W kadrze zmieścił się także odwinięty róg wytartego dywanu pod stolikiem.

Dziewiąta i ostatnia fotka, powiększenie kolejnego ujęcia zwłok, ukazywała rozchyloną kieszeń w spodniach Chiswella, w której flesz aparatu Robin oświetlił coś złotego i lśniącego. Gdy Strike wpatrywał się w ten błyszczący przedmiot, zadźwięczała jego komórka. Dzwoniła Ilsa.

– Cześć. – Wstał i sięgnął po paczkę bensonów & hedgesów oraz zapalniczkę, która leżała na stoliku za nim. Gwałtownie szurając pazurami po drewnie, Ossie i Ricky rzucili się do ucieczki, w razie gdyby Strike zamierzał ich zbombardować jakimiś przedmiotami. Upewniwszy się, że koty są wystarczająco daleko i nie zdołają prysnąć do ogródka, detektyw wyszedł na zewnątrz i pospiesznie zamknął tylne drzwi. – Jakieś wieści?

– Tak. Wygląda na to, że miałeś rację.

Strike usiadł na ogrodowym krześle z kutego żelaza i zapalił.

– Mów.

– Przed chwilą byłam na kawie ze swoim kontaktem. Biorąc pod uwagę charakter sprawy, o której rozmawialiśmy, nie mógł mówić otwarcie, ale przedstawiłam mu twoją teorię i powiedział: „To brzmi b a r d z o prawdopodobnie". Spytałam: „Inny polityk?", a wtedy stwierdził, że to też wydaje się bardzo możliwe. Ja na to, że w takim razie prasa będzie się odwoływać, a on, że owszem, jemu też się tak wydaje.

Strike wydmuchnął dym.

– Dzięki, Ilsa, jestem twoim dłużnikiem. Dobra wiadomość jest taka, że nie będę dłużej siedział wam na głowie.

– Corm, wcale nam nie przeszkadzasz, przecież wiesz.

– Koty mnie nie lubią.

– Nick mówi, że wyczuwają w tobie kibica Arsenalu.

– Twój mąż stracił talent komediowy, kiedy postanowił pójść na medycynę. Dzisiaj ja płacę za kolację, a potem po niej posprzątam.

Następnie Strike zadzwonił do Robin. Odebrała po drugim sygnale.

– Wszystko w porządku?

– Dowiedziałem się, dlaczego nie interesują się nami dziennikarze. Della postarała się o zakaz sądowy. Gazety nie mogą informować o tym, że Chiswell nas zatrudnił, bo wtedy wyszedłby na jaw wątek szantażu. Przed chwilą Ilsa rozmawiała ze swoim kontaktem w Sądzie Najwyższym, potwierdził to.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Robin przyswajała informacje.

– Więc Della przekonała sędziego, że szantaż był tylko wymysłem Chiswella?

– Właśnie. I że wykorzystywał nas do szukania haków na swoich wrogów. Nie dziwię się, że sędzia to łyknął. Cały świat uważa, że Della jest kryształowa.

– Ale Izzy wiedziała, dlaczego znalazłam się w biurze jej ojca – zaprotestowała Robin. – Rodzina potwierdziłaby, że go szantażowano.

Strike w zamyśleniu strzepnął popiół do doniczki z rozmarynem Ilsy.

– Tak myślisz? A może wolałaby, żeby po jego śmierci sprawa przycichła?

Zinterpretował jej milczenie jako niechętne potaknięcie.

– Dziennikarze będą zabiegali o uchylenie zakazu, prawda?

– Według Ilsy już się o to starają. Gdybym był redaktorem brukowca, miałbym nas na oku, więc lepiej uważaj. Dzisiaj wieczorem wracam do agencji, ale ty powinnaś zostać w domu.

– Jak długo?

Wyczuł napięcie w jej głosie i zastanowił się, czy jest spowodowane wyłącznie stresem związanym ze sprawą.

– Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. Robin, oni wiedzą, że to ty byłaś tą dziewczyną w parlamencie. Stałaś się gorącym tematem jeszcze za jego życia i z całą pewnością będziesz gorącym tematem teraz, kiedy już wiedzą, kim naprawdę jesteś, a on nie żyje.

Nie odpowiedziała.

– Jak ci idzie z cyferkami? – spytał.

Nalegała, żeby pozwolił jej zająć się rachunkowością, choć żadne z nich za tym nie przepadało.

– Sytuacja wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby Chiswell zapłacił fakturę.

– Spróbuję wyciągnąć forsę od jego rodziny – odrzekł Strike, pocierając oczy – ale proszenie o pieniądze przed pogrzebem wydaje się nietaktowne.

– Znowu przeglądałam zdjęcia – powiedziała Robin. Wszystkie ich codzienne rozmowy od chwili znalezienia zwłok zmierzały do fotografii ciała Chiswella i miejsca, w którym je znaleźli.

– Ja też. Zauważyłaś coś nowego?

– Tak, dwa mosiężne haczyki w ścianie. Wydaje mi się, że szpada zazwyczaj...

– ...wisiała pod zdjętym obrazem?

– Właśnie. Sądzisz, że należała do Chiswella? Że to pamiątka z wojska?

– Bardzo możliwe. Albo została po jakimś przodku.

– Ciekawe, dlaczego ją zdjął. I w jaki sposób się zgięła.

– Myślisz, że Chiswell za nią chwycił, żeby bronić się przed mordercą?

– Powiedziałeś to po raz pierwszy – zauważyła cicho. – „Mordercą".

Nad Strikiem zanurkowała osa, lecz odfrunęła, przepłoszona papierosowym dymem.

– Żartowałem.

– Naprawdę?

Strike rozprostował nogi i przyjrzał się swoim stopom. Siedząc w domu, w którym było ciepło, nie zawracał sobie głowy wkładaniem butów i skarpetek. Jego goła stopa, która rzadko widywała światło dzienne, była blada i owłosiona. Ta druga, sztuczna, kawałek włókna węglowego bez wyodrębnionych palców, lekko lśniła w słońcu.

– Rzeczywiście trochę mnie to zastanawia – przyznał Strike, przebierając palcami u nogi. – Ale minął tydzień i nikogo nie aresztowali. Policja na pewno zauważyła to samo co my.

– Może Wardle coś słyszał? Vanessie zachorował tata. Poszła na urlop. W przeciwnym razie bym ją spytała.

– Wardle'a pochłaniają teraz policyjne przygotowania do olimpiady. Ale był na tyle uprzejmy, żeby zostawić wiadomość na mojej poczcie głosowej. O mało się nie zeszczał, śmiejąc się z tego, że umarł mi klient.

– Zauważyłeś, jak się nazywały te homeopatyczne tabletki, na które nadepnęłam?

– Nie. – Fiolka nie znalazła się wśród zdjęć, które wybrał. – Co to było?

– Lachesis. Zobaczyłam nazwę po powiększeniu zdjęcia.

– Ma to jakieś znaczenie?

– Kiedy Chiswell przyszedł do biura i zacytował Aamirowi tamten wiersz po łacinie, mówiąc o „mężczyznach przejawiających takie zainteresowania", wspomniał też o Lachesis. Powiedział, że była jedną z...

– Jedną z Mojr.

– Właśnie. Tą, która „odmierzała długość życia przypisaną każdemu człowiekowi" i „wiedziała, kiedy jego czas się skończy".

Strike przez kilka sekund palił w milczeniu.

– Brzmi to jak pogróżka.

– Wiem.

– Naprawdę nie pamiętasz, co to był za wiersz? Może podał autora?

– Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie... Zaczekaj... – powiedziała nagle. – Podał jego numer.

– Katullus. – Strike wyprostował się na żelaznym krześle.

– Skąd wiesz?

– Wiersze Katullusa mają numery zamiast tytułów. Na stoliku do kawy Chiswella leżał stary tomik. Katullus opisywał mnóstwo ciekawych zachowań: kazirodztwo, sodomię, gwałcenie dzieci... Może pominął zoofilię. Jest taki sławny wiersz o wróblu, ale jego akurat nikt nie posuwa.

– Dziwny zbieg okoliczności, prawda? – Robin zignorowała dowcip.

– Może Chiswellowi przepisano te leki i to nasunęło mu na myśl Mojry?

– Zrobił na tobie wrażenie człowieka wierzącego w homeopatię?

– Nie – przyznał Strike – ale jeśli sugerujesz, że podrzucenie fiolki lachesis przez mordercę miało być rodzajem artystycznego gestu...

Usłyszał dzwonek w oddali.

– Ktoś przyszedł – powiedziała Robin. – Lepiej pójdę...

– Zanim otworzysz, sprawdź, kto to – poradził jej Strike. Nagle ogarnęło go przeczucie.

Dywan stłumił odgłos jej kroków.

– O Boże.

– Kto to?

– Mitch Patterson.

– Widział cię?

– Nie, jestem na górze.

– Nie otwieraj.

– Nie zamierzam.

Jej oddech stał się jednak głośny i nieregularny.

– Dobrze się czujesz?

– Jasne – odrzekła ze ściśniętym gardłem.

– Co on...

– Muszę kończyć. Zadzwonię później.

Rozłączyła się.

Strike opuścił komórkę. Czując nagłe gorąco w palcach drugiej ręki, uświadomił sobie, że jego papieros wypalił się aż po filtr. Zgasił go na rozgrzanym kamieniu na ziemi i wyrzucił za murek do ogródka sąsiada, którego Nick i Ilsa nie lubili, po czym natychmiast zapalił następnego, myśląc o Robin.

Martwił się o nią. Oczywiście mógł się spodziewać, że po znalezieniu zwłok i przesłuchaniach przez służby bezpieczeństwa dopadną ją lęki i stres, lecz podczas rozmów przez telefon zauważył, że jest rozkojarzona, dwa albo i trzy razy zadawała te same pytania. W dodatku przejawiała coś, co wydawało mu się

niezdrowym pragnieniem jak najszybszego powrotu do agencji albo pracy w terenie.

Przekonany, że powinna wziąć trochę wolnego, nie wspomniał o hipotezie, którą aktualnie testował. Był pewny, że Robin chciałaby mu pomóc.

Fakty wyglądały tak, że dla Strike'a sprawa Chiswella zaczęła się nie od informacji denata o szantażu, lecz od opowieści Billy'ego Knighta o uduszonym dziecku pochowanym w różowym kocu. Po ostatniej prośbie Billy'ego o pomoc Strike wielokrotnie dzwonił pod numer, z którego młodszy Knight się z nim połączył. Poprzedniego dnia rano wreszcie odpowiedział mu jakiś zaciekawiony przechodzień, który potwierdził, że budka znajduje się na skraju Trafalgar Square.

„O Strike'u. Tym pieprzonym żołnierzu z jedną nogą. Billy ma obsesję na jego punkcie. Myśli, że Strike go uratuje".

Z pewnością istniała szansa – choć oczywiście bardzo mała – że Billy znowu pojawi się w miejscu, gdzie po raz ostatni szukał pomocy. Poprzedniego dnia po południu Strike przez kilka godzin kręcił się po Trafalgar Square, wiedząc, jak znikome jest prawdopodobieństwo, że zastanie tam Billy'ego. Czuł jednak nieodpartą potrzebę zrobienia czegokolwiek, nawet jeśli nie miało to sensu.

Druga decyzja podjęta przez Strike'a, jeszcze trudniejsza do obronienia, ponieważ wiązała się z wydawaniem pieniędzy, których aktualnie nie miał w nadmiarze, dotyczyła Barclaya: Strike polecił mu dalej rozpracowywać Jimmy'ego i Flick.

– To twoja forsa – powiedział były żołnierz z Glasgow, gdy detektyw przekazał mu instrukcje – ale czego właściwie mam szukać?

– Billy'ego – odrzekł Strike. – A pod jego nieobecność wszystkiego, co wydaje się dziwne.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że podczas ponownego rozliczania kosztów Robin dowie się o wszystkim.

Nagle Strike poczuł, że ktoś go obserwuje. Ossie, śmielszy z dwóch kociaków Nicka i Ilsy, siedział na parapecie w kuchni obok kranu i wpatrywał się w niego oczami przypominającymi jasne nefryty. Jego spojrzenie wydawało się pełne dezaprobaty.

37

Nigdy tego nie przezwyciężę – całkowicie. Zawsze pozostanie mi w duszy jakaś wątpliwość.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

W obawie przed złamaniem warunków zakazu sądowego fotoreporterzy trzymali się z dala od pogrzebu Chiswella w Woolstone. Serwisy informacyjne ograniczyły się do krótkiego, rzeczowego powiadomienia, że ceremonia się odbyła. Strike, który rozważał, czy nie wysłać kwiatów, uznał, że lepiej tego nie robić, gdyż taki gest mógłby zostać uznany za mało taktowne przypomnienie o niezapłaconym rachunku. Tymczasem dochodzenie w sprawie śmierci Chiswella zostało wszczęte i zawieszone w oczekiwaniu na dalsze ustalenia.

I nagle zupełnie niespodziewanie wszyscy stracili zainteresowanie Jasperem Chiswellem. Zupełnie jakby zwłoki, unoszące się przez tydzień na fali papieru gazetowego, plotek i pogłosek, zatonęły pod ciężarem doniesień o sportowcach obojga płci, o olimpijskich przygotowaniach i prognozach, a cały kraj

znalazł się w kleszczach niemal powszechnej paranoi, ponieważ bez względu na to, czy popierało się olimpiadę, czy nie, nie sposób było jej ignorować ani uniknąć.

Robin nadal codziennie dzwoniła do Strike'a, naciskając, by pozwolił jej wrócić do pracy, lecz on wciąż odmawiał. Oprócz tego, że Mitch Patterson jeszcze dwa razy pojawił się na jej ulicy, jakiś nieznany dotąd Strike'owi młody uliczny artysta przez cały tydzień grał na chodniku naprzeciwko agencji, myląc akordy, ilekroć zauważył detektywa, i regularnie przerywając piosenkę w połowie, by odebrać telefon. Najwyraźniej dziennikarze nie zapomnieli, że kiedyś olimpiada dobiegnie końca i jest jeszcze inna pikantna historia związana z powodem, dla którego Jasper Chiswell zatrudnił prywatnych detektywów.

Żaden z kontaktów Strike'a w policji nie słyszał nic o postępach kolegów w dochodzeniu związanym z tą sprawą. Nocą detektyw, który zazwyczaj był w stanie zasnąć nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach, zmagał się z nietypowym niepokojem i bezsennością i wsłuchiwał w coraz głośniejszy Londyn, z trudem mieszczący olimpijskich gości. Ostatnim razem znosił tak długotrwałą bezsenność w pierwszym tygodniu po tym, jak domowej roboty ładunek wybuchowy pozbawił go nogi. Wtedy nie mógł spać przez koszmarne swędzenie w miejscu, którego nie dało się podrapać, dlatego że odczuwał je w brakującej kończynie.

* * *

Strike nie widział Lorelei od dnia przyjęcia paraolimpijskiego. Zostawiwszy wtedy Charlotte na ulicy, ruszył w stronę Trafalgar Square, żeby poszukać Billy'ego, i w rezultacie spóźnił się na kolację z Lorelei jeszcze bardziej, niż się spodziewał. Zmęczony, obolały,

sfrustrowany tym, że nie udało mu się znaleźć Billy'ego, i wyprowadzony z równowagi niespodziewanym spotkaniem ze swoją byłą, zjawił się w restauracji z curry, sądząc – i być może mając nadzieję – że Lorelei już sobie poszła.

Ona jednak nie tylko cierpliwie czekała przy stoliku, lecz natychmiast zaskoczyła go czymś, co określił w duchu jako strategiczne wycofanie sił. Była daleka od zmuszania go do dyskusji na temat przyszłości ich związku: przeprosiła go za to, co nazwała niemądrym i pochopnym łóżkowym wyznaniem miłości, które, jak doskonale zdawała sobie sprawę, wprawiło go w zakłopotanie, czego teraz szczerze żałowała.

Strike, który po zajęciu miejsca przy stoliku wychylił większość zawartości kufla piwa, szykując się do – jak sobie wyobrażał – nieprzyjemnego zadania wyjaśnienia Lorelei, że nie chce, by ich związek zmienił się w coś poważniejszego albo stabilnego, znalazł się w kropce. Po stwierdzeniu Lorelei, że jej „kocham cię" było jedynie swoistym *cri de joie*, przemowa, którą sobie przygotował, stała się zbędna, a ponieważ w oświetlonej lampkami restauracji Lorelei wyglądała przeuroczo, łatwiej i przyjemniej było wziąć jej wyjaśnienie za dobrą monetę, niż dążyć do rozstania, którego najwyraźniej żadne z nich nie chciało. W ciągu następnego tygodnia, spędzanego osobno, kilka razy pisał do niej esemesy i rozmawiał z nią przez telefon, ale z całą pewnością nie tak często jak z Robin. Gdy wyjaśnił, że jego zmarły klient był ministrem, którego uduszono za pomocą foliowego worka, Lorelei wykazała pełne zrozumienie wobec jego potrzeby chwilowego usunięcia się w cień.

Nie zniechęciło jej nawet to, że Strike odrzucił jej zaproszenie na wspólne oglądanie ceremonii otwarcia olimpiady, ponieważ wcześniej zgodził się spędzić ten wieczór u Lucy i Grega. Siostra

Strike'a nie była jeszcze gotowa spuścić Jacka z oka i odmówiła, gdy brat zasugerował, że zabierze go w weekend do Imperialnego Muzeum Wojny. Zamiast tego zaproponowała kolację. Wyjaśniając Lorelei, jak się sprawy mają, Strike czuł, że kobieta liczy na zaproszenie, chcąc poznać wreszcie członków jego rodziny. Powiedział jednak, zresztą zgodnie z prawdą, że wolałby pójść tam sam, by spędzić trochę czasu z siostrzeńcem, którego dotąd zaniedbywał. Lorelei przyjęła to wyjaśnienie z pogodą ducha, pytając jedynie, czy będzie wolny wieczorem następnego dnia.

Jadąc taksówką ze stacji Bromley South w stronę domu Lucy i Grega, Strike rozmyślał o sytuacji z Lorelei, ponieważ zazwyczaj siostra domagała się od niego sprawozdania z jego życia uczuciowego. Między innymi właśnie dlatego unikał takich spotkań. Lucy niepokoiło to, że w wieku blisko trzydziestu ośmiu lat jej brat wciąż nie ma żony. Przy jednej żenującej okazji posunęła się do tego, by zaprosić na kolację kobietę, która jej zdaniem mogła mu się spodobać, co uświadomiło mu jedynie, jak bardzo jej wyobrażenie o jego gustach i potrzebach rozmija się z rzeczywistością.

Gdy taksówka wiozła go coraz dalej w przedmieścia zamieszkane przez klasę średnią, Strike stanął twarzą w twarz z niewygodną prawdą: otóż gotowość Lorelei do pogodzenia się z przelotnym charakterem ich aktualnego układu nie wynikała z obopólnego poczucia braku zaangażowania, lecz z jej rozpaczliwego pragnienia zatrzymania go przy sobie na niemal każdych warunkach.

Gapiąc się przez okno na przestronne domy z dwustanowiskowymi garażami i zadbanymi trawnikami, czuł, jak jego myśli płyną ku Robin, która dzwoniła do niego codziennie, gdy jej męża nie było w domu, a potem ku Charlotte, trzymającej go lekko za ramię, gdy w botkach na szpilkach schodziła

po schodach w Lancaster House. Obecność w jego życiu przez ostatnie dziesięć i pół miesiąca niedomagającej się czułości, erotycznie uzdolnionej i udającej brak zaangażowania Lorelei była wygodna i przyjemna. Mógł ciągnąć ten związek dalej, wmawiając sobie, że – aby użyć tego pozbawionego sensu wyrażenia – Lorelei „wie, jak się sprawy mają", albo zmierzyć się z faktem, że jedynie odwleka to, co należy zrobić, i im dłużej będzie się biernie przyglądał, tym większy wywoła potem bałagan i ból.

Te przemyślenia bynajmniej nie poprawiły mu humoru i gdy taksówka zatrzymała się przed domem jego siostry, z magnolią w ogródku od frontu i wesoło poruszającą się firanką w oknie, poczuł irracjonalny żal do Lucy, jakby to wszystko była jej wina.

Jack otworzył drzwi, zanim Strike zdążył zapukać. Biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdował, gdy Cormoran widział go poprzednim razem, chłopiec wyglądał nadzwyczaj dobrze i detektyw był rozdarty między zadowoleniem z jego powrotu do zdrowia a poirytowaniem tym, że zamiast zabrać siostrzeńca na wycieczkę, musiał odbyć długą i niewygodną podróż do Bromley.

Wzruszyła go jednak radość, jaką sprawił swoją wizytą Jackowi, jego zadawane z przejęciem pytania o wszystko, co Strike zapamiętał z czasu, który spędzili razem w szpitalu (kiedy to chłopiec był efektownie nieprzytomny), oraz to, że Jack uparł się, by podczas kolacji siedzieć obok wujka, i przez cały czas skupiał jego uwagę wyłącznie na sobie. Było jasne, że według Jacka są teraz ze sobą jeszcze silniej związani, ponieważ każdy z nich przeżył operację ratującą życie. Jack wypytywał Strike'a o tyle szczegółów związanych z amputacją, że Greg odłożył sztućce i odsunął talerz z taką miną, jakby poczuł mdłości. Strike już wcześniej odniósł wrażenie, że Jack, środkowy syn, nie był ulubieńcem ojca. Czerpał

zatem lekko złośliwą przyjemność z zaspokajania ciekawości chłopca, zwłaszcza że wiedział, iż szwagier, który normalnie położyłby kres tej rozmowie, wykazuje się nadzwyczajną powściągliwością z powodu rekonwalescencji syna. Lucy, nieświadoma tych wszystkich podtekstów, przez cały czas promiennie się uśmiechała, prawie nie odrywając oczu od Strike'a i Jacka. Nie zadała bratu ani jednego pytania o życie osobiste. Wyglądało na to, że interesuje ją jedynie to, by był miły i cierpliwy dla jej syna.

Wujek i siostrzeniec wstali od stołu w doskonałych humorach, Jack wybrał miejsce obok Strike'a na kanapie, na której mieli siedzieć, oglądając ceremonię otwarcia olimpiady, a potem, gdy czekali na rozpoczęcie transmisji na żywo, bez przerwy trajkotał, wyrażając między innymi nadzieję, że za chwilę zobaczą pistolety, działa i żołnierzy.

Te niewinne słowa przypomniały Strike'owi o Jasperze Chiswellu, którego, jak wspomniała Robin, drażniło, że na tej największej z państwowych scen nie będzie celebrowana potęga militarna Wielkiej Brytanii. Strike zaczął się zastanawiać, czy Jimmy Knight też siedzi teraz przed jakimś telewizorem i przygotowuje się do szydzenia z czegoś, co prześmiewczo nazywał karnawałem kapitalizmu.

Greg podał Strike'owi butelkę heinekena.

– No, szykujcie się! – powiedziała podekscytowana Lucy.

Po odliczaniu zaczęła się transmisja na żywo. Kilka sekund później nie pękł balon z numerem. „Niech to nie będzie szajs" – pomyślał Strike, zapominając nagle o wszystkim innym i dając się porwać fali patriotycznej paranoi.

Ceremonia otwarcia okazała się jednak tak wielkim przeciwieństwem szajsu, że Strike obejrzał ją do końca, świadomie

rezygnując z ostatniego pociągu oraz przyjmując ofertę przenocowania na kanapie i zjedzenia niedzielnego śniadania w rodzinnym gronie.

– Agencja dobrze prosperuje, prawda? – spytał go nazajutrz Greg przy smażeninie przygotowanej przez Lucy.

– Nieźle – odrzekł Strike.

Ogólnie rzecz biorąc, unikał rozmów z Gregiem o interesach, gdyż jego sukces najwyraźniej wytrącał szwagra z równowagi. Cormoran zawsze miał wrażenie, że męża Lucy irytuje jego imponująca kariera wojskowa. Gdy odpowiadał na pytania Grega o strukturę agencji, prawa i obowiązki podwykonawców, o specjalny status Robin jako zatrudnionej na stałe wspólniczki i o potencjał rozwoju, nie po raz pierwszy wyczuwał ledwie skrywaną nadzieję szwagra, że uda mu się znaleźć coś, o czym Strike zapomniał albo co przeoczył, ponieważ w zbyt dużym stopniu był żołnierzem, by poruszać się sprawnie w cywilnym świecie interesów.

– Ale jaki jest twój ostateczny cel? – dopytywał się Greg, podczas gdy Jack cierpliwie siedział u boku Strike'a, wyraźnie licząc na to, że uda im się jeszcze porozmawiać o wojsku. – Pewnie będziesz próbował rozbudować agencję, tak żebyś nie musiał sam pracować w terenie? Żebyś kierował nimi wszystkimi z biura?

– Nie – powiedział Strike. – Gdybym chciał pracować za biurkiem, zostałbym w armii. Moim celem jest zgromadzenie wystarczająco niezawodnych pracowników, żebyśmy mogli sprostać stałej liczbie zleceń i przyzwoicie zarabiać. W krótszej perspektywie chcę odłożyć w banku dość pieniędzy, żebyśmy dawali radę przetrwać gorsze okresy.

– Moim zdaniem to zbyt mało ambitne – ocenił Greg. – Dzięki takiemu rozgłosowi, jaki zdobyłeś za darmo po sprawie Rozpruwacza...

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiali – przerwała ostro Lucy, stojąc przy patelni. Greg spojrzał na syna i zamilkł, pozwalając mu wrócić do rozmowy i zadać pytanie o tory przeszkód.

Lucy, zachwycona każdą chwilą wizyty brata, promieniała zadowoleniem, gdy po śniadaniu ściskała go na pożegnanie.

– Daj znać, kiedy będę mógł zabrać Jacka do muzeum – powiedział Strike, a siostrzeniec szeroko się do niego uśmiechnął.

– Dobrze. Wielkie dzięki, Stick. Nigdy nie zapomnę tego, co...

– Niczego nie zrobiłem – wszedł jej w słowo Strike, klepiąc ją delikatnie po plecach. – To wyłącznie jego zasługa. Twardy z niego chłopak, prawda, Jack? Dzięki za miły wieczór, Luce.

Strike uznał, że wyszedł stamtąd w samą porę. Dziesięć minut przed odjazdem następnego pociągu do centrum Londynu, paląc papierosa przed stacją metra, doszedł do wniosku, że przy śniadaniu Greg powrócił do tej mieszaniny wesołkowatości i serdeczności, którą okazywał zazwyczaj w kontaktach ze szwagrem, a zadawane przez Lucy pytania o Robin, gdy Strike wkładał płaszcz, przejawiały cechy szeroko zakrojonego dochodzenia w sprawie jego związków z kobietami w ogóle. Gdy bez entuzjazmu wrócił myślami do Lorelei, zadzwoniła jego komórka.

– Halo?

– Cormoran? – spytał damski głos z arystokratycznym akcentem, który nie od razu rozpoznał.

– Tak. Kto mówi?

– Izzy Chiswell. – Zabrzmiało to, jakby miała katar.

– Izzy! – powtórzył zaskoczony Strike. – Eee... jak się czujesz?

– Och, jakoś sobie radzę. Dostaliśmy... ten rachunek, który nam przesłałeś.

– Tak – powiedział Strike, zastanawiając się, czy Izzy nie zakwestionuje za chwilę widniejącej na nim olbrzymiej kwoty.

– Chętnie zapłacę ci od razu, jeśli... Zastanawiałam się, czy nie mógłbyś się ze mną spotkać. Dzisiaj, jeśli ci to odpowiada. Bardzo jesteś zajęty?

Strike spojrzał na zegarek. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie miał żadnych planów oprócz późniejszej kolacji u Lorelei, a perspektywa odebrania czeku na pokaźną sumę z całą pewnością wydała mu się miła.

– No, chyba powinienem się wyrobić. Gdzie teraz jesteś, Izzy?

Podała mu adres w Chelsea.

– Będę za jakąś godzinę.

– Doskonale – odparła jakby z ulgą. – W takim razie do zobaczenia.

38

O, to straszne powątpiewanie!

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Było prawie południe, gdy Strike dotarł do przerobionego z dawnej stajni domu Izzy przy Upper Cheyne Row w Chelsea, w otoczonym ciszą i atmosferą dobrobytu rzędzie domów, które w przeciwieństwie do tych przy Ebury Street cechowało gustowne zróżnicowanie. Dom Izzy był mały i pomalowany na biało, obok wejścia wisiała lampa powozowa, a gdy Strike zadzwonił do drzwi, córka Chiswella otworzyła mu po kilku sekundach.

W luźnych czarnych spodniach i czarnym swetrze zbyt grubym na tak słoneczny dzień przypomniała Strike'owi pierwsze spotkanie z jej ojcem, który w czerwcu paradował w płaszczu. Na jej szyi wisiał krzyżyk z szafirami. Strike pomyślał, że w oficjalnej żałobie

osiągnęła równowagę między współczesnymi kanonami odzieżowymi a ludzką wrażliwością.

– Wejdź, wejdź – powiedziała nerwowo Izzy, nie patrząc mu w oczy, po czym odsunęła się i zaprosiła go gestem do połączonego z kuchnią przestronnego salonu z białymi ścianami, kanapami w kolorowe wzory i kominkiem w stylu art nouveau, którego gzyms podtrzymywały rzeźbione postacie ponętnych kobiet. Wysokie okna z tyłu wychodziły na mały prywatny dziedziniec, gdzie pośród starannie przystrzyżonych krzewów stały drogie meble z kutego żelaza. – Usiądź. – Wskazała mu jedną z kolorowych kanap. – Herbaty? Kawy?

– Chętnie napiłbym się herbaty. Dzięki.

Strike usiadł, dyskretnie wydobył spod siebie kilka niewygodnych poduszek obszytych koralikami i rozejrzał się po pomieszczeniu. Mimo wesołych nowoczesnych tkanin dominował w nim bardziej tradycyjny angielski gust. Dwie ryciny przestawiające sceny myśliwskie stały na stole przeładowanym zdjęciami w srebrnych ramkach, wśród których znalazło się ogromne czarno-białe studium rodziców Izzy w dniu ich ślubu: Jasper Chiswell miał na sobie mundur Huzarów Królowej, a jasnowłosa lady Patricia w obłoku tiulu odsłaniała zęby w uśmiechu. Nad gzymsem kominka wisiała wielka akwarela przedstawiająca troje jasnowłosych dzieci. Strike przypuszczał, że to Izzy oraz jej starsze rodzeństwo: nieżyjący Freddie i nieznana mu Fizzy.

Izzy hałaśliwie krzątała się w kuchni, upuszczając łyżeczki oraz otwierając i zamykając szafki w poszukiwaniu czegoś, czego nie znalazła. W końcu, odrzuciwszy zaoferowaną przez Strike'a pomoc, przyniosła tacę z dzbankiem herbaty, filiżankami z porcelany

kostnej oraz herbatnikami i postawiła ją na stojącym tuż obok kuchni stoliku do kawy.

– Oglądałeś ceremonię otwarcia? – spytała uprzejmie, zajmując się dzbankiem i sitkiem.

– Tak – powiedział Strike. – Wspaniała, prawda?

– Podobała mi się pierwsza część – odrzekła Izzy – cały ten fragment o rewolucji przemysłowej, ale potem zrobiło się chyba trochę, no wiesz, komputerowo. Nie jestem pewna, czy cudzoziemcy zrozumieją, dlaczego mówiliśmy o państwowej służbie zdrowia, i muszę powiedzieć, że obeszłabym się bez tego całego rapu. Częstuj się mlekiem i cukrem.

– Dzięki.

Na chwilę zapadła cisza przerywana jedynie pobrzękiwaniem sreber i porcelany – ten luksusowy rodzaj ciszy dostępny w Londynie wyłącznie osobom mającym mnóstwo pieniędzy. Nawet zimą w mieszkaniu Strike'a na poddaszu nigdy nie było całkiem cicho: muzyka, kroki przechodniów i ich głosy wypełniały ciągnącą się w dole ulicę w Soho, a gdy okolicę opuszczali piesi, przez całą noc słychać było warkot samochodów i najmniejszy podmuch wiatru wywoływał grzechotanie słabo zabezpieczonych okien.

– Aha, twój czek – zreflektowała się Izzy, zrywając się z miejsca, by przynieść kopertę leżącą na stole w kuchni. – Proszę.

– Bardzo dziękuję – powiedział Strike, biorąc od niej kopertę.

Izzy usiadła z powrotem, sięgnęła po herbatnik, rozmyśliła się i odłożyła go na swój talerzyk. Strike popijał herbatę, która, jak przypuszczał, była najwyższej jakości, lecz według niego miała nieprzyjemny posmak suszonych kwiatów.

– Hm – odezwała się wreszcie Izzy. – Nie bardzo wiadomo, od czego zacząć.

Przyjrzała się swoim paznokciom, które wymagały manikiuru.

– Boję się, że uznasz mnie za wariatkę – mruknęła, spoglądając na niego spod jasnych rzęs.

– Wątpię – odparł, odstawiając filiżankę i robiąc minę, która, miał nadzieję, zachęcała do mówienia.

– Słyszałeś, co znaleźli w soku pomarańczowym taty?

– Nie.

– Sproszkowane tabletki amitryptyliny. Nie wiem, czy wiesz, na co... To antydepresant. Policja twierdzi, że to dość skuteczna, bezbolesna metoda popełnienia samobójstwa. Coś jakby pasek i... pasek i szelki, tabletki i... i worek.

Niedbale upiła łyk herbaty.

– Policjanci byli całkiem mili, naprawdę. Przecież ich do tego szkolą, prawda? Powiedzieli nam, że jeśli hel jest wystarczająco mocno skoncentrowany, wystarczy jeden oddech i... i już śpisz.

Zacisnęła usta.

– Tylko że – dodała głośno i z nagłym pośpiechem – jestem całkowicie p e w n a, że tata nigdy by się nie zabił, bo samobójstwo było czymś, czym pogardzał. Zawsze powtarzał, że to tchórzliwe wyjście, okropne dla rodziny i wszystkich, którzy żyją dalej. Poza tym dziwne było to, że nigdzie w domu nie znaleziono opakowania po amitryptylinie. Żadnych pustych pudełeczek, blisterów, nic. Oczywiście na opakowaniu byłoby imię Kinvary. To jej przepisywali ten lek. To ona bierze go od ponad roku.

Izzy spojrzała na Strike'a, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobiły na nim jej słowa. Milczał, więc brnęła dalej.

– Poprzedniego dnia wieczorem tata pokłócił się z Kinvarą na przyjęciu, chwilę przed tym, jak podeszłam porozmawiać z tobą i Charlie. Powiedział nam obu, że zaprosił Raffa na rano następnego

dnia do domu przy Ebury Street. Kinvara była wściekła. Spytała, dlaczego to zrobił, ale tata nie chciał jej powiedzieć. Uśmiechnął się tylko i to doprowadziło ją do szału.

– Dlaczego miałaby...

– Dlatego że nas wszystkich nienawidzi – odparła Izzy, trafnie odgadując, o co zamierzał spytać. Zaciskała pięści, aż pobielały jej knykcie. – Zawsze nienawidziła wszystkiego i wszystkich, którzy rywalizowali z nią o uwagę albo uczucia taty. S z c z e g ó l n i e mocno nienawidzi Raffa – wrodził się w matkę, a Kinvara zawsze obawiała się Ornelli, bo to nadal bardzo piękna kobieta. Poza tym Kinvarze nie podoba się, że Raff jest chłopakiem. Odkąd pamiętam, bała się, że Raff zajmie miejsce Freddiego i może tata z powrotem uwzględni go w testamencie. Kinvara wyszła za tatę dla pieniędzy. Nigdy go nie kochała.

– Powiedziałaś „z powrotem”...

– Tata wydziedziczył Raffa, kiedy Raff przejechał... kiedy popełnił to... samochodem. Oczywiście stała za tym Kinvara, namawiała tatę, żeby w ogóle zerwał stosunki z Raffem... W każdym razie w Lancaster House tata powiedział, że zaprosił go na następny dzień, i Kinvara zamilkła, a dwie minuty później nagle oznajmiła, że wychodzi, i opuściła przyjęcie. Twierdzi, że pojechała na Ebury Street, napisała do taty list pożegnalny... ale przecież tam byłeś. Może go widziałeś?

– Tak – potwierdził. – Widziałem.

– No więc Kinvara twierdzi, że napisała ten list, spakowała torbę, a potem wróciła pociągiem do Woolstone. Pytania, jakie zadawała nam policja, świadczą chyba o tym, że według nich odejście Kinvary popchnęło tatę do samobójstwa, ale to tak niedorzeczne, że nie da się tego opisać słowami! Ich małżeństwo od lat przeżywało kryzys. Myślę, że tata przejrzał ją już wiele miesięcy

wcześniej. Opowiadała niestworzone historie i urządzała dramatyczne sceny, żeby podtrzymać jego zainteresowanie. Możesz mi wierzyć: gdyby tata sądził, że Kinvara zamierza od niego odejść, poczułby ulgę, a nie chęć popełnienia samobójstwa, tylko że oczywiście nie wziąłby tego listu poważnie, doskonale by wiedział, że to kolejna komedia. Kinvara ma dziewięć koni i nigdzie nie pracuje. Trzeba by ją wykurzyć z domu Chiswellów tak jak Tinky Pierwszą, trzecią żonę mojego dziadka – wyjaśniła Izzy. – Wygląda na to, że Chiswellowie płci męskiej mają słabość do kobiet z dużymi cyckami i końmi. – Rumieniąc się pod warstewką piegów, nabrała powietrza i dodała: – Moim zdaniem to Kinvara zabiła tatę. Nie potrafię przestać o tym myśleć, nie jestem w stanie skupić się na niczym innym. Była przekonana, że między tatą a Venetią coś się dzieje, podejrzewała to, odkąd tylko zobaczyła Venetię, a potem węszący dziennikarze „Sun" przekonali ją, że ma powody do niepokoju... I prawdopodobnie uznała, że ponowne wpisanie Raffa do testamentu dowodzi, że tata szykuje się do nowego rozdziału w życiu, więc sproszkowała swoje antydepresanty i kiedy nie widział, wsypała mu je do soku... z samego rana zawsze pił szklankę soku pomarańczowego, taki miał zwyczaj... a potem, kiedy zrobił się senny i nie był w stanie się bronić, założyła mu worek na głowę i dopiero p ó ź n i e j, kiedy już go zabiła, napisała ten liścik, żeby wyglądało tak, jakby to o n a zamierzała się z nim rozwieść, i moim zdaniem po tym wszystkim wymknęła się z domu, pojechała do Woolstone i udawała, że tam była, kiedy tata umierał.

Izzy zabrakło tchu. Sięgnęła na oślep do krzyżyka na szyi i niespokojnie obracała go w palcach, obserwując reakcję Strike'a z nerwową i jednocześnie wyzywającą miną.

Strike, który w wojsku miał do czynienia z kilkoma samobójstwami, wiedział, że tych, którzy żyją dalej, prawie zawsze nęka wyjątkowo toksyczna forma smutku, zatruta rana ropiejąca nawet bardziej niż rany w sercach osób, których krewni zostali wysłani na tamten świat przez kule wroga. Może i naszły go pewne wątpliwości w związku ze sposobem, w jaki Chiswell dokonał żywota, lecz nie zamierzał dzielić się nimi ze zdezorientowaną, zrozpaczoną kobietą, która siedziała obok niego. W słowotoku Izzy uderzyła go przede wszystkim nienawiść, jaką najwyraźniej czuła do macochy. Oskarżenie, które rzuciła pod jej adresem, nie należało do błahych, i Strike zastanawiał się, co skłoniło Izzy do wniosku, że ta raczej dziecinna, nadąsana kobieta, z którą spędził pięć minut w samochodzie, mogłaby być zdolna do zaplanowania czegoś, co zakrawało na metodyczną egzekucję.

– Izzy – odezwał się w końcu – policja na pewno przyjrzała się działaniom Kinvary. W takich sprawach śledztwo zaczyna się zwykle od współmałżonka.

– Ale oni przyjmują jej wersję – odrzekła gorączkowo. – Czuję, że ją przyjmują.

„W takim razie jest prawdziwa" – pomyślał Strike. Miał zbyt wysokie mniemanie o stołecznej policji, by uwierzyć, że weryfikując wersję żony mającej łatwy dostęp do miejsca zabójstwa i zażywającej leki na receptę, które znaleziono w organizmie denata, dopuściła się jakiegoś zaniedbania.

– Niby kto jeszcze wiedział, że tata zawsze pije rano sok pomarańczowy? Kto jeszcze miał dostęp do amitryptyliny i helu?

– Przyznała się, że kupiła hel? – spytał Strike.

– Skąd – fuknęła Izzy. – Jasne, że się nie przyznała. Ona tylko siedzi i histeryzuje jak mała dziewczynka. – Izzy zaczęła naśladować piskliwy głos macochy: – „Nie wiem, skąd to się wzięło w domu!

Dlaczego mnie tak gnębicie, zostawcie mnie w spokoju, przecież właśnie owdowiałam!" Powiedziałam policji, że ponad rok temu zaatakowała tatę młotkiem.

Strike zastygł, podnosząc nieapetyczną herbatę do ust.

– Co?

– Zaatakowała tatę młotkiem – powtórzyła Izzy, świdrując Strike'a spojrzeniem błękitnych oczu, pragnąc, żeby zrozumiał. – Strasznie się pokłócili, bo... no, nieważne dlaczego, ale byli akurat w stajni... Jak się domyślasz, to się działo w posiadłości Chiswellów... Kinvara chwyciła młotek ze skrzynki z narzędziami i walnęła nim tatę w głowę. Cholera, miała szczęście, że już w t e d y go nie zabiła. Uszkodziła mu węch. Potem nie czuł już za dobrze zapachu i smaku i wściekał się z najdrobniejszych powodów, ale uparł się, żeby nikomu o tym nie mówić. Wywiózł ją do jakiegoś ośrodka i tłumaczył wszystkim, że jest chora, że to „załamanie nerwowe". Ale dziewczyna pracująca w stajni widziała całą scenę i powiedziała nam, co się naprawdę wydarzyło. Musiała zadzwonić po miejscowego lekarza, bo tata bardzo krwawił. Gdyby nie zawiózł Kinvary do psychiatryka i nie zamknął ust dziennikarzom, pisaliby o tym we wszystkich gazetach.

Izzy sięgnęła po herbatę, ale ręka drżała jej tak bardzo, że była zmuszona odstawić filiżankę z powrotem.

– Ona nie jest taka, jak mężczyznom się wydaje – oświadczyła z żarem. – Zachowuje się jak mała dziewczynka, a oni to łykają, nawet Raff. „Izzy, ona n a p r a w d ę straciła dziecko..." Ale gdyby usłyszał j e d n ą c z w a r t ą tego, co Kinvara mówi o nim za jego plecami, szybko zmieniłby melodię. Poza tym jak wyjaśnić otwarte drzwi wejściowe? – dodała, gwałtownie zmieniając temat. – Wiesz, o czym mówię, prawda? Właśnie dzięki temu weszliście z Venetią do środka. Te drzwi nigdy się normalnie nie zamykały,

trzeba było nimi trzasnąć. Tata o tym wiedział. Na pewno by je zamknął, gdyby był w domu sam, prawda? Ale gdyby Kinvara wymykała się wcześnie rano i nie chciała, żeby ktoś ją usłyszał, musiałaby je tylko przymknąć i tak zostawić. Wiesz, ona nie jest zbyt bystra. Zabrałaby opakowanie po amitryptylinie, myśląc, że jeśli je zostawi, będzie ją obciążało. Wiem, policję też zastanawia ten brak opakowania, ale czuję, że skłaniają się ku samobójstwu, i właśnie dlatego pragnęłam z tobą porozmawiać, Cormoran – dokończyła Izzy, pochylając się lekko w fotelu. – Chcę cię zatrudnić. Chcę, żebyś przeprowadził śledztwo w sprawie śmierci taty.

Strike wiedział, że ta prośba padnie, już gdy Izzy podała mu herbatę. Perspektywa uzyskania zapłaty za dochodzenie w sprawie, która i tak zaprzątała mu myśli w stopniu graniczącym z obsesją, była, rzecz jasna, kusząca. Klienci poszukujący wyłącznie potwierdzenia swoich teorii zawsze jednak sprawiali kłopoty. Nie mógł przyjąć sprawy na warunkach Izzy, lecz współczucie skłoniło go do szukania łagodnego sposobu, żeby jej odmówić.

– Izzy, policja nie będzie chciała, żebym wchodził jej w paradę.

– Nie muszą wiedzieć, że prowadzisz śledztwo w sprawie śmierci taty – odrzekła natychmiast. – Moglibyśmy udawać, że pracujesz nad zagadką tych wszystkich głupich intruzów, którzy według Kinvary kręcą się po naszym ogrodzie. Dla odmiany potraktujemy ją poważnie i będzie miała za swoje.

– Czy reszta rodziny wie o naszym spotkaniu?

– O tak – zapewniła żarliwie. – Fizzy zdecydowanie mnie popiera.

– Naprawdę? Ona też podejrzewa Kinvarę?

– No... nie – odparła Izzy z lekką frustracją w głosie – ale przyznaje, że tata na sto procent nie mógł się zabić.

– Kto go zabił jej zdaniem, jeśli nie Kinvara?

– Hm – mruknęła Izzy, u której te pytania budziły chyba pewien niepokój. – Fizz wpadła na szalony pomysł, że w tę sprawę jest jakoś wmieszany Jimmy Knight, ale to oczywiście niedorzeczne. Kiedy tata umierał, Jimmy siedział w areszcie, prawda? Poprzedniego dnia wieczorem obydwoje widzieliśmy, jak prowadziła go policja. Tylko że Fizz nie przyjmuje tego do wiadomości, z a f i k s o w a ł a się na Jimmym! Spytałam ją, skąd Jimmy Knight miałby wiedzieć, gdzie były amitryptylina i hel, ale ona nie chce mnie słuchać, w kółko powtarza, że Knight chce się zemścić...

– Zemścić? Za co?

– Słucham? – spytała niespokojnie Izzy, choć Strike wiedział, że usłyszała, co mówił. – Ach... teraz to bez znaczenia. To już przeszłość.

Chwyciła dzbanek i pomaszerowała do kuchni, gdzie dolała do niego gorącej wody z czajnika.

– Fizz ma do Jimmy'ego nieracjonalne podejście – stwierdziła, wracając z napełnionym dzbankiem i stawiając go z hukiem na stoliku. – Nie cierpi go, odkąd byliśmy nastolatkami.

Nalała sobie drugą filiżankę herbaty. Była zarumieniona. Strike milczał, więc powtórzyła nerwowym tonem:

– Ta historia z szantażem nie mogła mieć nic wspólnego ze śmiercią taty. To już przeszłość.

– Nie powiedziałaś o tym policji, prawda? – spytał cicho Strike.

Zapadło milczenie. Rumieniec na twarzy Izzy stawał się coraz ciemniejszy. Upiła łyk herbaty i odrzekła:

– Nie.

Po chwili dodała pospiesznie:

– Przepraszam, wyobrażam sobie, jak się z tego powodu czujecie, ty i Venetia, ale teraz jeszcze bardziej zależy nam na spuściźnie taty.

Cormoran, nie możemy pozwolić, żeby dowiedziała się o tym prasa. Szantaż mógłby mieć związek z jego śmiercią tylko wówczas, gdyby popchnął go do samobójstwa, a ja zwyczajnie nie wierzę, że tata się zabił, z tego... czy z jakiegokolwiek innego powodu.

– Della na pewno bez problemu uzyskała sądowy zakaz pisania na ten temat – zauważył Strike – skoro wspierała ją nawet rodzina Chiswellów, twierdząc, że nikt go nie szantażował.

– Bardziej obchodzi nas to, jak tata zostanie zapamiętany. Ten szantaż... to już przeszłość, zamknięta sprawa.

– Ale Fizzy nadal uważa, że Jimmy mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią waszego ojca.

– To nie... to byłaby osobna kwestia, sądząc po tym, dlaczego go szantażował – powiedziała nieskładnie. – Jimmy miał żal... trudno to wytłumaczyć... Fizzy po prostu ma do Jimmy'ego niemądre podejście.

– Co reszta rodziny sądzi o ponownym zaangażowaniu mnie w sprawę?

– Hm... Raff nie jest zachwycony, ale to nie ma z nim nic wspólnego. Sama będę ci płacić.

– Dlaczego nie jest zachwycony?

– No cóż... Policja maglowała go bardziej niż resztę z nas, bo... Słuchaj, mniejsza o Raffa. Ja będę twoją klientką, to ja chcę cię zatrudnić. Po prostu podważ alibi Kinvary. Wiem, że dasz radę.

– Izzy – zaczął Strike – obawiam się, że nie mogę przyjąć zlecenia na takich warunkach.

– Dlaczego?

– Klient nie może mi mówić, w co mam wnikać, a w co nie. Jeśli nie interesuje cię cała prawda, nie jestem człowiekiem, jakiego szukasz.

– J e s t e ś. Wiem, że jesteś najlepszy, dlatego tata cię zatrudnił i dlatego ja też cię chcę.

– W takim razie będziesz musiała odpowiadać na moje pytania, zamiast mi mówić, co jest istotne, a co nie.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie znad krawędzi filiżanki, a potem ku jego zaskoczeniu zaśmiała się cierpko.

– Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Przecież cię znam. Pamiętasz, jak się pokłóciłeś z Jamiem Maughamem w Nam Long Le Shaker? Och, na pewno pamiętasz. Nie chciałeś ustąpić... W pewnym momencie cały stolik był przeciwko tobie... O co wtedy chodziło?

– O karę śmierci – mruknął Strike, zbity z tropu. – Taa. Pamiętam.

Przez ułamek sekundy widział nie czysty, jasny salon Izzy z reliktami dostatniej angielskiej przeszłości, lecz ekstrawaganckie, słabo oświetlone wnętrze wietnamskiej restauracji w Chelsea, gdzie dwanaście lat temu przy kolacji wdał się w kłótnię z jednym z przyjaciół Charlotte. Utrwalona w jego pamięci twarz Jamiego Maughama była gładka i prosiakowata. Facet postanowił narobić wstydu ćwokowi, którego Charlotte koniecznie chciała przyprowadzić na kolację zamiast Jago Rossa, starego przyjaciela Jamiego.

– Jamie strasznie, strasznie się na ciebie wkurzył – ciągnęła Izzy. – Wiesz, teraz jest członkiem palestry i całkiem dobrze mu idzie.

– Widocznie nauczył się kontrolować nerwy w czasie dyskusji – stwierdził Strike i Izzy cicho zachichotała. – Izzy – wrócił do głównego tematu – jeśli mówisz poważnie...

– Tak...

– ...odpowiesz na moje pytania – dokończył Strike, wyjmując z kieszeni notes.

Niezdecydowana, patrzyła, jak Cormoran sięga po długopis.

– Jestem dyskretny – powiedział Strike. – W ciągu ostatnich paru lat powierzano mi sekrety setek rodzin i nikomu nie wyjawiłem żadnego z nich. Nic, co nie wiąże się ze śmiercią twojego ojca, nie zostanie wspomniane poza moją agencją. Ale jeśli mi nie ufasz...

– Ufam – zapewniła rozpaczliwym tonem i ku jego lekkiemu zdziwieniu pochyliła się i dotknęła jego kolana. – Naprawdę, Cormoran, szczerze, ale... to trudne... mówić o tacie...

– Rozumiem – odrzekł, szykując się do pisania. – Zacznijmy więc od tego, dlaczego policja maglowała Raphaela o wiele bardziej niż resztę z was.

Czuł, że Izzy nie ma ochoty mówić, lecz po chwili wahania powiedziała:

– Hm, chyba między innymi dlatego, że tata zadzwonił do Raffa wcześnie rano w dniu swojej śmierci. To był ostatni telefon, jaki wykonał.

– Co powiedział?

– Nic ważnego. To nie mogło mieć nic wspólnego ze śmiercią taty. Ale – dodała prędko, jakby chciała zatrzeć wrażenie, jakie mogły wywołać jej ostatnie słowa – n a j w a ż n i e j s z y m powodem, dla którego Raff nie jest zachwycony, że chcę cię zatrudnić, jest chyba to, że zakochał się w tej twojej Venetii, kiedy pracowała w biurze, i teraz najwidoczniej jest mu trochę głupio, że się przed nią otworzył.

– Zakochał się w niej? – zdziwił się Strike.

– Tak, więc to oczywiste, że czuje się, jakby wszyscy robili z niego kretyna.

– Pozostaje jeszcze sprawa...

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć, ale...

– Izzy, jeśli mam prowadzić śledztwo, pozwól, że to ja będę decydował, co jest istotne. Nie ty. No więc chcę się dowiedzieć –

wymieniając wszystkie kwestie, które według Izzy były „bez znaczenia", odliczał je na palcach – w jakiej sprawie twój ojciec zadzwonił do Raphaela rano w dniu swojej śmierci, o co kłócił się z Kinvarą, kiedy uderzyła go młotkiem w głowę... i z jakiego powodu był szantażowany.

Krzyżyk z szafirami błysnął ponuro na piersi, która uniosła się i opadła. Gdy wreszcie Izzy się odezwała, była roztrzęsiona.

– To nie ja powinnam ci mówić, jakie słowa padły między tatą a Raffem podczas ich ostatniej rozmowy. Spytaj Raffa.

– Dlatego że chodzi o sprawy osobiste?

– Tak – potwierdziła, mocno się rumieniąc. Zastanawiał się, czy mówi prawdę.

– Wspomniałaś, że twój ojciec zaprosił Raphaela do domu przy Ebury Street na dzień, w którym umarł. Chciał, żeby Raff przyszedł o innej porze? Odwołał spotkanie?

– Tak, odwołał. Słuchaj, o to będziesz musiał spytać Raffa – powtórzyła.

– W porządku. – Zrobił notatkę. – Dlaczego twoja macocha uderzyła twojego ojca młotkiem w głowę?

Oczy Izzy wypełniły się łzami. Potem, szlochając, wyjęła z rękawa chusteczkę i przyłożyła ją do twarzy.

– N-nie chcia-ałam ci o ty-ym mówić, że-ebyś nie myślał o ta-acie źle, kiedy ju-uż... kiedy ju-uż... Bo wi-idzisz, zrobił co-oś, co...

Jej szerokie ramiona drżały, gdy wydawała z siebie mało romantyczne parsknięcia. Strike, którego to szczere i hałaśliwe cierpienie poruszyło bardziej niż delikatne wycieranie oczu, siedział ogarnięty bezsilnym współczuciem, podczas gdy Izzy próbowała wykrztusić przeprosiny.

– Prze... przepra-a...

– Nie bądź niemądra – powiedział szorstko. – To naturalne, że jesteś przybita.

Ona jednak wydawała się bardzo zawstydzona tym brakiem samokontroli i gdy czkając, odzyskiwała panowanie nad sobą, co chwila dorzucała z zakłopotaniem kolejne „przepraszam". W końcu wytarła twarz gestem tak zamaszystym, jakby myła okna, po raz ostatni go przeprosiła, wyprostowała się i oznajmiła z mocą, która, zważywszy na okoliczności, zrobiła na Strike'u spore wrażenie:

– Jeśli przyjmiesz tę sprawę... to gdy już złożysz podpis w wykropkowanym miejscu... powiem ci, za co Kinvara uderzyła tatę młotkiem.

– Zakładam – odrzekł – że to samo będzie dotyczyło powodu, dla którego Winn i Knight szantażowali twojego ojca?

– Słuchaj – do jej oczu znów napłynęły łzy – zrozum, tu chodzi o pamięć taty, o jego spuściznę. Nie chcę, żeby ludzie myśleli o nim przez pryzmat tych spraw... Proszę, Corm, pomóż nam. P r o s z ę. Wiem, że to nie było samobójstwo. Wiem, że nie...

Pozwolił, by milczenie zadziałało na jego korzyść. Wreszcie z żałosną miną wymamrotała łamiącym się głosem:

– Dobrze. Powiem ci wszystko na temat tego szantażu, ale tylko jeśli Fizz i Torks się zgodzą.

– Kto to jest Torks? – zainteresował się Strike.

– Torquil. Mąż Fizzy. Przysięgliśmy, że nigdy nikomu o tym nie powiemy, ale po-orozmawiam z nimi i jeśli się zgodzą, dowiesz się wszy-stkiego.

– Nie spytasz o zgodę Raphaela?

– On nic nie wie o tej historii z szantażem. Siedział w więzieniu, kiedy Jimmy po raz pierwszy przyszedł do taty, a zresztą nie dorastał wśród nas, więc nie mógł... Raff o niczym nie wiedział.

– A Kinvara? – spytał Strike. – Ona wiedziała?

– O tak – potwierdziła Izzy i jej zazwyczaj łagodna twarz stężała w złośliwym grymasie – ale ona z całą pewnością nie będzie chciała, żebyśmy ci o tym powiedzieli. Och, nie dlatego, żeby chronić tatę – zaznaczyła, słusznie interpretując minę Strike'a. – Raczej po to, żeby chronić samą siebie. Bo widzisz, Kinvara czerpała z tego korzyści. Nie przeszkadzało jej, co robi tata, dopóki miała z tego zysk.

39

Oczywiście staram się o tym nie mówić, o ile się tylko da. Bo takie rzeczy powinno się pokrywać milczeniem.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Była sobota i Robin miała właśnie paskudny dzień poprzedzony jeszcze gorszą nocą.

O czwartej rano obudziła się z krzykiem, czując, że nadal tkwi w sennym koszmarze, w którym niosła ciemnymi ulicami całą torbę urządzeń podsłuchowych, wiedząc, że śledzą ją zamaskowani mężczyźni. W jej przedramieniu ziała stara rana od noża, tajemnicze zbiry szły po śladach utworzonych przez tryskającą z niej krew, a Robin wiedziała, że nie uda jej się dotrzeć do miejsca, gdzie Strike czekał na torbę z pluskwami...

– Co? – wymamrotał zaspanym głosem nie do końca obudzony Matthew.

– Nic – odrzekła Robin, a potem bezsennie leżała aż do siódmej, gdy w końcu doszła do wniosku, że ma prawo już wstać.

Od dwóch dni po Albury Street kręcił się jakiś młody zaniedbany blondyn. Prawie w ogóle nie zadawał sobie trudu, by ukryć,

że obserwuje ich dom. Robin rozmawiała o nim ze Strikiem, który był przekonany, że to raczej dziennikarz, a nie prywatny detektyw – prawdopodobnie jakiś młodziak wysłany, by mieć ją na oku, dlatego że godzinowa stawka Mitcha Pattersona została uznana za nieuzasadniony wydatek.

Robin i Matthew przeprowadzili się na Albury Street, by uciec z miejsca, gdzie czaił się Rozpruwacz z Shacklewell. Tu mieli być bezpieczni, lecz to miejsce także zostało skażone kontaktem z nagłą śmiercią. Późnym rankiem Robin schroniła się w łazience, zanim Matthew zdążył spostrzec, że żona znowu zmaga się z hiperwentylacją. Siedząc na podłodze, uciekła się do restrukturyzacji poznawczej, techniki, której nauczyła się podczas terapii, aby identyfikować odruchowe myśli o prześladowaniu, bólu i zagrożeniu, pojawiające się nagle w jej głowie w odpowiedzi na pewne bodźce. „To tylko jakiś kretyn pracujący dla »Sun«. Zależy mu na materiale do artykułu, na niczym więcej. Jesteś bezpieczna. Nie może ci zrobić krzywdy. Jesteś zupełnie bezpieczna".

Gdy Robin wynurzyła się z łazienki i zeszła po schodach, jej mąż trzaskał drzwiczkami i szufladami w kuchni, szykując sobie kanapkę. Nie zaproponował, że zrobi jedną także dla niej.

– Co powiemy Tomowi i Sarah, kiedy jakiś drań będzie nam zaglądał przez okna?

– Dlaczego mielibyśmy cokolwiek mówić Tomowi i Sarah? – spytała zdezorientowana Robin.

– Przecież idziemy dzisiaj do nich na kolację!

– O nie – jęknęła Robin. – To znaczy tak. Przepraszam. Zapomniałam.

– A jeśli ten cholerny dziennikarz pójdzie za nami?

– Zignorujemy go – stwierdziła Robin. – Co innego nam pozostaje?

Usłyszała, że na górze dzwoni jej komórka, i ciesząc się, że ma pretekst, by oddalić się od Matthew, poszła odebrać połączenie.

– Cześć – przywitał się Strike. – Dobre wieści. Izzy zatrudniła nas, żebyśmy przeprowadzili śledztwo w sprawie śmierci Chiswella. Nie – poprawił się – w zasadzie to chciała, żebyśmy dowiedli, że zabiła go Kinvara, ale udało mi się rozszerzyć nasze uprawnienia.

– Fantastycznie! – szepnęła Robin, ostrożnie zamykając drzwi sypialni i siadając na łóżku.

– Wiedziałem, że się ucieszysz – powiedział Strike. – Na początek musimy się dowiedzieć, co ustaliła policja, zwłaszcza specjaliści od medycyny sądowej. Właśnie próbowałem pogadać z Wardle'em, ale zabronili mu z nami rozmawiać. Chyba się domyślili, że nadal będę węszył wokół tej sprawy. Potem próbowałem wyciągnąć coś od Anstisa, ale też nic nie wskórałem, jest pochłonięty olimpiadą i nie zna nikogo, kto pracuje przy tym śledztwie. Dlatego chciałem spytać, czy Vanessa już wróciła z urlopu.

– Tak! – odparła Robin, czując nagłe podekscytowanie. Po raz pierwszy to ona miała przydatne kontakty, a nie Strike. – A jeszcze lepsze jest to, że spotyka się teraz z jakimś Oliverem, specem od medycyny sądowej. Nie poznałam go, ale...

– Gdyby Oliver zgodził się z nami porozmawiać – wszedł jej w słowo Strike – byłoby fantastycznie. Skontaktuję się z Shankerem i sprawdzę, czy sprzeda mi coś, co będziemy mogli zaoferować w zamian. Oddzwonię.

Rozłączył się. Robin była głodna, lecz zamiast zejść na dół, wyciągnęła się na eleganckim mahoniowym łożu, które dostali w prezencie ślubnym od ojca Matthew. Było tak nieustawne i ciężkie, że potrzebowali całego zespołu ludzi od przeprowadzek, pocących się i klnących pod nosem, by wtaszczyć je w kawałkach po schodach, a następnie ponownie złożyć w sypialni. Po drugiej

stronie pomieszczenia stała jej stara, tania toaletka. Po wysunięciu szuflad była lekka jak skrzynka na pomarańcze i wystarczył jeden człowiek, by wnieść ją na górę i postawić między oknami w sypialni.

Dziesięć minut później znów zadzwoniła komórka Robin.

– Szybko ci poszło.

– No, mamy szczęście. Shanker dziś odpoczywa. Tak się złożyło, że nasze interesy okazały się zbieżne. Akurat jest ktoś, kogo Shanker mógł bez żalu wystawić policji. Powiedz Vanessie, że mamy do zaoferowania informacje na temat Iana Nasha.

– Iana Nasha? – powtórzyła Robin, siadając, żeby sięgnąć po długopis i kartkę, na której zamierzała zapisać nazwisko. – Kto to właściwie...

– Gangster – uciął Strike. – Vanessa będzie wiedziała, o kogo chodzi.

– Ile cię to kosztowało? – spytała Robin. Osobista więź łącząca Strike'a z Shankerem, na swój sposób bardzo silna, nigdy nie skłaniała tego drugiego do naginania zasad biznesu.

– Połowę honorarium za pierwszy tydzień – odparł Strike. – Ale jeśli Oliver dostarczy nam informacji, będą to dobrze wydane pieniądze. Jak się czujesz?

– Co? – zdziwiła się. – Dobrze. Czemu pytasz?

– Pewnie nigdy nie przyszło ci do głowy, że jako twój pracodawca mam obowiązek interesować się twoim zdrowiem?

– Jesteśmy wspólnikami.

– Jesteś wspólniczką, której wypłacam pensję. Mogłabyś mnie pozwać za kiepskie warunki pracy.

– Nie wydaje ci się – Robin przyglądała się swojemu przedramieniu, na którym nadal odznaczała się dwudziestocentymetrowa fioletowa blizna siniejąca na tle bladej

skóry – że gdybym miała taki zamiar, już dawno bym cię pozwała? Ale jeśli proponujesz, że zrobisz coś w sprawie toalety w korytarzu...

– Chciałem tylko powiedzieć – kontynuował Strike – że byłoby całkiem zrozumiałe, gdybyś trochę to przeżywała. Znalezienie zwłok rozmija się z wyobrażeniem większości ludzi o dobrej zabawie.

– U mnie wszystko w najlepszym porządku – skłamała Robin.

„Musi być w porządku" – pomyślała, gdy już się pożegnali. „Nie zamierzam znowu wszystkiego stracić".

40

Pani założenia różnią się o całe niebo od jego zapatrywań i zasad.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

W środę o szóstej rano Robin, która znowu spała w pokoju gościnnym, wstała i włożyła dżinsy, koszulkę, bluzę i adidasy. Miała w plecaku ciemną perukę kupioną przez internet, którą dostarczono poprzedniego dnia rano przed samym nosem przyczajonego dziennikarza. Cicho zakradła się na górę, żeby nie obudzić Matthew, z którym nie skonsultowała swojego planu. Doskonale wiedziała, że by go nie pochwalił.

Zapanował między nimi niepewny pokój, mimo że sobotnia kolacja z Tomem i Sarah okazała się zupełną klapą – a raczej właśnie dlatego, że okazała się klapą. Zaczęło się niefortunnie, ponieważ dziennikarz rzeczywiście ich śledził. Udało im się go zgubić, w dużej mierze dzięki kursowi kontrwywiadowczemu ukończonemu przez Robin, która zadbała o to, by niepostrzeżenie wymknęli się z wagonu metra tuż przed zamknięciem się drzwi. Rozzłościło to jednak Matthew – uważał, że to niepoważne, dziecinne sztuczki. Na szczęście nawet on nie byłby w stanie obarczyć Robin winą za resztę wieczoru.

To, co zaczęło się przy kolacji jako żartobliwa analiza ich porażki w charytatywnym meczu krykieta, nagle zmieniło się w złośliwą, agresywną wymianę zdań. Podpity Tom niespodziewanie zaatakował Matthew, mówiąc mu, że nie jest nawet w połowie tak dobry, jak mu się wydaje, że jego arogancja działała na nerwy reszcie drużyny, że tak naprawdę wcale nie jest lubiany w pracy,

że drażni ludzi, nadeptuje im na odciski. Matthew, wstrząśnięty tą nagłą napaścią, usiłował dopytywać, co złego robi w pracy, ale Tom, tak pijany, że według Robin musiał zacząć pić wino na długo przed ich przybyciem, uznał niedowierzanie dotkniętego gościa za prowokację.

– Nie udawaj mi tu, kurwa, niewiniątka! – krzyknął. – Nie zamierzam dłużej tego znosić! Lekceważysz mnie, ciągle mi wbijasz pieprzone szpile...

– Naprawdę to robiłem? – spytał wstrząśnięty Matthew, gdy po zmroku wracali z Robin na stację metra.

– Nie – odparła szczerze. – Nie powiedziałeś mu nic złego.

Tylko w myślach dodała: „dziś wieczorem". Czuła ulgę, idąc do domu ze zranionym i zdezorientowanym Matthew, zamiast z mężczyzną, z którym mieszkała na co dzień, a jej współczucie i wsparcie zaowocowały dwudniowym zawieszeniem broni. Robin nie zamierzała narażać rozejmu na szwank, opowiadając mężowi, jak planuje wywieść w pole dziennikarza, który wciąż się kręcił w pobliżu ich domu. Nie mogła sobie pozwolić, by pismak poszedł za nią na spotkanie ze specjalistą od medycyny sądowej, zwłaszcza że, jak wspomniała Vanessa, trzeba było długo namawiać Olivera, by w ogóle zechciał się zobaczyć ze Strikiem i Robin.

Wychodząc cicho przez drzwi tarasowe do ogródka za domem, Robin skorzystała z jednego z krzeseł ogrodowych, by wspiąć się na mur oddzielający ich posesję od sąsiedniej. Na szczęście zasłony w domu były zaciągnięte. Zsunęła się po murze, a ziemia stłumiła odgłos lądowania na trawniku.

Następny etap jej ucieczki był trochę bardziej ryzykowny. Najpierw musiała przesunąć ciężką, zdobioną ławkę w ogródku sąsiadów, tak aby oprzeć ją o ogrodzenie, a potem, balansując na jej oparciu, wspięła się na zaimpregnowane kreozotem przęsło, które

niebezpiecznie się zakołysało, kiedy wylądowała w rabacie po drugiej stronie, gdzie straciła równowagę i upadła. Podniosła się i pobiegła przez trawnik w stronę furtki prowadzącej na parking.

Zasuwka otworzyła się z łatwością, co przyniosło Robin wielką ulgę. Zamykając za sobą furtkę, pomyślała z żalem o śladach stóp, które właśnie zostawiła na mokrych od rosy trawnikach. Jeśli sąsiedzi wstaną wcześnie, z łatwością ustalą, skąd przyszedł intruz, który wtargnął do ich ogródków, poprzesuwał meble ogrodowe i zdeptał begonie. Zabójca Chiswella, o ile rzeczywiście ktoś ministra zamordował, był znacznie bieglejszy w zacieraniu śladów.

Robin przykucnęła za skodą zostawioną na opuszczonym parkingu dla mieszkańców ulicy, przy której nie było garaży, i przeglądając się w bocznym lusterku, włożyła wyjętą z plecaka ciemną perukę, po czym żwawo ruszyła ulicą biegnącą równolegle do Albury Street i po jakimś czasie skręciła w prawo w Deptford High Street.

Oprócz dwóch vanów z towarem i właściciela kiosku, który właśnie podnosił roletę zabezpieczającą front sklepu, w pobliżu nie było nikogo. Spoglądając przez ramię, Robin poczuła nagły dreszcz – nie strachu, lecz euforii. Nikt jej nie śledził. Mimo to nie zdjęła peruki, dopóki nie dotarła bezpiecznie do metra, gdzie nieco tym zaskoczyła młodego mężczyznę, który ukradkiem zerkał na nią znad czytnika Kindle.

Strike wybrał Corner Café przy Lambeth Road ze względu na niewielką odległość od laboratorium medycyny sądowej, w którym pracował Oliver Bargate. Gdy Robin dotarła na miejsce, zastała Cormorana na zewnątrz – palił papierosa. Jego spojrzenie zatrzymało się na ubłoconych kolanach jej dżinsów.

– Twarde lądowanie w rabacie – wyjaśniła, znalazłszy się w zasięgu jego słuchu. – Ten dziennikarz dalej wystaje przed

domem.

– Matthew cię podsadził?

– Nie, skorzystałam z mebli ogrodowych.

Strike zgasił papierosa na ścianie obok i wszedł za Robin do kawiarni, która przyjemnie pachniała smażonym jedzeniem. Według Strike'a Robin była bledsza i szczuplejsza niż zwykle, ale gdy zamawiała kawę i dwie bułki z bekonem, zachowywała się pogodnie.

– Jedną – poprawił ją. – Jedną bułkę z bekonem – powtórzył z żalem, zwracając się do mężczyzny za ladą. – Staram się trochę schudnąć – wyjaśnił Robin, gdy usiedli przy stoliku, który niedawno się zwolnił. – Tak będzie lepiej dla mojej nogi.

– Aha – powiedziała Robin. – Racja.

Gdy zmiótł rękawem okruszki ze stolika, pomyślał, zresztą nie po raz pierwszy, że Robin jest jedyną znaną mu kobietą, która nie przejawia zainteresowania ulepszaniem go. Wiedział, że mógłby teraz zmienić zdanie i zamówić pięć bułek, a ona tylko by się uśmiechnęła i mu je podała. Ta myśl sprawiła, że gdy Robin w ubłoconych dżinsach siadała obok niego przy stoliku, poczuł do niej wyjątkową sympatię.

– Wszystko w porządku? – spytał, śliniąc się na widok keczupu, który wyciskała na bułkę.

– Tak – skłamała Robin. – Co z twoją nogą?

– Lepiej. Jak wygląda facet, z którym mamy się spotkać?

– Wysoki, czarny, w okularach – odrzekła niewyraźnie z ustami pełnymi pieczywa i bekonu. Poranna aktywność obudziła w niej głód, jakiego nie czuła od wielu dni.

– Vanessa dalej zajmuje się olimpiadą?

– No – potwierdziła Robin. – Wierciła Oliverowi dziurę w brzuchu, żeby się z nami spotkał. Chyba nie jest tym zachwycony,

ale jej zależy na awansie.

– Haki na Iana Nasha z pewnością jej pomogą – orzekł Strike. – Z tego, co mówił Shanker, stołeczna policja próbuje...

– To chyba on – szepnęła Robin.

Strike odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach tyczkowatego, zaniepokojonego czarnego mężczyznę w okularach bez oprawek i z teczką w dłoni. Detektyw podniósł rękę na powitanie, a Robin przesunęła kanapkę i kawę na sąsiednie miejsce, żeby Oliver mógł usiąść naprzeciwko Strike'a.

Nie była pewna, czego się spodziewała: mężczyzna był przystojny, modnie ostrzyżony i ubrany w nieskazitelnie białą koszulę, ale wydawał się podejrzliwy i pełen dezaprobaty, a żadna z tych cech nie kojarzyła jej się z Vanessą. Mimo to uścisnął wyciągniętą dłoń Strike'a, a zwracając się do Robin, powiedział:

– Ty jesteś Robin? Zawsze się mijamy.

– Zgadza się. – Też uścisnęła mu dłoń. Nienaganny wygląd Olivera sprawił, że zaczęła się wstydzić swoich rozczochranych włosów i ubłoconych dżinsów. – Miło cię wreszcie poznać. Zamówienia składa się przy barze. Przynieść ci herbatę albo kawę?

– Eee... kawę, tak, byłoby miło – bąknął Oliver. – Dzięki.

Gdy Robin poszła złożyć zamówienie, Oliver ponownie zwrócił się do Strike'a:

– Vanessa mówi, że masz dla niej jakieś informacje.

– Może i mam – odparł Strike. – Wszystko zależy od tego, co ty masz dla nas.

– Zanim ta rozmowa potoczy się dalej, chciałbym wiedzieć, co dokładnie oferujesz.

Strike wyjął kopertę z kieszeni marynarki i ją podniósł.

– Numer rejestracyjny samochodu i ręcznie narysowana mapa.

Najwyraźniej zrobiło to na Oliverze wrażenie.

– Mogę spytać, skąd je masz?

– Spytać możesz – odrzekł wesoło Strike – ale nasza transakcja nie obejmuje odpowiedzi. Eric Wardle potwierdzi, że mój kontakt dostarcza wyłącznie sprawdzonych informacji.

Do kawiarni weszła grupa głośno rozmawiających robotników.

– To wszystko zostanie między nami – dodał cicho Strike. – Nikt nigdy się nie dowie o tym spotkaniu.

Oliver westchnął, potem się pochylił, otworzył teczkę i wyjął duży notes. Gdy Robin wróciła z kubkiem kawy i usiadła przy stoliku, Strike przygotował się do zapisywania.

– Rozmawiałem z jednym z gości z zespołu, który przeprowadzał badania – zaczął Oliver, zerkając na robotników, przekomarzających się teraz hałaśliwie przy sąsiednim stoliku – a Vanessa zamieniła słowo z kimś, kto wie, w jakim kierunku zmierza całe śledztwo. – Zwrócił się do Robin: – Nie mają pojęcia, że Vanessa się z tobą przyjaźni. Jeśli się wyda, że wam pomogliśmy...

– Od nas nikt się o tym nie dowie – zapewniła go Robin.

Lekko marszcząc brwi, Oliver otworzył notes i zajrzał do szczegółowych informacji, które zapisał tam drobnymi, lecz czytelnymi literami.

– No tak, wyniki badań są dość jednoznaczne. Nie wiem, ile szczegółów technicznych chcielibyście...

– Jak najmniej – przerwał Strike. – Przedstaw nam wnioski.

– Chiswell przyjął na pusty żołądek około pięciuset miligramów amitryptyliny rozpuszczonej w soku pomarańczowym.

– To spora dawka, prawda? – upewnił się Strike.

– Już sama w sobie mogła spowodować śmierć, nawet bez helu, ale nie tak szybko. Trzeba też jednak pamiętać, że cierpiał na chorobę serca, która zwiększa podatność. Amitryptylina w zbyt dużej dawce powoduje arytmię i zatrzymanie akcji serca.

– To popularna metoda popełniania samobójstwa?

– Owszem – powiedział Oliver – ale nie zawsze tak bezbolesna, jak się ludziom wydaje. Większość substancji była jeszcze w żołądku. Śladowe ilości w dwunastnicy. W rzeczywistości przyczyną śmierci było uduszenie, co stwierdzono po analizie tkanki płuc i mózgu. Amitryptylina prawdopodobnie była tylko środkiem pomocniczym.

– Jakieś odciski palców na szklance i kartonie po soku pomarańczowym?

Oliver przewrócił kartkę w notesie.

– Na szklance znaleziono tylko odciski Chiswella. Karton leżał w koszu na śmieci, pusty, też z odciskami Chiswella, ale i innych osób. Nic podejrzanego. Takich śladów można się spodziewać, jeśli kupował sok w sklepie. Resztka płynu w środku nie była niczym zaprawiona. Lek trafił prosto do szklanki.

– Butla z helem?

– Na niej były odciski Chiswella i jeszcze czyjeś. Nic podejrzanego. Tak samo jak na kartonie po soku, mogły powstać podczas zakupu.

– Czy amitryptylina ma smak? – zainteresowała się Robin.

– Tak, jest gorzka – powiedział Oliver.

– Chiswell miał osłabiony węch – przypomniał jej Strike. – Wskutek urazu głowy. Możliwe, że nie poczuł smaku.

– Wywołałaby senność? – spytała Robin.

– Prawdopodobnie tak, zwłaszcza jeśli nie był przyzwyczajony do jej zażywania, ale ludzie mogą reagować w niespodziewany sposób. Możliwe, że go pobudziła.

– Wiadomo coś o tym, jak albo gdzie rozkruszono tabletki? – zapytał Strike.

– W kuchni. Na znalezionym tam moździerzu i tłuczku były ślady proszku.

– Odciski palców?

– Jego.

– Wiesz może, czy przebadali tabletki homeopatyczne? – spytała Robin.

– Czy co przebadali? – zdziwił się Oliver.

– Na podłodze leżała fiolka tabletek homeopatycznych. Nadepnęłam na nią – wyjaśniła Robin. – Lachesis.

– Nic mi o nich nie wiadomo – odparł Oliver i Robin zrobiło się trochę głupio, że o nich wspomniała.

– Na grzbiecie jego lewej dłoni był jakiś ślad.

– Tak – potwierdził Oliver, znów zaglądając do notatek. – Otarcia na twarzy i drobny ślad na dłoni.

– Na twarzy też? – Robin zastygła z kanapką w dłoni.

– Tak – powiedział Oliver.

– Jakieś wyjaśnienie? – spytał Strike.

– Zastanawiacie się, czy ten worek założono mu na głowę siłą. – To było stwierdzenie, nie pytanie. – MI5 też to zaciekawiło. Wiedzą, że tych otarć nie zrobił sobie sam. Pod jego paznokciami niczego nie znaleziono. Ale na ciele nie było sińców świadczących o użyciu siły, w pokoju panował porządek, brak śladów walki...

– Oprócz zgiętej szpady – zaznaczył Strike.

– Ciągle zapominam, że tam byliście – mruknął Oliver. – Już to wszystko wiecie.

– Jakieś ślady na szpadzie?

– Niedawno ją wyczyszczono, ale na rękojeści były odciski Chiswella.

– Określono czas zgonu?

– Między szóstą a siódmą rano – powiedział Oliver.

– Przecież był ubrany – zauważyła zamyślona Robin.

– Z tego, co słyszałem na jego temat, z całą pewnością był facetem, który nie chciałby dać się zaskoczyć śmierci, ubrany w piżamę – odrzekł cierpko Oliver.

– Więc stołeczna policja skłania się ku wersji o samobójstwie? – spytał Strike.

– Tak między nami całkiem możliwe, że stwierdzą zgon z nieznanych przyczyn. Jest kilka rozbieżności, które należałoby wyjaśnić. Oczywiście wiecie o uchylonych drzwiach. Są wypaczone. Nie zamkną się, jeśli się ich nie zatrzaśnie, ale gdy użyje się zbyt dużej siły, czasami odskakują. Więc może zostawiono je otwarte przez przypadek. Chiswell mógł nie zdawać sobie sprawy, że ich nie domknął, ale być może morderca nie wiedział, co trzeba zrobić, żeby się zamknęły.

– Nie wiesz przypadkiem, ile było kluczy do tych drzwi? – spytał Strike.

– Nie – powiedział Oliver. – Jak się zapewne domyślacie, ja i Van musieliśmy się starać, żeby te wszystkie pytania brzmiały jak zwykła ciekawość.

– Chodzi o śmierć ministra – zauważył Strike. – Na pewno nie musieliście udawać, że was to interesuje.

– Wiem jedno – odparł Oliver. – Miał mnóstwo powodów, żeby się zabić.

– Na przykład? – Strike zbliżył długopis do notesu.

– Żona chciała od niego odejść...

– Rzekomo – powiedział Strike, pisząc.

– ...stracili dziecko, jego najstarszy syn zginął w Iraku, rodzina twierdzi, że dziwnie się zachowywał, ostro pił i tak dalej, a poza tym miał poważne kłopoty finansowe.

– Tak? – zdziwił się Strike. – Na przykład jakie?

– Prawie wszystko stracił w kryzysie w dwa tysiące ósmym. A do tego dochodziła jeszcze... no... ta historia, w związku z którą prowadziliście śledztwo.

– Wiesz, gdzie byli szantażyści w chwili...

Oliver wykonał szybki, konwulsyjny ruch, o mało nie przewracając kubka z kawą. Pochylił się w stronę Strike'a i syknął:

– Sąd wydał zakaz, w razie gdybyś nie...

– Wiemy – powiedział Strike.

– I tak się składa, że lubię swoją pracę.

– Okej. – Niezrażony Strike ściszył głos. – Sformułuję pytanie inaczej. Czy przyjrzano się działaniom Gerainta Winna i Jimmy'ego?...

– Tak – burknął Oliver. – I obaj mają alibi.

– Jakie?

– Pierwszy był w Bermondsey z...

– Chyba nie z Dellą? – wypaliła Robin, zanim zdążyła się powstrzymać. Myśl, że niewidoma żona mogłaby dać Geraintowi alibi, wydała jej się z jakiegoś powodu nieprzyzwoita. Może Robin była naiwna, lecz odniosła wrażenie, że Della nie bierze udziału w przestępczej działalności męża.

– Nie – odrzekł cierpko Oliver. – I czy naprawdę musimy używać imion i nazwisk?

– W takim razie kto mu dał alibi? – spytał Strike.

– Jakiś pracownik. Facet oświadczył, że był z tym pracownikiem, a ten to potwierdził.

– Byli inni świadkowie?

– Nie wiem – powiedział lekko sfrustrowany Oliver. – Zakładam, że tak. Nikt nie zakwestionował tego alibi.

– A co z Ji... z tym drugim?

– Był w East Ham ze swoją dziewczyną.

– Naprawdę? – Strike to zapisał. – Wieczorem w przeddzień śmierci Chiswella widziałem, jak policjanci prowadzą go do radiowozu.

– Wypuścili go za kaucją. Ale – dodał cicho Oliver – szantażyści zazwyczaj nie zabijają swoich ofiar, prawda?

– Nie, jeśli dostają od nich pieniądze – mruknął Strike, nie przerywając pisania. – A Knight ich nie dostał.

Oliver spojrzał na zegarek.

– Jeszcze dwie sprawy – powiedział ze spokojem Strike, nadal trzymając łokieć na kopercie z informacjami na temat Iana Nasha. – Czy Vanessa wie coś o telefonie, który Chiswell wykonał do syna rano w dniu swojej śmierci?

– Tak, wspominała o tym. – Oliver przerzucał kartki notesu w poszukiwaniu informacji. – Po szóstej rano były dwa połączenia. Pierwsze do żony, drugie do syna.

Strike i Robin znowu na siebie spojrzeli.

– O telefonie do Raphaela wiedzieliśmy. Zadzwonił też do żony?

– Tak, najpierw do niej.

Oliver chyba prawidłowo odczytał ich reakcję, ponieważ dodał:

– Żona jest zupełnie czysta. Była pierwszą osobą, którą przesłuchali, oczywiście zaraz po tym, jak ustalili brak motywu politycznego. Jakiś sąsiad widział, jak poprzedniego dnia wieczorem wchodziła do domu przy Ebury Street, a niedługo potem, dwie godziny przed powrotem męża, wyszła z torbą. W połowie ulicy wsiadła do taksówki i kazała się zawieźć na dworzec Paddington. Uchwyciła ją kamera w pociągu jadącym tam, gdzie mieszka pani Chiswell... do Oxfordshire?... i ponoć po jej przyjeździe w domu był ktoś, kto może potwierdzić, że zjawiła się tam przed północą i nie wychodziła, dopóki nie pojawiła się policja z wiadomością o śmierci Chiswella. W czasie podróży widziało ją wielu świadków.

– Kto był z nią w domu?

– Tego nie wiem. – Wzrok Olivera padł na kopertę, która w dalszym ciągu leżała pod łokciem Strike'a. – I to naprawdę wszystko, co mam.

Strike spytał o to, czego chciał się dowiedzieć, a do tego zyskał kilka informacji, których się nie spodziewał, między innymi te o otarciach na twarzy Chiswella, jego kiepskiej sytuacji finansowej i porannym telefonie do Kinvary.

– Bardzo nam pomogłeś – powiedział do Olivera, przesuwając kopertę po stoliku. – Jesteśmy ci wdzięczni.

Oliver poczuł chyba wielką ulgę, że spotkanie dobiegło końca. Wstał, jeszcze raz pospiesznie uścisnął Strike'owi dłoń, skinął głową Robin i wyszedł z kawiarni. Gdy zniknął im z oczu, Robin odchyliła się na krześle i westchnęła.

– Skąd ta ponura mina? – Strike opróżnił kubek.

– To będzie najkrótsza robota w historii. Izzy chce, żebyśmy udowodnili winę Kinvary.

– Chce poznać prawdę o śmierci ojca – uściślił Strike, lecz uśmiechnął się na widok sceptycznej miny Robin – no i owszem, ma nadzieję, że Kinvara jest winna. Będziemy musieli sprawdzić, czy nie uda się podważyć tych wszystkich alibi, prawda? W sobotę pojadę do Woolstone. Izzy zaprosiła mnie do domu Chiswellów, żeby przedstawić mnie siostrze. Piszesz się? Wolałbym nie prowadzić, kiedy moja noga jest w takim stanie.

– Jasne – odrzekła natychmiast.

Myśl, że wyrwie się z Londynu razem ze Strikiem, choćby na jeden dzień, była tak kusząca, że Robin nie zadała sobie trudu, aby się zastanowić, czy mają z Matthew jakieś plany. Liczyła na to, że w kontekście ich niedawnego niespodziewanego zbliżenia nie

będzie jej robił problemów. Nie pracowała przecież przez półtora tygodnia.

– Możemy pojechać land roverem. Na wiejskich drogach poradzi sobie lepiej niż twoje bmw.

– Jeśli ten pismak nadal będzie obserwował twój dom, chyba będziesz musiała zastosować jakieś taktyki odwracające uwagę – zauważył Strike.

– W samochodzie pójdzie mi lepiej niż pieszo.

– Taa, w sumie... – przyznał Strike.

Robin zaliczyła kurs jazdy dla zaawansowanych. Wprawdzie nigdy jej tego nie mówił, ale była jedyną osobą, której chętnie pozwalał się wozić.

– Kiedy mamy być w domu Chiswellów? – zapytała.

– O jedenastej – odrzekł Strike – ale zarezerwuj sobie cały dzień. Przy okazji chciałbym rzucić okiem na dawny dom Knightów. – Wahał się przez chwilę. – Nie pamiętam, czy ci wspominałem... Poleciłem Barclayowi, żeby dalej obserwował Jimmy'ego i Flick.

Był przygotowany na pretensje, że nie skonsultował tej decyzji z Robin, na żal, że Barclay pracował, podczas gdy ona siedziała w domu, albo – co byłoby chyba najbardziej uzasadnione – na ostre pytanie o to, czy Strike w ogóle nie bierze pod uwagę sytuacji finansowej agencji, ale Robin, raczej rozbawiona niż urażona, powiedziała tylko:

– Dobrze wiesz, że mi o tym nie wspominałeś. Dlaczego kazałeś mu tam zostać?

– Bo mam przeczucie, że sprawa braci Knight jest o wiele bardziej złożona, niż się wydaje.

– Zawsze mi powtarzasz, żeby nie ufać przeczuciom.

– Ale nigdy nie twierdziłem, że nie jestem hipokrytą. I lepiej się przygotuj – dodał, gdy wstali od stolika. – Raphael ma do ciebie żal.

– O co? – zdziwiła się Robin.

– Izzy mówi, że się w tobie zakochał. Jest niepocieszony, że okazałaś się detektywem pod przykrywką.

– Aha. – Na twarz Robin wystąpił lekki rumieniec. – Jestem pewna, że szybko dojdzie do siebie. Tacy faceci mają krótką pamięć.

41

Idzie mi o to, co od samego początku zbliżyło nas do siebie, co nas serdecznie wzajemnie wiąże [...].

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Strike poświęcił wiele godzin życia na próby odgadnięcia, co takiego zrobił, że wywołał ponure milczenie towarzyszącej mu kobiety. Najlepsze, co można było powiedzieć o przedłużającym się stanie nadąsania, w którym Lorelei trwała większość piątkowego wieczoru, to że doskonale wiedział, czym ją uraził, a nawet był gotów przyznać, że jej niezadowolenie było w pewnym stopniu uzasadnione.

Nie minęło nawet pięć minut, odkąd zjawił się w domu Lorelei w Camden, kiedy zadzwoniła do niego Izzy, między innymi po to, by powiedzieć mu o liście, który dostała od Gerainta Winna, lecz przede wszystkim, jak dobrze wiedział, żeby po prostu pogadać. Nie ona pierwsza spośród jego klientów zakładała, że razem z usługami detektywistycznymi zapewniła sobie kogoś łączącego cechy spowiednika i terapeuty. Wszystko wskazywało na to, że Izzy zamierza przegadać ze Strikiem cały piątkowy wieczór, a kokieteryjność, która uwidoczniła się podczas ich ostatniego

spotkania pod postacią dotknięcia jego kolana, była jeszcze bardziej wyczuwalna przez telefon.

Skłonność do traktowania Strike'a jako potencjalnego kochanka nie była rzadkością wśród kruchych i samotnych kobiet, z którymi miał do czynienia w życiu zawodowym. Mimo odczuwanej od czasu do czasu pokusy nigdy jednak nie przespał się z klientką. Agencja zbyt wiele dla niego znaczyła, ale nawet gdyby Izzy mu się podobała, starałby się trzymać aseptycznej strony profesjonalizmu, ponieważ w jego umyśle młodsza córka Chiswella była na zawsze naznaczona skojarzeniem z Charlotte.

Mimo szczerego pragnienia skrócenia rozmowy – Lorelei przygotowała kolację i wyglądała wyjątkowo uroczo w jedwabnej szafirowej sukience przypominającej koszulkę nocną – Izzy wykazywała uporczywą przyczepność rzepu. Strike potrzebował prawie czterdziestu pięciu minut, aby uwolnić się od klientki, która śmiała się długo i głośno nawet ze średnio udanych dowcipów, przez co Lorelei z całą pewnością nie mogła nie zauważyć, że Cormoran rozmawia z kobietą. Ledwie pozbył się Izzy i zaczął wyjaśniać Lorelei, że to pogrążona w żałobie klientka, zadzwonił Barclay z najnowszymi informacjami na temat Jimmy'ego Knighta. Już sam fakt, że Strike odebrał drugie – choć znacznie krótsze – połączenie, zwiększył wagę pierwszego przewinienia.

Spotkali się z Lorelei po raz pierwszy, odkąd cofnęła swoje wyznanie miłości. Podczas kolacji była dotknięta i obrażona, co utwierdziło go w przekonaniu, iż jest daleka od chęci kontynuowania ich układu bez zobowiązań i kurczowo trzyma się nadziei, że jeśli przestanie na niego naciskać, Cormoran sam spokojnie dojdzie do wniosku, że tak naprawdę darzy ją głęboką miłością. Prawie godzinne rozmawianie przez telefon, podczas gdy

kolacja powoli wysychała w piekarniku, przekreśliło jej nadzieje na idealny wieczór i odnowę ich związku.

Gdyby Lorelei przyjęła jego szczere przeprosiny, pewnie miałby ochotę na seks. Jednak o wpół do trzeciej w nocy, kiedy wreszcie zalała się łzami, a jej obarczanie się winą przeplatało się z usprawiedliwieniami, czuł się zbyt zmęczony i podenerwowany, by odpowiedzieć na fizyczne gesty. Obawiał się, że przypisałaby temu znaczenie, jakiego on nie chciał nadawać.

„To się musi skończyć" – pomyślał, gdy z zapadniętymi oczami i zarostem na brodzie wstał o szóstej rano. Poruszał się jak najciszej w nadziei, że zdoła wyjść z mieszkania, nie budząc Lorelei. Zrezygnował ze śniadania, gdyż gospodyni zastąpiła drzwi do kuchni zabawną zasłonką z koralików w stylu retro, która głośno grzechotała, i zdążył dotrzeć aż do schodów prowadzących na ulicę, zanim zaspana Lorelei wynurzyła się z ciemnej sypialni, smutna i pociągająca w krótkim kimonie.

– Nie zamierzałeś się nawet pożegnać?

„Tylko nie płacz. Proszę, kurwa, nie płacz".

– Smacznie spałaś. Muszę już iść, Robin ma po mnie przyjechać o...

– Aha – odparła Lorelei. – Jasne, nie chciałbyś, żeby Robin czekała.

– Zadzwonię – powiedział Strike.

Gdy dotarł do drzwi, miał wrażenie, że usłyszał płacz, lecz otwierał je tak hałaśliwie, że mógłby wiarygodnie twierdzić, iż te dźwięki mu umknęły.

Miał mnóstwo czasu, więc skręcił w stronę dogodnie położonego McDonalda na Egg McMuffina i dużą kawę, którymi posilił się przy niewytartym stoliku, otoczony innymi osobami wstającymi w sobotę wcześnie rano. Dokładnie naprzeciwko niego jakiś młody mężczyzna z czyrakiem na karku czytał „Independent" i zanim

przewrócił kartkę, Strike zauważył nad jego ramieniem nagłówek o treści: *Minister sportu w separacji*.

Detektyw wyjął komórkę i wpisał w wyszukiwarce „Winn małżeństwo". Natychmiast ukazały się najnowsze informacje: „Minister sportu rozstaje się z mężem: »przyjazna« separacja", „Della Winn wypisuje się z małżeństwa", „Niewidoma pani minister, była paraolimpijka, wnosi o rozwód".

Artykuły w najważniejszych gazetach ograniczały się do suchych faktów i były raczej zwięzłe, tylko w kilku rozpisywano się ze szczegółami o imponującej karierze Delli w polityce i poza nią. Co zrozumiałe, zatrudnieni w redakcjach prawnicy podchodzili teraz do Winnów ze szczególną ostrożnością, ponieważ nadal obowiązywał zakaz sądowy. Strike dokończył McMuffina dwoma kęsami, włożył do ust papierosa i pokuśtykał na zewnątrz. Na chodniku zapalił, po czym otworzył w telefonie stronę internetową znanego i nieprzebierającego w słowach blogera politycznego.

Krótki tekst powstał zaledwie kilka godzin wcześniej.

> Zgadnijcie, która odrażająca westminsterska para znana ze słabości do młodych podwładnych wreszcie się rozstaje. On niebawem straci dostęp do ponętnych adeptek polityki, na których tak długo żerował, a ona już znalazła młodego przystojnego „pomocnika", by złagodzić ból rozstania.

Niespełna czterdzieści minut później Strike wyszedł ze stacji metra Barons Court i oparł się o skrzynkę pocztową przed wejściem. Gdy znowu wyjął telefon, żeby poczytać o separacji Winnów, jego samotna postać odznaczała się pod napisem w stylu art nouveau i otwartym segmentowym frontonem wielkiej stacji za jego plecami. Winnowie byli małżeństwem ponad trzydzieści lat. Jedyną znaną mu parą, która spędziła ze sobą aż tyle czasu, byli jego ciocia i wujek w Kornwalii, którzy pełnili funkcję zastępczych rodziców

Strike'a i jego siostry podczas tych regularnych okresów, gdy matka nie miała ochoty albo nie była w stanie się nimi opiekować.

Słysząc znajomy warkot i terkotanie, Strike podniósł głowę. Stary land rover, którego Robin przejęła od rodziców, właśnie toczył się w jego stronę. Widok jasnozłotej głowy Robin za kółkiem zaskoczył zmęczonego i lekko przygnębionego Strike'a w chwili roztargnienia. Detektyw poczuł przypływ niespodziewanego szczęścia.

– Cześć – przywitała się Robin. Gdy Strike otworzył drzwi i wrzucił do środka torbę, pomyślała, że detektyw wygląda fatalnie. – Oj, odwal się – dodała, słysząc, jak kierowca z tyłu wcisnął klakson, rozzłoszczony czasem, jakiego potrzebował Strike, żeby dostać się do środka.

– Wybacz... Noga daje mi się we znaki. Przypinałem ją w pośpiechu.

– Nie ma sprawy... Nawzajem! – krzyknęła w stronę kierowcy, który właśnie ich wyprzedzał, wygrażając jej i miotając przekleństwa.

Opadając wreszcie na miejsce pasażera, Strike zatrzasnął drzwi i Robin odjechała od krawężnika.

– Miałaś jakieś problemy z wydostaniem się z domu? – spytał.

– Co masz na...

– Dziennikarza.

– Aha. Nie... Poszedł sobie. Poddał się.

Strike zastanawiał się, czy Matthew robił jej wyrzuty z powodu pracy w sobotę.

– Słyszałaś o Winnach? – spytał.

– Nie, a co się stało?

– Rozeszli się.

– Nie!

– Tak. Piszą o tym wszystkie gazety. Posłuchaj...

Przeczytał na głos wpis na blogu poświęconym polityce.

– Boże – wyszeptała Robin.

– Wczoraj wieczorem odebrałem dwa ciekawe telefony – powiedział Strike, gdy sunęli w stronę M4.

– Od kogo?

– Jeden od Izzy, drugi od Barclaya. Izzy dostała list od Gerainta – wyjaśnił Strike.

– Naprawdę? – zdziwiła się Robin.

– No. Został napisany kilka dni temu i wysłany do domu Chiswellów, nie do jej londyńskiego mieszkania, więc otworzyła go dopiero po przyjeździe do Woolstone. Poprosiłem, żeby go zeskanowała i przesłała mi mejlem. Chcesz posłuchać?

– Pewnie.

– „Moja bardzo droga Isabello…"

– Fuj – wtrąciła Robin, wzdrygając się lekko.

– „Jak z pewnością rozumiesz – czytał Strike – Della i ja uznaliśmy, że kontaktowanie się z Tobą zaraz po wstrząsającej śmierci Twojego Ojca byłoby niestosowne. Czynimy to zatem teraz w duchu przyjaźni i współczucia".

– Mógłby sobie darować…

– „Być może Della i ja nie zgadzaliśmy się z Jasperem w wielu sprawach politycznych i prywatnych, lecz zawsze pamiętaliśmy o tym, jak ważna jest dla niego rodzina, i mamy świadomość, że bardzo przeżywasz swą osobistą stratę. Prowadziłaś jego biuro z wyczuciem i skutecznością i w naszym małym korytarzu będzie bez Ciebie bardzo pusto".

– Zawsze ją ignorował! – żachnęła się Robin.

– To samo mówiła mi wczoraj przez telefon – odrzekł Strike. – Uważaj, za chwilę będzie wzmianka na twój temat.

– „Jak się domyślamy, nie miałaś nic wspólnego z prawie na pewno nielegalną działalnością młodej kobiety przedstawiającej się jako Venetia. Czujemy się jednak w obowiązku poinformować Cię, że postanowiliśmy sprawdzić, czy mogła mieć dostęp do poufnych danych, gdy wielokrotnie bez pozwolenia wchodziła do naszego biura".

– Nigdy nie interesowało mnie tam nic oprócz gniazdka – zaprotestowała Robin – i wcale nie wchodziłam tam „wielokrotnie". Raptem trzy razy. To najwyżej kilkakrotnie.

– „Jak wiesz, tragedia samobójstwa dotknęła także naszą rodzinę. Zdajemy sobie sprawę, że będzie to dla Ciebie niezwykle trudny i bolesny czas. Najwidoczniej naszym rodzinom pisane jest stykać się ze sobą w najczarniejszych momentach. Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami... Jesteśmy przy Tobie myślami i tak dalej, i tak dalej".

Strike zamknął okienko w telefonie.

– To nie jest list z kondolencjami – zauważyła Robin.

– Właśnie, to pogróżka. Jeśli Chiswellowie wypaplają coś o tym, co znalazłaś na temat Gerainta albo fundacji, Geraint będzie chciał dobrać im się do skóry, wykorzystując ciebie.

Robin wjechała na autostradę.

– Mówiłeś, że kiedy wysłał ten list?

– Pięć, sześć dni temu – odrzekł Strike po sprawdzeniu.

– Chyba jeszcze nie wiedział, że jego małżeństwo się rozpada, prawda? Te wszystkie bzdury o tym, że „w naszym małym korytarzu będzie bez Ciebie bardzo pusto". Bo skoro Della się z nim rozstała, to Geraint na pewno stracił pracę, prawda?

– Wszystko na to wskazuje – zgodził się Strike. – Czy twoim zdaniem Aamir Mallik jest przystojny?

– Co? – spytała zaskoczona. – Aha... masz na myśli „młodego pomocnika”? No wiesz, wygląda całkiem nieźle, ale na modela by się nie nadawał.

– Na pewno chodzi o niego. Ilu innych młodych mężczyzn Della trzyma za rękę i nazywa „skarbami”?

– Nie wyobrażam go sobie w roli jej kochanka – powiedziała Robin.

– „Mężczyźni przejawiający takie zainteresowania” – zacytował Strike. – Szkoda, że nie zapamiętałaś numeru tego wiersza.

– Jest tam jakiś wiersz o sypianiu ze starszą kobietą?

– Najbardziej znane wiersze Katullusa mówią właśnie o tym – wyjaśnił Strike. – Kochał się w starszej kobiecie.

– Aamir nie jest zakochany – odparła Robin. – Sam słyszałeś nagranie.

– Nie wydawał się zauroczony, to fakt. Ale chętnie bym się dowiedział, co wywołuje te zwierzęce odgłosy, które rozlegają się u niego nocami. Te, na które skarżyli się sąsiedzi.

Strike czuł w nodze pulsujący ból. Sięgając w dół, by pomacać miejsce łączenia protezy z kikutem, zdawał sobie sprawę, że przyczyną problemu jest między innymi to, że przypinał protezę w pośpiechu i po ciemku.

– Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym ją poprawił?

– Śmiało.

Strike podwinął nogawkę i zaczął odpinać protezę. Odkąd został zmuszony do odstawienia jej na dwa tygodnie, koniec kikuta źle reagował na ponowne tarcie. Strike wyjął z torby krem E45 i obficie posmarował zaczerwienioną skórę.

– Powinienem był to zrobić wcześniej – powiedział przepraszająco.

Widząc go z torbą, Robin wysnuła wniosek, że spędził noc u Lorelei, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie był zajęty czymś zbyt przyjemnym, żeby myśleć o nodze. Ona i Matthew nie uprawiali seksu od rocznicowego weekendu.

– Dam jej trochę odpocząć. – Strike położył protezę i torbę z tyłu land rovera, gdzie, jak zauważył, było pusto, jeśli pominąć termos w szkocką kratę i dwa plastikowe kubki. Poczuł się zawiedziony. Wcześniej, gdy wyjeżdżali z Londynu samochodem, Robin zawsze zabierała całą reklamówkę jedzenia.

– Nie ma herbatników?

– Myślałam, że starasz się schudnąć?

– Każdy kompetentny dietetyk ci powie, że to, co jesz w czasie podróży samochodem, się nie liczy.

Robin się uśmiechnęła.

– *Kalorie to bzdura. Dieta według Cormorana Strike'a.*

– *Katusze Strike'a. Podróże samochodem, podczas których umierałem z głodu.*

– Mogłeś zjeść śniadanie – odparła Robin i ku swojemu rozdrażnieniu po raz drugi zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie był zajęty czymś innym.

– Zjadłem. Teraz chcę herbatnika.

– Jeśli jesteś głodny, możemy się gdzieś zatrzymać – stwierdziła Robin. – Mamy mnóstwo czasu.

Gdy gładko przyspieszyła, by wyprzedzić dwa wlekące się samochody, Strike poczuł swobodę i odprężenie, których nie można było przypisać wyłącznie uldze związanej z odpięciem protezy ani nawet ucieczce z kiczowatego mieszkania Lorelei z rozgoryczoną właścicielką w środku. Sam fakt, że odpiął protezę, gdy Robin prowadziła samochód, i nie siedział teraz cały spięty, był wysoce niezwykły. Po eksplozji, w której stracił nogę, Strike nie tylko

musiał się bardzo starać, by przezwyciężyć lęk związany z podróżowaniem pojazdami prowadzonymi przez innych ludzi, lecz miał skrywaną, choć głęboko zakorzenioną awersję do kobiet za kółkiem, którą przypisywał przede wszystkim wczesnym, wykańczającym nerwowo doświadczeniom z udziałem krewnych płci żeńskiej. Przyczyną jego nagłej poprawy humoru na widok Robin w samochodzie nie było jednak wyłącznie prozaiczne uznanie dla jej kompetencji. Patrząc na drogę, doświadczył pewnego drgnienia pamięci z wyrazistą domieszką przyjemności i bólu: jego nos jakby na nowo wypełnił się zapachem białych róż, tak jak w chwili, w której trzymał Robin w objęciach na schodach w dniu jej ślubu, i kiedy poczuł dotyk jej ust w zaduchu szpitalnego parkingu.

– Możesz mi podać okulary przeciwsłoneczne? – spytała Robin. – Są w torebce.

Podał je.

– Chcesz herbaty?

– Później – odrzekła Robin. – Częstuj się.

Sięgnął do tyłu po termos i nalał sobie pełny kubek. Herbata była dokładnie taka, jak lubił.

– Wczoraj wieczorem spytałem Izzy o testament Chiswella.

– Dużo zostawił? – spytała Robin, przypominając sobie obskurne wnętrze domu przy Ebury Street.

– O wiele mniej niż można by pomyśleć – powiedział Strike, wyjmując notes, w którym zapisał wszystko, co usłyszał od Izzy. – Oliver miał rację. Chiswellowie klepią biedę. Oczywiście w relatywnym sensie – podkreślił. – Wszystko wskazuje na to, że ojciec Chiswella wydał większość majątku na kobiety i konie. Chiswell dużo stracił na rozwodzie z lady Patricią. Jej rodzina była bogata i zatrudniła lepszych prawników. Izzy i jej siostra nie cierpią

na brak gotówki właśnie dzięki rodzinie matki. Eleganckie mieszkanie Izzy w Chelsea to zasługa funduszu powierniczego. Matka Raphaela odeszła z wysokimi alimentami, które wyczyściły konto Chiswella prawie do cna. Resztkę, która mu została, utopił później w jakichś ryzykownych akcjach poleconych przez jego zięcia maklera. Podobno Torks ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Izzy prosiła, żebyśmy dziś o tym nie wspominali. Kryzys w dwa tysiące ósmym roku właściwie zupełnie pogrążył Chiswella. Minister postarał się, żeby rodzina nie musiała płacić podatku spadkowego. Niedługo po tym, jak stracił większość gotówki, część cennych pamiątek rodzinnych i dom Chiswellów przekazał najstarszemu wnukowi...

– Pringle'owi – podpowiedziała Robin.

– Co?

– Pringle'owi. Tak nazywają jego najstarszego wnuka. Fizzy ma troje dzieci – wyjaśniła Robin. – Izzy ciągle o nich przynudzała: nazywają je Pringle, Flopsy i Pong.

– Chryste Panie – mruknął Strike. – Zupełnie jakbyśmy jechali na rozmowę z teletubisiami.

Robin wybuchnęła śmiechem.

– Poza tym Chiswell chyba liczył na to, że wyjdzie na plus dzięki sprzedaży ziemi wokół rodzinnego domu i jakichś przedmiotów o wartości sentymentalnej. Ponownie obciążył hipotekę domu przy Ebury Street.

– Więc Kinvara razem ze wszystkimi swoimi końmi mieszka w domu przyszywanego wnuka? – Robin zmieniła bieg, żeby wyprzedzić ciężarówkę.

– Tak, Chiswell dołączył do testamentu list, w którym prosił, żeby Kinvara zachowała prawo mieszkania w domu do końca życia lub do czasu, aż ponownie wyjdzie za mąż. Ile lat ma ten Pringle?

– Zdaje się, że z dziesięć.

– Ciekawe, czy rodzina uszanuje życzenie Chiswella, skoro Izzy uważa, że to Kinvara zabiła jej ojca. Pamiętaj, że sądząc po tym, co mówiła wczoraj Izzy, wcale nie jest pewne, czy wdowie starczy pieniędzy na utrzymanie domu. Izzy i jej siostra dostały po pięćdziesiąt tysiaków, a każde z wnucząt po dziesięć, i ledwie starczy gotówki, żeby wypełnić te zapisy. Kinvarze zostanie reszta ze sprzedaży domu przy Ebury Street i inne ruchomości pomniejszone o cenne przedmioty, które zostały już zapisane wnukowi. W gruncie rzeczy Chiswell zostawił jej ochłapy, których nie opłacało się sprzedawać, i wszystkie prezenty, które dał jej w czasie małżeństwa.

– Raphael nic nie dostał?

– Nie użalałbym się nad nim. Według Izzy jego piękna matka zrobiła karierę, skubiąc bogatych facetów. Raphael odziedziczy po niej mieszkanie w Chelsea. Podsumowując, trudno byłoby stwierdzić, że Chiswella zamordowano dla pieniędzy – oznajmił Strike. – Jak ma na imię ta druga siostra, do cholery? Przecież nie będę do niej mówił Fizzy.

– Sophia – powiedziała rozbawiona Robin.

– Aha, no to możemy ją wykluczyć. Sprawdziłem: rano w dniu śmierci Chiswella była na lekcji jazdy konnej dla niepełnosprawnych w Northumberland. Raphael nie mógł nic zyskać na śmierci ojca i Izzy uważa, że jej brat o tym wiedział, ale i tak będziemy musieli to sprawdzić. Ona sama, jak to ujęła, „trochę sobie podchmieliła" w Lancaster House i następnego dnia rano nie czuła się najlepiej. Jej sąsiad może zaświadczyć, że w chwili śmierci ojca piła herbatę na wspólnym dziedzińcu za budynkiem. Wczoraj wieczorem otwarcie mi o tym powiedziała.

– Pozostaje Kinvara – stwierdziła Robin.

– Tak. Jeśli Chiswell nie ufał jej na tyle, żeby poinformować ją o zatrudnieniu prywatnego detektywa, to mógł też nie być z nią szczery w kwestii rodzinnych finansów. Być może myślała, że dostanie o wiele więcej, ale...

– ...ma najlepsze alibi z całej rodziny – podsunęła Robin.

– Właśnie – zgodził się Strike.

Zostawili już za sobą posadzone ludzką ręką zarośla wzdłuż autostrady w okolicach Windsoru i Maidenhead. Po obu stronach drogi rosły teraz wiekowe drzewa, starsze niż asfaltowa nawierzchnia, które z pewnością widziały, jak giną ich bracia, by zrobić dla niej miejsce.

– Telefon od Barclaya też był ciekawy – ciągnął Strike, przewracając kilka kartek w notesie. – Od śmierci Chiswella Knight jest w podłym nastroju, ale nie powiedział Barclayowi dlaczego. W środę wieczorem prowokował Flick, przyznając rację jej byłej współlokatorce i wytykając Flick burżuazyjną naturę... Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę? Opuszczę szybę.

Lekki wiatr był orzeźwiający, ale wycisnął mu łzy ze zmęczonych oczu. W przerwach między zaciąganiem się trzymał papierosa za szybą i mówił dalej:

– No więc Flick naprawdę się zdenerwowała, powiedziała, że „odwala dla niego tę gównianą robotę", a potem dorzuciła, że to nie jej wina, że czterdzieści patyków przeszło im koło nosa, i wtedy, że zacytuję Barclaya, Jimmy'emu „odbiła szajba". Flick wypadła z domu jak burza, a o czwartej rano Jimmy napisał do Barclaya esemesa, że jedzie w rodzinne strony, żeby odwiedzić brata.

– Billy jest w Woolstone? – zdziwiła się Robin. Uświadomiła sobie, że zaczęła traktować młodszego z braci Knight jako niemal mityczną postać.

– Możliwe, że Jimmy użył go tylko jako wymówki. Kto wie, dokąd naprawdę się wybrał... W każdym razie Jimmy i Flick zjawili się wczoraj wieczorem w pubie cali w skowronkach. Barclay mówi, że pogodzili się przez telefon i w ciągu jego dwudniowej nieobecności Flick udało się znaleźć fajną, nieburżuazyjną pracę.

– Niezła robota – stwierdziła Robin.

– Co myślisz o pracy w sklepie?

– Jako nastolatka przez jakiś czas byłam ekspedientką. Czemu pytasz?

– Flick zatrudniła się na kilka godzin dziennie w sklepie z biżuterią w Camden. Powiedziała Barclayowi, że właścicielką jest jakaś wikanka. Oferuje minimalne wynagrodzenie i wszystko wskazuje na to, że jest zdrowo szurnięta, więc mają problem ze znalezieniem chętnych do pracy.

– Nie wydaje ci się, że mogliby mnie rozpoznać?

– Paczka Knighta nigdy nie widziała cię na żywo – zauważył Strike. – Gdybyś zrobiła coś drastycznego z włosami i znowu założyła kolorowe soczewki... Mam przeczucie – powiedział, zaciągając się głęboko papierosem – że Flick dużo ukrywa. Skąd wiedziała, co ma na sumieniu Chiswell, zanim zaczęli go szantażować? Nie zapominaj, że to ona powiedziała o tym Jimmy'emu. Dziwne.

– Zaczekaj – przerwała Robin. – O czym ty mówisz?

– Napomknęła o tym, kiedy śledziłem ich w czasie demonstracji – odrzekł Strike. – Nie wspomniałem ci?

– Nie.

Gdy zaprzeczyła, przypomniał sobie, że po demonstracji spędził tydzień u Lorelei z nogą na pufie i w dalszym ciągu wściekał się na Robin, że odmówiła pracy w sobotę, więc prawie z nią nie rozmawiał. Kiedy spotkali się w szpitalu, był zbyt roztargniony

i zaniepokojony, żeby przekazać jej informacje w zwykły uporządkowany sposób.

– Przepraszam – powiedział. – To było w tym tygodniu po...

– Tak – weszła mu w słowo. Ona też wolała nie wspominać weekendu, w którym odbyła się tamta demonstracja. – Więc co konkretnie powiedziała?

– Że gdyby nie ona, nie wiedziałby, co zrobił Chiswell.

– Hmm... – zamyśliła się Robin. – Przecież to on dorastał w bezpośrednim sąsiedztwie rodziny ministra.

– Ale to, czego dotyczył szantaż, wydarzyło się sześć lat temu, już po tym, jak Jimmy wyprowadził się z domu – przypomniał jej Strike. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, Jimmy trzyma się Flick dlatego, że ta dziewczyna za dużo wie. Możliwe, że boi się od niej odejść, żeby nie zaczęła gadać. Jeśli nie uda ci się z niej wydobyć niczego przydatnego, będziesz mogła udać, że sprzedawanie kolczyków nie jest dla ciebie, i odejść, ale biorąc pod uwagę, w jakim stanie jest ich związek, myślę, że Flick chętnie się zwierzy życzliwej nieznajomej. Nie zapominaj – dodał, wyrzucając niedopałek przez okno i podnosząc szybę – że to ona zapewniła Jimmy'emu alibi na czas śmierci Chiswella.

– Pamiętam – odparła Robin, podekscytowana perspektywą powrotu do pracy pod przykrywką.

Zastanawiała się, jak zareagowałby Matthew, gdyby zgoliła włosy po bokach głowy albo ufarbowała je na niebiesko. W zasadzie to nawet nie zrobił sceny na wieść, że Robin spędzi sobotę ze Strikiem. Długie dni, które upłynęły jej w areszcie domowym, i współczucie, jakie mu okazała po kłótni z Tomem, sprawiły chyba, że spojrzał na nią łaskawszym okiem.

Tuż po wpół do jedenastej zjechali z autostrady na wiejską drogę wijącą się w dół doliny, w której leżała przycupnięta wieś

Woolstone. Robin zaparkowała obok żywopłotu z powojników, by Strike mógł ponownie przypiąć protezę. Odkładając okulary przeciwsłoneczne do torebki, zauważyła dwa esemesy od Matthew. Przyszły przed dwiema godzinami, lecz widocznie sygnał powiadomienia został zagłuszony przez warkot land rovera.

Pierwsza wiadomość brzmiała:

> Cały dzień. A co z Tomem?

Druga, przesłana dziesięć minut później:

> Zignoruj poprzedniego esemesa, dotyczył pracy.

Gdy Robin czytała te wiadomości ponownie, odezwał się Strike:

– O cholera.

Już przypiął protezę i wpatrywał się przez szybę w coś, czego nie widziała.

– Co?

– Popatrz na to.

Strike wskazał wzgórze, z którego przed chwilą zjechali. Robin pochyliła głowę, żeby sprawdzić, co zwróciło jego uwagę.

Na zboczu widniała olbrzymia prastara kredowobiała sylwetka. Według Robin przypominała stylizowanego lamparta, ale jeszcze zanim Strike zdążył się odezwać, uświadomiła sobie, co przedstawia ta podobizna.

– „Obok konia. Udusił je obok konia" – zacytował Strike.

42

W rodzinie to nigdy nie brak kłopotów.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Obłażący z farby drewniany znak na skrzyżowaniu wskazywał drogę do domu Chiswellów. Po lewej stronie podjazdu, zarośniętego i pełnego dziur, ciągnął się gęsty las, a po prawej rozpościerało się długie pole podzielone za pomocą elektrycznych pastuchów na wybiegi, na których pasło się kilka koni. Gdy podskakujący i warczący land rover jechał w stronę niewidocznego jeszcze domu, dwa największe konie, przestraszywszy się hałaśliwego obcego samochodu, puściły się biegiem. Nastąpiła reakcja łańcuchowa i większość z ich towarzyszy też pocwałowała przed siebie. Dwa pierwsze wierzgnęły, mijając się po drodze.

– O rany – powiedziała Robin, patrząc na konie, gdy land rover kołysał się na nierównym gruncie. – Trzyma ogiery w jednej zagrodzie.

– To niedobrze, prawda? – spytał Strike, gdy włochate, czarne jak smoła stworzenie rzuciło się z zębami i kopytami na równie potężne zwierzę, które określiłby jako brązowe, choć bez wątpienia kolor jego sierści miał jakąś wyrafinowaną nazwę.

– Zazwyczaj się tego nie robi. – Robin skrzywiła się, gdy tylne kopyta czarnego ogiera trafiły w bok jego towarzysza.

Za zakrętem zobaczyli zwyczajną fasadę neoklasycystycznego domu z przybrudzonego żółtego kamienia. Wysypane żwirem podwórze z przodu było, podobnie jak podjazd, usiane dziurami i zachwaszczone, okna wyglądały na brudne, a obok drzwi wejściowych stało niepasujące do tego obrazka olbrzymie wiadro końskiej paszy. Przed budynkiem parkowały już trzy samochody: czerwone audi q3, ciemnozielony range rover i stara, ubłocona grand vitara. Po prawej stronie domu były stajnie, a po lewej szerokie boisko do krokieta, które od dawna opanowały stokrotki. Dalej rozciągał się gęsty las.

Gdy Robin się zatrzymała, z domu wybiegł otyły czarny labrador z terierem szorstkowłosym. Oba szczekały. Labrador wydawał się skory do zawarcia przyjaźni, lecz Norfolk terrier, który miał mordę przypominającą złośliwą małpę, ujadał i warczał, dopóki w drzwiach nie stanął jasnowłosy mężczyzna w koszuli w prążki i w musztardowych sztruksach.

– ZAMKNIJ SIĘ, RATTENBURY! – krzyknął.

Wystraszony pies ograniczył się do cichego powarkiwania skierowanego w stronę Strike'a.

– Torquil D'Amery – przedstawił się jasnowłosy mężczyzna, przeciągając samogłoski i podchodząc z wyciągniętą ręką do Strike'a. Pod błękitnymi oczami miał wyraźne sińce, a jego lśniąca różowa twarz wyglądała, jakby jeszcze nigdy nie potrzebowała żyletki. – Proszę nie zwracać uwagi na psa, jest cholernie upierdliwy.

– Cormoran Strike. A to...

Gdy Robin wyciągnęła rękę, z budynku wyskoczyła rozczochrana Kinvara, odziana w stare bryczesy i spraną koszulkę.

– Na litość boską! Niczego nie wiecie na temat koni?! – wrzasnęła do Strike'a i Robin. – Dlaczego jechaliście tak szybko?

– Jeśli się tam wybierasz, Kinvaro, powinnaś włożyć toczek! – zawołał Torquil za oddalającą się postacią, lecz ona pędziła jak burza, nie dając po sobie poznać, że go usłyszała. – To nie wasza wina – zapewnił Strike'a i Robin, przewracając oczami. – Po tym podjeździe trzeba jechać szybko, bo inaczej utknie się w którejś z tych przeklętych dziur, ha, ha. Zapraszam do środka... O, jest Izzy.

Izzy wyszła z domu. Była ubrana w granatową szmizjerkę i wciąż miała na szyi krzyżyk z szafirami. Ku lekkiemu zdziwieniu Robin młodsza córka Chiswella przywitała Strike'a uściskiem, jak starego przyjaciela, który przyjechał złożyć kondolencje.

– Cześć, Izzy – powiedział Cormoran, robiąc pół kroku w tył, żeby się wyswobodzić. – Robin oczywiście już znasz.

– Och, tak, będę musiała się przyzwyczaić do nazywania cię Robin. – Izzy uśmiechnęła się i ucałowała Robin w oba policzki. – Wybacz, jeśli się pomylę i wymknie mi się Venetia... bo na pewno tak będzie, dalej kojarzysz mi się z tym imieniem. Słyszeliście o Winnach? – dorzuciła niemal jednym tchem.

Przytaknęli.

– Okropny, okropny człowieczek – stwierdziła Izzy. – To wspaniale, że Della go pogoniła. Ale nieważne, zapraszam do środka... Gdzie jest Kinvara? – spytała szwagra, prowadząc ich do domu, który w porównaniu z jasnym podwórzem wydawał się ponury.

– Te cholerne konie znowu się spłoszyły – powiedział Torquil, zagłuszany przez Norfolk terriera, który ponownie się rozszczekał. – Nie, Rattenbury, spieprzaj, zostajesz na podwórku.

Zatrzasnął drzwi przed nosem teriera – pies zaczął drapać w nie i piszczeć. Labrador poczłapał cicho za Izzy, gdy prowadziła ich obskurnym korytarzem z szerokimi kamiennymi schodami w stronę salonu po prawej.

Wysokie okna wychodziły na boisko do krokieta i las. Gdy weszli do środka, troje białowłosych dzieci przebiegło po nieskoszonej trawie, wydając głośne okrzyki, i po chwili zniknęło im z oczu. Dzieci nie miały w sobie ani krztyny nowoczesności – ich stroje i fryzury wyglądały jak żywcem wyjęte z lat czterdziestych.

– To dzieci Torquila i Fizzy – powiedziała czule Izzy.

– Przyznaję się do winy – oznajmił z dumą Torquil. – Moja żona jest na górze, pójdę po nią.

Gdy Robin odwróciła się od okna, poczuła silny, odurzający zapach, który wywołał w niej dziwny niepokój, i w końcu

zauważyła wazon z liliami Stargazer stojący na stole za kanapą. Pasowały do wyblakłych zasłon, niegdyś szkarłatnych, a teraz spranych i bladoróżowych, oraz do postrzępionej tkaniny na ścianach, na których dwie plamy ciemniejszego karmazynu widniały w miejscach, skąd zdjęto obrazy. Wszystko było powycierane i zużyte. Nad kominkiem wisiał jeden z nielicznych pozostałych obrazów; ukazywał konia w brązowo-białe łaty, stojącego w stajni i dotykającego chrapami śnieżnobiałego źrebięcia zwiniętego na sianie.

Pod obrazem stał Raphael, który zachowywał się tak cicho, że początkowo go nie zauważyli. Zwrócony plecami do pustego kominka, z rękami w kieszeniach dżinsów, wyglądał wyjątkowo włosko w tym bardzo angielskim pomieszczeniu z wypłowiałymi poduszkami dekoracyjnymi, stertą książek o ogrodnictwie na małym stoliku i obtłuczonymi chińskimi lampami.

– Cześć, Raff – odezwała się Robin.

– Witaj, Robin – odrzekł bez uśmiechu.

– Raff, to jest Cormoran Strike – powiedziała Izzy. Raphael się nie poruszył, więc Strike podszedł, by uścisnąć mu dłoń, co syn Chiswella zrobił niechętnie, zaraz potem szybko wkładając rękę z powrotem do kieszeni. – Właśnie rozmawiałyśmy z Fizz o Geraincie. – Izzy wydawała się bardzo zaaferowana nowiną o rozstaniu Winnów. – Mamy wielką nadzieję, że będzie trzymał język za zębami, bo teraz, kiedy tata nie żyje, może bezkarnie wygadywać o nim, co tylko zechce, prawda?

– Jeśli spróbuje, macie na niego haka – przypomniał jej Strike.

Rzuciła mu spojrzenie wyrażające bezbrzeżną wdzięczność.

– Oczywiście, masz rację, i nie zdobylibyśmy go, gdyby nie ty... i Venetia... to znaczy Robin – dodała po chwili.

– Torks, jestem na dole! – zawołała jakaś kobieta niedaleko drzwi, bez wątpienia siostra Izzy, wchodząc tyłem do salonu i niosąc wyładowaną tacę. Była starsza od Izzy, bardzo piegowata i zniszczona, z siwymi pasmami w jasnych włosach. Miała na sobie prążkowaną koszulę uderzająco podobną do tej, którą włożył jej mąż, tyle że zestawiła ją z perłami. – TORKS! – wrzasnęła w stronę sufitu, tak że Robin aż podskoczyła. – JESTEM TUTAJ!

Z brzękiem postawiła tacę na haftowanym pufie przed Raffem i kominkiem.

– Cześć, jestem Fizzy. Gdzie poszła Kinvara?

– Pobiegła do koni – odparła Izzy, okrążając kanapę i siadając na niej. – To pewnie pretekst, żeby się stąd ulotnić. Usiądźcie.

Strike i Robin zajęli dwa zapadnięte fotele, które stały obok siebie prostopadle do kanapy. Wyglądało na to, że ich sprężyny zużyły się dziesiątki lat temu. Robin czuła na sobie spojrzenie Raphaela.

– Izz wspominała, że znasz Charlie Campbell – powiedziała Fizzy do Strike'a, nalewając wszystkim herbaty.

– Zgadza się – odrzekł Strike.

– Szczęściarz – stwierdził Torquil, który właśnie wrócił do salonu.

Strike nie dał po sobie poznać, że to usłyszał.

– Poznałeś może Jonty'ego Petersa? – ciągnęła Fizzy. – To przyjaciel Campbellów. Miał coś wspólnego z policją... Nie, Badger, to nie dla ciebie... Torks, czym zajmował się Jonty Peters?

– Był sędzią pokoju – odpowiedział natychmiast Torquil.

– No tak, oczywiście. Sędzią pokoju. Znasz Jonty'ego, Cormoran?

– Nie – odparł Strike. – Niestety nie znam.

– Ożenił się z... Jak ona się nazywała...? Urocza dziewczyna... Annabel. Wiele zrobiła dla Save the Children, a w ubiegłym roku została Komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego, w pełni

zasłużenie. Och, ale skoro znałeś Campbellów, na pewno kojarzysz Rory'ego Moncrieffa?

– Nie wydaje mi się – odrzekł cierpliwie Strike, zastanawiając się, co powiedziałaby Fizzy, gdyby oznajmił, że Campbellowie trzymali go jak najdalej od swoich przyjaciół i krewnych. Być może poradziłaby sobie nawet w takiej sytuacji: „Aha, w takim razie na pewno zetknąłeś się z Basilem Plumleyem? Nienawidzili go, jeszcze jak, był agresywnym alkoholikiem, ale jego żona wspięła się na Kilimandżaro, żeby wesprzeć Fundację na rzecz Psów...".

Torquil odepchnął grubego labradora od herbatników i pies powoli wycofał się w kąt, gdzie klapnął, szykując się do drzemki. Fizzy usiadła na kanapie między swoim mężem a Izzy.

– Nie wiem, czy Kinvara zamierza tu przyjść – powiedziała Izzy. – Równie dobrze możemy zacząć.

Strike spytał, czy rodzina dowiedziała się czegoś więcej o postępach policji w śledztwie. Zapadło krótkie milczenie, w czasie którego piski dzieci w oddali niosły się echem po zapuszczonym trawniku.

– Wiemy niewiele więcej niż to, co ci powiedziałam – odezwała się Izzy – ale chyba wszyscy mamy wrażenie – spojrzała na rodzeństwo i szwagra – że według policji tata popełnił samobójstwo, prawda? Najwyraźniej czują jednak potrzebę gruntownego zbadania sprawy...

– Ze względu na to, kim był, Izz – wtrącił się Torquil. – Był ministrem, to oczywiste, że sprawdzą wszystko dokładniej, niż gdyby mieli do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem z ulicy. Powinieneś o czymś wiedzieć, Cormoran – dodał podniosłym tonem, poprawiając ułożenie swojego nielekkiego ciała na kanapie. – Wybaczcie, dziewczyny, ale muszę to wyznać: osobiście uważam, że to było samobójstwo. Rozumiem oczywiście, że trudno

udźwignąć taką myśl, i niech ci się nie wydaje, że nie jestem zadowolony, że Izzy cię zatrudniła! – zapewnił Strike'a. – Jeśli dzięki temu dziewczyny poczują się spokojniejsze, wyjdzie nam to na dobre. Ale... hm... męska część rodziny... no nie, Raff?... uważa, że... no cóż... mój teść uznał, że dłużej nie da rady. Zdarza się. Najwidoczniej nie był przy zdrowych zmysłach. No nie, Raff? – powtórzył.

Raphaelowi najwyraźniej nie spodobał się pobrzmiewający w tym pytaniu władczy ton. Ignorując szwagra, zwrócił się bezpośrednio do Strike'a:

– Od paru tygodni ojciec dziwnie się zachowywał. Wtedy nie rozumiałem dlaczego. Nikt mi nie wspominał, że był szantażo...

– Nie będziemy w to wnikać – przerwał pospiesznie Torquil. – Już to uzgodniliśmy. Decyzja rodzinna.

– Cormoran – odezwała się zaniepokojona Izzy – zdaję sobie sprawę, że chciałeś się dowiedzieć, dlaczego szantażowano tatę...

– Jasper nie złamał żadnych przepisów – oświadczył Torquil zdecydowanym tonem – i to wszystko na ten temat. Nie wątpię, że jesteś dyskretny – powiedział do Strike'a – ale takie sprawy wychodzą na jaw. Zawsze wychodzą na jaw. Nie chcemy, żeby gazety znowu mieszały nas z błotem. Uzgodniliśmy to, prawda? – spytał głośno żonę.

– Chyba tak – potwierdziła bez przekonania Fizzy. – Oczywiście, że nie chcemy, by to się przedostało do gazet, ale Jimmy Knight miał dobry powód, żeby źle życzyć tacie, Torks, i Cormoran powinien przynajmniej o tym usłyszeć. Wiesz, że Jimmy był w tym tygodniu w Woolstone?

– Nie – odrzekł Torquil. – Nie wiedziałem.

– Tak. Pani Ankill go zauważyła – poinformowała Fizzy. – Pytał ją, czy nie widziała jego brata.

– Biedny mały Billy – westchnęła Izzy. – Był pomylony. Ale kto nie byłby pomylony, gdyby wychował go Jack o'Kent? Pewnego wieczoru, wiele lat temu, tata wyszedł z psami na spacer – ciągnęła, zwracając się do Strike'a i Robin – i zobaczył, jak Jack kopie Billy'ego tak, że chłopak dosłownie fruwa po całym ogródku. Billy był nagi. Oczywiście na widok taty Jack o'Kent się uspokoił.

Najwyraźniej ani Izzy, ani jej ojcu nie przyszło do głowy, że coś takiego należało zgłosić policji albo opiece społecznej. Zupełnie jakby Jack o'Kent i jego syn byli dzikimi stworzeniami w lesie, zachowującymi się niestety tak jak takie zwierzęta zwykły zachowywać się w naturalnym środowisku.

– Myślę – stwierdził Torquil – że im mniej będziemy mówili o Jacku o'Kencie, tym lepiej. Poza tym, Fizz, twierdzisz, że Jimmy miał powód, żeby źle życzyć twojemu ojcu, ale tak naprawdę zależało mu na pieniądzach, a zamordowanie twojego ojca z całą pewnością nie mogłoby...

– Mimo wszystko był zły na tatę – nie ustępowała Fizzy. – Może kiedy zrozumiał, że tata nie zamierza mu zapłacić, puściły mu nerwy. Jako nastolatek Jimmy był strasznym łobuzem – powiedziała do Strike'a. – Wcześnie wciągnęła go ultralewicowa polityka. Przesiadywał w lokalnym pubie z braćmi Butcher, opowiadając wszystkim, że torysów należy powiesić, potopić i poćwiartować, próbował sprzedawać ludziom socjalistyczne pisemka...

Fizzy spojrzała z ukosa na młodszą siostrę, która – takie wrażenie odniósł Strike – dość uparcie ją ignorowała.

– Sprawiał kłopoty, zawsze sprawiał kłopoty – mówiła dalej Fizzy. – Dziewczyny go lubiły, ale...

Drzwi salonu się otworzyły i ku wyraźnemu zaskoczeniu reszty rodziny do środka weszła zarumieniona i poruszona Kinvara. Strike

z lekkim trudem zdołał się podźwignąć z wysiedzianego fotela i wyciągnął do niej rękę.

– Cormoran Strike, miło mi.

Wyglądało na to, że Kinvara chętnie zignorowałaby jego przyjazny gest, lecz ostatecznie uścisnęła mu łaskawie dłoń. Torquil przysunął do pufa następny fotel, a Fizzy nalała herbaty do kolejnej filiżanki.

– Z końmi wszystko w porządku? – spytał uprzejmie Torquil.

– Mystic znowu ugryzł Romano – odrzekła, rzucając Robin nienawistne spojrzenie – więc musiałam wezwać weterynarza. Mystic denerwuje się tylko wtedy, kiedy ktoś za szybko jedzie po podjeździe, poza tym jest całkiem spokojny.

– Nie wiem, dlaczego trzymasz ogiery na jednym wybiegu – powiedziała do niej Fizzy.

– To mit, że one się nie lubią – odwarknęła Kinvara. – W naturze stada samców są bardzo powszechne. W Szwajcarii przeprowadzono badanie, które dowiodło, że ogiery mogą koegzystować w pokoju, kiedy już ustalą między sobą hierarchię.

Mówiła dogmatycznym, wręcz fanatycznym tonem.

– Właśnie opowiadaliśmy Cormoranowi o Jimmym Knighcie – wyjaśniła Fizzy.

– Myślałam, że nie chcecie się zagłębiać w...

– Nie chodzi o szantaż – zapewnił prędko Torquil – tylko o to, że był okropny już jako nastolatek.

– Aha – powiedziała Kinvara. – Rozumiem.

– Pani pasierbica się martwi, że mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią pani męża – dodał Strike, obserwując jej reakcję.

– Wiem – odparła Kinvara z pozorną obojętnością, ale jej oczy podążyły za Raphaelem, który właśnie odsunął się od kominka, żeby sięgnąć po paczkę marlboro light leżącą obok lampy stołowej.

– Nie znałam Jimmy'ego Knighta. Pierwszy raz zobaczyłam go rok temu, kiedy zjawił się u nas w domu i chciał rozmawiać z Jasperem. Raphael, popielniczka jest pod gazetą.

Jej pasierb zapalił papierosa i wrócił na miejsce przed pustym kominkiem, stawiając po drodze popielniczkę na stoliku obok Robin.

– Od tego wszystko się zaczęło – kontynuowała Kinvara. – Ten szantaż. Jaspera nie było wtedy w domu, więc Jimmy rozmawiał ze mną. Jasper był wściekły, kiedy wrócił i mu o tym powiedziałam.

Strike czekał. Przypuszczał, że nie tylko on w tym pomieszczeniu myśli, że Kinvara może złamać rodzinną omertę i wypaplać, co powiedział Jimmy. Powstrzymała się jednak, więc Strike sięgnął po notes.

– Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebym zadał kilka rutynowych pytań? Wątpię, czy znajdą się wśród nich takie, na które nie odpowiadaliście już policji. Po prostu chciałbym wyjaśnić parę spraw. Ile jest kluczy do domu przy Ebury Street?

– Trzy. Z tego, co mi wiadomo – odrzekła Kinvara. Jej ton sugerował, że reszta rodziny może ukrywać przed nią więcej kluczy.

– I kto je ma? – spytał Strike.

– Jeden należał do Jaspera, drugi miałam ja, a zapasowy dał sprzątaczce.

– Jak ona się nazywa?

– Nie mam pojęcia. Jasper zwolnił ją dwa tygodnie przed... przed śmiercią.

– Dlaczego?

– Jeśli naprawdę chce pan wiedzieć, pozbył się jej, bo musieliśmy zacisnąć pasa.

– Przyszła z agencji?

– O nie. Jasper był staromodny. Powiesił ogłoszenie w sklepie nieopodal, a ona na nie odpowiedziała. To była Rumunka, Polka albo ktoś taki.

– Ma pani jej namiary?

– Nie. To Jasper ją zatrudnił i on ją wyrzucił. Nigdy nawet jej nie widziałam.

– Co się stało z jej kluczem?

– Leżał w szufladzie w kuchni przy Ebury Street, ale po śmierci Jaspera odkryliśmy, że go stamtąd wyjął i zamknął w szufladzie biurka w pracy – odparła Kinvara. – Ministerstwo zwróciło go razem z jego rzeczami osobistymi.

– Dziwne – zauważył Strike. – Ktoś się domyśla, dlaczego tak zrobił?

Reszta rodziny najwyraźniej nie wiedziała, lecz znowu odezwała się Kinvara:

– Zawsze przejmował się względami bezpieczeństwa, a ostatnio miał paranoję... dotyczącą wszystkich spraw oprócz koni, oczywiście. Klucze do domu przy Ebury Street są specjalnego rodzaju. Zastrzeżone. Nie można ich skopiować.

– Trudno je skopiować – poprawił ją Strike, notując – ale jeśli zna się odpowiednich ludzi, nie jest to niemożliwe. Gdzie znajdowały się dwa pozostałe klucze w chwili śmierci pani męża?

– Klucz Jaspera w kieszeni jego marynarki, a mój tutaj, w mojej torebce – powiedziała Kinvara.

– Butla z helem – rzucił Strike, przechodząc do następnej sprawy. – Czy ktoś wie, kiedy ją kupiono?

Odpowiedziała mu niezmącona cisza.

– Może było jakieś przyjęcie? – podsunął Strike. – Na przykład dla dzieci...

– Nigdy – odrzekła Fizzy. – Tata korzystał z domu przy Ebury Street, żeby pracować. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek urządzał tam przyjęcia.

– A pani, pani Chiswell? – zwrócił się Strike do Kinvary. – Pamięta pani, czy kiedykolwiek...

– Nie – weszła mu w słowo. – Już to mówiłam policji. Jasper musiał ją kupić sam, nie ma innego wytłumaczenia.

– Znaleziono paragon? Czy transakcja była na wyciągu karty kredytowej?

– Prawdopodobnie zapłacił gotówką – wtrącił pomocnie Torquil.

– Kolejna sprawa, którą chciałbym wyjaśnić – powiedział Strike – to kwestia telefonów, które minister wykonał rano w dniu swojej śmierci. Wygląda na to, że zadzwonił do pani, pani Chiswell, a potem do ciebie, Raphael.

Raphael kiwnął głową.

– Pytał, czy mówiłam poważnie, kiedy oznajmiłam, że odchodzę – odrzekła Kinvara. – Powiedziałam, że tak. To nie była długa rozmowa. Nie wiedziałam... nie wiedziałam, kim naprawdę była pana asystentka. Zjawiła się nie wiadomo skąd, a Jasper dziwnie się zachowywał, kiedy o nią pytałam, i... i bardzo się zdenerwowałam. Myślałam, że coś się między nimi dzieje.

– Nie zdziwiła się pani, że mąż czekał aż do rana, żeby zadzwonić w sprawie pani listu? – spytał Strike.

– Powiedział, że po powrocie do domu go nie zauważył.

– Gdzie go pani zostawiła?

– Na jego szafce nocnej. Po przyjęciu był pewnie pijany. Dużo pije... pił. Odkąd zaczęła się ta historia z szantażem.

Norfolk terrier, którego nie wpuszczono do domu, nagle pojawił się za jednym z wysokich okien i znowu zaczął na nich szczekać.

– Cholerny pies – zaklął Torquil.

– Tęskni za Jasperem – stanęła w obronie zwierzęcia Kinvara. – To był jego pie-es...

Raptownie wstała i odeszła, żeby sięgnąć po chusteczki do pudełka leżącego na książkach o ogrodnictwie. Wszyscy wyglądali na skrępowanych. Terier bez końca ujadał. Śpiący labrador obudził się i odpowiedział mu jednym niskim szczeknięciem, a po chwili na trawniku znowu pojawiło się jedno z białowłosych dzieci, wołając Norfolk terriera, żeby przyłączył się do gry w piłkę. Pies pobiegł za nim.

– Dobra robota, Pringle! – krzyknął Torquil.

Gdy szczekanie ucichło, salon wypełnił się tłumionym pochlipywaniem Kinvary i odgłosami wydawanymi przez labradora, który znowu klapnął na podłogę, żeby pospać. Izzy, Fizzy i Torquil wymienili skrępowane spojrzenia, a Raphael patrzył przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy. Choć Robin nie przepadała za Kinvarą, bierność reszty rodziny wydała jej się bezduszna.

– Skąd się wziął ten obraz? – spytał Torquil z udawanym zainteresowaniem, przyglądając się malowidłu nad głową Raphaela. – Jest nowy, prawda?

– Należał do Tinky. – Fizzy spojrzała na obraz. – Przywiozła ze sobą z Irlandii masę chłamu z końmi w roli głównej.

– Widzicie to źrebię? – Torquil patrzył z miną krytyka. – Wiecie, na co to wygląda? Na zespół białego źrebięcia. Niektórzy mówią na to zabójcza biel. Słyszałyście o tym? – spytał żonę i szwagierkę. – T y na pewno wiesz, o co chodzi, Kinvaro – dodał, najwyraźniej przekonany, że łaskawie oferuje jej możliwość ponownego włączenia się do kulturalnej rozmowy. – Rodzi się całkiem białe źrebię. Wydaje się zdrowe, ale ma niesprawne jelita. Nie może wydalać odchodów. Mój ojciec hodował konie – wyjaśnił Strike'owi. – Te z zespołem białego źrebięcia nie są w stanie

przetrwać. Tragedia polega na tym, że rodzą się żywe, więc klacz je karmi, przywiązuje się do nich, a potem...

– Torks – przerwała mu spięta Fizzy, lecz było już za późno. Kinvara chwiejnym krokiem wypadła z salonu, trzasnąwszy drzwiami.

– Co? – zdziwił się Torquil. – Co ja takiego...

– D z i e c k o – szepnęła Fizzy.

– O Boże. Zupełnie zapomniałem.

Torquil wstał i podciągnął musztardowe sztruksy. Był zakłopotany, więc przeszedł do defensywy.

– Och, dajcie spokój – odezwał się do wszystkich zebranych. – Skąd mogłem wiedzieć, że weźmie to do siebie. Przecież mówiłem o koniach na cholernym obrazie!

– Wiesz, jaka ona jest, kiedy chodzi o c o k o l w i e k, co wiąże się z narodzinami – powiedziała Fizzy. – Przepraszam – zwróciła się do Strike'a i Robin. – Widzicie, Kinvara urodziła dziecko, ale nie przeżyło. Jest bardzo wrażliwa na tym punkcie.

Torquil podszedł do obrazu i mrużąc oczy, spojrzał nad głową Raphaela na słowa wygrawerowane na małej tabliczce osadzonej w ramie.

– *Klacz w żałobie* – przeczytał. – A widzicie? – powiedział z triumfalną nutą w głosie. – Źrebię naprawdę jest martwe.

– Kinvara lubi ten obraz – odezwał się niespodziewanie Raphael. – Przypomina jej Lady.

– Kogo? – zdziwił się Torquil.

– Tę klacz, która miała ochwat.

– Co to jest ochwat? – zapytał Strike.

– Choroba kopyta – odparła Robin.

– Och, jeździsz konno? – zainteresowała się Fizzy.

– Kiedyś jeździłam.

– Ochwat to poważna choroba – wyjaśniła Strike'owi Fizzy. – Konie mogą przez nią okuleć. Wymagają mnóstwa opieki i czasami nic nie można zrobić, więc pozostaje jedynie...

– Moja macocha pielęgnowała tę klacz przez wiele tygodni – powiedział do Strike'a Raphael. – Wstawała w środku nocy i tak dalej. Ojciec zaczekał...

– Raff, to naprawdę nie ma nic do rzeczy – przerwała Izzy.

– ...zaczekał – ciągnął uparcie Raphael – aż pewnego dnia Kinvara gdzieś pojedzie, wezwał bez jej wiedzy weterynarza i kazał uśpić konia.

– Lady cierpiała – stwierdziła Izzy. – Tata mi wspominał, w jakim była stanie. Utrzymywanie jej przy życiu było czystym egoizmem.

– Tak, jasne. – Raphael wpatrywał się w trawnik za oknem. – Ale gdybym wrócił do domu i zastał zwłoki ukochanego zwierzęcia, chyba też sięgnąłbym po najbliżej leżące tępe narzędzie.

– Raff! – powiedziała Izzy. – Proszę!

– Sama tego chciałaś, Izzy – stwierdził z ponurą satysfakcją. – Naprawdę myślisz, że pan Strike i jego olśniewająca asystentka nie dotrą do Tegan i z nią nie porozmawiają? Szybko się dowiedzą, ile gówna potrafił...

– Raff! – odezwała się ostro Fizzy.

– Spokojnie, bratku. – Torquil użył słowa, które Robin spotykała dotąd tylko w książkach. – Cała ta historia była cholernie przygnębiająca, ale nie ma potrzeby mówić takich rzeczy.

Raphael ponownie zignorował wszystkich i zwrócił się do Strike'a:

– Pewnie zamierzasz spytać, co powiedział mi ojciec, kiedy zadzwonił tamtego dnia rano.

– Zgadza się.

– Kazał mi tu przyjechać.

– Tu? – powtórzył Strike. – Do Woolstone?

– T u – odparł Raphael. – Do tego domu. Obawiał się, że Kinvara zrobi coś głupiego. Mówił niewyraźnie. Trochę dziwnie. Jakby miał ciężkiego kaca.

– Co według ciebie miał na myśli, mówiąc „coś głupiego”? – spytał Strike, trzymając długopis nad notesem.

– Zawsze lubiła grozić, że się powiesi – wyjaśnił Raff – więc chyba o to chodziło. Albo bał się, że spali te nędzne resztki, które tu zostawił. – Wskazał obskurny salon. – Jak widzisz, jest tego niewiele.

– Powiedział ci, że Kinvara go zostawia?

– Odniosłem wrażenie, że źle się między nimi dzieje, ale nie pamiętam, jak to ujął. Nie mówił zbyt składnie.

– Zrobiłeś to, o co prosił? – spytał Strike.

– Tak – powiedział Raphael. – Wsiadłem do samochodu jak posłuszny syn, przyjechałem tu i znalazłem Kinvarę całą i zdrową w kuchni, gdzie wściekała się z powodu Venetii... To znaczy Robin – poprawił się. – Jak być może się domyśliłeś, Kinvara podejrzewała, że tata ją dyma.

– Raff! – zawołała oburzona Fizzy.

– Nie ma potrzeby – wtrącił Torquil – używać takiego języka.

Wszyscy starannie unikali spoglądania w stronę Robin. Czuła, że zrobiła się czerwona.

– Dziwne, prawda? – rzucił Strike. – Ojciec wysłał cię aż do Oxfordshire, mimo że o wiele bliżej byli ludzie, których mógł poprosić o zwrócenie uwagi na jego żonę. Zdaje się, że ktoś tu wtedy nocował?

Izzy wtrąciła się, zanim Raphael zdążył odpowiedzieć:

– Rzeczywiście, była tu wtedy Tegan... stajenna... Bo Kinvara nie zostawia koni bez opieki. – Po czym, odgadując następne pytanie

Strike'a, dodała: – Obawiam się, że nikt nie ma jej numeru telefonu ani adresu, bo zaraz po śmierci taty Kinvara się z nią pokłóciła i Tegan odeszła. Nie wiem, gdzie teraz pracuje. Ale nie zapominaj – Izzy pochyliła się z powagą w stronę Strike'a – że kiedy Kinvara rzekomo tu przyjechała, Tegan prawdopodobnie twardo spała. To duży dom. Kinvara mogła twierdzić, że zjawiła się tu o dowolnej porze, a Tegan mogłaby tego nie zauważyć.

– Czy gdyby Kinvara była z nim przy Ebury Street, prosiłby mnie, żebym tu za nią przyjechał? – spytał zirytowany Raphael. – I jak wyjaśnisz to, że zjawiła się tutaj przede mną?

Izzy wyglądała, jakby chciała rzucić jakąś celną ripostę, lecz najwyraźniej nie była w stanie żadnej wymyślić. Strike już wiedział, dlaczego wcześniej powiedziała, że treść rozmowy telefonicznej Chiswella z synem jest bez znaczenia: jeszcze bardziej podważała tezę o popełnieniu morderstwa przez Kinvarę.

– Jak Tegan ma na nazwisko? – spytał.

– Butcher – odparła Izzy.

– Jest spokrewniona z braćmi Butcher, z którymi zadawał się kiedyś Jimmy Knight?

Robin odniosła wrażenie, że trzy osoby na kanapie unikają swoich spojrzeń. Po chwili odpowiedziała Fizzy:

– W zasadzie tak, ale...

– Chyba mogłabym spróbować się skontaktować z tą rodziną, poprosić o numer telefonu Tegan – zaproponowała Izzy. – Tak, zrobię to, Cormoran, i dam ci znać, czy udało się go zdobyć.

Strike ponownie zwrócił się do Raphaela:

– Więc wyruszyłeś w drogę zaraz po tym, jak ojciec poprosił, żebyś pojechał za Kinvarą?

– Nie, najpierw zjadłem śniadanie i wziąłem prysznic – odrzekł Raphael. – Nie spieszyło mi się do tego spotkania. Ja i Kinvara nie

przepadamy za sobą. Dotarłem tu koło dziewiątej.

– Dużo czasu tu spędziłeś?

– Wiele godzin – powiedział cicho Raphael. – Przyjechali dwaj policjanci z wiadomością, że tata nie żyje. Nie mogłem po tym tak po prostu wyjechać, prawda? Kinvara o mało nie zem...

Drzwi się otworzyły – Kinvara wróciła do salonu i ponownie usiadła na krześle z twardym oparciem. Miała zaciętą minę, a w ręce ściskała chusteczki.

– Zostało mi tylko pięć minut – stwierdziła. – Właśnie dzwonił weterynarz, jest w okolicy, więc wpadnie obejrzeć Romano. Nie dotrzymam wam towarzystwa.

– Mogę o coś spytać? – odezwała się Robin do Strike'a. – Wiem, że to pewnie nic ważnego – powiedziała, nie kierując pytania do nikogo konkretnego – ale kiedy znalazłam ministra, na podłodze obok niego leżała mała niebieska fiolka tabletek homeopatycznych. Minister nie sprawiał wrażenia człowieka, dla którego homeopatia...

– Jak się nazywały te tabletki? – ku zaskoczeniu Robin spytała ostro Kinvara.

– Lachesis – odparła Robin.

– W małej niebieskiej fiolce?

– Tak. Należały do pani?

– Oczywiście!

– Zostawiła je pani w domu przy Ebury Street? – spytał Strike.

– Nie, zgubiłam je kilka tygodni temu... ale t a m nigdy ich przy sobie nie miałam – dodała, marszcząc brwi, mówiąc jakby bardziej do siebie samej niż do zebranych w salonie. – Kupiłam je w Londynie, bo w aptece w Woolstone takich nie mieli.

Znowu zmarszczyła brwi, najwyraźniej odtwarzając w głowie przebieg zdarzeń.

– Pamiętam, że spróbowałam dwóch przed apteką, bo chciałam sprawdzić, czy wyczuje je w paszy...

– Słucham? – Robin nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

– Mystic – wyjaśniła Kinvara. – Zamierzałam je podać Mysticowi.

– Chciałaś podawać leki homeopatyczne k o n i o w i? – zdziwił się Torquil, zachęcając wszystkich pozostałych, by przyznali, że to zabawne.

– Jasper też uważał, że to niedorzeczne – odrzekła oględnie Kinvara, nadal pogrążona we wspomnieniach. – Tak, zapłaciłam za nie, zaraz potem otworzyłam fiolkę, wyjęłam dwie tabletki i – powtórzyła tamten gest – włożyłam fiolkę do kieszeni żakietu, ale kiedy wróciłam do domu, już jej tam nie było. Pomyślałam, że gdzieś ją zgubiłam...

Nagle krzyknęła cicho i zrobiła się czerwona. Poraziło ją chyba coś, z czego właśnie zdała sobie sprawę. Po chwili, uświadamiając sobie, że wszyscy nadal się jej przyglądają, powiedziała:

– Tamtego dnia wracałam z Londynu razem z Jasperem. Spotkaliśmy się na dworcu, wsiedliśmy do pociągu... Wyjął mi ją z kieszeni! Ukradł tabletki, żebym nie mogła ich dać Mysticowi!

– Nie bądź śmieszna! – prychnęła Fizzy.

Raphael nagle zgasił papierosa w porcelanowej popielniczce obok łokcia Robin. Odnosiło się wrażenie, że z wielkim trudem powstrzymuje się od komentarza.

– Kupiła pani następne opakowanie? – zapytała Robin Kinvarę.

– Tak. – Kinvara wydawała się zszokowana, mimo że według Robin jej teoria dotycząca tego, co się stało z tabletkami, brzmiała bardzo dziwnie. – Ale były już w innej fiolce. Najpierw kupiłam te w niebieskiej.

– Czy homeopatia nie opiera się na efekcie placebo? – spytał Torquil. – W jaki sposób k o ń...

– Torks – wycedziła Fizzy przez zaciśnięte zęby. – Zamknij się.

– Dlaczego mąż miałby pani ukraść fiolkę leków homeopatycznych? – zaciekawił się Strike. – To chyba...

– Nieuzasadniona złośliwość? – wszedł mu w słowo Raphael, stojąc z założonymi rękami pod obrazem przedstawiającym martwe źrebię. – Ponieważ był tak przekonany o swojej racji i o tym, że inni są w błędzie, że miał prawo ich powstrzymać od zrobienia nieszkodliwego głupstwa?

– Raff – odezwała się nagle Izzy – wiem, że jesteś zdenerwowany...

– Nie jestem zdenerwowany, Izz – zaoponował Raphael. – To naprawdę bardzo wyzwalające uczucie, wspominać te wszystkie gówniane rzeczy, które tata robił za życia...

– Dość tego, chłopcze! – zawołał Torquil.

– Nie mów do mnie chłopcze – fuknął Raphael, wytrząsając z paczki następnego papierosa. – Dobra? Nie mów do mnie, kurwa, c h ł o p c z e!

– Musicie wybaczyć Raffowi – powiedział Torquil do Strike'a podniesionym tonem. – Jest zły na mojego świętej pamięci teścia z powodu testamentu.

– Już wcześniej wiedziałem, że mnie wydziedziczył! – warknął Raphael i wskazał Kinvarę. – O n a o to zadbała!

– Nie musiałam go namawiać, wierz mi! – odpaliła Kinvara purpurowa na twarzy. – W każdym razie masz mnóstwo pieniędzy, matka cię rozpuszcza. – Zwróciła się do Robin. – Jego matka zostawiła Jaspera dla handlarza diamentów, a wcześniej oskubała go ze wszystkiego, co jej wpadło w ręce...

– Czy mógłbym zadać kolejne pytania? – przemówił głośno Strike, zanim wyraźnie wściekły Raphael zdążył się odezwać.

– Za chwilę przyjedzie weterynarz do Romano – stwierdziła Kinvara. – Muszę wracać do stajni.

– Jeszcze tylko dwa pytania – zapewnił ją Strike. – Zaginęły pani kiedyś tabletki amitryptyliny? Zdaje się, że je pani przepisywano, prawda?

– Policja już mnie o to pytała. Możliwe, że kiedyś je zgubiłam – odparła Kinvara z irytującą ogólnikowością – ale nie jestem pewna. Sądziłam, że zgubiłam jedno opakowanie, ale potem je znalazłam, tylko że w środku było mniej tabletek, niż myślałam, i pamiętam, że zamierzałam zostawić jedno opakowanie w domu przy Ebury Street, w razie gdybym zapomniała zabrać je do Londynu, ale kiedy policja mnie o to spytała, nie mogłam sobie przypomnieć, czy w końcu to zrobiłam, czy nie.

– Więc nie mogłaby pani przysiąc, że te tabletki zginęły?

– Nie – powiedziała Kinvara. – Możliwe, że Jasper kilka ukradł, ale nie jestem pewna.

– Czy po śmierci pani męża w ogrodzie kręcili się jacyś intruzi? – spytał Strike.

– Nie – odrzekła Kinvara. – Nikogo nie było.

– Słyszałem, że przyjaciel pani męża próbował się do niego dodzwonić wcześnie rano w dniu jego śmierci, ale mu się nie udało. Wie pani może, co to za człowiek?

– Ach... tak. To był Henry Drummond – odparła Kinvara.

– A kim jest...

– To handlarz dziełami sztuki, bardzo stary przyjaciel taty – wtrąciła się Izzy. – Raphael przez jakiś czas u niego pracował... prawda, Raff?... zanim przeniósł się do Izby Gmin, żeby pomagać tacie.

– Nie rozumiem, co Henry ma z tym wszystkim wspólnego. – Torquil zaśmiał się nieprzyjemnie.

– To wszystko, o co zamierzałem spytać – oznajmił Strike, ignorując jego uwagę i zamykając notes. – Chciałbym jeszcze tylko wiedzieć, czy według pani, pani Chiswell, mąż popełnił samobójstwo.

Dłoń miętosząca chusteczkę mocno się zacisnęła.

– Nikogo nie interesuje, co myślę – stwierdziła Kinvara.

– Zapewniam panią, że mnie tak – odrzekł Strike.

Oczy Kinvary przesunęły się szybko od Raphaela, który z wściekłością wpatrywał się w trawnik za oknem, w stronę Torquila.

– Jeśli chce pan znać moje zdanie, tuż przed śmiercią Jasper zrobił coś bardzo głu...

– Kinvaro – powiedział ostro Torquil – radzę ci...

– Nie interesują mnie twoje rady! – Kinvara gwałtownie odwróciła się w jego stronę i zmrużyła oczy. – Przecież to właśnie one doprowadziły tę rodzinę do finansowej ruiny!

Fizzy rzuciła mężowi spojrzenie nad głową Izzy, przestrzegając go, żeby się nie odzywał. Kinvara obróciła się z powrotem do Strike'a.

– Tuż przed śmiercią mój mąż kogoś sprowokował. Ostrzegałam go, żeby z nim nie zadzierał...

– Ma pani na myśli Gerainta Winna? – spytał Strike.

– Nie – powiedziała Kinvara – ale jest pan blisko. Torquil nie chce, żebym o tym wspominała, bo sprawa dotyczy jego dobrego przyjaciela Christophera...

– Do jasnej cholery! – wybuchnął Torquil. Wstał, znów podciągnął musztardowe sztruksy. Wyglądał na rozsierdzonego. – Mój Boże, będziemy wciągać w te wymysły zupełnie obcych ludzi? Co Christopher ma z tym wszystkim wspólnego, do diabła? Mój teść się zabił! – oznajmił głośno, po czym popatrzył na żonę

i szwagierkę. – Tolerowałem ten nonsens, żebyście mogły odzyskać spokój ducha, ale szczerze mówiąc, jeśli to ma tak wyglądać...

Izzy i Fizzy podniosły krzyk, próbując go udobruchać i się usprawiedliwić. W samym środku tej awantury Kinvara wstała, odrzuciła długie rude włosy na plecy i ruszyła w stronę drzwi. Robin odniosła silne wrażenie, że wdowa umyślnie rozpętała tę burzę. Przy drzwiach Kinvara przystanęła, a pozostałe osoby w salonie spojrzały w jej stronę, jakby je zawołała.

– Przyjeżdżacie tu i traktujecie ten dom, jakbyście byli jego prawowitymi właścicielami, a ja gościem – oświadczyła Kinvara wysokim, czystym, dziecięcym głosikiem. – Ale Jasper powiedział, że mogę tu mieszkać do końca życia. Teraz muszę się spotkać z weterynarzem, a kiedy wrócę, chciałabym, żeby was tu nie było. Nie jesteście już mile widziani.

43

Boję się, że wkrótce znów jakiś duch da znać o sobie.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Robin spytała, czy przed wyjściem z domu Chiswellów może skorzystać z toalety, a wówczas Fizzy, która nadal była wściekła na Kinvarę, wskazała jej drzwi po drugiej stronie przedpokoju.

– Jak ona śmie – powtarzała, idąc obok Robin. – J a k o n a ś m i e? To jest dom Pringle'a, nie jej. P r o s z ę – dodała jednym tchem – nie zwracajcie uwagi na to, co mówiła o Christopherze, ona po prostu próbuje wyprowadzić Torksa z równowagi, to było obrzydliwe, ależ on się rozzłościł.

– Kim właściwie jest ten Christopher? – zapytała Robin.

– No... nie wiem, czy powinnam mówić – odrzekła Fizzy. – Ale chyba skoro... To oczywiste, że Christopher nie ma z tym nic wspólnego. Kinvara jest po prostu złośliwa. Miała na myśli sir Christophera Barrowclougha-Burnsa, starego przyjaciela rodziny Torksa. Christopher jest starszym urzędnikiem służby cywilnej i był przełożonym tego Mallika w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Toaleta wyglądała na bardzo starą i panował w niej chłód. Zamykając drzwi na zasuwkę, Robin usłyszała, jak Fizzy odchodzi z powrotem w stronę salonu, bez wątpienia po to, by udobruchać rozzłoszczonego Torquila. Rozejrzała się: obłupane kamienne ściany pokryte farbą były zupełnie gołe, jeśli pominąć liczne małe ciemne dziurki, z których gdzieniegdzie nadal sterczały gwoździe. Robin zakładała, że to Kinvara odpowiada za usunięcie ze ściany dużej liczby pleksiglasowych ramek, które stały teraz na podłodze zwrócone frontami do sedesu. Zawierały bezładną mieszaninę rodzinnych zdjęć ułożonych w chaotyczne kolaże.

Wytarłszy ręce w mokry ręcznik pachnący psem, Robin przykucnęła, by przyjrzeć się fotografiom. W dzieciństwie Izzy i Fizzy były prawie nie do odróżnienia, trudno powiedzieć, która z nich robiła gwiazdę na boisku do krokieta, skakała na kucyku na zawodach hippicznych dla dzieci, tańczyła przed choinką w przedpokoju czy obejmowała młodego Jaspera Chiswella na pikniku myśliwskim, gdzie wszyscy mężczyźni mieli na sobie tweedy i kurtki Barbour.

Za to Freddiego można było poznać od razu, ponieważ w przeciwieństwie do sióstr odziedziczył po ojcu wystającą dolną wargę. Równie białowłosy w dzieciństwie jak jego siostrzenica i siostrzeńcy, często pojawiał się na zdjęciach: śmiał się do obiektywu jako dwulatek, spoglądał z kamienną twarzą jako

uczeń w nowym mundurku prywatnej szkoły podstawowej, triumfował ubłocony w stroju do rugby.

Robin poświęciła chwilę na przyjrzenie się grupowej fotografii nastolatków. Wszyscy byli w białych strojach do szermierki, wzdłuż ich bryczesów biegły rzędy flag Wielkiej Brytanii. Rozpoznała Freddiego, który stał pośrodku grupy, trzymając olbrzymi srebrny puchar. W przygnębionej dziewczynie na samym końcu natychmiast rozpoznała Rhiannon Winn, starszą i szczuplejszą niż na zdjęciu, które pokazał Robin Geraint. Lekko skrzywiona mina dziewczyny nie pasowała do dumnych uśmiechów malujących się na wszystkich pozostałych twarzach.

Dalej przeglądając kolaże, Robin zatrzymała się przy ostatnim, by przyjrzeć się wyblakłemu zdjęciu z jakiegoś wielkiego przyjęcia.

Zrobiono je w dużym namiocie, najwyraźniej fotograf stał na czymś w rodzaju sceny. Nad tłumem unosiło się mnóstwo jaskrawoniebieskich wypełnionych helem balonów w kształcie osiemnastki. Chyba właśnie poproszono około stu młodych ludzi, żeby spojrzeli w stronę obiektywu. Robin uważnie zlustrowała scenę i bez większego trudu znalazła Freddiego w otoczeniu ogromnej grupy chłopców i dziewcząt, którzy obejmowali się nawzajem ramionami, uśmiechając się albo nawet zanosząc się śmiechem. Dopiero blisko minutę później obok stołu z napojami zauważyła twarz, której instynktownie szukała: Rhiannon Winn, chudą, bladą i poważną. Tuż za nią stali częściowo ukryci w cieniu dwaj chłopcy, którzy nie mieli na sobie garniturów, lecz dżinsy i koszulki. Jeden z nich, długowłosy brunet, był szczególnie przystojny, a na jego koszulce widniało zdjęcie The Clash.

Robin wyjęła komórkę, zrobiła zdjęcia drużyny szermierczej i imprezy z okazji osiemnastych urodzin, po czym ostrożnie odłożyła na miejsce stertę ramek z pleksi i wyszła z łazienki.

Przez chwilę myślała, że w pogrążonym w ciszy przedpokoju nikogo nie ma. Potem zauważyła, że Raphael stoi oparty o stolik, splótłszy ręce na piersi.

– No to do widzenia – odezwała się Robin, ruszając w stronę drzwi.

– Zaczekaj chwilę.

Gdy się zatrzymała, odsunął się od stolika i podszedł do niej.

– Wiesz, byłem na ciebie bardzo zły.

– Jestem w stanie to zrozumieć – odrzekła cicho – ale wykonywałam obowiązki, które powierzył mi twój ojciec.

Przysunął się jeszcze bliżej i stanął pod starym szklanym żyrandolem, w którym brakowało połowy żarówek.

– I chyba cholernie dobrze ci szło, no nie? Potrafisz wzbudzić zaufanie.

– Na tym to polega – powiedziała Robin.

– Jesteś mężatką – zauważył, spoglądając na jej lewą dłoń.

– Tak.

– Żoną Tima?

– Nie... nie ma żadnego Tima.

– Chyba nie wyszłaś za n i e g o? – spytał szybko Raphael, wykonując gest w stronę drzwi.

– Nie. Tylko razem pracujemy.

– I to jest twój prawdziwy akcent. Pochodzisz z Yorkshire.

– Tak – przyznała. – Zgadza się.

Myślała, że Raphael powie coś obraźliwego. Spojrzenie ciemnych, oliwkowych oczu przesuwało się po jej twarzy, a po chwili najmłodszy syn Chiswella lekko pokręcił głową.

– Głos nawet mi się podoba, ale wolałem Venetię. Kojarzyła mi się z orgiami w maskach.

Odwrócił się i odszedł, a Robin wyszła na słońce, by dołączyć do Strike'a, który, jak przypuszczała, z niecierpliwością czekał na nią w land roverze.

Myliła się. Nadal tkwił obok maski samochodu, a Izzy, stojąca bardzo blisko niego, mówiła coś pospiesznie ściszonym głosem. Gdy usłyszała kroki Robin na żwirze za swoimi plecami, odsunęła się od Cormorana i Robin odniosła wrażenie, że towarzyszyło temu lekkie poczucie winy i zakłopotanie.

– Wspaniale było znowu cię zobaczyć – powiedziała Izzy, całując Robin w oba policzki, jakby to była zwykła wizyta towarzyska. – A ty – zwróciła się do Strike'a – zadzwoń do mnie, dobrze?

– Tak, będę cię informował – odparł, idąc w stronę drzwi pasażera.

Ani Strike, ani Robin nie odzywali się, gdy wycofywała samochód. Izzy machała im na pożegnanie – trochę smutna postać w luźnej szmizjerce. Kiedy wchodzili w zakręt, za którym mieli jej zniknąć z oczu, Strike spojrzał w jej stronę i podniósł rękę.

Starając się nie zdenerwować płochliwych ogierów, Robin jechała w żółwim tempie. Strike spojrzał w lewo i zauważył, że pogryzionego konia zabrano z wybiegu, lecz gdy stary, hałaśliwy samochód nierówno przejeżdżał obok pastwiska, mimo najlepszych intencji Robin czarny ogier znowu puścił się galopem.

– Jak sądzisz – odezwał się Strike, patrząc, jak koń skacze i wierzga – kto pierwszy spojrzał na coś takiego i pomyślał: „Powinienem wskoczyć mu na grzbiet"?

– Jest takie stare powiedzenie – odrzekła Robin, starając się omijać największe dziury – „Koń jest twoim zwierciadłem". Ludzie mówią, że psy upodabniają się do swoich właścicieli, ale moim zdaniem konie jeszcze bardziej.

– Dlatego Kinvara jest taka podminowana i wybucha po najmniejszej prowokacji? Chyba coś w tym jest. Skręć tutaj

w prawo. Chcę rzucić okiem na Steda Cottage.

Zaledwie dwie minuty później powiedział:

– To tutaj. Wjedź pod górę.

Droga do Steda Cottage była tak zarośnięta, że Robin zupełnie ją przeoczyła i musiała zawrócić. Szlak prowadził w głąb lasu ciągnącego się za ogrodem przy domu Chiswellów, lecz niestety land rover zdołał pokonać zaledwie jakieś dziesięć metrów – dalej nie dało się przejechać. Robin wyłączyła silnik, martwiąc się w duchu, czy Strike poradzi sobie na ledwie widocznej ścieżce przykrytej suchymi liśćmi i zarośniętej jeżynami oraz pokrzywą, ponieważ jednak już wysiadał z samochodu, poszła za jego przykładem i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Ziemia była śliska, a baldachim drzew tak gęsty, że zimna i wilgotna droga pogrążyła się w cieniu. Ostra, gorzkawa woń zieleni wypełniła im nozdrza, a powietrze ożywiał szelest ptaków i małych stworzeń, których siedlisko zostało właśnie brutalnie nawiedzone przez intruzów.

– A więc – zaczął Strike, gdy przedzierali się przez krzaki i chwasty – Christopher Barrowclough-Burns. Nowe nazwisko.

– Wcale nie – zaprzeczyła Robin.

Strike spojrzał na nią z ukosa. Uśmiechnęła się, a on natychmiast potknął się o korzeń i zdołał się utrzymać w pionie tylko kosztem obolałego kolana.

– C h o l e r a... Zastanawiałem się, czy zapamiętałaś.

– „Christopher niczego mi nie obiecywał w sprawie tych zdjęć” – zacytowała bez namysłu Robin. – To urzędnik służby cywilnej, który był przełożonym Aamira Mallika w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Fizzy właśnie mi powiedziała.

– Wracamy do „mężczyzn przejawiających takie zainteresowania”, prawda?

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, skupiając się na wyjątkowo zdradliwym odcinku drogi, gdzie gałęzie przypominające bicze ochoczo przyczepiały się do ubrań i skóry. W słońcu przenikającym przez sufit z liści skóra Robin była blada i pokryta zielonymi cętkami.

– Spotkałaś jeszcze Raphaela, kiedy wyszedłem z domu?

– Eee... właściwie to tak – bąknęła Robin. Poczuła lekkie onieśmielenie. – Czekał obok salonu, kiedy wyszłam z łazienki.

– Wiedziałem, że nie przepuści kolejnej okazji, żeby z tobą porozmawiać – stwierdził Strike.

– Nie o to mu chodziło – odrzekła nieszczerze Robin, przypominając sobie uwagę na temat orgii w maskach. – Czy Izzy szeptała ci coś interesującego, kiedy staliście obok samochodu?

Strike, rozbawiony jej celną ripostą, oderwał oczy od ścieżki i nie zauważył pokrytego błotem pniaka. Potknął się po raz drugi i żeby uchronić się przed bolesnym upadkiem, chwycił się drzewa porośniętego jakimś kłującym pnączem.

– K u r w a!

– Nic ci nie...

– Wszystko w porządku – burknął, zły na siebie. W jego dłoni utkwiło mnóstwo kolców, zaczął je wyjmować zębami. Usłyszał za sobą głośny trzask, a gdy się obejrzał, Robin podała mu podniesioną z ziemi gałąź, którą złamała, żeby zrobić prowizoryczną laskę.

– Użyj tego.

– Ale ja nie... – Zobaczył jej surową minę i dał za wygraną. – Dzięki.

Znowu ruszyli przed siebie. Kij okazał się bardziej przydatny, niż Strike byłby gotów przyznać.

– Izzy właśnie próbowała mnie przekonać, że Kinvara mogła przemknąć do Oxfordshire po sprzątnięciu Chiswella między szóstą a siódmą rano. Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, że na każdym etapie podróży Kinvary z Ebury Street było mnóstwo świadków. Policja prawdopodobnie jeszcze nie przedstawiła rodzinie szczegółów, ale przypuszczam, że kiedy się okaże, że Kinvara nie mogła zrobić tego osobiście, Izzy zacznie sugerować, że wynajęła płatnego mordercę. Co myślisz o tych agresywnych wypowiedziach Raphaela?

– Trudno się dziwić, że Torquil działa mu na nerwy – odparła Robin, okrążając kępę pokrzyw.

– Masz rację – przyznał Strike. – Mnie też trudno byłoby wytrzymać w towarzystwie tego bratka.

– Raphael jest strasznie zły na ojca, prawda? Wcale nie musiał nam mówić, że Chiswell kazał uśpić tamtą klacz. Miałam wrażenie, że wręcz wychodzi ze skóry, żeby przedstawić ojca jako... no wiesz...

– Jako kawał zasrańca – zgodził się Strike. – On też uważa, że Chiswell z czystej złośliwości ukradł Kinvarze te tabletki. W sumie to cały ten wątek był cholernie dziwny. Dlaczego te tabletki tak cię zainteresowały?

– Zupełnie nie pasują do Chiswella.

– Miałaś dobry pomysł. Zdaje się, że do tej pory nikt o to nie pytał. No więc co pani psycholog sądzi o tym, że Raphael tak uwłacza zmarłemu ojcu?

Robin pokręciła głową i uśmiechnęła się, jak zwykle, gdy Strike zwracał się do niej w taki sposób. Dobrze wiedział, że odpadła ze studiów psychologicznych.

– Pytam poważnie. – Strike skrzywił się, gdy jego sztuczna stopa poślizgnęła się na suchych liściach. Tym razem uratował się dzięki

kijowi od Robin. – N i e c h t o s z l a g... Mów dalej. Jak myślisz, dlaczego tak się pastwił nad Chiswellem?

– Myślę, że jest zraniony i wściekły – powiedziała Robin, ostrożnie dobierając słowa. – Z tego, co mi mówił w Izbie Gmin, ostatnio dogadywał się z ojcem lepiej niż kiedykolwiek dotąd, a teraz, gdy Chiswell już nie żyje, Raphael nigdy nie będzie w stanie do końca naprawić z nim stosunków, prawda? Pozostała mu świadomość, że wykreślono go z testamentu, i nie ma pojęcia, co Chiswell naprawdę o nim myślał. Ojciec był wobec niego bardzo niekonsekwentny. Pijany i przygnębiony, prosił go o pomoc, ale poza tym traktował dość podle. Choć szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam, żeby Chiswell był dla kogoś miły, może z wyjątkiem...

Urwała w pół zdania.

– Mów dalej – zachęcił ją Strike.

– No cóż – podjęła – w zasadzie zamierzałam powiedzieć, że był całkiem miły dla mnie, kiedy zdobyłam informacje na temat Równych Szans.

– To wtedy zaproponował ci pracę?

– Tak, i dodał, że jak już pozbędzie się Winna i Knighta, być może zleci mi kolejne zadanie.

– Naprawdę? – zainteresował się Strike. – Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– Nie? Rzeczywiście, chyba nie.

I podobnie jak Strike, przypomniała sobie tydzień, który spędził u Lorelei, oraz późniejsze godziny w szpitalu przy Jacku.

– Poszłam do jego gabinetu, tak jak ci mówiłam, a on rozmawiał przez telefon o jakimś zgubionym klipsie do banknotów. Ten klips należał do Freddiego. Kiedy się rozłączył, powiedziałam mu o Równych Szansach. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak

szczęśliwego. „Wszyscy po kolei zaczynają popełniać błędy", powiedział.

– Interesujące – wysapał Strike, którego potwornie bolała noga. – Więc myślisz, że Raphael czuje się urażony z powodu testamentu?

– Nie chodzi wyłącznie o pieniądze... – Robin odniosła wrażenie, że w głosie Strike'a pobrzmiewa sardoniczna nuta.

– Każdy tak mówi – mruknął. – Chodzi o pieniądze i jednocześnie nie chodzi. Bo czym są pieniądze? To wolność, bezpieczeństwo, przyjemności, nowe szanse... Z Raphaela można wyciągnąć coś więcej i myślę, że to zadanie musi przypaść tobie.

– Co jeszcze mógłby nam powiedzieć?

– Chciałbym zyskać trochę większą jasność w kwestii tego telefonu, który wykonał do niego Chiswell, zanim na jego głowie zacisnął się foliowy worek – wydyszał Strike, którego nękał coraz silniejszy ból. – Według mnie jakoś nie trzyma się to kupy. Nawet gdyby Chiswell wiedział, że za chwilę się zabije... znał przecież innych ludzi, nadających się o wiele bardziej do tego, żeby dotrzymać Kinvarze towarzystwa, niż pasierb, którego nie lubiła i który przebywał wtedy w Londynie. Problem w tym, że jeśli to było morderstwo, ten telefon wydaje się jeszcze bardziej bez sensu. Chyba o czymś nam nie mó... O! No wreszcie.

Na polanie na wprost nich właśnie ukazał się Steda Cottage. Ogródek otoczony połamanym płotem był już prawie tak zarośnięty jak jego otoczenie. Przysadzisty budynek z ciemnego kamienia popadł w ruinę: w dachu ziała dziura, a większość szyb w oknach była popękana.

– Usiądź sobie – poradziła Strike'owi Robin, wskazując mu olbrzymi pień drzewa tuż obok ogrodzenia. Za bardzo go bolało, żeby się spierać, więc zrobił, co powiedziała, a ona podeszła do drzwi wejściowych i lekko je popchnęła, lecz okazało się, że są

zamknięte na klucz. Brnąc w trawie po kolana, zaglądała po kolei przez brudne okna. Pomieszczenia były zarośnięte kurzem i puste. Jedyny ślad po ostatnim lokatorze został w kuchni, gdzie na poplamionym blacie stał samotny poplamiony kubek z podobizną Johnny'ego Casha.

– Wygląda na to, że od lat nikt tu nie mieszkał i nie było dzikich lokatorów – poinformowała Strike'a, wychodząc zza budynku z drugiej strony.

Strike, który przed chwilą zapalił papierosa, nie odpowiedział. Wpatrywał się w duże zagłębienie w ziemi, mające jakieś siedem na siedem metrów, otoczone drzewami, zarośnięte pokrzywami, plątaniną kolczastych krzewów i wysokimi chwastami.

– Nazwałabyś to leśną dolinką? – spytał.

Robin spojrzała na dół przypominający kształtem misę.

– Powiedziałabym, że przypomina leśną dolinkę bardziej niż cokolwiek innego, co widzieliśmy po drodze – stwierdziła.

– „On udusił dziecko, a potem pochowali je w leśnej dolince obok domu naszego taty" – powtórzył Strike.

– Rozejrzę się – zdecydowała Robin. – Ty się stąd nie ruszaj.

– Nie – zaprotestował Strike, podnosząc rękę, żeby ją zatrzymać – nie znajdziesz tam niczego, co...

Ale Robin już się zsuwała po stromych krawędziach „leśnej dolinki", a kolce zahaczały o jej dżinsy.

Gdy dotarła na dół, okazało się, że niezwykle trudno jest się tam poruszać. Pokrzywy sięgały jej prawie do pasa, więc podniosła ręce, żeby się nie podrapać i nie poparzyć. Gorysz błotny i kukliki pospolite urozmaicały ciemną zieleń bielą i żółcią. Gdziekolwiek stawiała stopę, długie, cierniste łodygi dzikiej róży wiły się niczym drut kolczasty.

– Uważaj na siebie – odezwał się bezradny Strike, obserwując, jak Robin przedziera się przez zarośla i naraża na zadrapania i poparzenia.

– Nic mi nie jest – odrzekła, przyglądając się ziemi porośniętej dziką roślinnością. Gdyby cokolwiek tu zagrzebano, dawno by zarosło i kopanie na takim terenie byłoby bardzo trudne. Powiedziała to Strike'owi, pochylając się nisko, żeby sprawdzić, co znajduje się pod gęstym krzakiem jeżyn.

– Zresztą wątpię, czy Kinvara byłaby zadowolona, gdybyśmy zaczęli tu kopać. – Strike przypomniał sobie słowa Billy'ego: „Ona nie pozwoli mi kopać, ale panu tak".

– Zaczekaj – powiedziała Robin. Wydawała się spięta.

Doskonale wiedział, że nie mogła tam niczego znaleźć, ale też poczuł niepokój.

– Coś tam jest... – Robin przesunęła głowę, żeby zajrzeć w gęstą kępę pokrzyw na samym środku dolinki. – O Boże.

– Co? – powtórzył Strike. Znajdował się znacznie wyżej niż ona, lecz nie mógł niczego dojrzeć. – Co tam widzisz?

– Sama nie wiem... może mi się zdawało. – Zawahała się. – Pewnie nie masz przy sobie rękawic?

– Nie mam. Robin, ale nie...

Weszła już jednak w pokrzywy, uniosła ręce i starała się przydeptywać rośliny, przygniatając je do ziemi. Strike zobaczył, jak się zgina i wyjmuje coś z ziemi. Wyprostowawszy się, stała bez ruchu, pochylając rudozłotą głowę nad tym, co znalazła, dopóki nie spytał zniecierpliwionym tonem:

– Co to jest?

Jej włosy opadły z twarzy, która wydawała się blada na tle ciemnozielonej gęstwiny, i Robin podniosła mały drewniany krzyż.

– Nie, nie ruszaj się stamtąd – powiedziała, gdy odruchowo podszedł do krawędzi zagłębienia, żeby pomóc jej się wydostać. – Nic mi nie jest.

Tak naprawdę była podrapana i poparzona przez pokrzywy, ale uznawszy, że kilka obrażeń więcej nie zrobi różnicy, energicznie przedarła się z powrotem, a później podciągała się na stromym zboczu, dopóki w końcu nie znalazła się na tyle blisko Strike'a, by mógł wyciągnąć rękę i pomóc jej pokonać ostatni odcinek.

– Dzięki – wysapała. – Wygląda, jakby stał tu od wielu lat. – Starła ziemię u dołu krzyża, który zaostrzono, by lepiej wszedł w podłoże. Drewno było mokre i przybrudzone.

– Ktoś coś na nim napisał – zauważył Strike, biorąc go od niej i przyglądając się oślizgłej powierzchni.

– Gdzie? – spytała Robin. Jej włosy musnęły jego policzek, gdy stali tuż obok siebie, wpatrując się w ledwie widoczną pozostałość czegoś, co wyglądało na ślad flamastra dawno zmyty przez deszcz i rosę. – To chyba pismo dziecka – dodała ściszonym głosem.

– To jest „S" – powiedział Strike – a na końcu... to „g" czy „y"?

– Nie wiem – szepnęła.

Stali w milczeniu, patrząc na krzyż, dopóki dalekie, niosące się echem szczekanie Norfolk terriera Rattenbury'ego nie wyrwało ich z zamyślenia.

– Nadal jesteśmy na terenie Kinvary – zaniepokoiła się Robin.

– Tak – potwierdził Strike, trzymając krzyż i niezgrabnie ruszając z powrotem tą samą drogą, którą przyszli. Zaciskał zęby, żeby wytrzymać ból w nodze. – Poszukajmy jakiegoś pubu. Umieram z głodu.

44

Tyle jest przecież białych koni na świecie, pani Helseth.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

– Oczywiście krzyż wystający z ziemi nie znaczy, że coś pod nim zakopano – zauważyła Robin, gdy jechali w stronę wioski.

– To prawda – odrzekł Strike, który podczas drogi powrotnej do samochodu zużył większość powietrza w płucach na częste przekleństwa miotane w chwilach potykania się i ślizgania na leśnej ziemi – ale człowiek zaczyna się zastanawiać, prawda?

Robin nie odpowiedziała. Jej dłonie na kierownicy nosiły ślady poparzeń, które swędziały ją i piekły.

Pięć minut później dotarli do wiejskiego pubu wyglądającego dokładnie jak te z angielskich pocztówek: mieścił się w białym budynku z muru pruskiego, miał wykuszowe okna z szybkami w ołowianych ramkach, dach pokryty omszonymi kamiennymi dachówkami i czerwone róże pnące się wokół wejścia. Całości dopełniał ogródek piwny z parasolami. Robin skręciła na mały parking naprzeciwko niego.

– To się robi dziwne – mruknął Strike, który położył krzyż na desce rozdzielczej i właśnie gramolił się z samochodu, patrząc na pub.

– Co takiego? – spytała Robin, obchodząc land rovera, żeby do niego dołączyć.

– Ten pub nazywa się White Horse.

– Biały Koń. W nawiązaniu do konia na wzgórzu – stwierdziła Robin, gdy ruszyli razem na drugą stronę drogi. – Spójrz na szyld.

Na tablicy na drewnianym słupku widniał dziwny kredowy kształt, który widzieli wcześniej.

– Pub, w którym poznałem Jimmy'ego Knighta, miał identyczną nazwę – powiedział Strike.

– White Horse – odrzekła Robin, gdy wchodzili po schodach do ogródka piwnego, a Strike utykał o wiele mocniej niż zwykle – to jedna z dziesięciu najpopularniejszych nazw pubów w Wielkiej Brytanii. Przeczytałam to w jakimś artykule. Szybko, ci ludzie zwalniają stolik. Zajmij go, a ja pójdę po coś do picia.

W pubie z nisko zawieszonym sufitem było tłoczno. Robin najpierw skierowała się do toalety, gdzie zdjęła żakiet, obwiązała się nim w pasie i opłukała wodą piekące dłonie. Żałowała, że w drodze powrotnej ze Steda Cottage nie udało jej się znaleźć szczawiu, lecz jej uwaga skupiała się przede wszystkim na Strike'u, który jeszcze dwa razy o mało się nie przewrócił, kuśtykał z taką miną, jakby był na siebie wściekły, opryskliwie odrzucał propozycje pomocy i opierał się ciężko na lasce, którą zrobiła mu z gałęzi.

Zobaczywszy się w lustrze, Robin uświadomiła sobie, że wygląda niechlujnie w porównaniu z dobrze sytuowanymi przedstawicielami klasy średniej, których przed chwilą widziała w barze, ale ponieważ chciała jak najszybciej omówić ze Strikiem poranne wydarzenia, przeciągnęła tylko szczotką po włosach, starła zieloną plamę z szyi i wróciła do sali, by stanąć w kolejce po napoje.

– Dzięki, Robin – mruknął z wdzięcznością Strike, gdy przyszła do niego z kuflem piwa Arkell's Wiltshire Gold. Podsunął jej menu. – Ech, dobre – westchnął, pociągnąwszy łyk. – Więc jaka jest ta najpopularniejsza?

– Słucham?

– Najpopularniejsza nazwa pubu. Powiedziałaś, że White Horse jest w pierwszej dziesiątce.

– A, tak... Red Lion albo Crown, nie pamiętam, która z nich.

– Mój ulubiony lokal nazywa się Victory – powiedział z rozrzewnieniem.

Nie był w Kornwalii od dwóch lat. Teraz ujrzał pub oczyma duszy: przysadzisty budynek z bielonego kornwalijskiego kamienia, ze schodami wijącymi się w dół do zatoki. To właśnie tam pierwszy raz udało mu się zamówić piwo mimo braku dowodu, gdy miał szesnaście lat i matka podrzuciła go na kilka tygodni do cioci i wujka, ponieważ jej życie znów weszło w jedną z regularnie następujących faz chaosu.

– U nas to Bay Horse. Gniady Koń. – Robin także nawiedziła nagła wizja pubu w miejscu, o którym już zawsze miała myśleć jak o domu: też był biały, stał przy ulicy odchodzącej od rynku w Masham. To tam poszła uczcić z przyjaciółmi swoje wzorowe świadectwo i tego samego wieczoru wdała się z Matthew w głupią kłótnię, a gdy wyszedł, nie poszła za nim, lecz została z przyjaciółmi.

– Dlaczego gniady? – spytał Strike. Był już w połowie kufla i wygrzewał się w słońcu, wyciągnąwszy obolałą nogę. – Czemu nie po prostu brązowy?

– No wiesz, istnieją brązowe konie – powiedziała Robin – ale gniady to co innego. Niektóre części ma czarne: nogi, grzywę i ogon.

– Jakiego koloru był twój kucyk... Angus, prawda?

– Jak to zapamiętałeś? – zdziwiła się.

– Nie wiem. Tak samo jak ty zapamiętałaś nazwy pubów. Niektóre rzeczy zapadają w pamięć, no nie?

– Angus był siwy.

– Czyli biały. To wszystko to tylko żargon mający zdezorientować plebs, który nie jeździ konno, prawda?

– Nie – odparła ze śmiechem. – Siwe konie mają ciemną skórę pod jasną sierścią. Prawdziwe białe konie...

– ...umierają młodo – dokończył Strike, gdy podeszła do nich barmanka, żeby przyjąć zamówienie.

Strike zamówił burgera, zapalił następnego papierosa i gdy nikotyna dotarła do jego mózgu, poczuł przypływ czegoś zbliżonego do euforii. Kufel piwa, gorący sierpniowy dzień, dobrze płatna praca, jedzenie w drodze i siedząca naprzeciwko Robin – ich przyjaźń wskrzeszona, nawet jeśli nie do postaci sprzed jej podróży poślubnej, to chyba do najlepszej, jaka jest możliwa między mężczyzną a zamężną kobietą. W tym słonecznym ogródku piwnym i mimo bólu nogi, mimo zmęczenia i bałaganu, jaki powstał w jego związku z Lorelei, życie wydawało się Strike'owi proste i pełne nadziei.

– Grupowe przesłuchania to nie jest dobry pomysł – oznajmił, wydmuchując dym z dala od twarzy Robin – ale wśród Chiswellów dały się zauważyć pewne sprzeczne tendencje. Będę dalej pracował nad Izzy. Chyba stanie się trochę bardziej rozmowna z dala od rodziny.

„Na pewno by chciała, żebyś nad nią pracował" – pomyślała Robin, wyjmując komórkę.

– Coś ci pokażę. Spójrz.

Otworzyła zdjęcie z przyjęcia urodzinowego Freddiego Chiswella.

– To jest Rhiannon Winn. – Wskazała smutną twarz. – Była na imprezie z okazji osiemnastych urodzin Freddiego Chiswella. Okazuje się – przeszła do poprzedniego zdjęcia, by pokazać Strike'owi drużynę w białych strojach – że obydwoje należeli do reprezentacji Wielkiej Brytanii w szermierce.

– Jezu, no jasne – powiedział Strike, biorąc od Robin telefon. – Szpada... szpada w domu przy Ebury Street. Założę się, że należała

do Freddiego!

– No jasne! – powtórzyła jak echo Robin, zastanawiając się, dlaczego wcześniej na to nie wpadła.

– Musiało zostać zrobione niedługo przed jej śmiercią. – Strike przyglądał się posępnej postaci Rhiannon Winn na przyjęciu urodzinowym. – A tu... jasna cholera, przecież za nią stoi Jimmy Knight! Co on robi na osiemnastce chłopaka z prywatnej szkoły?

– Przyszedł popić za darmo? – podsunęła Robin.

Strike parsknął śmiechem i oddał jej telefon.

– Czasami oczywista odpowiedź okazuje się prawidłowa. Czy tylko mnie się wydawało, że Izzy wyglądała na skrępowaną, kiedy padła uwaga na temat młodzieńczego seksapilu Jimmy'ego?

– Nie wydawało ci się – powiedziała Robin. – Też to zauważyłam.

– Poza tym nikt nie chce, żebyśmy rozmawiali z braćmi Butcher, starymi kumplami Jimmy'ego.

– Dlatego że wiedzą więcej niż tylko to, gdzie aktualnie pracuje ich siostra?

Strike sączył piwo, wspominając to, co usłyszał od Chiswella, gdy się poznali.

– Chiswell mówił, że w sprawę, w związku z którą go szantażowano, były zamieszane inne osoby, ale gdyby to się wydało, miałyby wiele do stracenia.

Wyjął notes i wpatrywał się w swoje ostre, trudne do odczytania pismo, a Robin siedziała spokojnie, rozkoszując się cichym gwarem w ogródku piwnym. W pobliżu zabzyczała jakaś leniwa pszczoła, przywodząc jej na myśl lawendową alejkę w Le Manoir aux Quat'Saisons, gdzie spędzili z Matthew rocznicę ślubu. Lepiej było nie porównywać tego, jak czuła się wtedy, z obecną chwilą.

– Może – Strike postukał długopisem w otwarty notes – bracia Butcher zgodzili się przyjąć obowiązki związane z chlastaniem koni

nożem, podczas gdy Jimmy był w Londynie? Od początku przypuszczałem, że ma tu kumpli, którzy zajmują się tą stroną sprawy. Ale zanim się do nich zgłosimy, zaczekamy, aż Izzy ustali, gdzie jest Tegan. Nie chcę denerwować klientki, dopóki nie stanie się to absolutnie konieczne.

– Jasne – zgodziła się Robin. – Tak się zastanawiam... Myślisz, że Jimmy się z nimi spotkał, kiedy przyjechał tu szukać Billy'ego?

– Całkiem możliwe – powiedział Strike, kiwając głową nad notatkami. – To bardzo interesujące. Z rozmowy Jimmy'ego i Flick w czasie marszu wynikało, że Flick wiedziała, gdzie był wtedy Billy. Szli go odwiedzić, kiedy trzasnęło mi ścięgno. Teraz znowu go zgubili. Ech, dużo bym dał, żeby znaleźć Billy'ego. To od niego wszystko się zaczęło i nadal...

Zamilkł, gdy podano im jedzenie: burgera z niebieskim serem dla Strike'a i porcję chili dla Robin.

– I nadal... – podpowiedziała Robin, gdy barmanka odeszła.

– ...nic nie wiemy o dziecku, które rzekomo uduszono – dokończył Strike. – Nie chciałem pytać Chiswellów o Suki Lewis, w każdym razie jeszcze nie teraz. Lepiej nie sugerować, że interesuje mnie cokolwiek oprócz śmierci Chiswella.

Sięgnął po burgera i odgryzł olbrzymi kęs, błądząc wzrokiem gdzieś w okolicach drogi. Pochłonąwszy pół burgera, znowu skupił się na notatkach.

– Sprawy do załatwienia – oznajmił, sięgając po długopis. – Chcę znaleźć sprzątaczkę, którą zwolnił Jasper Chiswell. Przez jakiś czas dysponowała kluczem i być może będzie w stanie nam powiedzieć, jak i kiedy do domu dostał się hel. Miejmy nadzieję, że Izzy namierzy Tegan Butcher i Tegan rzuci trochę światła na poranny przyjazd Raphaela w dniu śmierci jego ojca, bo nadal nie kupuję tej historyjki. Na razie damy spokój braciom Tegan. Chiswellowie

wyraźnie nie chcą, żebyśmy z nimi rozmawiali, ale być może spróbuję zamienić parę słów z Henrym Drummondem, tym handlarzem dziełami sztuki.

– Dlaczego? – spytała Robin.

– Był starym przyjacielem Chiswella, wyświadczył mu przysługę, zatrudniając Raphaela. Musieli być dość zżyci. Nigdy nie wiadomo, może Chiswell mu powiedział, z jakiego powodu go szantażowano. Poza tym próbował się dodzwonić do Chiswella wcześnie rano w dniu jego śmierci. Chciałbym wiedzieć dlaczego. W najbliższym czasie spróbujesz wyciągnąć coś z Flick w tym sklepie z biżuterią, Barclay dalej będzie pracował nad Jimmym i Flick, a ja zajmę się Geraintem Winnem i Aamirem Mallikiem.

– Na pewno nie będą chcieli z tobą rozmawiać – powiedziała natychmiast Robin. – Nie ma szans.

– Założymy się?

– Stawiam dychę, że ci się nie uda.

– Za mało ci płacę, żebyś szastała dychami. Będziesz mogła postawić mi piwo.

Strike zajął się rachunkiem, a potem wrócili do samochodu. Robin w głębi duszy żałowała, że nie trzeba jeszcze gdzieś pojechać, bo perspektywa powrotu na Albury Street działała na nią przygnębiająco.

– Chyba będzie lepiej, jeśli wrócimy M40 – stwierdził Strike, patrząc na mapę w telefonie. – Na M4 był wypadek.

– Okej – zgodziła się Robin.

Wiedziała, że będą musieli przejechać obok Le Manoir aux Quat'Saisons. Cofając na parkingu, nagle pomyślała o wcześniejszych esemesach od Matthew. Twierdził, że pisał do kogoś z pracy, ale nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek kontaktował się z biurem w czasie weekendu. Narzekając na jej

obowiązki, najczęściej wypominał to, że często zahaczają o soboty i niedziele, co w jego wypadku nigdy się nie zdarzało.

– Słucham? – Uświadomiła sobie, że przed chwilą Strike coś do niej mówił.

– Powiedziałem: „Podobno przynoszą pecha, prawda"? – powtórzył, gdy oddalali się od pubu.

– Co przynosi pecha?

– Białe konie – wyjaśnił. – W jakiejś sztuce pojawiają się chyba jako zwiastuny śmierci, nie?

– Nie wiem – odrzekła, zmieniając bieg. – Ale w Apokalipsie Świętego Jana śmierć jedzie na białym koniu.

– Na trupio bladym – poprawił ją Strike, opuszczając szybę, żeby znowu zapalić.

– Pedant.

– Powiedziała kobieta, która wzbrania się przed nazywaniem brązowego konia brązowym – odparł Strike.

Sięgnął po przybrudzony drewniany krzyż, który przesuwał się po desce rozdzielczej. Robin skupiła wzrok na drodze, żeby skoncentrować się na czymś innym niż wyrazisty obraz, który pojawił się w jej umyśle, gdy zauważyła ten krzyż, prawie całkiem zasłonięty gęstymi, wąsatymi łodygami pokrzyw: wyobrażenie dziecka rozkładającego się w ziemi na dnie tej mrocznej niecki w lesie, martwego i zapomnianego przez wszystkich oprócz mężczyzny, którego uznawano za szaleńca.

45

Ja jednak muszę skończyć z tą fałszywą i dwuznaczną sytuacją.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Nazajutrz rano Strike przypłacił bólem spacer w lesie na terenie posiadłości Chiswellów. Tak bardzo nie chciało mu się wstać z łóżka, zejść do agencji i pracować w niedzielę, że był zmuszony sobie przypomnieć, że tak jak Hyman Roth z jednego z jego ulubionych filmów, sam wybrał sobie taką branżę. Jeśli podobnie jak działalność mafii, zawód prywatnego detektywa wymagał od człowieka więcej niż zwyczajne profesje, należało zaakceptować nie tylko jego zalety, lecz także pewne elementy towarzyszące.

Mógł przecież dokonać innego wyboru. Armia chciała, żeby został, nawet gdy stracił połowę nogi. Przyjaciele przyjaciół proponowali wszystko: od stanowisk na szczeblu kierowniczym w branży ochroniarskiej po spółki biznesowe, ale on nie zdołał stłumić impulsu nakazującego mu tropić, rozwikływać i przywracać porządek we wszechświecie moralności i wątpił, by kiedykolwiek udało mu się go zagłuszyć. Nie czerpał żadnej satysfakcji z papierkowej roboty, spotkań z kłótliwymi klientami ani z zatrudniania i zwalniania podwładnych, lecz nadgodziny, niedostatek i sporadyczne niebezpieczeństwa związane z tą pracą przyjmował ze stoicyzmem, a czasem nawet z zadowoleniem. Dlatego wziął prysznic, przyczepił protezę i ziewając, z bólem zszedł po schodach, przypominając sobie sugestię szwagra, że jego nadrzędnym celem powinno być siedzenie w biurze, podczas gdy czarną robotę będą wykonywali inni.

Kiedy usiadł przy komputerze Robin, jego myśli popłynęły w stronę wspólniczki. Nigdy jej nie pytał, jakie ma ambicje w związku z pracą w agencji, gdyż zakładał – być może arogancko – że są takie same jak jego: zgromadzić na koncie w banku wystarczająco dużo środków, by zapewnić im obojgu przyzwoity dochód oraz możliwość przyjmowania wyłącznie najciekawszych

zleceń bez obaw o utratę wszystkiego w chwili odejścia klienta. Być może jednak Robin czekała, aż Strike zaproponuje to, co sugerował Greg? Próbował sobie wyobrazić, jak by zareagowała, gdyby poprosił, żeby usiadła na pierdzącej kanapie, i zaprezentował jej w PowerPoincie długofalowe cele i sugestie dotyczące budowania świadomości marki.

Gdy wziął się do pracy, myśli o Robin przemieniły się w myśli o Charlotte. Przypomniał sobie, jak wyglądały takie dni, kiedy byli razem i musiał spędzić w spokoju kilka godzin sam na sam z komputerem. Czasami Charlotte gdzieś wychodziła, często robiąc niepotrzebnie tajemnicę z tego, dokąd się wybiera, wynajdywała powody, żeby mu przeszkodzić, albo wszczynała kłótnię, która obezwładniała go na długie godziny i pochłaniała cenny czas. Wiedział, że przypomina sobie, jak trudne do zniesienia i wyczerpujące było jej zachowanie, dlatego że odkąd zobaczył Charlotte w Lancaster House, zakradała się do jego umysłu w chwilach bezczynności niczym bezpański kot.

Niespełna osiem godzin, siedem kubków herbaty, trzy przerwy na skorzystanie z toalety, cztery kanapki z serem, trzy paczki czipsów, jabłko i dwadzieścia dwa papierosy później Strike zwrócił wydatki wszystkim podwykonawcom, dopilnował, by najnowsze rachunki firmy dotarły do księgowego, przeczytał ostatni raport Hutchinsa w sprawie Nieuchwytnego Doktorka i namierzył w cyberprzestrzeni kilku Aamirów Mallików w poszukiwaniu tego jednego, z którym chciał porozmawiać. O piątej już myślał, że go znalazł, lecz mężczyzna na zdjęciu był mało „przystojny” (bo tak scharakteryzowano Mallika w niezawierającym nazwisk wpisie w internecie), tak więc Strike uznał, iż najlepiej będzie przesłać Robin kopie zdjęć znalezionych w Google i upewnić się, że to ten Mallik, którego szuka.

Cormoran przeciągnął się, ziewając, i wsłuchał się w solówkę na perkusji w wykonaniu potencjalnego nabywcy w sklepie przy Denmark Street. Nie mógł się doczekać, kiedy wróci na górę i obejrzy skrót najważniejszych wydarzeń olimpijskich tego dnia, wśród których miał się znaleźć bieg Usaina Bolta na sto metrów. Już chciał wyłączyć komputer, kiedy cichy dźwięk powiadomił go o nadejściu mejla od Lorelei@VintageVamps.com zatytułowanego po prostu „Ty i ja".

Strike potarł powieki nasadą dłoni, jakby nowa wiadomość była skutkiem chwilowego zaburzenia wzroku. Gdy jednak podniósł głowę i ponownie otworzył oczy, mejl w dalszym ciągu tkwił u góry jego skrzynki odbiorczej.

– O cholera – mruknął. Uznał jednak, że równie dobrze może poznać złe wieści, i kliknął.

Mejl liczył blisko tysiąc słów i wyglądało na to, że został starannie skomponowany. Zawierał metodyczną analizę charakteru Strike'a, którą czytało się jak opinię psychiatry dotyczącą kogoś, kto może nie jest zupełnie beznadziejny, ale wymaga pilnej interwencji. Lorelei doszła do wniosku, że Cormoran Strike to w gruncie rzeczy zaburzona i nieprzystosowana istota, stojąca na drodze własnemu szczęściu. Sprawia innym ból spowodowany zasadniczym brakiem uczciwości w życiu uczuciowym. Nigdy nie zaznał zdrowego związku, więc ucieka od niego, gdy tylko ktoś mu go oferuje. Uczucia ludzi, którym na nim zależy, traktuje jak oczywistość i prawdopodobnie zdałby sobie z tego sprawę dopiero, gdy sięgnąłby dna, osamotniony, niekochany i nękany wyrzutami sumienia.

Po tej prognozie następował opis głębokich rozmyślań i wątpliwości, które poprzedziły decyzję Lorelei o wysłaniu tego mejla zamiast zwyczajnego oznajmienia mu, że ich układ bez

zobowiązań dobiegł końca. Stwierdziła, że jej zdaniem najuczciwiej wobec niego będzie wyjaśnić mu na piśmie, dlaczego ona, a tym samym każda inna kobieta na świecie, nie będzie w stanie go zaakceptować, dopóki Strike nie zmieni swojego postępowania. Chciała, by przyjął jej słowa, „mając świadomość, że nie jest to podyktowane złością, lecz smutkiem", i prosiła o spotkanie, podczas którego Cormoran „zdecyduje, czy pragnie tego związku wystarczająco mocno, by spróbować innego podejścia".

Doczytawszy do końca, Strike dalej wpatrywał się w ekran i nie ruszał się z miejsca – nie dlatego że zastanawiał się nad odpowiedzią, lecz dlatego że szykował się na fizyczny ból, który, jak przewidywał, dopadnie go podczas wstawania z krzesła. Wreszcie podniósł się do pozycji stojącej, skrzywił się, przenosząc ciężar ciała na protezę, po czym wyłączył komputer i zamknął agencję.

„Dlaczego nie możemy zakończyć tego przez telefon?" – pomyślał, gramoląc się po schodach i raz po raz chwytając się poręczy. „Przecież obydwoje wiemy, że to, co między nami było, już umarło. Dlaczego musimy przeprowadzać sekcję zwłok?"

Po powrocie do mieszkania zapalił kolejnego papierosa, opadł na krzesło w kuchni i zadzwonił do Robin, która odebrała prawie natychmiast.

– Cześć – odezwała się cicho. – Zaczekaj chwilę.

Usłyszał odgłos zamykanych drzwi, kroki i znowu zamykane drzwi.

– Dostałaś mojego mejla? Właśnie przesłałem ci parę zdjęć.

– Nie – powiedziała ściszonym głosem. – Co na nich jest?

– Chyba znalazłem Mallika w Battersea. Grubszy gość ze zrośniętymi brwiami.

– To nie on. Ten Aamir jest wysoki i chudy, nosi okulary.

– Więc właśnie zmarnowałem godzinę – odrzekł sfrustrowany Strike. – Nigdy mu się nie wymknęło, gdzie mieszka? Co lubi robić w weekendy? Nie podał swojego numeru ubezpieczenia?

– Nie. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Przecież ci mówiłam.

– Jak ci idzie z przebraniem?

Robin powiadomiła już Strike'a esemesem, że w czwartek wybiera się na rozmowę z „szurniętą wikanką", która prowadzi w Camden sklep z biżuterią.

– Nieźle – pochwaliła się. – Eksperymentuję z...

W tle dał się słyszeć stłumiony krzyk.

– Przepraszam, muszę kończyć – rzuciła prędko.

– Wszystko w porządku?

– Jasne, porozmawiamy jutro.

Rozłączyła się. Strike nadal trzymał telefon przy uchu. Domyślił się, że zadzwonił nie w porę, może nawet w czasie kłótni, i opuścił komórkę lekko zawiedziony, że nie udało im się dłużej porozmawiać. Przez chwilę wpatrywał się zamyślony w telefon w swojej dłoni. Lorelei na pewno oczekiwała, że zadzwoni do niej zaraz po odebraniu mejla. Uznawszy, że może całkiem wiarygodnie udawać, że jeszcze go nie przeczytał, Strike odłożył komórkę i sięgnął po pilota do telewizora.

46

[...] *ostrożniej oceniałbym pańskie błędy.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Cztery dni później w porze lanczu można było spotkać Strike'a opartego o ladę w maleńkiej restauracji z pizzą na wynos. Z tego

miejsca najwygodniej dało się obserwować dom po drugiej stronie ulicy: połowę bliźniaka z brązowej cegły z wyrytą w kamieniu nad identycznymi drzwiami nazwą „Bluszczowe Domki", która według Strike'a bardziej pasowała do skromniejszych budynków niż do nieruchomości z eleganckimi łukowatymi oknami i bogato profilowanymi zwornikami.

Żując kawałek pizzy, Strike poczuł, że w jego kieszeni wibruje telefon. Najpierw sprawdził, kto dzwoni, ponieważ tego dnia miał już za sobą nieprzyjemną rozmowę z Lorelei. Widząc jednak, że to Robin, odebrał.

– Udało się – oznajmiła. Wydawała się podekscytowana. – Właśnie byłam na rozmowie. Właścicielka jest okropna, nic dziwnego, że nikt nie chce u niej pracować. Nie podpisuje umowy. W gruncie rzeczy potrzebuje paru osób, które będą ją zastępowały, kiedy akurat zechce zrobić sobie wolne.

– Flick dalej tam jest?

– Tak, kiedy rozmawiałam z właścicielką, stała za ladą. Jutro mam przyjść na próbę.

– Nikt cię nie śledził?

– Nie, dziennikarz chyba już się poddał. Wczoraj też go nie było. Ale pewnie i tak by mnie nie poznał. Żałuj, że nie widzisz moich włosów.

– Dlaczego? Co z nimi zrobiłaś?

– Potraktowałam je kredą.

– Czym?

– Kredą do włosów – wyjaśniła Robin. – Tymczasowa koloryzacja. Są teraz czarno-niebieskie. Poza tym zrobiłam mocny makijaż oczu i kilka zmywalnych tatuaży.

– Pstryknij selfie. Przyda mi się jakieś małe urozmaicenie.

– Sam sobie pstryknij. Co u ciebie?

– Nic a nic. Dziś rano Mallik i Della wyszli razem z jej domu...

– Boże, m i e s z k a j ą razem?

– Nie mam pojęcia. Pojechali gdzieś taksówką z psem przewodnikiem. Wrócili godzinę temu, czekam, co będzie dalej. Ale jest jedna ciekawostka: już kiedyś widziałem Mallika. Dziś rano od razu go rozpoznałem.

– Naprawdę?

– Tak, był na zebraniu SGOO zorganizowanym przez Jimmy'ego. Tym, na które poszedłem, szukając Billy'ego.

– Dziwne... Myślisz, że pełnił funkcję pośrednika Gerainta?

– Możliwe – powiedział Strike – ale nie rozumiem, dlaczego nie mogli się kontaktować telefonicznie. Wiesz, ten Mallik w ogóle jest jakiś podejrzany.

– Nie, jest w porządku – zapewniła go szybko Robin. – Nie polubił mnie, bo nie wzbudziłam jego zaufania. A to oznacza, że jest bystrzejszy niż większość z nich.

– Nie wydaje ci się, że to on zamordował Chiswella?

– Pytasz z powodu tego, co powiedziała Kinvara?

– „Mój mąż kogoś sprowokował. Ostrzegałam go, żeby z nim nie zadzierał" – przypomniał Strike.

– Dlaczego ktokolwiek miałby się przejmować, że zdenerwuje Aamira? Dlatego że Aamir ma brązową skórę? Właściwie to było mi go żal, musiał pracować z...

– Zaczekaj chwilę. – Strike odłożył kawałek pizzy na talerz.

Drzwi domu Delli znowu się otworzyły.

– Pojawił się – dodał, gdy Mallik sam opuścił dom, zamknął za sobą drzwi i ruszył żwawym krokiem po ścieżce, a potem wzdłuż ulicy. Strike wyszedł z pizzerii, żeby pójść za nim.

– Szybko zasuwa. Wygląda na to, że nie mógł się doczekać, kiedy się od niej uwolni...

– Jak twoja noga?

– Bywało gorzej. Zaczekaj, skręca w lewo... Robin, rozłączam się, muszę trochę przyspieszyć.

– Powodzenia.

– Dzięki.

Strike przeszedł przez Southwark Park Road najszybciej, jak pozwalała mu noga, po czym skręcił w Alma Grove, długą ulicę mieszkaniową z posadzonymi w równych odstępach platanami i wiktoriańskimi domami w szeregowej zabudowie po obu stronach ulicy. Ku zaskoczeniu Strike'a Mallik zatrzymał się obok budynku po prawej i wszedł przez turkusowe drzwi. Jego miejsce zamieszkania dzieliło od domu Winnów najwyżej pięć minut.

Domy przy Alma Grove były wąskie i Strike potrafił sobie wyobrazić, że głośne dźwięki z łatwością przenikają przez ściany. Dał Mallikowi trochę czasu na zdjęcie marynarki i butów, po czym podszedł do turkusowych drzwi i zapukał.

Aamir otworzył po kilku sekundach. Uprzejme zaciekawienie na jego twarzy ustąpiło miejsca szokowi. Najwidoczniej doskonale wiedział, kim jest Strike.

– Aamir Mallik?

Młodszy mężczyzna początkowo nie odpowiadał i tylko stał nieruchomo z jedną ręką na drzwiach, a drugą na ścianie przedpokoju, patrząc na Strike'a ciemnymi oczami pomniejszonymi przez grube szkła okularów.

– Czego pan chce?

– Porozmawiać – odparł Strike.

– Dlaczego? Po co?

– Zatrudniła mnie rodzina Jaspera Chiswella. Nie jest pewna, czy popełnił samobójstwo.

Aamir przez chwilę wydawał się sparaliżowany. Nie poruszył się ani nie odezwał. W końcu odsunął się od drzwi.

– Dobrze, proszę wejść.

Na miejscu Aamira Strike też chciałby się przekonać, co detektyw wie albo podejrzewa, zamiast zastanawiać się podczas bezsennych nocy, dlaczego się do niego zgłosił. Strike wszedł do środka i wytarł buty o wycieraczkę.

Wnętrze domu okazało się większe, niż mogło się wydawać z zewnątrz. Aamir poprowadził Strike'a przez drzwi po lewej do salonu. Wystrój wyraźnie wskazywał, że dom urządzał ktoś znacznie starszy od Aamira. Gruby dywan w wirujące różowo-zielone wzory, kilka obitych perkalem foteli, drewniany stolik do kawy przykryty koronkowym obrusem i zdobione lustro nad kominkiem świadczyły o zaawansowanym wieku mieszkańców. W kominku z kutego żelaza umieszczono brzydki elektryczny grzejnik. Na półkach było pusto, ze wszystkich powierzchni usunięto ozdoby i inne przedmioty. Na podłokietniku fotela leżała książka Stiega Larssona w miękkiej oprawie.

Aamir odwrócił się do Strike'a, trzymając ręce w kieszeniach dżinsów.

– Nazywa się pan Cormoran Strike – powiedział.

– Zgadza się.

– To pana wspólniczka podawała się za Venetię w Izbie Gmin.

– To też się zgadza.

– Czego pan chce? – powtórzył Aamir.

– Zadać panu kilka pytań.

– W jakiej sprawie?

– Mógłbym usiąść? – spytał Strike, po czym zrobił to, nie czekając na pozwolenie. Zauważył, że wzrok Aamira przesuwa się w stronę jego nogi, i ostentacyjnie rozprostował protezę, tak by nad

skarpetką błysnęła metalowa kostka. Dla człowieka mającego tak taktowne podejście do niepełnosprawności Delli mógł to być wystarczający argument, by nie prosić Strike'a o wstanie z miejsca. – Jak już powiedziałem, rodzina uważa, że Jasper Chiswell nie popełnił samobójstwa.

– Myśli pan, że miałem coś wspólnego z jego śmiercią? – Aamir starał się wyrazić tonem niedowierzanie, lecz w jego głosie zabrzmiał tylko strach.

– Nie – powiedział Strike – ale jeśli ma pan ochotę coś wyznać, to śmiało. Zaoszczędzi mi to mnóstwa pracy.

Aamir się nie uśmiechnął.

– Wiem o panu tylko tyle, panie Mallik – podjął Strike – że pomagał pan Geraintowi Winnowi szantażować Chiswella.

– Wcale nie – zaprzeczył natychmiast Aamir.

Było to odruchowe, pochopne zaprzeczenie człowieka ogarniętego paniką.

– Nie próbował pan zdobyć obciążających go zdjęć?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Dziennikarze usiłują doprowadzić do cofnięcia zakazu wprowadzonego z inicjatywy pana przełożonych. Gdy opinia publiczna dowie się o szantażu, pana udział w tej sprawie też szybko wyjdzie na jaw. Pan i pański przyjaciel Christopher...

– T o n i e j e s t m ó j p r z y j a c i e l!

Gwałtowność, z jaką Aamir to wykrzyknął, zainteresowała Strike'a.

– Jest pan właścicielem tego domu? – spytał.

– Co?

– Zdaje się, że to spory dom jak na dwudziestoczterolatka, który zarabia raczej niewiele...

– To, do kogo należy ten dom, to nie pańska...

– Osobiście nic mnie to nie obchodzi – Strike się pochylił – ale dziennikarzy owszem. Jeśli nie płaci pan normalnego czynszu, uznają, że ma pan wobec właścicieli jakiś dług wdzięczności. Może się wydać, że jest im pan coś winien, że siedzi pan w ich kieszeni. A jeśli dom należy do pana przełożonych, urząd podatkowy może to uznać za swego rodzaju korzyść majątkową, co z kolei będzie zapewne oznaczało kłopoty zarówno dla...

– Skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać? – spytał ostro Aamir.

– Nie było łatwo – przyznał Strike. – Nie prowadzi pan intensywnego życia w internecie, prawda? Ale ostatecznie – sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po plik kartek i rozłożył je – znalazłem stronę pana siostry na Facebooku. Bo to pana siostra, prawda?

Położył na stoliku do kawy kartkę, na której wydrukował wpis z Facebooka. Pulchna, atrakcyjna kobieta w hidżabie uśmiechała się promiennie na kiepskiej kopii zdjęcia, otoczona czworgiem dzieci. Uznając milczenie Aamira za potwierdzenie, Strike ciągnął:

– Przejrzałem jej wpisy z ostatnich kilku lat. To pan – powiedział, kładąc drugą wydrukowaną stronę na pierwszej. Młodszy Aamir stał uśmiechnięty w todze, otoczony rodzicami. – Skończył pan z wyróżnieniem nauki polityczne i ekonomię w London School of Economics. Bardzo imponujące... Potem dostał się pan do programu stażowego dla absolwentów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. – Strike położył trzecią kartkę na tamtych dwóch. Było na niej oficjalne pozowane zdjęcie niewielkiej grupy elegancko ubranych młodych mężczyzn i kobiet, wyłącznie czarnych albo wywodzących się z innych mniejszości etnicznych. Stali wokół łysiejącego, rumianego mężczyzny. – Oto pan – powiedział Strike – ze starszym urzędnikiem służby cywilnej, sir Christopherem Barrowcloughem-

Burnsem, który kierował wtedy procesem rekrutacji do programu stażowego wspierającego różnorodność rasową.

Aamirowi drgnęła powieka.

– A tu znowu pan – mówił dalej Strike, kładąc na stoliku ostatnią z czterech stron wydrukowanych z Facebooka – zaledwie miesiąc temu, z siostrą, w tej pizzerii naprzeciwko domu Delli. Kiedy już ustaliłem, gdzie to jest, i uświadomiłem sobie, jak niewielka odległość dzieli tę pizzerię od domu Winnów, pomyślałem, że warto przyjechać do Bermondsey i sprawdzić, czy przypadkiem nie znajdę pana w pobliżu.

Aamir wpatrywał się w swoje zdjęcie z siostrą. Zrobiła selfie. Za oknem w tle widać było wyraźnie Southwark Park Road.

– Gdzie pan był o szóstej rano trzynastego lipca? – spytał Strike.

– Tutaj.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Tak. Geraint Winn.

– Spędził u pana noc?

Aamir zrobił kilka kroków w stronę Strike'a i uniósł pięści. Od razu było jasne, że nigdy nie boksował, lecz mimo to Strike poczuł napięcie. Aamir sprawiał wrażenie człowieka, który w każdej chwili może wybuchnąć.

– Mówię tylko – powiedział Strike, podnosząc ręce w pokojowym geście – że szósta rano to dziwna pora na odwiedziny.

Aamir powoli opuścił pięści, a po chwili, jakby nie wiedział, co innego mógłby ze sobą zrobić, wycofał się i usiadł na krawędzi najbliżej stojącego fotela.

– Geraint przyszedł mi powiedzieć, że Della się przewróciła.

– Nie mógł zadzwonić?

– Chyba mógł, ale nie zadzwonił – burknął Aamir. – Miałem pomóc mu ją przekonać, żeby pozwoliła się zawieźć na pogotowie.

Spadła z kilku ostatnich stopni schodów i coraz bardziej puchł jej nadgarstek. Poszedłem tam, mieszkają tuż za rogiem, ale nie udało mi się jej namówić. Jest uparta. W każdym razie okazało się, że to tylko zwichnięcie. Nic złego jej się nie stało.

– Więc to pan dał Geraintowi alibi na czas śmierci Jaspera Chiswella?

– Chyba tak.

– A on dał alibi panu.

– Dlaczego miałbym chcieć śmierci Jaspera Chiswella? – spytał Aamir.

– Dobre pytanie – powiedział Strike.

– Ledwie go znałem – odrzekł Aamir.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

– W takim razie co go skłoniło do zacytowania panu Katullusa, wspomnienia o Mojrze i dania do zrozumienia w biurze pełnym ludzi, że wie coś na temat pana życia prywatnego?

Zapadło długie milczenie. Aamirowi znowu drgnęła powieka.

– Nic takiego się nie wydarzyło – oświadczył.

– Doprawdy? Moja wspólniczka...

– Ona kłamie. Chiswell nic nie wiedział na temat mojego życia prywatnego. Nic.

Strike usłyszał stłumione warczenie odkurzacza u sąsiadów. Faktycznie. Ściany nie były tu grube.

– Już kiedyś pana widziałem – powiedział do Mallika, który sprawiał teraz wrażenie bardziej wystraszonego niż do tej pory. – Dwa miesiące temu na zebraniu zorganizowanym przez Jimmy'ego Knighta w East Ham.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odrzekł Mallik. – Pomylił mnie pan z kimś innym. – Po chwili dodał mało przekonująco: – Kim jest

Jimmy Knight?

– W porządku, Aamir. Jeśli chcesz to rozegrać w ten sposób, nie ma sensu tego ciągnąć. Mogę skorzystać z łazienki?

– Co?

– Muszę się wysikać. Potem sobie pójdę i zostawię cię w spokoju.

Mallik wyraźnie chciał odmówić, ale najwidoczniej nie był w stanie znaleźć sensownego uzasadnienia.

– W porządku – powiedział. – Ale... – nagle wpadł na pewien pomysł – ...chwileczkę. Muszę wyjąć... W umywalce moczą się skarpetki. Niech pan tu zaczeka.

– Nie ma sprawy – powiedział Strike.

Aamir wyszedł z pokoju. Strike potrzebował pretekstu, by pomyszkować na górze w poszukiwaniu jakichś wskazówek co do jednostki albo działalności, która mogła być odpowiedzialna za zwierzęce odgłosy, wystarczająco donośne, by zakłócić spokój sąsiadów, lecz rozlegające się w korytarzu kroki Aamira uświadomiły mu, że łazienka znajduje się na parterze za kuchnią.

Aamir wrócił po dwóch minutach.

– Łazienka jest tam.

Poprowadził Strike'a korytarzem, a następnie przez nijaką, pustą kuchnię, po czym wskazał łazienkę.

Strike wszedł do środka, zaryglował drzwi i dotknął umywalki. Była sucha. Ściany zostały pomalowane na różowo i pasowały do różowych mebli łazienkowych. Uchwyty obok sedesu i sięgająca sufitu poręcz przy krawędzi wanny wskazywały, że w przeszłości mieszkała tu jakaś słaba, niepełnosprawna osoba.

Co takiego Aamir chciał usunąć albo ukryć, zanim wpuścił detektywa do łazienki? Strike otworzył szafkę nad umywalką. Było w niej niewiele oprócz podstawowych przyborów toaletowych młodego mężczyzny: maszynki, dezodorantu i płynu po goleniu.

Zamykając szafkę, Strike ponownie zobaczył swoje odbicie, a nad ramieniem fragment wewnętrznej strony drzwi, gdzie gruby granatowy szlafrok zawieszono niedbale za wlot rękawa zamiast za przeznaczoną do tego celu pętelkę.

Spuszczając wodę dla zachowania pozorów, że jest zbyt zajęty, by węszyć, Strike podszedł i pomacał puste kieszenie. Gdy to robił, niestarannie powieszony szlafrok ześlizgnął się z haczyka.

Strike zrobił krok do tyłu, by lepiej widzieć to, co ukazało się jego oczom. Ktoś niezdarnie wyżłobił na drzwiach łazienki czworonożną postać, zdzierając farbę i wierzchnią warstwę drewna. Strike puścił zimną wodę z kranu, w razie gdyby Aamir podsłuchiwał, po czym zrobił komórką zdjęcie, zakręcił wodę i odwiesił szlafrok w taki sam sposób jak był powieszony wcześniej.

Aamir czekał w głębi kuchni.

– Mogę zabrać te wydruki? – spytał Strike i nie czekając na odpowiedź, poszedł do salonu po kartki ze zdjęciami z Facebooka. – A tak właściwie, dlaczego odszedłeś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

– Bo... bo mi się tam nie podobało.

– Jak to się stało, że zacząłeś pracować u Winnów?

– Poznaliśmy się. Della zaproponowała mi pracę. Przyjąłem propozycję.

Czasami, bardzo rzadko, zdarzało się, że Strike miewał skrupuły w związku z pytaniami, które musiał zadać podczas takich rozmów.

– Chcąc nie chcąc, zauważyłem – podniósł zadrukowane kartki – że po odejściu z Ministerstwa Spraw Zagranicznych na dość długi czas zerwałeś kontakt z rodziną. Nie było cię widać na zdjęciach grupowych, nawet na siedemdziesiątych urodzinach twojej matki. Siostra o tobie nie wspominała.

Aamir milczał.

– Zupełnie jakby się ciebie wyrzekli – stwierdził Strike.

– Może pan już iść – odparł Aamir, lecz Strike nie ruszył się z miejsca.

– Kiedy twoja siostra zamieściła zdjęcie, na którym siedzieliście razem w pizzerii – ciągnął Strike, ponownie rozkładając ostatnią kartkę – komentarze brzmiały...

– Chcę, żeby pan stąd wyszedł – powtórzył Aamir podniesionym głosem.

– „Co robisz z tym dupkiem?", „Twój tata wie, że się z nim spotykasz?". – Strike czytał wpisy pod zdjęciem Aamira z siostrą. – „Gdyby mój brat uprawiał *liwat*..."

Aamir rzucił się na niego, wymierzając prawą ręką wściekły cios w bok głowy Strike'a. Cormoran odparł atak, lecz zwykle łagodnie wyglądającego Aamira wypełnił rodzaj ślepej furii, która niemal każdego mężczyznę mogłaby zmienić w groźnego przeciwnika. Wyrywając z gniazdka stojącą w pobliżu lampkę, uderzył nią z taką siłą, że gdyby Strike nie zdążył się uchylić, podstawa lampki roztrzaskałaby się nie na ścianie oddzielającej połowę salonu, lecz na twarzy detektywa.

– Dość! – ryknął Strike, gdy Aamir rzucił resztę lampki i przypuścił kolejny atak. Strike odepchnął pięści wirujące jak wiatraki, zahaczył protezą o nogę Aamira i powalił go na podłogę. Klnąc pod nosem, ponieważ ten ruch fatalnie wpłynął na jego obolały kikut, wyprostował się i wydyszał: – Jak nie przestaniesz, to cię, kurwa, rozwalę.

Aamir przeturlał się na bok i gdy znalazł się poza zasięgiem Strike'a, podniósł się z podłogi. Okulary zwisały mu z jednego ucha. Zdjął je drżącymi rękami i obejrzał zepsuty zawias. Jego oczy nagle zrobiły się olbrzymie.

– Aamir, nie interesuje mnie twoje życie prywatne – wysapał Strike. – Interesuje mnie, kogo kryjesz...

– Wynocha – szepnął Aamir.

– ...bo jeśli policja uzna, że to było morderstwo, wszystko, co próbujesz ukryć, wyjdzie na jaw. Dochodzenia w sprawie morderstw nie szanują niczyjej prywatności.

– W y n o c h a!

– W porządku. Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Przy drzwiach Strike po raz ostatni odwrócił się do Aamira, który poszedł za nim korytarzem i widząc, jak detektyw się zatrzymuje, znowu się spiął.

– Kto wyrył ten znak po wewnętrznej stronie drzwi w łazience? – spytał.

– W o n!

Strike wiedział, że nie ma sensu naciskać. Gdy tylko przestąpił próg, drzwi z hukiem zatrzasnęły się za jego plecami.

Kilka domów dalej skrzywiony z bólu Strike oparł się o drzewo, żeby dać odpocząć kikutowi, i przesłał Robin zrobione przed chwilą zdjęcie razem z pytaniem:

> Coś ci to przypomina?

Zapalił papierosa i czekał na odpowiedź, ciesząc się, że ma pretekst, by przez chwilę postać, bo pomijając ból w kikucie, doskwierał mu też ten z boku głowy. Uchylając się przed lampką, uderzył głową w ścianę, a poza tym po wysiłku, który włożył w powalenie młodszego mężczyzny na podłogę, bolały go plecy.

Strike spojrzał ponownie na turkusowe drzwi. Jeśli miał być szczery, bolało go coś jeszcze: sumienie. Wszedł do domu Mallika, nie mając zamiaru go przerazić ani zastraszyć, chciał go tylko skłonić do wyjawienia prawdy o związkach łączących go z Chiswellem

i Winnami. Prywatny detektyw nie mógł sobie wprawdzie pozwolić na działanie zgodne z lekarską maksymą „przede wszystkim nie szkodzić", lecz ogólnie rzecz biorąc, starał się wydobywać prawdę, nie krzywdząc niepotrzebnie tych, którzy ją znali. Czytanie na głos komentarzy pod wpisem na Facebooku było ciosem poniżej pasa. Gwałtowna reakcja inteligentnego, nieszczęśliwego i niewątpliwie związanego z Winnami czymś więcej niż dobrowolnym wyborem Aamira Mallika była odruchem desperata. Strike nie musiał ponownie spoglądać na kartki w kieszeni, by przypomnieć sobie zdjęcie Mallika, który stał dumnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych u progu wspaniałej kariery po studiach ukończonych z bardzo dobrym wynikiem, mając u boku swojego mentora, sir Christophera Barrowclougha-Burnsa.

Zadzwoniła komórka Strike'a.

– Gdzie znalazłeś ten obrazek, na litość boską? – spytała Robin.

– Na wewnętrznej stronie drzwi do łazienki u Aamira, pod szlafrokiem.

– Żartujesz.

– Nie. Co ci to przypomina?

– Białego Konia na wzgórzu obok Woolstone – powiedziała Robin.

– No to mi ulżyło – odrzekł Strike, odpychając się łokciem od drzewa, by dalej pokuśtykać ulicą. – Bałem się, że wszędzie zaczynam widzieć te cholerne konie.

47

Ale teraz choć raz chcę stoczyć walkę [z życiem].

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

W piątek o wpół do dziewiątej rano Robin wyszła ze stacji Camden Town i ruszyła w stronę sklepu z biżuterią, w którym miała przepracować dzień na próbę. Idąc, przeglądała się nerwowo w każdej mijanej witrynie.

Po procesie Rozpruwacza z Shacklewell stała się mistrzynią technik makijażu: zmieniała kształt brwi albo mocno malowała usta na cynobrowy kolor, co w połączeniu z perukami i kolorowymi soczewkami kontaktowymi znacznie zmieniało jej wygląd, lecz jeszcze nigdy nie miała tak drapieżnego makijażu jak tym razem. Oczy, do których włożyła ciemnobrązowe szkła kontaktowe, obrysowała grubą czarną kreską, usta pokryła bladoróżową szminką, a paznokcie pomalowała metalicznym szarym lakierem. Ponieważ miała w uszach tylko po jednej konwencjonalnej dziurce, kupiła parę tanich nausznic, by zasymulować bardziej brawurowe podejście do piercingu. Krótka czarna sukienka z lumpeksu, nabyta w lokalnym sklepie organizacji Oxfam w Deptford, nadal zalatywała stęchlizną, mimo że poprzedniego dnia Robin wrzuciła ją do pralki. Poza tym choć poranek był ciepły, Robin miała na sobie grube czarne rajstopy i czarne glany. Liczyła na to, że dzięki takiemu strojowi wygląda podobnie do gotek i emo girls kręcących się po Camden, które Robin odwiedzała rzadko i kojarzyła przede wszystkim z Lorelei oraz jej sklepem z ubraniami w stylu vintage.

Swoje nowe alter ego nazwała Bobbi Cunliffe. Działając pod przykrywką, najlepiej było posługiwać się imionami wywołującymi jakieś osobiste skojarzenia, dzięki którym reagowało się na nie instynktownie. Bobbi brzmiało podobnie jak Robin i czasami ludzie rzeczywiście próbowali skracać jej imię w ten sposób, na przykład jej dawny wielbiciel z biura, w którym znalazła

kiedyś tymczasowe zatrudnienie, albo jej brat Martin, kiedy chciał ją zdenerwować. Cunliffe zaś było nazwiskiem Matthew.

Tego dnia jej mąż na szczęście wyszedł do pracy wcześnie rano, ponieważ miał przeprowadzić kontrolę w jakiejś firmie w Barnet, więc Robin mogła spokojnie dokonać swojej fizycznej przemiany, bez wysłuchiwania krytycznych uwag i wyrazów niezadowolenia wywołanego tym, że znowu zgodziła się pracować pod przykrywką. Czerpała nawet pewną przyjemność z tego, że będzie się posługiwać przyjętym po mężu nazwiskiem – używała go po raz pierwszy – wcielając się w dziewczynę, którą Matthew instynktownie by znielubił. Z biegiem lat bowiem ludzie, którzy nie ubierali się, nie myśleli i nie żyli tak jak on, wywoływali w nim coraz większe rozdrażnienie i pogardę.

Triquetra, bo tak nazywał się wikański sklep z biżuterią, mieściła się na obrzeżach Camden Market. Robin zjawiła się przed wejściem za piętnaście dziewiąta i zobaczyła, że choć właściciele straganów w Camden Lock Place już zaczęli pracę, sklep jest zamknięty i wygląda na pusty. Pięć minut później przyszła jej pracodawczyni, lekko zasapana. Ta pokaźnych rozmiarów kobieta, dobiegająca sześćdziesiątki, jak oceniła Robin, miała rozczochrane, ufarbowane na czarno włosy z półtoracentymetrowymi siwymi odrostami, równie brutalne podejście do eyelinera jak Bobbi Cunliffe i długą zieloną sukienkę z aksamitu.

Podczas pobieżnej rozmowy kwalifikacyjnej, która poprzedziła dzień próbny, właścicielka sklepu zadała Robin bardzo niewiele pytań i zamiast tego rozwlekle opowiadała o swoim mężu, który właśnie zostawił ją po trzydziestu latach małżeństwa i przeprowadził się do Tajlandii, o sąsiedzie, który pozwał ją w związku ze sporem o granicę działek, oraz o całej rzeszy niezadowalających i niewdzięcznych pracowników, którzy odeszli

z Triquetry, żeby zatrudnić się gdzie indziej. Widząc jej nieskrywane pragnienie, by wycisnąć z personelu jak najwięcej w zamian za jak najniższą płacę, połączone z falami rozczulania się nad sobą, Robin zaczęła się zastanawiać, jak takiej szefowej w ogóle udaje się znaleźć chętnych do pracy.

– Jesteś punktualna – zauważyła przyszła przełożona, gdy znalazła się w zasięgu uszu Robin. – To dobrze. A gdzie ta druga?

– Nie wiem – odrzekła Robin.

– T y l k o n i e t o – powiedziała właścicielka sklepu z nutą histerii w głosie. – Nie w dniu, w którym idę na spotkanie z prawnikiem Briana!

Otworzyła drzwi i gestem zaprosiła Robin do sklepu wielkości dużego kiosku, a gdy wyciągnęła ręce, żeby podnieść rolety, woń niemytego ciała i paczuli zmieszała się z nieświeżym powietrzem przesyconym zapachem kadzidełek. Światło dnia wpadło do środka jak jakiś twardy przedmiot, sprawiając, że wszystko, co znajdowało się w pomieszczeniu, wydało się jeszcze bardziej mizerne i tandetne. Nijakie srebrne naszyjniki i kolczyki zwisały z wieszaków na ciemnofioletowych ścianach. Wiele z nich opatrzono pentagramami, pacyfkami i liśćmi marihuany, a na czarnych półkach za ladą szklane fajki wodne tłoczyły się wśród kart do tarota, czarnych świec, olejków eterycznych i rytualnych sztyletów.

– Przez Camden przetaczają się teraz m i l i o n y turystów – mówiła właścicielka, krzątając się za ladą – i jeśli ta dziewczyna się nie zjawi... N o, j e s t e ś w r e s z c i e! – zawołała, gdy Flick z posępną miną weszła do środka. Miała na sobie żółto-zieloną koszulkę Hezbollahu i porwane dżinsy, a przez ramię przewiesiła olbrzymią skórzaną torbę listonoszkę.

– Metro się spóźniło – mruknęła.

– J a i Bibi dotarłyśmy bez problemu!

– Bobbi – poprawiła ją Robin, celowo wzmacniając swój akcent z Yorkshire.

Tym razem nie chciała udawać rodowitej mieszkanki Londynu. Lepiej było nie rozmawiać o szkołach i lokalach, które mogła znać Flick.

– ...obie macie trzymać rękę na pulsie p r z e z c a ł y c z a s – nakazała właścicielka, podkreślając ostatnie trzy słowa uderzeniami dłonią w dłoń. – No dobrze. Bibi...

– Bobbi...

– ...tak, chodź zobaczyć, jak działa kasa.

Robin bez trudu opanowała obsługę kasy – jako nastolatka pracowała w soboty w butiku w Harrogate. Dobrze się złożyło, że nie potrzebowała dłuższego szkolenia, gdyż jakieś dziesięć minut po otwarciu do sklepu zaczął napływać nieprzerwany strumień klientów. Ku lekkiemu zdziwieniu Robin – nie było tu niczego, co miałaby ochotę kupić – wiele osób zwiedzających Camden najwyraźniej uważało, że ich wycieczka byłaby niekompletna bez pary cynowych kolczyków, świecy ozdobionej wypukłym pentagramem albo jednego z jutowych woreczków, które leżały obok kasy i rzekomo zawierały jakieś amulety.

– No dobrze, muszę lecieć – oznajmiła właścicielka o jedenastej, gdy Flick obsługiwała wysoką Niemkę wahającą się nad wyborem jednej z dwóch talii kart do tarota. – Pamiętajcie: któraś z was musi cały czas mieć na oku towar, w razie gdyby ktoś chciał coś podprowadzić. Mój przyjaciel Eddie też będzie czuwał – dodała, wskazując stragan ze starymi płytami stojący tuż obok sklepu. – Każda z was ma dwadzieścia minut na lancz, który jecie osobno. I pamiętajcie – powtórzyła złowieszczo. – Eddie obserwuje.

Wyszła w obłoku aksamitu i woni spoconego ciała. Niemka zdecydowała się na jedną z talii, a gdy po jej zniknięciu Flick zatrzasnęła szufladę kasy, huk odbił się echem w chwilowo opustoszałym sklepie.

– Stary, niezawodny Eddie – powiedziała kąśliwie. – Ma ją w dupie. Sam mógłby ją obrobić bez mrugnięcia okiem. Głupia krowa – dorzuciła na dokładkę.

Robin się roześmiała i Flick poczuła się chyba doceniona.

– Jak masz na imię? – spytała Robin z silnym akcentem z Yorkshire. – Nie powiedziała mi.

– Flick. Ty jesteś Bobbi, tak?

– No – potwierdziła Robin.

Flick wyjęła komórkę z torby, którą wepchnęła wcześniej pod ladę, spojrzała na wyświetlacz, najwyraźniej nie zobaczyła na nim tego, co miała nadzieję ujrzeć, po czym schowała telefon z powrotem.

– Chyba bardzo cię przypiliło, że wzięłaś taką robotę, co? – rzuciła do Robin.

– Nie mogłam wybrzydzać – odparła Robin. – Z poprzedniej mnie wylali.

– Serio?

– Pieprzony Amazon – mruknęła Robin.

– Dranie migające się od płacenia podatków – stwierdziła Flick z trochę większym zainteresowaniem. – Czemu cię wywalili?

– Nie wyrabiałam dziennej normy.

Robin zapożyczyła tę historyjkę prosto z serwisu informacyjnego, w którym przedstawiano niedawno warunki pracy w jednym z magazynów giganta handlu detalicznego: nieustająca presja, by sprostać normom, pakowanie i skanowanie tysięcy produktów dziennie pod naciskiem bezwzględnych przełożonych. Gdy Robin

o tym opowiadała, mina Flick oscylowała między współczuciem a złością.

– Skandal! – orzekła, kiedy Robin skończyła mówić.

– No – przyznała Robin. – A do tego oczywiście żadnego związku zawodowego ani nic. W Yorkshire mój tata był bardzo zaangażowany w działalność związkową.

– Założę się, że się wkurzył, kiedy cię wylali.

– Już nie żyje – odrzekła bez zająknięcia Robin. – Płuca. Pracował w kopalni.

– O cholera – wymamrotała Flick. – Przykro mi.

Teraz patrzyła już na Robin z szacunkiem i zainteresowaniem.

– Widzisz, na pewno byłaś zatrudniona na podstawie jakiejś śmieciówki, a nie umowy o pracę. Stały numer tych drani.

– To jakaś różnica?

– Mniej praw ustawowych – wyjaśniła Flick. – Ale jeśli potrącali ci z wypłaty, możesz im wytoczyć proces.

– Nie jestem pewna, czy udałoby mi się to udowodnić – odparła Robin. – Skąd to wszystko wiesz?

– Dość aktywnie działam w ruchu robotniczym. – Flick wzruszyła ramionami. Po chwili wahania dodała: – A moja matka jest prawniczką i specjalizuje się w prawie pracy.

– Tak? – powiedziała Robin, pozwalając, by w jej głosie zabrzmiało uprzejme zaskoczenie.

– No – potwierdziła Flick, skubiąc paznokcie. – Ale słabo się dogadujemy. Właściwie to nie widuję się z nikim z rodziny. Nie podoba im się mój chłopak. Albo moje przekonania polityczne.

Wygładziła koszulkę Hezbollahu, prezentując ją Robin.

– A co, są torysami? – spytała Robin.

– Równie dobrze mogliby nimi być – stwierdziła Flick. – Uwielbiali pieprzonego Blaira.

Robin poczuła, że w kieszeni jej sukienki z lumpeksu wibruje komórka.

– Jest tu gdzieś kibel?

– Tam. – Flick wskazała dobrze zamaskowane, pomalowane na fioletowo drzwi z powbijanymi wieszakami na biżuterię.

Za fioletowymi drzwiami Robin znalazła klitkę z brudną, pękniętą szybą w oknie. Obok zapuszczonego kącika kuchennego z czajnikiem i paroma produktami do sprzątania przykrytymi sztywną ściereczką stał sejf. Nie było miejsca, żeby usiąść, i człowiek ledwie mieścił się tam na stojąco, bo w rogu umieszczono brudną toaletę.

Robin zamknęła się w kabinie z płyty wiórowej, opuściła klapę sedesu i usiadła, by przeczytać dość długiego esemesa, którego Barclay przesłał przed chwilą jej i Strike'owi.

> Billy się znalazł. Dwa tygodnie temu zgarnęli go z ulicy. Epizod psychotyczny, trafił do szpitala w północnym Londynie, jeszcze nie wiem do którego. Dopiero wczoraj podał lekarzom nazwisko kogoś z rodziny. Dziś rano pracownik opieki społecznej skontaktował się z Jimmym. Jimmy chce, żebym pojechał tam razem z nim. Mam namówić Billy'ego, żeby wypisał się na własne żądanie. Jimmy boi się, co Billy powie lekarzom, twierdzi, że brat za dużo gada. Poza tym Jimmy zgubił jakąś karteczkę z imieniem Billy'ego i strasznie się tym przejął. Pytał, czy jej nie widziałem. Mówi, że to była odręczna notatka, nie podał innych szczegółów, nie wiem, dlaczego to takie ważne. Myśli, że zwinęła ją Flick. Znowu źle się między nimi dzieje.

Gdy Robin czytała esemesa po raz drugi, przyszła odpowiedź od Strike'a.

> Barclay, dowiedz się, w jakich godzinach są w tym szpitalu odwiedziny, chcę się zobaczyć z Billym. Robin, spróbuj przeszukać torbę Flick.

> Dzięki – odpisała poirytowana – sama bym na to nie wpadła.

Wstała, spuściła wodę w toalecie i wróciła do sklepu, gdzie zgraja ubranych na czarno gotów przypominających pochylone kruki grzebała w asortymencie. Przemykając obok Flick, Robin zobaczyła, że torba dziewczyny leży na półce pod ladą. Gdy klienci wreszcie wyszli, zaopatrzywszy się w olejki eteryczne i czarne świece, Flick wyjęła telefon, żeby znowu spojrzeć na ekran, po czym pogrążyła się w jeszcze bardziej ponurym milczeniu.

Doświadczenie zgromadzone w wielu biurach, w których zatrudniano Robin do pracy tymczasowej, nauczyło ją, że nic tak nie zbliża do siebie kobiet, jak odkrycie, że nie są osamotnione w swoich cierpieniach związanych z mężczyznami. Sięgnęła po komórkę i zobaczyła następnego esemesa od Strike'a.

Właśnie dlatego zarabiam tyle kasy. Tęgi umysł.

Rozbawiona wbrew swojej woli, Robin powstrzymała się od uśmiechu i powiedziała:

– Chyba uważa mnie za pieprzoną idiotkę.

– Co?

– Mój chłopak. Tak zwany chłopak – poprawiła się Robin, ze złością wkładając telefon z powrotem do kieszeni. – Podobno jest z żoną w separacji, ale zgadnij, gdzie był ostatniej nocy. Kumpel go widział, jak dziś rano wychodził z jej domu. – Głośno wypuściła powietrze i ciężko oparła się o ladę.

– No tak, mój facet lubi stare babki i w ogóle – wyznała Flick, skubiąc paznokcie. Robin, która pamiętała, że Jimmy ożenił się z kobietą starszą od niego o trzynaście lat, miała nadzieję na dłuższe zwierzenia, lecz zanim zdążyła o coś spytać, do sklepu weszła kolejna grupka młodych kobiet, gawędząc w języku, którego Robin nie rozpoznała, choć kojarzył jej się z Europą Wschodnią. Zbiły się w gromadkę wokół kosza z rzekomymi amuletami.

Gdy jedna z nich podała pieniądze, Flick powiedziała coś w tym samym języku. Dziewczyny roześmiały się i pochwaliły jej akcent.

– Co powiedziałaś? – spytała Robin, gdy grupka wyszła. – To po rosyjsku?

– Po polsku. Nauczyłam się trochę od sprzątaczki rodziców. – Po chwili Flick dodała pospiesznie, jakby przed chwilą zdradziła jakąś tajemnicę: – Zawsze lepiej dogadywałam się ze sprzątaczkami niż z rodzicami. Przecież nie można nazywać siebie socjalistką i zatrudniać sprzątaczki, prawda? Nikt nie powinien mieszkać w domu większym niż potrzebuje, powinniśmy wprowadzić przymusowe przejęcia, redystrybucję ziemi i domów na rzecz ludzi, którym są niezbędne.

– Święta racja – podchwyciła z entuzjazmem Robin i Flick chyba poczuła, że Bobbi Cunliffe, córka zmarłego górnika i działacza związku zawodowego z Yorkshire, wybaczyła jej rodziców prawników.

– Chcesz herbaty? – zaproponowała.

– Pewnie.

– Słyszałaś o Partii Prawdziwych Socjalistów? – spytała Flick, gdy wróciła z dwoma kubkami.

– Nie – powiedziała Robin.

– To nie jest zwyczajna partia polityczna – zapewniła ją Flick. – Bardziej przypominamy porządną kampanię społecznościową, coś w rodzaju marszu w Jarrow, prawdziwego ducha ruchu robotniczego, a nie jakieś imperialistyczne torysowskie gówna w wersji light w rodzaju pieprzonej New Labour. Nie chcemy brać udziału w tej samej starej grze politycznej, chcemy zmienić zasady tej gry z korzyścią dla zwykłych robotni...

Zabrzmiała *Międzynarodówka* w wersji Billy'ego Bragga. Gdy Flick sięgnęła po torbę, Robin uświadomiła sobie, że to dzwonek jej

telefonu. Na widok imienia na ekranie Flick wyraźnie się spięła.

– Poradzisz sobie przez chwilę sama?

– Jasne – odparła Robin.

Flick wyślizgnęła się na zaplecze. Zanim zamknęły się za nią drzwi, Robin usłyszała, jak mówi:

– Co się dzieje? Widziałeś go?

Robin podbiegła do miejsca, w którym przed chwilą stała Flick, przykucnęła i wsunęła rękę pod skórzaną klapkę torby. Wnętrze przypominało dno kubła na śmieci. Palce Robin przebiegały po rozmaitych pogniecionych karteczkach, papierkach po cukierkach, po lepkiej grudce czegoś, co prawdopodobnie było starą gumą do żucia, po różnych długopisach bez zatyczek i tubkach podkładu, po puszce z wizerunkiem Che Guevary, opakowaniu tytoniu do skrętów, który wysypywał się na resztę zawartości torby, po bibułkach do dżointów, wrzuconych luzem tamponach i małym, zmiętym kłębku materiału, mogącym być – jak obawiała się Robin – parą brudnych majtek. Próby rozprostowania, przeczytania i ponownego zmięcia każdej karteczki pochłaniały dużo czasu. Większość z nich wyglądała na porzucone wstępne wersje artykułów. Nagle za drzwiami z tyłu rozległ się donośny głos Flick:

– S t r i k e? Po co, do cholery...

Robin zastygła i nadstawiła uszu.

– ...paranoję... Daj teraz spokój... Powiedz im, że jest...

– Przepraszam – odezwała się jakaś kobieta, zaglądając przez ladę. Robin podskoczyła jak oparzona. Zażywna siwowłosa klientka w koszulce ufarbowanej metodą tie-dye wskazała półkę na ścianie. – Czy mogłabym zobaczyć to dość wyjątkowe *athame*?

– Co takiego? – spytała zdezorientowana Robin.

– *Athame.* Sztylet rytualny – wyjaśniła starsza pani, pokazując go palcem.

W pomieszczeniu za drzwiami głos Flick na zmianę przybierał na sile i cichł.

– ...to, prawda?...miętasz, że... oddać mi pieniądze... z forsy od Chiswella...

– Hm... – Klientka ostrożnie zważyła nóż w dłoni. – Ma pani coś większego?

– T y g o m i a ł e ś, n i e j a! – powiedziała Flick podniesionym tonem.

– Yyy... – zastanawiała się Robin, wodząc wzrokiem po półce – to chyba wszystko, co możemy zaproponować. O, może ten jest trochę większy...

Wspięła się na palce, by sięgnąć po dłuższy nóż.

– P i e r d o l s i ę, J i m m y! – zawołała Flick.

– Proszę bardzo. – Robin podała klientce prawie dwudziestocentymetrowy sztylet.

Rozległ się stukot spadających na podłogę naszyjników i drzwi za Robin gwałtownie się otworzyły, uderzając ją w plecy.

– Przepraszam – bąknęła Flick, łapiąc torbę i wrzucając telefon do środka. Ciężko oddychała, wydawała się wściekła.

– No tak, widzi pani, podoba mi się potrójny księżyc na tym mniejszym – wyznała starszawa czarownica, zupełnie niezrażona dramatycznym wejściem Flick, wskazując ozdobę na rękojeści krótszego sztyletu. – Ale wolę dłuższe ostrze.

Flick znajdowała się w tym gorączkowym stanie między wściekłością a płaczem, który najbardziej sprzyja niedyskrecji i wyznaniom. Chcąc jak najszybciej pozbyć się męczącej klientki, Robin oznajmiła bez ogródek z silnym akcentem Bobbi z Yorkshire:

– To wszystko, co mamy.

Klientka jeszcze trochę marudziła, ważąc oba noże w dłoniach, i w końcu poszła sobie, nie kupiwszy żadnego.

– Wszystko w porządku? – spytała natychmiast Robin, zwracając się do Flick.

– Nie – odparła Flick. – Muszę zapalić.

Spojrzała na zegarek.

– Jeśli wróci, powiedz jej, że poszłam na lancz, dobra?

„Cholera" – pomyślała Robin, gdy Flick zniknęła, zabierając ze sobą torbę i obiecujący zły humor.

Przez ponad godzinę Robin prowadziła sklep sama i coraz bardziej dokuczał jej głód. Eddie ze stoiska z płytami parę razy spojrzał na nią przelotnie, lecz poza tym nie wykazywał zainteresowania nową sprzedawczynią. Podczas krótkiej chwili spokoju między obsługiwaniem kolejnych klientów Robin wślizgnęła się na zaplecze, żeby sprawdzić, czy nie przeoczyła tam czegoś do jedzenia. Nie przeoczyła.

Za dziesięć pierwsza Flick wróciła do sklepu z ciemnowłosym, łobuzersko przystojnym mężczyzną w obcisłej niebieskiej koszulce. Zmierzył Robin surowym, aroganckim spojrzeniem charakterystycznym dla pewnego rodzaju kobieciarzy, łączącym w sobie uznanie i pogardę, które miały sygnalizować, że być może mu się spodobała, lecz musiałaby się trochę bardziej postarać, żeby wzbudzić jego zainteresowanie. Robin widywała w biurach młode kobiety, na które ta strategia działa. Sama była na nią odporna.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było – odezwała się Flick do Robin. Wyglądało na to, że zły humor jeszcze nie całkiem ją opuścił. – Przypadkiem spotkałam Jimmy'ego. Jimmy, to jest Bobbi.

– Siemasz – przywitał się Jimmy, wyciągając rękę.

Robin uścisnęła mu dłoń.

– Śmiało – powiedziała Flick. – Idź coś zjeść.

– A, no tak – odrzekła Robin. – Dzięki.

Jimmy i Flick czekali w milczeniu, a Robin, udając, że szuka w torebce pieniędzy, przykucnęła za ladą i nastawiła komórkę na nagrywanie, po czym ostrożnie położyła ją w głębi ciemnej półki.

– No to do zobaczenia niedługo – rzuciła wesoło i ruszyła w stronę rynku.

48

Ale co sądzisz o tym wszystkim?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Bzycząca osa latała zygzakiem z sekretariatu agencji do biura Strike'a i z powrotem, mijając dwa okna, które Cormoran otworzył na oścież, by wpuścić przesycone ołowiem powietrze. Barclay odganiał owada za pomocą menu restauracji oferującej chińszczyznę na wynos, które przed chwilą dostarczono razem z olbrzymią ilością jedzenia. Robin ustawiła kartonowe pudełka na swoim biurku i zdjęła z nich pokrywki. Strike szukał obok czajnika trzeciego widelca.

Matthew był zaskakująco wyrozumiały, gdy czterdzieści pięć minut temu Robin zadzwoniła do niego z Charing Cross Road i oznajmiła, że musi się spotkać ze Strikiem i Barclayem, w związku z czym prawdopodobnie wróci późno.

– Dobrze – odrzekł. – Tom chce wyskoczyć na curry. Do zobaczenia w domu.

– A jak ci dzisiaj poszło? – spytała Robin, zanim zdążył się rozłączyć. – W tym biurze w...

Miała pustkę w głowie.

– W Barnet – podpowiedział. – U producenta gier. Było w porządku. A u ciebie?

– Nieźle – odparła.

Po ich licznych kłótniach na ten temat Matthew wykazywał tak konsekwentny brak zainteresowania szczegółami jej pracy dla Chiswellów, że raczej nie było sensu mu opowiadać, gdzie

przebywała tego dnia, kogo udawała ani co się wydarzyło. Gdy się pożegnali, Robin szła dalej, lawirując wśród turystów oraz piątkowych imprezowiczów, i czuła, że przypadkowy przechodzień uznałby tę rozmowę za wymianę zdań między dwojgiem ludzi połączonych jedynie wspólnym miejscem zamieszkania albo okolicznościami i niedarzących się szczególną sympatią.

– Chcesz piwo? – spytał Strike, podnosząc czteropak tennenta.

– Poproszę – powiedziała Robin.

Nadal miała na sobie krótką czarną sukienkę i glany, ale podkoloryzowane kredą włosy ściągnęła w kucyk, zmyła z twarzy grubą warstwę makijażu i wyjęła z oczu ciemne soczewki. Widząc twarz Strike'a w plamie wieczornego słońca, pomyślała, że Cormoran kiepsko wygląda. Jego zmarszczki wokół ust i na czole były głębsze niż zwykle i, jak przypuszczała, wyżłobił je tam dotkliwy, codzienny ból. Poza tym detektyw poruszał się niezgrabnie, odwracając się tylko górną częścią ciała, a gdy podchodził z piwem do jej biurka, starał się ukryć utykanie.

– Co dziś porabiałeś? – spytała go, kiedy Barclay nakładał sobie na talerz górę jedzenia.

– Śledziłem Gerainta Winna. Zaszył się w jakimś podłym pensjonacie pięć minut od domu żony. Znowu przegonił mnie aż do centralnego Londynu i z powrotem do Bermondsey.

– Ryzykujesz, chodząc za nim – zauważyła Robin. – Wie, jak wyglądasz.

– Moglibyśmy śledzić go we troje, a i tak by się nie połapał. Odkąd ostatnio go widziałem, schudł z pięć kilo.

– Co robił?

– Poszedł coś zjeść w barze obok Izby Gmin, który nazywa się Cellarium. Nie ma tam okien, w środku jest jak w krypcie.

– Brzmi wesoło – wtrącił Barclay, sadowiąc się na kanapie ze skaju i zabierając się do wieprzowych klopsików w sosie słodko-kwaśnym.

– Zachowuje się jak smutny gołąb wracający na swój teren – stwierdził Strike, ładując na talerz całą zawartość kartonika z makaronem po singapursku. – Snuje się między turystami w miejscach dawnej chwały. Potem poszedł na King's Cross.

Robin zastygła, przerywając wykładanie kiełków soi na talerz.

– Obciąganko w ciemnej klatce schodowej – wyjaśnił rzeczowo Strike.

– Fuj – mruknęła Robin, wracając do nakładania jedzenia.

– Widziałeś to? – zainteresował się Barclay.

– Miałem widok z tyłu. Wpakowałem się tam frontowymi drzwiami, przeprosiłem i szybko się wycofałem. Nie mógł mnie rozpoznać. Potem kupił sobie nowe skarpetki w Asdzie i wrócił do pensjonatu.

– Bywają gorsze dni – powiedział Barclay, który zdążył już zjeść połowę klopsików z talerza. Zauważając spojrzenie Robin, dodał z pełnymi ustami: – Żona każe mi wracać przed wpół do dziewiątej.

– Dobra, Robin – odezwał się Strike, siadając ostrożnie na krześle, które przyciągnął z biura. – Posłuchajmy, co mieli sobie do powiedzenia Jimmy i Flick, kiedy myśleli, że nikt nie słyszy.

Otworzył notes i wyjął długopis z doniczki na biurku, tak by lewą ręką móc dalej pakować makaron do ust. Barclay, wciąż energicznie przeżuwając, z zainteresowaniem pochylił się na kanapie. Robin położyła komórkę wyświetlaczem do góry i wcisnęła Play.

Przez chwilę słychać było tylko cichy odgłos kroków, gdy Robin wychodziła ze sklepu wikanki w poszukiwaniu lanczu.

– Myślałem, że pracujesz tu sama – zabrzmiał głos Jimmy'ego, słaby, ale wyraźny.

– To jej dzień próbny – odrzekła Flick. – Gdzie jest Sam?

– Mam się z nim spotkać później u ciebie. No dobra, gdzie twoja torba?

– Jimmy, przecież nie...

– Może wzięłaś to przez pomyłkę.

Znowu rozległy się kroki, potem głuche odgłosy, szurnięcie skóry o drewno, postukiwanie i cichy szelest.

– Co za pieprzony chlew.

– Nie zabrałam jej, ile razy mam ci powtarzać? Poza tym nie masz prawa grzebać mi w...

– To poważna sprawa. Miałem ją w portfelu. Gdzie się podziała?

– Może ją zgubiłeś?

– Albo ktoś ją zabrał.

– Po co miałabym ją zabierać?

– Jako polisę ubezpieczeniową.

– To cholernie poważne oskar...

– Ale jeśli tak to sobie wykombinowałaś, lepiej pamiętaj, że to ty ją zwinęłaś, więc będziesz obciążona tak samo jak ja. Nawet bardziej.

– Byłam tam tylko ze względu na ciebie, Jimmy!

– A, więc t a k zamierzasz to rozegrać? Nikt cię, kurwa, nie zmuszał. Pamiętaj, że sama to wszystko zaczęłaś.

– Wiem, i teraz tego żałuję!

– Za późno. Chcę odzyskać ten papier i tobie też powinno na tym zależeć. To dowód, że mieliśmy dostęp do jego domu.

– Chciałeś powiedzieć, że to dowód na związek między nim a Bill... aua!

– Oj, nie pierdol, przecież wcale cię nie zabolało! Krytykujesz kobiety, które naprawdę dostają w skórę, mówisz, że robią z siebie ofiary. Ja nie żartuję. Jeśli to wzięłaś...

– Nie groź mi...

– Bo co, pobiegniesz do mamusi i tatusia? Jak się poczują, kiedy się dowiedzą, co wyrabiała ich córeczka?

Gwałtowny oddech Flick przeszedł w pochlipywanie.

– Podprowadziłaś mu kasę i w ogóle – dorzucił Jimmy.

– Wtedy się z tego śmiałeś, mówiłeś, że zasłużył...

– Spróbuj takiej obrony w sądzie, zobaczysz, dokąd cię zaprowadzi. Jeśli zaczniesz się ratować, wpychając mnie pod autobus, nie będę miał żadnych pieprzonych oporów przed powiedzeniem psom, że siedziałaś w tym o d s a m e g o p o c z ą t k u. Więc jeśli ten świstek pojawi się gdzieś, gdzie wolałbym, żeby się nie pojawił...

– Ja go nie mam, nie wiem, gdzie on jest!

– ...ostrzegam cię, kurwa. Dawaj klucz do mieszkania.

– Co? Dlaczego?

– Bo za chwilę zamierzam pojechać do tej nory, którą nazywasz domem, i przeszukać ją razem z Samem.

– Beze mnie tam nie wejdziecie...

– Niby czemu? Czyżby następny indyjski kelner odsypiał tam kaca?

– Nigdy nie...

– Gówno mnie to obchodzi – uciął Jimmy. – Możesz się pieprzyć, z kim ci się podoba. Dawaj klucz. D a w a j.

Znowu rozległy się kroki, zabrzęczały klucze. Gdy za Jimmym zamknęły się drzwi, nastąpiła kaskada płaczu, który trwał, dopóki Robin nie wcisnęła pauzy.

– Płakała aż do powrotu właścicielki, która zjawiła się chwilę przede mną – wyjaśniła. – Przez resztę popołudnia prawie się nie odzywała. Próbowałam pójść z nią na stację metra, ale nie chciała. Miejmy nadzieję, że jutro będzie bardziej rozmowna.

– Więc przeszukałeś z nim jej mieszkanie? – spytał Strike Barclaya.

– No. Książki, szuflady, pod materacami. Nic.

– Czego dokładnie kazał ci szukać?

– „Kartki, na której ktoś napisał między innymi imię Billy'ego". Jimmy trzymał ją w portfelu i zniknęła. Twierdzi, że ma to coś wspólnego z dilem narkotykowym. Uważa mnie za przygłupa, który uwierzy we wszystko.

Strike odłożył długopis, przełknął makaron, który wypełniał mu usta, i powiedział:

– Nie wiem, jak wam, ale mnie od razu wpadło w ucho: „To dowód, że mieliśmy dostęp".

– Chyba wiem, o co chodzi – oznajmiła Robin, która do tej pory skutecznie ukrywała podekscytowanie tym, co miała za chwilę wyjawić. – Odkryłam dzisiaj, że Flick zna trochę polski, a poza tym, jak pamiętamy, ukradła pieniądze w poprzednim miejscu pracy. Co, jeśli...

– „Na dodatek tam sprzątam" – zacytował nagle Strike. – Tak powiedziała do Jimmy'ego w czasie demonstracji, kiedy ich śledziłem! „Na dodatek tam sprzątam, to jest obrzydliwe!" Jasna cholera... Myślisz, że to ona była...

– ...polską sprzątaczką Chiswella – dokończyła Robin, nie chcąc dopuścić do tego, by Strike pozbawił ją chwili triumfu. – Tak. Właśnie tak uważam.

Barclay dalej pakował do ust klopsiki wieprzowe, lecz jego oczy wyrażały stosowne zaskoczenie.

– Cholera, jeśli rzeczywiście tak było, to zmienia postać rzeczy – stwierdził Strike. – Miała dostęp do domu, mogła w nim powęszyć, wnieść coś do środka...

– Skąd wiedziała, że potrzebował sprzątaczki? – spytał Barclay.

– Widocznie zobaczyła ogłoszenie, które powiesił w kiosku.

– Mieszkają wiele kilometrów od siebie. Ona aż w Hackney.

– Może zauważył je Jimmy, kiedy kręcił się w okolicy Ebury Street i szantażem próbował wyłudzić od Chiswella pieniądze – podsunęła Robin, ale Strike zmarszczył brwi.

– Nie zgadza się kolejność zdarzeń. Jeśli jako sprzątaczka dowiedziała się o czymś, w związku z czym można go było szantażować, musiała zatrudnić się u Chiswella wcześniej, niż Jimmy zgłosił się do niego po pieniądze.

– W porządku, może to nie Jimmy dał jej cynk. Może dowiedzieli się, że Chiswell potrzebuje sprzątaczki, kiedy starali się znaleźć na niego jakiegoś haka.

– Żeby mogli go zdemaskować na stronie internetowej Partii Prawdziwych Socjalistów? – zakpił Barclay. – Dotarłoby to do jakichś czterech, pięciu osób.

Strike prychnął rozbawiony.

– Najważniejsze jest to – podsumował – że ta karteczka bardzo zmartwiła Jimmy'ego.

Barclay nadział na widelec ostatni klopsik i włożył go do ust.

– Flick ją zabrała – powiedział niewyraźnie. – Mówię wam.

– Skąd ta pewność? – spytała Robin.

– Chce coś na niego mieć – wyjaśnił Barclay, wstając, żeby zanieść pusty talerz do zlewu. – Jimmy nie pozbył się jej tylko dlatego, że Flick za dużo wie. Kilka dni temu powiedział mi, że gdyby mógł, chętnie by się od niej uwolnił. Spytałem, czemu po prostu jej nie rzuci. Nie odpowiedział.

– Może jeśli ta karteczka jest taka obciążająca, Flick zwyczajnie ją zniszczyła? – zasugerowała Robin.

– Nie wydaje mi się – odrzekł Strike. – Jest córką prawniczki, nie będzie niszczyła dowodów. Coś takiego jak ta karteczka może się jej przydać, kiedy sprawa wyjdzie na jaw i Flick postanowi współpracować z policją.

Barclay wrócił na kanapę i sięgnął po piwo.

– Jak się czuje Billy? – spytała go Robin, zabierając się w końcu do stygnącego posiłku.

– Biedaczysko – mruknął Barclay. – Skóra i kości. Złapała go drogówka, kiedy przeskoczył przez kołowrotek na stacji metra. Zaczął się szarpać z gliniarzami i skończył w psychiatryku. Lekarze mówią, że cierpi na manię prześladowczą. Początkowo myślał, że ściga go rząd i cały personel medyczny bierze udział w jakimś wielkim spisku, ale teraz znów bierze leki i zachowuje się trochę racjonalniej. Jimmy chciał od razu zabrać go do domu, ale lekarze mu nie pozwolili. Najbardziej wkurza go to – dodał Barclay, przerywając na chwilę, by dopić tennenta z puszki – że Billy dalej ma obsesję na punkcie Strike'a. Ciągle o niego pyta. Lekarze myślą, że to element jego urojeń, że uczepił się sławnego detektywa, który w jego wyobrażeniach jest jedyną osobą godną zaufania. Nie mogłem im powiedzieć, że naprawdę spotkał się ze Strikiem. Obok stał Jimmy i twierdził, że to stek bzdur. Lekarze nie chcą wpuszczać do Billy'ego nikogo oprócz członków rodziny, a Jimmy im podpadł, bo próbował wmówić Billy'emu, że czuje się już dobrze i powinien wracać do domu.

Barclay zgniótł w dłoni puszkę i spojrzał na zegarek.

– Muszę lecieć, Strike.

– W porządku – powiedział detektyw. – Dzięki, że wpadłeś. Pomyślałem, że dobrze będzie odbyć wspólną naradę.

– Nie ma sprawy.

Barclay machnął na pożegnanie do Robin i wyszedł. Strike pochylił się, żeby podnieść swoje piwo z podłogi, i skrzywił się z bólu.

– Nic ci nie jest? – zaniepokoiła się Robin, która dokładała sobie krakersów krewetkowych.

– Wszystko w porządku – odparł, prostując się. – Dzisiaj znowu dużo chodziłem, a wczorajsza bójka pewnie też mi nie pomogła.

– Bójka? Jaka bójka?

– Z Aamirem Mallikiem.

– Co?!

– Bez obaw. Nie zrobiłem mu krzywdy. Chyba.

– Nie mówiłeś, że przeszliście do rękoczynów!

– Chciałem ci to powiedzieć prosto w twarz, żebyś mogła na mnie spojrzeć jak na skończonego drania – burknął Strike. – Gdzie się podziało współczucie dla jednonogiego wspólnika?

– Trenowałeś boks! – zawołała Robin. – Poza tym on waży pewnie z pięćdziesiąt kilo, i to jak nasiąknie wodą!

– Próbował walnąć mnie lampką.

– Aamir?

Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ten zdystansowany, skrupulatny mężczyzna, którego poznała w Izbie Gmin, mógł użyć przeciw komuś siły fizycznej.

– No. Próbowałem z niego wycisnąć, co miał na myśli Chiswell, mówiąc o „mężczyznach przejawiających takie skłonności", i puściły mu nerwy. Jeśli poprawi ci to humor, nie czuję się z tym dobrze – dodał Strike. – Zaczekaj chwilę. Muszę się wysikać.

Niezdarnie podniósł się z krzesła i wyszedł do łazienki w korytarzu. Gdy zamknęły się za nim drzwi, zadźwięczała jego komórka ładująca się na szafie na dokumenty obok biurka. Robin

wstała, spojrzała na wyświetlacz i przez siateczkę sklejonych taśmą pęknięć zobaczyła imię „Lorelei". Zastanawiając się, czy odebrać, wahała się o chwilę za długo i połączenie zostało skierowane do poczty głosowej. Gdy już miała usiąść z powrotem, cichy dźwięk zasygnalizował nadejście esemesa.

> Jeśli potrzebujesz gorącego posiłku i dymania bez uczuć, są restauracje i burdele.

Robin usłyszała stuknięcie drzwi do łazienki i pospiesznie wróciła na miejsce. Strike wkuśtykał do agencji, usiadł na krześle i sięgnął po makaron.

– Przed chwilą dzwonił twój telefon – poinformowała go Robin. – Nie odebrałam...

– Rzuć mi go.

Rzuciła. Przeczytał esemesa, nie zmieniając wyrazu twarzy, ściszył dźwięk w telefonie i włożył komórkę do kieszeni.

– O czym mówiliśmy?

– Że nie czujesz się dobrze po bójce z...

– Do samej bójki nie mam żadnych zastrzeżeń – poprawił ją Strike. – Gdybym się nie bronił, miałbym teraz szwy na całej twarzy. – Nabrał widelcem makaron. – Niepotrzebnie napomknąłem o tym, że odsunęła się od niego cała rodzina z wyjątkiem siostry. Wszystko jest na Facebooku. Właśnie kiedy wspomniałem o rodzinie, o mało nie rozwalił mi głowy lampką stołową.

– Może jego bliscy są obrażeni, bo myślą, że związał się z Dellą? – podsunęła Robin, gdy Strike przeżuwał makaron.

Wzruszył ramionami i zrobił minę mającą oznaczać „niewykluczone", po czym przełknął i spytał:

– Przyszło ci do głowy, że w tej całej sprawie Aamir jest dosłownie jedyną osobą, która miała jakiś motyw? Chiswell mu

groził, prawdopodobnie demaskacją. „Mężczyźni przejawiający takie skłonności", „Lachesis odmierzała długość życia przypisaną każdemu człowiekowi. Wiedziała, kiedy jego czas się skończy".

– Gdzie się podziało: „Zapomnij o motywie, skup się na okazji"?

– Tak, tak – odrzekł znużony Strike. Odstawił talerz, z którego zjadł prawie cały makaron, wyjął papierosy i zapalniczkę, po czym wyprostował się na krześle. – Dobra, skupmy się na okazji. Kto miał dostęp do domu, do antydepresantów i helu? Kto znał zwyczaje Chiswella wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że minister wypije rano sok pomarańczowy? Kto miał klucz albo cieszył się zaufaniem Chiswella na tyle, żeby zostać wpuszczonym do domu o tak wczesnej porze?

– Członkowie jego rodziny.

– Racja – potwierdził Strike. Jego zapalniczka rozbłysła. – Ale wiemy, że Kinvara, Fizzy, Izzy ani Torquil nie mogli tego zrobić. Pozostaje nam Raphael i jego bajeczka o tym, że rano ojciec kazał mu jechać do Woolstone.

– Naprawdę myślisz, że mógł zabić ojca, spokojnie pojechać do Woolstone i zaczekać z Kinvarą, aż zjawi się policja?

– Zapomnij o psychologii i prawdopodobieństwie: teraz rozmawiamy o okazji – upomniał Robin, wypuszczając długą smugę dymu. – Nic, co dotąd usłyszałem, nie wyklucza obecności Raphaela na Ebury Street o szóstej rano. Wiem, co powiesz – uprzedził ją – ale nie byłby to pierwszy przypadek zmyślenia przez mordercę rozmowy telefonicznej. Mógł zadzwonić do siebie z komórki Chiswella, żeby wyglądało to tak, jakby ojciec rzeczywiście wysłał go do Woolstone.

– A to oznacza, że albo Chiswell nie miał telefonu zabezpieczonego PIN-em, albo Raphael znał kod.

– Słuszna uwaga. Trzeba to sprawdzić.

Strike strącił palcem zatyczkę z długopisu i zapisał coś w notesie. Robiąc to, zastanawiał się, czy Matthew, który kiedyś bez wiedzy Robin usunął historię połączeń z jej telefonu, zna jej aktualny PIN. Takie drobne oznaki zaufania często stanowiły bardzo ważny wskaźnik siły związku.

– Gdyby Raphael był mordercą, pojawiłaby się jeszcze inna kwestia logistyczna – zauważyła Robin. – Nie miał klucza, a jeśli ojciec sam wpuścił go do środka, to by znaczyło, że kiedy Raphael rozcierał w kuchni antydepresanty na proszek, Chiswell już nie spał i był przytomny.

– Następna słuszna uwaga – przyznał Strike. – Ale roztarcie tabletek w moździerzu trzeba wyjaśnić w odniesieniu do wszystkich podejrzanych. Weźmy Flick. Skoro udawała sprzątaczkę, prawdopodobnie znała dom przy Ebury Street lepiej niż większość członków rodziny. Miała mnóstwo okazji, żeby się w nim rozejrzeć, i na jakiś czas dostała klucz. Trudno go skopiować, ale powiedzmy, że się jej udało, więc nadal mogła wchodzić do domu, kiedy przyszła jej ochota. Zakrada się do domu wcześnie rano, żeby zaprawić sok pomarańczowy, ale rozcieranie tabletek w moździerzu to hałaśliwa robota...

– ...chyba że – wtrąciła Robin – przyniosła je już rozkruszone w jakimś woreczku albo czymś innym i tylko oprószyła nimi moździerz i tłuczek, żeby wyglądało tak, jakby rozgniótł je sam Chiswell.

– Niech będzie, ale nadal musimy wyjaśnić, dlaczego w znalezionym w koszu na śmieci pustym kartonie po soku nie było śladów amitryptyliny. Raphael na pewno mógł podać ojcu szklankę soku...

– ...tylko że były na niej wyłącznie odciski Chiswella...

– ...ale czy gdyby rano Chiswell zszedł na dół i zobaczył czekającą na niego szklankę z nalanym sokiem, nie wydałoby mu się to dziwne? Wypiłabyś coś, czego sama nie nalałaś i co pojawiło się w tajemniczy sposób w domu, w którym, jak ci się wydawało, nie było nikogo oprócz ciebie?

Nad nieustannym szumem i warkotem na Denmark Street unosiły się głosy grupki młodych kobiet śpiewających *Where Have You Been?* Rihanny: „*Where have you been? All my life, all my life...*".

– Może to rzeczywiście było samobójstwo – powiedziała Robin.

– Z takim podejściem nie popłacimy rachunków – zaoponował Strike, strzepując popiół z papierosa na talerz. – No, zastanówmy się, kto tamtego dnia mógł się dostać do domu przy Ebury Street. Raphael, Flick...

– ...i Jimmy – dodała Robin. – Wszystko, co dotyczy Flick, dotyczy też jego, dlatego że mogła mu przekazać informacje, które zebrała na temat zwyczajów Chiswella w tym domu, i udostępnić skopiowany klucz.

– Zgadza się. No więc wiemy, że te osoby były w stanie dostać się rano do domu – ciągnął Strike – ale to morderstwo wymagało czegoś więcej niż tylko przestąpienia progu. Sprawca musiał wiedzieć, jakie antydepresanty bierze Kinvara, a poza tym wniósł do domu butlę z helem i gumową rurę, co wskazuje na bliski kontakt z Chiswellem lub dostęp do domu umożliwiający wnoszenie do niego różnych rzeczy. Albo miał pewność, że hel i rura są już w środku.

– Z tego, co wiemy, Raphaela nie było ostatnio przy Ebury Street, a z Kinvarą łączyły go takie relacje, że raczej nie wiedział, jakie leki zażywa jego macocha. Chociaż być może wspomniał mu o tym ojciec – zaznaczyła Robin. – Rozpatrując to wyłącznie w kontekście okazji, należy chyba wykluczyć Winnów i Aamira... Jeśli więc

załóżymy, że Flick rzeczywiście była tą sprzątaczką, na czoło listy podejrzanych wysuwają się Jimmy i Flick.

Strike głęboko westchnął i zamknął oczy.

– Cholera – mruknął, przesuwając ręką po twarzy. – Ciągle wracam do motywu. – Otworzył oczy, zgasił papierosa na talerzu i natychmiast zapalił następnego. – Wcale się nie dziwię, że MI5 interesuje się tą sprawą, bo nie widać tu żadnej oczywistej korzyści. Oliver miał rację, szantażyści zwykle nie zabijają swoich ofiar, raczej odwrotnie. Nienawiść to intrygująca myśl, ale brutalne morderstwo spowodowane nienawiścią to raczej uderzenie młotkiem albo lampką w głowę, a nie skrupulatnie zaplanowane pozorowane samobójstwo. Jeśli to było morderstwo, bardziej przypominało przeprowadzoną z kliniczną precyzją egzekucję, zaplanowaną w każdym szczególe. Dlaczego? Co zabójca na tym zyskał? I dlaczego akurat wtedy? Dlaczego Chiswell zginął właśnie w tym momencie? Jimmy'emu i Flick powinno raczej zależeć na tym, żeby żył, dopóki nie udałoby im się zebrać dowodów, które zmusiłyby go do wypłacenia pieniędzy. Tak samo w przypadku Raphaela: został wykreślony z testamentu, ale w jego relacjach z ojcem dało się zauważyć pewne oznaki poprawy. Również powinno mu zależeć, żeby ojciec żył. Tylko że Chiswell w zawoalowany sposób zagroził Aamirowi ujawnieniem jakichś niesprecyzowanych informacji, prawdopodobnie dotyczących sfery seksualnej, o czym świadczy cytat z Katullusa, i niedawno wszedł w posiadanie informacji o podejrzanej działalności fundacji Winnów. Nie zapominajmy, że Geraint Winn tak naprawdę nie był szantażystą: nie żądał pieniędzy, tylko ustąpienia Chiswella ze stanowiska, i pragnął jego hańby. Czy nie wydaje ci się możliwe, że kiedy Winn albo Mallik zdali sobie sprawę, że pierwszy plan zawiódł, dokonali zemsty

innego rodzaju? – Strike mocno się zaciągnął i dodał: – Coś nam umyka, Robin. Coś, co łączy te wszystkie elementy.

– Może one wcale nie są ze sobą połączone – odparła Robin. – Jak to w życiu: jest grupa osób, a każda z nich ma własne problemy i tajemnice. Niektóre miały powody, żeby żywić urazę do Chiswella, ale to nie znaczy, że wszystko układa się w zgrabną całość. Część tych elementów na pewno nie wiąże się ze sprawą.

– Ale jest coś, o czym nie wiemy.

– Nie wiemy o wielu...

– Nie, chodzi mi o coś ważnego, coś... fundamentalnego. Czuję to. Co jakiś czas przemyka mi przed nosem. Dlaczego Chiswell powiedział, że kiedy już pokrzyżujemy plany Winna i Knighta, być może będzie miał dla nas następne zlecenie?

– Nie wiem – powiedziała Robin.

– „Wszyscy po kolei zaczynają popełniać błędy". Kogo miał na myśli?

– Gerainta Winna. Chwilę wcześniej powiedziałam Chiswellowi o brakującej kwocie na koncie fundacji.

– Mówiłaś, że rozmawiał wtedy przez telefon, próbując znaleźć klips do banknotów. Klips, który należał do Freddiego.

– Zgadza się – potwierdziła Robin.

– Do Freddiego – powtórzył Strike, drapiąc się po brodzie.

I na chwilę wrócił myślami do świetlicy w niemieckim szpitalu wojskowym, gdzie w kącie stał telewizor z wyłączonym dźwiękiem, a na stoliku leżały numery „Army Times". Siedział tam młody porucznik, świadek śmierci Freddiego Chiswella, przykuty do wózka inwalidzkiego. W jego kręgosłupie wciąż tkwiła kula wystrzelona przez talibów.

– ...konwój się zatrzymał i major Chiswell kazał mi wysiąść i zobaczyć, co się dzieje. Powiedziałem, że widzę jakiś ruch na grani.

Warknął, żebym robił, co mi, kurwa, każe. Zanim przeszedłem dwa kroki, zarobiłem kulkę w plecy. Ostatnie, co pamiętam, to jak wydzierał się na mnie z ciężarówki. Potem snajper odstrzelił mu czubek głowy.

Porucznik poprosił Strike'a o papierosa. Nie powinien palić, ale Strike dał mu połowę paczki, którą miał przy sobie.

– Chiswell to był kawał skurwysyna – podsumował młody mężczyzna na wózku.

Strike ujrzał oczyma duszy wysokiego, jasnowłosego Freddiego, który szedł dumnym krokiem po wiejskiej drodze, włócząc się z Jimmym Knightem i jego kumplami. Zobaczył Freddiego w stroju do szermierki, na planszy, obserwowanego przez niewyraźną postać Rhiannon Winn, która być może już wtedy myślała o samobójstwie.

Nielubiany przez podwładnych, otaczany czcią przez ojca – czy Freddie mógł być tym elementem, którego szukał Strike, spinającym wszystkie inne, łączącym dwóch szantażystów i historię o uduszonym dziecku? Gdy jednak poddawał tę myśl analizie, rozpływała się i różne wątki dochodzenia ponownie się od siebie oddalały, uparcie nie pozwalając połączyć się w całość.

– Chcę się dowiedzieć, co widać na zdjęciach z Ministerstwa Spraw Zagranicznych – oznajmił głośno Strike, skupiając wzrok na purpurowiejącym niebie za oknem agencji. – Chcę się dowiedzieć, kto wyciął Białego Konia z Uffington na drzwiach łazienki Aamira Mallika i skąd się wziął krzyż dokładnie tam, gdzie według Billy'ego pogrzebano zamordowane dziecko.

– Wiesz – odrzekła Robin, wstając i biorąc się do sprzątania resztek chińszczyzny na wynos – nikt nigdy nie twierdził, że nie jesteś ambitny.

– Zostaw to. Sam posprzątam. Musisz wracać do domu.

„Nie chcę wracać do domu”.

– To zajmie tylko chwilę. Co zaplanowałeś na jutro?

– Po południu jestem umówiony z Drummondem, tym przyjacielem Chiswella i handlarzem dziełami sztuki.

Opłukawszy talerze i sztućce, Robin zdjęła torebkę z kołka, po czym odwróciła się do Strike’a. Cormoran zwykle reagował opryskliwie na słowa wyrażające zatroskanie, lecz musiała to powiedzieć.

– Bez urazy, ale wyglądasz fatalnie. Może daj odpocząć nodze, zanim znowu gdzieś pójdziesz? Do zobaczenia niedługo.

Wyszła, zanim zdążył odpowiedzieć. Siedział zatopiony w myślach, aż w końcu poczuł, że musi wyruszyć w bolesną podróż z powrotem na górę, do swojego mieszkania na poddaszu. Podźwignął się z miejsca, pozamykał okna, wyłączył światło i przekręcił klucz w zamku.

Gdy postawił sztuczną stopę na pierwszym stopniu prowadzącym na kolejne piętro, znowu zadzwonił jego telefon. Nie musiał sprawdzać, wiedział, że to Lorelei. Nie zamierzała pozwolić mu odejść, nie podejmując wcześniej próby zranienia go równie mocno, jak on zranił ją. Powoli, starając się odciążać nogę z protezą najbardziej, jak to było możliwe, wspiął się po schodach i położył do łóżka.

49

Rosmerowie z Rosmersholmu – duszpasterze i oficerowie. Wysocy dygnitarze. Każdy był wzorem cnót – ród, który od kilkuset lat zajmował zawsze pierwsze miejsce w naszym okręgu.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Lorelei się nie poddała. Chciała się zobaczyć ze Strikiem, chciała wiedzieć, dlaczego poświęciła prawie rok życia wampirowi energetycznemu – bo tak to teraz postrzegała.

– Jesteś mi winny spotkanie – oświadczyła następnego dnia, gdy w porze lanczu wreszcie odebrał telefon. – Chcę się z tobą zobaczyć. Jesteś mi to winny.

– I co to da? – spytał. – Przeczytałem twojego mejla, jasno wyraziłaś swoje odczucia. Od początku ci mówiłem, czego chcę, a czego nie...

– Nie wciskaj mi tu tekstów w rodzaju „Nigdy nie udawałem, że zależy mi na czymś poważnym". Do kogo zadzwoniłeś, kiedy nie mogłeś chodzić? Byłeś całkiem zadowolony, traktując mnie jak żonę, kiedy...

– Więc uznajmy, że jestem draniem – powiedział, siedząc w swoim salonie z aneksem kuchennym i trzymając wyciągniętą nogę opartą na krześle. Miał na sobie tylko bokserki, lecz szykował się do przypięcia protezy i ubrania się na tyle elegancko, by niebawem wtopić się w otoczenie w galerii sztuki Henry'ego Drummonda. – Życzmy sobie wszystkiego dobrego i...

– Nie – przerwała mu – nie wyplączesz się z tego tak łatwo. Byłam szczęśliwa, dobrze nam się układało...

– Nigdy nie chciałem sprawić ci bólu, lubię cię...

– L u b i s z mnie – powtórzyła piskliwym głosem. – Spędziliśmy razem rok, a ty mnie l u b i s z...

– Czego ty właściwie chcesz? – spytał, tracąc wreszcie cierpliwość. – Żebym pokuśtykał przed pieprzony ołtarz, nie czując tego, co powinienem czuć, i wcale tego nie chcąc? Żałując, że się w to wpakowałem? Zmuszasz mnie, żebym mówił coś, czego nie chcę mówić. Nie zamierzałem nikogo skrzywdzić...

– Ale to zrobiłeś! S k r z y w d z i ł e ś mnie! A teraz chcesz odejść, jak gdyby nic się nie stało!

– A ty wolisz zrobić scenę w restauracji?

– Chcę – powiedziała z płaczem – przestać czuć się jak pierwsza lepsza. Chcę wspominać zakończenie tego związku i nie mieć wrażenia, że jestem tania i do jednorazowego użytku...

– Nigdy tak o tobie nie myślałem. Teraz też tak nie myślę. – Zamknął oczy, żałując, że podszedł do niej na tamtej imprezie u Wardle'a. – Prawda wygląda tak, że jesteś dla mnie...

– Tylko mi nie mów, że jestem dla ciebie za dobra. Zachowajmy odrobinę godności.

Rozłączyła się. Strike czuł przede wszystkim ulgę.

Jeszcze żadne dochodzenie nie kierowało Strike'a z taką regularnością w stronę tego samego małego skrawka Londynu. Kilka godzin później wysiadł z taksówki na lekko pochyły chodnik przy Saint James's Street, mając przed sobą pałac Świętego Jakuba, a po prawej Pratt's przy Park Place. Zapłaciwszy kierowcy, ruszył do galerii Drummonda znajdującej się między winiarnią a sklepem z kapeluszami po lewej stronie ulicy. Zdołał przyczepić protezę, lecz idąc, podpierał się składaną laską, którą kupiła mu Robin, gdy jego noga znów była zbyt obolała, by dźwigać ciężar ciała.

Nawet jeśli rozmowa z Lorelei oznaczała koniec związku, z którego chciał się wyplątać, jej telefon zostawił ślad. Strike w głębi serca wiedział, że w pewnym sensie rzeczywiście dopuścił się – może nie dosłownie, lecz z pewnością duchem – zarzucanych mu czynów. Wprawdzie uprzedził ją, że nie szuka zaangażowania ani stabilnego związku, lecz doskonale wiedział, że odebrała to raczej w kontekście „teraz" niż „w ogóle", i nie skorygował tego wrażenia – potrzebował czegoś, co odwróciłoby jego uwagę i obroniło go przed uczuciami, które nękały go po ślubie Robin.

Umiejętność odgradzania się od swoich emocji, na którą Charlotte zawsze narzekała i której Lorelei poświęciła dość długi akapit mejla rozkładającego jego osobowość na czynniki pierwsze, jeszcze nigdy go nie zawiodła. Dlatego przychodząc na spotkanie z Henrym Drummondem dwie minuty przed czasem, Strike z łatwością skupił się na pytaniach, które zamierzał zadać staremu przyjacielowi świętej pamięci Jaspera Chiswella.

Przystanąwszy obok pokrytej czarnym marmurem fasady galerii, przejrzał się w witrynie i poprawił krawat. Miał na sobie swój najlepszy włoski garnitur. Za nieskazitelnie czystą szybą, w której odbijała się jego sylwetka, stał umieszczony na sztalugach gustownie oświetlony obraz w zdobionej złotej ramie. Ukazywał dwa konie, według Strike'a przedstawione nierealistycznie, z żyrafimi szyjami i tępymi spojrzeniami, niosące na grzbietach osiemnastowiecznych dżokejów.

W galerii za ciężkimi drzwiami było chłodno i cicho, podłogę wyłożono wypolerowanym na wysoki połysk białym marmurem. Podpierając się laską, Strike chodził ostrożnie wśród powieszonych na białych ścianach i dyskretnie oświetlonych obrazów przedstawiających sceny ze świata sportu i dziką przyrodę, oczywiście w ciężkich pozłacanych ramach, aż z bocznych drzwi wyszła do niego zadbana młoda blondynka w obcisłej czarnej sukience.

– O, dzień dobry – przywitała się i nie pytając go o nazwisko, ruszyła w głąb galerii, a jej szpilki metalicznie stukały o płytki. – Henry! Przyszedł pan Strike!

Otworzyły się ukryte drzwi i pojawił się Drummond: osobliwie wyglądający mężczyzna, którego ascetyczne rysy twarzy, spiczasty nos i czarne brwi obrosły wałkami tłuszczu wokół brody i szyi, zupełnie jakby purytanina zamknięto w ciele jowialnego dziedzica.

Bokobrody, ciemnoszary garnitur i kamizelka nadawały mu ponadczasowy i nieodparcie arystokratyczny wygląd.

– Jak się pan miewa? – zwrócił się do Strike'a, podając mu ciepłą, suchą dłoń. – Zapraszam do biura.

– Henry, właśnie dzwoniła pani Ross – poinformowała blondynka, gdy Strike wchodził przez dyskretnie ukryte drzwi do małego, bardzo schludnego pomieszczenia, zastawionego mahoniowymi regałami pełnymi książek. – Chciałaby zobaczyć Munningsa, zanim zamkniemy. Mówiłam jej, że jest już zarezerwowany, ale mimo to prosiła...

– Daj mi znać, kiedy przyjdzie – odrzekł Drummond. – I czy moglibyśmy się napić herbaty, Lucindo? Chyba że woli pan kawę? – spytał, zwracając się do Strike'a.

– Chętnie napiję się herbaty, dziękuję.

– Proszę, niech pan siada. – Strike skorzystał z zaproszenia, wdzięczny za olbrzymie, solidne skórzane krzesło. Na zabytkowym biurku między nimi było pusto, jeśli pominąć tacę ze zdobionym papierem listowym, wieczne pióro oraz nożyk do otwierania listów wykonany z kości słoniowej i srebra. – A zatem – zaczął z powagą Henry Drummond – rodzina wynajęła pana, aby przyjrzał się pan tej przerażającej sprawie?

– Zgadza się. Nie ma pan nic przeciwko temu, że będę robił notatki?

– Ależ skąd.

Strike wyjął notes i długopis. Drummond kołysał się delikatnie na obrotowym krześle.

– Okropny szok – powiedział cicho. – Oczywiście od razu przyszła mi na myśl jakaś ingerencja z zagranicy. Minister, oczy całego świata zwrócone w stronę Londynu z powodu olimpiady i tak dalej...

– Nie pomyślał pan, że mógł popełnić samobójstwo? – spytał Strike.

Drummond ciężko westchnął.

– Znałem go przez czterdzieści pięć lat. Jego życie było niepozbawione wzlotów i upadków. Przetrwać to wszystko – rozwód z Patricią, śmierć Freddiego, dymisję, ten koszmarny wypadek samochodowy Raphaela – i skończyć ze sobą właśnie teraz, gdy pełnił funkcję ministra kultury, gdy już się zdawało, że wszystko wróciło do normy... Bo wie pan, Partia Konserwatywna to była jego krew – powiedział Drummond. – O tak. Broczył na niebiesko. Nie znosił czekania na bocznym torze, był szczęśliwy, mogąc wrócić, objąć stanowisko ministra... Dawniej mówiliśmy, że zostanie premierem, oczywiście w żartach, ale te marzenia się rozwiały. Jasper zawsze powtarzał, że „torysowski elektorat lubi drani i bufonów" oraz że sam nie jest ani jednym, ani drugim.

– Więc mówi pan, że przed śmiercią był ogólnie w dobrym humorze?

– Ach... No cóż, nie, tego nie mógłbym powiedzieć. Miał stresy, zmartwienia... ale żeby samobójstwo? Z całą pewnością nie.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Do naszego ostatniego spotkania twarzą w twarz doszło tutaj, w galerii – odrzekł Drummond. – Mogę panu podać dokładną datę: w piątek, dwudziestego drugiego czerwca.

Strike wiedział, że właśnie tego dnia on sam poznał Chiswella. Pamiętał, jak po ich lanczu w Pratt's minister odchodził w kierunku galerii Drummonda.

– I jakie zrobił wtedy na panu wrażenie?

– Był niezwykle zdenerwowany – powiedział Drummond – ale to nieuniknione, biorąc pod uwagę, czego się tutaj dowiedział. – Sięgnął po nożyk do otwierania listów i obrócił go delikatnie

w grubych palcach. – Jego syn Raphael właśnie został po raz drugi przyłapany na... hm... – Drummond przez chwilę wzdragał się przed dokończeniem zdania – ...*in flagranti* z młodą osobą, którą wówczas zatrudniałem. To się stało w łazience za moimi plecami. – Wskazał dyskretne czarne drzwi. – Przyłapałem ich tam już miesiąc wcześniej. Za pierwszym razem nie powiedziałem o tym Jasperowi, ponieważ uznałem, że i tak ma wystarczająco dużo na głowie.

– W jakim sensie?

Drummond przesunął palcami po zdobionej kości słoniowej i odchrząknął.

– Małżeństwo Jaspera nie jest... nie było... Po prostu miał z Kinvarą mnóstwo kłopotów. To trudna kobieta. W tamtym okresie wierciła Jasperowi dziurę w brzuchu, żeby zapłacił za pokrycie jednej z jej klaczy przez Totilasa.

Strike zrobił zdziwioną minę, więc Drummond go oświecił:

– To mistrz ogierów w ujeżdżeniu. Prawie dziesięć tysięcy za nasienie.

– Jezu – mruknął Strike.

– Otóż to – westchnął Drummond. – A jeśli Kinvara nie dostaje tego, czego chce... Trudno powiedzieć, czy to kwestia temperamentu, czy czegoś głębszego... faktycznego rozchwiania psychicznego... w każdym razie Jasper nie miał z nią lekko. Potem wydarzyła się ta koszmarna sprawa z Raphaelem... hm... ten wypadek... zginęła nieszczęsna młoda matka... prasa i tak dalej, i tak dalej, syn w więzieniu... Jako przyjaciel nie chciałem dokładać mu zmartwień. Za pierwszym razem, kiedy to się stało, powiedziałem Raphaelowi, że nie zawiadomię Jaspera, ale uprzedziłem, że to ostatnie ostrzeżenie i jeśli jeszcze raz mi podpadnie, wyleci stąd na zbity pysk, bez względu na to, czy jestem starym przyjacielem jego ojca, czy nie. Musiałem też myśleć o Francesce. To moja

chrześnica, ma osiemnaście lat i zakochała się w nim na zabój. Wolałem nie być zmuszony mówić o tym jej rodzicom. No więc gdy tu wszedłem i usłyszałem ich po raz drugi, naprawdę nie miałem innego wyjścia. Myślałem, że mogę spokojnie zostawić Raphaela samego na godzinę, Franceski nie było akurat w pracy, miała wolne, ale oczywiście zakradła się tu specjalnie, żeby się z nim zobaczyć. Gdy waliłem do drzwi, zjawił się Jasper. Nie było sposobu, żeby zataić przed nim, co się dzieje. Raphael próbował uniemożliwić mi wejście do łazienki, a Francesca uciekła przez okno. Nie potrafiła spojrzeć mi w twarz. Zadzwoniłem do jej rodziców, powiedziałem im o wszystkim. Więcej się nie pokazała. Raphael Chiswell – ciągnął Drummond ponurym tonem – to paskudny typ. Freddie, syn, który zginął... tak się składa, że on też był moim chrześniakiem... był wart milion razy więcej niż ten... Ale mniejsza z tym, mniejsza z tym – zreflektował się, bez końca obracając w palcach nożyk do otwierania listów. – Wiem, nie powinno się tak mówić.

Drzwi biura się otworzyły i weszła młoda blondynka w czarnej sukience, niosąc tacę z herbatą. Gdy postawiła przed nimi dwa srebrne dzbanki (jeden z gorącą wodą), filiżanki i spodki z porcelany kostnej oraz cukiernicę ze szczypczykami, Strike porównał to wszystko z herbatą, którą miał u siebie w agencji.

– Henry, właśnie przyjechała pani Ross.

– Powiedz jej, że będę zajęty jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut. Poproś, żeby zaczekała, jeśli może.

– Domyślam się – zaczął Strike, gdy Lucinda wyszła – że tego dnia mieli panowie niewiele czasu na rozmowę.

– Cóż, rzeczywiście – przyznał niepocieszony Drummond. – Jasper przyszedł zobaczyć Raphaela w pracy, przekonany, że świetnie mu idzie, a zjawił się w trakcie tej okropnej sceny... Oczywiście gdy

pojął, co się dzieje, był całkowicie po mojej stronie. W zasadzie to jemu udało się w końcu otworzyć drzwi. Potem jego twarz przybrała paskudny kolor. Widzi pan, miał problemy z sercem, skarżył się na nie od lat. Gwałtownie usiadł na sedesie. Bardzo się zaniepokoiłem, ale nie pozwolił mi zadzwonić do Kinvary... Raphael miał na tyle przyzwoitości, żeby się zawstydzić. Próbował pomóc ojcu. Jasper kazał mu się wynosić, poprosił, żebym zamknął drzwi i zostawił go tam samego...

Drummondowi zadrżał głos, mężczyzna urwał, by nalać sobie i Strike'owi herbaty. Wyraźnie cierpiał. Wrzucił do swojej filiżanki trzy kostki cukru. Łyżeczka zabrzęczała o porcelanę.

– Przepraszam. Pan rozumie, wtedy widziałem Jaspera po raz ostatni. Wyszedł z łazienki, jego twarz nadal miała ten upiorny kolor, uścisnął mi rękę, przeprosił, powiedział, że sprawił zawód swojemu najstarszemu przyjacielowi... że sprawił zawód mnie. – Drummond odkaszlnął, przełknął i ciągnął z wyraźnym wysiłkiem: – To nie była wina Jaspera. Raphael przejął moralność od matki, a ją należałoby nazwać luksusową... Ale mniejsza z tym, mniejsza z tym. Tak naprawdę kłopoty Jaspera zaczęły się właśnie od poznania Ornelli. Gdyby został z Patricią... W każdym razie nigdy więcej go nie zobaczyłem. Prawdę mówiąc, z pewnym trudem zmusiłem się do uściśnięcia dłoni Raphaelowi na pogrzebie.

Drummond upił łyk herbaty, a Strike spróbował swojej. Była stanowczo za słaba.

– To wszystko brzmi bardzo nieprzyjemnie – skonstatował detektyw.

– Można to tak ująć – westchnął Drummond.

– Rozumie pan, że muszę spytać o pewne delikatne sprawy.

– Oczywiście – odparł Drummond.

– Rozmawiał pan z Izzy. Wspomniała panu, że Jaspera Chiswella szantażowano?

– Tak – potwierdził Drummond, zerkając w stronę drzwi, by sprawdzić, czy są zamknięte. – Sam nie pisnął mi o tym słowem. Izzy mówiła, że to jeden z Knightów... Pamiętam tę rodzinę, mieszkała na terenie ich posiadłości. Ojciec pracował jako złota rączka, prawda? A co do Winnów, no cóż... nie wydaje mi się, żeby darzyli Jaspera sympatią. Dziwna para.

– Ich córka Rhiannon trenowała szermierkę – powiedział Strike. – Należała do reprezentacji Wielkiej Brytanii juniorów razem z Freddiem Chiswellem...

– A tak, Freddie był piekielnie dobry.

– Rhiannon uczestniczyła w imprezie z okazji osiemnastych urodzin Freddiego, ale dzieliło ich parę lat różnicy. Miała zaledwie szesnaście, kiedy się zabiła.

– Jakie to okropne.

– Nic pan nie wie na ten temat?

– Skąd miałbym wiedzieć? – zdziwił się Drummond, a między jego ciemnymi oczami pojawiła się lekka zmarszczka.

– Nie był pan na tej osiemnastce?

– W zasadzie to byłem. Wie pan, jako ojciec chrzestny.

– Nie pamięta pan Rhiannon?

– Mój Boże, nie może pan oczekiwać, że będę pamiętał nazwiska wszystkich gości! Tam było ponad stu młodych ludzi. Jasper kazał rozstawić wielki namiot w ogrodzie, a Patricia zorganizowała szukanie skarbów.

– Naprawdę? – spytał Strike.

Jego przyjęcie z okazji osiemnastych urodzin, które odbyło się w zapuszczonym pubie w Shoreditch, nie obejmowało szukania skarbów.

– Tylko na terenie posiadłości, wie pan. Freddie zawsze lubił rywalizację. Przy każdej wskazówce czekała lampka szampana, było dość wesoło, impreza szybciej się rozkręciła. Ja pilnowałem wskazówki numer trzy, obok miejsca, które dzieci nazywały leśną dolinką.

– Ma pan na myśli to zagłębienie obok domu Knightów? – zapytał Strike jak gdyby nigdy nic. – Kiedy je widziałem, całkiem zarosło pokrzywami.

– Nie umieściliśmy wskazówki w dolince, tylko pod wycieraczką przy domu Jacka o'Kenta. Nie można było powierzyć szampana jego opiece, bo miał problem z piciem. Siedziałem na skraju dolinki na krześle ogrodowym i patrzyłem, jak młodzież szuka wskazówki. Każdy, kto ją znalazł, dostawał kieliszek szampana i biegł dalej.

– Dla nieletnich przewidziano napoje bezalkoholowe? – zainteresował się Strike.

– Nikogo nie zmuszano do picia szampana – odrzekł Drummond, lekko poirytowany sztywniactwem detektywa. – To była osiemnastka, impreza.

– Więc Jasper Chiswell nigdy nie wspominał panu o niczym, czego wolałby nie przeczytać o sobie w gazetach? – podjął Strike, wracając do głównego tematu.

– Zdecydowanie nie.

– Prosząc mnie, żebym spróbował znaleźć coś, czym będzie mógł zniechęcić szantażystów, powiedział, że to, co zrobił, wydarzyło się sześć lat temu. Dał mi do zrozumienia, że wtedy to nie było nielegalne, ale teraz jest.

– Nie mam pojęcia, co to mogło być. Wie pan, Jasper bardzo przestrzegał prawa. Cała jego rodzina to filary społeczności, ludzie wierzący, o olbrzymich zasługach dla okolicy...

Nastąpiła litania Chiswellowskiej wspaniałomyślności, która trwała przez dwie minuty, lecz w najmniejszym stopniu nie zmyliła Strike'a. Detektyw był pewny, że Drummond zaciemnia obraz sytuacji, ponieważ doskonale wie, co zrobił Chiswell. Właściciel galerii uderzył we wręcz liryczny ton, wychwalając wrodzone dobro Jaspera i całej jego rodziny, oczywiście z wyjątkiem czarnej owcy, czyli Raphaela.

– ...i nigdy nie żałował pieniędzy – podsumował Drummond. – Minibus dla lokalnego zastępu zuchów, remont dachu kościoła, nawet kiedy rodzinne finanse... Ale mniejsza z tym, mniejsza z tym – powtórzył z lekkim zakłopotaniem.

– Wykroczenie, z którego powodu go szantażowano... – zaczął jeszcze raz Strike, lecz Drummond wszedł mu w słowo.

– To nie było żadne wykroczenie. – Zreflektował się. – Sam pan to powiedział. Jasper oznajmił panu, że nie zrobił niczego niezgodnego z prawem. Nie złamał żadnych przepisów.

Uznając, że lepiej nie naciskać na Drummonda w sprawie szantażu, Strike przewrócił kartkę w notesie i odniósł wrażenie, że jego rozmówca poczuł ulgę.

– Dzwonił pan do Chiswella rano w dniu jego śmierci – powiedział detektyw.

– To prawda.

– Czy byłaby to wasza pierwsza rozmowa, odkąd zwolnił pan Raphaela?

– Właściwie to nie. Rozmawialiśmy jeszcze dwa tygodnie wcześniej. Moja żona chciała zaprosić Jaspera i Kinvarę na kolację. Zadzwoniłem do niego do ministerstwa, żeby, no wie pan, przełamać lody po tej historii z Raphaelem. To nie była długa rozmowa, ale odbyła się w przyjaznej atmosferze. Powiedział, że nie dadzą rady do nas przyjść tego dnia. Poza tym wspomniał... No cóż,

szczerze mówiąc, wyznał, że nie jest pewny, jak długo będzie jeszcze z Kinvarą, ich małżeństwo przechodziło kryzys. Wydawał się zmęczony, wyczerpany... nieszczęśliwy.

– I nie kontaktował się pan z nim aż do trzynastego?

– Trzynastego też nie rozmawialiśmy – przypomniał mu Drummond. – Owszem, dzwoniłem do Jaspera, ale nie odebrał. Izzy mówiła... – Zawahał się. – Mówiła mi, że wtedy prawdopodobnie już nie żył.

– Wczesna pora na telefonowanie – zauważył Strike.

– Bo... miałem informacje, które moim zdaniem powinien był poznać.

– Jakiego rodzaju?

– To sprawa osobista.

Strike czekał. Drummond sączył herbatę.

– Miało to związek z finansami rodziny, które, jak pan zapewne wie, w chwili śmierci Jaspera były w bardzo złym stanie.

– Tak, wiem.

– Sprzedał trochę ziemi i ponownie obciążył hipotekę domu w Londynie, pozbywał się za moim pośrednictwem dobrych obrazów. Pod koniec ledwie wiązał koniec z końcem, próbując mi sprzedać jakieś stare pozostałości po Tinky. W zasadzie to było... trochę krępujące.

– W jakim sensie?

– Handluję dziełami starych mistrzów – wyjaśnił Drummond. – Nie kupuję obrazów nieznanych australijskich artystów ludowych malujących dropiate konie. Wyświadczyłem Jasperowi grzeczność, dlatego że był moim starym przyjacielem, i dałem część tych dzieł do wyceny swojemu stałemu rzeczoznawcy w Christie's. Jedyny obraz mający wymierną wartość to ten przedstawiający karosrokatą klacz i źrebię...

– Chyba go widziałem – wtrącił Strike.

– ...ale on też był wart grosze – dokończył Drummond. – Grosze.

– Ile tak mniej więcej?

– Pięć, najwyżej osiem tysięcy – odrzekł lekceważąco Drummond.

– Dla niektórych ludzi to całkiem sporo groszy – zauważył Strike.

– Drogi panie – odparł Henry Drummond. – Nie starczyłoby tego na naprawę nawet jednej dziesiątej dachu domu Chiswellów.

– A mimo to zastanawiał się nad sprzedażą tego obrazu? – spytał Strike.

– Jego i sześciu innych – uściślił Drummond.

– Odniosłem wrażenie, że pani Chiswell jest szczególnie przywiązana do tego dzieła.

– Wątpię, żeby pod koniec przejmował się pragnieniami żony... Och – westchnął Drummond – to wszystko jest bardzo trudne. Naprawdę nie chciałbym informować rodziny o czymś, co z pewnością wywołałoby ból i złość. Oni już i tak cierpią. – Postukał paznokciem w zęby. – Zapewniam pana – dodał – że sprawa, w związku z którą dzwoniłem do Jaspera, nie łączy się w żaden sposób z jego śmiercią. – Drummond wyglądał jednak, jakby miał jakiś dylemat. – Musi pan porozmawiać z Raphaelem – dorzucił, dobierając słowa z wyraźną ostrożnością – ponieważ myślę... że być może... Nie lubię Raphaela – podkreślił, jakby nie było to jeszcze absolutnie jasne – ale uważam, że rano w dniu śmierci ojca zrobił coś godnego pochwały. W każdym razie nie wiem, jaką mógłby mieć z tego korzyść, i chyba milczy na ten temat z tego samego powodu co ja. Jako członek rodziny ma większe prawo ode mnie, żeby zadecydować, co z tym zrobić. Niech pan porozmawia z Raphaelem.

Strike miał wrażenie, że Henry Drummond wolałby, żeby to Raphael naraził się rodzinie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Blondwłosa Lucinda wsunęła głowę do środka.

– Henry, pani Ross nie czuje się najlepiej. Będzie już szła, ale chciałaby się pożegnać.

– Dobrze. – Drummond wstał. – Panie Strike, obawiam się, że na nic więcej się panu nie przydam.

– Jestem bardzo wdzięczny, że zechciał pan się ze mną spotkać – odrzekł Strike, także podnosząc się, choć z pewnym trudem, i znów sięgając po laskę. – Czy mogę spytać o jeszcze jedną rzecz?

– Oczywiście – zgodził się Drummond, nieruchomiejąc na chwilę.

– Domyśla się pan może, co znaczą słowa „robił na nich konia"?

Drummond wydawał się szczerze zdumiony.

– Kto robił, j a k i e g o konia... na czym?

– Nie wie pan, co to może znaczyć?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Bardzo mi przykro, ale, jak pan słyszał, czeka na mnie klientka.

Strike'owi nie pozostało nic innego, jak tylko pójść za Drummondem z powrotem do galerii.

Na środku pustej sali stała Lucinda zajęta ciemnowłosą ciężarną kobietą siedzącą na wysokim krześle i popijającą wodę.

Rozpoznawszy Charlotte, Strike poczuł, że to drugie spotkanie nie może być przypadkowe.

50

[Napiętnowałaś mnie] *raz na zawsze, na całe życie.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

– Corm – odezwała się słabym głosem, wpatrując się w niego znad krawędzi szklanki. Wyglądała blado, lecz Strike, który wiedział, że byłaby gotowa zrobić wszystko, aby stworzyć sytuację, z której mogłaby wyciągnąć jakąś korzyść – na przykład odmówić sobie jedzenia i zastosować biały podkład – tylko skinął jej głową.

– Och, państwo się znają? – spytał zaskoczony Drummond.

– Muszę już iść – wymamrotała Charlotte, wstając. Zatroskana Lucinda cały czas tkwiła obok niej. – Jestem już spóźniona, umówiłam się z siostrą.

– Na pewno dobrze się pani czuje? – spytała Lucinda.

Charlotte uśmiechnęła się do Strike'a drżącymi ustami.

– Mógłbyś mnie odprowadzić? To tylko jedna przecznica.

Drummond i Lucinda spojrzeli na detektywa, wyraźnie uszczęśliwieni, że mogą zrzucić na jego barki odpowiedzialność za tę zamożną, ustosunkowaną kobietę.

– Nie jestem pewny, czy nadaję się do tego zadania – odrzekł Strike, wskazując laskę.

Zauważył zdziwienie Drummonda i Lucindy.

– Jeśli poczuję, że zaczynam rodzić, na pewno cię uprzedzę – obiecała Charlotte. – Proszę...

Mógł odmówić. Mógł spytać: „Dlaczego nie poprosisz siostry, żeby tu po ciebie przyszła?". Jak jednak dobrze wiedział, odmawiając jej, wyszedłby na chama w obecności ludzi, z którymi rozmawiał być może nie po raz ostatni.

– Dobrze – zgodził się, nadając głosowi odpowiednio szorstki ton.

– Bardzo ci dziękuję, Lucindo. – Charlotte zsunęła się z krzesła.

Miała na sobie jedwabny beżowy trencz, czarną koszulkę, ciążowe spodnie i tenisówki. Wszystko, co nosiła, nawet te zwyczajne rzeczy, było doskonałej jakości. Zawsze wolała

monochromatyczne barwy oraz proste lub klasyczne kroje, które podkreślały jej wyjątkową urodę.

Strike otworzył przed nią drzwi i jej bladość przypomniała mu białą, lśniącą od potu skórę Robin pod koniec tamtej podróży, podczas której jego wspólniczka wykonała zręczny manewr samochodem z wypożyczalni, ratując ich przed prawdopodobnie tragicznym w skutkach wypadkiem na czarnym lodzie.

– Dziękuję – powiedział do Henry'ego Drummonda.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł oficjalnie handlarz dziełami sztuki.

– Restauracja jest niedaleko. – Gdy drzwi galerii zamknęły się za nimi, Charlotte wskazała wznoszącą się ulicę.

Szli ramię w ramię, a przechodnie być może zakładali, że to on jest odpowiedzialny za jej nabrzmiały brzuch. Czuł zapach czegoś, co, jak wiedział, było perfumami Shalimar na jej skórze. Używała ich od dziewiętnastego roku życia i czasami kupował je dla niej w prezencie. Znowu mu się przypomniało, jak wiele lat temu szedł tą ulicą w stronę awantury z jej ojcem we włoskiej restauracji.

– Myślisz, że to zaaranżowałam.

Milczał. Nie chciał zostać wplątany w sprzeczkę ani we wspomnienia. Zanim wreszcie się odezwał, minęli dwie przecznice.

– Gdzie jest ta restauracja?

– Przy Jermyn Street. Franco's.

W chwili, gdy wypowiedziała tę nazwę, przypomniał sobie, że to ten sam lokal, w którym przed laty spotkali się z jej ojcem. Kłótnia, jaka się wtedy wywiązała, była krótka, lecz niezwykle brutalna, gdyż każdy członek arystokratycznej rodziny Charlotte miał w sobie żyłkę niepohamowanej złośliwości. Potem jednak wrócili ze Strikiem do jej mieszkania i kochali się z wigorem i łapczywością,

które wolałby teraz wymazać z umysłu. Pamiętał, jak płakała, nawet w chwili szczytowania, a jej gorące łzy spadały mu na twarz, gdy krzyczała z rozkoszy.

– Aua. Stop – powiedziała ostro.

Odwrócił się. Trzymając się obiema rękami za brzuch, oparła się o wejście do jakiegoś budynku i zmarszczyła brwi.

– Usiądź – polecił jej, mając do siebie żal nawet o to, że cokolwiek proponuje, żeby jej pomóc. – Tu, na tym stopniu.

– Nie – zaprotestowała, głęboko oddychając. – Zaprowadź mnie tylko do Franco's i będziesz mógł sobie pójść.

Ruszyli dalej.

Maître d'hôtel bardzo się zaniepokoił. Od razu było widać, że Charlotte nie czuje się dobrze.

– Jest już moja siostra? – spytała.

– Jeszcze nie – odparł zalękniony maître d'hôtel i podobnie jak Henry Drummond i Lucinda, spojrzał na Strike'a z nadzieją, że ten przejmie część odpowiedzialności za alarmujący i niepożądany problem.

Zaledwie minutę później Strike siedział na miejscu Amelii przy stoliku dla dwóch osób obok okna, kelner niósł butelkę wody, Charlotte nadal głęboko oddychała, a maître d'hôtel stawiał przed nimi pieczywo, mówiąc niepewnym głosem, że być może Charlotte poczułaby się lepiej, gdyby coś zjadła (po chwili dodał jednak po cichu, zwracając się do detektywa, że jeśli Strike uzna to za stosowne, w każdym momencie może wezwać pogotowie).

W końcu zostawiono ich samych. Strike nadal milczał. Zamierzał wyjść, gdy tylko na twarz Charlotte wrócą kolory albo gdy zjawi się jej siostra. Wokół nich siedzieli dziani klienci, delektując się winem i makaronem pośród gustownego wystroju z drewna, skóry i szkła,

z czarno-białymi zdjęciami na tle biało-czerwonej tapety w geometryczne wzory.

– Myślisz, że to zaaranżowałam – mruknęła jeszcze raz Charlotte.

Nie odpowiedział. Wypatrywał jej siostry, której nie widział od lat i która bez wątpienia byłaby przerażona, zastając ich razem. Być może znowu rozgorzałaby kłótnia prowadzona ściszonym głosem, ukrywana przed innymi klientami restauracji, podczas której rzucano by nowe oszczerstwa dotyczące jego osobowości, pochodzenia i pobudek, jakimi się kierował, odprowadzając swoją bogatą, ciężarną, zamężną byłą dziewczynę na umówione spotkanie.

Charlotte sięgnęła po paluszek chlebowy i zaczęła jeść, obserwując Strike'a.

– Corm, naprawdę nie wiedziałam, że tam dzisiaj będziesz.

Nie wierzył jej ani przez sekundę. Do ich spotkania w Lancaster House doszło przez przypadek: wtedy widział, jaki przeżyła wstrząs, gdy napotkała jego spojrzenie, lecz tym razem trudno było to uznać za zbieg okoliczności. Gdyby nie był przekonany, że to niemożliwe, przypuszczałby nawet, że Charlotte wie o jego porannym rozstaniu z Lorelei.

– Nie wierzysz mi.

– To bez znaczenia – odparł, nadal wodząc wzrokiem po ulicy i wypatrując Amelii.

– Naprawdę byłam w szoku, kiedy Lucinda powiedziała, że tam jesteś.

„Gówno prawda. Nie powiedziałaby ci, kto jest w biurze. Dowiedziałaś się tego wcześniej".

– Ostatnio często mi się to zdarza – ciągnęła. – Nazywają to skurczami Braxtona Hicksa. Nienawidzę być w ciąży.

Wiedział, że nie zdołał ukryć myśli, która natychmiast przyszła mu do głowy, ponieważ Charlotte pochyliła się w jego stronę i powiedziała ściszonym głosem:

– Wiem, co sobie myślisz. Ale nie pozbyłam się naszego. Nie zrobiłam tego.

– Charlotte, nie zaczynaj. – Poczuł, że twardy grunt pod jego nogami zaczyna pękać i się osuwać.

– Straciłam...

– Nie zamierzam do tego wracać – uciął z ostrzegawczą nutą w głosie. – Nie będziemy analizowali wydarzeń sprzed dwóch lat. Nic mnie to nie obchodzi.

– Zrobiłam test w urodziny mojej ma...

– P o w i e d z i a ł e m, ż e m n i e t o n i e o b c h o d z i.

Chciał stamtąd wyjść, lecz Charlotte zrobiła się jeszcze bledsza, zadrżały jej usta i wpatrywała się w niego tymi przerażająco znajomymi zielonymi oczami w rdzawe plamki, wypełniającymi się teraz łzami. Nabrzmiały brzuch nadal wyglądał, jakby nie należał do niej. Strike wcale by się nie zdziwił, gdyby podniosła koszulkę i pokazała mu poduszkę.

– Żałuję, że nie są twoje.

– Charlotte, do kurwy nędzy...

– Gdyby były twoje, czułabym się szczęśliwa.

– Daruj sobie. Nie chciałaś mieć dzieci tak samo jak ja.

Łzy spłynęły na jej policzki. Otarła je palcami, które drżały gwałtowniej niż kiedykolwiek dotąd. Jakiś mężczyzna przy sąsiednim stoliku próbował udawać, że im się nie przygląda. Charlotte, zawsze wyczulona na wrażenie, jakie robiła na otoczeniu, spojrzała na wścibskiego człowieka z taką miną, że pospiesznie odwrócił się z powrotem w stronę swojej porcji tortellini, a ona oderwała kawałek pieczywa i włożywszy go do ust, żuła i płakała.

W końcu upiła duży łyk wody, żeby łatwiej przełknąć, po czym wskazała swój brzuch i szepnęła:

– Żal mi ich. Tylko to do nich czuję: żal. Żałuję ich, bo ja jestem ich matką, a Jago jest ich ojcem. Co za start. Na początku próbowałam wymyślić jakiś sposób, żeby umrzeć, nie zabijając ich jednocześnie.

– Przestań tak się ze sobą cackać, do cholery – odparł szorstko Strike. – Przecież będą cię potrzebowały, nie?

– Nie chcę być potrzebna, nigdy nie chciałam. Chcę być wolna.

– Żeby móc się zabić?

– Tak. Albo żebyś znowu mnie pokochał.

Pochylił się w jej stronę.

– Masz męża. Nosisz jego dzieci. Z nami koniec, to już przeszłość.

Ona także się pochyliła, a jej zapłakana twarz była najpiękniejszą twarzą, jaką kiedykolwiek widział. Czuł zapach perfum Shalimar.

– Zawsze będę cię kochała bardziej niż kogokolwiek na tym świecie – oznajmiła, śnieżnobiała i olśniewająca. – Wiesz, że to prawda. Kochałam cię bardziej niż kogokolwiek z rodziny, będę cię kochała bardziej niż swoje dzieci, będę cię kochała, leżąc na łożu śmierci. Myślę o tobie, kiedy Jago...

– Dokończ, a stąd wyjdę.

Znowu oparła się w krześle i wpatrywała się w Strike'a, jakby był nadjeżdżającym pociągiem, a ona leżała przywiązana do torów.

– Wiesz, że to prawda – powiedziała zachrypniętym głosem. – Wiesz o tym.

– Charlotte...

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć – przerwała. – Że jestem kłamczuchą. Owszem, jestem. Jestem kłamczuchą, ale nie w ważnych sprawach. W ważnych sprawach nigdy nie kłamię, Bluey.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Nie kochałeś mnie wystarczająco mocno...

– Kurwa, nie waż się obarczać mnie winą – rzucił wbrew sobie. Nie znał nikogo innego, kto choć w niewielkim stopniu działałby na niego w ten sposób. – Rozstaliśmy się... wyłącznie przez ciebie.

– Nie uznawałeś kompromisów...

– O, uznawałem. Zamieszkałem z tobą, tak jak chciałaś...

– Nie przyjąłeś pracy, którą oferował ci tatuś...

– Miałem pracę. Miałem agencję.

– Myliłam się co do niej, teraz to wiem. Dokonałeś tylu niesamowitych rzeczy... Czytam o tobie wszystko, cały czas. Jago znalazł to w historii mojej wyszukiwarki.

– Powinnaś była zacierać ślady, prawda? W stosunku do mnie zachowywałaś się o wiele ostrożniej, kiedy pieprzyłaś się z nim na boku.

– Nie sypiałam z Jago, kiedy byłam z tobą...

– Zaręczyłaś się z nim dwa tygodnie po naszym rozstaniu.

– To się stało tak szybko, bo ja tak chciałam – oznajmiła ze złością. – Zarzuciłeś mi, że kłamię w sprawie dziecka, i poczułam się zraniona, wściekła. Bylibyśmy teraz małżeństwem, gdybyś nie...

– Karty dań – odezwał się kelner, wyrastając nagle obok ich stolika i podając im menu. Strike zbył go machnięciem ręki.

– Ja zaraz wychodzę.

– Weź, zostanie dla Amelii – poleciła mu Charlotte, więc wyjął menu z ręki kelnera i niedbale rzucił je przed siebie na stolik.

– Mamy dziś dwie specjalności – podjął kelner.

– Wyglądamy, jakbyśmy chcieli słuchać o specjalnościach? – warknął Strike. Kelner stał jeszcze przez chwilę, zastygły w zdumieniu, po czym wycofał się między zajętymi stolikami. Nawet z tyłu wyglądał na urażonego.

– Te wszystkie romantyczne pierdoły – powiedział Strike, pochylając się w stronę Charlotte. – Chciałaś czegoś, czego nie mogłem ci dać. Zawsze nienawidziłaś ubóstwa.

– Zachowywałam się jak rozpuszczona zołza – przyznała. – Wiem o tym, ale później wyszłam za Jago, dostałam to wszystko, na co moim zdaniem zasługiwałam, i mimo to chciałam, kurwa, umrzeć.

– Charlotte, to coś więcej niż wakacje i biżuteria. Ty chciałaś mnie złamać.

Jej twarz zastygła, co bardzo często zdarzało się przed najgorszymi z wybuchów Charlotte, przed naprawdę przerażającymi scenami.

– Chciałaś, żebym przestał pragnąć wszystkiego, co nie wiązało się z tobą. To byłby dowód mojej miłości: gdybym skończył z armią, z agencją, z Dave'em Polworthem, z każdą pieprzoną rzeczą, dzięki której jestem sobą.

– Nigdy, przenigdy nie próbowałam cię złamać, to okropne oskarże...

– Chciałaś mnie zmiażdżyć, dlatego że właśnie tak postępujesz. Musisz coś zniszczyć, bo jeśli tego nie zrobisz, możesz to stracić. Musisz mieć kontrolę. Jeśli coś zabijesz, nie będziesz musiała patrzeć, jak umiera.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że po naszym rozstaniu kochałeś kogoś tak mocno jak mnie.

– Nie, nie kochałem – odparł. – I całe, kurwa, szczęście.

– Przeżyliśmy razem niesamowite chwile...

– Musiałabyś mi przypomnieć, które to były.

– Tamten wieczór na jachcie Benjy'ego w Petite France...

– A pamiętasz swoją trzydziestkę? Boże Narodzenie w Kornwalii? To dopiero była zajebista zabawa.

Jej dłoń opadła na brzuch. Strike'owi wydało się, że pod cienką czarną bluzką zauważył jakiś ruch, i znowu odniósł wrażenie, że pod skórą Charlotte kryje się coś obcego i nieludzkiego.

– Przez szesnaście lat z przerwami dawałem ci z siebie to, co najlepsze, a tobie ciągle było mało – powiedział. – Przychodzi taka chwila, kiedy porzucasz próby ocalenia osoby, która uparcie ciągnie cię ze sobą na dno.

– Och, błagam. – Nagle bezbronna, zrozpaczona Charlotte zniknęła, ustępując miejsca komuś o wiele twardszemu, bardziej bezwzględnemu i przebiegłemu. – Wcale nie chciałeś mnie ocalić, Bluey. Chciałeś mnie r o z g r y ź ć. To duża różnica.

Z radością powitał tę drugą Charlotte, pod każdym względem równie znajomą jak ta bezbronna wersja, lecz wywołującą o wiele mniejsze skrupuły.

– Teraz wydaję ci się dobry, bo stałem się sławny, a ty wyszłaś za dupka.

Przyjęła cios bez mrugnięcia okiem, ale jej twarz lekko się zaróżowiła. Charlotte zawsze lubiła się kłócić.

– Jesteś taki przewidywalny. Wiedziałam, że powiesz, że wróciłam ze względu na twoją sławę.

– Bo wiesz, Charlotte, zawsze pojawiasz się, kiedy jest jakiś dramat – odrzekł Strike. – Zdaje się, że poprzednim razem to było wtedy, jak urwało mi nogę.

– Ty draniu. – Uśmiechnęła się chłodno. – Więc tak sobie tłumaczysz to, że opiekowałam się tobą przez te wszystkie miesiące?

Zadzwoniła jego komórka. Robin.

– Cześć – rzucił, odwracając się od Charlotte, żeby spojrzeć przez okno. – Jak leci?

– Cześć, chciałam ci tylko powiedzieć, że nie możemy się spotkać dzisiaj wieczorem – oznajmiła Robin ze znacznie silniejszym

akcentem z Yorkshire niż zwykle. – Wychodzę z przyjaciółką. Na imprezę.

– Domyślam się, że Flick to słyszy – odparł Strike.

– No. Może skoro jesteś taki samotny, spróbuj zadzwonić do żony? – warknęła Robin.

– Tak właśnie zrobię – stwierdził Strike, rozbawiony mimo chłodnego spojrzenia, jakim świdrowała go Charlotte. – Mam na ciebie pokrzyczeć? Trochę to uwiarygodnić?

– Sam się pierdol! – zawołała Robin, po czym się rozłączyła.

– Kto to był? – spytała Charlotte, mrużąc oczy.

– Muszę już iść – oznajmił Strike, wkładając telefon do kieszeni i sięgając po laskę, która podczas jego kłótni z Charlotte ześlizgnęła się i wpadła pod stół. Domyślając się, co zamierza zrobić, Charlotte przechyliła się na bok i zdążyła podnieść laskę, zanim jej dosięgnął.

– A gdzie jest ta, którą dostałeś ode mnie? Ta z rattanu?

– Zatrzymałaś ją – przypomniał.

– Kto ci kupił tę laskę? Robin?

Pośród wszystkich paranoicznych i często niepojętych oskarżeń czasami zdarzało jej się trafiać w sedno z niepokojącą precyzją.

– Właściwie to tak – odpowiedział Strike, lecz zaraz tego pożałował. Włączył się do jej gry, a wtedy ona natychmiast zmieniła się w trzecią, najrzadszą Charlotte, ani zimną, ani kruchą – niebezpiecznie szczerą.

– Jedyne, co pozwala mi przetrwać tę ciążę, to myśl, że kiedy je urodzę, będę mogła odejść.

– Odejdziesz od dzieci, kiedy tylko wydostaną się z twojej macicy?

– Przez kolejne trzy miesiące nadal będę w pułapce. Oni wszyscy tak bardzo chcą chłopca, że prawie nie spuszczają mnie z oka. Kiedy już urodzę, to się zmieni. Będę mogła odejść. Obydwoje wiemy,

że nie nadaję się na matkę. U Rossów będzie im lepiej. Moja teściowa już się szykuje do roli matki zastępczej.

Strike wyciągnął rękę po laskę. Charlotte się zawahała, lecz wreszcie podała mu ją. Wstał.

– Pozdrów ode mnie Amelię.

– Nie przyjdzie. Skłamałam. Wiedziałam, że będziesz u Henry'ego. Wczoraj byłam u niego na prywatnym oglądaniu obrazów. Wspomniał, że chcesz z nim porozmawiać.

– Żegnaj, Charlotte.

– Nie wolałbyś zostać uprzedzony, że chcę cię odzyskać?

– Ale ja nie chcę do ciebie wrócić – oznajmił, patrząc na nią z góry.

– Nie okłamuj kłamczuchy, Bluey.

Strike wykuśtykał z restauracji, mijając wgapionych w niego kelnerów, którzy już chyba wiedzieli, jak niegrzecznie potraktował ich kolegę. Gdy trzasnął drzwiami, wychodząc na ulicę, poczuł się niczym ścigany, jakby Charlotte posłała za nim sukuba, który miał go śledzić, dopóki znowu się nie spotkają.

51

Czy możesz mi wobec tego służyć jakimś ideałem albo nawet dwoma?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

– Zrobili ci pranie mózgu i dlatego myślisz, że musi tak być – tłumaczył anarchista. – Powinnaś zrozumieć, że możliwy jest świat bez przywódców. Bez jednostek mających większą władzę niż inne jednostki.

– Jasne – odparła Robin. – Więc n a p r a w d ę nigdy nie głosowałeś?

W ten sobotni wieczór w pubie Duke of Wellington w Hackney roiło się od ludzi, lecz mimo pogłębiających się ciemności nadal było ciepło, więc kilkanaścioro przyjaciół i towarzyszy Flick z SGOO wesoło zalegało na chodniku przy Balls Pond Road, popijając przed imprezą w mieszkaniu Flick. Wiele osób miało przy sobie reklamówki z tanim winem i piwem.

Anarchista roześmiał się i pokręcił głową. Był żylasty, jasnowłosy, miał dredy i liczne kolczyki. Robin przypuszczała, że to właśnie jego widziała podczas zadymy w tłumie w wieczór przyjęcia paraolimpijskiego. Już zdążył jej pokazać maziowatą grudkę konopi, którą przyniósł, by wnieść wkład w ogólne rozbawienie towarzystwa. Robin, której doświadczenie z narkotykami ograniczało się do paru sztachnięć fajeczką w trakcie jej dawno przerwanej kariery studenckiej, udała inteligentne zainteresowanie.

– Ale ty jesteś naiwna! – powiedział anarchista. – Wybory to element wielkiego demokratycznego oszustwa! Bezsensowny rytuał stworzony po to, żeby masy myślały, że mają coś do powiedzenia i jakiś wpływ na to, co się dzieje! To układ czerwonych i niebieskich torysów umożliwiający im dzielenie się władzą!

– Więc co zamiast wyborów? – spytała Robin, trzymając w ręku ledwie tknięte małe piwo.

– Organizacje wspólnotowe, opór i masowy sprzeciw – wyliczył anarchista.

– To wy tworzycie takie organizacje?

– Nie, tworzą je same społeczności. Kurwa, naprawdę zrobili ci pranie mózgu, skoro myślisz, że potrzebujesz przywódców – powtórzył anarchista, łagodząc szorstkość tego stwierdzenia lekkim

uśmiechem. Spodobała mu się prostolinijność Bobbi Cunliffe, socjalistki z Yorkshire. – Ale ludzie potrafią radzić sobie sami, kiedy już w końcu się obudzą.

– A kto ich obudzi?

– Aktywiści – uderzył się w chudą pierś – którzy nie robią tego dla pieniędzy ani władzy, którzy chcą silnych ludzi, a nie k o n t r o l i nad nimi. Widzisz, nawet związki zawodowe... bez urazy – dodał, ponieważ już wiedział, że ojciec Bobbi Cunliffe działał w związku zawodowym – to takie same struktury władzy: przywódcy zaczynają małpować kierownictwo...

– Wszystko w porządku, Bobbi? – spytała Flick, przeciskając się do Robin. – Za chwilę będziemy spadać, bar nie przyjmuje już więcej zamówień. O czym tak jej nawijasz, Alf? – zainteresowała się z lekkim niepokojem.

Po długiej sobocie w sklepie z biżuterią i wymianie wielu zwierzeń dotyczących życia uczuciowego (w wypadku Robin wyssanych z palca) Flick zakochała się w Bobbi Cunliffe do tego stopnia, że sama zaczęła mówić z lekkim akcentem z Yorkshire. Pod koniec popołudnia wystosowała podwójne zaproszenie: po pierwsze, na wieczorną imprezę, a po drugie – pod warunkiem wyrażenia zgody przez jej przyjaciółkę Hayley – na wprowadzenie się Bobbi do wynajmowanego mieszkania na miejsce ich byłej współlokatorki Laury. Robin przyjęła obie propozycje, zadzwoniła do Strike'a i zgodziła się z Flick, że pod nieobecność wikanki powinny zamknąć sklep wcześniej.

– Właśnie mi mówi, że mój tata nie był lepszy od kapitalisty – oznajmiła Robin.

– No kurwa, Alf – obruszyła się Flick, gdy anarchista zaprotestował ze śmiechem.

Grupka powlekła się chodnikiem, kierując się w stronę mieszkania Flick. Mimo wyraźnej chęci dalszego pouczania Robin na temat podstaw świata bez przywódców anarchista został odsunięty od Robin przez Flick, która chciała porozmawiać o Jimmym. Dziesięć metrów przed nimi pulchny, brodaty i stawiający stopy palcami do środka marksista, którego przedstawiono Robin jako Digby'ego, szedł sam, prowadząc resztę na imprezę.

– Wątpię, żeby Jimmy się zjawił – mruknęła Flick, a Robin pomyślała, że dziewczyna szykuje się na rozczarowanie. – Jest w podłym humorze. Martwi się o brata.

– Co mu jest?

– Jakaś schizofreniczna afektywność czy coś takiego – powiedziała Flick. Robin była pewna, że Flick zna prawidłową nazwę tej choroby, lecz w towarzystwie prawdziwej przedstawicielki klasy robotniczej uznała za stosowne udawać brak wykształcenia. Wcześniej wymknęło jej się, że zaczęła studia wieczorowe, chyba jednak pożałowała tej szczerości i odtąd regularniej popełniała błędy gramatyczne. – Sama nie wiem. Ma urojenia.

– Na przykład jakie?

– Myśli, że rząd zawiązał przeciwko niemu jakiś spisek i takie tam – wyjaśniła Flick, śmiejąc się cicho.

– Jasna cholera – odparła Bobbi.

– No, jest w szpitalu. Jimmy ma z nim mnóstwo problemów. – Flick włożyła do ust cienkiego skręta i przypaliła go. – Słyszałaś kiedyś o Cormoranie Strike'u?

Wymówiła jego imię i nazwisko, jakby to też była nazwa choroby.

– O kim?

– To prywatny detektyw. Często piszą o nim w gazetach. Pamiętasz tą modelkę, która wypadła z okna, Lulę Landry?

– Słabo – skłamała Robin.

Flick spojrzała przez ramię, żeby sprawdzić, czy anarchista Alf jest poza zasięgiem jej głosu.

– Billy do niego poszedł.

– Po jaką cholerę?

– Bo Billy jest psychiczny, skup się. – Flick znowu cicho się zaśmiała. – Myśli, że wiele lat temu coś widział...

– Co? – spytała Robin szybciej, niż zamierzała.

– Morderstwo – rzuciła Flick.

– Jezu.

– Oczywiście niczego nie widział – zaznaczyła Flick. – To wszystko gówno prawda. To znaczy c o ś widział, ale nikt, kurwa, nie zginął. Jimmy też tam był, on wie. W każdym razie Billy poszedł do tego złamasa detektywa i teraz nie możemy się faceta pozbyć.

– Jak to?

– Sprał Jimmy'ego.

– Ten detektyw?

– No. Poszedł za Jimmym na demonstrację, w której braliśmy udział, sprał go i jeszcze załatwił, żeby go, kurwa, aresztowali.

– Jasna cholera – powtórzyła Bobbi Cunliffe.

– Grubo, nie? – powiedziała Flick. – To były wojskowy. Królowa, flaga i całe to pieprzenie. Bo widzisz, Jimmy i ja mieliśmy coś na ministra konserwatystów...

– Poważnie?

– No – potwierdziła Flick. – Nie mogę ci powiedzieć co, ale to była wielka sprawa, a potem Billy wszystko spieprzył. Przez niego Strike zaczął węszyć i chyba skontaktował się z przedstawicielami rzą...

Nagle urwała i powiodła wzrokiem za małym samochodem, który właśnie ich minął.

– Przez chwilę myślałam, że to wóz Jimmy'ego. Ale nie. Zapomniałam, że nie przeszedł przeglądu.

Znowu zmarkotniała. Wcześniej, w chwilach mniejszego ruchu w sklepie, Flick opowiedziała Robin historię swojego związku z Jimmym, która z powodu niekończących się waśni, rozejmów i negocjacji mogłaby być historią spornego terytorium. Chyba nie udało im się osiągnąć porozumienia w sprawie statusu tego związku i każdy traktat przepadał pod ciężarem kłótni i zdrad.

– Jeśli mam być szczera, lepiej ci będzie bez niego – oznajmiła Robin, która w nadziei na usłyszenie jakichś zwierzeń przez cały dzień stosowała ostrożną politykę prób nakłonienia Flick do porzucenia lojalności, którą tamta, jak jej się najwyraźniej zdawało, była winna Jimmy'emu.

– Gdyby to było takie proste – odparła Flick z pseudoakcentem z Yorkshire, który przyjęła pod koniec dnia. – Nie chodzi o to, że chcę w y j ś ć z a m ą ż czy coś. – Roześmiała się na samą myśl. – Jimmy może sobie sypiać, z kim chce, tak jak ja. Taki mamy układ i jest mi z tym dobrze.

W sklepie wyjaśniła już Robin, że identyfikuje się z genderqueerem i panseksualizmem, podczas gdy monogamia, jeśli spojrzeć na nią we właściwy sposób, jest narzędziem patriarchalnej opresji. Robin przypuszczała, że to cytat z Jimmy'ego. Przez chwilę milczały. W coraz większych ciemnościach weszły do przejścia podziemnego i wtedy Flick lekko się ożywiła.

– Bo wiesz, ja też się dobrze bawię.

– No i super! – pochwaliła Robin.

– Jimmy nie byłby zachwycony, gdyby się o nich wszystkich dowiedział.

Idący przed nimi marksista odwrócił głowę i w świetle ulicznej lampy Robin dostrzegła, jak z uśmieszkiem spogląda na Flick. Najwidoczniej usłyszał, co mówiła. Ona jednak, pochłonięta szukaniem kluczy w wypełnionej śmieciami torbie, raczej tego nie zauważała.

– Mieszkamy tutaj. – Wskazała trzy oświetlone okna nad małym sklepem sportowym. – Hayley już wróciła. Cholera, mam nadzieję, że nie zapomniała schować mojego laptopa.

Do mieszkania wchodziło się tylnymi drzwiami i zimną, wąską klatką schodową. Już na dole schodów usłyszeli uporczywy bas *Niggas in Paris*, a na górze okazało się, że cienkie drzwi są otwarte i kilka osób stoi w korytarzu, paląc wspólnie olbrzymiego skręta.

„*What's fifty grand to a muh'fucka like me*" – rapował Jay-Z w słabo oświetlonym mieszkaniu.

Kilkanaścioro nowych przybyszy spotkało się ze sporą grupą ludzi będących już w środku. To zdumiewające, jak wiele osób mogło się zmieścić w tak małym mieszkaniu, które składało się tylko z dwóch pokoi, maleńkiej łazienki z prysznicem i kuchni wielkości szafki.

– Tańczymy w pokoju Hayley, jest większy. To ten, w którym będziesz z nią mieszkała! – krzyknęła Flick do ucha Robin, gdy przepychały się w stronę ciemnego pomieszczenia.

Pokój, oświetlony tylko dwoma sznurami lampek i małymi prostokątami światła wydobywającego się z telefonów osób, które czytały esemesy i sprawdzały konta w mediach społecznościowych, był już wypełniony ciężkim zapachem marihuany i ludźmi podpierającymi ściany. Czterem młodym kobietom i mężczyźnie udawało się jakoś tańczyć na środku. Gdy oczy Robin powoli przyzwyczajały się do mroku, zobaczyła szkieletowy zarys piętrowego łóżka zajmowanego już przez kilka osób, które paliły

skręta, siedząc na górnym materacu. Na ścianie za nimi zauważyła tęczową flagę LGBT i plakat *Czystej krwi* z Tarą Thornton.

Wypatrując prawdopodobnych kryjówek, przypomniała sobie, że Jimmy i Barclay przeczesali już mieszkanie w poszukiwaniu karteczki, którą Flick ukradła Chiswellowi, lecz jej nie znaleźli. Zastanawiała się, czy Flick nie trzyma jej przypadkiem przy sobie, lecz Jimmy z pewnością też o tym pomyślał i mimo deklarowanego przez Flick panseksualizmu uznała, że szybciej niż ona zdołałby nakłonić Flick do rozebrania się. Ciemność mogłaby sprzyjać szukaniu pod materacami i dywanami, ale w mieszkaniu było tak tłoczno, że Robin wątpiła, czy udałoby jej się to zrobić, nie zwracając niczyjej uwagi swoim dziwnym zachowaniem.

– ...poszukać Hayley! – krzyknęła Flick do ucha Robin, wciskając jej do ręki puszkę piwa. Wyszły bokiem, wracając do pokoju Flick, który wydawał się jeszcze mniejszy, niż naprawdę był – każdy centymetr ścian i sufitu pokrywały ulotki i plakaty o treści politycznej. Dominowały pomarańczowy kolor SGOO oraz czarno-czerwone barwy Partii Prawdziwych Socjalistów. Nad leżącym na podłodze materacem przypięto olbrzymią flagę Palestyny.

W pomieszczeniu oświetlonym samotną lampką było już pięć osób. Dwie młode kobiety, czarna i biała, leżały splecione na materacu, a pulchny, brodaty Digby zajął miejsce na podłodze i coś do nich mówił. Dwaj nastoletni chłopcy stali onieśmieleni pod ścianą, ukradkiem spoglądali na dziewczyny na łóżku i robili skręta, prawie stykając się głowami.

– Hayley, to jest Bobbi – powiedziała Flick. – Interesuje ją połowa pokoju Laury.

Dziewczyny na łóżku spojrzały na nią. Odezwała się ta wyższa, zaspana tleniona blondynka z głową ostrzyżoną na zapałkę.

– Już obiecałam Shanice, że będzie mogła się wprowadzić. – Wyglądała na upaloną, a drobna czarna dziewczyna w jej ramionach pocałowała ją w szyję.

– Aha – mruknęła Flick i skonsternowana odwróciła się do Robin. – Cholera. Przykro mi.

– Spoko – odrzekła Robin, udając odwagę w obliczu rozczarowania.

– Flick! – zawołał ktoś z przedpokoju. – Na dole jest Jimmy.

– O kurwa – zaklęła zarumieniona Flick, lecz Robin dostrzegła zadowolenie, które rozbłysło na jej twarzy. – Zaczekaj tu – poleciła Robin i ruszyła w stronę ściśniętych ciał koło drzwi wejściowych.

„*Bougie girl, grab her hand*" – rapował Kanye West w drugim pokoju.

Udając, że rozmowa dziewczyn na łóżku z Digbym jej nie interesuje, Robin zsunęła się po ścianie, żeby usiąść na laminowanej podłodze, i popijała piwo, rozglądając się ukradkiem po pokoju Flick. Najwidoczniej przed imprezą ktoś w nim posprzątał. Nie było tam szafy, a jedynie wieszak na ubrania, na którym wisiały płaszcze i nieliczne sukienki, podczas gdy koszulki i swetry leżały poskładane byle jak w ciemnym kącie. Na komodzie siedziało kilka maskotek Beanie Babies, obok których walały się kosmetyki do makijażu, a w rogu stały bezładnie pozwijane plakaty. Jimmy i Barclay na pewno dokładnie przeszukali ten pokój. Robin zastanawiała się, czy przyszło im do głowy, żeby zajrzeć pod te wszystkie ulotki. Niestety, nawet gdyby o tym nie pomyśleli, nie mogła zacząć ich teraz odpinać.

– Słuchajcie, to proste – klarował Digby, zwracając się do dziewczyn na materacu. – Na pewno się zgodzicie, że kapitalizm zależy częściowo od kiepsko płatnej pracy kobiet, tak? Więc żeby

feminizm był skuteczny, m u s i być marksistowski, jedno prowadzi do drugiego.

– W patriarchacie chodzi o coś więcej niż o kapitalizm – odparła Shanice.

Robin zauważyła kątem oka, jak Jimmy przeciska się przez wąski przedpokój, obejmując Flick ramieniem. Flick przez cały wieczór nie wyglądała na szczęśliwszą.

– Ucisk kobiet jest nierozerwalnie związany z ich niezdolnością dołączenia do siły roboczej – oznajmił Digby.

Odurzona Hayley wyplątała się z objęć Shanice, żeby z milczącym żądaniem wyciągnąć rękę w stronę ubranych na czarno nastolatków. Podali jej skręta nad głową Robin.

– Przykro mi z powodu pokoju – zwróciła się Hayley do Robin, gdy już się mocno sztachnęła. – Szukanie miejsca w Londynie to męka, nie?

– Totalna męka – potwierdziła Robin.

– ...dlatego że chcesz podciągnąć feminizm pod ideologię marksizmu.

– To nie jest żadne p o d c i ą g a n i e, cele są identyczne! – obruszył się Digby, śmiejąc się z niedowierzaniem.

Hayley próbowała podać skręta Shanice, lecz jej zaaferowana przyjaciółka zbyła ją machnięciem ręki.

– A gdzie są marksiści, kiedy kwestionujemy ideał heteronormatywnej rodziny? – spytała ostro Digby'ego.

– Racja, racja – poparła ją niewyraźnie Hayley, przytulając się do Shanice i podsuwając skręta nastolatków Robin, która od razu przekazała go chłopakom. Choć wcześniej interesowały ich lesbijki, od razu wyszli z pokoju, zanim ktoś jeszcze mógłby zadysponować ich skromnym zapasem marihuany.

– Też kiedyś takie miałam – powiedziała głośno Robin, wstając, ale nikt jej nie słuchał. Gdy mijała Digby'ego w drodze do komody, nie omieszkał zajrzeć jej pod krótką czarną spódnicę. Wykorzystując coraz bardziej zaciekłą dyskusję na temat feminizmu i marksizmu, udała podszyte sentymentem zainteresowanie i zaczęła podnosić po kolei maskotki Beanie Babies, macając przez cienką warstwę pluszu plastikowe kuleczki, którymi je wypełniono. Żadna z maskotek raczej nie została rozpruta i zszyta ponownie, by można było w niej ukryć karteczkę.

Z poczuciem lekkiej bezradności wróciła do ciemnego przedpokoju, gdzie stali stłoczeni ludzie wylewający się aż na korytarz.

Jakaś dziewczyna dobijała się do łazienki.

– Przestańcie się tam pieprzyć, muszę się wysikać! – zawołała ku rozbawieniu stojących tam osób.

„To beznadziejne".

Robin przecisnęła się w stronę niewiele większej od dwóch budek telefonicznych kuchni, w której z boku siedziała jakaś para. Dziewczyna zarzuciła nogi na kolana mężczyzny, który trzymał rękę pod jej spódnicą, a ubrani na czarno nastoletni chłopcy usilnie szukali czegoś do jedzenia. Robin, udając, że rozgląda się za czymś do picia, przeczesywała gąszcz pustych puszek i butelek, obserwując postępy chłopaków w przetrząsaniu szafek i dochodząc do wniosku, że pudełko z płatkami zbożowymi byłoby niepewną kryjówką.

Gdy ruszyła do wyjścia, na progu kuchni pojawił się anarchista Alf, nawalony o wiele bardziej niż w pubie.

– Oto i ona – oznajmił głośno, próbując skupić wzrok na Robin. – Córka przywódcy związku zawodowego.

– Tak, to ja – potwierdziła Robin, gdy D'banj śpiewał w drugim pokoju „*Oliver, Oliver, Oliver Twist*". Próbowała zanurkować pod

ramieniem Alfa, lecz opuścił rękę, uniemożliwiając jej wyjście z kuchni. Tania laminowana podłoga wibrowała od tupotu zdeterminowanych tancerzy w pokoju Hayley.

– Laska z ciebie – rzucił Alf. – Wolno mi tak mówić? W zajebiście feministycznym sensie.

Roześmiał się.

– Dzięki – odrzekła Robin. Za drugim razem udało jej się go ominąć i znowu znalazła się w maleńkim przedpokoju, gdzie zrozpaczona dziewczyna nadal dobijała się do łazienki. Alf złapał Robin za ramię, pochylił się i powiedział jej do ucha coś niezrozumiałego. Gdy znowu się wyprostowała, zobaczyła, że jej kreda do koloryzacji włosów zostawiła czarną plamę na czubku jego spoconego nosa.

– Co? – spytała Robin.

– Powiedziałem: „Może poszukamy spokojniejszego miejsca i jeszcze pogadamy?"! – krzyknął.

Nagle jednak zauważył kogoś stojącego za nią.

– Siemasz, Jimmy.

W przedpokoju pojawił się Knight. Uśmiechnął się do Robin, potem oparł się o ścianę. Palił papierosa i trzymał puszkę piwa. Był o dziesięć lat starszy od większości ludzi na imprezie, miał na sobie obcisłą czarną koszulkę i dżinsy, a część dziewczyn spoglądała na niego z ukosa.

– Też czekasz do kibla? – zagadnął Robin.

– No – potaknęła, dochodząc do wniosku, że w razie czego będzie to najłatwiejszy sposób, żeby uwolnić się od Jimmy'ego i od anarchisty Alfa. Przez otwarte drzwi pokoju Hayley zobaczyła roztańczoną Flick, teraz już wyraźnie zadowoloną z życia i śmiejącą się ze wszystkiego, co do niej mówiono.

– Flick mówiła, że twój tata działał w związku zawodowym – podjął Jimmy. – Był górnikiem?

– No – potwierdziła Robin.

– Kurwa mać! – krzyknęła dziewczyna, która dobijała się do łazienki. Zdesperowana, przestąpiła jeszcze kilka razy z nogi na nogę, po czym przepchnęła się w stronę drzwi i wyszła z mieszkania.

– Z lewej są kubły! – zawołała za nią jedna z dziewczyn.

Jimmy przysunął się do Robin, żeby mogła go słyszeć mimo dudniącego basu. Miała wrażenie, że patrzy na nią z sympatią, wręcz z czułością.

– Ale umarł, tak? – spytał. – Twój tata. Flick mówiła, że na płuca.

– No – bąknęła Robin.

– Przykro mi – powiedział cicho Jimmy. – Przechodziłem przez coś podobnego.

– Naprawdę? – zainteresowała się Robin.

– No, z mamą. Też płuca.

– W związku z pracą?

– Azbest – rzucił Jimmy, kiwając głową, i zaciągnął się papierosem. – Teraz by do tego nie doszło, są inne przepisy. Miałem dwanaście lat, a mój brat dwa, nawet jej nie pamięta. Stary zapił się bez niej na śmierć.

– To naprawdę straszne – stwierdziła szczerze Robin. – Przykro mi.

Jimmy wydmuchnął dym z dala od jej twarzy i się skrzywił.

– Jesteśmy ulepieni z jednej gliny – orzekł Jimmy, stukając puszką piwa w puszkę Robin. – Weterani wojny klasowej.

Anarchista Alf odszedł chwiejnym krokiem i zniknął w ciemnym pokoju poprzecinanym blaskiem świateł ek.

– Twoja rodzina dostała jakieś odszkodowanie? – spytał Jimmy.

– Staraliśmy się o nie – odparła Robin. – Mama dalej się stara.

– Powodzenia. – Jimmy podniósł puszkę i pociągnął łyk. – Będzie wam zajebiście potrzebne.

Załomotał w drzwi łazienki.

– Szybciej, kurwa, ludzie czekają! – krzyknął.

– Może komuś zrobiło się niedobrze? – podsunęła Robin.

– Niee, to raczej szybki numerek – stwierdził Jimmy.

Z pokoju Flick wyszedł niezadowolony Digby.

– Wygląda na to, że jestem narzędziem patriarchalnej opresji – oznajmił głośno.

Nikt się nie roześmiał. Digby podrapał się po brzuchu, wkładając rękę pod koszulkę, na której, jak dopiero teraz zauważyła Robin, widniała podobizna Groucho Marxa, i powlókł się do pokoju, gdzie tańczyła Flick.

– Pewnie, że jest narzędziem. Młotkiem – mruknął Jimmy do Robin. – Wychowanek szkoły waldorfskiej. Nie może przeboleć, że nikt już nie daje mu gwiazdek za dobre chęci.

Robin się roześmiała, ale Jimmy nie. Patrzył jej w oczy o ułamek sekundy za długo, aż drzwi do łazienki lekko się uchyliły i ze środka wyjrzała pulchna, zarumieniona młoda dziewczyna. Za nią Robin zobaczyła mężczyznę z potarganą siwą brodą, który wkładał na głowę czapkę Mao.

– Larry, ty zbereźny stary draniu – powitał go Jimmy, uśmiechając się, gdy czerwona na twarzy dziewczyna przemknęła obok Robin, znikając w ciemnym pokoju w ślad za Digbym.

– Siemasz, Jimmy – odrzekł podstarzały trockista ze świętoszkowatym uśmiechem, po czym także wyszedł z łazienki, nagradzany brawami przez dwóch młodych mężczyzn w przedpokoju.

– Idź – zachęcił Jimmy, przytrzymując Robin drzwi i zagradzając drogę innym osobom, które chciały się wcisnąć do środka.

– Dzięki – powiedziała, wślizgując się do łazienki.

Po wynurzeniu się z mroków reszty mieszkania miała wrażenie, że ostre światło jarzeniówki jest oślepiające. W łazience ledwie starczało miejsca, żeby stanąć między najmniejszym prysznicem, jaki Robin kiedykolwiek widziała, z wyświechtaną przezroczystą zasłonką zerwaną z połowy haczyków, a małym sedesem, w którym unosiło się mnóstwo rozmiękłych chusteczek i niedopałków. W wiklinowym koszu połyskiwał zużyty kondom.

Nad umywalką wisiały trzy rozchwierutane półki wyładowane napoczętymi kosmetykami i różnymi rupieciami ściśniętymi tak mocno, że wystarczyłoby chyba jedno dotknięcie, żeby to wszystko runęło.

Porażona nagłą myślą, Robin przysunęła się do tych półek. Przypomniała sobie, jak niedawno wykorzystała ignoranckie przeczulenie większości mężczyzn na punkcie spraw związanych z menstruacją, ukrywając urządzenia podsłuchowe w pudełku tamponów. Szybko przebiegła wzrokiem po napoczętych butelkach szamponu z supermarketu, starym płynie do czyszczenia toalet, brudnej gąbce, dwóch tanich dezodorantach i kilku mocno zużytych szczoteczkach do zębów w wyszczerbionym kubku. Bardzo ostrożnie – dlatego że wszystko było tak ściśnięte – wydobyła małe opakowanie Lil-Lets, w którym, jak się okazało, został tylko jeden zafoliowany tampon. Wyciągając rękę, żeby odłożyć je na miejsce, zauważyła skrawek małego, zgniecionego zawiniątka w foliowym woreczku schowanego za płynem do toalet i butelką owocowego żelu pod prysznic.

Czując nagłe podekscytowanie, sięgnęła w jego stronę i ostrożnie wydobyła zawiniątko z miejsca, w które je wciśnięto, starając się przy tym wszystkiego nie poprzewracać.

Ktoś załomotał do drzwi.

– Kurwa, już nie mogę! – zawołała następna dziewczyna.

– Zaraz wychodzę! – krzyknęła w odpowiedzi Robin.

W mało romantycznym opakowaniu („na bardzo obfite krwawienie") spoczywały dwie złożone podpaski: coś, na co z pewnością nie skusiłaby się żadna młoda kobieta, zwłaszcza ubrana w skąpe ciuchy. Robin je wyjęła. Pierwsza nie miała w sobie niczego podejrzanego. Gdy Robin ścisnęła drugą, w środku dał się słyszeć cichy szelest. Czując, jak jej podekscytowanie rośnie, odwróciła podpaskę na bok i zobaczyła, że przecięto ją czymś ostrym, prawdopodobnie żyletką. Wsunęła palce do celulozowej pianki w środku i wyczuła grubą, złożoną karteczkę, którą wydobyła i rozwinęła.

Był to taki sam papier listowy, na jakim Kinvara napisała list pożegnalny: u góry zdobiło go nazwisko „Chiswell", a poniżej widniała róża Tudorów przypominająca kroplę krwi. Charakterystyczne ścisłe litery, które Robin tak często widywała w biurze Chiswella, układały się w kilka osobnych słów i wyrażeń, a jedno z nich, widniejące pośrodku, wielokrotnie zakreślono.

Ebury Street 251
Londyn
SW1W

Blanc de Blanc
Suzuki ✓
~~*Matka?*~~

Odi et amo, quare id faciam, fortasse requiris?
Nescio, sed fieri sentio et excrucior.

Z trudem oddychając z przejęcia, Robin wyjęła komórkę, pstryknęła kartce kilka zdjęć, po czym wsunęła ją z powrotem do podpaski i odłożyła zawiniątko na miejsce. Próbowała spuścić wodę, lecz sedes był zapchany i udało jej się jedynie doprowadzić do złowieszczego podniesienia się poziomu wody, która nie chciała ponownie opaść. Spośród wirujących chusteczek raz po raz wyłaniał się niedopałek papierosa.

– Przepraszam – powiedziała Robin, otwierając drzwi. – Kibel się zatkał.

– Mniejsza o to – zniecierpliwiła się pijana dziewczyna w przedpokoju. – Zrobię do umywalki.

Przecisnęła się obok Robin i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jimmy nadal stał w przedpokoju.

– Chyba będę spadała – oznajmiła Robin. – Przyszłam tylko zobaczyć, czy ten pokój jest jeszcze wolny, ale ktoś mnie uprzedził.

– Szkoda – odrzekł obojętnie Jimmy. – Wpadnij czasem na zebranie. Przyda się nam dusza z północy.

– No, może wpadnę – powiedziała Robin.

– Gdzie wpadniesz?

Zjawiła się Flick z butelką budweisera.

– Na zebranie – wyjaśnił Jimmy, wyjmując z paczki nowego papierosa. – Miałaś rację, Flick, spoko z niej dziewczyna.

Jimmy wyciągnął rękę i przyciągnąwszy do siebie Flick, przytulił ją i pocałował w czubek głowy.

– No – zgodziła się Flick, uśmiechając się ze szczerą życzliwością i obejmując Jimmy'ego w pasie. – Wpadnij na zebranie, Bobbi.

– Może wpadnę – powtórzyła Bobbi Cunliffe, córka działacza związkowego, po czym pożegnała się z nimi, przecisnęła w stronę drzwi i wyszła na zimną klatkę schodową.

Nawet widok i woń jednego z ubranych na czarno nastolatków wymiotującego obficie na chodnik tuż obok wejścia do budynku nie były w stanie popsuć Robin humoru. Nie mogąc się doczekać, przesłała Strike'owi zdjęcie notatki Jaspera Chiswella i popędziła na przystanek autobusowy.

52

Oczywiście, myliła się pani najzupełniej.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Strike zasnął w ubraniu, z przyczepioną protezą, na narzucie w swoim mieszkaniu na poddaszu. Papierowa teczka ze wszystkimi informacjami zebranymi w sprawie Chiswella leżała na jego klatce piersiowej i lekko drżała, gdy chrapał. Śniło mu się, że idzie za rękę z Charlotte przez pusty dom Chiswellów, który właśnie razem kupili. Wysoka, szczupła i piękna Charlotte nie była już w ciąży. Ciągnęły się za nią zapach Shalimar i czarny szyfon, lecz ich obopólne szczęście ulatniało się w wilgotnych, chłodnych, zaniedbanych pomieszczeniach, po których się przechadzali. Co ich skłoniło do podjęcia lekkomyślnej, donkiszotowskiej decyzji o zakupie tego wypełnionego przeciągami domu ze ścianami obłażącymi z farby i z kablami dyndającymi pod sufitem?

Głośne brzęczenie towarzyszące przyjściu esemesa wyrwało Strike'a ze snu. Minął ułamek sekundy, zanim sobie uświadomił, że znowu jest w mieszkaniu na poddaszu i nie został ani właścicielem domu Chiswellów, ani kochankiem Charlotte Ross. Potem pomacał wokół siebie w poszukiwaniu komórki, którą częściowo przygniótł ciałem. Był przekonany, że za chwilę ukaże mu się wiadomość od Charlotte.

Mylił się: gdy zaspany spojrzał na ekran, zobaczył, że napisała do niego Robin, a poza tym że jest pierwsza w nocy. Na chwilę zapomniał, że Robin poszła na imprezę z Flick. Gwałtownie usiadł na łóżku, papierowa teczka, która leżała na jego piersi, gładko się

z niej zsunęła, a kartki rozsypały się po podłodze, podczas gdy oszołomiony Strike mrużył oczy, wpatrując się w zdjęcie przesłane przez Robin.

– O ja pierdolę!

Ignorując rozrzucone papiery, od razu do niej zadzwonił.

– Cześć – przywitała się wesoło na tle charakterystycznych odgłosów londyńskiego nocnego autobusu: stukania i warkotu silnika, zgrzytania hamulców, metalicznego dźwięku dzwonka i obowiązkowego pijackiego śmiechu zgrai młodych kobiet.

– Kurwa, jak ci się to udało?

– Jestem kobietą – powiedziała Robin. Było słychać, że się uśmiecha. – Wiem, gdzie chowamy różne rzeczy, kiedy bardzo nie chcemy, żeby ktoś je znalazł. Myślałam, że już śpisz.

– Gdzie jesteś... W autobusie? Wysiadaj i łap taksówkę. Jeśli weźmiesz rachunek, obciążymy nim Izzy.

– Nie ma potrzeby...

– Rób, co mówię, do cholery! – warknął trochę agresywniej, niż zamierzał, ponieważ mimo że właśnie dokonała niezłego wyczynu, rok wcześniej została zaatakowana przez nożownika, gdy po zmroku przebywała sama na ulicy.

– Dobrze, dobrze, złapię taksówkę – udobruchała go Robin. – Przeczytałeś, co napisał Chiswell?

– Właśnie czytam. – Strike przełączył na głośnik, by móc jeszcze raz spojrzeć na notatkę i jednocześnie dalej rozmawiać z Robin. – Mam nadzieję, że odłożyłaś to na miejsce.

– No. Pomyślałam, że tak będzie najlepiej.

– Z całą pewnością. A właściwie to gdzie...?

– W podpasce.

– Jezu – powiedział zaskoczony Strike. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby...

– Podobnie jak Jimmy'emu i Barclayowi – weszła mu w słowo zadowolona z siebie Robin. – Możesz przetłumaczyć, co napisał na dole po łacinie?

Strike zmrużył oczy i wyrecytował:

– „Nienawidzę – i pragnę. Powiesz może: sprzeczność? Nie wiem. Czuję tylko i żyję tą męką"[8]. To znowu Katullus. Znany wiersz.

– Uczyłeś się łaciny na studiach?

– Nie.

– W takim razie skąd...?

– Długa historia – uciął Strike.

W rzeczywistości historia jego znajomości łaciny wcale nie była długa, lecz (dla większości ludzi) niewytłumaczalna. Nie miał ochoty o tym mówić w środku nocy, podobnie jak nie chciał tłumaczyć, że Charlotte studiowała poezję Katullusa w Oksfordzie.

– „Nienawidzę i pragnę" – powtórzyła Robin. – Dlaczego Chiswell miałby pisać coś takiego?

– Dlatego że to czuł? – podsunął Strike.

Zaschło mu w ustach: przed zaśnięciem wypalił za dużo papierosów. Wstał, obolały i zesztywniały, i ostrożnie omijając rozsypane notatki, skierował się z telefonem w ręku w stronę umywalki w sąsiednim pomieszczeniu.

– Czuł to do Kinvary? – spytała z powątpiewaniem Robin.

– Widziałaś w jego pobliżu jakąś inną kobietę?

– Nie. Ale może wcale nie miał na myśli kobiety.

– Racja – przyznał Strike. – Katullus dużo pisał o miłości między mężczyznami. Może dlatego Chiswell tak go lubił.

Napełnił kubek zimną wodą z kranu, wypił ją jednym haustem, po czym wrzucił do środka torebkę z herbatą i nastawił czajnik, cały czas spoglądając na jaśniejący w ciemności ekran telefonu.

– Skreślona „matka" – mruknął.

– Matka Chiswella zmarła dwadzieścia dwa lata temu – powiedziała Robin. – Przed chwilą sprawdziłam.

– Hm – mruknął Strike. – Zakreślony „Bill”.

– Nie „Billy” – zauważyła Robin. – Ale skoro Jimmy i Flick uznali, że mowa o jego bracie, to widocznie niektórzy czasami nazywają Billy’ego Billem.

– Chyba że chodzi o rachunek – wtrącił Strike. – Albo o kaczy dziób[9], skoro już mamy rozpatrywać wszystkie możliwości… „Suzuki”… „Blanc de…” Zaraz. Jimmy Knight ma stare suzuki alto.

– Flick twierdzi, że nim nie jeździ.

– Taa. Barclay mówi, że nie przeszło przeglądu.

– Kiedy byliśmy w Woolstone, na podwórku stała grand vitara. Widocznie należała do któregoś z Chiswellów.

– Spostrzegawcza jesteś – pochwalił ją Strike.

Włączył górne światło i podszedł do stolika przy oknie, na którym zostawił długopis i notes.

– Wiesz – odezwała się po namyśle Robin – chyba widziałam gdzieś ostatnio napis „Blanc de Blanc”.

– Tak? Piłaś szampana? – Strike usiadł, szykując się do notowania.

– Nie, ale… No tak, pewnie zobaczyłam to na etykiecie jakiegoś wina. *Blanc de blancs*… Co to właściwie znaczy? „Białe z białych”?

– No.

Przez prawie minutę milczeli, przyglądając się notatce.

– Wiesz, Robin – zaczął w końcu Strike – wolałbym tego nie mówić, ale chyba najciekawsze w tej karteczce jest to, że miała ją Flick. To wygląda na listę spraw do załatwienia. Nie widzę tu niczego, co wskazywałoby na popełnienie przestępstwa albo dawało podstawy do szantażu czy morderstwa.

– Skreślona „matka” – powtórzyła Robin, jakby postanowiła wycisnąć znaczenie z tajemniczych słów. – Matka Jimmy’ego

Knighta zmarła na azbestozę. Przed chwilą powiedział mi o tym na imprezie u Flick.

Strike lekko postukał w notes końcówką długopisu i pogrążył się w zamyśleniu, które przerwała dopiero Robin, wypowiadając na głos nękające go pytanie:

– Będziemy musieli powiedzieć o tym policji, prawda?

– Taa – westchnął Strike, przecierając oczy. – To dowód, że Flick miała dostęp do domu przy Ebury Street. Niestety oznacza to też, że musimy cię wycofać ze sklepu z biżuterią. Kiedy policja przeszuka łazienkę, Flick szybko się domyśli, kto dał cynk.

– Cholera – zmartwiła się Robin. – Czułam, że uda mi się coś z niej wydobyć.

– No – przyznał Strike. – Właśnie na tym polega problem związany z brakiem oficjalnego udziału w dochodzeniu. Dużo bym dał, żeby spotkać się z Flick w pokoju przesłuchań... Co za przeklęta sprawa – dodał, ziewając. – Cały wieczór przeglądałem zapiski. Ta notatka nie różni się od reszty: nie odpowiada na pytania, tylko je mnoży.

– Zaczekaj – powiedziała Robin i usłyszał szelest. – Przepraszam, Cormoran, będę tutaj wysiadała, widzę postój taksówek...

– Dobra. Świetnie się dziś spisałaś. Zadzwonię do ciebie jutro... to znaczy dzisiaj, ale później.

Gdy się rozłączyła, Strike oparł papierosa o popielniczkę, wrócił do sypialni po rozrzucone na podłodze zapiski i zaniósł je do kuchni. Ignorując świeżo zagotowaną wodę, wyjął piwo z lodówki, usiadł przy stoliku, a po namyśle uchylił okno, żeby wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza, i znowu sięgnął po papierosa.

W żandarmerii wojskowej nauczono go porządkować wnioski i informacje uzyskane w rozmowach, dzieląc je na trzy zasadnicze

kategorie: ludzie, miejsca i rzeczy. Zanim Strike zasnął na łóżku, zastosował tę starą metodę w odniesieniu do sprawy Chiswella. Teraz ułożył zawartość teczki na stoliku w kuchni i znowu wziął się do pracy, a zimny nocny wietrzyk wypełniony oparami benzyny dmuchał na zdjęcia i kartki, wprawiając ich rogi w drżenie.

– Ludzie – mruknął Strike.

Zanim zapadł w sen, ułożył listę osób, które interesowały go najbardziej w związku ze śmiercią Chiswella. Teraz zauważył, że nieświadomie poszeregował imiona i nazwiska zgodnie ze stopniem, w jakim poszczególni ludzie byli zaangażowani w szantażowanie zamordowanego mężczyzny. Na szczycie listy widniał Jimmy Knight, tuż za nim był Geraint Winn, a następnie osoby, które Strike traktował jako ich pomocników, czyli Flick Purdue i Aamir Mallik. Później była Kinvara, która wiedziała, że Chiswella szantażowano, i znała powód, Della Winn, która wywalczyła zakaz sądowy uniemożliwiający dziennikarzom wspominanie o szantażu, lecz której stopień zaangażowania w sprawę pozostawał nieznany, a następnie Raphael, który, jak wszystko wskazywało, nie miał pojęcia, co zrobił jego ojciec, i nie wiedział o samym szantażu. Listę zamykał Billy Knight: z szantażem łączyło go tylko pokrewieństwo z najważniejszym szantażystą.

Strike zadał sobie pytanie, dlaczego ułożył te nazwiska akurat w takiej kolejności. Nie było niczego, co potwierdzałoby związek między śmiercią Chiswella a szantażem, chyba że groźba wyjawienia tajemniczej zbrodni Chiswella rzeczywiście popchnęła go do samobójstwa.

Nagle Strike uświadomił sobie, że jeśli odwróci listę do góry nogami, ukaże się zupełnie inny porządek. W tym wypadku Billy widniał na szczycie listy – bezinteresowny człowiek, któremu zależało nie na pieniądzach czy hańbie drugiej osoby, lecz

na prawdzie i sprawiedliwości. W tym odwrotnym porządku Raphael lądował na drugim miejscu ze swoją dziwną i według Strike'a mało prawdopodobną historyjką o tym, jak to rano w dniu śmierci ojca został wysłany w ślad za macochą, co, jak niechętnie przyznał Henry Drummond, wiązało się na dodatek z jakąś nieustaloną jeszcze, lecz godną pochwały motywacją. Della przesuwała się na trzecie miejsce – powszechnie szanowana kobieta o nienagannej reputacji, której prawdziwe myśli i odczucia wobec męża szantażysty i jego ofiary pozostawały zagadką.

Czytając listę w odwrotnej kolejności, Strike odniósł wrażenie, że stosunek każdej z podejrzanych osób do zamordowanego mężczyzny staje się coraz mniej złożony, upodabniając się raczej do transakcji finansowej. Na końcu plasował się Jimmy Knight i jego agresywne żądanie czterdziestu tysięcy funtów.

Strike ślęczał nad listą imion i nazwisk, jakby z jego ścisłego, ostrego pisma nagle mogło się coś wyłonić, tak jak nieskupiony na niczym wzrok może dostrzec trójwymiarowy obraz ukryty w gąszczu kolorowych kropek. Zauważył jednak tylko tyle, że ze śmiercią Chiswella wiąże się niezwykle duża liczba par: Geraint i Della, Jimmy i Flick, Izzy i Fizzy, Jimmy i Billy; dwóch współpracujących ze sobą szantażystów (Jimmy i Geraint) oraz podzespół złożony z ich pomocników (Flick i Aamir). Był nawet duet Delli i Aamira przypominający z lekka relację matki z synem. Pozostawały dwie osoby, które tworzyły parę tylko dlatego, że pozostawały na uboczu, odsunięte od blisko ze sobą związanych członków rodziny: owdowiała Kinvara i Raphael, niezadowalający syn outsider.

Strike nieświadomie stukał długopisem w notes i myślał. „Pary". Cała sprawa zaczęła się od pary przestępstw: szantażowania Chiswella i rzekomego dzieciobójstwa, o którym mówił Billy. Strike

od początku próbował znaleźć między nimi jakiś związek, nie mogąc uwierzyć, że to dwie zupełnie odrębne historie, nawet jeśli z pozoru ich wspólnym mianownikiem były jedynie więzy krwi łączące braci Knight.

Przewrócił kartkę i przyjrzał się zapiskom opatrzonym nagłówkiem „Miejsca". Po kilku minutach analizowania swoich bazgrołów dotyczących dostępu do domu przy Ebury Street oraz miejsca pobytu (w kilku wypadkach nieznanego) podejrzanych w czasie śmierci Chiswella zanotował sobie, że nie dostał jeszcze od Izzy numeru do Tegan Butcher, stajennej, która mogłaby potwierdzić, że gdy Chiswell dusił się w Londynie w foliowym worku, Kinvara przebywała w domu w Woolstone.

Przewrócił kolejną kartkę, spojrzał na stronę zatytułowaną „Rzeczy" i schowawszy długopis, rozłożył przed sobą zdjęcia zrobione przez Robin, tak by utworzyły kolaż obrazów z miejsca zbrodni. Przyjrzał się złotemu błyskowi w kieszeni denata, a następnie zgiętej szpadzie ukrytej do połowy w cieniu w kącie pokoju.

Strike miał wrażenie, że w sprawie, którą bada, roi się od przedmiotów znajdowanych w zaskakujących miejscach: szpada w kącie, tabletki lachesis na podłodze, drewniany krzyż w gąszczu pokrzyw na dnie dolinki, butla z helem i gumowym wężem w domu, w którym nigdy nie było imprezy dla dzieci. Jego zmęczony umysł nie potrafił jednak dojrzeć w tym żadnych odpowiedzi ani prawidłowości.

W końcu Strike dopił piwo, rzucił pustą puszkę przez pokój do kosza w kuchni, otworzył notes na czystej stronie i zaczął pisać listę spraw do załatwienia na niedzielę, której dwie godziny miał już za sobą.

1. Zadzwonić do Wardle'a

Notatka znaleziona w mieszkaniu Flick
Wieści na temat policyjnego dochodzenia – jeśli się da
2. Zadzwonić do Izzy
Pokazać jej zdjęcie ukradzionej notatki
Spytać, czy klips do banknotów Freddiego się znalazł
Numer do Tegan
Numer do Raphaela
Wziąć też numer do Delli Winn – jeśli się da
3. Zadzwonić do Barclaya
Przekazać najnowsze wieści
Niech dalej śledzi Jimmy'ego i Flick
Kiedy Jimmy odwiedza Billy'ego?
4. Zadzwonić do szpitala
Spróbować porozmawiać z Billym, kiedy nie będzie Jimmy'ego
5. Zadzwonić do Robin
Niech spróbuje porozmawiać z Raphaelem
6. Zadzwonić do Delli
Spróbować umówić się na rozmowę

Po krótkim zastanowieniu dorzucił ostatni punkt:

7. Kupić herbatę / piwo / chleb

Uporządkował kartki w teczce Chiswella, wyrzucił zawartość przepełnionej popielniczki do kosza, otworzył szerzej okno, żeby wpuścić więcej zimnego, świeżego powietrza, a potem poszedł się wysikać, umył zęby, zgasił światło i wrócił do sypialni, gdzie nadal była włączona lampka do czytania.

Teraz, gdy pod wpływem piwa i zmęczenia jego mechanizmy obronne uległy osłabieniu, wspomnienia, które usiłował zakopać pod nawałem obowiązków, wydostały się na powierzchnię jego umysłu. Kiedy się rozbierał i odczepiał protezę, przyłapał się na tym, że wraca myślami do każdego słowa, które skierowała do niego Charlotte przy stoliku dla dwóch osób we Franco's, że wspomina wyraz jej zielonych oczu, zapach Shalimar dolatujący

spomiędzy czosnkowych restauracyjnych wyziewów, jej szczupłe białe palce obracające pieczywo.

Wsunął się w chłodną pościel i leżał z rękami splecionymi za głową, wpatrując się w ciemność. Żałował, że nie potrafi zachować obojętności, lecz tak naprawdę jego ego przeciągnęło się z rozkoszą na myśl, że Charlotte czytała o sprawach, które przyniosły mu sławę, i że myślała o nim, będąc w łóżku z mężem. Teraz jednak rozsądek i doświadczenie zakasały rękawy, gotowe przeprowadzić na zapamiętanej rozmowie profesjonalną sekcję zwłok, metodycznie odgrzebując charakterystyczne oznaki nieustannego dążenia Charlotte do szokowania oraz jej najwyraźniej niezaspokojoną potrzebę konfliktu.

Porzucenie utytułowanego męża i nowo narodzonych dzieci dla sławnego jednonogiego detektywa z pewnością byłoby szczytowym osiągnięciem w jej karierze siania zamętu. Żywiąc patologiczną wręcz nienawiść do rutyny, odpowiedzialności i zobowiązań, sabotowała wszelką możliwość jakiejkolwiek stabilizacji, zanim przyszło jej się zmierzyć z groźbą nudy i kompromisu. Strike o tym wszystkim wiedział, ponieważ znał ją lepiej niż ktokolwiek inny, i zdawał sobie sprawę, że odeszła od niego dokładnie w chwili, w której należałoby ponieść prawdziwe ofiary i dokonać trudnych wyborów.

Wiedział też jednak – i ta świadomość była jak niemożliwa do zwalczenia bakteria w ranie uniemożliwiająca gojenie się – że kochała go tak, jak nie kochała nikogo innego. Oczywiście sceptyczne dziewczyny i żony jego przyjaciół, zjednoczone w niechęci do Charlotte, powtarzały mu bez końca: „To, co ona ci robi, to nie jest miłość" albo „A tak poważnie, Corm, skąd wiesz, że nie mówi tego samego wszystkim facetom, z którymi się spotyka?". Tamte kobiety uznawały jego przekonanie o miłości

Charlotte za złudzenie albo egotyzm. Nie było ich jednak w chwilach totalnej błogości i obopólnego zrozumienia, które nadal należały do najlepszych momentów w życiu Strike'a. Nie znały dowcipów niezrozumiałych dla żadnej innej istoty oprócz niego i Charlotte ani nie czuły siły, która pchała ich ku sobie przez szesnaście lat.

Odeszła od niego prosto w ramiona innego, starając się, by jej wybór zranił Strike'a jak najmocniej – i rzeczywiście, zabolało go to, dlatego że Ross był jego absolutnym przeciwieństwem i spotykał się z Charlotte, zanim jeszcze Strike ją poznał. Mimo to Cormoran był pewny, że jej ucieczka do Rossa była samospaleniem dokonanym wyłącznie dla spektakularnego efektu, swoistym sati w wykonaniu Charlotte.

Difficile est longum subito deponere amorem,
Difficile est, verum hoc qua lubet efficias.

Jak trudno niedawną miłość jednym gestem przekreślić!
Jak trudno... Za wszelką cenę musisz tego dokonać!

Strike wyłączył światło, zamknął oczy i ponownie pogrążył się w niespokojnych snach o pustym domu, w którym po usunięciu wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość, pozostały jedynie prostokątne niewypłowiałe fragmenty tapety, lecz tym razem chodził po nim sam, mając dziwne wrażenie, że z ukrycia obserwują go czyjeś oczy.

53

I w końcu to wstrząsające – oskarżające kogoś zwycięstwo [...].

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Robin wróciła do domu tuż przed drugą w nocy. Gdy po cichu krzątała się w kuchni, robiąc sobie kanapkę, zauważyła na kalendarzu, że rano Matthew zamierza grać w halową piłkę nożną. Dlatego dwadzieścia minut później, wślizgując się do łóżka, w którym spał, nastawiła budzik w telefonie na ósmą rano, po czym podłączyła komórkę do ładowania. W ramach starań o podtrzymanie przyjaznej atmosfery chciała wstać rano i zobaczyć się z mężem, zanim wyjdzie z domu.

Wydawał się zadowolony, że podjęła wysiłek, żeby zjeść razem z nim śniadanie, ale gdy spytała, czy chce, by pojechała kibicować albo zjadła z nim potem lancz, odrzucił obie propozycje.

– Po południu mam papierkową robotę. Nie chcę pić. Zaraz po meczu wrócę do domu – zapowiedział, więc Robin, która w głębi duszy bardzo się z tego ucieszyła, gdyż była potwornie zmęczona, życzyła mu dobrej zabawy i pocałowała go na pożegnanie.

Starając się nie skupiać na uldze, jaką poczuła, gdy Matthew wyszedł z domu, zajmowała się praniem i innymi obowiązkami, aż po południu, kiedy zmieniała pościel, zadzwonił Strike.

– Cześć – powitała go, z radością porzucając to zajęcie. – Jakieś wieści?

– Mnóstwo. Masz coś do pisania?

– Tak. – Prędko sięgnęła po notes i długopis leżące na toaletce i usiadła na pasiastym materacu.

– Podzwoniłem do paru osób. Najpierw do Wardle'a. Był pod wielkim wrażeniem tego, w jaki sposób znalazłaś tę notatkę...

Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze.

– ...ale ostrzegł mnie, że policja nie będzie patrzyła łaskawym okiem na nasze, jak to ujął, „ładowanie się z buciorami w otwartą sprawę". Poprosiłem, żeby nie mówił, skąd dostał cynk o notatce, ale

chyba dodadzą dwa do dwóch, bo przecież wiedzą, że Wardle jest moim kumplem. To nieuniknione. Co ciekawe, policja nadal zastanawia się nad tymi samymi elementami z miejsca zbrodni co my i poddaje głębszej analizie sytuację finansową Chiswella.

– Szukają dowodów szantażu?

– Tak, ale niczego nie znaleźli, bo Chiswell nikomu nie zapłacił. Interesujące jest to, że w ubiegłym roku dostał niespodziewanie czterdzieści tysięcy funtów w gotówce. Otworzył dla nich osobne konto w banku, a potem najwyraźniej wydał wszystko na remont domu i inne różności.

– D o s t a ł czterdzieści tysięcy?

– Tak. Kinvara i reszta rodziny twierdzą, że nic o tym nie wiedzieli. Mówią, że nie mają pojęcia, skąd się wzięły te pieniądze ani dlaczego Chiswell postanowił otworzyć osobne konto, żeby móc je otrzymać.

– Tyle samo zażądał Jimmy, zanim obniżył cenę – zauważyła Robin. – Dziwne.

– Jeszcze jak. No więc potem zadzwoniłem do Izzy.

– Nie próżnowałeś – stwierdziła Robin.

– Nie usłyszałaś jeszcze nawet połowy. Izzy twierdzi, że nie wie, skąd się wzięło tych czterdzieści tysięcy, ale nie jestem pewny, czy jej wierzę. Spytałem ją o notatkę, którą ukradła Flick. Jest przerażona, że Flick mogła udawać sprzątaczkę jej ojca. Bardzo nią to wstrząsnęło. Chyba po raz pierwszy dopuściła możliwość, że Kinvara jest niewinna.

– Zakładam, że nigdy nie widziała tej tak zwanej Polki.

– Zgadza się.

– Co myśli o samej notatce?

– Ona też uważa, że to wygląda na listę spraw do załatwienia. Przypuszcza, że „suzuki" to grand vitara, która należała do Chiswella.

Żadnych skojarzeń z „matką". Jedyna interesująca rzecz, jaką z niej wydobyłem, wiąże się z „blanc de blanc". Chiswell miał alergię na szampana. Podobno robił się po nim czerwony jak burak i dostawał hiperwentylacji. To dziwne, bo kiedy rano w dniu śmierci Chiswella rozglądałem się w jego kuchni, zauważyłem tam duże puste pudło z napisem „Moët & Chandon".

– Nigdy mi o tym nie wspominałeś.

– Chwilę wcześniej znaleźliśmy zwłoki ministra. Wtedy puste pudło wydawało się raczej mało interesujące i aż do dzisiejszej rozmowy z Izzy nie przyszło mi do głowy, że mogłoby mieć jakikolwiek związek ze sprawą.

– Czy w środku były butelki?

– Z tego, co zauważyłem, nie, a co więcej, rodzina twierdzi, że Chiswell nigdy nie przyjmował tam gości. Skoro nie pił szampana, po co mu było to pudło?

– Chyba nie myślisz, że...

– Właśnie tak myślę – wszedł jej w słowo Strike. – Przypuszczam, że to w tym pudle wniesiono do domu butlę z helem i gumową rurę.

– Rany – westchnęła Robin, kładąc się na niezaścielonym łóżku i patrząc w sufit.

– Całkiem sprytnie. Morderca mógł mu to przysłać w prezencie, wiedząc, że jest bardzo mało prawdopodobne, by Chiswell otworzył pudło z zamiarem wypicia szampana.

– To trochę naciągane – stwierdziła Robin. – Niby dlaczego miałby go nie otworzyć albo nie dać komuś w prezencie?

– Musimy się dowiedzieć, kiedy mu to przysłano – orzekł Strike. – Tymczasem rozwikłała się jedna mała zagadka. Znalazł się klips do banknotów Freddiego.

– Gdzie?

– W kieszeni Chiswella. To był ten złoty błysk na zdjęciu, które zrobiłaś.

– Aha – odrzekła Robin, nie bardzo wiedząc, jaki to ma związek ze sprawą. – Więc widocznie znalazł go przed śmiercią.

– Raczej trudno byłoby mu go znaleźć p o śmierci.

– Ha, ha – odparła sarkastycznie. – Jest jeszcze i n n a ewentualność.

– Że do kieszeni wsunął go morderca? Zabawne, że tak myślisz. Izzy mówi, że była bardzo zaskoczona, kiedy przy zwłokach znaleziono klips. Uważa, że gdyby Chiswell go znalazł, na pewno by jej powiedział. Ponoć kiedy go zgubił, zrobił wielką aferę.

– To prawda – potwierdziła Robin. – Słyszałam, jak wścieka się z tego powodu, rozmawiając przez telefon. Domyślam się, że zdjęli odciski palców.

– No. Nie znaleźli niczego podejrzanego. Należały tylko do niego... ale na tym etapie to bez znaczenia. Jeśli ktoś go zamordował, na pewno włożył rękawiczki. Spytałem Izzy o wygiętą szpadę i okazało się, że mieliśmy rację. To była stara szpada Freddiego. Nikt nie wie, jak to się stało, że się zgięła, ale znaleziono na niej tylko odciski palców Chiswella. Możliwe, że zdjął ją ze ściany, kiedy się upił i zebrało mu się na sentymenty, a potem niechcący na nią nadepnął, ale nie można wykluczyć, że trzymał ją też morderca w rękawiczkach.

Robin westchnęła. Wyglądało na to, że jej radość ze znalezienia notatki była przedwczesna.

– Więc nadal nie mamy żadnych porządnych tropów?

– Poczekaj. Właśnie przechodzę do najlepszego – pocieszył ją Strike. – Izzy udało się zdobyć nowy numer telefonu Tegan Butcher, tej stajennej, która może potwierdzić alibi Kinvary. Chyba podziałasz na nią mniej onieśmielająco niż ja.

Robin zapisała numer podyktowany przez Strike'a.

– A kiedy już porozmawiasz z Tegan, zadzwoń do Raphaela – polecił Strike, podając jej drugi numer, który dostał od Izzy. – Chcę raz na zawsze ustalić, co porabiał rano w dniu śmierci ojca.

– Załatwione – powiedziała Robin, ciesząc się, że ma coś konkretnego do roboty.

– Barclay dalej będzie się zajmował Jimmym i Flick – dodał Strike – a ja... – Zrobił małą pauzę, celowo dodając słowom dramatyzmu, i Robin się roześmiała.

– A ty...

– ...zamierzam porozmawiać z Billym Knightem i Dellą Winn.

– Co? – zdziwiła się Robin. – Jak zamierzasz się dostać do szpita...? A o n a nigdy nie zgodzi się z tobą ro...

– I tu się mylisz – przerwał jej Strike. – Izzy odkopała dla mnie w dokumentach Chiswella numer telefonu Delli. Przed chwilą do niej zadzwoniłem. Przyznaję, myślałem, że każe mi się odwalić...

– Wydaje mi się, że ujęłaby to w nieco kulturalniejszy sposób – wtrąciła Robin.

– ...i początkowo wszystko wskazywało na to, że właśnie taki ma zamiar – przyznał Strike – ale okazało się, że Aamir zniknął.

– Co? – zaniepokoiła się Robin.

– Spokojnie. „Zniknął" to określenie Delli. Tak naprawdę przedwczoraj złożył wypowiedzenie i wyprowadził się z domu, więc trudno go uznać za osobę zaginioną. Nie odbiera telefonów od niej. Della ma o to pretensje do mnie, dlatego że, jak to ujęła, „ładnie go urządziłem", kiedy przyszedłem z nim porozmawiać. Twierdzi, że Mallik jest bardzo wrażliwy i jeśli zrobi sobie coś złego, to będzie moja wina. Więc...

– Zaproponowałeś, że go znajdziesz, jeśli Della odpowie na twoje pytania?

– Otóż to – potwierdził Strike. – Skwapliwie skorzystała z oferty. Mówi, że będę mógł go zapewnić, że nie wpadł w tarapaty i że żadne nieprzyjemne informacje, które mogłem usłyszeć na jego temat, nie zostaną przekazane dalej.

– Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku – powiedziała zatroskana Robin. – N a p r a w d ę mnie nie lubił, ale to tylko dowodzi, że był od nich wszystkich mądrzejszy. Na kiedy jesteś umówiony z Dellą?

– Na dzisiaj o siódmej w jej domu w Bermondsey. A jutro po południu, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będę rozmawiał z Billym. Spytałem Barclaya i ustalił, że Jimmy nie wybiera się wtedy z wizytą, więc zadzwoniłem do szpitala. Czekam, aż psychiatra Billy'ego oddzwoni i potwierdzi wizytę.

– Myślisz, że pozwolą ci go przesłuchać?

– Tak, chyba się zgodzą, ale będą przy tym obecni. Są ciekawi, jak się zachowa podczas rozmowy ze mną. Znowu bierze leki i bardzo mu się poprawiło, ale wciąż opowiada o uduszonym dziecku. Jeśli zespół psychiatrów nie będzie miał nic przeciwko temu, wpuszczą mnie na oddział zamknięty.

– Wspaniale. Dobrze, że mamy się czym zająć. Bóg mi świadkiem, że przydałby się nam jakiś przełom, nawet jeśli nikt nam nie płaci za dochodzenie w sprawie tej śmierci – dodała z westchnieniem.

– Możliwe, że na dnie historyjki Billy'ego nie ma żadnego morderstwa – odrzekł Strike – ale jeśli nie poznamy prawdy, nie da mi to spokoju. Niedługo ci opowiem, jak mi poszło z Dellą.

Robin życzyła mu powodzenia, pożegnała się i rozłączyła, lecz dalej leżała na niezasłanym łóżku. Kilka sekund później powiedziała na głos:

– *Blanc de blancs*.

Znowu poczuła, jak w głębi jej pamięci coś się przesuwa, wywołując falę przygnębienia. Gdzie, na litość boską, zetknęła się z tą nazwą i czuła się przybita?

– *Blanc de blancs* – powtórzyła, wstając z łóżka. – *Blanc de*... aua!

Nadepnęła bosą stopą na coś małego i bardzo ostrego. Schyliła się i podniosła pozbawiony zapięcia kolczyk typu sztyft z brylantem.

Początkowo tylko się w niego wpatrywała, jej puls nie przyspieszył. Kolczyk nie należał do niej. Nie miała kolczyków z brylantami. Zastanawiała się, dlaczego na niego nie nadepnęła, kładąc się w środku nocy obok śpiącego Matthew. Może postawiła stopę w innym miejscu albo, co bardziej prawdopodobne, kolczyk leżał na łóżku i spadł dopiero, gdy zdjęła prześcieradło.

Oczywiście na świecie było wiele kolczyków z brylantami. Pozostawało jednak faktem, że para, na którą Robin zwróciła uwagę w ostatnim czasie, należała do Sarah Shadlock. Sarah miała takie kolczyki w uszach podczas ich ostatniej wspólnej kolacji, wtedy gdy Tom zaatakował Matthew z nagłą i pozornie nieuzasadnioną agresją.

Przez nieco ponad minutę, która zdawała się trwać bardzo długo, Robin siedziała i wpatrywała się w kolczyk w swojej dłoni. Potem ostrożnie położyła go na szafce nocnej, sięgnęła po komórkę, weszła w ustawienia, wyłączyła identyfikację numeru dzwoniącego, po czym wybrała numer Toma.

Odebrał po dwóch sygnałach, wydawał się niezadowolony. W tle prezenter telewizyjny zastanawiał się głośno, jak będzie wyglądała zbliżająca się ceremonia zakończenia igrzysk.

– Tak? Słucham?

Rozłączyła się. Tom nie brał udziału w meczu. Robin siedziała dalej, nieruchomo, z telefonem w dłoni, na ciężkim małżeńskim

łożu, które tak trudno było wnieść po wąskich schodach tego uroczego wynajętego domu, a jej myśli wracały do wyraźnych znaków, które ona, detektyw, tak uparcie ignorowała.

– Ale ze mnie idiotka – powiedziała cicho do pustego, słonecznego pokoju. – C h o l e r n a idiotka.

54

Wszyscy tutaj znają i cenią twoje łagodne i zacne usposobienie – twój jasny i precyzyjny sposób myślenia, szlachetność i nieskazitelną uczciwość.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Mimo że wcześnie wieczorem było jeszcze jasno, ogród przed domem Delli tonął w cieniu tworzącym łagodną, melancholijną atmosferę, która kontrastowała z ruchliwą, brudną drogą biegnącą przed bramą. Gdy Strike zadzwonił do drzwi, zauważył dwie psie kupy na trawniku, który poza tym wyglądał nieskazitelnie, i zaczął się zastanawiać, kto pomaga Delli w wykonywaniu przyziemnych obowiązków, odkąd jej małżeństwo dobiegło końca.

Drzwi się otworzyły, ukazując minister sportu w nieprzeniknionych czarnych okularach. Miała na sobie coś, co starszawa ciotka Strike'a w Kornwalii nazwałaby podomką: zapięty aż pod szyję i sięgający do kolan szlafrok z purpurowego polaru, który nadawał jej lekko klerykalny wygląd. Pies przewodnik stał za nią i patrzył na Strike'a ciemnymi, smutnymi oczami.

– Dzień dobry, nazywam się Cormoran Strike – przedstawił się detektyw, stojąc w miejscu. Zważywszy na to, że nie mogła go

zobaczyć ani zidentyfikować na podstawie dokumentów tożsamości, jedyną wskazówką podpowiadającą jej, kogo wpuszcza do domu, był jego głos. – Rozmawialiśmy przez telefon i prosiła pani, żebym przyjechał.

– Tak – potwierdziła, nie uśmiechając się. – Zapraszam do środka.

Trzymając labradorkę za obrożę, odsunęła się, żeby go wpuścić. Strike wszedł, wytarłszy buty w wycieraczkę. Fala muzyki, głośnych instrumentów smyczkowych i dętych przedzierała się przez dudnienie kotłów dobiegające z pomieszczenia, które, jak przypuszczał, było salonem. Strike, wychowany przez matkę słuchającą przede wszystkim heavy metalu, miał nikłe pojęcie o muzyce klasycznej, ale w tym utworze wyczuł coś groźnego i złowrogiego, co nie do końca mu się podobało. W przedpokoju było ciemno, nikt nie włączył światła. Poza tym wystrój nie odznaczał się niczym szczególnym: dywan w ciemnobrązowy wzór, choć praktyczny, wyglądał dość brzydko.

– Zaparzyłam kawę – oznajmiła Della. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, poproszę pana o zaniesienie tacy do salonu.

– Żaden problem – powiedział Strike.

Poszedł za labradorką, która człapała za Dellą, lekko machając ogonem. Gdy mijali salon, symfonia przybrała na sile. Przechodząc obok drzwi, Della musnęła dłonią framugę, określając położenie znajomych punktów, żeby zorientować się w terenie.

– To Beethoven? – spytał Strike, żeby przerwać milczenie.

– Brahms. Pierwsza symfonia c-moll.

Wszystkie powierzchnie w kuchni miały zaokrąglone rogi. Strike zauważył, że do kurków piekarnika przyklejono wypukłe cyfry. Na korkowej tablicy wisiała lista numerów telefonów zatytułowana DZWONIĆ W NAGŁYM WYPADKU, która, jak przypuszczał, została tam umieszczona na użytek sprzątaczki albo

pomocy domowej. Gdy Della szła w stronę blatu, Strike wyjął komórkę z kieszeni płaszcza i pstryknął zdjęcie numeru telefonu Gerainta Winna. Wyciągnięta ręka Delli dosięgła krawędzi głębokiego ceramicznego zlewu i pani minister przesunęła się w bok, gdzie stała już taca z kubkiem i świeżo zaparzoną kawą w kawiarce. Obok zauważył dwie butelki wina. Della wzięła je po omacku, odwróciła się i uniosła w stronę Strike'a, nadal się nie uśmiechając.

– Które jest które? – spytała.

– Châteauneuf-du-Pape z dwa tysiące dziesiątego w pani lewej ręce – odrzekł Strike – a w prawej Château Musar z dwa tysiące szóstego.

– Wypiłabym kieliszek Châteauneuf-du-Pape, jeśli zechciałby pan otworzyć butelkę i nalać. Założyłam, że nie będzie pan miał ochoty na alkohol, ale jeśli tak, proszę się częstować.

– Dziękuję – powiedział Strike, biorąc korkociąg, który położyła obok tacy. – Wystarczy kawa.

Bez słowa ruszyła w stronę salonu, a jemu pozostało podążyć za nią z tacą. Gdy wszedł do pokoju, poczuł mocny zapach róż i na chwilę przypomniała mu się Robin. Della muskała meble opuszkami palców, zmierzając po omacku w stronę fotela z szerokimi drewnianymi podłokietnikami. Zobaczył cztery olbrzymie bukiety kwiatów umieszczone w wazonach w różnych miejscach salonu, urozmaicające ogólną burość pomieszczenia jaskrawą czerwienią, żółcią i różem.

Przycisnąwszy tylną część nóg do fotela, żeby zająć odpowiednią pozycję, Della zgrabnie usiadła, po czym zwróciła twarz w stronę Strike'a, który stawiał tacę na stoliku.

– Zechciałby pan postawić mój kieliszek na prawym podłokietniku fotela? – spytała, lekko stukając dłonią w to miejsce.

Spełnił jej prośbę, a labradorka, która klapnęła obok Delli, obserwowała go życzliwymi, zaspanymi oczami.

Gdy Strike usiadł, dźwięki skrzypiec w symfonii uniosły się i opadły. Od płowego dywanu po meble, prawdopodobnie zaprojektowane w latach siedemdziesiątych, wszystko w salonie było utrzymane w odcieniach brązu. Pół jednej ściany zasłaniały wbudowane regały z płytami kompaktowymi, których musiało tam być co najmniej tysiąc. Na stole w głębi salonu leżał stos książek zadrukowanych alfabetem Braille'a. Olbrzymie, oprawione w ramkę zdjęcie nastolatki stało na gzymsie kominka. Strike uświadomił sobie, że jej matka nie może nawet zaznać zaprawionej kroplą goryczy pociechy towarzyszącej codziennemu patrzeniu na Rhiannon Winn, i poczuł, jak przepełnia go kłopotliwe współczucie.

– Ładne kwiaty – rzucił.

– Tak. Kilka dni temu były moje urodziny – powiedziała Della.

– Aha. Wszystkiego najlepszego.

– Pochodzi pan z West Country?

– Tak. Z Kornwalii.

– Słyszę to w pana samogłoskach – odrzekła Della.

Zaczekała, aż Strike upora się z kawiarką i naleje sobie kawy. Gdy odgłosy pobrzękiwania i nalewania ucichły, podjęła:

– Jak już mówiłam przez telefon, bardzo się martwię o Aamira. Na pewno nadal jest w Londynie, bo spędził tu całe życie. Ale nie przebywa u rodziny – dodała i Strike odniósł wrażenie, że zabrzmiała w tym nutka pogardy. – Strasznie się o niego niepokoję.

Ostrożnie podniosła stojący obok kieliszek wina i upiła łyk.

– Kiedy już go pan zapewni, że nie wpadł w żadne kłopoty i że nikomu nie powtórzy pan tego, co powiedział panu o nim

Chiswell, proszę koniecznie dodać, żeby się ze mną skontaktował. Jak najszybciej.

Skrzypce nadal wyjękiwały zawodzącą melodię, która niewprawnemu uchu Strike'a kojarzyła się z dysharmonijnym wyrazem złych przeczuć. Pies przewodnik podrapał się, stukając łapą w dywan. Strike wyjął notes.

– Zna pani nazwiska albo dane kontaktowe jakichś przyjaciół, u których Mallik mógł się zatrzymać?

– Nie – odparła Della. – Wątpię, żeby miał wielu przyjaciół. Niedawno wspomniał o kimś ze studiów, ale nie przypominam sobie nazwiska. Nie wydaje mi się, żeby to był ktoś szczególnie mu bliski. – Myśl o tym dalekim przyjacielu budziła w niej chyba pewien niepokój. – Studiował w London School Of Economics, więc dobrze zna tamtą część Londynu.

– Ma dobre relacje z jedną z sióstr, prawda?

– Och, nie – zaprzeczyła prędko Della. – Nie, nie, oni wszyscy się go wyrzekli. Aamir nie ma nikogo, naprawdę, nikogo oprócz mnie, i właśnie dlatego ta sytuacja jest tak niepokojąca.

– Jego siostra zamieściła niedawno zdjęcie na Facebooku, na którym widać ich razem. Spotkali się w tej pizzerii naprzeciwko pani domu.

Mina Delli zdradziła nie tylko zaskoczenie, ale i niezadowolenie.

– Aamir mi mówił, że będzie pan węszył w internecie. Która to siostra?

– Musiałbym spraw...

– Wątpię, żeby się u niej zatrzymał – przerwała Della. – Nie po tym, jak został potraktowany przez całą rodzinę. Ale być może r z e c z y w i ś c i e się z nią skontaktował. Może pan ją spytać, czy coś wie.

– Spytam – zapewnił ją Strike. – Domyśla się pani, dokąd jeszcze mógł pójść?

– On naprawdę nikogo więcej nie ma – odparła. – Właśnie dlatego się martwię. Jest zupełnie bezbronny. Koniecznie muszę go znaleźć.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał Strike. – Mówiła pani przez telefon, że odpowie na kilka pytań.

Jej mina stała się trochę bardziej nieprzystępna.

– Wątpię, żebym mogła panu powiedzieć coś interesującego, ale niech pan pyta.

– Możemy zacząć od Jaspera Chiswella oraz stosunków, jakie go łączyły z panią i pani mężem?

Wyraz twarzy Delli wskazywał, że to pytanie jest impertynenckie i zarazem trochę niedorzeczne. Z chłodnym uśmiechem uniosła brwi i odrzekła:

– No cóż, z Jasperem łączyły mnie oczywiście stosunki zawodowe.

– I jak się układały? – spytał Strike, dodając cukru do kawy. Zamieszał i upił łyk.

– Biorąc pod uwagę to – odparła Della – że Jasper zlecił panu szukanie kompromitujących informacji na nasz temat, chyba już zna pan odpowiedź na to pytanie.

– Więc utrzymuje pani, że pani mąż nie szantażował Chiswella?

– Oczywiście, że nie.

Strike wiedział, że wnikanie w tę kwestię po tym, jak ustanowiony z inicjatywy Delli zakaz pisania o sprawie dowiódł, po jakie środki jest gotowa sięgnąć w swojej obronie, tylko by ją do niego zraziło. Poczuł, że wskazane jest chwilowe wycofanie sił.

– A reszta Chiswellów? Miała pani okazję ich poznać?

– Niektórych – odrzekła trochę nieufnie.

– I jakie zrobili na pani wrażenie?

– Prawie ich nie znam. Geraint mówi, że Izzy była pracowita.

– Zdaje się, że nieżyjący syn Chiswella trenował razem z pani córką szermierkę w reprezentacji Wielkiej Brytanii w kategorii juniorów.

Mięśnie jej twarzy jakby się skurczyły. Skojarzyła mu się z ukwiałem, który zamyka się, gdy wyczuwa drapieżnika.

– Tak.

– Lubiła pani Freddiego?

– Chyba nigdy z nim nie rozmawiałam. To Geraint woził Rhiannon po turniejach. On znał członków drużyny.

Cienie łodyg róż umieszczonych najbliżej okna rozciągały się na dywanie niczym kraty. W tle dudniła burzliwa symfonia Brahmsa. Nieprzezroczyste szkła okularów Delli potęgowały atmosferę tajemniczego zagrożenia i Strike, choć wcale się nie bał, pomyślał o ślepych wyroczniach i jasnowidzach występujących w starożytnych mitach oraz o szczególnej nadprzyrodzonej aurze przypisywanej przez pełnosprawnych ludzi temu konkretnemu rodzajowi upośledzenia.

– Co pani zdaniem skłoniło Jaspera Chiswella do tak intensywnego szukania kompromitujących państwa informacji?

– Nie lubił mnie – odparła z prostotą. – Często się spieraliśmy. Wywodził się ze środowiska, które uważa za podejrzane, nienaturalne, a nawet niebezpieczne wszystko, co wykracza poza jego własne konwenanse. Był bogatym białym konserwatystą, panie Strike, i uważał, że korytarzami władzy powinni chadzać wyłącznie bogaci biali konserwatyści. Wszędzie starał się przywrócić status quo, które pamiętał z czasów swojej młodości. Dążąc do tego celu, często działał bez skrupułów, i z całą pewnością był hipokrytą.

– W jakim sensie?

– Niech pan spyta jego żonę.

– Zna pani Kinvarę?

– Nie powiedziałabym, że ją „znam". Jakiś czas temu miałam okazję się z nią spotkać i to zdarzenie bez wątpienia byłoby bardzo interesujące w kontekście publicznych deklaracji Chiswella dotyczących świętości małżeństwa.

Strike odniósł wrażenie, że mimo podniosłego stylu i szczerego zaniepokojenia o Aamira Della czerpie przyjemność z wypowiadania tych słów.

– Co się stało? – spytał.

– Pewnego dnia Kinvara zjawiła się niespodziewanie w ministerstwie późnym popołudniem, ale Jasper pojechał już do Oxfordshire. Chyba chciała mu zrobić niespodziankę.

– Kiedy to było?

– Zdaje się, że... co najmniej rok temu. Chyba niedługo przed przerwą wakacyjną. Była bardzo zdenerwowana. Usłyszałam hałas na zewnątrz i poszłam sprawdzić, co się dzieje. Sądząc po ciszy, jaka zapanowała w open spasie, wszystkich zamurowało. Nie panowała nad sobą, domagała się spotkania z mężem. Początkowo myślałam, że chce mu przekazać jakąś złą nowinę i być może szuka u Jaspera pociechy albo wsparcia. Zaprosiłam ją do swojego gabinetu. Kiedy zostałyśmy same, zupełnie się załamała. Mówiła całkiem nieskładnie, ale z tego, co zdołałam zrozumieć – ciągnęła Della – właśnie się dowiedziała, że Jasper ma inną.

– Powiedziała kogo?

– Nie wydaje mi się. Możliwe, że to zrobiła, ale zachowywała się... Cóż, to było bardzo niepokojące – oznajmiła krótko Della. – Jakby rozpaczała z powodu żałoby, a nie końca małżeństwa.

„Byłam tylko pionkiem w jego grze", „nigdy mnie nie kochał" i tak dalej.

– Jaką grę miała według pani na myśli? – spytał Strike.

– Przypuszczam, że polityczną. Mówiła, że została upokorzona, że, jak to ujęła, wykorzystał ją w określonym celu... Widzi pan, Jasper Chiswell był bardzo ambitnym człowiekiem. Raz stracił stanowisko z powodu niewierności. Przypuszczam, że z wyrachowaniem rozglądał się za nową żoną, która poprawiłaby jego wizerunek. Zabrakło włoskich kombinatorek, więc starał się wrócić do rządu. Pewnie uznał, że Kinvara spodoba się lokalnym konserwatystom: dobrze urodzona, wielbicielka koni. Później się dowiedziałam, że wkrótce zamknął ją w jakiejś klinice psychiatrycznej. Takie rodziny jak Chiswellowie chyba właśnie w ten sposób radzą sobie z nadmiarem emocji. – Della upiła kolejny łyk wina. – Mimo to została z nim. Oczywiście ludzie zostają, nawet jeśli są traktowani w ohydny sposób. Mówił o niej jak o ułomnym, kapryśnym dziecku, sama słyszałam. Pamiętam, jak wspomniał, że matka Kinvary będzie ją „niańczyła" w dniu jej urodzin, dlatego że on musiał zostać w parlamencie na głosowaniu. Mógł sparować swój głos: znaleźć jakiegoś posła laburzystów i zawrzeć z nim umowę, żeby też nie przyszedł. Po prostu mu się nie chciało. Takie kobiety jak Kinvara Chiswell, których całe poczucie własnej wartości opiera się na statusie i sukcesie małżeństwa, są zdruzgotane, kiedy wszystko bierze w łeb. Myślę, że te jej konie to tylko ujście, substytut i... A, tak – urwała nagle – właśnie sobie przypomniałam: tamtego dnia powiedziała mi na koniec, że na domiar złego po powrocie do domu będzie musiała uśpić ukochaną klacz. – Della wyciągnęła rękę w stronę szerokiego, miękkiego łba Gwynn, która leżała obok fotela. – Wtedy zrobiło mi się jej bardzo żal. Zwierzęta

przez całe życie były mi wielką pociechą. Czasami trudno przecenić poczucie komfortu, jakie zapewniają.

Strike zauważył, że na dłoni głaszczącej psa nadal widnieją obrączka oraz ciężki pierścionek z ametystem w kolorze podomki. Ktoś, przypuszczalnie Geraint, musiał jej powiedzieć, że są w tym samym odcieniu. Uświadomiwszy to sobie, Strike, chcąc nie chcąc, poczuł ukłucie litości.

– Czy Kinvara powiedziała, jak albo kiedy odkryła niewierność męża?

– Nie, nie, po prostu dała ujście chaotycznej fali wściekłości i smutku, całkiem jak mała dziewczynka. Ciągle powtarzała: „Kochałam go, a on mnie nie, to wszystko było kłamstwem". Nigdy nie widziałam tak gwałtownej eksplozji smutku, nawet na pogrzebie czy na łożu śmierci. Potem już więcej z nią nie rozmawiałam, mówiłyśmy sobie tylko dzień dobry. Zachowywała się, jakby nie pamiętała, co wtedy zaszło.

Della znowu napiła się wina.

– Możemy wrócić do Mallika? – spytał Strike.

– Oczywiście – zgodziła się natychmiast.

– Rano w dniu śmierci Jaspera Chiswella... trzynastego... była pani tutaj, w domu?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Dlaczego mnie pan o to pyta? – odezwała się Della zmienionym głosem.

– Dlatego że chciałbym zweryfikować zebrane dotąd informacje – odparł Strike.

– Chce pan wiedzieć, czy tego ranka był tu Aamir?

– Właśnie.

– No cóż, był. Spadłam ze schodów i zwichnęłam rękę w nadgarstku. Wezwałam Aamira, a on przyszedł. Chciał, żebym

pojechała na pogotowie, ale nie było potrzeby. Mogłam ruszać wszystkimi palcami. Po prostu potrzebowałam pomocy przy przygotowaniu śniadania i tak dalej.

– To p a n i zadzwoniła do Mallika?

– Słucham?

Było to stare jak świat, wiele mówiące „słucham?" osoby, która boi się, że popełniła błąd. Strike czuł, że za ciemnymi okularami kłębią się teraz gwałtownie myśli.

– To p a n i zadzwoniła do Aamira?

– Czemu pan pyta? On mówił coś innego?

– Twierdzi, że pani mąż osobiście po niego przyszedł.

– Ach – powiedziała Della. – Tak, oczywiście. Zapomniałam.

– Zapomniała pani? – spytał łagodnie Strike. – A może tylko potwierdza pani ich bajeczkę?

– Zapomniałam – powtórzyła zdecydowanie. – Mówiąc, że go „wezwałam", nie miałam na myśli rozmowy przez telefon. Chciałam powiedzieć, że posłałam po niego Geraint.

– Ale czy skoro Geraint tu był, kiedy spadła pani ze schodów, nie mógł sam pani pomóc w przygotowaniu śniadania?

– Chyba chciał, żeby Aamir nakłonił mnie do pojechania na pogotowie.

– Racja. Więc to Geraint wpadł na pomysł, żeby sprowadzić Aamira, nie pani?

– Teraz już nie pamiętam – powiedziała, lecz po chwili zaprzeczyła sobie samej. – Upadek był dość poważny. Geraint ma chory kręgosłup, to oczywiste, że potrzebował pomocy, więc pomyślałam o Aamirze, a potem obaj mnie męczyli, żebym pojechała na pogotowie, tylko że nie było potrzeby. Zwykłe zwichnięcie.

Za firankami słabło światło. W czarnych szkłach Delli odbijała się neonowa czerwień słońca gasnącego nad dachami budynków.

– Okropnie się niepokoję o Aamira – powtórzyła nerwowo.

– Jeszcze tylko parę pytań i skończymy – zapewnił ją Strike. – Jasper Chiswell w pomieszczeniu pełnym ludzi rzucił aluzję, że ma informacje kompromitujące Mallika. Co może mi pani powiedzieć na ten temat?

– No cóż – odezwała się cicho Della. – To właśnie po tej rozmowie Aamir zaczął myśleć o zrezygnowaniu z pracy. Czułam, jak się ode mnie oddala. A potem p a n dopełnił dzieła, prawda? Poszedł pan do niego do domu, żeby dalej z niego drwić.

– Pani minister, z nikogo nie drwiłem...

– *Liwat*. Panie Strike, czy przebywając na Bliskim Wschodzie, poznał pan znaczenie tego słowa?

– Tak, wiem, co to znaczy – odparł rzeczowo Strike. – Sodomia. Zdaje się, że Chiswell groził Aamirowi demaskacją...

– Zapewniam pana, że ujawnienie prawdy nie wyrządziłoby Aamirowi najmniejszej krzywdy! – zacietrzewiła się Della. – Nie żeby to miało jakiekolwiek znaczenie, ale tak się składa, że Aamir nie jest gejem!

Symfonia Brahmsa podążała swym ponurym i momentami złowieszczym kursem, instrumenty dęte i skrzypce prześcigały się w działaniu Strike'owi na nerwy.

– Chce pan poznać prawdę? – spytała głośno Della. – Aamir sprzeciwił się obmacywaniu i napastowaniu przez wyższego urzędnika służby cywilnej, którego niestosowne zachowanie wobec młodych mężczyzn przewijających się przez jego gabinet jest tajemnicą poliszynela, a nawet tematem żartów! A gdy wszechstronnie wykształcony młody muzułmanin traci panowanie nad sobą i wymierza policzek starszemu urzędnikowi służby cywilnej, jak pan myśli, którego z nich obsmarowuje się i piętnuje?

Jak pan myśli, który pada ofiarą poniżających plotek i zostaje zmuszony do odejścia z pracy?

– Domyślam się, że n i e sir Christopher Barrowclough-Burns.

– Skąd pan wie, o kim mówię? – zapytała ostro Della.

– Pozostał na stanowisku, prawda? – odparł Strike, ignorując pytanie.

– Oczywiście, że tak! Wszyscy wiedzą o jego n i e w i n n y c h zwyczajach, ale nikt nie chce mówić o tym publicznie. Od lat próbuję coś zdziałać w sprawie Barrowclougha-Burnsa. Kiedy usłyszałam, że Aamir odszedł w niejasnych okolicznościach z programu stażowego wspierającego różnorodność rasową, postanowiłam go odnaleźć. Gdy do niego dotarłam, był w opłakanym, absolutnie opłakanym stanie. Oprócz tego, że przekreślono coś, co miało wszelkie zadatki na błyskotliwą karierę, jakiś jego złośliwy kuzyn usłyszał plotki i rozpuścił pogłoskę, jakoby Aamira zwolniono za oddawanie się w pracy czynnościom homoseksualnym. No cóż, ojciec Aamira nie należy do ludzi, którzy spoglądają życzliwym okiem na syna geja. Wcześniej Aamir opierał się naciskom rodziców dążących do jego ślubu z jakąś dziewczyną, którą uznali za odpowiednią kandydatkę na jego żonę. Wybuchła okropna kłótnia i doszło do zupełnego rozłamu. W ciągu dwóch tygodni ten młody, błyskotliwy mężczyzna stracił wszystko: rodzinę, dom i pracę.

– Wkroczyła pani do akcji?

– Mieliśmy z Geraintem niezamieszkaną nieruchomość tuż za rogiem. Dawniej zajmowały ją nasze matki. Żadne z nas nie ma rodzeństwa. Trudno nam było opiekować się matkami, przebywając w Londynie, więc sprowadziliśmy je z Walii i zamieszkały razem. Matka Gerainta zmarła dwa lata temu, moja w tym roku, więc dom

stał pusty. Nie musieliśmy go wynajmować. Zaproszenie do niego Aamira wydawało się bardzo rozsądnym rozwiązaniem.

– I była to tylko bezinteresowna uprzejmość? Nie myśleli państwo, że mógłby się przydać, gdy dawali mu państwo pracę i mieszkanie?

– Jak to „przydać"? To bardzo inteligentny młody człowiek, w każdym gabinecie byłby...

– Pani minister, pani mąż naciskał na Aamira, żeby zdobył w Ministerstwie Spraw Zagranicznych informacje obciążające Jaspera Chiswella. Zdjęcia. Naciskał, żeby Aamir poszedł po te zdjęcia do sir Christophera.

Della sięgnęła po kieliszek z winem, jej palce nie trafiły w nóżkę i knykcie uderzyły w szkło. Strike rzucił się do przodu, żeby złapać kieliszek, lecz było za późno: ślad czerwonego wina w kształcie bicza nakreślił w powietrzu parabolę i rozprysł się na beżowym dywanie, a obok niego spadł z głuchym stukotem kieliszek. Gwynn wstała i z umiarkowanym zainteresowaniem podeszła, żeby obwąchać powiększającą się plamę.

– Bardzo źle to wygląda? – spytała niespokojnie Della, zaciskając palce na podłokietnikach fotela i zwracając twarz ku podłodze.

– Nie najlepiej – powiedział Strike.

– Sól... Proszę, niech pan to zasypie solą. Jest w szafce po prawej stronie kuchenki!

Po wejściu do kuchni Strike włączył światło i po raz pierwszy zwrócił uwagę na coś dziwnego, czego wcześniej nie zauważył: na kopertę położoną wysoko na wiszącej szafce po prawej stronie – za wysoko, by Della mogła do niej dosięgnąć. Szybko wyjął sól z szafki i podszedł, żeby przeczytać pojedyncze słowo widniejące na kopercie: „Geraint".

– Po prawej stronie kuchenki! – zawołała w salonie nieco roztrzęsiona Della.

– A, po prawej! – odkrzyknął Strike, po czym złapał za kopertę i ją otworzył.

W środku był rachunek z zakładu stolarskiego Kennedy Bros, za wymianę drzwi do łazienki. Strike polizał palec, zwilżył krawędź skrzydełka koperty, zakleił ją najdokładniej, jak się dało, i odłożył tam, gdzie znalazł.

– Przepraszam – usprawiedliwił się, wracając do salonu. – Stała wprost przede mną, a ja jej nie widziałem.

Odkręcił zakrętkę kartonowej tuby i obficie posypał purpurową plamę solą. Gdy wstał, wątpiąc w skuteczność tego domowego remedium, symfonia Brahmsa dobiegła końca.

– Posypał pan? – szepnęła w ciszy Della.

– Tak. – Strike patrzył, jak wino wsiąka w biel, zmieniając ją w brudną szarość. – Ale chyba i tak będzie pani musiała wyprać dywan.

– Ojej... Kupiliśmy go dopiero w tym roku.

Wydawała się mocno wzburzona, choć Strike miał wątpliwości, czy wyłącznie z powodu rozlanego wina. Gdy wrócił na kanapę i postawił sól obok kawy, znów popłynęła muzyka, tym razem jakaś węgierska aria, niewiele bardziej odprężająca niż symfonia, a do tego dziwnie histeryczna.

– Dolać pani wina?

– Czy... Tak, chyba poproszę – odrzekła.

Znów napełnił kieliszek i włożył go prosto do jej ręki. Wypiła trochę, po czym odezwała się drżącym głosem:

– Panie Strike, skąd pan wie o tym, co mi pan przed chwilą powiedział?

– Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie, ale zapewniam panią, że to prawda.

– M u s i pan znaleźć Aamira – oznajmiła, ściskając kieliszek obiema dłońmi. – Jeśli myślał, że zgodziłam się na to, by Geraint kazał mu iść do Barrowclougha-Burnsa i prosić o przysługę, to nic dziwnego, że...

Wyraźnie traciła panowanie nad sobą. Próbowała odstawić wino na podłokietnik, lecz zanim jej się to udało, musiała znaleźć go po omacku drugą ręką. Cały czas z niedowierzaniem lekko potrząsała głową.

– Nic dziwnego, że co? – spytał cicho Strike.

– Zarzucił mi, że go przytłaczam... kontroluję... No cóż, oczywiście, to wszystko wyjaśnia... Byliśmy ze sobą tak blisko... Pan by tego nie zrozumiał... Trudno to wytłumaczyć... Ale to niezwykłe, jak szybko staliśmy się... no cóż, staliśmy się rodziną. Wie pan, czasami między ludźmi od razu rodzi się sympatia... więź, która w normalnych okolicznościach musiałaby powstawać przez długie lata. Ale w ciągu ostatnich kilku tygodni wszystko się zmieniło... czułam to... To się zaczęło, kiedy Chiswell zadrwił z niego przy ludziach... Aamir się ode mnie odsunął. Jakby przestał mi ufać... Powinnam była się domyślić... Boże... powinnam była się domyślić... Musi pan go znaleźć, musi pan...

Być może, pomyślał Strike, siła jej naglącej potrzeby miała podłoże seksualne i być może na jakimś podświadomym poziomie rzeczywiście zabarwiała ją słabość do młodzieńczej męskości Aamira. Ale gdy Rhiannon Winn patrzyła na nich otoczona tanią pozłacaną ramką, z uśmiechem, który nie obejmował jej szeroko osadzonych zalęknionych oczu, a na jej zębach połyskiwał ciężki aparat ortodontyczny, Strike uznał za znacznie bardziej prawdopodobne, że Della jest kobietą owładniętą czymś, czego tak

wyraźnie brakowało Charlotte: palącym, niezaspokojonym instynktem macierzyńskim, podszytym – w wypadku Delli – nieukojonym żalem.

– Jeszcze to – szepnęła. – J e s z c z e t o. Czy jest coś, czego ten człowiek nie popsuł?

– Mówi pani o...

– O moim mężu! – odparła machinalnie. – A niby o kim. Moja fundacja... nasza fundacja... Ale o tym pewnie pan już wie. To pan powiadomił Chiswella o brakujących dwudziestu pięciu tysiącach, prawda? I jeszcze o kłamstwach, o tych głupich kłamstwach, które Geraint opowiadał ludziom. David Beckham, Mo Farah... o tych wszystkich obietnicach bez pokrycia.

– To akurat odkryła moja wspólniczka.

– Nikt mi nie uwierzy – ciągnęła rozkojarzona Della – ale nie miałam o tym pojęcia, nic nie wiedziałam. Z powodu przygotowań do paraolimpiady opuściłam ostatnie cztery posiedzenia zarządu. Geraint powiedział mi prawdę, dopiero kiedy Chiswell zagroził, że pójdzie z tym do gazet. Nawet wtedy twierdził, że to wina księgowego, ale przysięgał, że cała reszta to nieprawda. Przysięgał na grób swojej matki.

Z roztargnieniem obracała obrączkę na palcu.

– Przypuszczam, że ta pańska przeklęta wspólniczka dotarła też do Elspeth Lacey-Curtis.

– Obawiam się, że tak – skłamał Strike, uznając, że warto zaryzykować. – Tego też pani mąż się wyparł?

– Jeśli powiedział coś, co wprawiło dziewczęta w zakłopotanie, to potem czuł się z tego powodu okropnie. Przysięgał, że nie doszło do niczego więcej, że nie było żadnego dotykania, tylko parę pikantnych żarcików. Oczywiście w tych okolicznościach – dodała

z wściekłością Della – mężczyzna powinien cholernie uważać na to, jakie dowcipy opowiada piętnastolatkom!

Strike pochylił się i złapał kieliszek Delli, któremu znowu groziło przewrócenie.

– Co pan robi?

– Stawiam kieliszek na stoliku – wyjaśnił Strike.

– Ach – odrzekła Della. – Dziękuję. – Z wyraźnym wysiłkiem zapanowała nad emocjami i podjęła: – Geraint reprezentował wtedy m n i e, więc kiedy sprawa wyjdzie na jaw, będzie tak, jak zwykle: całą winę przypiszą mnie! Dlatego że w ostatecznym rozrachunku przestępstwa mężczyzn z a w s z e przypisuje się nam, prawda, panie Strike? Koniec końców odpowiedzialność z a w s z e spada na kobietę, która powinna była czemuś zapobiec, która powinna była coś zrobić, która n a p e w n o o w s z y s t k i m w i e d z i a ł a. Wasze błędy są tak naprawdę n a s z y m i błędami, prawda? Dlatego że obowiązkiem kobiety jest sprawowanie opieki i nie ma na tym świecie nic gorszego niż zła matka.

Ciężko oddychając, przycisnęła drżące palce do skroni. Za firankami granatowa noc spadała powolutku niczym welon na jaskrawą czerwień zachodzącego słońca i gdy w salonie robiło się coraz ciemniej, rysy twarzy Rhiannon Winn stopniowo rozpływały się w zmierzchu. Wkrótce widoczny miał pozostać jedynie jej uśmiech, zaakcentowany brzydkim aparatem ortodontycznym.

– Proszę mi podać wino.

Strike spełnił prośbę. Della wypiła większość jednym haustem i ściskając kieliszek w dłoni, dodała z rozgoryczeniem:

– Ludzie miewają przeróżne dziwne wyobrażenia na temat ślepej kobiety. Oczywiście najgorzej było w młodości. Często spotykałam

się z chorobliwym zainteresowaniem moim życiem prywatnym. Myśli niektórych mężczyzn od razu płynęły w tę stronę. Możliwe, że pan też tego doświadczył, przecież nie ma pan nogi.

Strike poczuł, że wcale nie żywi do niej żalu za to otwarte nawiązanie do jego niepełnosprawności.

– Tak, zdarzyło mi się – przyznał. – Ze strony gościa, z którym chodziłem do szkoły. Nie widziałem go od lat. Pojechałem do Kornwalii pierwszy raz od wybuchu. Po pięciu piwach spytał, w którym momencie uprzedzam kobiety, że zdejmuję nogę razem ze spodniami. Myślał, że to zabawne.

Della słabo się uśmiechnęła.

– Niektórym ludziom nie przychodzi do głowy, że to my powinniśmy rzucać takie żarty, prawda? Ale w pana wypadku jest inaczej, pan jest mężczyzną... Chyba większość ludzi uważa za naturalne, że pełnosprawna kobieta powinna się opiekować niepełnosprawnym mężczyzną. Geraint musiał się z tym zmagać przez lata... Ludzie zakładali, że jest jakimś dziwakiem, skoro wziął za żonę niepełnosprawną kobietę. Możliwe, że próbowałam mu to wynagrodzić. Chciałam, żeby miał jakąś funkcję... status... ale patrząc z perspektywy czasu, byłoby lepiej dla nas obojga, gdyby zajął się czymś niezwiązanym ze mną.

Strike pomyślał, że Della trochę się upiła. Może nic wcześniej nie jadła. Poczuł niestosowną chęć zajrzenia do jej lodówki. Siedząc obok tej imponującej i zarazem bezbronnej kobiety, łatwo mógł zrozumieć, dlaczego Aamir tak się z nią związał w życiu zawodowym i prywatnym, nawet jeśli wcale nie zamierzał.

– Ludzie zakładają, że wyszłam za Gerainta, bo nikt inny mnie nie chciał, ale bardzo się mylą – podjęła Della, prostując się w fotelu. – Chodziłam do szkoły z chłopakiem, który się we mnie zakochał. Oświadczył się, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Mogłam dokonać

wyboru i wybrałam Gerainta. Nie jako opiekuna czy dlatego że, jak czasami sugerowali dziennikarze, moje nienasycone ambicje wymagały obecności męża... ale ponieważ go kochałam.

Strike przypomniał sobie dzień, w którym poszedł za mężem Delli na klatkę schodową na King's Cross, oraz to, co Robin opowiadała o jego żałosnym zachowaniu w pracy, lecz słowa Delli wcale nie wydały mu się naciągane. Życie go nauczyło, że można czuć wielką, silną miłość do pozornie najbardziej niegodnych jej osób, co zresztą powinno nieść pociechę wielu ludziom.

– Jest pan żonaty, panie Strike?

– Nie – powiedział.

– Myślę, że małżeństwo prawie zawsze jest tajemnicą, nawet dla samych małżonków. Dopiero po tym wszystkim... po tym całym bałaganie... dotarło do mnie, że dłużej nie dam rady. W zasadzie nie wiem, kiedy przestałam go kochać, ale w pewnym momencie po śmierci Rhiannon to uczucie po prostu się nam... – załamał jej się głos – ...po prostu się nam wyślizgnęło. – Przełknęła ślinę. – Czy mógłby mi pan dolać wina?

Dolał. W pokoju było już bardzo ciemno. Znowu zmieniła się muzyka, tym razem słuchali melancholijnego koncertu skrzypcowego, który w końcu, według Strike'a, pasował do okoliczności. Wcześniej Della nie chciała z nim rozmawiać, lecz teraz miał wrażenie, że stara się odwlec koniec ich spotkania.

– Dlaczego pani mąż tak bardzo nienawidził Jaspera Chiswella? – spytał cicho. – Z powodu jego politycznych sporów z panią czy...?

– Nie, nie – odrzekła znużona Della Winn. – Dlatego że Geraint musi winić kogoś innego niż siebie za nieszczęścia, które na niego spadają.

Strike czekał, lecz Della tylko piła wino i milczała.

– Jakie dokładnie...?

– Nieważne – ucięła głośno. – Nieważne, to bez znaczenia.

Jednak po chwili, po kolejnym dużym łyku wina, dodała:

– Tak naprawdę Rhiannon nie chciała trenować szermierki. Jak większość małych dziewczynek marzyła o kucyku, ale my... ja i Geraint... nie pochodziliśmy ze środowiska, w którym kupuje się córkom kucyki. Nie mieliśmy pojęcia, jak zajmować się końmi. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że pewnie można było temu jakoś zaradzić, ale obydwoje dużo pracowaliśmy i uznaliśmy, że to byłoby niepraktyczne, więc zamiast jeździć na kucyku, zaczęła trenować szermierkę. Bardzo dobrze jej szło... Odpowiedziałam już na pańskie pytania, panie Strike? – spytała trochę niewyraźnie. – Odnajdzie pan Aamira?

– Postaram się – obiecał jej. – Poda mi pani jego numer? I swój, żebym mógł panią informować.

Oba numery znała na pamięć. Zapisał je, a potem zamknął notes i wstał.

– Bardzo mi pani pomogła, dziękuję.

– Zaniepokoił mnie pan. – Lekko zmarszczyła brwi. – Nie jestem pewna, czy miałam zamiar panu pomóc.

– Poradzi sobie pani?

– Doskonale – odparła Della, wymawiając to słowo z przesadną starannością. – Zadzwoni pan do mnie, kiedy znajdzie pan Aamira, prawda?

– Odezwę się najpóźniej za tydzień – powiedział Strike. – Eee... Ktoś dziś do pani przyjdzie czy...?

– Widzę, że nie jest pan tak bezwzględny, jak mogłaby sugerować pańska reputacja – odrzekła Della. – Proszę się o mnie nie martwić. Niedługo przyjdzie moja sąsiadka, żeby wyprowadzić Gwynn. Sprawdza też kurki gazu i tak dalej.

– W takim razie proszę nie wstawać. Dobranoc.

Prawie biały pies podniósł łeb, gdy Strike szedł w stronę drzwi, wdychając zapach róż. Zostawił Dellę w ciemności, trochę pijaną, mającą do towarzystwa jedynie zdjęcie zmarłej córki, której nigdy nie widziała.

Zamykając drzwi wejściowe, Strike nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł tak dziwną mieszaninę podziwu, współczucia i podejrzliwości.

55

Jeżeli już musimy walczyć, to walczmy przynajmniej szlachetną bronią.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Matthew, który miał być poza domem tylko rano, jeszcze nie wrócił. Przysłał dwa esemesy – jednego o trzeciej:

> Tom ma problemy w pracy, chce pogadać. Poszedłem z nim do pubu (piję colę). Wrócę najszybciej, jak się da.

A drugiego o siódmej:

> Wybacz, Tom się zalał, nie mogę go zostawić. Poszukam mu taksówki i wrócę. Mam nadzieję, że już jadłaś. Kocham cię x

Nie włączywszy z powrotem prezentacji numeru dzwoniącego, Robin jeszcze raz zadzwoniła do Toma na komórkę. Odebrał natychmiast. W tle nie było słychać pubowego gwaru.

– Słucham? – spytał cierpko i najwyraźniej trzeźwo. – Halo?

Robin się rozłączyła.

Dwie spakowane walizki czekały w przedpokoju. Robin zadzwoniła już do Vanessy i spytała, czy przez parę nocy mogłaby spać u niej na kanapie, zanim znajdzie nowe mieszkanie. Wydało jej się dziwne, że Vanessa nie była bardziej zaskoczona, lecz jednocześnie cieszyła się, że nie musi zbywać jej wyrazów współczucia.

Czekając w salonie i patrząc, jak za oknem zapada noc, Robin zastanawiała się, czy w ogóle nabrałaby podejrzeń, gdyby nie znalazła kolczyka. Ostatnio zwyczajnie cieszyła się z nieobecności Matthew w domu – mogła się wtedy odprężyć i nie musiała niczego ukrywać: ani tego, co robiła w związku ze sprawą Chiswella, ani ataków paniki, z którymi należało się mierzyć po cichu, bez zamieszania, na podłodze w łazience.

Siedząc w stylowym fotelu, który należał do właściciela domu, Robin poczuła, jakby znalazła się we wspomnieniu. Jak często, gdy coś się dzieje, mamy świadomość, że właśnie nastał czas, który na zawsze zmieni bieg naszego życia? Wiedziała, że na długo zapamięta ten pokój, więc rozglądała się wokół, by zapisać go w pamięci, ignorując jednocześnie smutek, wstyd i ból, które płonęły i wirowały w jej sercu.

Tuż po dziewiątej, czując przypływ mdłości, usłyszała, jak klucz obraca się w zamku i otwierają się drzwi.

– Przepraszam! – zawołał Matthew, zanim jeszcze je zamknął. – Co za głupi sukinsyn, musiałem się mocno starać, żeby przekonać taksówkarza...

Robin usłyszała cichy okrzyk zdziwienia, gdy zauważył walizki. Mogła już spokojnie dzwonić, więc wybrała przygotowany wcześniej numer. Zdumiony Matthew wszedł do salonu akurat w chwili, kiedy zamawiała taksówkę. Rozłączyła się. Spojrzeli na siebie.

– Po co ci te walizki?

– Odchodzę.

Zapadło długie milczenie. Matthew chyba nie zrozumiał.

– Jak to?

– Nie wiem, jak mogłabym to powiedzieć jaśniej, Matt.

– Odchodzisz o d e m n i e?

– Właśnie.

– Dlaczego?

– Dlatego – odparła – że sypiasz z Sarah.

Patrzyła, jak Matthew usilnie szuka słów, które mogłyby go uratować, ale mijały sekundy i po chwili było już za późno na prawdziwe niedowierzanie, na pełną zdziwienia niewinność, na szczere niezrozumienie.

– Co? – odezwał się w końcu z wymuszonym śmiechem.

– Proszę, daruj sobie – powiedziała. – Nie ma sensu. To koniec.

Nadal stał w drzwiach salonu i pomyślała, że wygląda na zmęczonego, wręcz wymizerowanego.

– Zamierzałam odejść i zostawić liścik – podjęła – ale uznałam, że to zbyt melodramatyczne. Zresztą mamy jeszcze kwestie praktyczne do omówienia.

Wydawało jej się, że widzi, jak Matthew myśli: „Czym się zdradziłem?", „Kto ci powiedział?".

– Słuchaj – ożywił się, rzucając na podłogę sportową torbę (bez wątpienia zawierającą czysty, wyprasowany strój) – wiem, że nam się nie układa, ale to ciebie pragnę, Robin. Nie przekreślaj nas. Proszę.

Podszedł do niej, przykucnął obok fotela i próbował wziąć ją za rękę. Odsunęła ją ze szczerym zdziwieniem.

– Sypiasz z Sarah – powtórzyła.

Wstał, podszedł do kanapy i usiadł, po czym ukrył twarz w dłoniach i odezwał się słabym głosem:

– Przepraszam. Przepraszam. Między nami tak się popieprzyło...

– ...że musiałeś się przespać z narzeczoną przyjaciela?

Słysząc to, spojrzał na nią z nagłym przestrachem.

– Rozmawiałaś z Tomem? On wie?

Nagle poczuła, że nie jest w stanie znieść jego bliskości, i odeszła w stronę okna, pełna pogardy, jakiej dotąd nie znała.

– Nawet teraz martwisz się o szanse na awans?

– Nie... kurwa... nic nie rozumiesz – powiedział. – Ze mną i Sarah to już koniec.

– O, naprawdę?

– Tak – potwierdził. – Tak! Kurwa... co za pieprzona ironia... Przegadaliśmy cały dzień. Uzgodniliśmy, że to nie może dłużej trwać, nie kiedy... ty i Tom... Po prostu to zakończyliśmy. Godzinę temu.

– Rzeczywiście – zaśmiała się Robin, czując się tak, jakby opuściła własne ciało. – Prawdziwa ironia losu.

Zadzwoniła jej komórka. Odebrała połączenie jak we śnie.

– Robin? – odezwał się Strike. – Nowe wieści. Właśnie rozmawiałem z Dellą Winn.

– Jak poszło? – spytała, starając się mówić opanowanym, pogodnym tonem. Postanowiła, że nie przerwie tej rozmowy. Życie zawodowe właśnie stało się całym jej życiem i Matthew nie miał już prawa w nim przeszkadzać. Odwróciła się plecami do wściekłego męża i spojrzała na ciemną brukowaną ulicę.

– Było bardzo ciekawie z dwóch powodów – powiedział Strike. – Po pierwsze, coś jej się wymknęło. Nie wydaje mi się, żeby Geraint był z Aamirem tego ranka, kiedy zamordowano Chiswella.

– To rzeczywiście ciekawe – przyznała Robin, usiłując się skupić i mając świadomość, że Matthew ją obserwuje.

– Mam jego numer i próbowałem się dodzwonić, ale nie odbiera. Pomyślałem, że skoro jestem w okolicy, sprawdzę, czy dalej mieszka w tym pensjonacie niedaleko domu, ale właścicielka mówi, że się wyprowadził.

– Szkoda. A ta druga ciekawa informacja?

– To Strike? – spytał głośno Matthew za jej plecami. Zignorowała go.

– Co to było? – zainteresował się Cormoran.

– Nic – odrzekła Robin. – Mów dalej.

– No więc druga interesująca rzecz: w ubiegłym roku Della spotkała Kinvarę, która histeryzowała, przekonana, że Chiswell...

Komórka została bezceremonialnie wyjęta z jej ręki. Robin gwałtownie się odwróciła. Matthew zakończył połączenie, dźgając palcem przycisk.

– Jak śmiesz? – krzyknęła, wyciągając dłoń. – Oddawaj!

– Próbujemy ratować nasze pieprzone małżeństwo, a ty odbierasz od niego telefony?

– Wcale nie próbuję ratować tego małżeństwa! O d d a w a j m o j ą k o m ó r k ę!

Zawahał się, po czym rzucił jej telefon, a po chwili znowu zrobił oburzoną minę, ponieważ spokojnie oddzwoniła do Strike'a.

– Przepraszam, Cormoran, coś nam przerwało – powiedziała, czując na sobie gniewne spojrzenie męża.

– Wszystko w porządku, Robin?

– Jasne. Co mówiłeś o Chiswellu?

– Myślała, że ma romans.

– Romans! – powtórzyła Robin, spoglądając na Matthew. – Z kim?

– Bóg jeden wie. Udało ci się złapać Raphaela? Wiemy, że nie zależy mu aż tak bardzo na pielęgnowaniu pamięci ojca. Może on nam powie.

– Zostawiłam wiadomość i jemu, i Tegan. Żadne się nie odezwało.

– Dobra, informuj mnie. W każdym razie to wszystko rzuca ciekawe światło na cios młotkiem w głowę, prawda?

– Bez dwóch zdań – przyznała.

– Jestem już na stacji metra. Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

– Jasne – odparła tonem, który, jak miała nadzieję, wyrażał zwyczajne zniecierpliwienie. – Będziemy w kontakcie.

Rozłączyła się.

– „Będziemy w kontakcie" – przedrzeźniał ją Matthew piskliwym głosem, którego zawsze używał, kiedy udawał kobiety. – „Pogadamy później, Cormoran. Właśnie uciekam od męża, więc odtąd będę na każde twoje skinienie, Cormoran. To nic, że pracuję za płacę minimalną, Cormoran, najważniejsze, że mogę być twoją służącą".

– Spierdalaj, Matt – powiedziała spokojnie Robin. – Spierdalaj z powrotem do Sarah. Tak przy okazji, kolczyk, który zostawiła w naszym łóżku, leży na górze na mojej szafce nocnej.

– Robin – odezwał się Matthew z nagłą powagą – damy radę przez to przejść. Jeśli się kochamy, damy radę.

– Wiesz, Matt – odrzekła – problem polega na tym, że ja już cię nie kocham.

Zawsze myślała, że ciemniejące oczy to tylko figura retoryczna, ale teraz zobaczyła, jak jasne oczy Matthew poczerniały, gdy źrenice rozszerzyły się pod wpływem szoku.

– Ty suko – powiedział cicho.

Poczuła tchórzliwy impuls, żeby skłamać, wycofać się z tego kategorycznego oświadczenia, próbować się bronić. Ostatecznie zwyciężyło w niej coś silniejszego: potrzeba mówienia nieupiększonej prawdy po latach okłamywania jego i siebie samej.

– Tak. Nie kocham cię. Powinniśmy byli się rozstać w czasie podróży poślubnej. Zostałam dlatego, że byłeś chory. Zrobiło mi się ciebie żal. Nie – poprawiła się, postanawiając to zrobić jak należy. – Właściwie to źle, że w ogóle pojechaliśmy w podróż poślubną. Powinnam była od ciebie odejść w dniu ślubu, kiedy się dowiedziałam, że skasowałeś te połączenia od Strike'a.

Chciała spojrzeć na zegarek, żeby sprawdzić, za ile minut przyjedzie taksówka, ale bała się oderwać oczy od męża. Wyraz jego twarzy przywodził na myśl węża wyglądającego zza skały.

– Jak myślisz, jak wygląda twoje życie w oczach innych ludzi? – spytał półgłosem.

– Co masz na myśli?

– Zrezygnowałaś ze studiów. Teraz rezygnujesz z nas. Zrezygnowałaś nawet z terapii. Jesteś pieprzoną niedojdą. Jedyne, od czego nie uciekłaś, to ta głupia praca, która o mało cię nie zabiła. I nawet z niej cię wyrzucono. Przyjął cię z powrotem tylko dlatego, że chce ci się dobrać do majtek. Poza tym pewnie nie może znaleźć nikogo równie taniego.

Poczuła się tak, jakby uderzył ją w brzuch. Zabrakło jej tchu i jej głos zabrzmiał słabo.

– Dzięki, Matt – rzuciła, ruszając w stronę drzwi. – Dzięki, że tak bardzo mi to ułatwiasz.

On jednak podbiegł i zagrodził jej wyjście.

– To była praca tymczasowa. Facet zwrócił na ciebie uwagę, więc zaczęłaś się łudzić, że to odpowiednie zajęcie, mimo że to ostatnia

pieprzona rzecz, jaką powinna się zajmować osoba z taką przeszłością...

Musiała się bardzo starać, żeby powstrzymać łzy, lecz postanowiła, że nie ulegnie.

– Od lat chciałam pracować w policji...

– Nie, kurwa, nieprawda! – wyśmiał ją Matthew. – Niby kiedy...?

– Przed tobą też miałam życie! – krzyknęła. – Mieszkałam z rodziną i mówiłam rzeczy, których nie słyszałeś! Nigdy ci o tym nie wspominałam, bo wiedziałam, że byś się śmiał, tak jak moi przygłupi bracia! Poszłam na psychologię z nadzieją, że potem będę mogła robić coś związanego z kryminalistyką...

– Nigdy o tym nie mówiłaś, próbujesz usprawiedliwić...

– Nie mówiłam ci, bo wiedziałam, że byś ze mnie drwił...

– Gówno prawda...

– Wcale nie! – zawołała. – Właśnie mówię ci prawdę, całą prawdę, a ty potwierdzasz, że mam rację, bo mi nie wierzysz! Ucieszyłeś się, kiedy odpadłam ze studiów...

– O czym ty mówisz, do diabła?

– „Nie spiesz się z powrotem na uczelnię", „Przecież n i e m u s i s z mieć dyplomu"...

– A, więc teraz masz do mnie pretensje, że wykazywałem się, kurwa, wrażliwością!

– To ci się podobało, podobało ci się, że utkwiłam w domu, dlaczego tego nie przyznasz? Sarah Shadlock na uczelni, a ja w Masham z wynikami poniżej swoich możliwości. Zrekompensowało ci to moje lepsze oceny w liceum i fakt, że dostałam się na pierwszą uczelnię, jaką sobie wybrałam...

– O! – Roześmiał się bez cienia wesołości. – Więc miałaś lepsze oceny ode mnie? Jasne, nie mogę przez to spać po nocach...

– Gdybym nie została zgwałcona, rozstalibyśmy się wiele lat temu!

– Tego się nauczyłaś na terapii? Opowiadania kłamstw o przeszłości, żeby usprawiedliwiać swoje popieprzenie?

– Nauczyłam się mówić prawdę! – krzyknęła Robin, doprowadzona do ostateczności. – I powiem ci jeszcze więcej: przestawałam cię kochać już przed gwałtem! Nie interesowało cię nic, co robiłam: moje studia, moi nowi przyjaciele. Pytałeś tylko, czy nikt mnie nie podrywa. Ale potem byłeś taki uroczy, taki dobry... Wydawałeś się najbezpieczniejszym mężczyzną na świecie, jedynym, któremu mogłam ufać. Dlatego zostałam. Więc gdyby nie tamten gwałt, nie bylibyśmy razem.

Obydwoje usłyszeli, jak przed budynkiem zatrzymuje się samochód. Robin próbowała prześlizgnąć się obok Matthew do przedpokoju, ale znowu zagrodził jej drogę.

– Nie, to nieprawda. Nie wykręcisz się tak łatwo, do cholery. Zostałaś ze mną, dlatego że byłem „bezpieczny"? Nie pierdol. Kochałaś mnie.

– Wydawało mi się, że cię kocham – odparła – ale już tak nie myślę. Zejdź mi z drogi. Wychodzę.

Próbowała go ominąć, ale znowu się przesunął.

– Nie – powtórzył i tym razem ruszył naprzód, wpychając ją z powrotem do salonu. – Zostajesz w domu. Jeszcze nie skończyliśmy.

Taksówkarz zadzwonił do drzwi.

– Idę! – zawołała Robin, lecz Matthew warknął:

– Tym razem nie uciekniesz. Zostaniesz i posprzątasz bałagan, którego narobiłaś...

– Nie! – krzyknęła Robin, jakby zwracała się do psa. Zatrzymała się, nie pozwalając wepchnąć się głębiej do salonu, mimo

że Matthew stał tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. Nagle przypomniał się jej Geraint Winn i ogarnęło ją obrzydzenie. – Zostaw mnie. W tej chwili!

I jak pies Matthew zrobił krok do tyłu, reagując nie na polecenie, lecz raczej na coś w jej głosie. Był zły, ale jednocześnie wystraszony.

– Dobra. – Robin wiedziała, że jest na skraju paniki, a jednak wytrzymała i każda kolejna sekunda dodawała jej sił. Nie ustąpiła. – Odchodzę. Spróbuj mnie zatrzymać, a będę się bronić. Radziłam sobie z większymi, groźniejszymi facetami od ciebie, Matthew. Ty nie masz nawet pieprzonego noża.

Zobaczyła, jak jego oczy robią się czarniejsze niż kiedykolwiek dotąd, i nagle sobie przypomniała, jak na weselu jej brat Martin walnął Matthew w twarz. W jakimś mrocznym uniesieniu przysięgła sobie, że bez względu na to, co się stanie, spisze się lepiej niż Martin. Jeśli będzie musiała, złamie mu pieprzony nos.

– Proszę. – Nagle jego ramiona opadły. – Robin...

– Jeśli postanowisz mnie zatrzymać, będziesz musiał zrobić mi krzywdę, ale ostrzegam, wtedy oskarżę cię o napaść. A coś takiego nie zostanie dobrze odebrane w pracy, prawda?

Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka sekund, a potem ruszyła naprzód, zaciskając dłonie w pięści i czekając, aż zagrodzi jej drogę albo ją złapie, lecz Matthew tylko się odsunął.

– Robin – wychrypiał. – Zaczekaj. Poważnie, zaczekaj, sama powiedziałaś, że musimy omówić pewne sprawy...

– Tym mogą się zająć nasi prawnicy – odparła, docierając do drzwi wejściowych i otwierając je.

Chłodne wieczorne powietrze spłynęło na nią jak błogosławieństwo.

Za kierownicą vauxhalla corsy siedziała przysadzista kobieta. Widząc walizki Robin, wysiadła, by pomóc je włożyć do bagażnika.

Matthew poszedł za Robin i stanął w drzwiach. Gdy wsiadała do samochodu, zawołał za nią i wreszcie popłynęły jej łzy. Nie patrząc w jego stronę, zatrzasnęła drzwi.

– Proszę, jedźmy – powiedziała niewyraźnie do kobiety za kółkiem, kiedy Matthew zszedł po schodach i pochylił się, by porozmawiać z nią przez szybę.

– Kurwa, ja nadal cię kocham!

Samochód ruszył po bruku Albury Street, mijając rzeźbione frontony ładnych domów kupców morskich, wśród których nigdy nie czuła się jak u siebie. Na końcu ulicy pomyślała, że jeśli się obejrzy, zobaczy, jak Matthew odprowadza spojrzeniem znikające auto. Jej oczy spotkały się w lusterku wstecznym z oczami taksówkarki.

– Przepraszam – odezwała się bezsensownie, po czym oszołomiona tymi przeprosinami dodała: – Właśnie... właśnie odeszłam od męża.

– Taa? – Kobieta włączyła taksometr. – Ja odeszłam od dwóch. Z każdym kolejnym jest łatwiej.

Robin próbowała się roześmiać, ale ten dźwięk przeszedł w głośne, rozpaczliwe łkanie, a gdy samochód zbliżył się do samotnego kamiennego łabędzia górującego nad pubem na rogu, rozpłakała się na dobre.

– Proszę – powiedziała łagodnym tonem kobieta za kółkiem, podając jej opakowanie chusteczek.

– Dziękuję – wychlipała Robin, wyjmując jedną i przykładając ją do zmęczonych, piekących oczu, aż biała bibułka zupełnie przemokła i pokryła się ostatnimi śladami mocnego czarnego makijażu, pozostałości po wcielaniu się w postać Bobbi Cunliffe. Chcąc uniknąć współczującego spojrzenia taksówkarki w lusterku

wstecznym, Robin spuściła wzrok na kolana. Chusteczki wyprodukowała jakaś nieznana jej amerykańska marka: Dr Blanc.

Nagle nieuchwytne wspomnienie stanęło jej przed oczami, jakby tylko czekało na ten maleńki bodziec. Przypomniała sobie, gdzie dokładnie widziała napis „Blanc de Blanc", lecz nie miało to nic wspólnego ze sprawą, a bardzo wiele z jej rozpadającym się małżeństwem, lawendową alejką, ogrodem japońskim, ostatnim razem, kiedy powiedziała „kocham cię", i pierwszym razem, kiedy wiedziała, że mówi nieprawdę.

56

Nie mogę i nie chcę iść przez życie, dźwigając trupa na plecach.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Gdy nazajutrz po południu Strike zbliżył się do Henlys Corner od strony North Circular Road, zaklął pod nosem na widok korka. Skrzyżowanie, słynące z takich zatorów, zostało rzekomo ulepszone na początku tego roku. Dołączając do nieruchomej kolejki, Strike opuścił szybę, zapalił papierosa i spojrzał na zegar na desce rozdzielczej, czując znajomą, pełną złości niemoc, którą tak często wywoływało podróżowanie po Londynie samochodem. Zastanawiał się, czy nie lepiej pojechać metrem na północ, lecz szpital psychiatryczny leżał dobre półtora kilometra od najbliższej stacji, więc jazda bmw była trochę bardziej znośna dla jego obolałej nogi. Teraz bał się, że dotrze spóźniony na rozmowę, której za nic nie chciał przegapić – po pierwsze, dlatego że nie chciał zawieść psychiatrów, którzy pozwolili mu na spotkanie z Billym Knightem, a po drugie, ponieważ nie wiedział, kiedy znów trafi się okazja, aby porozmawiać z młodszym z braci bez obaw o to, że spotka starszego. Rano Barclay zapewnił go, że plany Jimmy'ego na ten dzień obejmują pisanie dla portalu internetowego Partii Prawdziwych Socjalistów polemicznego artykułu na temat globalnego wpływu Rothschilda i testowanie nowego towaru od Barclaya.

Krzywiąc się i stukając palcami w kierownicę, Strike znowu zaczął roztrząsać kwestię, która nie dawała mu spokoju od poprzedniego wieczoru: czy do przerwania połączenia z Robin nie doszło

przypadkiem dlatego, że Matthew wyrwał jej telefon z ręki? Jej zapewnienia, że wszystko jest w porządku, jakoś go nie przekonały.

Podgrzewając sobie pieczoną fasolę na kuchence z jednym palnikiem – w dalszym ciągu próbował schudnąć – Strike zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Robin. Jedząc bez entuzjazmu przed telewizorem tę bezmięsną kolację i pozornie oglądając skrót ceremonii zakończenia olimpiady, ledwie zauważył, jak Spice Girls sunęły na dachach londyńskich taksówek. „Myślę, że małżeństwo prawie zawsze jest tajemnicą, nawet dla samych małżonków" – powiedziała Della Winn. Może Robin i Matthew byli teraz w łóżku. Czy wyrwanie telefonu jest gorsze niż skasowanie historii połączeń? Wtedy została z Matthew. Gdzie stawiała granicę?

Poza tym Matthew z pewnością za bardzo dbał o swoją reputację i perspektywy, by porzucać wszelkie cywilizowane normy. Jedna z ostatnich myśli Strike'a przed zaśnięciem dotyczyła tego, że Robin poradziła sobie z Rozpruwaczem z Shacklewell – być może była to myśl makabryczna, lecz trochę go uspokoiła.

Detektyw doskonale wiedział, że stan małżeństwa jego młodszej wspólniczki powinien być najmniejszym z jego zmartwień, ponieważ jak dotąd nie zgromadził żadnych konkretnych informacji dla klientki, która aktualnie opłacała troje detektywów pracujących na pełny etat, by rozwikłać zagadkę śmierci jej ojca. Mimo to, gdy samochody wreszcie ruszyły, myśli Strike'a dalej obracały się wokół Robin i Matthew, aż wreszcie ujrzał drogowskaz zwrócony w stronę kliniki psychiatrycznej i z wysiłkiem skupił się na czekającej go rozmowie.

Dwadzieścia minut później Strike zaparkował przed budynkiem. W przeciwieństwie do olbrzymiego prostokątnego graniastosłupa z betonu i czarnego szkła, do którego kilka tygodni temu przyjęto Jacka, szpital psychiatryczny pysznił się iglicami ozdobionymi

żabkami oraz bizantyńskimi oknami zasłoniętymi przez żelazne kraty. Według Strike'a wyglądał jak nieślubny potomek pałacu z piernika i gotyckiego więzienia. Jakiś wiktoriański kamieniarz wyrył w łuku z brudnej czerwonej cegły nad dwuskrzydłowymi drzwiami słowo „Sanatorium".

Strike, spóźniony o pięć minut, szybko wysiadł z samochodu i nie zawracając sobie głowy zmienianiem adidasów na bardziej eleganckie obuwie, zamknął bmw, po czym utykając, popędził po brudnych frontowych schodach.

Znalazł się w chłodnym holu z wysokim sufitem koloru złamanej bieli, oknami jak w kościele i ogólną atmosferą rozkładu, z trudem trzymaną w ryzach za pomocą odoru środka dezynfekującego. Dostrzegł numer oddziału, który podano mu przez telefon, i ruszył korytarzem po lewej stronie.

Słońce wpadające przez zakratowane okna rzucało podłużne plamy na ściany w tym samym kolorze co sufit, obwieszone poprzekrzywianymi dziełami sztuki, wśród których znajdowały się prace byłych pacjentów. Gdy Strike minął serię wykonanych z filcu, anielskiego włosa i włóczki kolaży, przedstawiających szczegółowo sceny z wiejskiego podwórza, z łazienki wynurzyła się chuda jak szkielet nastolatka prowadzona przez pielęgniarkę. Żadna z kobiet chyba nie zauważyła Strike'a. Miał wrażenie, że nieruchome oczy dziewczyny skupiają się na trwającej w górze bitwie, którą toczyła daleko od prawdziwego świata.

Strike był lekko zdziwiony, odkrywszy na końcu korytarza na parterze dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do oddziału zamkniętego. Niejasne skojarzenia z nierównościami pod sufitem i z pierwszą żoną Rochestera skłoniły go do założenia, że oddział będzie się znajdował raczej na wyższym piętrze, być może ukryty w którejś z wież. Rzeczywistość okazała się jednak na wskroś

prozaiczna: wielki zielony dzwonek na ścianie, który Strike wcisnął, oraz pielęgniarz z jaskraworudymi włosami wyglądający przez małe okienko, a potem odwracający się, żeby spytać kogoś o pozwolenie. Drzwi się otworzyły i wpuszczono Strike'a do środka.

Na oddziale były cztery łóżka i świetlica, w której dwóch pacjentów w ubraniu grało w warcaby: starszy, chyba bezzębny mężczyzna i blady chłopak ze szczelnie zabandażowaną szyją. Grupka osób stała wokół dyżurki tuż za drzwiami: sanitariusz, dwaj inni pielęgniarze i dwoje ludzi, których Strike uznał za lekarzy. Gdy wszedł, wszyscy odwrócili się w jego stronę. Jeden z pielęgniarzy trącił drugiego łokciem.

– Dzień dobry, panie Strike – odezwał się lekarz. Był niski, z wyglądu przypominał lisa i mówił z silnym manchesterskim akcentem. – Jestem Colin Hepworth, rozmawialiśmy przez telefon. To moja koleżanka Kamila Muhammad.

Strike uścisnął rękę kobiecie, której granatowy kostium skojarzył mu się z mundurem policjantki.

– Obydwoje będziemy obecni podczas pańskiej rozmowy z Billym – oznajmiła. – Przed chwilą poszedł do łazienki. Bardzo się cieszy, że znowu pana zobaczy. Pomyśleliśmy, że skorzystamy z jednego z naszych pokoi terapeutycznych. To tutaj.

Pielęgniarze nie odrywali od niego oczu, gdy prowadziła go wokół dyżurki do małego pomieszczenia z czterema krzesłami i biurkiem przytwierdzonym śrubami do podłogi. Ściany były jasnoróżowe, nic na nich nie wisiało.

– Doskonale – powiedział Strike. Przypominało to setkę pokoi przesłuchań, z których korzystał w żandarmerii wojskowej. Tam też często były obecne osoby trzecie, zazwyczaj adwokaci.

– Jeszcze tylko słówko, zanim zaczniemy – odezwała się Kamila Muhammad, zamykając drzwi za Strikiem i swoim kolegą,

by pielęgniarze nie mogli usłyszeć ich rozmowy. – Nie orientuję się, jak dużo pan wie na temat stanu Billy'ego.

– Jego brat mówił, że to zaburzenie schizoafektywne.

– Zgadza się – potwierdziła. – Przestał brać leki i to doprowadziło do epizodu psychotycznego, który nastąpił, jak się zdaje, dokładnie wtedy, kiedy Billy pana odwiedził.

– Tak, wydawał się bardzo chory. Poza tym wyglądał, jakby spał na ulicy.

– Pewnie tak było. Jego brat powiedział, że Billy zaginął jakiś tydzień wcześniej. Naszym zdaniem psychoza już minęła – kontynuowała – ale pacjent nadal jest dość zamknięty, więc trudno ocenić, w jakim stopniu uczestniczy w rzeczywistości. Czasami trudno uzyskać trafny obraz czyjegoś stanu umysłowego, jeśli występują objawy paranoidalne i urojenia.

– Mamy nadzieję, że pomoże nam pan oddzielić niektóre fakty od fikcji – dodał lekarz z Manchesteru. – Odkąd Billy do nas trafił, jest pan powracającym motywem w jego wypowiedziach. Bardzo chce z panem rozmawiać, ale z nami nieszczególnie. Poza tym wyraża strach przed... przed reperkusjami, jakie mogą nastąpić, jeśli się komuś zwierzy. Trudno stwierdzić, czy ten strach jest elementem choroby, czy może... hm... istnieje ktoś, kogo naprawdę mógłby się bać. Dlatego że... hm...

Zawahał się, szukając właściwych słów.

– Domyślam się, że jego brat potrafi budzić strach, jeśli mu na tym zależy – podsunął Strike. Psychiatrze najwyraźniej ulżyło, że został zrozumiany i nie musi łamać zasad poufności.

– Zna pan jego brata, prawda?

– Poznałem go. Często tu bywa?

– Zjawił się parę razy, ale po jego wizytach Billy był jeszcze bardziej przygnębiony i zdenerwowany. Jeśli rozmowa z panem

wpłynie na niego w podobny sposób... – zaczął lekarz.

– Zrozumiałem – zapewnił go Strike.

– Naprawdę dziwnie się czuję, widząc pana tutaj – powiedział Colin z lekkim uśmiechem. – Zakładaliśmy, że jego zafiksowanie się na panu to efekt psychozy. Obsesja na punkcie znanych ludzi jest dość częsta w wypadku tego rodzaju zaburzeń... W zasadzie – dodał otwarcie – jeszcze dwa dni temu byliśmy z Kamilą zgodni, że to wyklucza jego wcześniejsze wypisanie ze szpitala. Naprawdę szczęśliwie się złożyło, że pan zadzwonił.

– Taa – odrzekł cierpko Strike. – To rzeczywiście fart.

Rudy pielęgniarz zapukał do drzwi i zajrzał do środka.

– Billy jest już gotowy na rozmowę z panem Strikiem.

– Wspaniale – powiedziała lekarka. – Eddie, czy mógłbyś nam przynieść herbatę? Napije się pan? – spytała Strike'a, spoglądając przez ramię. Kiwnął głową. Otworzyła drzwi. – Wejdź, Billy.

I wtedy się pojawił: Billy Knight w szarej bluzie, spodniach do biegania i szpitalnych kapciach na nogach. Zapadnięte oczy nadal były otoczone ciemnymi sińcami, a poza tym w którymś momencie po ich poprzednim spotkaniu Billy'emu ogolono głowę. Palec i kciuk jego lewej dłoni były zabandażowane. Mimo obszernego dresu, który ktoś mu przyniósł – prawdopodobnie Jimmy – Strike zauważył, że Billy jest wychudzony. Choć paznokcie miał obgryzione do krwi, a w kąciku jego ust widać było zaognione owrzodzenie, wokół chłopaka nie unosił się już zwierzęcy smród. Szurając nogami, wszedł do pokoju, utkwił wzrok w detektywie i wyciągnął kościstą rękę, którą Strike uścisnął.

– Zostaniecie tu? – spytał Billy, zwracając się do lekarzy.

– Tak – potwierdził Colin – ale nie martw się. Będziemy cicho. Możesz mówić panu Strike'owi, co tylko zechcesz.

Kamila ustawiła dwa krzesła pod ścianą, a Strike z Billym usiedli naprzeciw siebie po obu stronach biurka. Strike wolałby mniej oficjalną konfigurację, lecz doświadczenie z Wydziału do spraw Specjalnych nauczyło go, że solidna bariera między pytającym a odpytywanym często okazuje się przydatna – na zamkniętym oddziale psychiatrycznym bez wątpienia było podobnie.

– Próbowałem cię znaleźć, odkąd się u mnie zjawiłeś – zaczął Strike. – Bardzo się o ciebie martwiłem.

– No – bąknął Billy. – Przepraszam.

– Pamiętasz, co mi mówiłeś w agencji?

Zamyślony, jak się zdawało, Billy dotknął nosa i klatki piersiowej, lecz był to tylko cień tiku, który nękał go przy Denmark Street – prawie jakby próbował sobie przypomnieć, jak się wtedy czuł.

– No – powtórzył z lekkim, smutnym uśmiechem. – Mówiłem panu o tym dziecku obok konia. O tym uduszonym.

– Nadal uważasz, że byłeś świadkiem uduszenia dziecka? – spytał Strike.

Billy wsunął do ust koniuszek palca wskazującego, skubnął paznokieć i kiwnął głową.

– No – powiedział, wysuwając palec. – Widziałem to. Jimmy mówi, że tylko to sobie wyobraziłem, bo jestem... no wie pan. Chory. Zna pan Jimmy'ego, prawda? Poszedł pan za nim do White Horse, nie? – Strike przytaknął. – Zajebiście się wkurzył. White Horse – dodał Billy z nagłym śmiechem. – A to dobre. Cholera, dobre. Nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi.

– Mówiłeś, że widziałeś, jak zabito dziecko „obok konia". Którego konia miałeś na myśli?

– Białego Konia z Uffington – wyjaśnił Billy. – Wielką kredową figurę na wzgórzu niedaleko miejsca, w którym się wychowałem.

Nie przypomina konia. Bardziej smoka. Zresztą znajduje się na Smoczym Wzgórzu. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego wszyscy mówią, że to koń.

– Możesz mi powiedzieć, co dokładnie tam widziałeś?

Strike miał wrażenie, że podobnie jak wychudzona dziewczyna, którą przed chwilą minął na korytarzu, Billy spogląda w głąb siebie i zewnętrzna rzeczywistość na chwilę przestaje dla niego istnieć. Wreszcie odrzekł cichym głosem:

– Byłem mały, naprawdę mały. Chyba coś mi podali. Mdliło mnie i dziwnie się czułem, jakbym śnił, wszystko spowolniło i się rozmazało, a oni ciągle kazali mi powtarzać słowa, których nie byłem w stanie wymówić, i wtedy wszyscy się śmiali. W drodze na górę przewróciłem się na trawę. Jedno z nich przez jakiś czas mnie niosło. Chciało mi się spać.

– Myślisz, że podano ci jakiś narkotyk?

– No – potwierdził smutno Billy. – Pewnie hasz, Jimmy zazwyczaj go miał. Chyba zabrał mnie z nimi na wzgórze, żeby tata się nie dowiedział, co zrobili.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „oni”?

– Nie wiem – odparł z prostotą. – Dorosłych. Jimmy jest ode mnie o dziesięć lat starszy. Tata ciągle kazał mu się mną zajmować, kiedy wychodził gdzieś z kumplami od kieliszka. Tamci zjawili się w domu nocą, a ja się obudziłem. Ktoś z nich dał mi jogurt. Było tam jeszcze inne dziecko. Dziewczynka. A potem wszyscy pojechaliśmy gdzieś samochodem... Nie chciałem jechać. Było mi niedobrze. Płakałem, ale Jimmy mnie sprał. I po ciemku pojechaliśmy do konia. Ja i ta mała dziewczynka byliśmy tam jedynymi dziećmi. Ona beczała – ciągnął Billy, a gdy to mówił, skóra na jego wymizerowanej twarzy napięła się jeszcze bardziej,

jakby przywarła do kości. – Wołała mamę, ale on powiedział: „Twoja mama cię nie słyszy, już jej nie ma".

– Kto to powiedział? – spytał Strike.

– On – szepnął Billy. – Ten, który ją udusił.

Drzwi się otworzyły i jakaś pielęgniarka przyniosła herbatę.

– Proszę bardzo – powiedziała wesoło, nie odrywając wzroku od Strike'a. Psychiatra z Manchesteru lekko zmarszczył brwi i kobieta wycofała się na korytarz.

– Nikt mi nigdy nie wierzył – podjął Billy i Strike usłyszał w jego głosie błagalny ton. – Próbowałem sobie przypomnieć coś więcej, chciałbym sobie przypomnieć, bo przecież ciągle o tym myślę, chciałbym pamiętać coś więcej. Udusił ją, żeby przestała hałasować. Chyba nie chciał się posunąć aż tak daleko. Wszyscy wpadli w panikę. Pamiętam, jak ktoś zawołał: „Zabiłeś ją!"... albo jego – dodał cicho. – Potem Jimmy powiedział, że to był chłopiec, ale teraz nie chce tego przyznać. Mówi, że to wszystko zmyśliłem. „Dlaczego miałbym mówić, że to był chłopiec, skoro nic takiego się nie wydarzyło? Kurwa, jesteś psychiczny". To była dziewczynka – powtórzył uparcie Billy. – Nie wiem, dlaczego próbował mi wmówić, że nie. Miała dziewczyńskie imię. Nie pamiętam jakie, ale dziewczyńskie. Widziałem, jak upadła. Martwa. Bezwładnie leżała na ziemi. Było ciemno. A potem wpadli w panikę. Nie pamiętam, jak zeszliśmy ze wzgórza, nie pamiętam niczego oprócz tego, że zakopali ją w leśnej dolince obok domu mojego taty.

– Tej samej nocy? – spytał Strike.

– Chyba tak – odrzekł nerwowo Billy. – Bo pamiętam, jak patrzyłem przez okno w swoim pokoju i było jeszcze ciemno, a oni nieśli ją w stronę dolinki, mój tata i o n.

– „On", czyli kto?

– Ten, który ją zabił. Chyba on. Duży facet. Białe włosy. Włożyli zawiniątko do ziemi, opatulone różowym kocem, a potem zasypali.

– Pytałeś o to ojca?

– Nie. Ojcu nie zadawało się pytań o to, co robi dla rodziny.

– Dla jakiej rodziny?

Billy zmarszczył brwi, jakby to pytanie szczerze go zdziwiło.

– Dla twojej rodziny? – podsunął Strike.

– Nie. Dla rodziny, u której pracował. Dla Chiswellów.

Strike miał wrażenie, że nazwisko martwego ministra po raz pierwszy padło w obecności dwojga psychiatrów. Zauważył, jak ich długopisy drgnęły.

– Jaki związek miał z nimi ten pogrzeb?

Billy wydawał się zdezorientowany. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale chyba się rozmyślił, zmarszczył brwi, spoglądając na różowe ściany wokół, i znowu zaczął obgryzać paznokieć. Wreszcie odrzekł:

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Nie brzmiało to jak kłamstwo czy zaprzeczenie. Billy wyglądał na szczerze zaskoczonego słowami, które padły z jego ust.

– Nie przypominasz sobie, co cię skłoniło do wniosku, że ojciec zakopuje dziecko na polecenie Chiswellów?

– Nie – powiedział powoli Billy. – Ja po prostu... Wtedy... kiedy to powiedziałem... pomyślałem, że... wyświadczał przysługę... Jakbym później coś usłyszał... – Pokręcił głową. – Niech pan nie zwraca na to uwagi, nie wiem, dlaczego tak powiedziałem.

„Ludzie, miejsca i rzeczy" – pomyślał Strike, wyjmując swój notes i otwierając go.

– Pomijając Jimmy'ego i dziewczynkę, którą zabito – podjął – co jeszcze pamiętasz na temat grupki osób, które tamtej nocy pojechały do konia? Ile ich według ciebie było?

Billy głęboko się zamyślił.

– Nie wiem. Chyba... z osiem, dziesięć?

– Sami mężczyźni?

– Nie. Kobiety też.

Strike zobaczył nad ramieniem Billy'ego, jak pani psychiatra unosi brwi.

– Pamiętasz coś jeszcze w związku z tą grupą? Wiem, że byłeś mały – zapewnił Strike, uprzedzając obiekcje Billy'ego – i prawdopodobnie podano ci coś, co cię oszołomiło, ale może pamiętasz jakiś szczegół, o którym mi jeszcze nie wspomniałeś. Coś, co zrobili. W co byli ubrani? Pamiętasz, jakie mieli włosy albo kolor skóry? Cokolwiek.

Zapadło długie milczenie, a potem Billy na chwilę zamknął oczy i potrząsnął głową, jakby zdecydowanie odrzucał sugestię, którą słyszał tylko on sam.

– Była ciemna. Ta dziewczynka. Jak...

Leciutko przekręcając głowę, wskazał siedzącą za nim lekarkę.

– Azjatka? – podpowiedział Strike.

– Może – powiedział Billy. – No. Miała czarne włosy.

– Kto cię niósł na wzgórze?

– Jimmy na zmianę z jednym z pozostałych mężczyzn.

– Nikt nie mówił, dlaczego idą tam po ciemku?

– Chyba chcieli się dostać do oka – odrzekł Billy.

– Do oka konia?

– No.

– Po co?

– Nie wiem. – Billy nerwowo przesunął rękami po ogolonej głowie. – Wie pan, o tym oku krążą różne historie. Udusił ją w oku, jestem tego pewny. Dobrze to pamiętam. Jak umierała, zrobiła siku. Widziałem plamę na białym.

– I nie pamiętasz nic więcej na temat mężczyzny, który to zrobił?

Billy się skrzywił. Pochylił się i zaczął pociągać nosem, kręcąc głową. Psychiatra z Manchesteru lekko podniósł się z krzesła. Billy chyba to wyczuł, bo zapanował nad sobą i znowu potrząsnął głową.

– Nic mi nie jest – zapewnił. – Chcę mu to powiedzieć. Muszę się przekonać, czy to prawda. To trwa całe moje życie, dłużej tego nie wytrzymam, muszę się dowiedzieć. Niech mnie pyta. Wiem, że musi. Niech mnie pyta. Wytrzymam.

Psychiatra powoli usiadł z powrotem.

– Nie zapomnij o herbacie, Billy.

– Tak – powiedział Billy, mrugając, żeby się nie rozpłakać, i wycierając nos rękawem. – Dobrze.

Wziął kubek w obie ręce, zdrową i zabandażowaną, i upił łyk.

– Możemy kontynuować? – spytał go Strike.

– No – zgodził się cicho Billy. – Niech pan pyta.

– Pamiętasz może, czy ktokolwiek wspominał w twojej obecności o dziewczynce, która miała na imię Suki?

Strike spodziewał się zaprzeczenia. Już odwrócił kartkę, by spojrzeć na listę pytań zatytułowaną „Miejsca", lecz Billy odrzekł:

– No.

– Słucham? – zdziwił się Strike.

– Bracia Butcher ją znali – wyjaśnił Billy. – Kumple Jimmy'ego z rodzinnych stron. Czasami trochę pracowali na terenie posiadłości Chiswellów. Pomagali tacie w ogrodzie i przy koniach.

– Znali Suki Lewis?

– No. Uciekła, prawda? To była lokalna sensacja. Bracia Butcher bardzo się tym przejęli, bo widzieli jej zdjęcie w telewizji i znali jej

rodzinę. Jej mama miała nie po kolei w głowie. No, Suki była w domu dziecka i uciekła do Aberdeen.

– Do Aberdeen?

– Tak mówili bracia Butcher.

– Miała dwanaście lat.

– W Aberdeen mieszkali jej krewni. Pozwolili jej zostać.

– Naprawdę?

Strike zastanawiał się, czy przypadkiem Aberdeen nie wydawało się nastoletnim braciom Butcher z Oxfordshire niesamowicie dalekie i czy nie byli bardziej skłonni uwierzyć w taką historyjkę, bo nie potrafili jej zweryfikować, w związku z czym paradoksalnie uznali ją za bardziej wiarygodną.

– Mówimy o braciach Tegan, tak? – spytał Strike.

– Od razu widać, że jest dobry, no nie? – rzucił zafascynowany Billy w stronę psychiatry z Manchesteru. – Widzi pan, ile on wie? No – zwrócił się z powrotem do Strike'a. – To ich młodsza siostra. Tak samo jak my pracowali u Chiswellów. Dawniej było tam dużo roboty, ale potem sprzedali mnóstwo ziemi. Już nie potrzebują tylu ludzi.

Napił się jeszcze herbaty, trzymając kubek w obu dłoniach.

– Billy – zaczął Strike – wiesz, gdzie przebywałeś po tym, jak wybiegłeś z mojej agencji?

Tik natychmiast wrócił. Prawa ręka Billy'ego wypuściła ciepły kubek, po czym szybkim, nerwowym ruchem dotknęła nosa i klatki piersiowej.

– Byłem... Jimmy nie chce, żebym o tym mówił – oznajmił, niezdarnie odstawiając kubek na biurko. – Zabronił mi.

– Myślę, że ważniejsze jest to, żebyś odpowiedział na pytania pana Strike'a, niż to, co myśli twój brat – wtrącił się psychiatra siedzący za Strikiem. – Wiesz, Billy, że jeśli nie masz ochoty, nie

musisz się widywać z Jimmym. Możemy go poprosić, żeby przez jakiś czas tu nie przyjeżdżał, dzięki temu łatwiej odzyskasz równowagę.

– Czy Jimmy odwiedzał cię tam, gdzie byłeś? – spytał Strike.

Billy przygryzł wargę.

– Taa – odparł w końcu. – I mówił, że mam tam siedzieć, bo inaczej znowu wszystko mu spieprzę. Myślałem, że drzwi są otoczone ładunkami wybuchowymi – dodał z nerwowym śmiechem. – Że jeśli spróbuję wyjść, wylecę w powietrze. Pewnie wcale tak nie było, no nie? – Patrzył na Strike'a, jakby szukał w jego twarzy jakiejś wskazówki. – Kiedy źle się czuję, wymyślam różne rzeczy.

– Pamiętasz, jak się stamtąd wydostałeś?

– Pomyślałem, że odłączyli ładunki wybuchowe – wyjaśnił Billy. – Ten facet kazał mi uciekać, więc uciekłem.

– Jaki facet?

– Ten, który mnie pilnował.

– Pamiętasz, co robiłeś, kiedy cię tam trzymali? – spytał Strike. – Jak spędzałeś czas?

Billy pokręcił głową.

– Pamiętasz – powtórzył Strike – jak wycinałeś coś w drewnie?

Spojrzenie Billy'ego wypełniło się strachem i zdziwieniem. Potem chłopak się roześmiał.

– Pan wszystko wie. – Uniósł zabandażowaną lewą dłoń. – Nóż się ześlizgnął. Wbił mi się prosto w rękę.

– Billy trafił do nas z tężcem – wtrącił psychiatra. – Na tej ręce miał paskudnie zainfekowaną ranę.

– Co wyryłeś na tych drzwiach, Billy?

– Więc naprawdę to zrobiłem? Wyryłem na drzwiach Białego Konia? Bo potem nie wiedziałem, czy to się stało naprawdę, czy nie.

– Tak, zrobiłeś to – potwierdził Strike. – Widziałem te drzwi. Ładnie ci wyszło.

– No. Bo kiedyś... czasami to robiłem. Rzeźbiłem w drewnie. Dla taty.

– Na czym wycinałeś tego konia?

– Na wisiorkach – odrzekł Billy ku jego zdziwieniu. – Na małych krążkach drewna, przez które przewlekano rzemyki. Dla turystów. Sprzedawaliśmy je w sklepie w Wantage.

– Billy – powiedział Strike – możesz sobie przypomnieć, jak trafiłeś do tej łazienki? Poszedłeś tam, żeby się z kimś spotkać, czy może ktoś cię tam zaprowadził?

Oczy Billy'ego znowu zaczęły błądzić po różowych ścianach i pojawiła się między nimi głęboka bruzda.

– Szukałem człowieka o nazwisku Winner... nie...

– Winn? Geraint Winn?

– No. – Billy znowu spojrzał ze zdumieniem na Strike'a. – Pan wie w s z y s t k o. Jak pan to robi?

– Szukałem cię – odparł Strike. – Po co poszedłeś do Winna?

– Słyszałem, jak Jimmy o nim mówi – wyjaśnił Billy, znowu obgryzając paznokieć. – Jimmy powiedział, że Winn pomoże wyjaśnić sprawę zabitego dziecka.

– Winn miał pomóc wyjaśnić sprawę uduszonego dziecka?

– No – potwierdził nerwowo Billy. – Widzi pan, po naszym spotkaniu myślałem, że pan też chce mnie złapać i zamknąć. Myślałem, że chce pan zastawić na mnie pułapkę i... tak już mam, kiedy mi się pogarsza – usprawiedliwił się bezradnie. – No więc poszedłem do tego Winnera... Winna. Jimmy miał zapisany jego numer telefonu i adres, więc go odszukałem, a potem złapał mnie jeden facet.

– Kto?

– Taki... czarniawy gość – wymamrotał Billy, szybko zerkając w stronę lekarki. – Bałem się go, myślałem, że to terrorysta i że mnie zabije, ale potem powiedział, że pracuje dla rządu, więc uznałem, że rząd chce, żeby trzymano mnie w tym domu, a drzwi i okna są podłączone do ładunków wybuchowych... ale tak naprawdę chyba wcale nie były. Tylko mi się wydawało. Pewnie nie chciał mnie dłużej w swojej łazience. Pewnie od początku zamierzał się mnie pozbyć – ciągnął Billy ze smutnym uśmiechem. – A ja nie chciałem wyjść, bo myślałem, że wylecę w powietrze.

Jego prawa ręka odruchowo popełzła w stronę nosa i klatki piersiowej.

– Chyba próbowałem znowu do pana dzwonić, ale pan nie odbierał.

– Zadzwoniłeś. Zostawiłeś mi wiadomość na poczcie głosowej.

– Serio? No... Myślałem, że pan mi pomoże się stamtąd wydostać... Przepraszam. – Billy potarł powieki. – Kiedy mnie to dopada, sam nie wiem, co robię.

– Ale jesteś pewny, że widziałeś, jak ktoś dusi dziecko, Billy? – upewnił się cicho Strike.

– O tak – potwierdził posępnie Billy, podnosząc głowę. – Tak, to mi nie daje spokoju. Wiem, że to widziałem.

– Próbowałeś kiedyś kopać w tym miejscu, gdzie twoim zdaniem...

– Jezu, nie – wystraszył się Billy. – Kopać obok domu taty? Nie. Bałem się – wyjaśnił słabym głosem. – Nie chciałem tego więcej oglądać. Kiedy ją zakopali, pozwolili, żeby dolinka zarosła pokrzywą i chwastami. Miałem o tym takie sny, że by pan nie uwierzył. Że ta dziewczynka wypełza w ciemności z dolinki, cała w stanie rozkładu, i próbuje wejść przez okno do mojego pokoju.

Długopisy psychiatrów skrobały o papier.

Strike przeszedł do kategorii „Rzeczy", którą też zapisał w notesie. Zostały tylko dwa pytania.

– Billy, czy kiedykolwiek wbiłeś w ziemię krzyż w miejscu, gdzie widziałeś, jak zakopywano ciało?

– Nie! – Billy przeraził się na samą myśl. – Robiłem wszystko, żeby trzymać się z dala od dolinki, nie chciałem się do niej zbliżać.

– Ostatnie pytanie – ciągnął Strike. – Czy twój ojciec robił dla Chiswellów coś nietypowego? Wiem, że był złotą rączką, ale może przychodzi ci do głowy coś innego...

– Co pan ma na myśli? – spytał Billy.

Nagle wydał się bardziej przestraszony.

– Bo ja wiem – odrzekł ostrożnie Strike, obserwując jego reakcję. – Po prostu się zastanawiam...

– Jimmy mnie ostrzegał! Mówił, że węszy pan wokół taty. Nie może pan mieć o to do nas pretensji, nie mieliśmy z tym nic wspólnego, byliśmy jeszcze dziećmi!

– Nie mam do was żadnych pretensji – zapewnił Strike, ale nagle zaszurały krzesła: Billy i psychiatrzy wstali, ręka kobiety zbliżyła się do dyskretnego przycisku obok drzwi, który, jak domyślał się Strike, pełnił funkcję alarmu.

– Chodziło panu o to, żebym zaczął gadać? Próbuje pan wpakować mnie i Jimmy'ego w kłopoty?

– Nie – zaprzeczył Strike, także dźwigając się z miejsca. – Jestem tu, bo wierzę, że widziałeś, jak ktoś dusi dziecko, Billy.

Zdenerwowany, nieufny Billy dwa razy szybko dotknął niezabandażowaną ręką nosa i klatki piersiowej.

– Więc po co pan pyta, czym zajmował się tata? – szepnął. – To nie dlatego zginęła, to nie miało z nim nic wspólnego! Jimmy mnie zajebie – dodał zrozpaczonym głosem. – Mówił, że ściga go pan za to, co robił tata.

– Nikt nikogo nie skrzywdzi – oznajmiła zdecydowanie lekarka. – Czas chyba dobiegł końca – zwróciła się z werwą do Strike'a, otwierając drzwi. – No, Billy, wychodzimy.

On jednak się nie poruszył. Być może jego skóra i kości się starzały, ale twarz zdradzała strach i bezradność małego, osieroconego przez matkę dziecka o umyśle wypaczonym przez człowieka, który powinien był się nim opiekować. Strike, który w swoim chaotycznym, pozbawionym stabilizacji dzieciństwie poznał całą rzeszę wykorzenionych i zaniedbywanych dzieci, dostrzegł w błagalnym wyrazie twarzy Billy'ego ostatnią prośbę skierowaną do świata dorosłych, by zrobił to, co do dorosłych należy, czyli zaprowadził porządek w zamęcie, zastąpił brutalność równowagą psychiczną. Stojąc oko w oko z wychudzonym pacjentem psychiatrycznym o ogolonej głowie, czuł z nim dziwne pokrewieństwo, ponieważ odnajdował w sobie takie samo pragnienie porządku. Zawiodło ich ono ku dwóm przeciwstawnym stronom biurka, lecz być może w rzeczywistości różniło ich od siebie tylko to, że matka Strike'a żyła wystarczająco długo i wystarczająco mocno go kochała, by zdołał się nie załamać, gdy życie zaczęło mu rzucać kłody pod nogi.

– Billy, dowiem się, co się stało z dzieckiem, które wtedy uduszono. Obiecuję.

Psychiatrzy wydawali się zaskoczeni, wręcz niezadowoleni. Wiedział, że wygłaszanie kategorycznych oświadczeń i gwarantowanie rozwiązań nie mieści się w granicach ich profesji. Włożył notes z powrotem do kieszeni, wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę. Po chwili zastanowienia z Billy'ego chyba uleciała wrogość. Szurając nogami, podszedł do Strike'a, ujął jego wyciągniętą dłoń i bardzo długo ją trzymał, a jego oczy wypełniały się łzami.

Szepcząc tak cicho, że żadne z lekarzy nie mogło go usłyszeć, wyznał:

– Nie znosiłem robić na nich konia, panie Strike. Nie znosiłem tego.

57

Masz odwagę i szczerą wolę to uczynić, Rebeko?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Należące do Vanessy mieszkanie z jedną sypialnią mieściło się na parterze bliźniaka niedaleko stadionu Wembley. Rano przed wyjściem do pracy Vanessa dała Robin zapasowy klucz i życzliwie zapewniła, że zdaje sobie sprawę, że przyjaciółka będzie potrzebowała więcej niż dwóch dni, aby znaleźć nowe mieszkanie, i że do tego czasu spokojnie może mieszkać u niej.

Poprzedniego wieczoru siedziały do późna i piły. Vanessa opowiedziała Robin ze szczegółami, jak odkryła, że były narzeczony ją zdradza. Opowieść zawierała wiele dramatycznych zwrotów akcji, o których wcześniej nie wspominała, między innymi stworzenie dwóch lewych kont na Facebooku mających pełnić funkcję przynęty zarówno na jej byłego, jak i na jego kochankę, co po trzech miesiącach cierpliwego namawiania przyniosło owoce w postaci nagich zdjęć od nich obojga. Robin, pełna podziwu i równie mocno wstrząśnięta, śmiała się, gdy Vanessa odgrywała scenkę przekazania narzeczonemu zdjęć ukrytych w walentynkowej kartce, którą podała mu nad stolikiem dla dwojga w ich ulubionej restauracji.

– Jesteś zbyt miła, dziewczyno – orzekła Vanessa, przyjmując surowy wyraz twarzy nad kieliszkiem pinot grigio. – Ja co najmniej

zatrzymałabym ten jej przeklęty kolczyk i zrobiłabym sobie z niego wisiorek.

Teraz Vanessa była w pracy. Zapasowa narzuta leżała starannie złożona na końcu kanapy, na której Robin siedziała z otwartym laptopem. Przez całe popołudnie oglądała pokoje do wynajęcia, bo chyba tylko na to mogła sobie pozwolić z pensji wypłacanej przez Strike'a. Gdy przebiegała wzrokiem po ogłoszeniach lokali będących w zasięgu jej finansów, wracało do niej wspomnienie piętrowego łóżka w mieszkaniu Flick. Na niektórych zdjęciach widać było surowe, przypominające koszary pokoje z licznymi łóżkami w środku, do innych dołączono fotografie, które nadawałyby się do prasowych doniesień na temat żyjących w odosobnieniu ciułaczy znajdowanych po śmierci przez sąsiadów. Śmiech z poprzedniego wieczoru wydawał się teraz bardzo odległy. Robin starała się nie zwracać uwagi na bolesną, twardą gulę w gardle, która nie chciała się rozpuścić, bez względu na liczbę wypitych filiżanek herbaty.

Tego dnia Matthew dwa razy próbował się do niej dodzwonić. Nie odebrała, a on nie zostawił wiadomości. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała skontaktować się z adwokatem w sprawie rozwodu i że będzie to wymagało pieniędzy, których nie miała, lecz teraz najważniejsze było znalezienie jakiegoś lokum i poświęcanie sprawie Chiswella nie mniejszej liczby godzin niż dotychczas, ponieważ gdyby Strike miał powody sądzić, że jego wspólniczka nie staje na wysokości zadania, zostałaby zagrożona jedyna część jej życia, która miała jeszcze jakąś wartość.

„Zrezygnowałaś ze studiów. Teraz rezygnujesz z nas. Zrezygnowałaś nawet z terapii. Jesteś pieprzoną niedojdą".

Zdjęcia ponurych pokoi w nieznanych mieszkaniach raz po raz rozpływały się przed jej oczami, gdy wyobrażała sobie Matthew

i Sarah na ciężkim mahoniowym łóżku, które kupił jej teść. W takich chwilach czuła, że jej wnętrzności zmieniają się w płynny ołów, że w każdej chwili może stracić samokontrolę i że ma ochotę oddzwonić do Matthew, aby na niego nawrzeszczeć. Nie robiła tego jednak, ponieważ nie chciała być kimś, kogo Matthew usiłował z niej zrobić: irracjonalną, niepoukładaną, niepanującą nad sobą kobietą, „pieprzoną niedojdą".

Poza tym miała wieści dla Strike'a – wieści, które zamierzała mu przekazać, gdy tylko Cormoran skończy rozmawiać z Billym. O jedenastej przed południem Raphael Chiswell odebrał połączenie i po chłodnym wstępie zgodził się z nią porozmawiać, lecz tylko w wybranym przez siebie miejscu. Godzinę później oddzwoniła Tegan Butcher, której nie trzeba było długo namawiać na rozmowę. Wydawała się jednak zawiedziona, że skontaktowała się z nią wspólniczka sławnego Strike'a, a nie on sam.

Robin zapisała adres pokoju w Putney („mieszkanie dzielone z właścicielką, dom wegetariański, lokator musi lubić koty"), sprawdziła, która jest godzina, i postanowiła się przebrać w jedyną sukienkę, jaką zabrała z Albury Street – wyprasowana wisiała już na drzwiach do kuchni Vanessy. Podróż z Wembley do restauracji przy Old Brompton Road, w której umówiła się z Raphaelem, miała potrwać ponad godzinę, a poza tym Robin bała się, że będzie potrzebowała więcej czasu niż zwykle, żeby jako tako wyglądać podczas tego spotkania.

Z lustra w łazience Vanessy patrzyła na nią blada twarz o spuchniętych z niewyspania oczach. Gdy Robin próbowała zatuszować cienie korektorem, zadzwoniła jej komórka.

– Cześć, Cormoran – przywitała się, przełączając telefon na głośnik. – Widziałeś się z Billym?

Relacja z rozmowy Strike'a z Billym trwała dziesięć minut, podczas których Robin skończyła robić makijaż, wyszczotkowała włosy i włożyła sukienkę.

– Wiesz – podsumował Strike – zaczynam się zastanawiać, czy nie powinniśmy byli zrobić tego, o co Billy prosił na samym początku: kopać.

– Mhm – mruknęła Robin. – Zaraz... co? – zorientowała się. – Masz na myśli... w sensie dosłownym?

– Możliwe, że do tego dojdzie – odrzekł Strike.

Po raz pierwszy tego dnia kłopoty Robin zostały zupełnie przysłonięte czymś innym, czymś potwornym. Zwłoki Jaspera Chiswella były pierwszymi, jakie widziała poza bezpiecznym, sterylnym kontekstem szpitala i zakładu pogrzebowego. Nawet wspomnienie ciasno owiniętej folią głowy przypominającej rzepę, z ciemną, ziejącą jamą zamiast ust, bledło w zestawieniu z perspektywą ziemi i robaków, rozkładającego się koca i gnijących kości dziecka.

– Cormoran, jeśli myślisz, że w tej dolince naprawdę pogrzebano dziecko, powinniśmy powiedzieć o tym policji.

– Powiedziałbym, gdybym był pewny, że psychiatrzy poręczą za Billy'ego, ale oni tego nie zrobią. Po rozmowie z Billym długo z nimi dyskutowałem. Nie mogą stwierdzić ze stuprocentową pewnością, że n i e d o s z ł o do uduszenia dziecka – to stary problem niemożności udowodnienia, że coś się nie wydarzyło – ale i tak w to nie wierzą.

– Uważają, że Billy zmyśla?

– Nie w potocznym sensie. Ich zdaniem to urojenie albo w najlepszym razie błędna interpretacja czegoś, co widział w dzieciństwie. Może nawet zobaczył to w telewizji. Byłoby to zbieżne z innymi objawami jego choroby. Mnie też wydaje się

mało prawdopodobne, żebyśmy coś tam znaleźli, ale dobrze by było zyskać pewność. A poza tym jak ci minął dzień? Jakieś wieści?

– Co? – powtórzyła nieprzytomnie. – A... tak. O siódmej jestem umówiona z Raphaelem na drinka.

– Świetnie – pochwalił ją Strike. – Gdzie?

– Lokal nazywa się Nam coś tam... Nam Long Le Shaker?

– Ten w Chelsea? – spytał Strike. – Byłem tam dawno temu. Nie najlepiej wspominam ten wieczór.

– Poza tym oddzwoniła Tegan Butcher. Zdaje się, że jest twoją fanką.

– Tylko tego potrzeba tej sprawie: kolejnego stukniętego świadka.

– To było niesmaczne – odparła Robin, udając rozbawienie. – W każdym razie mieszka z mamą w Woolstone i pracuje w pubie przy torze wyścigowym w Newbury. Mówi, że nie chce z nami rozmawiać w wiosce, bo jej mama nie byłaby zadowolona, że się z nami spotyka, i zastanawiała się, czy nie moglibyśmy przyjechać do niej do Newbury.

– To daleko od Woolstone?

– Jakieś trzydzieści pięć kilometrów.

– W porządku – powiedział Strike. – Może pojedziemy do Newbury land roverem na rozmowę z Tegan, a w drodze powrotnej zahaczymy o leśną dolinkę, żeby jeszcze raz się tam rozejrzeć?

– Hmm... dobrze – zgodziła się Robin. Jej umysł błyskawicznie analizował problemy logistyczne związane z koniecznością powrotu na Albury Street po land rovera. Zostawiła go tam, dlatego że na ulicy Vanessy trzeba było rezerwować miejsca parkingowe. – Kiedy?

– Kiedy Tegan będzie wygodnie, ale najchętniej jeszcze w tym tygodniu. Im szybciej, tym lepiej.

– Okej – powiedziała Robin, myśląc o nieśmiałych planach rozglądania się w najbliższych dniach za nowym lokum.

– Robin, wszystko w porządku?

– Jasne.

– W takim razie zadzwoń do mnie po rozmowie z Raphaelem, dobra?

– Załatwione – obiecała Robin, ciesząc się, że kończą rozmowę. – Do usłyszenia później.

58

Wydaje mi się, że w człowieku tkwią dwie wole!

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

W Nam Long Le Shaker panowała atmosfera dekadenckiego baru z epoki kolonialnej. Słabo oświetlone wnętrze z bujnymi roślinami oraz kolekcją rozmaitych obrazów i rycin przedstawiających piękne kobiety łączyło styl wietnamski z europejskim. Gdy pięć po siódmej Robin weszła do restauracji, zastała Raphaela opartego o bar. Miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę bez krawata. Wypił już połowę piwa i rozmawiał z długowłosą pięknością, która stała przed połyskującą ścianą pełną butelek.

– Cześć – przywitała się Robin.

– Witaj – odpowiedział z lekkim chłodem w głosie. – Masz inne oczy – dodał po chwili. – W Woolstone też takie były?

– Niebieskie? – spytała Robin, zdejmując płaszcz. Włożyła go, ponieważ mimo ciepłego wieczoru nękały ją dreszcze. – Tak.

– Pewnie nie zauważyłem, w tym przeklętym domu brakuje połowy żarówek. Czego się napijesz?

Zawahała się. Nie powinna pić podczas rozmowy ze świadkiem, lecz jednocześnie nagle zapragnęła alkoholu. Zanim zdążyła się zdecydować, Raphael rzucił z zaczepną nutą w głosie:

– Dzisiaj też działałaś pod przykrywką?

– Dlaczego pytasz?

– Znowu nie masz na palcu obrączki.

– W biurze też byłeś taki spostrzegawczy? – spytała Robin, a Raphael się uśmiechnął, przypominając jej, dlaczego go polubiła, nawet wbrew swojej woli.

– Zauważyłem, że nosiłaś zerówki, pamiętasz? – odrzekł. – Wtedy myślałem, że próbujesz dodać sobie powagi, bo jesteś za ładna do polityki. No więc to – wskazał swoje ciemnobrązowe oczy – może i jest przenikliwe, ale to – popukał się w głowę – nie za bardzo.

– Wypiję kieliszek czerwonego wina. – Robin się uśmiechnęła. – Poza tym oczywiście ja stawiam.

– Skoro płaci za to pan Strike, zjedzmy kolację – zaproponował natychmiast Raphael. – Umieram z głodu i jestem spłukany.

– Naprawdę?

Po całym dniu szukania pokoi na wynajem, za które zdołałaby zapłacić ze swojej pensji, Robin nie była w nastroju na ponowne wysłuchiwanie definicji ubóstwa w ujęciu Chiswellów.

– Naprawdę, choć pewnie trudno ci w to uwierzyć – odparł Raphael z lekko kąśliwym uśmiechem. Przypuszczała, że zgadł, o czym przed chwilą pomyślała. – Mówię poważnie: zjemy coś?

– W porządku – zgodziła się Robin, która przez cały dzień prawie nie tknęła jedzenia. – Możemy coś zamówić.

Raphael wziął z baru swoją butelkę piwa i poprowadził Robin do restauracji, gdzie zajęli stolik dla dwojga przy ścianie. Było tak wcześnie, że nikt oprócz nich nie jadł jeszcze kolacji.

– Moja matka przychodziła tu w latach osiemdziesiątych – powiedział Raphael. – Lokal był znany, bo właściciel lubił mówić bogatym i sławnym, żeby spieprzali, jeśli nie byli odpowiednio ubrani, a oni to uwielbiali.

– Serio? – Myśli Robin krążyły wiele kilometrów dalej. Właśnie sobie uświadomiła, że już nigdy nie zje z Matthew kolacji tylko we dwoje. Pamiętała, kiedy zdarzyło się to po raz ostatni: w Le Manoir aux Quat'Saisons. O czym wtedy myślał, jedząc w milczeniu? Na pewno był na nią wściekły, że postanowiła wrócić do pracy u Strike'a, ale być może ważył też w myślach konkurencyjne atrybuty Sarah: jej dobrze płatną pracę w Christie's, niekończący się zasób historyjek o zamożności innych ludzi i niewątpliwie wielką pewność siebie w łóżku, gdzie kolczyki z brylantami, które kupił jej narzeczony, zaczepiały o poduszkę Robin.

– Słuchaj, jeśli wspólna kolacja ze mną ma ci tak popsuć humor, to możemy wrócić do baru – odezwał się Raphael.

– Co? – spytała zaskoczona Robin, wyrwana z zamyślenia. – Och... nie, nie chodzi o ciebie.

Kelner przyniósł Robin wino. Upiła duży łyk.

– Przepraszam – powiedziała. – Właśnie myślałam o mężu. Wczoraj wieczorem od niego odeszłam.

Patrząc, jak zaskoczony Raphael zastyga z butelką przy ustach, wiedziała, że przekroczyła niewidzialną granicę. Odkąd zaczęła pracować w agencji, nigdy nie wykorzystywała prawdziwych informacji ze swojego życia osobistego, by zdobyć czyjeś zaufanie, nigdy nie mieszała życia prywatnego z zawodowym, by zaskarbić

sobie czyjąś przychylność. Zmieniając niewierność Matthew w narzędzie do manipulowania Raphaelem, wiedziała, że robi coś, co przeraziłoby i zniesmaczyło jej męża. Pomyślałby pewnie, że ich małżeństwo powinno być święte, wyraźnie odgrodzone od jej pracy, którą uważał za podejrzaną i niewiele wartą.

– Poważnie? – spytał Raphael.

– Tak, ale nie oczekuję, że mi uwierzysz po tych wszystkich bzdurach, których ci naopowiadałam, będąc Venetią. W każdym razie – wyjęła notes z torebki – mówiłeś, że nie będziesz miał nic przeciwko kilku pytaniom.

– Eee... no tak – przyznał. Najwyraźniej nie mógł się zdecydować, czy jest bardziej rozbawiony, czy zakłopotany. – Mówisz prawdę? Wczoraj wieczorem rozpadło się twoje małżeństwo?

– Tak – powtórzyła Robin. – Dlaczego tak cię to zaszokowało?

– Bo ja wiem – odrzekł. – Wydajesz się taką... harcereczką. – Wodził wzrokiem po jej twarzy. – Po części właśnie na tym polega twój urok.

– Mogłabym po prostu zadać te pytania? – Robin postanowiła, że będzie niewzruszona.

Raphael wypił trochę piwa.

– Zawsze jesteś zajęta pracą. Facet zaczyna się zastanawiać, co musiałby zrobić, żeby odwrócić od niej twoją uwagę.

– Naprawdę...

– Dobrze, dobrze, pytania... Ale najpierw złóżmy zamówienie. Masz ochotę na dim sum?

– Obojętnie, byle było dobre – odrzekła Robin, otwierając notes.

Zamawianie jedzenia najwyraźniej poprawiło Raphaelowi humor.

– Dopij wino – powiedział.

– W ogóle nie powinnam pić – stwierdziła i rzeczywiście poprzestała na jednym łyku. – No dobrze, chciałam porozmawiać

z tobą o domu przy Ebury Street.

– Pytaj.

– Słyszałeś, co mówiła Kinvara o kluczach. Zastanawiam się, czy...

– ...czy kiedykolwiek miałem jeden z nich – dokończył spokojnie Raphael. – Zgadnij, ile razy byłem w tym domu.

Czekała.

– Raz – powiedział. – W dzieciństwie nigdy tam nie jeździłem. Kiedy wyszedłem z... no wiesz skąd... tata, który ani razu mnie tam nie odwiedził, zaprosił mnie na spotkanie do domu Chiswellów. Pojechałem. Uczesałem się, włożyłem garnitur, tłukłem się aż do tej dziury, a on nie zadał sobie trudu, żeby się zjawić. Zatrzymało go jakieś późne głosowanie w parlamencie albo inne gówno. Wyobraź sobie, jak bardzo Kinvara się ucieszyła, że będzie musiała mnie przenocować w tym cholernie przygnębiającym miejscu, o którym śniłem koszmary, odkąd byłem dzieckiem. Witaj w domu, Raff. Z samego rana wróciłem pociągiem do Londynu. W następnym tygodniu tata w ogóle się ze mną nie kontaktował, aż wreszcie znowu mnie wezwał, tym razem na Ebury Street. Zastanawiałem się, czy go nie olać. Dlaczego tam pojechałem?

– Nie wiem – odparła Robin. – Dlaczego?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Bo można kogoś cholernie nienawidzić, a mimo to nadal pragnąć, żeby nie miał cię gdzieś, i jednocześnie nienawidzić się za to pragnienie.

– Tak – przyznała cicho Robin. – Oczywiście, że można.

– No więc pobiegłem na Ebury Street, myśląc, że może nie czeka mnie rozmowa od serca, bo przecież poznałaś mojego ojca, ale, no wiesz, że okaże jakieś ludzkie uczucia. Otworzył drzwi, powiedział: „O, jesteś", wepchnął mnie do salonu, w którym siedział Henry Drummond, i zrozumiałem, że przyszedłem na rozmowę w sprawie

pracy. Drummond oświadczył, że mnie przyjmie, tata warknął, żebym tego nie spieprzył, i wypchnął mnie z powrotem na ulicę. Byłem w tym domu pierwszy i ostatni raz – zakończył Raphael – więc nie mogę powiedzieć, że wiążą mnie z nim miłe wspomnienia.

Zamilkł, zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział, po czym krótko się zaśmiał.

– Poza tym oczywiście mój ojciec popełnił tam samobójstwo. Zapomniałem.

– Nie miałeś klucza – podsumowała Robin, zapisując to w notesie.

– Nie. Wśród wielu rzeczy, których nie dostałem tamtego dnia, był zapasowy klucz i zaproszenie, żebym wpadał, kiedy przyjdzie mi ochota.

– Muszę cię spytać o coś, co może ci się wydać dosyć dziwne – zaczęła ostrożnie Robin.

– Brzmi interesująco. – Raphael się pochylił.

– Podejrzewałeś kiedykolwiek, że twój ojciec ma romans?

– Co? – spytał z prawie komicznym zdumieniem. – Nie... ale... C o?

– Mniej więcej w ciągu ostatniego roku – podpowiedziała Robin. – Kiedy był już mężem Kinvary.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Dobrze – powiedziała Robin. – Skoro nie...

– Dlaczego, na litość boską, myślisz, że mógł mieć romans?

– Kinvara zawsze była niezwykle zaborcza, bardzo interesowała się tym, gdzie aktualnie przebywa twój ojciec, prawda?

– Taa – przyznał Raphael z pogardliwym uśmieszkiem. – Ale dobrze wiesz, dlaczego się tak zachowywała. Przez c i e b i e.

– Słyszałam, że przeszła załamanie nerwowe wiele miesięcy przed tym, zanim zaczęłam pracować w biurze. Powiedziała komuś,

że twój ojciec ją zdradza. Wszystko wskazywało na to, że była zrozpaczona. Mniej więcej w tym czasie uśpiono jej klacz i...

– ...uderzyła tatę młotkiem? – Zmarszczył brwi. – Aha. Myślałem, że uderzyła go dlatego, że nie chciała, by uśpił konia. Hm, zdaje się, że za młodu tata rzeczywiście uganiał się za kobietami. Ej, a może właśnie tym się zajmował tamtego wieczoru, kiedy pojechałem do domu Chiswellów, a on został w Londynie? Kinvara z całą pewnością na niego czekała i była wściekła, kiedy w ostatniej chwili odwołał przyjazd.

– Możliwe – przyznała Robin, notując. – Pamiętasz, kiedy dokładnie to się zdarzyło?

– Eee... tak się składa, że pamiętam. Nie zapomina się dnia, w którym wyszło się z więzienia. Wypuścili mnie w środę, szesnastego lutego, w ubiegłym roku, a tata poprosił, żebym przyjechał do domu Chiswellów w najbliższą sobotę, czyli... dziewiętnastego.

Robin zapisała daty.

– Nigdy nie widziałeś ani nie słyszałeś czegoś, co świadczyłoby o tym, że w jego życiu jest inna kobieta?

– Daj spokój – prychnął Raphael. – Przecież byłaś w Izbie Gmin. Widziałaś, jak niewiele miałem z nim do czynienia. Miałby mi powiedzieć, że zdradza żonę?

– Wspomniał ci, że widział ducha Jacka o'Kenta błąkającego się nocą po terenie posiadłości.

– To co innego. Wtedy był pijany i... chory. Dziwny. Ględził o karze boskiej... Bo ja wiem, może i miał na myśli romans. Może w końcu ruszyło go sumienie, skoro miał już na koncie trzy żony.

– Myślałam, że z twoją matką się nie ożenił.

Raphael zmrużył oczy.

– Przepraszam. Czasami zapominam, że jestem bękartem.

– Och, daj spokój – odrzekła łagodnie. – Przecież wiesz, że nie to miałam na...

– W porządku, wybacz – mruknął. – Jestem przewrażliwiony. Tak to jest, kiedy jedno z rodziców wykreśli cię z testamentu.

Robin przypomniała sobie opinię Strike'a na temat spadku: „Chodzi o pieniądze i jednocześnie nie chodzi", a Raphael, przejawiając niesamowitą zdolność czytania w jej myślach, powiedział:

– Nie chodzi o pieniądze, chociaż Bóg mi świadkiem, że by mi się przydały. Nie mam pracy, a Henry Drummond raczej nie da mi referencji, prawda? Wygląda na to, że moja matka na dobre osiądzie we Włoszech, więc przebąkuje o sprzedaży mieszkania w Londynie, a to oznacza, że stanę się bezdomny. Wiesz, dojdzie do tego – dodał z goryczą – że skończę jako przeklęty stajenny Kinvary. Nikt inny nie zechce dla niej pracować, a mnie nikt nie zatrudni... Ale chodzi nie tylko o pieniądze. Kiedy wykreślają cię z testamentu... No cóż, te słowa mówią wszystko: jesteś „skreślony". To ostatni przekaz zmarłego skierowany do rodziny, a o mnie nie ma w nim nawet wzmianki i teraz jebany Torquil radzi mi spieprzać razem z matką do Sieny i „zacząć wszystko od nowa". Palant – rzucił Raphael z groźną miną.

– To tam mieszka twoja matka? W Sienie?

– No. Wprowadziła się do jakiegoś włoskiego hrabiego i wierz mi, ostatnią rzeczą, jakiej ten gość potrzebuje, jest jej dwudziestodziewięcioletni syn pałętający się po jego domu. Nic nie wskazuje na to, żeby facet chciał się z nią ożenić, i matka zaczyna się martwić o swoje utrzymanie na starość. Stąd pomysł, żeby opchnąć mieszkanie w Londynie. Trochę za bardzo się zestarzała, żeby wyciąć mu taki numer jak mojemu ojcu.

– Co masz na...?

– Celowo zaszła w ciążę. Nie rób takiej wstrząśniętej miny. Matka nie widzi sensu w chronieniu mnie przed rzeczywistością. Opowiedziała mi tę historię wiele lat temu. Jestem ryzykiem, które się nie opłaciło. Myślała, że jeśli zajdzie w ciążę, tata się z nią ożeni, ale, jak przed chwilą zauważyłaś...

– Przeprosiłam – zaznaczyła Robin. – Bardzo mi przykro. Wykazałam się brakiem wrażliwości i... głupotą.

Myślała, że Raphael pośle ją do diabła, lecz zamiast tego stwierdził cicho:

– Widzisz, naprawdę jesteś urocza. To nie była tylko gra aktorska, prawda? Tam w biurze.

– Nie wiem – odparła. – Chyba nie.

Czując, jak jego nogi poruszają się pod stolikiem, lekko się odsunęła.

– Jaki jest twój mąż? – spytał Raphael.

– Nie umiem go opisać.

– Pracuje w Christie's?

– Nie – odrzekła. – Jest księgowym.

– Jezu – przeraził się Raphael. – Gustujesz w takich typach?

– Kiedy się poznaliśmy, nie był księgowym. Możemy wrócić do dnia śmierci twojego ojca i porozmawiać o tym, jak do ciebie zadzwonił?

– Skoro tak ci zależy – odparł Raphael. – Ale zdecydowanie wolałbym rozmawiać o tobie.

– Może w takim razie mi powiesz, co się stało tego ranka, a potem będziesz mógł mnie spytać, o co zechcesz – zaproponowała Robin.

Po twarzy Raphaela przemknął uśmiech. Upił łyk piwa.

– Tata do mnie zadzwonił – zaczął. – Powiedział, że Kinvara może zrobić coś głupiego, i kazał mi jechać prosto do Woolstone, żeby ją

powstrzymać. Wiesz, spytałem, dlaczego prosi o to akurat mnie.

– W domu Chiswellów o tym nie wspomniałeś – zauważyła Robin, spoglądając na notatki.

– Oczywiście, że nie, przecież byli tam też inni. Tata powiedział, że nie chce prosić o to Izzy. Bardzo nieprzyjemnie wyrażał się o niej przez telefon... Był niewdzięcznym sukinsynem, naprawdę – ciągnął Raphael. – Urabiała sobie ręce po łokcie, a sama widziałaś, jak ją traktował.

– Jak to „nieprzyjemnie"?

– Powiedział, że Izzy nawrzeszczałaby na Kinvarę, zdenerwowała ją i tylko pogorszyła sprawę albo coś w tym rodzaju. Cholera, przyganiał kocioł garnkowi. Ale właśnie tak to było. W rzeczywistości – dodał Raphael – traktował mnie jak kogoś w rodzaju starszego służącego, a Izzy jak prawdziwą członkinię rodziny. Nie przejmował się tym, że mógłbym ubrudzić sobie ręce, i nie obchodziło go, że wkurzę jego żonę, wpadając do jej domu i próbując ją powstrzymać przed...

– Przed czym?

– O – powiedział Raphael. – Jedzenie.

Kelnerka postawiła przed nimi dim sum i odeszła.

– Przed czym powstrzymałeś Kinvarę? – powtórzyła Robin. – Przed odejściem od twojego ojca? Przed zrobieniem sobie krzywdy?

– Uwielbiam to danie – stwierdził Raphael, przyglądając się pierożkowi z nadzieniem z krewetek.

– Zostawiła liścik – nie ustępowała Robin. – Napisała w nim, że od niego odchodzi. Czy ojciec wysłał cię do Woolstone, żebyś ją odwiódł od tego zamiaru? Bał się, że Izzy namówiłaby Kinvarę, aby od niego odeszła?

– Naprawdę myślisz, że byłbym w stanie przekonać Kinvarę, żeby z nim została? Myśl, że nie musiałaby mnie oglądać nigdy więcej,

byłaby dla niej dodatkową zachętą.

– Więc dlaczego cię do niej posłał?

– Już ci mówiłem – odrzekł. – Myślał, że Kinvara zrobi coś głupiego.

– Raff – zniecierpliwiła się Robin. – Możesz dalej rżnąć głupa...

Nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Jezu, kiedy to mówisz, brzmisz jak dziewczyna z Yorkshire. Powiedz to jeszcze raz.

– Według policji w twojej relacji z tego ranka jest coś podejrzanego – oznajmiła Robin. – My też tak uważamy.

Trochę go to otrzeźwiło.

– Skąd wiesz, co myślą policjanci?

– Mamy kontakty w służbach – odrzekła Robin. – Raff, dałeś wszystkim do zrozumienia, że twój ojciec próbował nie dopuścić do tego, żeby Kinvara zrobiła sobie krzywdę, ale nikt w to nie wierzy. Była tam stajenna, Tegan. Też mogła przypilnować Kinvarę.

Raphael przez chwilę jadł w milczeniu i chyba się nad czymś zastanawiał.

– W porządku – westchnął. – Powiem ci. Wiesz, że tata sprzedał wszystko, co było warte choćby kilkaset funtów, a resztę oddał Peregrine'owi?

– Komu?

– No dobrze, Pringle'owi – zirytował się Raphael. – Wolę nie używać tych głupich przezwisk.

– Nie sprzedał wszystkiego, co miało wartość – zauważyła Robin.

– Co masz na myśli?

– Ten obraz z klaczą i źrebięciem jest wart od pięciu do ośmiu...

Zadzwonił telefon Robin. Po melodyjce rozpoznała, że to Matthew.

– Nie odbierzesz?

– Nie.

Zaczekała, aż komórka przestanie dzwonić, a potem wyjęła ją z torebki.

– „Matt” – powiedział Raphael, czytając imię do góry nogami. – To księgowy, prawda?

– Tak. – Robin ściszyła telefon, lecz komórka natychmiast zaczęła wibrować w jej dłoni. Znowu dzwonił Matthew.

– Zablokuj jego numer – podsunął Raphael.

– Dobry pomysł.

Teraz liczyło się dla niej tylko podtrzymanie chęci współpracy ze strony Raphaela. Patrzył, jak Robin wpisuje numer Matthew na czarną listę, i chyba mu się to spodobało. Włożyła komórkę z powrotem do torebki i wróciła do przerwanej rozmowy.

– Mówiłeś o obrazach.

– No tak. Wiesz, że tata pozbywał się wszystkich cennych obrazów za pośrednictwem Drummonda?

– Niektórzy ludzie uważają, że obraz wart pięć tysięcy jest całkiem cenny – stwierdziła Robin, nie mogąc się powstrzymać.

– Dobrze, pani Lewicowa – odparł Raphael z nagłą złośliwością. – Możesz sobie s z y d z i ć z tego, że tacy ludzie jak ja nie znają wartości pieniądza...

– Przepraszam – wtrąciła pospiesznie Robin, przeklinając się w myślach. – Naprawdę. Słuchaj, po prostu... Szukałam dzisiaj pokoju do wynajęcia. Pięć tysięcy funtów odmieniłoby teraz moje życie.

– Aha. – Raphael zmarszczył brwi. – Ja tylko... no dobrze. W zasadzie, skoro już o tym mowa, sam też chętnie przytuliłbym pięć tysiaków. Ale przed chwilą miałem na myśli n a p r a w d ę cenne rzeczy, warte dziesiątki i setki tysięcy, przedmioty, które mój ojciec chciał zachować w rodzinie. Już jakiś czas temu przekazał je

małemu P r i n g l e' o w i, żeby uchronić go przed podatkiem spadkowym. Dał mu lakierowaną chińską szafkę, pudełko na przybory do szycia z kości słoniowej i parę innych przedmiotów, ale był też naszyjnik.

– Który?

– To wielkie paskudztwo z brylantami – wyjaśnił Raphael i dłonią, która akurat nie nabijała pierożka na pałeczkę, nakreślił kształt grubego kołnierza. – Ważne k a m i e n i e. Przekazywano go w rodzinie od pięciu czy iluś tam pokoleń i zwyczajowo dostawała go najstarsza córka w dwudzieste pierwsze urodziny, ale ojciec mojego ojca, który, jak być może słyszałaś, był trochę playboyem...

– To ten, który poślubił Tinky pielęgniarkę?

– Była jego trzecią albo i czwartą żoną. – Raphael skinął głową. – Nigdy nie pamiętam. W każdym razie miał samych synów, więc pozwalał nosić naszyjnik wszystkim kolejnym żonom, a potem zostawił go mojemu ojcu, który kontynuował tę nową tradycję. Nosiły go jego żony – nawet mojej matce się zdarzyło – i zapomniał przekazać go córce w jej dwudzieste pierwsze urodziny, ale Pringle też go nie dostał i ojciec nie wspomniał o nim w testamencie.

– W takim razie... Zaraz, chcesz powiedzieć, że...

– Tata zadzwonił do mnie tamtego ranka i kazał zabezpieczyć ten cholerny naszyjnik. Prosta robota, każdemu by się spodobała – dodał z sarkazmem. – Wpaść do macochy, która nienawidzi mnie z całego serca, dowiedzieć się, gdzie trzyma cenny naszyjnik, a potem sprzątnąć jej go sprzed nosa.

– Więc myślisz, że twój ojciec uwierzył, że Kinvara od niego odchodzi, i martwił się, że zabierze naszyjnik?

– Chyba tak – przyznał Raphael.

– Jakie sprawiał wrażenie podczas tamtej rozmowy przez telefon?

– Już mówiłem. Był przymulony. Myślałem, że ma kaca. Kiedy się dowiedziałem, że popełnił samobójstwo... – Zawahał się. – Hm.

– Tak?

– Prawdę mówiąc – podjął Raphael – nie potrafiłem przestać myśleć o tym, że ostatnią rzeczą, jaką tata chciał mi powiedzieć w tym życiu, było: „Jedź tam i upewnij się, że twoja siostra dostanie swoje brylanty". Słowa, które pamięta się aż do śmierci, nie?

Robin nie wiedziała, jak zareagować. Upiła łyk wina, po czym cicho spytała:

– Czy Izzy i Fizzy zdają sobie sprawę, że naszyjnik należy teraz do Kinvary?

Usta Raphaela skrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Wiedzą, że zgodnie z prawem tak to wygląda, ale w tej historii jest też bardzo zabawny wątek: one myślą, że Kinvara im go odda. Po wszystkim, co o niej mówiły, po tym, jak przez lata nazywały ją pijawką i obsmarowywały przy każdej możliwej okazji, nie mogą pojąć, że Kinvara nie odda naszyjnika ani Fizzy, ani Flopsy... cholera... F l o r e n c e... Bez przerwy powtarzają – ciągnął, przytaczając słowa sióstr piskliwym arystokratycznym głosikiem – „Skarbie, n a w e t TD by tego nie zrobiła, ten naszyjnik należy do r o d z i n y, ona n a p e w n o z d a j e s o b i e s p r a w ę, że nie wolno jej go sprzedać". Od tego ich egoizmu odbijałyby się kule. Obie uważają, że obowiązuje jakieś prawo naturalne, zgodnie z którym Chiswellowie dostają to, czego chcą, a gorsze istoty muszą im się podporządkować.

– Skąd Henry Drummond wiedział, że próbujesz zapobiec zatrzymaniu naszyjnika przez Kinvarę? Powiedział Cormoranowi, że pojechałeś do domu Chiswellów ze szlachetnych pobudek.

Raphael prychnął.

– No to się wydało, prawda? Tak, podobno dzień przed śmiercią taty Kinvara zostawiła Henry'emu wiadomość, pytając, gdzie mogłaby oddać naszyjnik do wyceny.

– Dlatego rano zadzwonił do twojego ojca?

– Właśnie. Chciał go ostrzec.

– Dlaczego nie powiedziałeś tego policji?

– Dlatego że kiedy reszta się dowie o planach sprzedaży naszyjnika, rozpęta się piekło. Wybuchnie wielka kłótnia, moje siostry zatrudnią prawników, oczekując, że pomogę im się pastwić nad Kinvarą, a tymczasem dalej będą mnie traktowały jak obywatela drugiej kategorii, jak jakiegoś pieprzonego k u r i e r a, który wozi do Drummonda stare obrazy i zasięga informacji, ile tata za nie dostanie, a sam nie zobaczy z tego ani pensa. Nie dam się uwikłać w wielki skandal z naszyjnikiem, nie będę brał udziału w tej ich cholernej grze. Kiedy tata zadzwonił, powinienem był mu powiedzieć, żeby się wypchał – mówił dalej Raphael – ale jego głos brzmiał jakoś dziwnie i chyba zrobiło mi się go żal czy coś, a to tylko dowodzi, że n i e j e s t e m prawdziwym Chiswellem.

Zabrakło mu tchu. Oprócz nich w restauracji były już dwie pary. Robin obserwowała w lustrze, jak zadbana blondynka rzuca w stronę Raphaela zaciekawione spojrzenie, sadowiąc się przy stoliku w towarzystwie rumianego towarzysza z nadwagą.

– No to dlaczego odeszłaś od Matthew? – spytał Raphael.

– Zdradził mnie – powiedziała. Nie miała siły kłamać.

– Z kim?

Odniosła wrażenie, że Raphael próbuje przywrócić równowagę sił. Choć podczas swojego wybuchu wyraził dużo złości i pogardy w stosunku do rodziny, usłyszała w jego słowach także ból.

– Z przyjaciółką ze studiów – wyjaśniła.

– Jak się dowiedziałaś?

– Kolczyk z brylantem w naszym łóżku.

– Poważnie?

– Poważnie.

Poczuła nagły przypływ przygnębienia i zmęczenia na myśl o powrocie na twardą kanapę aż na Wembley. Jeszcze nie zadzwoniła do rodziców, żeby im powiedzieć, co się stało.

– W normalnych okolicznościach – odezwał się Raphael – próbowałbym cię poderwać. Ale nie teraz. Nie dzisiaj wieczorem. Zaczekam parę tygodni... Problem w tym, że kiedy na ciebie patrzę – podniósł palec i wskazał najpierw ją, a potem niewidzialną postać za jej plecami – nad twoim ramieniem widzę twojego jednonogiego szefa.

– Jest jakiś szczególny powód, dla którego czujesz potrzebę, żeby wspominać o jego niepełnosprawności?

Uśmiechnął się.

– Bronisz go, co?

– Nie, po prostu...

– W porządku. Izzy też ma do niego słabość.

– Ja nigdy...

– Teraz bronisz siebie.

– Och, na litość boską. – Robin prawie się roześmiała i Raphael znowu się uśmiechnął.

– Zamówię sobie drugie piwo. Dopij to wino, dobrze? – poprosił, wskazując kieliszek, który w dwóch trzecich wciąż był pełny.

Gdy przyniesiono mu następną butelkę, odezwał się ze złośliwym uśmieszkiem:

– Izzy zawsze podobali się szorstcy faceci. Zauważyłaś te porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymieniły Fizzy i Izzy, kiedy padło nazwisko Jimmy'ego Knighta?

– Rzeczywiście, zauważyłam – przyznała Robin. – O co chodziło?

– O imprezę z okazji osiemnastych urodzin Freddiego – wyjaśnił pogardliwie Raphael. – Jimmy wpadł na nią z paroma kumplami i Izzy... jak by to delikatnie ująć... s t r a c i ł a coś w jego towarzystwie.

– Aha – powiedziała zaskoczona Robin.

– Zalała się w sztok. To wydarzenie przeszło do historii rodziny. Ja byłem za mały, nie zaprosili mnie. Fizzy jest tak zafascynowana tym, że jej siostra przespała się z synem stolarza, że podejrzewa go o jakiś nadprzyrodzony, demoniczny seksapil. Właśnie dlatego uważa, że Kinvara stała trochę po jego stronie, kiedy się zjawił i zażądał pieniędzy.

– Co? – ożywiła się Robin, znowu sięgając po notes, który jakiś czas temu się zamknął.

– Nie ekscytuj się za bardzo. Nadal nie wiem, z jakiego powodu szantażował tatę. Widzisz, nie jestem pełnoprawnym członkiem rodziny, więc nie mogą mi w pełni zaufać. Pamiętasz, Kinvara powiedziała wam o tym w Woolstone. Kiedy Jimmy zjawił się pierwszy raz, była w domu sama. Tata znowu został w Londynie. Z tego, co zrozumiałem, podczas późniejszej rozmowy z tatą opowiedziała się po stronie Jimmy'ego. Fizzy uważa, że to zasługa jego seksapilu. Jak myślisz, jest seksowny?

– Niektórym ludziom może się chyba wydawać, że tak – odrzekła obojętnie Robin, zapisując to w notesie. – Więc Kinvara uważała, że twój ojciec powinien zapłacić Jimmy'emu?

– Z tego, co zrozumiałem – powiedział Raphael – początkowo nie było mowy o szantażu. Uznała, że roszczenia Jimmy'ego są uzasadnione, i przychylała się do tego, żeby coś mu dać.

– Wiesz, kiedy dokładnie to się działo?

– Nie mam pojęcia – odparł, kręcąc głową. – Chyba siedziałem wtedy w więzieniu. Miałem na głowie większe zmartwienia...

Zgadnij, ile razy mnie spytali, jak tam było?

– Nie wiem – odrzekła ostrożnie.

– Fizzy ani razu. Tata ani razu...

– Mówiłeś, że Izzy cię odwiedziła.

– No – przyznał, unosząc butelkę na cześć siostry. – Tak, odwiedziła mnie, kochana Izzy. Stary dobry Torks rzucił parę żarcików o tym, że lepiej nie schylać się pod prysznicem. Zasugerowałem – ciągnął Raphael z cierpkim uśmiechem – że na pewno zna się na tych sprawach, skoro jego stary kumpel Christopher wkłada ręce między nogi młodym facetom w swoim biurze. Wychodzi na to, że sprawa jest poważna, jeśli próbuje to zrobić jakiś stary, włochaty skazaniec, ale w wykonaniu absolwentów prywatnych szkół to tylko nieszkodliwe igraszki.

Spojrzał na Robin.

– Domyślam się, że już wiesz, dlaczego tata drwił z tego nieszczęsnego Aamira?

Kiwnęła głową.

– Kinvara uznała, że to motyw morderstwa. – Raphael przewrócił oczami. – Projekcja, czysta projekcja... Oni wszyscy to robią. Kinvara uważa, że Aamir zabił tatę, ponieważ tata był dla niego okrutny w pomieszczeniu pełnym ludzi. Żałuj, że nie słyszałaś, jak mój ojciec odzywał się do Kinvary w ostatnich dniach życia. Fizzy myśli, że zrobił to Jimmy Knight, ponieważ był zły z powodu pieniędzy. S a m a jest zła z powodu pieniędzy, które straciła rodzina, ale nie może o tym głośno mówić, skoro za połowę tych strat odpowiada jej mąż. Izzy sądzi, że tatę zabiła Kinvara, ponieważ Kinvara czuła się niekochana, odsunięta na boczny tor i niepotrzebna. Tata nigdy nie podziękował Izzy za nic, co dla niego zrobiła, i miał gdzieś to, że zamierzała odejść. Widzisz, jak to wygląda? Żadne z nich nie odważyło się przyznać, że czasem sami mieli ochotę zabić tatę,

bo przecież on już nie żyje. Projektują to więc na kogoś innego. I właśnie z tego powodu – podsumował Raphael – żadne z nich nie wspomina o Geraincie Winnie. Jest podwójnie chroniony, dlatego że święty Freddie był zamieszany w wielką aferę z jego udziałem. Doskonale wiedzą, że miał prawdziwy motyw, ale nie wolno nam o tym wspominać.

– Śmiało – zachęciła go Robin. – Wspomnij.

– Nie, nieważne – mruknął Raphael. – Nie powinienem...

– Raff, nie wydaje mi się, żebyś cokolwiek mówił przez przypadek. Dawaj.

Roześmiał się.

– Staram się nie dopierdalać ludziom, którzy na to nie zasługują. To element mojego wielkiego planu odkupienia.

– Kto na to nie zasługuje?

– Francesca, ta dziewczyna, którą... no wiesz... w galerii. To ona mi powiedziała. Usłyszała to od swojej starszej siostry Verity.

– Verity – powtórzyła Robin.

Niewyspana, usiłowała sobie przypomnieć, gdzie słyszała to imię. Oczywiście było bardzo podobne do Venetii... i nagle sobie przypomniała.

– Zaczekaj. – Zmarszczyła w skupieniu brwi. – Jakaś Verity trenowała w drużynie szermierczej razem z Freddiem i Rhiannon Winn.

– Bingo – powiedział Raphael.

– Wszyscy się znacie – stwierdziła ze znużeniem, nieświadomie powtarzając myśl Strike'a. Znowu zaczęła pisać.

– Hm, taki to już urok prywatnego systemu edukacji – zauważył Raphael. – W Londynie, jeśli masz pieniądze, gdziekolwiek się pojawiasz, spotykasz te same trzysta osób... Kiedy zjawiłem się w galerii Drummonda, Francesca nie mogła się doczekać, żeby mi

powiedzieć, że jej starsza siostra była dziewczyną Freddiego. Chyba myślała, że w związku z tym jesteśmy sobie pisani czy coś takiego. Kiedy zdała sobie sprawę, że uważam Freddiego za kawał kutasa – ciągnął – zmieniła melodię i opowiedziała mi paskudną historię. Podobno na osiemnastce Freddiego Verity i parę innych osób postanowiło wymierzyć Rhiannon karę za to, że ośmieliła się zająć miejsce Verity w drużynie szermierczej. Według nich była... bo ja wiem... trochę zbyt pospolita, trochę za bardzo walijska? No więc dolali jej wódki do napoju. Świetna zabawa. Wiesz, z gatunku tych, które cieszą się popularnością w internatach. Tylko że Rhiannon nie zareagowała zbyt dobrze na czystą wódkę... albo raczej, z ich punktu widzenia, zareagowała aż za dobrze. W każdym razie udało im się zrobić kilka ładnych zdjęć, które rozprowadzili potem w swoim gronie... Internet dopiero wtedy raczkował. W dzisiejszych czasach obejrzałoby je pewnie z pół miliona ludzi w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, ale Rhiannon musiała znosić tylko całą drużynę szermierczą i większość kumpli Freddiego, którzy mieli z tego niezły ubaw. W każdym razie – zakończył Raphael – jakiś miesiąc później Rhiannon się zabiła.

– Boże – szepnęła Robin.

– No – powiedział Raphael. – Kiedy usłyszałem od małej Franny tę historię, spytałem o to Izzy. Bardzo się zdenerwowała, zabroniła mi kiedykolwiek o tym wspominać... ale nie zaprzeczyła. Nasłuchałem się o tym, że „nikt nie popełnia samobójstwa z powodu głupiego kawału na imprezie" i Izzy oznajmiła mi, że nie wolno mówić o Freddiem w ten sposób, bo tacie złamałoby to serce... No tak, ale przecież nie można złamać serca zmarłemu, prawda? A osobiście uważam, że już najwyższa pora, żeby ktoś naszczał na wieczny płomień chwały Freddiego. Gdyby ten drań

nie urodził się jako Chiswell, trafiłby do poprawczaka. Ale pewnie powiesz, że ktoś taki jak ja nie powinien mu niczego wytykać.

– Nie – odrzekła Robin łagodnym głosem. – Wcale tak nie powiem.

Z jego twarzy zniknęła wojownicza mina. Spojrzał na zegarek.

– Muszę już lecieć. O dziewiątej jestem umówiony.

Robin podniosła rękę, żeby poprosić o rachunek. Kiedy odwróciła się z powrotem do Raphaela, zobaczyła, jak rutynowo przesuwa wzrokiem po dwóch pozostałych kobietach na sali, i zauważyła w lustrze, że blondynka stara się zatrzymać jego spojrzenie.

– Możesz już iść – powiedziała, podając kelnerce kartę kredytową. – Nie chcę, żebyś się spóźnił.

– Nie, wyjdę razem z tobą.

Gdy chowała kartę do torebki, sięgnął po płaszcz Robin i jej go przytrzymał.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy.

Na chodniku zatrzymał taksówkę.

– Ty ją weź – zaproponował. – Mam ochotę się przespacerować. Oczyścić umysł. Czuję się jak po sesji terapii.

– Nie, nie trzeba. – Robin nie chciała obciążać Strike'a kosztem jazdy taksówką aż na Wembley. – Pojadę metrem. Dobranoc.

– Dobranoc, Venetia.

Wsiadł do taksówki, a kiedy odjechał, Robin owinęła się ciaśniej płaszczem i ruszyła w przeciwnym kierunku. To była chaotyczna rozmowa, lecz udało jej się uzyskać od Raphaela znacznie więcej informacji, niż przypuszczała. Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Strike'a.

59

Idziemy razem, Rebeko.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Gdy Strike zobaczył, że dzwoni Robin, schował do kieszeni notes, który zabrał, idąc do Tottenham, dopił piwo jednym haustem i wyszedł z komórką na ulicę.

Bałagan, jaki powstał na końcu Tottenham Court Road w związku z robotami drogowymi – zagruzowany kanał w miejscu, w którym dawniej była ulica, przenośne barierki i plastikowe zapory, pomosty i deski, dzięki którym dziesiątki tysięcy osób nadal mogły przechodzić przez to ruchliwe skrzyżowanie – trwał od tak dawna, że Strike prawie go nie zauważał. Nie wyszedł jednak po to, żeby podziwiać widoki, lecz aby zapalić, więc wypalił dwa papierosy, słuchając relacji Robin z rozmowy z Raphaelem.

Gdy się rozłączyli, Strike włożył telefon z powrotem do kieszeni i z roztargnieniem odpalił trzeciego papierosa od końca drugiego, po czym stał dalej, rozmyślając o wszystkim, co powiedziała jego wspólniczka, i zmuszając przechodniów, by go okrążali i nadkładali drogi.

Zainteresowało go kilka informacji przekazanych przez Robin. Wypaliwszy trzeciego papierosa, cisnął niedopałek do otwartej jamy w ziemi i wrócił do pubu, by zamówić drugi kufel piwa. Jego stolik zajęła już grupka studentów, więc skierował się w głąb sali, gdzie wysokie stołki barowe stały pod kopułą z witrażowego szkła przybierającego wieczorem ciemniejsze odcienie. Strike ponownie wyjął notes i jeszcze raz przyjrzał się liście nazwisk, nad którą ślęczał w pierwszych godzinach niedzieli, szukając czegoś,

co odciągnie jego myśli od Charlotte. Spojrzawszy na tę listę jak człowiek, który wie, że coś się w niej kryje, przewrócił kilka kartek i ponownie przeczytał zapiski z rozmowy z Dellą.

Olbrzymi, przygarbiony i nieruchomy, jeśli pominąć oczy przesuwające się po linijkach, które napisał w domu niewidomej kobiety, Strike nieświadomie odstraszył dwoje onieśmielonych ludzi z plecakami, którzy zamierzali spytać, czy mogliby się do niego dosiąść i ulżyć obolałym stopom. Obawiając się konsekwencji przerwania jego wręcz namacalnego skupienia, wycofali się, zanim ich zauważył.

Wrócił do listy nazwisk. Pary małżeńskie, kochankowie, wspólnicy, rodzeństwo.

„Pary".

Cofając się, przerzucał kolejne strony w poszukiwaniu tych, na których widniały notatki ze spotkania z Oliverem dotyczące wniosków z pracy specjalistów medycyny sądowej. To było dwuetapowe zabójstwo: amitryptylina i hel, oba sposoby potencjalnie śmiertelne, a jednak zastosowano je razem.

„Pary".

Dwie ofiary zabite w odstępie dwudziestu lat: uduszone dziecko i uduszony minister. Pierwsza ofiara pogrzebana na terenie posiadłości drugiej.

„Pary".

Strike spojrzał z namysłem na czystą stronę i zrobił kolejną notatkę:

Francesca – potwierdzić historię.

60

[...] *musi mi pani wyjaśnić, dlaczego ta sprawa – to przypuszczenie – tak panią wstrząsnęło.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Nazajutrz rano we wszystkich gazetach ukazało się ostrożnie sformułowane oficjalne oświadczenie na temat Jaspera Chiswella. Razem z resztą brytyjskiego społeczeństwa Strike dowiedział się przy śniadaniu, że władze orzekły, iż żadne siły zagraniczne ani organizacje terrorystyczne nie były zamieszane w przedwczesną śmierć ministra kultury, lecz ostateczne wnioski nie zostały jeszcze wyciągnięte.

Wiadomość o braku wiadomości spotkała się w internecie ze znikomym zainteresowaniem. Skrzynki na listy rodzimych medalistów olimpijskich nadal były pomalowane na złoty kolor, opinia społeczna pławiła się w miłych wspomnieniach ze zwycięskich zawodów, a jej niewyczerpany entuzjazm wobec wszystkiego, co związane ze sportem, skupiał się teraz na nadchodzącej paraolimpiadzie. W umyśle przeciętnego zjadacza chleba śmierć Chiswella zeszła na dalszy plan jako nie do końca wyjaśnione samobójstwo bogatego torysa.

Chcąc się dowiedzieć, czy wydanie oficjalnego oświadczenia oznacza, że dochodzenie stołecznej policji zbliża się ku końcowi, Strike zadzwonił do Wardle'a, by zasięgnąć informacji.

Niestety Wardle wiedział tyle co Strike. Nie bez pewnego rozdrażnienia dodał, że od trzech tygodni nie miał ani jednego wolnego dnia, że złożoność i uciążliwość pracy policji w stolicy

uginającej się pod ciężarem milionów dodatkowych gości prawdopodobnie wykracza poza wyobrażenia Strike'a i że nie ma czasu węszyć dla niego w poszukiwaniu informacji na temat innych spraw.

– W porządku – odrzekł niezrażony Cormoran. – Tylko pytałem. Pozdrów ode mnie April.

– A właśnie – przypomniał sobie Wardle, zanim Strike zdążył się rozłączyć. – Kazała mi cię spytać, co to za gierki z Lorelei.

– Lepiej nie będę cię dłużej zatrzymywał, kraj cię potrzebuje – uciął Strike i przerwał połączenie, słysząc wymuszony śmiech policjanta.

Nie zdobywszy informacji od kontaktów w policji i nie mając uprawnień, które umożliwiłyby mu przeprowadzenie upragnionych przesłuchań, Strike chwilowo utknął w martwym punkcie w ważnym momencie sprawy – czuł frustrację, która nie była przyjemna, mimo że dobrze ją znał.

Dzięki kilku telefonom wykonanym po kolacji dowiedział się, że Francesca Pulham, niedawna koleżanka z pracy Raphaela i jego kochanka z galerii Drummonda, nadal studiuje we Florencji, dokąd została wysłana w celu ochrony przed jego zgubnym wpływem. Rodzice Franceski spędzali aktualnie urlop na Sri Lance. Gospodyni Pulhamów, jedyna związana z tą rodziną osoba, z którą udało się Strike'owi skontaktować, otwarcie odmówiła podania ich numerów telefonów. Sądząc po jej reakcji, domyślił się, że Pulhamowie należą do tego rodzaju ludzi, którzy biegną do prawników na samą myśl, że do ich domu dzwoni prywatny detektyw.

Wyczerpawszy wszelkie możliwe sposoby dotarcia do wypoczywających Pulhamów, Strike zostawił uprzejmą – czwartą w tym tygodniu – prośbę o rozmowę na poczcie głosowej Gerainta Winna, lecz dzień mijał, a Winn nie oddzwaniał. Strike nie

mógł mieć do niego o to pretensji. Wątpił, czy sam na jego miejscu zechciałby być pomocny.

Strike nie powiedział jeszcze Robin, że ma nową teorię na temat sprawy. Była zajęta na Harley Street, gdzie obserwowała Nieuchwytnego Doktorka, lecz w środę zadzwoniła do agencji z dobrą wieścią, że udało jej się umówić na rozmowę z Tegan Butcher w sobotę na torze wyścigowym w Newbury.

– Doskonale! – Strike'a ucieszyła perspektywa działania i od razu przeszedł do sekretariatu, żeby otworzyć Google Maps na komputerze Robin. – Dobra, chyba wrócimy dopiero w niedzielę. Porozmawiamy z Tegan, a po zmroku pojedziemy do Steda Cottage.

– Mówisz poważnie? – spytała Robin. – Naprawdę chcesz kopać w tej leśnej dolince?

– Wiesz, że jest piosenka dla dzieci o farmerze w leśnej dolince? – odparł wymijająco, przyglądając się bocznym drogom na monitorze. – Słuchaj, wątpię, żebyśmy cokolwiek znaleźli. Prawdę mówiąc, od wczoraj jestem przekonany, że nic tam nie ma.

– A co się stało wczoraj?

– Wpadłem na pewien pomysł. Opowiem ci, jak się zobaczymy. Słuchaj, obiecałem Billy'emu, że dotrę do prawdy o tym uduszonym dziecku. A kopanie to jedyny sposób, żeby zyskać całkowitą pewność, no nie? Jeśli masz zbyt delikatny żołądek, możesz zostać w samochodzie.

– A Kinvara? Będziemy na jej terenie.

– Przecież nie zamierzamy kopać w żadnym ważnym miejscu. Cały ten teren to nieużytki. Powiem Barclayowi, żeby spotkał się tam z nami po zmroku. Nie nadaję się do machania łopatą. Matthew nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś spędziła sobotnią noc poza domem?

– Nie – odparła Robin z dziwną modulacją głosu, która skłoniła Strike'a do przypuszczenia, że jej mąż może mieć inne zdanie.

– Weźmiesz land rovera?

– Eee... A nie moglibyśmy pojechać bmw?

– Wolałbym nie wjeżdżać nim na ten zarośnięty szlak. Coś jest nie tak z...

– Nie – weszła mu w słowo Robin. – Wszystko w porządku, dobrze, weźmiemy land rovera.

– Wspaniale. Jak tam Nieuchwytny?

– Przyjmuje pacjentki. Jakieś wieści w sprawie Aamira?

– Kazałem Andy'emu znaleźć tę siostrę, z którą Mallik nadal ma dobre układy.

– A ty czym się zajmujesz?

– Właśnie oglądałem stronę Partii Prawdziwych Socjalistów.

– Po co?

– Jimmy całkiem sporo zdradza w swoich wpisach na blogu. Wspomina o miejscach, w których był, i o rzeczach, które widział. Poobserwujesz Doktorka do piątku?

– W zasadzie – zaczęła Robin – to zamierzałam spytać, czy mogłabym wziąć dwa dni wolnego, żeby załatwić sprawy osobiste.

– O! – Strike zaniemówił.

– Mam parę spotkań, których... wolałabym nie przegapić – wyjaśniła Robin.

Strike nie był zadowolony, że będzie musiał sam obserwować Nieuchwytnego Doktorka, trochę ze względu na wciąż bolącą nogę, lecz przede wszystkim dlatego, że zależało mu na dalszym szukaniu potwierdzenia teorii dotyczącej sprawy Chiswella. Poza tym Robin prosiła o dwudniowy urlop z bardzo małym wyprzedzeniem. Przed chwilą wykazała jednak chęć poświęcenia weekendu na rzecz czegoś, co prawdopodobnie okaże się szukaniem wiatru w polu.

– Dobra, zgoda. Wszystko w porządku?

– Jasne, dzięki. Dam ci znać, jeśli Nieuchwytny zrobi coś interesującego. Poza tym w sobotę powinniśmy chyba wyjechać z Londynu koło jedenastej.

– Znowu z Barons Court?

– A moglibyśmy się spotkać przy stadionie Wembley? Byłoby mi po prostu łatwiej w związku z tym, gdzie będę w piątek w nocy.

To też mu nie odpowiadało: dwukrotnie dłuższa podróż obejmująca przesiadkę w metrze.

– Dobra, zgoda – powtórzył.

Gdy Robin się rozłączyła, przez chwilę dalej siedział na jej krześle, zastanawiając się nad tą rozmową.

Robin wydawała się niezwykle skryta, jeśli chodziło o charakter spotkań, które były tak ważne, że nie chciała ich przegapić. Przypomniał sobie, jak gniewnie brzmiał głos Matthew w tle, gdy dzwonił do Robin, by omawiać ich stresującą, niestabilną i chwilami niebezpieczną pracę. Robin dwa razy wydawała się wyraźnie przytłoczona perspektywą kopania w twardej ziemi na dnie leśnej dolinki, a teraz pytała, czy nie mogliby pojechać bmw zamiast przypominającym czołg land roverem.

Prawie zapomniał o swoim podejrzeniu sprzed dwóch miesięcy, że Robin stara się zajść w ciążę. Przed oczami ukazał mu się nabrzmiały brzuch Charlotte przy stoliku w restauracji. Robin nie była kobietą gotową zostawić dziecko, gdy tylko opuści ono macicę. Jeśli jest w ciąży...

Logiczny i metodyczny jak zwykle, a także świadomy, że teoretyzuje, opierając się na skąpych danych, mimo wszystko ujrzał oczami wyobraźni Matthew, przyszłego ojca, słuchającego nieśmiałej prośby Robin o dwa dni wolnego, by mogła pójść

na USG oraz inne badania, i gestykulującego do niej ze złością, że przyszła pora, aby przystopować, wyluzować, zadbać o siebie.

Strike spojrzał ponownie na blog Jimmy'ego Knighta, lecz potrzebował więcej czasu niż zwykle, by zdyscyplinować swój zaniepokojony umysł i zmusić go do posłuszeństwa.

61

Ależ mnie może pani powiedzieć. Jesteśmy przecież ze sobą tak zaprzyjaźnione.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Inni pasażerowie metra odsuwali się od Strike'a trochę bardziej, niż to było konieczne w sobotni ranek, nawet jeśli uwzględnić niesioną przez niego torbę. Ogólnie nie miał problemów z przeciskaniem się przez tłum, charakteryzował się przecież słuszną masą i profilem boksera, lecz sposób, w jaki mamrotał i klął pod nosem, wspinając się z wysiłkiem po schodach na stacji Wembley Stadium – windy nie działały – sprawiał, że przechodnie bardzo uważali, aby go nie potrącić ani nie wejść mu w drogę.

Główną przyczyną złego humoru Strike'a był Mitch Patterson, którego zauważył rano przez okno agencji, przyczajonego obok jakichś drzwi, ubranego w dżinsy i bluzę z kapturem zupełnie niepasujące do jego wieku i sposobu bycia. Zdziwiony i rozzłoszczony ponownym pojawieniem się prywatnego detektywa, lecz niemający innej możliwości opuszczenia budynku, jak tylko przez frontowe drzwi, Strike zadzwonił po taksówkę, prosząc, by kierowca zaczekał na niego na końcu ulicy, i wyszedł z agencji dopiero, gdy przyjechała. Mina Pattersona w chwili,

w której Strike pozdrowił go słowami: „Dzień dobry, Mitch", mogłaby pewnie rozbawić Cormorana, gdyby nie to, jak bardzo poczuł się urażony założeniem Pattersona, że może osobiście obserwować agencję i nikt tego nie zauważy.

Przez całą drogę na stację Warren Street, dokąd kazał się zawieźć taksówkarzowi, Strike zachowywał zdwojoną czujność, martwiąc się, że Patterson mógł być jedynie elementem odwracającym uwagę albo przynętą umożliwiającą działanie drugiemu, mniej rzucającemu się w oczy ogonowi. Nawet teraz, gdy dysząc, wspinał się na schody na Wembley, obejrzał się, by zlustrować podróżnych w poszukiwaniu tego, który gwałtownie się pochyli, odwróci albo pospiesznie zasłoni twarz. Nikt tego nie zrobił. Ostatecznie Strike doszedł do wniosku, że Patterson pracował sam. Być może był ofiarą doskonale znanych Strike'owi problemów z siłą roboczą. To, że Patterson postanowił dalej zajmować się sprawą, zamiast dać sobie z nią spokój, wskazywało jednak, że ktoś dobrze mu za to płaci.

Strike poprawił torbę na ramieniu i ruszył w stronę wyjścia.

Zastanawiał się nad tą kwestią w czasie niewygodnej podróży na Wembley i zdołał wymyślić trzy potencjalne powody, dla których Patterson zjawił się ponownie. Po pierwsze, do dziennikarzy mogły dotrzeć nowe informacje na temat śledztwa stołecznej policji w sprawie śmierci Chiswella i skłoniło to jakąś gazetę do ponownego zatrudnienia Pattersona, który miał się dowiedzieć, co knuje Strike i jak dużo wie.

Po drugie, ktoś mógł zapłacić Pattersonowi, żeby chodził za Strikiem, próbując utrudnić mu pracę albo zaszkodzić agencji. To sugerowało, że zleceniodawca Pattersona jest jedną z osób, w których sprawie Strike prowadzi właśnie śledztwo, i w takim razie fakt, że Patterson zajmuje się tym osobiście, nabierał sensu:

chodziło o to, by wytrącić Strike'a z równowagi, dając mu znać, że jest obserwowany.

Trzeci możliwy powód rozbudzonego na nowo zainteresowania Pattersona martwił Strike'a najbardziej, ponieważ wydawał się najbardziej prawdopodobny. Cormoran wiedział już, że zauważono go z Charlotte we Franco's. Doniosła mu o tym Izzy, gdy zadzwonił do niej z nadzieją, że zgromadzi szczegółowe informacje potwierdzające teorię, którą jeszcze z nikim się nie podzielił.

– Słyszałam, że byłeś na kolacji z Charlotte! – wypaliła, zanim zdążył zadać pytanie.

– To nie była żadna kolacja. Siedziałem z nią przez dwadzieścia minut, bo źle się poczuła, a potem wyszedłem.

– Aha... przepraszam – powiedziała Izzy, wystraszona tonem jego głosu. – Nie... nie chciałam być wścibska... Roddy Fforbes był akurat we Franco's i was zauważył...

Jeśli Roddy Fforbes, kimkolwiek był, rozpowiadał w Londynie, że Strike zabiera na kolację swoją ciężarną, zamężną byłą narzeczoną, podczas gdy jej mąż przebywa w Nowym Jorku, brukowce z całą pewnością mogły się tym zainteresować, ponieważ nieokiełznana, piękna i urodzona w arystokratycznej rodzinie Charlotte stanowiła dla nich łakomy kąsek. Jej nazwisko przewijało się w kolumnach plotkarskich, odkąd skończyła szesnaście lat, jej rozmaite kłopoty – ucieczki ze szkoły, pobyty na odwyku i w klinikach psychiatrycznych – zostały dobrze udokumentowane. Może nawet Pattersona zatrudnił Jago Ross, którego z pewnością było na to stać. Gdyby pilnowanie jego żony przyniosło skutek uboczny w postaci zrujnowania agencji Strike'a, Ross bez wątpienia uznałby to za dodatkową korzyść.

Robin, która siedziała w land roverze niedaleko stacji, zobaczyła wynurzającego się z przejścia podziemnego Strike'a z torbą

przewieszoną przez ramię i pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała go równie wściekłego. Zapalił papierosa i lustrował ulicę, aż jego oczy odnalazły land rovera na końcu sznura zaparkowanych pojazdów. Nie uśmiechnąwszy się, pokuśtykał w jego stronę. Robin, również niebezpiecznie przygnębiona, mogła się tylko domyślać, że jest zły dlatego, że musiał odbyć długą podróż na Wembley, taszcząc ciężką torbę i zmagając się z bólem nogi.

Tego dnia obudziła się o czwartej i nie była w stanie z powrotem zasnąć. Nieszczęśliwa na wąskiej, twardej kanapie Vanessy, myślała o swojej przyszłości i o niedawnej kłótni z matką przez telefon. Próbując odnaleźć żonę, Matthew zadzwonił do jej rodzinnego domu w Masham. Linda była nie tylko rozpaczliwie zaniepokojona, lecz także wściekła, że Robin pierwsza nie powiedziała jej, co się dzieje.

– Gdzie mieszkasz? U Strike'a?

– Oczywiście, że nie mieszkam u Strike'a, dlaczego, na litość boską, miałabym...?

– No to gdzie?

– U przyjaciółki.

– U jakiej przyjaciółki? Dlaczego nam nie powiedziałaś? Co teraz zrobisz? Przyjadę do Londynu!

– Proszę, nie – wycedziła Robin przez zaciśnięte zęby.

Poczucie winy związane z kosztami wesela, na które oboje z Matthew narazili rodziców, a także z zakłopotaniem, z jakim jej matka i ojciec mieli niebawem wyjaśniać przyjaciołom, że małżeństwo córki skończyło się zaledwie rok po tym, jak się zaczęło, bardzo Robin ciążyło, lecz nie była w stanie zmierzyć się z perspektywą naprzykrzania się i przymilnej perswazji w wykonaniu Lindy traktującej córkę, jakby ta nie potrafiła się bronić i miała zwichniętą psychikę. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz

potrzebowała, była propozycja matki, by wróciła do Yorkshire i zaszyła się w pokoju, będącym świadkiem najgorszych okresów w jej życiu.

Po dwóch dniach oglądania mnóstwa zagraconych nieruchomości Robin wpłaciła kaucję za klitkę w domu w Kilburn, gdzie miała zamieszkać z pięciorgiem współlokatorów. Mogła się wprowadzić za tydzień. Ilekroć myślała o tym miejscu, żołądek przewracał jej się pod wpływem niepokoju i rozpaczy. Miała prawie dwadzieścia osiem lat i wszystko wskazywało na to, że będzie najstarszą mieszkanką w tym domu.

Próbując zjednać sobie Strike'a, wysiadła z samochodu i zaproponowała, że pomoże mu z torbą, ale odburknął, że sam sobie poradzi. Gdy płótno spadło na metalową podłogę land rovera, usłyszała głośny brzęk ciężkich narzędzi i poczuła w brzuchu nerwowy skurcz.

Strike, który ukradkiem spojrzał na Robin, poczuł, jak jego najgorsze przeczucia się potwierdzają. Była blada, miała cienie pod oczami, jakimś cudem wydawała się jednocześnie spuchnięta i wymizerowana, a poza tym zdawało mu się, że w ciągu tych kilku dni, odkąd się ostatnio widzieli, straciła na wadze. Żona Grahama Hardacre'a, jego starego kumpla z wojska, na początku ciąży trafiła do szpitala z powodu uporczywych wymiotów. Być może któreś z ważnych spotkań Robin dotyczyło właśnie tego problemu.

– Wszystko w porządku? – spytał ją szorstko, zapinając pasy.

– Jasne – odparła po raz nie wiadomo który, odbierając jego małomówność jako objaw poirytowania długą podróżą metrem.

W milczeniu wyjechali z Londynu. W końcu, gdy dotarli do M40, Strike powiedział:

– Patterson wrócił. Dziś rano obserwował agencję.

– Żartujesz!

– Obok twojego domu też ktoś się kręcił?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekła Robin po prawie niezauważalnej chwili wahania. Może właśnie w tej sprawie dzwonił Matthew, gdy szukał jej w Masham.

– Wyszłaś z domu bez problemu?

– Tak – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

W ciągu dni, które minęły, odkąd opuściła męża, wyobrażała sobie, jak oznajmi Strike'owi, że jej małżeństwo się skończyło, ale nie zdołała dotąd znaleźć odpowiednich słów, które byłaby w stanie wypowiedzieć ze stosownym spokojem. To ją frustrowało: tłumaczyła sobie, że powinno pójść gładko. Strike to jej przyjaciel i współpracownik, był przy niej, gdy odwołała ślub, i wiedział, że Matthew kiedyś zdradzał ją z Sarah. Powinna umieć mu o tym powiedzieć jak gdyby nigdy nic, w trakcie zwyczajnej rozmowy, tak jak Raphaelowi.

Problem polegał na tym, że przy nielicznych okazjach, gdy zdarzyło im się zwierzać sobie nawzajem z różnych rewelacji dotyczących życia uczuciowego, jedno z nich było pijane. W innych okolicznościach zachowywali w tych sprawach głęboką rezerwę – wbrew temu, co sądził owładnięty paranoją Matthew, większość życia zawodowego wcale nie upływała im na flirtowaniu.

Było jednak coś jeszcze. To Strike'a uściskała na schodach w dniu swojego ślubu, a potem wyobrażała sobie, jak odchodzi z nim od męża, zanim małżeństwo zostało skonsumowane; to przez niego wieczory podróży poślubnej upływały jej na żłobieniu bruzdy w białym piasku podczas samotnych spacerów i na zastanawianiu się, czy jest w nim zakochana. Bała się, że się zdradzi, bała się, że jej myśli i uczucia wyjdą na jaw – była bowiem pewna, że gdyby kiedykolwiek mu zaświtało, jak destrukcyjną rolę odegrał w jej małżeństwie, zarówno na początku, jak i pod koniec, ta świadomość

skaziłaby ich relacje zawodowe, tak samo jak poinformowanie go o atakach paniki postawiłoby pod znakiem zapytania jej dalszą karierę w agencji.

Nie, musiała upodobnić się do Strike'a: nabrać dystansu i nauczyć się stoickiego spokoju, umieć sobie radzić z traumą i kuśtykać dalej, gotowa stawiać czoło wszystkim przeciwnościom losu, nawet temu, co leżało na dnie leśnej dolinki, nie krzywiąc się przy tym ani nie odwracając głowy.

– Jak myślisz, o co mu chodzi? – spytała, mając na myśli Pattersona.

– Czas pokaże. Udały ci się spotkania?

– Tak. – Aby oderwać się od myśli o swoim nowym, maleńkim pokoiku oraz parze studentów, która oprowadzała ją po domu, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę dziwnej dorosłej kobiety, mającej zostać ich współlokatorką, dodała: – Z tyłu w torbie są herbatniki. Nie ma herbaty, przykro mi, ale jeśli chcesz, możemy się gdzieś zatrzymać.

Termos został na Albury Street – był jedną z rzeczy, które zapomniała wynieść chyłkiem z domu, gdy wpadła tam w godzinach pracy Matthew.

– Dzięki – mruknął Strike, ale bez większego entuzjazmu. Zastanawiał się, czy powrót przekąsek mimo zadeklarowanej przez niego diety nie jest przypadkiem kolejnym dowodem na ciążę wspólniczki.

W kieszeni Robin zadzwonił telefon. Zignorowała to. Rano już dwa razy dzwonił do niej ktoś z tego samego, nieznanego jej numeru i bała się, że to Matthew, który po tym, jak zablokowała jego numer, pożyczył od kogoś komórkę.

– Chcesz odebrać? – spytał Strike, patrząc na jej blady, ponury profil.

– Eee... Nie, kiedy prowadzę.

– Mogę to zrobić za ciebie, jeśli chcesz.

– Nie – powtórzyła trochę za szybko.

Komórka przestała dzwonić, lecz prawie natychmiast odezwała się ponownie. Robin, teraz już pewna, że to Matthew, wyjęła ją z kieszeni, mówiąc:

– Chyba wiem, kto to, ale nie chcę z nim teraz rozmawiać. Mógłbyś wyłączyć dźwięk, kiedy przestanie dzwonić?

Strike wziął telefon.

– To połączenie przekierowane z numeru agencji. Dam na głośnik – zaproponował, ponieważ stary land rover nie miał nawet sprawnego ogrzewania, a co dopiero bluetootha. Zrobiwszy to, przysunął komórkę do ust Robin, żeby było ją słychać wśród klekotania i warkotu nieszczelnego pojazdu.

– Słucham, tu Robin. Kto mówi?

– Robin? A może V e n e t i a? – odezwał się głos z walijskim akcentem.

– Pan Winn? – spytała, nie odrywając oczu od drogi. Strike cały czas trzymał telefon.

– Tak, ty paskudna suko, to ja.

Robin i Strike spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zniknął nadskakujący, lubieżny Winn, skory do czarowania i imponowania.

– Dostałaś to, na czym ci zależało, co? Paradowałaś po korytarzu, wpychając cycki tam, gdzie nikt ich nie chciał. „Och, panie Winn..." – Naśladował jej głos w taki sam sposób jak Matthew, piskliwie i idiotycznie. – „Och, niech mi pan pomoże, panie Winn, mam się zająć działalnością dobroczynną czy polityką? Niech pan pozwoli, że pochylę się trochę bardziej nad biurkiem, panie Winn". Ilu facetów złapałaś w ten sposób w pułapkę? Jak daleko jesteś gotowa się posunąć, żeby...

– Ma mi pan coś do powiedzenia, panie Winn? – zapytała głośno Robin, wchodząc mu w słowo. – Bo jeśli zadzwonił pan tylko po to, żeby mnie obrażać...

– O, mam ci bardzo dużo do powiedzenia, c h o l e r n i e dużo! – krzyknął Winn. – Zapłacisz mi za to, co zrobiłaś, panno Ellacott, z a p ł a c i s z za krzywdę, którą wyrządziłaś mnie i mojej żonie, nie ujdzie ci to płazem, złamałaś prawo w moim biurze i zobaczymy się w sądzie, rozumiesz? – Był na granicy histerii. – Przekonamy się, jak te twoje sztuczki podziałają na sędziego, co? Głęboki dekolt i „och, chyba jest mi za gorąco...".

Na skraju pola widzenia Robin wypełzło białe światło, przez które droga upodobniła się do tunelu.

– NIE! – wrzasnęła, odrywając obie dłonie od kierownicy i uderzając w nią trzęsącymi się rękami. To było takie samo „nie", jakie usłyszał Matthew, „nie" pełne tak wielkiej gwałtowności i mocy, że zamknęło Geraintowi Winnowi usta w identyczny sposób. – Nikt panu nie kazał głaskać mnie po głowie, klepać po plecach i gapić się na moje piersi, panie Winn! To nie ja o to zabiegałam, choć pewnie podnieca pana myśl, że tak było...

– Robin! – odezwał się Strike, lecz równie dobrze mogłoby to być jeszcze jedno skrzypnięcie podwozia starego samochodu. Robin puściła mimo uszu także nagłe pytanie Gerainta:

– Kto tam z tobą jest? To był Strike?

– ...jest pan obleśny, panie Winn, jest pan obleśnym z ł o d z i e j e m, który okradł fundację dobroczynną, i nie tylko się cieszę, że znalazłam na pana haka, ale również z radością opowiem całemu światu, jak wymachuje pan zdjęciami zmarłej córki, zaglądając młodym kobietom w dekolty...

– Jak śmiesz! – zawołał oburzony Winn. – Nie masz żadnych... Jak ś m i e s z wspominać o Rhiannon... To wszystko wyjdzie na jaw,

rodzina Samuela Murape'a...

– Wal się razem ze wszystkimi swoimi pieprzonymi żalami! – wrzasnęła Robin. – Jesteś zboczonym, nieuczciwym...

– Jeśli ma pan do powiedzenia coś jeszcze, panie Winn, proponuję przekazać nam to na piśmie – krzyknął Strike do komórki, podczas gdy Robin, prawie zupełnie straciwszy kontrolę nad sobą, dalej miotała w tle obelgi pod adresem Winna. Strike gwałtownie zakończył połączenie i chwycił kierownicę, ponieważ Robin znowu oderwała od niej obie ręce, żeby gestykulować.

– Kurwa mać! – ryknął Strike. – Zjedź na pobocze... Natychmiast zjedź na pobocze!

Odruchowo wykonała polecenie. Adrenalina oszołomiła ją jak alkohol. Gdy land rover się zatrzymał, odpięła pas i wysiadła na pobocze, obok którego śmigały samochody. Zupełnie nie wiedząc, co robi, chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Po jej twarzy płynęły łzy i próbowała uciec przed paniką, która usiłowała ją dopaść, ponieważ Robin nieodwracalnie zraziła do nich mężczyznę, z którym prawdopodobnie musieli jeszcze porozmawiać, mężczyznę, który już wcześniej mówił o zemście, który być może opłacał Pattersona...

– Robin!

Teraz, pomyślała, Strike też uzna ją za niedojdę, za kretynkę ze zwichniętą psychiką, która w ogóle nie powinna wykonywać takiej pracy, która ucieka, kiedy robi się ciężko. Właśnie dlatego gwałtownie się odwróciła, gdy kuśtykał za nią po twardym poboczu, po czym szorstko wytarła twarz rękawem i zanim zdążył ją ochrzanić, oznajmiła:

– Wiem, że nie powinnam była tracić panowania nad sobą, wiem, że spieprzyłam sprawę, przepraszam.

Jego odpowiedź zginęła pośród dudnienia w jej uszach, ponieważ właśnie w tym momencie panika ją dopadła, jakby tylko czekała, aż Robin się zatrzyma. W oszołomieniu, nie będąc w stanie uporządkować myśli, Robin osunęła się na ziemię na skraju pobocza. Suche, twarde źdźbła trawy kłuły ją przez dżinsy, gdy z zamkniętymi oczami i głową opartą na dłoniach próbowała za pomocą spokojnego oddechu wrócić do normalności, mijana przez rozpędzone pojazdy.

Nie była pewna, czy upłynęła jedna minuta, czy dziesięć, lecz w końcu jej puls spowolnił, w myślach znów zapanował porządek, a panika odpłynęła, ustępując miejsca wstydowi. Wszystkie starania, by utrzymać pozory radzenia sobie, poszły na marne.

Doleciał do niej zapach papierosowego dymu. Otwierając oczy, po prawej stronie zobaczyła wyciągnięte na ziemi nogi Strike'a. On też usiadł na poboczu.

– Od jak dawna masz ataki paniki? – odezwał się zupełnie zwyczajnym tonem.

Chyba nie było sensu dłużej tego ukrywać.

– Mniej więcej od roku – wymamrotała.

– Szukałaś pomocy?

– Tak. Przez jakiś czas chodziłam na terapię. Teraz robię ćwiczenia z terapii poznawczo-behawioralnej.

– Naprawdę je wykonujesz? – spytał łagodnie. – Bo tydzień temu kupiłem wegetariański bekon i wcale nie jestem zdrowszy dzięki temu, że leży sobie w lodówce.

Robin zaczęła się śmiać i poczuła, że nie może przestać. Z jej oczu znów płynęły łzy. Strike przyglądał się jej nie bez sympatii i dalej palił papierosa.

– Chyba rzeczywiście powinnam je robić trochę częściej – przyznała wreszcie, jeszcze raz wycierając twarz.

– Chciałabyś może powiedzieć mi coś jeszcze, skoro już rozmawiamy?

Czuł, że zanim zacznie udzielać jej rad dotyczących stanu psychicznego, powinien wiedzieć o najgorszym, ale Robin wydawała się zmieszana.

– Mam na myśli inne sprawy związane ze zdrowiem, które mogą wpłynąć na twoją zdolność do pracy – uściślił.

– Na przykład jakie?

Rozważał, czy pytanie wprost nie stanowi naruszenia jakichś praw pracowniczych.

– Zastanawiałem się – powiedział – czy przypadkiem nie jesteś... hm... w ciąży.

Robin znowu wybuchnęła śmiechem.

– O Boże, a to zabawne.

– Zabawne?

– Nie – odrzekła, kręcąc głową. – Nie jestem w ciąży.

Strike zauważył, że jej obrączka i pierścionek zaręczynowy zniknęły. Tak przywykł do oglądania jej bez nich, kiedy wcielała się w role Venetii Hall i Bobbi Cunliffe, że nie przyszło mu do głowy, iż tym razem ich brak może coś znaczyć. O to jednak wolał nie pytać wprost – z powodów, które nie miały nic wspólnego z prawami pracowniczymi.

– Rozstaliśmy się z Matthew – oznajmiła Robin, marszcząc brwi, patrząc na przejeżdżające pojazdy i usiłując się nie rozpłakać. – Tydzień temu.

– A – mruknął Strike. – Cholera. Przykro mi.

Jego zaniepokojona mina zupełnie jednak nie pasowała do tego, co poczuł. Przygnębienie opuściło go tak gwałtownie, jakby właśnie wypił duszkiem trzy piwa. Woń gumy, pyłu i wypalonej trawy przywiodła mu na myśl parking, na którym przez przypadek

pocałował Robin, i znowu zaciągnął się papierosem, bardzo się starając, żeby jego uczucia nie odmalowały się na twarzy.

– Wiem, że nie powinnam rozmawiać w ten sposób z Geraintem Winnem. – Robin znowu zalała się łzami. – Nie powinnam była wspominać o Rhiannon, straciłam panowanie nad sobą i... Po prostu chodzi o to, że m ę ż c z y ź n i, przeklęci m ę ż c z y ź n i oceniają wszystkich przez pryzmat samych siebie!

– Co się stało z Mattem...?

– Sypiał z Sarah Shadlock – odrzekła brutalnie. – Z narzeczoną swojego najlepszego przyjaciela. Zgubiła kolczyk w naszym łóżku i... och, n i e c h t o s z l a g!

To nie miało sensu: ukryła twarz w dłoniach i czując, że nie ma już nic do stracenia, rozpłakała się na dobre, dlatego że zupełnie skompromitowała się w oczach Strike'a i skaziła jedyną pozostałą część swojego życia, którą pragnęła ochronić. Ależ Matthew by się ucieszył, widząc ją załamaną na poboczu autostrady, potwierdzającą, że miał rację, że Robin nie nadaje się do wykonywania pracy, którą tak uwielbia, że przeszłość zawsze będzie ją ograniczała, dlatego że dwa razy znalazła się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie, z niewłaściwymi mężczyznami.

Na jej barkach spoczęło coś ciężkiego. Strike objął ją ramieniem. Było to pokrzepiające i jednocześnie złowieszcze, bo nigdy dotąd tego nie robił – bez wątpienia zamierzał jej powiedzieć, że nie nadaje się do tej pracy, że odwołają rozmowę z Tegan i wrócą do Londynu.

– Gdzie nocujesz?

– Na kanapie u Vanessy – odrzekła Robin, gorączkowo wycierając oczy i nos: przez smarki i łzy miała zupełnie przemoczone kolana dżinsów. – Ale już coś wynajęłam.

– Gdzie?

– W Kilburn. Pokój w kilkuosobowym domu.

– Cholera, Robin – zdenerwował się Strike. – Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nick i Ilsa mają pokój gościnny, z radością by cię...

– Nie mogę żerować na twoich przyjaciołach – wymamrotała.

– To nie byłoby żadne żerowanie – zapewnił. Szybko wsunął papierosa do ust i wolną ręką zaczął przeszukiwać kieszenie. – Lubią cię i mogłabyś u nich pomieszkać przez parę tygodni, zanim... O, wiedziałem, że gdzieś ją mam. Jest tylko pognieciona, nie używałem jej... W każdym razie wydaje mi się, że nie...

Robin wzięła od niego chusteczkę i zużyła ją na jedno głośne wydmuchanie nosa.

– Słuchaj – zaczął Strike, lecz Robin natychmiast mu przerwała.

– Tylko mi nie mów, że mam sobie zrobić przerwę. Proszę. Nic mi nie jest, mogę pracować, to był pierwszy atak paniki od wieków, a poza tym...

– ...nie słuchasz.

– Dobrze, przepraszam – bąknęła, ściskając w pięści przemoczoną chusteczkę. – Mów.

– Po wybuchu nie byłem w stanie wsiąść do samochodu, nie przeżywając tego co ty przed chwilą: wpadałem w panikę, oblewał mnie zimny pot i prawie się dusiłem. Przez jakiś czas byłem gotów zrobić wszystko, byleby uniknąć wsiadania do auta, którym kierował ktoś inny. Prawdę mówiąc, dalej mam z tym problem.

– Nie wiedziałam. W ogóle tego nie widać.

– Taa, bo wiesz, jesteś najlepszym kierowcą, jakiego znam. Powinnaś mnie zobaczyć, kiedy jadę z siostrą. Chodzi o to, Robin... Ja pierdolę.

Nadjechała drogówka. Radiowóz zatrzymał się za opuszczonym land roverem. Policjanci najwyraźniej zachodzili w głowę, dlaczego

pasażerowie siedzą pięćdziesiąt metrów dalej na poboczu i zupełnie nie przejmują się losem kiepsko zaparkowanego pojazdu.

– Nie spieszy się państwu, żeby wezwać pomoc? – spytał z sarkazmem tęższy z nich. Poruszał się z pewnością siebie człowieka, który uważa się za dowcipnisia.

Strike zsunął rękę z ramion Robin i obydwoje wstali, co jemu wyszło dość niezdarnie.

– Choroba lokomocyjna – wyjaśnił funkcjonariuszowi beznamiętnym tonem. – Proszę uważać, bo może na panów narzygać.

Wrócili do samochodu. Kolega dowcipnego policjanta przyjrzał się naklejce na szybie starego land rovera.

– Coraz rzadziej widuje się je na drogach – zauważył.

– Jeszcze nigdy mnie nie zawiódł – odrzekła Robin.

– Na pewno jesteś w stanie prowadzić? – spytał Strike ściszonym głosem, gdy przekręciła kluczyk w stacyjce. – Moglibyśmy udawać, że dalej jest ci niedobrze.

– Wszystko w porządku.

I tym razem była to prawda. Nazwał ją najlepszym kierowcą, jakiego znał, i może to niewiele, lecz dzięki temu odzyskała część szacunku do samej siebie. Gładko włączyła się do ruchu na autostradzie.

Długo milczeli. Strike uznał, że dalsza rozmowa na temat zdrowia psychicznego Robin musi zaczekać, aż wysiądą z samochodu.

– Pod koniec Winn rzucił jakieś nazwisko. – Zamyślił się, wyjmując notes. – Słyszałaś?

– Nie – bąknęła zawstydzona Robin.

– Samuel jakiś tam – ciągnął Strike, zapisując to w notesie. – Murdoch? Matlock?

– Nie słyszałam.

– Rozchmurz się – pocieszył ją. – Pewnie by z tym nie wyskoczył, gdybyś na niego nie nawrzeszczała. Nie żebym zalecał nazywanie świadków obleśnymi złodziejami...

Odwrócił się do tyłu i sięgnął po torbę.

– Masz ochotę na herbatnika?

62

Ale ja nie chcę widzieć twojej klęski, Rebeko!

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Gdy dotarli do Newbury, parking przy torze wyścigowym pękał już w szwach. Wielu ludzi zmierzających po bilety miało na sobie wygodne dżinsy i kurtki, tak jak Strike i Robin, lecz inni przywdziali powiewne jedwabne sukienki, garnitury, wywatowane kamizelki, tweedowe kapelusze i sztruksowe spodnie w musztardowych i sinych barwach kojarzących się Robin z Torquilem.

Ustawili się w kolejce po bilety. Obydwoje byli pogrążeni w myślach. Robin bała się, co się stanie, kiedy już dotrą do pubu Crafty Filly, w którym pracowała Tegan Butcher. Była pewna, że Strike nie powiedział jeszcze wszystkiego o jej zdrowiu psychicznym, i obawiała się, że jedynie odwleka skierowanie jej z powrotem do pracy za biurkiem.

Tak naprawdę Strike myślał jednak o czymś innym. Białe barierki połyskujące za małym namiotem, w którym tłum tłoczył się w oczekiwaniu na bilety, a także obfitość tweedu i sztruksu, przypomniały mu jego poprzednią wizytę na torze wyścigowym. Nieszczególnie interesował się sportem. Wprawdzie jedyna stała ojcowska figura w jego życiu, wuj Ted, grał w futbol i żeglował,

a paru kumpli Strike'a z wojska lubiło obstawiać na wyścigach, lecz jego nigdy to nie pociągało.

Trzy lata temu poszedł jednak z Charlotte i jej dwoma ulubionymi braćmi na Epson Derby. Podobnie jak Strike, Charlotte pochodziła z rozbitej i dysfunkcyjnej rodziny. Pod wpływem któregoś ze swoich nieprzewidywalnych porywów entuzjazmu uparła się, żeby przyjąć zaproszenie Valentine'a i Sachy, nie zważając na brak zainteresowania Strike'a sportem ani na jego niezbyt serdeczne stosunki z obydwoma mężczyznami, którzy uważali go za niewytłumaczalną osobliwość w życiu siostry.

Był wtedy spłukany, za bardzo małe pieniądze rozkręcał agencję i już ścigali go prawnicy domagający się zwrotu małej pożyczki, którą zaciągnął u swojego biologicznego ojca, gdy odmówiły mu wszystkie banki, uzasadniając to zbyt wielkim ryzykiem. Charlotte była jednak wściekła, gdy straciwszy piątaka po postawieniu na faworyta, Fame and Glory, który przybiegł drugi, Cormoran nie chciał ponownie obstawić. Powstrzymała się od nazwania go purytaninem i świętoszkiem, plebejuszem i sknerą, co zdarzało jej się wcześniej, gdy nie chciał naśladować jej rodziny i przyjaciół lekkomyślnie i ostentacyjnie szastających pieniędzmi. Podjudzona przez braci, stawiała coraz większe kwoty, ostatecznie wygrała dwa i pół tysiąca funtów i uparła się, żeby poszli do namiotu z szampanem, gdzie jej uroda i dobry humor zwracały uwagę wielu osób.

Idąc z Robin szeroką asfaltową alejką biegnącą równolegle do toru wyścigowego, za wznoszącymi się trybunami, obok kawiarni, stoisk z cydrem i furgonetek z lodami, obok przebieralni dla dżokejów oraz baru dla właścicieli i trenerów, Strike rozmyślał o Charlotte, o ryzyku, które się opłaciło, i o ryzyku, które się nie opłaciło, aż wreszcie głos Robin ściągnął go z powrotem na ziemię.

– To chyba tutaj.

Obok parterowego baru z cegły wisiał szyld, na którym namalowano ciemny łeb młodej klaczy z wędzidłem puszczającej oko. Na zewnątrz było tłoczno. Kieliszki z szampanem pobrzękiwały wśród gwaru rozmów i śmiechu. Z Crafty Filly roztaczał się widok na padok, na którym wkrótce miała się zacząć parada koni przyciągająca kolejne rzesze ludzi.

– Zajmij ten wysoki stolik – polecił Strike – a ja pójdę po coś do picia i powiem Tegan, gdzie jesteśmy.

Zniknął w budynku, nie pytając jej, czego się napije.

Robin usiadła na metalowym stołku barowym przy jednym z wysokich stolików, wiedząc, że Strike'owi będzie tam wygodniej niż na niskich wiklinowych kanapach. Wszystkie miejsca na zewnątrz ustawiono pod poliuretanowym zadaszeniem, by chronić klientów przed deszczem, który akurat nie padał. Dziś niebo było bezchmurne, dzień ciepły, a lekki wiaterek ledwie poruszał liśćmi sztucznie kształtowanych drzewek obok wejścia do baru. W bezchmurną noc łatwiej będzie kopać w leśnej dolince obok Steda Cottage, pomyślała Robin – zakładając, że Strike nie zamierza odwołać tej ekspedycji, ponieważ jego wspólniczka jest zbyt niezrównoważona i rozhisteryzowana, by mogła sprostać temu zadaniu.

Na tę myśl jeszcze bardziej ścisnęło ją w żołądku i skupiła się na czytaniu wydrukowanej listy koni biorących udział w gonitwie, którą dostali razem z kartonowymi biletami. Nagle niespodziewanie stanęła przed nią mała butelka moët & chandon, a Strike usiadł, trzymając kufel bittera.

– Doom bar z nalewaka – oznajmił wesoło, przechylając w jej stronę kufel i wypijając pierwszy łyk. Robin ze zdumieniem

wpatrywała się w buteleczkę szampana, która kojarzyła jej się z płynem do kąpieli.

– Z jakiej to okazji?

– Musimy coś uczcić – odrzekł, upiwszy ogromny łyk piwa. – Wiem, że nie powinno się tak mówić – ciągnął, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów – ale bez niego będzie ci lepiej. Spał z narzeczoną kumpla w łóżku małżeńskim? Zasługuje na wszystkie przykrości, jakie go spotkają.

– Nie mogę pić. Prowadzę.

– Właśnie zapłaciłem za to dwadzieścia pięć funciaków, więc mogłabyś przynajmniej wypić symboliczny łyk.

– Dwadzieścia pięć funciaków za tę buteleczkę? – zdziwiła się Robin i korzystając z tego, że Strike zapalał akurat papierosa, ukradkiem znowu wytarła oczy.

– Powiedz mi coś – odezwał się Strike, machając zapałką, żeby zgasić płomień. – Zastanawiałaś się kiedyś, w jakim kierunku powinna zmierzać agencja?

– Co masz na myśli? – spytała zaniepokojona.

– W dniu rozpoczęcia olimpiady szwagier dał mi wykład na ten temat – wyjaśnił Strike. – Ględził o dążeniu do stanu, w którym nie będę musiał pracować w terenie.

– Ale wcale byś tego nie chciał, praw... Zaraz – przestraszyła się Robin. – Próbujesz mi powiedzieć, że mam wrócić za biurko i odbierać telefony?

– Nie. – Strike wydmuchnął dym z dala od jej twarzy. – Zastanawiałem się tylko, czy w ogóle myślisz o przyszłości.

– Chcesz, żebym odeszła? – spytała Robin, jeszcze bardziej zaniepokojona. – Żebym zajęła się czymś in...?

– Ellacott, do jasnej cholery, nie! Po prostu pytam, czy myślisz o przyszłości.

Patrzył, jak Robin wyjmuje korek z małej butelki.

– Jasne, że myślę – odrzekła niepewnie. – Miałam nadzieję, że uda nam się trochę podreperować finanse, żebyśmy nie musieli ciągle żyć z dnia na dzień, ale... – zadrżał jej głos – ...ale kocham tę robotę, przecież wiesz. Niczego innego mi nie potrzeba. Chcę nadal ją wykonywać, robić to coraz lepiej i... chyba doprowadzić do tego, żeby nasza agencja stała się najlepsza w całym Londynie.

Uśmiechnął się i stuknął kuflem w jej szampana.

– W takim razie kiedy będę mówił dalej, miej na uwadze, że chcemy tego samego, dobra? I możesz spokojnie napić się szampana. Tegan będzie miała przerwę dopiero za czterdzieści minut, więc upłynie dużo czasu, zanim wieczorem pojedziemy do Steda Cottage.

Zamilkł i patrzył, jak Robin upija łyk szampana.

– Udawanie, że jesteś silna, kiedy nie jesteś silna, nie ma nic wspólnego z siłą.

– I tu się mylisz – zaprzeczyła. Szampan syczał na jej języku i chyba dodał jej odwagi, jeszcze zanim uderzył do głowy. – Czasami zachowywanie się tak, jakby wszystko było z tobą w porządku, sprawia, że rzeczywiście jest w porządku. Czasami trzeba po prostu zrobić dobrą minę do złej gry, wyjść do świata, i po chwili się okazuje, że to wcale nie takie trudne, że to zupełnie naturalne. Gdybym czekała, aż poczuję się gotowa, żeby wyjść z pokoju po tym, jak... no wiesz... nadal bym tam tkwiła. Musiałam wyjść, zanim poczułam się gotowa. A poza tym – dodała, patrząc mu prosto w twarz zaczerwienionymi i spuchniętymi oczami – pracuję u ciebie od dwóch lat, patrząc, jak przesz do przodu bez względu na wszystko, podczas gdy obydwoje wiemy, że każdy lekarz kazałby ci usiąść i dać odpocząć nodze.

– I dokąd mnie to zaprowadziło? – spytał przytomnie Strike. – Przez tydzień nie byłem w stanie się ruszyć, moje ścięgno podkolanowe woła o litość, jeśli zdarzy mi się przejść więcej niż pięćdziesiąt metrów. Chcesz szukać podobieństw, nie ma sprawy. Przeszedłem na dietę, wykonuję ćwiczenia rozciągające...

– A wegetariański bekon pleśnieje w twojej lodówce?

– Pleśnieje? On przypomina gumę przemysłową, przetrwa dłużej niż ja. Słuchaj – powiedział, nie chcąc zboczyć z tematu – to byłby cholerny cud, gdyby wydarzenia z ubiegłego roku nie miały dla ciebie żadnych następstw. – Jego oczy przesunęły się w kierunku koniuszka purpurowej blizny na przedramieniu Robin, wystającego spod mankietu jej bluzki. – Żaden element twojej przeszłości nie wyklucza pracy w charakterze detektywa, ale jeśli chcesz to robić dalej, musisz o siebie zadbać. Jeżeli potrzebujesz urlopu...

– ...to ostatnie, czego bym chciała...

– Tu nie chodzi o to, czego chcesz. Chodzi o to, czego potrzebujesz.

– Powiedzieć ci coś zabawnego? – spytała. Czy to po łyku szampana, czy z jakiegoś innego powodu, zdumiewająco poprawił jej się humor i rozwiązał język. – Można by pomyśleć, że w ciągu ostatniego tygodnia miałam mnóstwo ataków paniki, prawda? Szukałam nowego mieszkania, oglądałam pokoje, jeździłam po całym Londynie, wielu ludzi niespodziewanie wyrastało za moimi plecami... To najczęstszy bodziec wyzwalający – wyjaśniła. – Ludzie za plecami, kiedy się ich tam nie spodziewam.

– Chyba nie potrzebujemy Freuda, żeby to wytłumaczyć.

– Ale nic mi nie było – dokończyła Robin. – Pewnie dlatego, że nie musiałam...

Zamilkła, lecz Strike i tak się domyślił, jak miał brzmieć koniec tego zdania. Zaryzykował.

– Jeśli masz bałagan w życiu prywatnym, ta robota staje się prawie niemożliwa. Przerabiałem to. Wiem.

Czując ulgę, że Strike ją rozumie, Robin wypiła jeszcze trochę szampana i prędko powiedziała:

– Chyba czułam się gorzej, bo musiałam ukrywać, co się ze mną dzieje, musiałam robić ćwiczenia w tajemnicy. Wystarczył jakiś sygnał, że nie jestem w najwyższej formie, i Matthew znowu zaczynał na mnie krzyczeć, że niepotrzebnie wykonuję taką pracę. Rano myślałam, że to on próbuje się do mnie dodzwonić, i dlatego nie chciałam odebrać. A kiedy Winn zaczął mnie wyzywać... Wiesz, poczułam się, jakbym jednak o d e b r a ł a. Nie potrzebuję wysłuchiwać od Winna, że w gruncie rzeczy jestem chodzącą parą cycków, głupią dziewczyną z urojeniami, która nie zdaje sobie sprawy, że te c y c k i to jej jedyny atrybut.

„Matthew też ci to mówił, prawda?" – pomyślał Strike, wyobrażając sobie kilka zabiegów korekcyjnych, które jego zdaniem mogłyby dobrze podziałać na tego gościa.

– To, że jesteś kobietą... – zaczął powoli i ostrożnie. – Rzeczywiście, kiedy pracujesz sama w terenie, martwię się o ciebie bardziej, niż gdybyś była facetem. Wysłuchaj mnie do końca – uciął zdecydowanym tonem, gdy wystraszona otworzyła usta. – Musimy być ze sobą szczerzy, bo inaczej wszystko spieprzymy. Po prostu posłuchaj, dobrze? Uciekłaś dwóm mordercom dzięki swojej inteligencji i dzięki temu, co zapamiętałaś ze szkolenia. Byłbym gotów się założyć, że ten cholerny Matthew by tego nie dokonał. Ale nie chcę, żeby to się powtórzyło, Robin, bo za trzecim razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

– Więc jednak każesz mi wrócić za biurko...

– Mogę dokończyć? – spytał ostro. – Nie chcę cię stracić, bo jesteś moim najlepszym pracownikiem. W każdej sprawie, nad którą

pracowaliśmy, odkąd się u mnie zjawiłaś, znajdowałaś dowody, których mnie nie udałoby się znaleźć, i docierałaś do ludzi, którzy ze mną nie zgodziliby się rozmawiać. W ogromnej mierze to właśnie dzięki tobie zaszliśmy tak daleko. Ale w starciu z brutalnym mężczyzną zawsze będziesz na słabszej pozycji, a ja mam w związku z tym pewne obowiązki. Jestem starszym wspólnikiem, mogłabyś mnie pozwać...

– Boisz się, że cię p o z w ę...?

– Nie, Robin – odparł szorstko. – Boję się, kurwa, że zginiesz, a ja do końca życia będę miał cię na sumieniu. – Pociągnął kolejny łyk doom bara, po czym dodał: – Jeśli mam cię wysyłać w teren, muszę wiedzieć, że masz zdrową psychikę. Chcę od ciebie żelaznej gwarancji, że postarasz się przeciwdziałać tym atakom paniki, bo jeśli nie staniesz na wysokości zadania, nie tylko ty będziesz musiała żyć z konsekwencjami tego, co się wydarzy.

– W porządku – wymamrotała Robin, a gdy Strike uniósł brwi, dorzuciła: – Mówię poważnie. Zrobię, co będzie trzeba. Obiecuję.

Tłum wokół padoku gęstniał jeszcze bardziej. Najwidoczniej za chwilę miała się zacząć parada przed kolejną gonitwą.

– Jak ci się układa z Lorelei? – spytała Robin. – Lubię ją.

– W takim razie obawiam się, że mam dla ciebie kolejne złe wieści. Nie tylko ty i Matthew rozstaliście się w ubiegłym tygodniu.

– Cholera. Przykro mi – powiedziała Robin, zasłaniając swoje zakłopotanie kolejnym łykiem szampana.

– Jak na kogoś, kto nie chciał pić, radzisz sobie całkiem sprawnie – zauważył rozbawiony Strike.

Gdy uniosła małą zieloną butelkę, nagle coś jej się przypomniało.

– Wiem, gdzie widziałam nazwę Blanc de Blanc. Wcale nie na butelce. Tylko że w niczym nam to nie pomoże.

– Mów.

– W Le Manoir aux Quat'Saisons mają apartament o takiej nazwie – wyjaśniła Robin. – Wiesz, to nawiązanie do Raymonda Blanca, szefa kuchni, który stworzył ten hotel. Taka gra słów. Blanc de Blanc, bez „s".

– To tam spędziłaś rocznicowy weekend?

– No. Ale nie w Blanc de Blanc. Nie byłoby nas stać – powiedziała Robin. – Pamiętam tylko, jak przechodziłam obok tego napisu. Ale zgadza się... Właśnie tam świętowaliśmy papierową rocznicę. Papierową – powtórzyła z westchnieniem. – A niektórzy docierają aż do platynowej.

Na padok wychodziło po kolei siedem ciemnych koni czystej krwi. Nerwowe stworzenia o lśniącej sierści i sprężystym kroku prowadzili stajenni, a dżokeje przycupnęli na grzbietach wierzchowców jak małpy. Strike i Robin jako jedni z nielicznych nie wyciągali szyj, żeby lepiej widzieć. Zanim Robin zdążyła się zastanowić, poruszyła temat, który interesował ją najbardziej.

– Ta kobieta, z którą rozmawiałeś na przyjęciu paraolimpijskim, to była Charlotte?

– No – potwierdził.

Spojrzał na nią. Robin już wcześniej zdarzało się ubolewać nad łatwością, z jaką zdawał się czytać w jej myślach.

– Charlotte nie miała nic wspólnego z moim rozstaniem z Lorelei. Jest teraz mężatką.

– Ja i Matthew też byliśmy małżeństwem – zauważyła Robin, upijając kolejny łyk. – Sarah Shadlock to nie powstrzymało.

– Nie jestem Sarah Shadlock.

– Najwyraźniej nie. Gdybyś był tak cholernie wnerwiający jak ona, na pewno bym u ciebie nie pracowała.

– Mogłabyś to napisać w najbliższej ankiecie zadowolenia pracownika. „Nie jest tak cholernie wnerwiający jak kobieta, która pieprzyła się z moim mężem". Oprawiłbym to w ramkę.

Roześmiała się.

– Wiesz, też miałem pewien pomysł w związku z Blanc de Blanc – powiedział Strike. – Analizowałem listę spraw do załatwienia Chiswella, próbując wyeliminować różne ewentualności i potwierdzić nową teorię.

– Jaką teorię? – spytała z ożywieniem i Strike zauważył, że nawet po wypiciu połowy butelki szampana, po rozpadzie jej małżeństwa i w obliczu czekającej ją przeprowadzki do jakiejś klitki w Kilburn zainteresowanie Robin sprawą utrzymywało się na równie wysokim poziomie jak dotychczas.

– Pamiętasz, jak wspomniałem, że moim zdaniem w sprawie Chiswella kryje się coś wielkiego, coś fundamentalnego? Coś, czego dotąd nie zauważyliśmy?

– Tak. Mówiłeś, że „co jakiś czas przemyka ci przed nosem".

– Masz dobrą pamięć. Część tego, co powiedział Raphael...

– No to jestem, mam już przerwę – zabrzmiał nerwowy damski głos za ich plecami.

63

To jest przecież czysto osobista sprawa. Nie ma żadnej potrzeby, aby o tym trąbić po całym kraju.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Niska, barczysta i bardzo piegowata Tegan Butcher miała ciemne włosy zebrane w kok. Nawet w eleganckim barowym uniformie

złożonym z czarnej koszuli z wyhaftowanym dżokejem na białym koniu i szarego krawata sprawiała wrażenie dziewczyny, która lepiej czułaby się w ubłoconych kaloszach. Na rozmowę ze Strikiem i Robin wzięła sobie z baru kawę z mlekiem.

– O... wielkie dzięki – powiedziała, gdy Strike przyniósł jej krzesło. Była wyraźnie zadowolona, że sławny detektyw jest skłonny zrobić dla niej aż tyle.

– Nie ma za co – odrzekł Strike. – To moja wspólniczka Robin Ellacott.

– To ty się ze mną kontaktowałaś, prawda? – Tegan wdrapała się na wysoki stołek barowy – miała przy tym trochę problemów z powodu niskiego wzrostu. Wydawała się podekscytowana i jednocześnie wystraszona.

– Wiem, że jesteś w pracy – zaczął Strike – więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, od razu przejdziemy do rzeczy.

– Nie. To znaczy tak. Dobrze. Mów.

– Jak długo pracowałaś u Jaspera i Kinvary Chiswellów?

– Dorabiałam u nich, jak jeszcze chodziłam do szkoły, więc w sumie... dwa i pół roku.

– Jak ci się u nich podobało?

– Było w porządku – odparła ostrożnie Tegan.

– Jakie wrażenie robił na tobie minister?

– Był spoko – powiedziała Tegan. Chyba zdała sobie sprawę, że nie jest to zbyt pomocna opinia, ponieważ po chwili dorzuciła: – Moja rodzina znała go od lat. Bracia od czasu do czasu robili dla Chiswellów różne rzeczy.

– Tak? – Strike notował. – Na przykład jakie?

– Naprawiali płoty, trochę pracowali w ogrodzie. Ale ostatnio Chiswellowie sprzedali większość ziemi. Ogród zarósł.

Sięgnęła po kawę i wypiła łyk, po czym dodała z obawą w głosie:

– Moja mama dostałaby szału, gdyby wiedziała, że się z wami spotkałam. Kazała mi trzymać się od tego z daleka.

– Dlaczego?

– Zawsze powtarza: „Milczenie jest złotem". I jeszcze: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal". Słyszałam to za każdym razem, jak chciałam iść na dyskotekę dla młodych rolników.

Robin się roześmiała. Tegan uśmiechnęła się, dumna, że ją rozbawiła.

– Jaka była pani Chiswell w roli pracodawczyni? – spytał Strike.

– W porządku – powtórzyła Tegan.

– Lubiła, żeby pod jej nieobecność w domu ktoś nocował, prawda? Ze względu na konie.

– Tak – potwierdziła Tegan, po czym po raz pierwszy dostarczyła informacji z własnej inicjatywy, dorzucając: – Ona ma paranoję.

– Czy któryś z jej koni nie został przypadkiem pocięty nożem?

– Jeśli chcecie, możecie to nazywać pocięciem nożem – prychnęła Tegan – ale jak dla mnie to było raczej zadrapanie. W nocy Romano zrzucił z siebie derkę. To był jego stały numer.

– Więc nic ci nie wiadomo na temat intruzów w ogrodzie? – upewnił się Strike, trzymając długopis nad notesem.

– Hm – zaczęła powoli Tegan. – Rzeczywiście coś o nich wspominała, ale...

Jej spojrzenie zboczyło w stronę bensonów & hedgesów Strike'a, które leżały obok jego kufla.

– Mogę zapalić? – spytała, wykazując się wielką śmiałością.

– Częstuj się. – Strike wyjął zapalniczkę i podsunął ją Tegan.

Zapaliła papierosa, głęboko się zaciągnęła i podjęła:

– Wątpię, żeby w ogrodach kiedykolwiek ktoś był. Pani Chiswell tylko się wydawało. Ona jest... – Tegan usiłowała znaleźć właściwe słowo. – Gdyby była koniem, powiedziałabym, że jest płochliwa. Kiedy u nich nocowałam, nigdy nie słyszałam, żeby ktoś się tam kręcił.

– Spędziłaś w tym domu noc poprzedzającą znalezienie w Londynie zwłok Jaspera Chiswella, prawda?

– No.

– Pamiętasz, o której wróciła pani Chiswell?

– Koło jedenastej. Bardzo mnie wystraszyła – dodała Tegan. Zdenerwowanie powoli jej przechodziło, ujawniała się za to lekka skłonność do gadulstwa. – Miała nocować w Londynie. Weszła i zaczęła mnie ochrzaniać, bo jarałam przed telewizorem, a ona nie lubi papierosów. Poza tym wypiłam dwa kieliszki wina z butelki w lodówce. Zaznaczam, że przed wyjściem powiedziała, że mogę się częstować, czym zechcę, ale ona taka już jest, ciągle zmienia zasady gry. W jednej chwili coś jest w porządku, a w następnej już nie. Trzeba było chodzić koło niej na paluszkach, serio. Ale już zanim mnie zobaczyła, była w złym humorze. Poznałam to po tym, jak tupała w przedpokoju. Jaranie i wino to był tylko pretekst, żeby wyładować na mnie złość. Tak to już z nią jest.

– Ale mimo wszystko zostałaś na noc?

– No. Powiedziała, że jestem za bardzo pijana, żeby prowadzić. Bzdura, wcale nie byłam pijana. Potem kazała mi zajrzeć do stajni, bo musiała do kogoś zadzwonić.

– Wiesz do kogo?

Tegan poprawiła się na zbyt wysokim stołku, siadając tak, by oprzeć na dłoni łokieć ręki trzymającej papierosa, i lekko zmrużyła oczy, najwyraźniej uznając, że to odpowiednia poza do rozmowy z podstępnym prywatnym detektywem.

– Nie jestem pewna, czy powinnam mówić.

– Może ja powiem, do kogo zadzwoniła, i jeśli zgadnę, kiwniesz głową?

– Dobra – zgodziła się Tegan z nieufnością połączoną z zaciekawieniem osoby, której obiecano czarodziejską sztuczkę.

– Do Henry'ego Drummonda – oznajmił Strike. – Zostawiła mu wiadomość w sprawie wyceny naszyjnika.

Chcąc nie chcąc, Tegan była pod wrażeniem. Kiwnęła głową.

– No. Zgadza się.

– Więc poszłaś do stajni...

– Tak, a kiedy wróciłam, pani Chiswell powiedziała, że i tak powinnam u niej przenocować, bo będę jej potrzebna z samego rana. No to przenocowałam.

– Gdzie spała pani Chiswell? – zainteresowała się Robin.

– No... na górze. – Zdziwiona Tegan aż się roześmiała. – Przecież to jasne. W swojej sypialni.

– Jesteś pewna, że spędziła w niej całą noc? – spytała Robin.

– Tak. – Tegan znowu lekko się zaśmiała. – Spałam w pokoju obok. Są tylko dwie sypialnie z oknami wychodzącymi na stajnie. Słyszałam, jak się kładzie.

– Na pewno nie wychodziła w nocy z domu? Nigdzie nie pojechała? – drążył Strike.

– Nie. Usłyszałabym samochód. Wkoło domu jest pełno dziur, nie da się odjechać po cichu. Zresztą następnego dnia rano spotkałam ją na schodach, jak szła w koszuli nocnej do łazienki.

– Która to mogła być godzina?

– Mniej więcej wpół do ósmej. Zjadłyśmy razem śniadanie w kuchni.

– Nadal była na ciebie zła?

– Wyglądała na trochę wkurzoną.

– Nie słyszałaś przypadkiem, jak odbiera kolejny telefon, mniej więcej w porze śniadania?

– Masz na myśli telefon od pana Chiswella? – odparła Tegan ze szczerym podziwem. – No. Wyszła z kuchni, żeby odebrać. Usłyszałam tylko: „Nie, Jasper, tym razem mówię poważnie". To brzmiało jak kłótnia. Mówiłam o tym policji. Pomyślałam, że posprzeczali się w Londynie i dlatego zamiast tam zostać, wróciła do domu wcześniej. Potem poszłam wyrzucić gnój. Przyszła tam i zaczęła trenować Brandy, jedną ze swoich klaczy, a jeszcze później – dodała z lekkim wahaniem – przyjechał on. Wiecie, Raphael. Syn.

– I co się stało? – spytał Strike.

Zawahała się.

– Pokłócili się, prawda? – podsunął Strike, mając świadomość, że niedługo przerwa Tegan się skończy.

– No – przyznała, uśmiechając się ze zdumieniem. – Ty wiesz dosłownie w s z y s t k o!

– Pamiętasz, o co poszło?

– O tą samą sprawę, w której poprzedniego dnia wieczorem dzwoniła do tamtego gościa.

– O naszyjnik? O to, że pani Chiswell chciała go sprzedać?

– Tak.

– Gdzie byłaś, kiedy się kłócili?

– Dalej wyrzucałam gnój. On wysiadł z samochodu i poszedł do niej na ujeżdżalnię...

– To taki padok, na którym trenuje się konie – mruknęła Robin, widząc zdziwienie Strike'a.

– Aha – powiedział.

– No – potwierdziła Tegan. – Właśnie tam trenowała Brandy. Najpierw rozmawiali i nie słyszałam, co mówią, a potem zaczęli się na siebie wydzierać, pani Chiswell zsiadła z konia i wrzasnęła

na mnie, żebym rozsiodłała i rozkiełznała Brandy... to znaczy zdjęła z niej siodło i uzdę – dodała uprzejmie, w razie gdyby Strike nie zrozumiał – a oni poszli do domu i dalej się kłócili. Nigdy nie lubiła Raphaela. Uważała, że jest rozpuszczony. Ciągle wieszała na nim psy. Jak dla mnie był w porządku – podkreśliła z udawaną obojętnością, która nie pasowała do rumieńca na jej twarzy.

– Pamiętasz, co do siebie mówili?

– Trochę... On jej tłumaczył, że nie może go sprzedać, bo należał do jego ojca, czy coś w tym rodzaju, a ona odpowiadała, żeby pilnował własnych spraw.

– Co było potem?

– Weszli do środka. Dalej wyrzucałam gnój, a po jakimś czasie – Tegan lekko się zawahała – zobaczyłam zbliżający się radiowóz i... no, to było okropne. Policjantka poprosiła, żebym weszła z nią do domu i pomogła. Poszłyśmy do kuchni. Pani Chiswell była blada jak ściana i całkiem roztrzęsiona. Spytali, gdzie jest herbata. Zaparzyłam jej gorącej herbaty, a Raphael poprosił, żeby usiadła. Był dla niej naprawdę miły – dodała Tegan – jeśli wziąć pod uwagę, że chwilę wcześniej wyzywała go od najgorszych.

Strike spojrzał na zegarek.

– Wiem, że masz mało czasu. Jeszcze tylko dwie sprawy.

– W porządku – zgodziła się.

– Ponad rok temu doszło do pewnego zdarzenia – zaczął Strike. – Pani Chiswell zaatakowała pana Chiswella młotkiem.

– O Boże, tak. Tak... całkiem straciła panowanie nad sobą. To się stało zaraz po uśpieniu Lady, na początku lata. To była jej ulubiona klacz. Pani Chiswell wróciła do domu i okazało się, że weterynarz już to zrobił. Kiedy zobaczyła jego furgonetkę, dostała szału, bo chciała przy tym być.

– Od jak dawna wiedziała, że klacz trzeba uśpić? – spytała Robin.

– Od dwóch, trzech dni. Chyba wszyscy o tym wiedzieliśmy – powiedziała smutno Tegan. – Ale to był uroczy koń, cały czas mieliśmy nadzieję, że się wyliże. Weterynarz czekał kilka godzin, aż pani Chiswell wróci do domu, ale Lady cierpiała, a on nie miał całego dnia, więc...

Tegan bezradnie wzruszyła ramionami.

– Nie wiesz przypadkiem, dlaczego pani Chiswell pojechała tamtego dnia do Londynu, skoro wiedziała, że Lady umiera? – spytał Strike.

Tegan pokręciła głową.

– Możesz nam powiedzieć, co dokładnie się wydarzyło, kiedy zaatakowała męża? Mówiła coś przedtem?

– Nie – zaprzeczyła Tegan. – Weszła na podwórze, zobaczyła, co się stało, podbiegła do pana Chiswella, chwyciła młotek i po prostu go uderzyła. Wszędzie krew. To było okropne – relacjonowała z wyraźnym przejęciem. – Straszne.

– Co zrobiła po tym, jak go uderzyła? – zainteresowała się Robin.

– Nic, po prostu stała. Miała taką minę... jak jakiś d e m o n czy coś – dorzuciła niespodziewanie Tegan. – Myślałam, że on nie żyje, że go zabiła. Później na jakiś czas gdzieś ją zamknęli. W jakimś szpitalu. Musiałam sama pracować przy koniach... Wszyscy byliśmy zrozpaczeni po stracie Lady. Kochałam tą klacz i myślałam, że się wyliże, ale ona się poddała, położyła i nie chciała jeść. Trudno się dziwić, że pani Chiswell tak bardzo się zdenerwowała, ale... przecież mogła go zabić. Wszędzie była krew – powtórzyła. – Chciałam rzucić pracę. Powiedziałam o tym mamie. Tamtego wieczoru pani Chiswell mnie wystraszyła.

– Dlaczego nie odeszłaś? – spytał Strike.

– W zasadzie to nie wiem... Pan Chiswell chciał, żebym pracowała dalej, a poza tym lubiłam konie. Potem pani Chiswell wyszła

ze szpitala, była naprawdę podłamana i chyba zrobiło mi się jej żal. Co chwila znajdowałam ją zapłakaną w boksie Lady.

– Czy to Lady była tą klaczą, którą pani Chiswell chciała dać do... eee... jak to się mówi? – spytał Strike, odwracając się do Robin.

– Do pokrycia? – podsunęła Robin.

– Tak... do pokrycia przez sławnego ogiera.

– Totilasa? – Tegan lekko przewróciła oczami. – Nie, to miała być Brandy, ale pan Chiswell nie chciał o tym słyszeć. Totilas! On kosztuje fortunę.

– Tak słyszałem. Nie wspominała przypadkiem o innym ogierze? Jest taki jeden, nazywa się Blanc de Blancs, nie wiem, czy...

– Nigdy o nim nie słyszałam – odrzekła Tegan. – Nie, to m u s i a ł być Totilas, był najlepszy, miała obsesję na jego punkcie. Pani Chiswell taka już jest. Jeśli wbije sobie coś do głowy, nie da się jej tego wyperswadować. Zamierzała wyhodować potomstwo tego pięknego konia, zdobywcy głównych nagród, i... Wiecie, że straciła dziecko, prawda?

Strike i Robin kiwnęli głowami.

– Mamie było jej żal, uważała, że ta sprawa ze źrebięciem to, no wiecie, coś w rodzaju substytutu. Według mamy te ciągłe wahania nastroju pani Chiswell były skutkiem poronienia. Pamiętam na przykład, że pewnego dnia, kilka tygodni po wyjściu ze szpitala, pani Chiswell wpadła w jakąś euforię. Chyba przez te leki, które jej przepisywali. Była nawalona jak stodoła. Śpiewała na podwórzu. Powiedziałam do niej: „Bardzo dziś pani wesoła, pani Ch.", a ona mi na to ze śmiechem: „Och, pracuję nad Jasperem i chyba niedługo mi się uda, może jednak pozwoli mi skorzystać z Totilasa". Bzdura. Spytałam go o to. Był bardzo niezadowolony, powiedział, że to tylko mrzonki i że już teraz z trudem stać go na utrzymanie wszystkich jej koni.

– Nie wydaje ci się, że chciał jej zrobić niespodziankę, proponując innego ogiera? – spytał Strike. – Tańszego.

– Tylko by ją tym zdenerwował. To miał być Totilas i żaden inny. – Tegan zgasiła papierosa, którym poczęstował ją Strike, spojrzała na zegarek i oznajmiła z żalem: – Zostały mi jeszcze dwie minuty.

– Zaraz kończymy – zapewnił ją Strike. – Słyszałem, że twoja rodzina znała przed laty Suki Lewis. Tę dziewczynę, która uciekła z domu dziecka...

– Ty wiesz dosłownie w s z y s t k o! – powtórzyła zachwycona Tegan. – Kto ci o tym powiedział?

– Billy Knight. Nie wiesz przypadkiem, co się stało z Suki?

– Wiem, pojechała do Aberdeen. Chodziła do jednej klasy z moim bratem Danem. Miała koszmarną mamę: alkohol, narkotyki i wszystko inne. Któregoś razu matka naprawdę poszła w tango i Suki umieszczono w domu dziecka. Uciekła, żeby odnaleźć tatę. Pracował na platformach na Morzu Północnym.

– I myślisz, że go znalazła?

Tegan ze zwycięską miną sięgnęła do tylnej kieszeni po komórkę. Po kilku kliknięciach pokazała Strike'owi facebookowy profil uśmiechniętej brunetki, która pozowała z grupką koleżanek na tle basenu na Ibizie. Mimo jej opalenizny, wybielonych zębów i sztucznych rzęs Strike rozpoznał w tej postaci chudą dziewczynę z końskimi zębami, którą zapamiętał ze starego zdjęcia. Profil był opatrzony nazwiskiem Susanna McNeil.

– Widzisz? – spytała zadowolona Tegan. – Jej tata przyjął ją do swojej nowej rodziny. Tak naprawdę miała na imię Susanna, tylko matka nazywała ją Suki. Moja mama przyjaźni się z ciocią Susanny. Mówi, że świetnie jej się powodzi.

– Jesteś całkowicie pewna, że to ona?

– Oczywiście – potwierdziła Tegan. – Wszyscy się cieszyliśmy, że jej się udało. To była fajna dziewczyna.

Znowu spojrzała na zegarek.

– Przykro mi, ale moja przerwa się skończyła, muszę już iść.

– Jeszcze jedno pytanie – poprosił Strike. – Czy twoi bracia dobrze znali rodzinę Knightów?

– Dosyć dobrze – odrzekła Tegan. – Chłopcy chodzili do różnych klas, ale się znali, dlatego że pracowali w posiadłości Chiswellów.

– Co porabiają teraz twoi bracia?

– Paul zarządza gospodarstwem niedaleko Aylesbury, a Dan jest w Londynie i zajmuje się architekturą krajobrazu. Po co to zapisujesz? – Po raz pierwszy zaniepokoiła się widokiem długopisu przesuwającego się po kartce w notesie. – Tylko nie wspominaj moim braciom, że z tobą rozmawiałam! Wściekną się, jeśli pomyślą, że opowiadałam o tym, co się działo w tamtym domu!

– Naprawdę? A co się tam działo? – zainteresował się Strike.

Tegan niepewnie przeniosła wzrok ze Strike'a na Robin i z powrotem na detektywa.

– Już wiecie, prawda?

Gdy żadne z nich nie odpowiedziało, dorzuciła:

– Słuchajcie, Dan i Paul tylko pomagali przy transporcie. Ładowali je i tak dalej. I wtedy to było legalne!

– Co było legalne? – spytał Strike.

– Przecież w i e m, że wiesz – odparła Tegan, trochę podenerwowana, a trochę rozbawiona. – Ktoś się wygadał, prawda? Jimmy Knight? Niedawno tu przyjechał i węszył, chciał rozmawiać z Danem. W każdym razie tutaj wszyscy o tym wiedzieli. To miała być tajemnica, ale wszyscy wiedzieliśmy o Jacku.

– Co wiedzieliście? – drążył Strike.

– No... że robił szubienice.

Strike przyjął tę informację bez mrugnięcia okiem. Robin nie była pewna, czy zdołała zachować równie obojętny wyraz twarzy.

– Ale już o tym wiedzieliście? – upewniła się Tegan. – Prawda?

– Jasne – uspokoił ją Strike. – Wiedzieliśmy.

– Tak myślałam. – Tegan z ulgą zsunęła się niezgrabnie ze stołka. – Ale jeśli zobaczycie się z Danem, nie wspominajcie mu, że wam o tym powiedziałam. On jest taki jak mama. „Milczenie jest złotem". Zaznaczam, że żadne z nas nie widziało w tym niczego złego. Jeśli chcecie znać moje zdanie, w tym kraju żyłoby się lepiej, gdyby wprowadzono karę śmierci.

– Dzięki za spotkanie, Tegan.

Zarumieniła się lekko, ściskając dłoń Strike'owi, a potem Robin.

– Nie ma sprawy – odrzekła, jakby chciała odwlec koniec rozmowy. – Zostaniecie na wyścigach? O wpół do trzeciej biegnie Brązowa Pantera.

– Możliwe – powiedział Strike. – Do następnego spotkania zostało nam jeszcze trochę czasu.

– Postawiłam dychę na Brązową Panterę – zwierzyła się Tegan. – No to... cześć.

Po kilku krokach zawróciła i podeszła do Strike'a z jeszcze ciemniejszym rumieńcem na twarzy.

– Mogę zrobić z tobą selfie?

– Eee... – Strike starał się unikać spojrzenia Robin. – Nie obraź się, ale wolałbym nie.

– A dałbyś mi autograf?

Uznając, że to mniejsze zło, Strike podpisał się na serwetce.

– Dzięki.

W końcu Tegan odeszła, ściskając w ręku serwetkę z autografem. Strike zaczekał, aż zniknie w barze, po czym odwrócił się do Robin, która już szukała informacji w telefonie.

– Sześć lat temu – oznajmiła, czytając tekst na ekranie – weszła w życie unijna dyrektywa zakazująca państwom członkowskim eksportowania urządzeń do tortur. Do tego czasu wywożenie za granicę wyprodukowanych w Wielkiej Brytanii szubienic było całkowicie legalne.

64

Mów tak, abym cię zrozumiał.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

– „Działałem w granicach prawa i zgodnie ze swoim sumieniem” – zacytował Strike sentencjonalne słowa Chiswella z klubu Pratt’s. – Mówił prawdę. Nigdy nie krył, że popiera wieszanie skazańców, prawda? Przypuszczam, że pozyskiwał drewno na własnym terenie. I zapewniał Jackowi o’Kentowi miejsce do budowania szubienic. Dlatego o’Kent przestrzegał Raffa przed wchodzeniem do stodoły, kiedy ten był jeszcze dzieckiem. Prawdopodobnie Jack o’Kent i Chiswell dzielili się zyskami.

– Zaczekaj – wtrąciła Robin, przypominając sobie, co krzyczała Flick, biegnąc za samochodem ministra w wieczór przyjęcia paraolimpijskiego. – „Robił na nich konia”... Cormoran, myślisz, że...

– Tak, właśnie tak myślę – potwierdził Strike, nadążając za jej tokiem myślenia. – Ostatnie słowa, jakie usłyszałem od Billy’ego w szpitalu, brzmiały: „Nienawidziłem robić na nich konia”. Nawet podczas epizodu psychotycznego Billy był w stanie pięknie wyciąć w drewnie Białego Konia z Uffington... Jack o’Kent kazał synom rzeźbić go na ozdóbkach dla turystów i na szubienicach przeznaczonych na eksport... Przyjemny rodzinny interesik, nie?

Strike stuknął kuflem w jej małą butelkę szampana i wypił resztkę doom bara.

– Za nasz pierwszy prawdziwy przełom w sprawie. Skoro Jack o’Kent umieszczał na szubienicach symbol lokalnej marki, można było zidentyfikować ich producenta, prawda? Nie tylko jego, ale

cały region Vale of the White Horse i Chiswella. Wszystko się zgadza, Robin. Pamiętasz plakat Jimmy'ego ze stosem martwych czarnych dzieci? Chiswell i Jack o'Kent opychali szubienice za granicą, prawdopodobnie na Bliskim Wschodzie albo w Afryce. Ale Chiswell nie mógł wiedzieć, że są na nich wyryte konie... Jezu, nie, z całą pewnością o tym nie wiedział – dodał Strike, przypominając sobie słowa wypowiedziane przez Chiswella w Pratt's – bo mówiąc mi o zdjęciach, podkreślił: „O ile mi wiadomo, nie było żadnych znaków szczególnych".

– Pamiętasz, jak Jimmy powiedział, że Chiswell ma u niego dług? – odezwała się Robin, podążając za własnym tokiem rozumowania. – I jak Raff wspomniał, że początkowo Kinvara uważała roszczenia Knighta za uzasadnione? Jak myślisz, czy w chwili śmierci Jacka o'Kenta mogły zostać jakieś szubienice gotowe do sprzedaży...

– ...i Chiswell je sprzedał, nie zadając sobie trudu, żeby odnaleźć synów Jacka i przekazać im ich dolę? Bardzo sprytnie. – Strike pokiwał głową. – Więc z punktu widzenia Jimmy'ego wszystko zaczęło się od żądania należnej mu części majątku ojca. Kiedy Chiswell oznajmił, że nie jest mu nic winien, Knight postanowił go zaszantażować.

– Jeśli się zastanowić, ten szantaż nie miał zbyt mocnych podstaw – zauważyła Robin. – Naprawdę myślisz, że Chiswell straciłby przez to wielu wyborców? Kiedy je sprzedawał, to było legalne, a poza tym publicznie opowiadał się za karą śmierci, więc nikt nie mógłby zarzucić mu hipokryzji. Pół kraju uważa, że powinniśmy wrócić do wieszania skazańców. Nie jestem pewna, czy ludzie, którzy głosują na Chiswella, wzięliby mu to za złe.

– Kolejna słuszna uwaga – zgodził się Strike. – Poza tym Chiswell pewnie zdołałby wyjść z tego z twarzą. Przetrwał gorsze afery: zapłodnienie kochanki, rozwód, nieślubne dziecko, wypadek

spowodowany przez Raphaela pod wpływem narkotyków i jego odsiadkę... Ale były jakieś „niezamierzone konsekwencje", pamiętasz? – Zamyślił się. – Co takiego jest na tych zdjęciach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, że Winn tak bardzo chciał je zdobyć? I kim jest ten Samuel, o którym niedawno wspomniał przez telefon?

Strike wyjął notes i swoim ścisłym, trudnym do odczytania charakterem pisma zanotował kilka zdań.

– Przynajmniej mamy potwierdzenie wersji Raffa – powiedziała Robin. – W sprawie naszyjnika.

Strike mruknął, nie przerywając pisania. Gdy skończył, stwierdził:

– Tak, w pewnym sensie to była przydatna rozmowa.

– Jak to „w pewnym sensie"?

– To, że pojechał do Oxfordshire, żeby uniemożliwić Kinvarze ucieczkę z cennym naszyjnikiem, brzmi wiarygodniej niż próba powstrzymania jej od popełnienia samobójstwa – wyjaśnił Strike – ale nadal mam wrażenie, że nie znamy całej prawdy.

– Dlaczego?

– To samo zastrzeżenie co poprzednio. Dlaczego Chiswell wysłał do Woolstone akurat Raphaela, skoro Kinvara go nienawidziła? Nie rozumiem, dlaczego Raphael miałby być bardziej przekonujący od Izzy.

– Uprzedziłeś się do niego czy co?

Strike uniósł brwi.

– Osobiście nie żywię do niego żadnych uczuć. A ty?

– Też nie – zapewniła trochę zbyt prędko. – Co to za teoria, o której wspomniałeś, zanim zjawiła się Tegan?

– A, tak. Może to nic ważnego, ale parę spraw, o których mówił ci Raphael, nie daje mi spokoju. Zacząłem się zastanawiać.

– Które sprawy masz na myśli?

Wyjaśnił jej.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

– Samo w sobie pewnie żadnego, ale spróbuj to połączyć z informacjami od Delli.

– Z czym konkretnie?

Lecz nawet gdy Strike jej przypomniał, co powiedziała mu Della, Robin dalej była zdezorientowana.

– Nie widzę związku.

Strike wstał, uśmiechając się.

– Zastanów się chwilę. Zadzwonię do Izzy i przekażę jej, że Tegan wygadała się w sprawie szubienic.

Odszedł od stolika, znikając w tłumie w poszukiwaniu spokojnego miejsca, z którego mógłby zadzwonić, i zostawił Robin, kołyszącą letnim już szampanem w miniaturowej butelce i zastanawiającą się nad tym, co przed chwilą powiedział. Jej utrudnione zmęczeniem próby powiązania ze sobą odrębnych informacji nie przyniosły jednak żadnych sensownych wniosków, więc po kilku minutach dała za wygraną i po prostu rozkoszowała się ciepłym wietrzykiem, który poruszał jej włosami.

Mimo zmęczenia, rozpadu małżeństwa i lęków związanych z zaplanowanym na wieczór kopaniem w leśnej dolince przyjemnie było tak siedzieć, wdychać zapach toru wyścigowego – łagodne powietrze przesycone wonią ziemi, skóry i koni – łowić nuty perfum kobiet odchodzących z baru w stronę trybun i dymny aromat burgerów z sarniny smażonych w pobliskiej furgonetce. Pierwszy raz od tygodnia Robin uświadomiła sobie, że naprawdę jest głodna.

Sięgnęła po korek od szampana i zaczęła obracać go w palcach, przypominając sobie inny, pamiątkę po imprezie z okazji swoich dwudziestych pierwszych urodzin, na którą Matthew przyjechał

z uczelni z grupką nowych przyjaciół, między innymi z Sarah. Wiedziała, że rodzice chcieli jej wyprawić huczne przyjęcie urodzinowe, żeby zrekompensować córce brak imprezy z okazji ukończenia szkoły, na którą wszyscy tak czekali.

Strike długo nie wracał. Być może gdy Izzy dowiedziała się, że przedmiot szantażu przestał być tajemnicą, opowiadała mu o wszystkich szczegółach lub po prostu – jak pomyślała Robin – zwyczajnie próbowała przedłużyć rozmowę.

„Ale Izzy nie jest w jego typie".

Ta myśl trochę ją zaskoczyła. Poczuła lekkie wyrzuty sumienia, że w ogóle ją do siebie dopuściła, i zrobiło jej się jeszcze bardziej niezręcznie, gdy pierwszą myśl wyparła następna.

„Wszystkie jego dziewczyny były piękne. Izzy nie jest".

Strike przyciągał wyjątkowo ładne kobiety, jeśli wziąć pod uwagę jego niedźwiedzią sylwetkę i fryzurę, którą sam przyrównywał w jej obecności do włosów łonowych.

„Założę się, że wyglądam okropnie" – brzmiała kolejna nielogiczna myśl. Już rano, wsiadając do land rovera, Robin miała opuchniętą i bladą twarz, a potem dużo płakała. Zaczęła się zastanawiać, czy nie zdążyłaby znaleźć jakiejś toalety i przynajmniej wyszczotkować włosów, lecz wtedy zauważyła Strike'a niosącego burgery z sarniną i trzymającego w ustach kupon zakładów.

– Izzy nie odbiera – wymamrotał przez zaciśnięte wargi. – Zostawiłem jej wiadomość. Weź burgera i chodźmy. Właśnie postawiłem dychę na to, że Brązowa Pantera przybiegnie w pierwszej trójce.

– Nie wiedziałam, że lubisz zakłady – zdziwiła się Robin.

– Nie lubię – odparł, wyjmując kupon z ust i chowając go do kieszeni – ale czuję, że mam dzisiaj szczęście. Chodź, obejrzymy wyścig.

Gdy Strike się odwrócił, Robin dyskretnie wsunęła korek od szampana do kieszeni.

– B r ą z o w a Pantera – powiedział Strike z ustami pełnymi burgera, gdy zbliżali się do toru. – Tylko że ona wcale nie jest brązowa, prawda? Ma czarną grzywę, więc jest raczej...

– ...gniada, tak – potwierdziła Robin. – To, że nie jest panterą, też cię denerwuje?

– Po prostu staram się w tym połapać. Ogier, którego znalazłem w internecie, Blanc de Blancs, był kasztanowy, a nie biały.

– Chciałeś powiedzieć: nie siwy.

– No kurwa mać – mruknął z rozbawieniem połączonym z lekką irytacją.

65

Ilu jest takich, którzy tak robią? Którzy mają tę odwagę?

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Brązowa Pantera przybiegła druga. Wydawali wygraną Strike'a w namiotach z jedzeniem i kawą, zabijając kolejne godziny dnia, aż w końcu przyszła pora wyruszyć do Woolstone i leśnej dolinki. Choć na każdą myśl o narzędziach na pace land rovera i o ciemnej dolince pełnej pokrzyw Robin czuła trzepoczącą w piersi panikę, Strike – być może celowo, być może nie – odwracał jej uwagę, uparcie odmawiając wyjaśnienia, w jaki sposób wiążą się ze sobą zeznania Delli Winn i Raphaela Chiswella oraz jakie wyciągnął z tego wnioski.

– Pomyśl – powtarzał. – Po prostu pomyśl.

Robin była jednak wyczerpana, więc przy kolejnych kawach i kanapkach ograniczała się do namawiania Strike'a, żeby sam jej to wyjaśnił, i delektowała się tym niezwykłym przerywnikiem w ich życiu zawodowym, ponieważ nigdy dotąd nie mieli okazji spędzić ze sobą aż tyle czasu – chyba że w chwilach kryzysu.

Im bardziej jednak słońce zbliżało się ku horyzontowi, tym uporczywiej myśli Robin umykały w stronę leśnej dolinki i za każdym razem, gdy tak się działo, jej żołądek robił małego fikołka w tył. Zauważając jej rosnące zdenerwowanie, Strike po raz drugi oznajmił, że będzie mogła zaczekać w land roverze, a on i Barclay sami zajmą się kopaniem.

– Nie – odparła kwaśno. – Nie przyjechałam tu po to, żeby siedzieć w samochodzie.

Dotarcie do Woolstone zajęło im czterdzieści pięć minut. Gdy po raz drugi wjeżdżali do Vale of the White Horse, niebo po zachodniej stronie gwałtownie traciło kolory, a nim dotarli do celu, na nieboskłonie o barwie kurzu rozbłysło kilka słabo widocznych gwiazd. Robin skręciła w zarośnięty szlak prowadzący do Steda Cottage. Samochód kołysał się i podskakiwał na głębokich bruzdach, splątanych ciernistych krzewach i gałęziach, wjeżdżając coraz głębiej w ciemność pod gęsty baldachim z drzew.

– Dojedź najdalej, jak się da – poinstruował ją Strike, sprawdzając na komórce, która jest godzina. – Barclay musi zaparkować za nami. Powinien już tu być, mówiłem, żeby przyjechał o dziewiątej.

Robin zaparkowała i wyłączyła silnik, wpatrując się w gęsty las między szlakiem a domem Chiswellów. Może i nikt ich nie widział, lecz mimo to wciąż przebywali na cudzym terenie. Jej obawa, że zostaną przyłapani, była jednak niczym w porównaniu z bardzo realnym strachem przed tym, co leżało pod gęstwiną pokrzyw na dnie ciemnego zagłębienia obok Steda Cottage, więc wróciła

do tematu, który wykorzystywała przez całe popołudnie, żeby skupić uwagę na czymś innym.

– Mówiłem: p o m y ś l – powtórzył Strike po raz nie wiadomo który. – Pomyśl o pigułkach Lachesis. Przecież to ty od początku uważałaś, że mają znaczenie. Pomyśl o tych wszystkich dziwnych rzeczach, które robił Chiswell: szydził z Aamira przy ludziach, mówiąc, że Lachesis „wiedziała, kiedy jego czas się skończy", oznajmił ci, że „wszyscy po kolei zaczynają popełniać błędy", szukał klipsa Freddiego, który znalazł się w jego kieszeni.

– Myślałam o tym wszystkim, ale nadal nie rozumiem, jak...

– Hel i rurę wniesiono do domu w pudle po szampanie. Ktoś wiedział, że Chiswell nie będzie chciał go wypić, bo ma na niego uczulenie. Zadaj sobie pytanie, skąd Flick wiedziała, że Jimmy może zażądać od Chiswella pieniędzy. Pomyśl o kłótni Flick z jej współlokatorką Laurą...

– Co to może mieć wspólnego ze sprawą?

– Pomyśl! – powiedział znowu, doprowadzając ją do szału. – W pustym kartonie po soku w koszu Chiswella nie znaleziono śladów amitryptyliny. Przypomnij sobie, jaką obsesję miała Kinvara na punkcie miejsca pobytu męża. Zgadnij, co usłyszę od małej Franceski z galerii Drummonda, jeśli kiedykolwiek uda mi się do niej dodzwonić. Pomyśl o tamtym telefonie do biura Chiswella. Dzwoniący powiedział: „Kiedy umierają, podobno szczają w gacie". Jasne, samo w sobie nie jest to nic rozstrzygającego, ale jeśli się nad tym zastanowić, okazuje się cholernie sugestywne...

– Droczysz się ze mną – stwierdziła z niedowierzaniem. – Twój pomysł łączy w sobie te wszystkie elementy? I ma sens?

– Tak – odrzekł zadowolony z siebie Strike – a poza tym wyjaśnia, skąd Winn i Aamir wiedzieli, że w Ministerstwie Spraw Zagranicznych są zdjęcia przedstawiające szubienice Jacka o'Kenta

w użyciu, mimo że Aamir nie pracował tam od miesięcy, a noga Winna, z tego, co wiemy, nigdy nie postała w...

Zadźwięczała komórka Strike'a. Spojrzał na ekran.

– Oddzwania Izzy. Odbiorę na zewnątrz. Chcę zapalić.

Wysiadł z samochodu. Robin usłyszała, jak Strike mówi „cześć", potem zatrzasnął drzwi. Siedziała w środku, czekając, aż Cormoran wróci, a w jej umyśle wrzało. Albo Strike naprawdę doznał olśnienia, albo się z niej nabijał. Skłaniała się raczej ku tej drugiej ewentualności, gdyż wymienione przez niego informacje wydawały jej się zupełnie niepowiązane.

Pięć minut później Strike wrócił na miejsce pasażera.

– Nasza klientka jest niepocieszona – oznajmił, zamykając drzwi. – Tegan miała nam powiedzieć, że tamtej nocy Kinvara wyślizgnęła się z domu, żeby zabić męża, a nie potwierdzić jej alibi i wypaplać, że Chiswell opychał szubienice.

– Przyznała, że tak było?

– Nie miała innego wyjścia, prawda? Ale nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Podkreślała, że w tamtym okresie eksport szubienic był zgodny z prawem. Napomknąłem, że jej ojciec prawdopodobnie nie wypłacił Jimmy'emu i Billy'emu pieniędzy, i okazało się, że miałaś rację. Gdy Jack o'Kent umarł, zostawił dwie gotowe na sprzedaż szubienice, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby poinformować o tym jego synów. Izzy przyznała to z wielkimi oporami.

– Myślisz, że się martwi, że wysuną jakieś roszczenia wobec majątku Chiswella?

– Wątpię, żeby przyjęcie pieniędzy związanych z wieszaniem ludzi w krajach Trzeciego Świata dobrze wpłynęło na reputację Jimmy'ego w kręgach, w których się obraca – odrzekł Strike – ale nigdy nic nie wiadomo.

Drogą za nimi przemknął jakiś samochód i Strike z nadzieją wyciągnął szyję.

– Myślałem, że to Barclay... – Spojrzał na zegarek. – Może przegapił zakręt.

– Cormoran – humor Izzy i miejsce pobytu Barclaya interesowały Robin o wiele mniej niż koncepcja, którą Strike nie chciał się z nią podzielić – n a p r a w d ę masz teorię, która wyjaśnia wszystko, co mi przed chwilą powiedziałeś?

– No – podrapał się po brodzie – naprawdę. Problem w tym, że zbliża nas to do odpowiedzi na pytanie, k t o zabił, ale nadal za cholerę nie rozumiem d l a c z e g o. Chyba że ze ślepej nienawiści. Tylko że to nie wygląda na krwawą zbrodnię w afekcie, prawda? To nie był cios młotkiem w głowę. To była dobrze zaplanowana egzekucja.

– A co z zasadą „najpierw okazja, potem motyw"?

– Skupiam się na okazji. Właśnie dzięki temu wpadłem na ten pomysł.

– Nie powiesz mi nawet, czy to on, czy ona?

– Żaden dobry mentor nie pozbawiłby cię satysfakcji związanej z samodzielnym rozwiązaniem tej zagadki. Zostały jakieś herbatniki?

– Nie.

– Na szczęście mam jeszcze to. – Strike wyjął z kieszeni twix, otworzył opakowanie i podał jej jeden batonik, który przyjęła z naburmuszoną miną, co bardzo go rozbawiło.

Żadne z nich się nie odzywało, dopóki nie skończyli jeść. Wtedy Strike oznajmił, już bez uśmiechu:

– Czeka nas ważny wieczór. Jeśli na dnie leśnej dolinki nie leży nic zawiniętego w różowy koc, cała sprawa Billy'ego zostanie zamknięta: uduszenie okaże się tylko wytworem jego wyobraźni, przywrócimy mu spokój ducha, a ja będę mógł dowieść słuszności

swojej teorii na temat śmierci Chiswella, nie zaprzątając sobie głowy innymi rzeczami i nie zastanawiając się nad tym, jaką rolę odgrywa w tej historii martwa dziewczynka i kto ją zabił.

– Albo jego – zastrzegła. – Mówiłeś, że Billy nie był tego pewny.

Gdy to powiedziała, niesforna wyobraźnia ukazała jej mały szkielet zawinięty w gnijące resztki koca. Czy na podstawie szczątków uda się im stwierdzić, do kogo należały zwłoki: do chłopca czy do dziewczynki? Czy znajdą tam jakąś wsuwkę, sznurówkę, guziki, pasemko długich włosów?

„Niech tam niczego nie będzie" – pomyślała. „Boże, niech tam niczego nie będzie".

Ale na głos spytała:

– A jeśli w tej dolince n a p r a w d ę coś... kogoś... zakopano?

– Wtedy moja teoria okaże się błędna, bo nie wiem, jak dziecko uduszone w Oxfordshire miałoby pasować do wszystkiego, o czym wcześniej wspomniałem.

– Niekoniecznie – odparła rozsądnie Robin. – Możliwe, że masz rację w sprawie tego, kto zabił Chiswella, a dziecko to zupełnie odrębna...

– Nie. – Strike pokręcił głową. – To byłby zbyt wielki zbieg okoliczności. Jeśli coś zakopano w dolince, łączy się to ze wszystkimi pozostałymi wątkami. Jeden z braci jest w dzieciństwie świadkiem zabójstwa, drugi dwadzieścia lat później szantażuje mężczyznę, który zostaje później zamordowany, a na terenie posiadłości ofiary leży pogrzebane dziecko... Jeśli w dolince naprawdę zakopano dziecko, na pewno pasuje do tej układanki. Ale założę się, że niczego tam nie ma. Gdybym naprawdę myślał, że w dolince są czyjeś zwłoki, próbowałbym przekonać policję, żeby sama odwaliła brudną robotę. Dzisiejszy wieczór poświęcimy Billy'emu. Obiecałem mu to.

Siedzieli, patrząc, jak szlak powoli znika w ciemności. Strike raz po raz spoglądał na komórkę.

– Gdzie jest ten przeklęty Barclay? No, nareszcie!

Na drodze za nimi rozbłysły reflektory samochodu. Barclay podjechał kawałek starym golfem, zatrzymał się i wyłączył światła. Robin widziała w bocznym lusterku, jak wysiada z auta, po czym zarys jego sylwetki zmienił się w Barclaya z krwi i kości, który podszedł do szyby po stronie Strike'a, niosąc taką samą torbę, jaką wziął ze sobą detektyw.

– Cześć – przywitał się lakonicznie. – Przyjemna noc na plądrowanie grobów.

– Spóźniłeś się – zauważył Strike.

– Tak, wiem. Przed chwilą zadzwoniła do mnie Flick. Pomyślałem, że będziesz chciał się dowiedzieć, co miała do przekazania.

– Siadaj z tyłu – zaproponował Strike. – Mamy jeszcze chwilę. Zaczekamy dziesięć minut, aż zrobi się całkiem ciemno, a tymczasem będziesz mógł nam o tym opowiedzieć.

Barclay wgramolił się do land rovera i zamknął drzwi. Strike i Robin odwrócili się do tyłu, żeby móc z nim porozmawiać.

– No więc zadzwoniła i zaczęła skowyczeć...

– Mów po ludzku.

– Znaczy się płakała, a do tego była nieźle spietrana. Odwiedziła ją dzisiaj policja.

– Najwyższa pora, do diabła – burknął Strike. – No i?

– Przeszukali łazienkę i znaleźli zapiski Chiswella. Przesłuchali ją.

– Jak wyjaśniła, skąd je ma?

– Nie zwierzyła mi się. Chciała się tylko dowiedzieć, gdzie jest Jimmy. Jest kompletnie rozpieprzona. Ciągle powtarzała: „Po prostu powiedz Jimmy'emu, że ją mają, będzie wiedział, o co chodzi".

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia. Widziałem go wczoraj. Nie wspominał, jakie ma plany, ale powiedział, że wkurzył Flick, pytając, czy ma numer do Bobbi Cunliffe. Polubił cię, Bobbi – dodał Barclay, uśmiechając się do Robin. – Flick odpowiedziała, że nie ma jej numeru, i chciała się dowiedzieć, o co chodzi. Jimmy odparł, że po prostu zamierza zaprosić Bobbi na zebranie Prawdziwych Socjalistów, ale, wiecie, Flick nie jest aż taką pieprzoną kretynką.

– Myślisz, że zdaje sobie sprawę, że to ja dałam cynk policji? – spytała Robin.

– Jeszcze nie – odrzekł Barclay. – Na razie panikuje.

– W porządku. – Strike spojrzał na skrawek nieba widoczny między koronami drzew. – Chyba powinniśmy zacząć. Barclay, weź tę torbę, która leży obok ciebie, mam w niej narzędzia i rękawice.

– Jak zamierzasz kopać z taką nogą? – zapytał sceptycznie Barclay.

– Sam nie dasz rady – odparł Strike. – Kopałbyś do jutra w nocy.

– Pomogę wam – oznajmiła Robin zdecydowanym tonem. Nabrała odwagi, gdy Strike ją zapewnił, że znalezienie czegokolwiek w dolince jest bardzo mało prawdopodobne. – Sam, podaj mi kalosze.

Strike już wyjmował z torby latarkę i laskę.

– Ja to poniosę – zaproponował Barclay. Gdy zarzucał na ramię torbę Strike'a, rozległ się odgłos przesuwania ciężkich metalowych narzędzi.

Ruszyli we troje drogą. Robin i Barclay dostosowali tempo do Strike'a, który posuwał się ostrożnie, kierując światło latarki na ziemię i regularnie korzystając z laski, by podpierać się na niej i usuwać nią napotykane przeszkody. Miękka ziemia tłumiła ich kroki, lecz nocna cisza wzmacniała pobrzękiwanie i stukot narzędzi niesionych przez Barclaya, szelest maleńkich, niewidocznych stworzeń uciekających przed olbrzymami, które wtargnęły do ich

dzikiej krainy, oraz szczekanie psa dobiegające od strony domu Chiswellów. Robin przypomniała sobie Norfolk terriera. Miała nadzieję, że jest zamknięty.

Gdy dotarli do polanki, zobaczyła, że noc przemieniła opuszczony domek w chatkę czarownicy. Łatwo było sobie wyobrazić postacie przyczajone za popękanymi szybami w oknach. Pomyślała jednak, że taka sytuacja może przyprawiać o gęsią skórkę nawet bez wymyślania sobie dodatkowych strasznych rzeczy, i odwróciła wzrok. Barclay z cichym stęknięciem rzucił obie torby na ziemię na skraju dolinki i je otworzył. W świetle latarki ukazała się cała gama narzędzi: kilof, motyka, dwa łomy, widły, mała siekiera, dwie łopaty i szpadel. Było też kilka par grubych rękawic ogrodowych.

– Taa, to powinno wystarczyć – ocenił Barclay, spoglądając na ciemne zagłębienie. – Zanim zaczniemy kopać, będziemy musieli oczyścić teren z chwastów.

– Racja. – Robin sięgnęła po rękawice.

– Jesteś tego pewny, wielkoludzie? – spytał Barclay Strike'a, który poszedł za przykładem Robin.

– Na litość boską, mogę chyba powyrywać pokrzywę – zdenerwował się Strike.

– Robin, weź siekierę – polecił Barclay, chwytając motykę i łom. – Trzeba wyciąć część tych krzaków.

Wszyscy troje ześlizgnęli się po stromym brzegu dolinki i wzięli się do pracy. Przez prawie godzinę wycinali twarde gałęzie i wyrywali pokrzywę, raz po raz zamieniając się narzędziami albo wracając na górę po inne.

Mimo coraz większego chłodu Robin wkrótce zaczęła się pocić. Pracując, zdejmowała z siebie kolejne warstwy ubrań. Strike poświęcał sporo energii na udawanie, że ciągłe skłony i obroty na śliskim, nierównym podłożu nie szkodzą jego kikutowi.

W ciemności nikt nie widział grymasu na jego twarzy, a gdy Barclay albo Robin włączali latarkę, żeby sprawdzić postępy pracy, starał się nie krzywić z bólu.

Dzięki wysiłkowi fizycznemu Robin łatwiej było zapomnieć o strachu związanym z tym, co mogło się kryć pod ich stopami. Chyba właśnie tak funkcjonuje się w wojsku, pomyślała. Ciężka praca fizyczna i towarzystwo kolegów pomagają skupić się na czymś innym niż przerażająca perspektywa tego, co może cię spotkać. Dwaj byli żołnierze pochylili się, wykonując zadanie metodycznie i bez narzekania – jeśli pominąć sporadyczne przeklinanie upartych korzeni oraz gałęzi zahaczających o ubranie i skórę.

– Pora zacząć kopać – oznajmił wreszcie Barclay, gdy oczyścili dno zagłębienia najlepiej, jak to było możliwe w tych okolicznościach. – Musisz stąd wyjść, Strike.

– Ja zacznę, Robin będzie mogła przejąć pałeczkę – zadecydował Cormoran. – Odpocznij sobie – polecił jej. – Przyświecaj nam latarką i podaj mi widły.

Dorastanie z trzema braćmi wiele Robin nauczyło na temat męskiego ego i wszczynania kłótni. Wprawdzie była przekonana, że polecenie Strike'a zostało podyktowane raczej dumą niż rozsądkiem, lecz podporządkowała mu się i wygramoliła po stromej ścianie dolinki, by usiąść na górze i świecić mężczyznom latarką, podając od czasu do czasu inne narzędzia, by mogli usuwać kamienie i uporać się ze szczególnie twardymi miejscami.

Praca szła powoli. Barclay kopał trzy razy szybciej niż Strike, który, jak zauważyła Robin, od razu napotkał kłopoty, zwłaszcza podczas dociskania szpadla stopą, gdyż trudno było wymagać od jego protezy, by podtrzymywała cały ciężar ciała na nierównym gruncie, a napierając na oporny metal, wywoływała potworny ból.

Minuta po minucie Robin odwlekała interwencję, aż w końcu Strike'owi wyrwało się stłumione przekleństwo i pochylił się z grymasem bólu na twarzy.

– Zmienić cię? – zaproponowała.

– Chyba będziesz musiała – mruknął niezbyt uprzejmie.

Wydostał się z dolinki, starając się nie obciążać niepotrzebnie nogi, wziął latarkę od schodzącej na dół Robin, a potem przyświecał im obojgu podczas pracy, czując okropny ból w kikucie i podejrzewając, że mocno obtarł jego końcówkę.

Barclay wykopał krótki kanał o głębokości pół metra, a potem postanowił odpocząć i wyszedł z zagłębienia, żeby wyjąć z torby butelkę wody. Kiedy pił, Robin zrobiła sobie przerwę, opierając się na trzonku szpadla. Znów dobiegło ich szczekanie. Barclay zmrużył oczy i spojrzał w stronę niewidocznego domu Chiswellów.

– Jakie tam mają psy? – spytał.

– Starego labradora i cholernie wrzaskliwego teriera – odrzekł Strike.

– Lepiej, żeby ich nie wypuściła. – Barclay wytarł usta przedramieniem. – Terier zaraz by się przedarł przez te krzaki. Te psy mają zajebiście dobry słuch.

– W takim razie miejmy nadzieję, że ich nie wypuści – stwierdził Strike. Po chwili dodał, zwracając się do Robin: – Pięć minut przerwy. – I wyłączył latarkę.

Robin też wyszła z dolinki i przyjęła od Barclaya nienapoczętą butelkę wody. Gdy przestała kopać, chłód sprawił, że po jej odsłoniętej skórze przebiegł dreszcz. W ciemności szmer i tupot małych stworzonek w trawie i wśród drzew wydawały się niezwykle głośne. Nadal szczekał pies i Robin odniosła wrażenie, że w oddali rozległ się krzyk kobiety.

– Słyszeliście?

– No. Chyba kazała mu się zamknąć – powiedział Barclay.

Czekali. W końcu terier przestał szczekać.

– Dajmy mu jeszcze kilka minut – zdecydował Strike. – Niech pójdzie spać.

W ciemności każdy liść zdawał się szeleścić głośniej. W końcu Robin i Barclay zeszli z powrotem na dół i znowu zaczęli kopać.

Mięśnie Robin błagały o litość, mimo rękawic jej dłonie zaczęły się pokrywać pęcherzami. Im głębiej kopali, tym oporniej im szło, ziemia była coraz bardziej zbita i pełna kamieni. Dół Barclaya miał znacznie większą głębokość niż dół Robin.

– Zastąpię cię przez chwilę – zaproponował Strike.

– Nie – warknęła, zbyt zmęczona, by zabrzmiało to mniej kategorycznie. – Zupełnie spieprzysz sobie nogę.

– Ona ma rację, stary – wydyszał Barclay. – Daj nam jeszcze wody, zasapałem się.

Godzinę później Barclay stał po pas w ziemi, a dłonie Robin krwawiły w zbyt dużych rękawicach, które zdzierały z nich warstwy skóry, gdy tępym końcem motyki próbowała wydobyć z ziemi ciężki kamień.

– Wyłaź... ty... cholero...

– Pomóc ci? – zaproponował Strike, szykując się do zejścia na dół.

– Nie ruszaj się stamtąd – burknęła ze złością. – Po takiej robocie nie będę w stanie taszczyć cię do samochodu.

Gdy wreszcie zdołała przewrócić niewielki głaz, z jej ust wyrwał się mimowolny okrzyk. Dwa maleńkie wijące się owady przyczepione do kamienia od spodu umknęły przed światłem latarki. Strike znów poświecił w stronę Barclaya.

– Cormoran – odezwała się nagle Robin.

– Co?

– Potrzebuję światła.

Coś w jej głosie sprawiło, że Barclay przestał kopać. Zamiast skierować latarkę z powrotem w jej stronę, Strike, ignorując niedawne ostrzeżenie, zsunął się na dno dolinki i wylądował na spulchnionej ziemi. Światło gwałtownie się przesunęło, oślepiając na chwilę Robin.

– Co tam zobaczyłaś?

– Poświeć tu – poprosiła. – Na ten kamień.

Barclay powlókł się w ich stronę. Dżinsy miał ubrudzone ziemią aż po kieszenie.

Strike zrobił to, o co prosiła. Wszyscy troje spojrzeli na kamienną powierzchnię pokrytą jakąś warstwą. Odznaczał się na niej kawałek czegoś, co z całą pewnością nie było materią roślinną, lecz wełnianą tkaniną o przybrudzonym, choć wyraźnie różowym kolorze.

Odwrócili się jednocześnie, by spojrzeć na zagłębienie w miejscu, w którym leżał kamień, i Strike skierował światło latarki w stronę dziury.

– O cholera – wykrztusiła Robin i bez zastanowienia przycisnęła do twarzy obie dłonie w ubłoconych rękawicach ogrodowych. W dziurze było widać skrawek brudnego materiału, w mocnym świetle latarki on także okazał się różowy.

– Daj mi to. – Strike wyjął jej z ręki motykę.

– Nie!

On jednak lekko odepchnął Robin. W skierowanym w bok snopie światła zobaczyła jego minę – złowrogą i wściekłą, jakby różowy koc wyrządził mu wielką krzywdę, jakby Strike odebrał go jako osobistą zniewagę.

– Łap, Barclay. – Rzucił motykę podwładnemu. – Oczyść to najlepiej, jak się da. Postaraj się nie przebić koca. Robin, przejdź na drugi koniec. Użyj wideł. Tylko uważaj na moje ręce – powiedział do Barclaya. Wsadził latarkę w usta, by móc sobie

przyświecać, po czym opadł na kolana i zaczął odgarniać ziemię palcami.

– Posłuchajcie – szepnęła Robin, nieruchomiejąc.

W nocnym powietrzu znów rozległo się wściekłe ujadanie teriera.

– Chyba krzyknęłam, przewracając ten kamień – dodała szeptem Robin. – Pewnie go obudziłam.

– Teraz to bez znaczenia – odparł Strike, nie przerywając pracy. – Kop.

– A jeśli...

– Tym będziemy się martwić później. K o p.

Robin wbiła widły. Dwie minuty później Barclay zamienił motykę na szpadel. Powoli odsłaniali różowy koc skrywający coś, co wciąż znajdowało się zbyt głęboko, by zdołali to wydobyć.

– Nie wygląda na dorosłą osobę – orzekł Barclay, przyglądając się powierzchni brudnego koca.

Z oddali od strony domu Chiswellów nadal dobiegało szczekanie teriera.

– Strike, powinniśmy zadzwonić na policję. – Barclay przerwał kopanie, by wytrzeć pot i ziemię z oczu. – Nie niszczymy przypadkiem miejsca zbrodni?

Strike nie odpowiedział. Czując lekkie mdłości, Robin patrzyła, jak jego palce badają kształt ukryty pod materiałem.

– Idź do mojej torby – polecił jej. – Znajdziesz tam nóż do wykładzin. Szybko.

Terier wciąż wściekle ujadał. Robin miała wrażenie, że jego szczekanie rozbrzmiewa coraz głośniej. Wspięła się po stromej ścianie dolinki, pomacała w głębi ciemnej torby, znalazła nóż i zsunęła się z powrotem do Strike'a.

– Cormoran, Sam chyba ma rację – szepnęła. – Powinniśmy zostawić to poli...

– Daj mi ten nóż – rozkazał, wyciągając rękę. – No, szybko, czuję ją. Tu jest czaszka. S z y b k o!

Wbrew głosowi rozsądku podała mu nóż. Rozległ się odgłos przebijania i rozdzierania tkaniny.

– Co ty robisz? – wykrztusiła, patrząc, jak Strike próbuje wydobyć coś z ziemi.

– Strike, kurwa mać – rozzłościł się Barclay. – Chcesz mu urwać...

Przy akompaniamencie okropnego trzasku ziemia oddała wreszcie coś dużego i białego. Robin cicho krzyknęła, zrobiła krok do tyłu i straciwszy równowagę, wylądowała siedzeniem na zboczu dolinki.

– Kurwa mać – powtórzył Barclay.

Strike przełożył latarkę do wolnej ręki, żeby poświecić na coś, co właśnie wydostał z ziemi. Robin i Barclay osłupieli na widok odbarwionej i częściowo połamanej czaszki konia.

66

Trzeba żyć i działać, a nie siedzieć tutaj i medytować nad zagadkami, których nie można rozwiązać.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

W świetle latarki lśniła naga czaszka osłonięta przez lata kocem, dziwnie kojarząca się z gadem z powodu wydłużonego nosa i spiczastej żuchwy. Pozostało w niej kilka tępych zębów. Oprócz oczodołów w czaszce znajdowały się inne otwory: jeden w żuchwie i jeden z boku łba, a otaczająca je kość była popękana i nadkruszona.

– Ślady po kuli – stwierdził Strike, powoli obracając czaszkę w dłoniach. Trzeci otwór ukazywał tor kolejnego pocisku, który

trafił w łeb konia, lecz nie przeszedł na wylot.

Robin wiedziała, że czułaby się znacznie gorzej, gdyby czaszka należała do człowieka, lecz mimo to wstrząsnęły nią odgłosy towarzyszące wyciąganiu kości z ziemi oraz niespodziewany widok kruchej skorupy pozostałej po czymś, co kiedyś żyło i oddychało, ogołoconej przez bakterie i robaki.

– Weterynarze uśmiercają konie jednym strzałem w czoło – powiedziała. – Nie faszerują ich kulami.

– Strzelba – ocenił ze znawstwem Barclay, podchodząc bliżej, by przyjrzeć się czaszce. – Ktoś strzelał do niego jak do kaczek.

– Zwierzę nie było zbyt duże, prawda? Myślisz, że to źrebię? – spytał Strike Robin.

– Możliwe, ale bardziej przypomina kucyka albo miniaturowego konia.

Powoli obrócił czaszkę w dłoniach i wszyscy troje patrzyli, jak porusza się ona w świetle latarki. Wydobycie jej z ziemi kosztowało ich tyle bólu i wysiłku, jakby skrywała tajemnice wykraczające poza samo jej istnienie.

– Więc jednak Billy widział pochówek – odezwał się Strike.

– Tyle że nie dziecka. Nie będziesz musiał rewidować swojej teorii – powiedziała Robin.

– Teorii? – powtórzył Barclay, lecz został zignorowany.

– Bo ja wiem, Robin. – Twarz Strike'a obok snopa światła latarki wyglądała upiornie. – Skoro nie zmyślił pochówku, to raczej nie zmyślił też...

– Cholera – przerwał mu Barclay. – Jednak wypuściła te pieprzone psy.

Ujadanie teriera i niższe, donośne szczekanie labradora, których nie tłumiły już ściany domu, zabrzmiały w nocnym powietrzu. Strike bez ceregieli rzucił czaszkę na ziemię.

– Barclay, bierz narzędzia i zmywaj się stąd. My zatrzymamy psy.

– A co z...

– Zostaw, nie ma czasu tego zasypywać – zarządził Strike, gramoląc się już z dolinki i nie zważając na potworny ból w kikucie. – Robin, chodź, pójdziesz ze mną...

– A jeśli zadzwoniła na policję? – spytała Robin, docierając pierwsza na górę i odwracając się, żeby mu pomóc.

– Będziemy improwizować – wysapał. – Na początek zatrzymajmy psy, zanim dopadną Sama.

Las był gęsty i zarośnięty krzakami. Strike porzucił laskę z gałęzi. Robin trzymała go pod rękę, gdy kuśtykał najszybciej, jak potrafił, stękając z bólu, ilekroć kikut musiał podtrzymać ciężar jego ciała. Wśród drzew Robin dojrzała maleńki świetlisty punkcik. Ktoś wyszedł z domu z latarką.

Nagle z zarośli wyskoczył ujadający Norfolk terrier.

– Dobry piesek, tak, znalazłeś nas! – wydyszała Robin.

Ignorując przyjazne powitanie, pies rzucił się na nią z zębami. Odepchnęła go stopą w kaloszu, a potem trzymała teriera na dystans, wsłuchując się w trzask gałęzi zapowiadający cięższego labradora.

– Ty mały skurwysynie – rzucił Strike, próbując odgonić Norfolk terriera, który warcząc, krążył wokół nich.

Po kilku sekundach pies wyczuł Barclaya: odwrócił łeb w stronę leśnej dolinki i zanim zdołali go powstrzymać, popędził tam z szaleńczym ujadaniem.

– Cholera – zdenerwowała się Robin.

– Nieważne, idźmy dalej – odrzekł Strike, mimo że koniec jego kikuta płonął żywym ogniem i Cormoran zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie w stanie chodzić.

Nim zdołali zrobić kilka kroków, dogonił ich gruby labrador.

– Dobry piesek, tak, dobry piesek – przemówiła do niego Robin łagodnym głosem i pies, mniej zaangażowany w pogoń niż terier, pozwolił jej złapać się za obrożę. – Chodź, chodź z nami. – Nadal podtrzymując Strike'a, Robin pociągnęła labradora w stronę zarośniętego boiska do krokieta, na którym podskakiwało światło latarki zbliżające się do nich w ciemności.

– Badger! – zabrzmiał piskliwy głos. – Rattenbury! Kto tam? Kto tam jest?

Sylwetka rysująca się za światłem latarki miała wyraźne kobiece krągłości.

– Wszystko w porządku, pani Chiswell! – zawołała Robin. – To tylko my!

– Jacy „my"? Coście za jedni?

– Zostaw to mnie – mruknął Strike do Robin, po czym zawołał: – Pani Chiswell, tu Cormoran Strike i Robin Ellacott!

– Co tu robicie?! – krzyknęła w odpowiedzi, nadal idąc w ich stronę.

– Rozmawialiśmy w wiosce z Tegan Butcher! – zawołał Strike, gdy razem z Robin i opierającym się Badgerem z trudem brnęli po wysokiej trawie. – Wracaliśmy tędy i zobaczyliśmy dwie osoby wchodzące na pani teren.

– Jakie dwie osoby? Gdzie?

– Weszły do lasu po tamtej stronie – ciągnął Strike. Spośród drzew w oddali nadal dobiegało wściekłe szczekanie Norfolk terriera. – Gdybyśmy mieli pani numer, zadzwonilibyśmy, żeby panią ostrzec.

Kiedy dzieliło ich od niej już tylko kilka kroków, zobaczyli, że Kinvara ma na sobie gruby watowany płaszcz narzucony na krótką koszulkę nocną z czarnego jedwabiu, a jej nogi

w kaloszach są gołe. Jej podejrzliwość, szok i niedowierzanie spotkały się z całkowitym spokojem Strike'a.

– Pomyślałem, że powinniśmy coś zrobić, bo pewnie nikt oprócz nas ich nie widział – wysapał niczym skromny bohater, krzywiąc się trochę i kuśtykając w jej stronę z pomocą Robin. – Przepraszam za nasz wygląd – dodał, zatrzymując się. – To bardzo błotnisty las, dwa razy się przewróciłem.

Ciemną trawą poruszał zimny wietrzyk. Skołowana Kinvara wpatrywała się nieufnie w Strike'a, po czym odwróciła się w stronę, z której nieprzerwanie dobiegało szczekanie teriera.

– Rattenbury! – zawołała. – RATTENBURY!

Spojrzała z powrotem na detektywa.

– Jak oni wyglądali?

– To byli mężczyźni – zmyślił Strike. – Sądząc po tym, jak się poruszali, młodzi i sprawni. Wiedzieliśmy, że miała już pani kłopot z intruzami...

– Tak. Tak, miałam. – Kinvara wydawała się przestraszona. Chyba dopiero teraz zauważyła, w jakim stanie jest Strike, który z twarzą wykrzywioną bólem opierał się ciężko na Robin.

– Chyba będzie lepiej, jeśli wejdą państwo do domu.

– Dziękujemy – odrzekł z wdzięcznością Cormoran. – To bardzo miło z pani strony.

Kinvara wyrwała obrożę labradora z dłoni Robin i jeszcze raz wrzasnęła „RATTENBURY!", lecz szczekający w oddali terier nie zareagował. Pociągnęła przejawiającego oznaki buntu labradora z powrotem w stronę domu. Robin i Strike poszli za nią.

– A jeśli wezwie policję? – mruknęła Robin do Strike'a.

– Tym będziemy się martwić później.

Drzwi tarasowe prowadzące do salonu stały otworem. Najwyraźniej Kinvara wyszła przez nie za rozszczekanymi psami,

bo była to najkrótsza droga do lasu.

– Jesteśmy cali w błocie – ostrzegła Robin, gdy szli po żwirowej ścieżce biegnącej wokół domu.

– Proszę po prostu zostawić buty przed domem – powiedziała Kinvara, wchodząc do salonu i nie zawracając sobie głowy zdejmowaniem własnych. – I tak zamierzam zmienić dywan.

Robin zdjęła kalosze, weszła za Strikiem do środka i zamknęła drzwi.

W zimnym, obskurnym pomieszczeniu świeciła się tylko jedna lampa.

– Dwaj mężczyźni? – powtórzyła Kinvara, ponownie zwracając się do Strike'a. – Gdzie dokładnie ich pan widział?

– Przy murze obok drogi – skłamał.

– Wiedzą, że ich zauważyliście?

– O tak – zapewnił Strike. – Zatrzymaliśmy się, ale uciekli do lasu. Chyba się wystraszyli, kiedy zaczęliśmy ich gonić, jak sądzisz, Robin? – spytał.

– Tak – potwierdziła. – Gdy wypuściła pani psy, słyszeliśmy, jak pobiegli z powrotem w stronę drogi.

– Rattenbury dalej kogoś goni... Oczywiście to może być lis... Ten pies ma bzika na punkcie lisów – mruknęła Kinvara.

Strike zwrócił uwagę na pewną zmianę, która zaszła w salonie od ich poprzedniej wizyty. Nad gzymsem kominka na ciemnej karmazynowej tapecie widniał świeży prostokątny ślad, w miejscu gdzie dawniej wisiał obraz przedstawiający klacz ze źrebięciem.

– Co się stało z pani obrazem? – spytał.

Kinvara odwróciła się, żeby sprawdzić, co Strike ma na myśli. Po kilku sekundach odpowiedziała:

– Sprzedałam go.

– Aha. Myślałem, że jest pani do niego szczególnie przywiązana.

– Nie po tym, co tamtego dnia powiedział o nim Torquil. Po czymś takim wolałam, żeby tu nie wisiał.

– Aha – powtórzył Strike.

Uporczywe szczekanie Rattenbury'ego nadal niosło się echem po lesie, gdzie – Strike był tego pewien – pies znalazł Barclaya usiłującego wrócić do samochodu z dwiema torbami pełnymi narzędzi. Gdy Kinvara puściła obrożę, gruby labrador wydał z siebie jedno donośne szczeknięcie i podszedł do okna, gdzie zaczął skamleć i drapać w szybę.

– Nawet jeśli zadzwonię na policję, nie zjawią się tu na czas – odezwała się Kinvara, trochę zaniepokojona, a trochę zła. – Nigdy nie traktują mnie priorytetowo. Myślą, że ci intruzi to tylko moje urojenie. Pójdę zajrzeć do koni – zdecydowała, lecz zamiast wyjść przez drzwi tarasowe, pomaszerowała do przedpokoju, a następnie, jak się domyślili, weszła do innego pomieszczenia.

– Mam nadzieję, że pies nie dopadł Barclaya – szepnęła Robin.

– Lepiej miej nadzieję, że Barclay nie rozwali mu łba łopatą – mruknął Strike.

Drzwi ponownie się otworzyły. Kinvara wróciła. Ku konsternacji Robin trzymała w ręku rewolwer.

– To mi się podoba – stwierdził Strike, po czym pokuśtykał do zdumionej Kinvary i wyjął jej broń z dłoni. Przyjrzał się rewolwerowi. – Siedmiostrzałowy harrington & richardson? To nielegalne, pani Chiswell.

– Należał do Jaspera – odparła, jakby dawało jej to specjalne uprawnienia – i wolałabym mieć go przy sobie...

– Pójdę do stajni razem z panią – uciął zdecydowanie Strike. – Robin tu zostanie i będzie miała oko na dom.

Kinvara zapewne chętnie by zaprotestowała, ale Strike już otwierał drzwi tarasowe. Korzystając z okazji, labrador poczłapał

z powrotem do zimnego ogrodu, a jego niskie szczekanie zaczęło odbijać się echem po całej posiadłości.

– Och, na litość boską... Niepotrzebnie go pan wypuścił... Badger! – zawołała Kinvara. Odwróciła się gwałtownie w stronę Robin, rzuciła: „Proszę się stąd nie ruszać!", po czym popędziła za labradorem do ogrodu, a Strike pokuśtykał za nią z rewolwerem w ręku. Obydwoje zniknęli w ciemności. Robin stała w miejscu, porażona ostrym tonem polecenia Kinvary.

Przez otwarte drzwi do wychłodzonego pomieszczenia wpadało mnóstwo jeszcze zimniejszego nocnego powietrza. Robin podeszła do ustawionego obok kominka kosza na drewno wypełnionego kuszącymi gazetami, patykami, polanami i podpałkami, ale nie mogła przecież rozpalić ognia pod nieobecność Kinvary. Salon był dokładnie tak zaniedbany, jak go zapamiętała: ze ścian zniknęło wszystko oprócz czterech rycin przedstawiających krajobraz Oxfordshire. W oddali nadal szczekały dwa psy, lecz jedynym dźwiękiem w salonie – dźwiękiem, którego Robin nie zauważyła podczas poprzedniej wizyty, dlatego że członkowie rodziny ciągle coś mówili albo się ze sobą sprzeczali – było głośne tykanie umieszczonego w kącie starego zegara szafkowego.

Po długich godzinach kopania Robin zaczęły boleć wszystkie mięśnie i piec poobcierane dłonie. Gdy usiadła na zapadniętej kanapie i objęła się ramionami, żeby nie zmarznąć, usłyszała dobiegające z góry skrzypnięcie, które przypominało odgłos kroku.

Spojrzała na sufit. Pewnie się przesłyszała. Stare domy wydawały dziwne dźwięki, które kojarzyły się z obecnością ludzi, dopóki człowiek się do nich nie przyzwyczaił. Kaloryfery w domu jej rodziców perkotały w nocy, a stare drzwi skrzypiały pod wpływem ogrzanego powietrza. Pewnie tu też nie działo się nic podejrzanego.

Kilka kroków od miejsca, z którego dobiegł pierwszy dźwięk, rozległo się drugie skrzypnięcie.

Robin wstała, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby użyć w charakterze broni. Na stoliku obok kanapy zauważyła małą, brzydką żabę z brązu. Gdy zacisnęła palce na jej zimnej, chropowatej powierzchni, usłyszała na górze trzecie skrzypnięcie. Jeśli nie był to jedynie wytwór jej wyobraźni, ktoś przeszedł na drugą stronę pomieszczenia znajdującego się dokładnie nad salonem.

Stała bez ruchu przez prawie minutę, wytężając słuch. Wiedziała, co poradziłby jej Strike: nigdzie nie idź. Po chwili usłyszała na górze kolejny cichy dźwięk. Była pewna, że ktoś się tam skrada.

W samych skarpetkach jak najostrożniej wyślizgnęła się z salonu, nie dotykając drzwi, żeby nie zaskrzypiały, i chyłkiem przeszła na środek wyłożonego kamiennymi płytami przedpokoju nierówno oświetlonego żyrandolem. Zatrzymała się tam, nasłuchując, i z łomoczącym sercem wyobraziła sobie nieznanego człowieka stojącego tuż nad nią, też zastygłego, wytężającego słuch i przyczajonego. Podeszła do schodów, wciąż ściskając w prawej ręce żabę z brązu. Piętro spowijała ciemność. Z głębi lasu dobiegało szczekanie psów.

W połowie drogi na górę odniosła wrażenie, że znowu słyszy cichy dźwięk: szelest stopy na dywanie poprzedzający szurnięcie zamykanych drzwi.

Wiedziała, że nie ma sensu wołać „kto tam?". Gdyby ukrywająca się przed nią osoba była gotowa pokazać swoją twarz, z pewnością nie dopuściłaby do tego, by Kinvara samotnie wyszła z domu i mierzyła się z tym, co zaniepokoiło psy.

Dotarłszy na górę, Robin zobaczyła, że pasek światła wydobywający się z jedynego oświetlonego pokoju rozciąga się

na ciemnej podłodze niczym widmowy palec. Poczuła mrowienie na karku i głowie, gdy powoli ruszyła w jego stronę, bojąc się, że nieznana przyczajona osoba obserwuje ją z jednego z trzech pogrążonych w mroku pomieszczeń z otwartymi drzwiami, które mijała po drodze. Oglądając się raz po raz, popchnęła opuszkami palców drzwi oświetlonego pokoju i weszła do środka, unosząc wysoko żabę z brązu.

Wszystko wskazywało na to, że to pokój Kinvary: był nieposprzątany, zagracony i opuszczony. Na stoliku nocnym umieszczonym najbliżej drzwi świeciła się samotna lampka. Niezaścielone łóżko wyglądało, jakby Kinvara wstała z niego w pośpiechu, a kremowa pikowana kołdra puchowa leżała bezładnie na podłodze. Na ścianach wisiały liczne obrazy przedstawiające konie, wszystkie – nawet dla niewprawnego oka Robin – znacznie gorszej jakości niż ten, który zniknął z salonu. Drzwi do szafy były otwarte, lecz w środku upchnięto tyle ubrań, że mógłby się tam schować jedynie liliput.

Robin odwróciła się w stronę ciemnych schodów. Mocniej ścisnęła żabę z brązu i się rozejrzała. Dźwięki, które słyszała wcześniej, dobiegały z pomieszczenia znajdującego się bezpośrednio nad salonem, a zatem z tego, którego zamknięte drzwi miała teraz na wprost siebie.

Gdy wyciągnęła rękę w stronę gałki, przerażające wrażenie, że obserwują ją czyjeś niewidoczne oczy, przybrało na sile. Otworzyła drzwi, lecz nie weszła do środka, dopóki nie wymacała włącznika lampy.

Jaskrawe światło ukazało jej zimną, pustą sypialnię z mosiężnym łóżkiem i jedną komodą. Ciężkie zasłony na staromodnych żabkach z mosiądzu były zaciągnięte, odgradzając ją od widoku za oknem.

Na szerokim łóżku leżał obraz *Klacz w żałobie* – brązowo-biała klacz wciąż trącała chrapami białe źrebię zwinięte na sianie.

Gmerając wolną ręką w kieszeni kurtki, Robin znalazła swoją komórkę i zrobiła kilka zdjęć obrazu leżącego na narzucie. Wyglądał, jakby został tam umieszczony w pośpiechu.

Nagle poczuła, że za jej plecami coś się poruszyło. Odwróciła się gwałtownie, mrugając, by pozbyć się zarysu pozłacanej ramy, który błysk flesza wypalił w jej siatkówce. Po chwili usłyszała dobiegające z ogrodu, coraz wyraźniejsze głosy Strike'a i Kinvary i domyśliła się, że obydwoje właśnie wracają do salonu.

Prędko wyłączyła światło w pustym pokoju i najciszej, jak umiała, zbiegła po schodach z powrotem na dół. Bojąc się, że nie zdąży dotrzeć do salonu na czas, pognała w stronę łazienki na parterze, spuściła wodę, po czym przemknęła przez przedpokój i zjawiła się w salonie akurat w chwili, gdy gospodyni wchodziła do niego z ogrodu.

67

[...] *miałem uzasadniony powód do tego, aby nasz stosunek otaczać tak szczelną zasłoną.*

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Norfolk terrier szamotał się w objęciach Kinvary, miał ubłocone łapy. Na widok Robin znowu się rozszczekał i usiłował się wyswobodzić.

– Przepraszam, musiałam skorzystać z toalety – usprawiedliwiła się zdyszana Robin, chowając za plecami żabę z brązu. Stara spłuczka poparła jej słowa głośnym szumem i klekotaniem, które odbiły się

echem w przedpokoju wyłożonym kamiennymi płytami. – Widzieliście ich? – zawołała do Strike'a, który gramolił się do salonu za Kinvarą.

– Nie – odrzekł, poszarzały z bólu. Zaczekał, aż zasapany labrador wskoczy z powrotem do pokoju, i zamknął drzwi tarasowe, trzymając rewolwer w drugiej ręce. – Ale z pewnością ktoś się tam kręcił. Psy to wyczuły i intruzi chyba uciekli. Całe szczęście, że przejeżdżaliśmy akurat wtedy, kiedy przechodzili przez mur.

– Och, Rattenbury, zamknij się wreszcie! – krzyknęła Kinvara.

Postawiła teriera na podłodze, a gdy pies wciąż szczekał na Robin, zagroziła mu podniesioną ręką, na widok której zaskomlał i wycofał się w kąt, dołączając do labradora.

– Z końmi wszystko w porządku? – spytała Robin, podchodząc do stolika, z którego zdjęła wcześniej przycisk do papieru.

– Jedne z drzwi do stajni nie były porządnie zamknięte. – Strike skrzywił się i pochylił, żeby pomacać kolano. – Ale według pani Chiswell ktoś mógł je tak zostawić. Pozwoli pani, że na chwilę usiądę?

– Tak... chyba tak – odparła niezbyt uprzejmie Kinvara.

Podeszła do barku w kącie, odkorkowała whisky Famous Grouse i nalała sobie solidną porcję. Gdy stała odwrócona plecami, Robin postawiła przycisk do papieru z powrotem na miejsce. Próbowała pochwycić spojrzenie Strike'a, lecz on z cichym stęknięciem opadł na kanapę i od razu zwrócił się do Kinvary.

– Nie odmówiłbym, gdyby i mnie pani poczęstowała – oznajmił bezwstydnie, znowu się krzywiąc i masując prawe kolano. – Chyba będę musiał odpiąć protezę. Nie ma pani nic przeciwko temu?

– No cóż... nie, raczej nie. Czego panu nalać?

– Też chętnie napiję się szkockiej, jeśli można. – Położył rewolwer na stoliku obok żaby z brązu. Podwinął nogawkę i zasygnalizował

Robin spojrzeniem, że również powinna usiąść.

Podczas gdy Kinvara nalewała alkohol do drugiej szklaneczki, Strike zaczął odpinać protezę. Odwróciwszy się, by podać mu drinka, patrzyła z niezdrową fascynacją, jak detektyw majstruje przy sztucznej nodze, i odwróciła wzrok dopiero wówczas, gdy odczepił ją od zaognionego kikuta. Zasapany Cormoran oparł protezę o podnóżek i pozwolił nogawce opaść z powrotem.

– Bardzo dziękuję. – Przyjął od niej whisky i upił łyk.

Uwięziona z mężczyzną, który nie może chodzić, któremu teoretycznie powinna być wdzięczna i którego właśnie poczęstowała drinkiem, Kinvara także usiadła, przybierając kamienny wyraz twarzy.

– W zasadzie miałem do pani zadzwonić, żeby zweryfikować kilka informacji, które uzyskaliśmy od Tegan – oznajmił Strike. – Jeśli pani chce, możemy pomówić o tym teraz. Będziemy to mieli z głowy.

Kinvara lekko zadrżała, spoglądając na pusty kominek, i Robin zaproponowała:

– Chciałaby pani, żebym...

– Nie – burknęła Kinvara. – Sama potrafię to zrobić.

Podeszła do głębokiego kosza ustawionego obok kominka i wyjęła z niego starą gazetę. Gdy budowała konstrukcję z kawałeczków drewna na górce z gazety i rozpałki, Robin udało się napotkać spojrzenie Strike'a.

– Na górze ktoś jest – powiedziała, bezgłośnie poruszając ustami, ale nie była pewna, czy zrozumiał. Z lekkim zdziwieniem uniósł brwi i odwrócił się z powrotem w stronę Kinvary.

Rozbłysła zapałka. Wokół małej sterty papieru i patyków w kominku buchnęły płomienie. Kinvara sięgnęła po szklaneczkę i znowu podeszła do barku, gdzie dolała sobie czystej szkockiej, po czym ciaśniej owijając się płaszczem, wróciła do kosza

na drewno, wybrała duże polano, wrzuciła je do rozpalającego się ognia i znowu opadła na kanapę.

– Proszę mówić – mruknęła ponuro do Strike'a. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Jak wspomniałem, rozmawialiśmy dziś z Tegan Butcher.

– I?

– I już wiemy, z jakiego powodu Jimmy Knight i Geraint Winn szantażowali pani męża.

Kinvara nie okazała zdziwienia.

– Mówiłam tym głupim dziewuchom, że się dowiecie. – Wzruszyła ramionami. – Izzy i Fizzy – uściśliła. – Tu wszyscy wiedzą, co Jack o'Kent robił w stodole. To oczywiste, że ktoś by się wygadał.

Wypiła duży łyk whisky.

– Pewnie wiecie o wszystkim, prawda? O szubienicach. O tym chłopcu w Zimbabwe.

– Ma pani na myśli Samuela? – zaryzykował Strike.

– Tak, Samuela Mu... Mudrapa czy jakoś tak.

Nagle ogień rozbłysł na dobre, płomienie wskoczyły na polano, które przesunęło się w deszczu iskier.

– Odkąd tylko usłyszeliśmy o powieszeniu tego chłopca, Jasper martwił się, że to mogła być jego szubienica. Wiecie już wszystko, prawda? Że były dwie szubienice, ale tylko jedna dotarła do władz państwowych. Druga zaginęła, porwano ciężarówkę czy coś takiego. Właśnie tak znalazła się na jakimś pustkowiu. Podobno zdjęcia były makabryczne. Ministerstwo Spraw Zagranicznych przypuszcza, że tego chłopca z kimś pomylono. Jasper nie wiedział, w jaki sposób mogliby skojarzyć z nim ten incydent, ale Jimmy twierdził, że potrafi udowodnić związek. W i e d z i a ł a m, że się dowiecie – ciągnęła Kinvara z gorzką satysfakcją. – Tegan to okropna plotkara.

– Więc dla jasności – powiedział Strike – kiedy Jimmy zjawił się tu po raz pierwszy, prosił o pieniądze, które należały się jemu i Billy'emu za dwie szubienice wykonane przed śmiercią przez ich ojca?

– Właśnie. – Kinvara upiła whisky. – Razem były warte osiemdziesiąt tysięcy. On żądał czterdziestu.

– Zakładam jednak – jak Strike pamiętał, Chiswell wspomniał, że tydzień po pierwszej próbie zdobycia pieniędzy Jimmy zjawił się ponownie i zażądał mniejszej kwoty – że pani mąż oznajmił mu, że otrzymał zapłatę tylko za jedną sztukę, ponieważ druga zaginęła w transporcie.

– Tak. – Kinvara wzruszyła ramionami. – Wtedy Jimmy poprosił o dwadzieścia tysięcy, ale niestety już je wydaliśmy.

– Jak pani odebrała żądanie Jimmy'ego, kiedy po raz pierwszy zgłosił się po pieniądze? – zapytał Strike.

Robin nie była pewna, czy lekki rumieniec na twarzy Kinvary to skutek działania alkoholu.

– Jeśli chce pan usłyszeć prawdę, miał trochę racji. Rozumiałam, dlaczego domagał się tych pieniędzy. Połowa zysku ze sprzedaży szubienic należała do synów Knighta. Taka była umowa, kiedy Jack o'Kent jeszcze żył, ale Jasper uznał, że Jimmy nie może oczekiwać pieniędzy za skradzioną sztukę, a biorąc pod uwagę, że mój mąż przechowywał te szubienice we własnej stodole, ponosił wszystkie koszty związane z ich transportem i tak dalej... Jimmy nie mógłby go pozwać, nawet gdyby chciał. Jasper nie lubił Jimmy'ego.

– No tak, zdaje się, że mieli odmienne przekonania polityczne – zauważył Strike.

Kinvara z trudem powstrzymała sarkastyczny uśmiech.

– Chodziło o coś trochę bardziej osobistego. Nie słyszał pan o Jimmym i Izzy? Nie... Tegan jest chyba za młoda, żeby znać tę

historię. Och, to się zdarzyło tylko raz – zaznaczyła, najwyraźniej uznając, że ta wiadomość zszokowała Strike'a – ale Jasperowi w zupełności to wystarczyło. Ktoś taki jak Jimmy Knight zdeflorował jego ukochaną córkę, sam pan rozumie... W każdym razie Jasper nie mógłby dać Jimmy'emu pieniędzy, nawet gdyby chciał – mówiła dalej. – Już je wydał. Spłacił nasz debet na koncie i zreperował dach stajni. Nie miałam o tym pojęcia – dodała, jakby wyczuła milczącą krytykę – dopóki tamtego wieczoru Jimmy nie wyjaśnił mi, na czym polegał układ Jaspera z Jackiem o'Kentem. Wcześniej Jasper twierdził, że miał prawo sprzedać te szubienice, a ja mu wierzyłam. O c z y w i ś c i e, że mu wierzyłam. Przecież był moim mężem.

Ponownie wstała i jeszcze raz podeszła do barku, a labrador, chcąc się ogrzać, wyszedł z kąta w głębi salonu, przeczłapał obok podnóżka i klapnął przed buchającym w kominku ogniem. Norfolk terrier potruchtał za nim, warcząc na Strike'a i Robin, dopóki Kinvara nie powiedziała ze złością:

– Z a m k n i j s i ę, Rattenbury.

– Są jeszcze dwie sprawy, o które chciałem panią spytać – podjął Strike. – Czy pani mąż miał telefon zabezpieczony PIN-em?

– Oczywiście, że tak – odrzekła Kinvara. – Bardzo dbał o bezpieczeństwo.

– Więc nie ujawniał go wielu osobom?

– Nawet mnie nie powiedział, jaki ma PIN – odparła. – Po co panu ta informacja?

Zignorował pytanie.

– Pani pasierb podał nam nową wersję dotyczącą jego wyprawy do Woolstone rano w dniu śmierci pani męża.

– Och, naprawdę? Co mówi tym razem?

– Że próbował panią powstrzymać od sprzedaży naszyjnika, który należy do rodziny od...

– Więc wyznał całą prawdę, tak? – przerwała mu, wracając do nich z nową porcją whisky. Zarumienione policzki i długie rude włosy rozwichrzone przez nocne powietrze nadawały jej teraz wygląd kobiety, której zaczynają puszczać hamulce. Podchodząc do kanapy, zapomniała o przytrzymywaniu płaszcza i czarna koszulka nocna ukazała kanion między jej piersiami. Kinvara znowu opadła na kanapę. – Tak, chciał mnie powstrzymać od opchnięcia cichaczem naszyjnika, do czego, nawiasem mówiąc, mam p e ł n e prawo. Zgodnie z testamentem naszyjnik należy do mnie. Jeśli Jasper nie chciał, żebym go dostała, powinien był ostrożniej spisywać swoją cholerną ostatnią wolę, prawda?

Robin przypomniała sobie łzy Kinvary podczas ich poprzedniej wizyty w tym salonie oraz to, jak zrobiło jej się żal pani Chiswell, mimo że poza tym Kinvara wydawała się bardzo niesympatyczna. Teraz jej postawa miała niewiele wspólnego z pogrążoną w żalu wdową, lecz być może, pomyślała Robin, był to jedynie skutek działania alkoholu i szok po niedawnym wtargnięciu intruzów na teren jej posiadłości.

– Więc potwierdza pani relację Raphaela, zgodnie z którą przyjechał tu po to, by nie mogła pani wywieźć naszyjnika?

– Nie wierzycie mu?

– Nie – odparł Strike. – Właściwie to nie.

– Dlaczego?

– Jego relacja brzmi fałszywie – wyjaśnił detektyw. – Nie jestem przekonany, czy tamtego ranka pani mąż byłby w stanie sobie przypomnieć, o czym napisał w testamencie, a o czym nie.

– Był w wystarczająco dobrym stanie, żeby do mnie zadzwonić i spytać, czy naprawdę od niego odchodzę – odrzekła Kinvara.

– Powiedziała mu pani, że zamierza sprzedać naszyjnik?

– Nie wprost. Oświadczyłam, że wyjadę, gdy tylko znajdę nowy dom dla siebie i koni. Pewnie się zastanawiał, jak chcę to zrobić, skoro nie mam własnych pieniędzy, i dlatego przypomniał sobie o naszyjniku.

– Więc Raphael przyjechał tu powodowany zwykłą lojalnością wobec ojca, który nie zostawił mu ani pensa?

Kinvara rzuciła Strike'owi długie, przenikliwe spojrzenie znad brzegu szklaneczki, po czym powiedziała do Robin:

– Dorzuci pani do ognia?

Robin zauważyła brak „proszę", lecz mimo to wstała. Norfolk terrier, który tymczasem dołączył do labradora śpiącego na dywaniku przed kominkiem, warczał na nią, dopóki znowu nie usiadła.

– No dobrze – odezwała się Kinvara z miną osoby, która właśnie podjęła jakąś decyzję. – Niech będzie, powiem wam. Wątpię zresztą, żeby to miało jeszcze jakieś znaczenie. Te cholerne dziewuchy w końcu odkryją prawdę i Raphael dostanie za swoje. Rzeczywiście przyjechał, żeby mnie powstrzymać od wywiezienia naszyjnika, ale nie zrobił tego ze względu na Jaspera, Fizzy czy Flopsy. Przypuszczam – zwróciła się agresywnie do Robin – że zna pani przezwiska wszystkich członków rodziny? Pewnie miała pani z tego niezły ubaw, pracując z Izzy.

– Eee...

– Och, niech pani nie udaje. – W głosie Kinvary wyraźnie pobrzmiewała złośliwość. – Wiem, że je pani słyszała. Nazywają mnie Tinky Druga czy jakoś tak, prawda? A kiedy Raphael nie słyszy, Izzy, Fizzy i Torquil mówią na niego Smrodek. Wiedziała pani o tym?

– Nie – odparła Robin, którą Kinvara nadal mierzyła wściekłym spojrzeniem.

– Uroczo, prawda? Matka Raphaela to dla nich Orka, dlatego że ubiera się na czarno-biało. Mniejsza z tym... Wie pani, co Orka zrobiła, kiedy zdała sobie sprawę, że Jasper nie zamierza się z nią ożenić? – zapytała Kinvara z ciemnym rumieńcem na twarzy.

Robin pokręciła głową.

– Zaniosła słynny rodowy naszyjnik do mężczyzny, który handlował diamentami i został potem jej k o l e j n y m kochankiem, kazała mu wyjąć z niego najcenniejsze kamienie i zastąpić je cyrkoniami. Imitacją brylantów – oświeciła ich, w razie gdyby Strike i Robin nie zrozumieli. – Jasper nie miał o tym pojęcia, a ja tym bardziej. Przypuszczam, że Ornella śmiała się do łez, ilekroć pozowałam do zdjęć w tym naszyjniku, myśląc, że noszę kamienie warte sto tysięcy funtów. W każdym razie kiedy mój ukochany pasierb dowiedział się, że zamierzam odejść od jego ojca i potrzebuję pieniędzy na zakup ziemi dla koni, domyślił się, że mogę zechcieć oddać naszyjnik do wyceny. Dlatego czym prędzej tu przyjechał, bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było odkrycie przez rodzinę, co zrobiła jego matka. Jakie miałby potem szanse na powrót do łask ojca?

– Dlaczego nikomu pani o tym nie powiedziała? – spytał Strike.

– Raphael obiecał mi tego ranka, że jeśli nie zdradzę Jasperowi, co zrobiła Orka, być może zdoła przekonać matkę, żeby oddała kamienie. Albo przynajmniej żeby wypłaciła mi ich równowartość w gotówce.

– I nadal próbuje pani odzyskać brakujące brylanty?

Kinvara popatrzyła złowrogo na Strike'a znad szklanki z whisky.

– Od śmierci Jaspera nic w tej sprawie nie zrobiłam, ale to nie znaczy, że nie zrobię. Dlaczego miałabym pozwolić, żeby cholerna

Orka zatrzymała coś, co zgodnie z prawem należy do mnie? Zgodnie z testamentem mojego męża znajdujące się w domu ruchomości, które nie zostały wysze... wyszcze... wy-szcze-gólnione – wymówiła to słowo starannie, gdyż zaczynał jej się plątać język – należą do mnie. Czy coś takiego – spytała, wpatrując się w Strike'a – bardziej panu pasuje do Raphaela? To, że tu przyjechał, żeby kryć swoją ukochaną mamusię?

– Tak – przyznał Strike. – Muszę powiedzieć, że tak. Dziękuję za szczerość.

Kinvara spojrzała znacząco na zegar szafkowy, który wskazywał już trzecią w nocy, ale Strike udał, że nie zrozumiał aluzji.

– Pani Chiswell, chciałbym spytać o jeszcze jedną rzecz i obawiam się, że to bardzo osobista sprawa.

– Słucham – odrzekła ze złością.

– Byłem niedawno u pani Winn. Delli Winn. Tej minister sportu...

– Oczywiście, że tej minister sportu – warknęła Kinvara dokładnie jak jej mąż podczas pierwszego spotkania ze Strikiem. – Wiem, kto to jest. Bardzo dziwna kobieta.

– W jakim sensie?

Kinvara ze zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami, jakby sądziła, że to powinno być jasne.

– Nieważne. Co powiedziała?

– Że rok temu widziała panią w stanie wielkiego poruszenia i z tego, co udało jej się zrozumieć, była pani zdenerwowana, ponieważ pani mąż przyznał się do romansu.

Kinvara otworzyła usta, po czym z powrotem je zamknęła. Przez chwilę siedziała bez słowa, aż wreszcie potrząsnęła głową, jakby chciała odzyskać jasność umysłu.

– Bo... myślałam, że mnie zdradza, ale się myliłam. Bardzo się myliłam.

– Według pani Winn mąż powiedział pani coś bardzo okrutnego.

– Nie pamiętam, co jej mówiłam. Nie czułam się wtedy najlepiej. Dałam się ponieść emocjom i wszystko pokręciłam.

– Proszę mi wybaczyć – odrzekł Strike – ale jako osoba z zewnątrz odniosłem wrażenie, że pani małżeństwo...

– Ma pan okropną pracę – przerwała mu piskliwie. – Naprawdę paskudną, o d r a ż a j ą c ą pracę. Owszem, mieliśmy problemy małżeńskie, co z tego? Myśli pan, że skoro Jasper umarł, skoro s i ę z a b i ł, będę chciała wspominać to wszystko z wami, dwojgiem zupełnie obcych mi ludzi, których wciągnęły w to moje głupie pasierbice, żeby wszystko stało się jeszcze bardziej skomplikowane i dziesięć razy gorsze?

– Więc zmieniła pani zdanie? Uważa pani jednak, że mąż popełnił samobójstwo? Bo gdy tu byliśmy poprzednim razem, dała pani do zrozumienia, że Aamir Mallik...

– Nie wiem, co wtedy mówiłam! – zawołała histerycznie. – Nie rozumie pan, co przeżywam, odkąd Jasper się zabił? Policja, rodzina i jeszcze pan... Nie przypuszczałam, że coś takiego w ogóle może się wydarzyć, nie miałam pojęcia, to jakiś koszmar... Od kilku miesięcy Jasper żył pod ogromną presją, za dużo pił, często wpadał w złość... Szantaż, strach, że wszystko się wyda... Tak, myślę, że popełnił samobójstwo, a ja będę musiała żyć ze świadomością, że tamtego ranka od niego odeszłam, co prawdopodobnie przelało czarę goryczy!

Norfolk terrier znów zaczął wściekle ujadać. Labrador gwałtownie się obudził i też się rozszczekał.

– Proszę stąd wyjść! – Kinvara wstała. – Natychmiast! Nigdy nie chciałam, żeby mieszali się państwo w tę sprawę! Niech państwo po prostu już idą, dobrze?

– Oczywiście – odparł uprzejmie Strike, odstawiając pustą szklaneczkę. – Zechce pani zaczekać, aż przymocuję protezę?

Robin już podniosła się z miejsca. Strike przypinał sztuczną nogę, a Kinvara przyglądała się temu, gwałtownie oddychając i ściskając w dłoni szklankę. Wreszcie detektyw był gotowy się dźwignąć, lecz po pierwszej próbie opadł z powrotem na kanapę. Z pomocą Robin wreszcie zdołał się utrzymać w pozycji stojącej.

– Do widzenia, pani Chiswell.

Zamiast odpowiedzieć, Kinvara podeszła do drzwi tarasowych i ponownie je otworzyła. Psy zerwały się z miejsca, lecz krzyknęła na nie, żeby zostały w domu.

Gdy tylko niechciani goście wyszli na żwirową ścieżkę, Kinvara zatrzasnęła drzwi. Wkładając z powrotem kalosze, Robin usłyszała szurnięcie mosiężnych kółek na karniszu – Kinvara zaciągnęła zasłony, a następnie wygoniła psy z salonu.

– Nie jestem pewny, czy dam radę dojść do samochodu – odezwał się Strike, który starał się nie przenosić ciężaru ciała na protezę. – Patrząc na to z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że kopanie mogło być... błędem.

Robin bez słowa wzięła jego rękę i zarzuciła ją sobie na ramiona. Nie stawiał oporu. Razem powoli ruszyli po trawie.

– Zrozumiałeś, co powiedziałam, kiedy bezgłośnie poruszałam ustami? – spytała Robin.

– Że ktoś jest na górze? No – potwierdził, krzywiąc się straszliwie za każdym razem, gdy stawiał protezę na ziemi. – Zrozumiałem.

– Ale nie wydajesz się...

– Nie jestem zasko... Zaraz – powiedział gwałtownie, stając, ale nadal opierając się na Robin. – Chyba nie weszłaś na górę?

– Weszłam.

– Do kurwy nędzy...

– Usłyszałam czyjeś kroki.

– A co byś zrobiła, gdyby ktoś cię zaatakował?

– Miałam czym się bronić, poza tym nikt mnie nie zaatakował. Zresztą gdybym tam nie poszła, nie zobaczyłabym tego.

Robin wyjęła komórkę, wyświetliła zdjęcie obrazu leżącego na łóżku i podała ją Strike'owi.

– Nie widziałeś, jaką minę zrobiła Kinvara na widok pustego miejsca na ścianie. Cormoran, ona nie miała pojęcia, że ten obraz zniknął, dopóki o to nie spytałeś. Ktokolwiek był na górze, próbował go schować, kiedy ona wyszła z domu.

Strike długo wpatrywał się w ekran telefonu, a jego ciężka ręka spoczywała na ramionach Robin. Wreszcie powiedział:

– Ten koń jest karosrokaty?

– Słucham? – spytała z niedowierzaniem Robin. – Interesują cię maści koni? W takiej chwili?

– Odpowiedz.

– Nie, konie karosrokate są czarno-białe, a nie brązowo...

– Musimy zawiadomić policję – oznajmił Strike. – Właśnie gwałtownie wzrosło prawdopodobieństwo kolejnego morderstwa.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię bardzo poważnie. Pomóż mi dojść do samochodu, a wszystko ci wyjaśnię... ale do tego czasu nie ciągnij mnie za język, bo ta pieprzona noga wpędzi mnie do grobu.

68

Bo też wyprowadzili mnie z równowagi.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Trzy dni później Strike i Robin dostali bezprecedensowe zaproszenie. W ramach podziękowania za to, że zamiast przyćmić stróżów prawa, pomogli im, przekazując informacje o skradzionej przez Flick notatce i o *Klaczy w żałobie*, stołeczna policja postanowiła wtajemniczyć detektywów w swoje śledztwo w Scotland Yardzie. Strike i Robin, którzy przywykli do tego, że funkcjonariusze traktują ich albo jak uciążliwość, albo jak karierowiczów, byli zaskoczeni, lecz jednocześnie wdzięczni za to niespodziewane ocieplenie stosunków.

Gdy dotarli na miejsce, wysoka jasnowłosa Szkotka kierująca zespołem dochodzeniowym wymknęła się na chwilę z pokoju przesłuchań, by uścisnąć im ręce. Strike i Robin wiedzieli, że policja zatrzymała dwójkę podejrzanych, ale jak dotąd nikomu nie postawiono zarzutów.

– Poranek upłynął nam pod znakiem histerii i upartego zaprzeczania – poinformowała ich nadkomisarz Judy McMurran – ale myślę, że do końca dnia uda nam się ją złamać.

– Mogliby rzucić na nich okiem, Judy? – spytał jej podwładny, komisarz George Layborn, który powitał oboje detektywów przy drzwiach i zaprowadził na górę. Pulchny mężczyzna skojarzył się Robin z policjantem z drogówki, który zgrywał dowcpinisia, gdy dostała ataku paniki na poboczu drogi.

– Czemu nie – odrzekła z uśmiechem nadkomisarz McMurran.

Layborn poprowadził Strike'a i Robin korytarzem i za zakrętem otworzył pierwsze drzwi po prawej prowadzące do ciemnego i ciasnego pomieszczenia, gdzie połowę jednej ze ścian tworzyło lustro fenickie z widokiem na pokój przesłuchań.

Robin, która dotąd widywała takie miejsca tylko w kinie i telewizji, patrzyła jak urzeczona. Kinvara Chiswell siedziała z jednej strony biurka obok zaciskającego usta adwokata ubranego w prążkowany garnitur. Blada, bez makijażu, miała na sobie jasnoszarą jedwabną bluzkę tak pogniecioną, jakby w niej spała. Płakała w chusteczkę. Naprzeciw niej siedział inny komisarz w znacznie tańszym garniturze niż ten należący do adwokata. Obserwował ją z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Robin i Strike widzieli, jak nadkomisarz McMurran wraca do pokoju i siada na wolnym krześle obok swojego kolegi. Po chwili, która wydawała się bardzo długa, lecz prawdopodobnie trwała zaledwie minutę, McMurran przemówiła:

– Nadal nie ma pani nic do powiedzenia na temat nocy, którą spędziła pani w hotelu?

– To jakiś koszmar – szepnęła Kinvara. – Nie wierzę, że to się dzieje. Nie wierzę, że tu jestem.

Miała zaczerwienione, spuchnięte oczy, które wyglądały jak pozbawione rzęs, gdyż łzy zmyły z nich cały tusz.

– Jasper popełnił samobójstwo – oznajmiła drżącym głosem. – Miał depresję! Każdy wam to powie! Ten szantaż go wykańczał... Rozmawialiście już z Ministerstwem Spraw Zagranicznych? Sam pomysł, że mogą istnieć zdjęcia tego powieszonego chłopca... Nie rozumiecie, jak się bał? Gdyby to wyszło na jaw... – Załamał jej się głos. – Jakie macie przeciwko mnie dowody? – spytała ostro. – Gdzie one są? G d z i e?

Jej adwokat cicho odkaszlnął.

– Wróćmy do sprawy hotelu – zaproponowała nadkomisarz McMurran. – Jak pani myśli, dlaczego pani mąż tam zadzwonił, próbując ustalić...

– Nocowanie w hotelu to nie zbrodnia! – zawołała histerycznie Kinvara, po czym zwróciła się do swojego prawnika: – To niedorzeczne, Charles, jak mogą mnie oskarżać tylko dlatego, że pojechałam do...

– Pani Chiswell odpowie na wszelkie pytania dotyczące dnia jej urodzin – oznajmił adwokat tonem, który Robin wydał się niezwykle optymistyczny. – Bylibyśmy jednak wdzięczni...

Drzwi pokoju obserwacyjnego otworzyły się i uderzyły Strike'a.

– Nie ma sprawy, już się stąd zabieramy – powiedział Layborn do kolegi, który chciał wejść do środka. – Za mną, brygado, przejdziemy do centrum koordynacyjnego. Mam wam jeszcze dużo do pokazania.

Pokonawszy następny zakręt, zobaczyli nadchodzącego z naprzeciwka Erica Wardle'a.

– Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję tego dnia. – Wardle z uśmiechem podał rękę Strike'owi. – Naprawdę dostałeś zaproszenie od stołecznej policji.

– Idziesz z nami, Wardle? – Layborn wydawał się lekko niepocieszony perspektywą dzielenia się z innym policjantem gośćmi, którym bardzo chciał zaimponować.

– Czemu nie – odparł Wardle. – Przekonam się, w czym pomagałem przez tyle tygodni.

– Na pewno strasznie się natrudziłeś, przekazując te wszystkie dowody, które znaleźliśmy – zadrwił Strike, gdy szli za Laybornem do centrum koordynacyjnego.

Wardle zarechotał.

Robin, przywykła do ciasnego i nieco zapuszczonego biura przy Denmark Street, była oczarowana przestrzenią, jaką Scotland Yard poświęcił ważnemu dochodzeniu w sprawie podejrzanej śmierci ministra. Na białej tablicy na ścianie widniała oś czasu, na której umieszczono wszystkie zdarzenia związane z zabójstwem. Sąsiednią ścianę obwieszono zdjęciami z miejsca zbrodni. Fotografie zwłok ukazywały Chiswella wyswobodzonego z plastikowego worka. Jego przekrwiona twarz wyglądała z bliska okropnie: wzdłuż policzka biegła zaogniona szrama, niewidzące oczy były nieco przymknięte, a skórę pokrywały ciemne, fioletowe plamy.

Zauważywszy jej zainteresowanie, Layborn pokazał Robin raporty z badań toksykologicznych i billing, na podstawie których policja rozpracowywała sprawę, a następnie otworzył ogromną szafkę wypełnioną dowodami rzeczowymi w oznakowanych foliowych torebkach. Były wśród nich: rozdeptana fiolka tabletek Lachesis, brudny karton po soku pomarańczowym i pożegnalny list Kinvary do męża. Na widok notatki ukradzionej przez Flick i wydrukowanego zdjęcia leżącej na łóżku *Klaczy w żałobie*, które, jak już wiedziała, stały się najważniejszym elementem policyjnego dochodzenia, Robin poczuła przypływ dumy.

– No dobrze. – Komisarz Layborn zamknął szafkę i podszedł do komputera. – Pora zobaczyć paniusię w akcji.

Włożył płytę do najbliższego urządzenia, kiwając na Strike'a, Robin i Wardle'a, żeby podeszli bliżej.

Ukazał się zatłoczony plac przed dworcem Paddington, wszędzie chodziły migające czarno-białe postacie. W lewym górnym rogu widniały data i godzina.

– Oto i ona – oznajmił Layborn, wciskając Pauzę i pokazując grubym palcem kobiecą sylwetkę. – Widzicie?

Obraz był niewyraźny, ale udało im się rozpoznać Kinvarę. Kadr objął też jakiegoś brodacza – facet gapił się na nią prawdopodobnie dlatego, że szła w niezapiętym płaszczu, odsłaniającym obcisłą czarną sukienkę, którą miała na sobie na przyjęciu paraolimpijskim. Layborn znowu wcisnął Play.

– Patrzcie, patrzcie... Wspiera bezdomnych...

Kinvara wrzuciła coś do kubka opatulonego mężczyzny żebrzącego obok drzwi.

– ...patrzcie na nią – ciągnął niepotrzebnie Layborn. – Idzie prosto do pracownika kolei... zadaje zbędne pytanie... pokazuje mu bilet... patrzcie teraz... idzie na peron, zatrzymuje się i pyta o coś następnego gościa, upewniając się, że każdy jej cholerny krok zostanie dobrze zapamiętany, nawet jeśli nie uchwyci jej kamera... iii... do pociągu.

Obraz zadrżał i się zmienił. Pociąg wjeżdżał na stację w Swindon. Kinvara wysiadła, rozmawiając z jakąś kobietą.

– Widzicie? – odezwał się Layborn. – Nadal się upewnia, że ludzie ją zapamiętają, na wszelki wypadek. A teraz...

Obraz znów się zmienił, ukazując parking obok dworca.

– ...oto i ona – podjął Layborn. – Samochód zaparkowany tuż obok kamery, bardzo wygodnie. Wsiada i odjeżdża. Wraca do domu, upiera się, żeby stajenna tam przenocowała, śpi w sąsiednim pokoju, rano jeździ konno pod okiem dziewczyny... Żelazne alibi. Oczywiście tak jak wy doszliśmy już do wniosku, że jeśli to było zabójstwo, wymagało współpracy dwóch osób.

– Ze względu na sok pomarańczowy? – spytała Robin.

– W dużej mierze tak – potwierdził Layborn. – Gdyby Chiswell – wypowiedział to nazwisko niepoprawnie, nie opuszczając „w” – nieświadomie zażył amitryptylinę, najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie byłoby takie, że nalał sobie zaprawionego soku, który

stał już w lodówce. Problem w tym, że w kartonie w koszu na śmieci nie było śladu tej substancji i są na nim tylko jego odciski palców.

– Po śmierci ministra łatwo byłoby zostawić jego odciski na niewielkich przedmiotach – zauważył Strike. – Wystarczyłoby przycisnąć do nich jego dłoń.

– Właśnie. – Layborn podszedł do ściany obwieszonej zdjęciami i wskazał zbliżenie moździerza i tłuczka. – Dlatego postanowiliśmy im się przyjrzeć. Rozmieszczenie odcisków palców Chiswella i resztek sproszkowanej amitryptyliny świadczą o tym, że ktoś to upozorował. To z kolei oznacza, że sok mógł zostać zaprawiony z wielogodzinnym wyprzedzeniem przez kogoś, kto miał klucz, znał nazwę antydepresantów zażywanych przez żonę Chiswella oraz wiedział, że Chiswell ma uszkodzone zmysły smaku i węchu, a rano zawsze pije sok pomarańczowy. Potem wystarczyło tylko, by druga osoba podrzuciła do kosza czysty karton po soku z odciskami palców martwego Chiswella i zabrała z domu ten z resztkami amitryptyliny. A kto wiedział o tym wszystkim lepiej niż szanowna małżonka? – spytał retorycznie Layborn. – Tylko że ona miała żelazne alibi na czas śmierci, bo gdy Chiswell żłopał rozpuszczone w soku antydepresanty, przebywała ponad sto kilometrów dalej. Nie wspomnę już o tym, że zostawiła list, próbując nam podsunąć zgrabną, niebudzącą podejrzeń historyjkę: szantażowany mąż stojący w obliczu bankructwa uświadamia sobie, że żona od niego odeszła, a to ostatecznie doprowadza go do załamania i facet postanawia ze sobą skończyć. Ale – wskazał powiększone zdjęcie twarzy martwego Chiswella, z której zdjęto plastikowy worek, odsłaniając głęboką czerwoną szramę na policzku – nie spodobało nam się t o. Od początku wydawało się podejrzane. Przedawkowanie amitryptyliny może wywołać zarówno

pobudzenie, jak i senność. Ten ślad wygląda, jakby ktoś siłą założył mu worek na głowę. Oprócz tego były jeszcze otwarte drzwi. Ostatnia osoba, która weszła i wyszła, nie znała triku umożliwiającego ich zamknięcie, więc nie wyglądało na to, żeby ostatni dotykał ich sam Chiswell. Poza tym brak opakowania po tabletkach. To od początku wydawało się nam podejrzane. Dlaczego Jasper Chiswell miałby się go pozbywać? Kilka drobnych niedbałych błędów.

– Prawie się udało – stwierdził Strike. – Gdyby amitryptylina uśpiła Chiswella zgodnie z planem i gdyby dopracowano wszystkie szczegóły: zamknięcie drzwi, zostawienie w domu opakowania po tabletkach...

– Ale ich nie dopracowano – przerwał mu Layborn – a ona nie jest aż taka bystra, żeby zdołała się z tego wyłgać.

– „Nie wierzę, że to się dzieje" – zacytował Strike. – Jest konsekwentna. W sobotę wieczorem powiedziała nam: „Nie przypuszczałam, że coś takiego w ogóle może się wydarzyć, nie miałam pojęcia, to jakiś koszmar...".

– Niech spróbuje tego w sądzie – wtrącił cicho Wardle.

– Właśnie. Czego się spodziewałaś, kochana, kiedy rozcierałaś na pył górę tabletek i wsypywałaś mu je do soku pomarańczowego? – powiedział Layborn. – Jest winna, bez dwóch zdań.

– Zadziwiające, jak ludzie okłamują samych siebie, kiedy znajdą się pod wpływem silniejszej osobowości – odezwał się Strike. – Założę się o dychę, że kiedy McMurran w końcu ją złamie, Kinvara powie, że na początku mieli nadzieję, że Chiswell naprawdę się zabije, potem próbowali wywrzeć na niego presję, żeby to zrobił, aż wreszcie doszło do tego, że przestała zauważać różnicę między próbą nakłonienia męża do samobójstwa a własnoręcznym

wrzuceniem tabletek do jego soku pomarańczowego. Zauważyłem, że nadal próbuje wam wmówić, że Chiswell targnął się na swoje życie z powodu tej historii z szubienicami.

– Bardzo dobrze się spisaliście, rozgryzając ten wątek – przyznał Layborn. – Wyprzedziliście nas o krok i cholernie dużo się wyjaśniło. To poufne – zaznaczył, wyjmując z biurka brązową kopertę i wysuwając z niej duże zdjęcie – ale dziś rano dostaliśmy przesyłkę z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jak widzicie...

Robin, która podeszła, żeby spojrzeć na fotografię, trochę pożałowała, że to zrobiła. Bo jaką korzyść mógł jej przynieść widok martwego nastolatka z oczami wydziobanymi przez padlinożerne ptaki, wiszącego na szubienicy ustawionej wśród gruzów? Stopy chłopca były bose. Domyśliła się, że ktoś ukradł mu buty.

– Ciężarówkę wiozącą drugą szubienicę uprowadzono. Władze państwowe nie odebrały przesyłki, a Chiswell nie dostał za nią zapłaty. To zdjęcie wskazuje, że trafiła w ręce rebeliantów, którzy wieszali na niej ludzi, nie dając im szansy na obronę w sądzie. Ten nieszczęsny chłopak, Samuel Murape, znalazł się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. Brytyjski student, który wziął dziekankę i pojechał odwiedzić rodzinę. Niezbyt wyraźnie to widać – ciągnął Layborn – ale spójrzcie tutaj, tuż za jego stopą...

– Tak, to wygląda jak wyryty w drewnie Biały Koń – stwierdził Strike.

W kieszeni Robin zawibrowała ściszona komórka. Robin czekała na ważny telefon, lecz przyszedł tylko esemes z nieznanego numeru.

> Wiem, że zablokowałaś mój numer, ale musimy się spotkać. Wynikła pilna sytuacja i rozwiązanie tego problemu leży w naszym obopólnym interesie. Matt

– Nic ważnego – powiedziała Robin do Strike'a, wkładając komórkę z powrotem do kieszeni.

To była trzecia wiadomość od Matthew tego dnia.

„Pilna sytuacja, niech go szlag".

Prawdopodobnie Tom dowiedział się, że jego narzeczona sypia z jego najlepszym przyjacielem. Może zagroził, że zadzwoni do Robin albo wpadnie do agencji przy Denmark Street, żeby się przekonać, co jej wiadomo na ten temat. Jeśli Matthew myślał, że coś takiego jest „pilną sprawą" dla Robin, która właśnie stała obok licznych zdjęć odurzonego i uduszonego ministra, to był w błędzie. Z wysiłkiem skupiła się ponownie na rozmowie w centrum koordynacyjnym.

– ...ta jej historia z naszyjnikiem – mówił Layborn do Strike'a – była o wiele bardziej przekonująca niż to, co usłyszeliśmy od niego. Niż te wszystkie bzdury, że niby chciał ją powstrzymać od zrobienia sobie krzywdy.

– To Robin nakłoniła go do zmiany wersji – podkreślił Strike.

– Aha... dobra robota – zwrócił się Layborn do Robin z protekcjonalną nutą w głosie. – Już kiedy spisywałem jego pierwsze zeznania, wydał mi się przymilnym draniem. Pewny siebie. Świeżo po odsiadce i w ogóle. Żadnych cholernych wyrzutów sumienia w związku z rozjechaniem tamtej biednej kobiety.

– Jak wam idzie z Francescą? – spytał Strike. – Z tą dziewczyną z galerii.

– Udało nam się skontaktować z jej ojcem przebywającym na Sri Lance. Nie jest uszczęśliwiony. W zasadzie to nie przejawia chęci współpracy – uściślił Layborn. – Próbuje zyskać na czasie, żeby otoczyć ją prawnikami. To, że cała rodzina wyjechała za granicę, jest nam cholernie nie na rękę. Musiałem powiedzieć mu przez telefon kilka ostrych słów. Potrafię zrozumieć, dlaczego nie chce, żeby to wszystko wyszło w sądzie, ale trudno. Takie sprawy dają dobry

wgląd w sposób myślenia przedstawicieli wyższych klas, prawda? Inne zasady dla nich...

– A skoro o tym mowa – wtrącił Strike. – Zakładam, że rozmawialiście z Aamirem Mallikiem?

– Tak, znaleźliśmy go dokładnie tam, gdzie skierował nas ten twój człowiek... Hutchins, prawda? Był u siostry. Ma nową pracę...

– O, to świetnie – wymknęło się Robin.

– ...i początkowo nie był uradowany naszą wizytą, ale ostatecznie okazał się bardzo szczery i pomocny. Powiedział, że znalazł tego zaburzonego chłopaka... Billy'ego, prawda?... na ulicy. Tamten chciał się widzieć z jego szefem, krzyczał coś o martwym dziecku, uduszonym i zakopanym na terenie posiadłości Chiswella. Mallik zabrał go do domu i chciał wezwać karetkę, ale najpierw spytał o radę Gerainta Winna. Winn się wściekł. Kategorycznie zabronił mu dzwonić na pogotowie.

– Naprawdę? – zdziwił się Strike.

– Z tego, co mówił Mallik, Winn bał się, że powiązanie z historią Billy'ego podważy jego wiarygodność. Nie chciał, żeby bruździł mu jakiś pomylony kloszard. Objechał Mallika za to, że przyprowadził Billy'ego do domu, który należał do Winnów, i kazał mu wyrzucić go z powrotem na ulicę. Problem w tym...

– ...że Billy nie chciał sobie pójść – dokończył Strike.

– Właśnie. Mallik twierdzi, że chłopak postradał zmysły, Billy'emu wydawało się, że jest przetrzymywany wbrew swojej woli. Przez większość czasu leżał skulony w łazience. W każdym razie – Layborn głęboko westchnął – Mallik ma dość krycia Winnów. Potwierdził, że Winn nie był z nim rano w dniu śmierci Chiswella. Później, naciskając na Mallika, żeby skłamał, Winn powiedział mu, że o szóstej rano tego dnia odebrał pilny telefon

i dlatego bardzo wcześnie wyszedł z domu, w którym mieszkał z żoną.

– Namierzyliście dzwoniącego? – spytał Strike.

Layborn sięgnął po wydrukowane billingi, poszperał w nich i podał Strike'owi dwie zaznaczone strony.

– Proszę bardzo. Niezarejestrowane telefony. Na razie mamy trzy różne numery, prawdopodobnie było ich więcej. Używane raz, nigdy więcej, niemożliwe do namierzenia z wyjątkiem jednego przypadku, który odnotowaliśmy. Całe miesiące planowania. Tamtego dnia rano użyto jednorazowego telefonu, żeby skontaktować się z Winnem, a z dwóch kolejnych dzwoniono do Kinvary Chiswell dwa razy w ciągu poprzedzających tygodni. Pani Chiswell „nie pamięta", kto do niej telefonował, ale... widzicie?... ktokolwiek to był, rozmawiała z nim ponad godzinę.

– Co Winn ma na swoje usprawiedliwienie? – spytał Strike.

– Zamknął się jak ostryga – odrzekł Layborn. – Pracujemy nad nim, bez obaw. Niektóre gwiazdy porno były dymane na mniejszą liczbę sposobów niż Geraint W... Wybacz, kochana – dodał, uśmiechając się do Robin, której te przeprosiny wydały się bardziej obraźliwe niż wszystko, co Layborn dotąd mówił. – Ale rozumiecie, o co mi chodzi. Teraz równie dobrze może nam o wszystkim powiedzieć. Wyruchali go ze wszystkich stro... No, nieważne – uciął, żeby znowu się nie zaplątać. – Mnie interesuje – zaczął od nowa – ile wiedziała jego żona. Dziwna kobieta.

– W jakim sensie? – zainteresowała się Robin.

– No wiecie. Moim zdaniem trochę to wykorzystuje. – Layborn wykonał nieokreślony gest w stronę oczu. – Bardzo trudno uwierzyć, że nie wiedziała, co on knuje.

– A skoro mowa o ludziach, którzy nie wiedzą, co knuje ich druga połowa – wtrącił Strike, który miał wrażenie, że dostrzegł w oczach

Robin wojowniczy błysk – jak wam idzie z naszą przyjaciółką Flick?

– Robimy bardzo duże postępy – pochwalił się Layborn. – Jej rodzice bardzo pomagają w sprawie. Obydwoje są prawnikami i namawiają ją, żeby współpracowała. Przyznała, że sprzątała u Chiswella, że ukradła notatkę i odebrała karton z szampanem tuż przed tym, jak Chiswell ją poinformował, że już go na nią nie stać. Mówi, że wstawiła przesyłkę do szafki w kuchni.

– Kto ją dostarczył?

– Nie pamięta. Dowiemy się tego. Zgaduję, że kurier zamówiony z innego jednorazowego telefonu.

– A karta kredytowa?

– W tej sprawie też mieliście nosa – przyznał Layborn. – Nie wiedzieliśmy, że zaginęła czyjaś karta kredytowa. Dziś rano bank przesłał nam szczegóły. Tego samego dnia, kiedy współlokatorka Flick zauważyła zniknięcie karty, ktoś zapłacił nią za karton szampana i kupił na Amazonie towaru za sto funtów, po czym przesłał to wszystko na adres w Maida Vale. Nikt nie odebrał przesyłki, więc trafiła do magazynu, gdzie tego samego dnia po południu zgłosił się po nią ktoś, kto okazał zawiadomienie o nieudanym doręczeniu. Staramy się znaleźć pracowników, którzy będą mogli zidentyfikować tę osobę, i sprawdzamy, co kupiono na Amazonie, ale osobiście stawiam na hel, rurę i gumowe rękawiczki. To wszystko zostało zaplanowane z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. W i e l o m i e s i ę c z n y m.

– A to? – spytał Strike, wskazując kserokopię notatki Chiswella leżącą z boku w foliowej koszulce. – Wyjaśniła już, dlaczego ją zwinęła?

– Podobno zobaczyła imię „Bill” i pomyślała, że chodzi o brata jej chłopaka. Prawdziwa ironia losu – dodał Layborn. – Gdyby nie

ukradła tej kartki, minęłoby o wiele więcej czasu, zanim połapalibyśmy się, o co chodzi, prawda?

Robin pomyślała, że to „my" było bardzo śmiałe, dlatego że to Strike się „połapał" i to Strike rozgryzł wreszcie znaczenie notatki Chiswella, gdy wracali do Londynu z Woolstone.

– Duża część uznania należy się Robin – odrzekł Strike. – To ona znalazła tę kartkę, ona zauważyła „Blanc de Blanc" i grand vitarę. Ja tylko połączyłem ze sobą wszystkie elementy, kiedy już miałem je na talerzu.

– Byliśmy o krok za wami – zapewnił Layborn, drapiąc się w zamyśleniu po brzuchu. – Na pewno też byśmy do tego doszli.

W kieszeni Robin znowu zawibrowała komórka – tym razem ktoś dzwonił.

– Muszę odebrać. Gdzie mogłabym...?

– Tam. – Skory do pomocy Layborn otworzył boczne drzwi.

W pomieszczeniu stała kserokopiarka, a małe okno przysłonięto żaluzjami. Robin zamknęła drzwi, odcinając się od rozmowy mężczyzn, i odebrała połączenie.

– Cześć, Sarah.

– Cześć – odezwała się Sarah Shadlock.

Brzmiała zupełnie inaczej niż Sarah znana Robin od blisko dziewięciu lat, pewna siebie napuszona blondynka, która, jak przypuszczała Robin, już jako nastolatka miała nadzieję, że związek Matthew na odległość rozpadnie się w wyniku jakiegoś nieszczęśliwego zrządzenia losu. Przez te wszystkie lata była w pobliżu, chichotała z jego żartów, dotykała jego ramienia, zadawała sugestywne pytania o relacje Robin ze Strikiem, spotykała się z innymi mężczyznami, decydując się wreszcie na nieszczęsnego, nudnego Toma z dobrze płatną pracą i łysiną, który ozdobił jej

palec i uszy brylantami, lecz nigdy nie zdołał stłumić w niej ochoty na Matthew Cunliffe'a.

Dzisiaj cała jej pewność siebie zniknęła.

– Pytałam dwóch ekspertów – zaczęła nieśmiałym, bojaźliwym tonem. – Nie są pewni, bo nie mogą tego stwierdzić na podstawie zdjęcia zrobionego telefonem...

– Oczywiście, że nie mogą – przerwała jej chłodno Robin. – Przecież napisałam w esemesie, że nie oczekuję definitywnej odpowiedzi, prawda? Nie prosimy o wiążącą identyfikację ani o wycenę. Chcemy się tylko dowiedzieć, czy ktoś mógł dojść do wniosku...

– W takim razie owszem – oznajmiła Sarah. – Jeden z naszych ekspertów bardzo się tym podekscytował. W którymś ze starych notesów jest wzmianka na temat obrazu przedstawiającego klacz z martwym źrebięciem, ale nigdy go nie odnaleziono.

– Jakich notesów?

– Och, przepraszam. – Jeszcze nigdy w obecności Robin Sarah nie wydawała się tak potulna, tak wystraszona. – Notesów Stubbsa.

– A jeśli to j e s t Stubbs? – spytała Robin, odwracając się, by spojrzeć przez okno na pub Feathers, w którym czasami popijali ze Strikiem.

– To oczywiście czyste spekulacje... ale j e ś l i to o n i m wspomniał w tysiąc siedemset sześćdziesiątym roku, obraz może być wart mnóstwo pieniędzy.

– Ile tak z grubsza?

– No cóż, jego *Gimcrack* poszedł za...

– ...dwadzieścia dwa miliony – dokończyła Robin, czując lekki zawrót głowy. – Tak. Wspominałaś o tym na naszej parapetówce.

Sarah zamilkła. Być może wystraszyło ją wspomnienie imprezy, na którą przyniosła lilie do domu żony swojego kochanka.

– Więc jeśli *Klacz w żałobie* to naprawdę Stubbs...

– Na aukcji prawdopodobnie osiągnęłaby wyższą cenę niż *Gimcrack*. To unikatowa tematyka. Stubbs był nie tylko naukowcem i artystą, ale też anatomem. Jeśli ten obraz przedstawia źrebię zmarłe wskutek zespołu białego źrebięcia, to może być pierwszy odnotowany przypadek tej choroby. Takie dzieło mogłoby się sprzedać za rekordową kwotę.

Komórka w ręce Robin zawibrowała. Przyszedł kolejny esemes.

– Bardzo mi pomogłaś, Sarah, dzięki. Zachowasz to dla siebie?

– Oczywiście – powiedziała Sarah, po czym prędko dodała: – Robin, posłuchaj...

– Nie – odparła Robin, starając się zachować spokój. – Właśnie pracuję nad sprawą.

– ...to już skończone, Matt jest w rozsypce...

– Żegnaj, Sarah.

Robin zakończyła połączenie i przeczytała esemesa, który właśnie przyszedł.

> Spotkaj się ze mną po pracy albo wydam oświadczenie dla prasy.

Choć bardzo chciała jak najszybciej wrócić do sąsiedniego pomieszczenia i przekazać sensacyjne wieści, które właśnie zdobyła, zastygła w bezruchu, chwilowo zdezorientowana pogróżką, po czym odpisała:

> Oświadczenie w jakiej sprawie?

Odpowiedział po kilku sekundach, w złości, robiąc mnóstwo literówek.

> Dziś ramo zadzwonili do biura z mail i pytali co ja na to że moja dona żyje z Kornwalijczykiem Strikiem. Po połusniu zgłosiło się sun. Pewnie wiesz że on cię zddradza ale chyba masz to gdzieś. Nie pozwolę żeby dziennikarze

wydzwaniali do mnie do pracy. Albo się spotlamy albo wydam oświadczenie żeb się ode mnie odczepili.

Gdy Robin ponownie czytała tego esemesa, przyszedł kolejny, tym razem z załącznikiem.

W razie gdybyś nie widziała

Robin powiększyła załącznik – zrzut ekranu przedstawiający kronikę towarzyską w „Evening Standard".

OSOBLIWY PRZYPADEK
CHARLOTTE CAMPBELL I CORMORANA STRIKE'A

Charlotte Campbell, stała bywalczyni kolumn plotkarskich, już odkąd po raz pierwszy uciekła z prywatnej szkoły, nieustannie wzbudza zainteresowanie mediów. Większość ludzi wybrałaby na spotkanie z prywatnym detektywem dyskretne miejsce, lecz będąca w ciąży pani Campbell – obecnie żona Jago Rossa – wolała stolik przy oknie w jednej z najbardziej uczęszczanych restauracji na West Endzie.

Czy rozmowa od serca dotyczyła usług detektywistycznych, czy czegoś bardziej osobistego? Tak się bowiem składa, że pan Strike, barwna postać, nieślubny syn gwiazdy rocka Jonny'ego Rokeby'ego, bohater wojenny i współczesny Sherlock Holmes, jest też byłym kochankiem Campbell.

Interesy czy przyjemność? Mąż Campbell, biznesmen, bez wątpienia będzie chciał rozwikłać tę zagadkę po powrocie z Nowego Jorku.

W Robin kłębiła się masa niemiłych uczuć, wśród których dominowały panika, złość i zażenowanie na myśl o tym, że w rozmowie z dziennikarzami Matthew mógłby złośliwie dać do zrozumienia, że ona i Strike rzeczywiście ze sobą sypiają.

Próbowała oddzwonić na numer, z którego pisał, lecz połączenie od razu trafiło na pocztę głosową. Dwie sekundy później przyszedł kolejny napisany w złości esemes.

JESTEM Z KLIENTEM NIE CHCĘ O TYM ROZMAWIAĆ W JEGO OBECNOŚCI PO PROSTU SIĘ SPOTKAJMY

Rozwścieczona Robin odpisała:

> A ja jestem w Scotland Yardzie. Znajdź jakieś spokojne miejsce.

Wyobraziła sobie uprzejmy uśmiech Matthew skierowany do klienta, jego gładkie „przepraszam, wiadomości z biura" poprzedzające pisanie przesyconych furią esemesów.

> Musimy rozstrzygnąć wiele spraw a ty zachowujesz się jak dziecko i odmawiasz spotkania. Albo przyjdziesz ze mną porozmawiać albo o ósmej zadzwonię do gazet. Nawiasem mówiąc zauważyłem że wcale nie zaprzeczyłaś że z nim sypiasz

Robin była rozjuszona, lecz czując, że przyparł ją do muru, napisała:

> Dobrze, spotkajmy się. Gdzie?

Przesłał jej adres jakiegoś baru w Little Venice. Robin, nadal roztrzęsiona, otworzyła drzwi i weszła z powrotem do centrum koordynacyjnego. Mężczyźni stali teraz przed monitorem, na którym widniała strona z bloga Jimmy'ego Knighta, a Strike czytał na głos:

– „...innymi słowy jedna butelka wina w Le Manoir aux Quat'Saisons może kosztować więcej, niż samotna bezrobotna matka dostaje na tydzień, by wykarmić i ubrać całą rodzinę". Pomyślałem – tłumaczył Strike – że to dziwnie konkretny przykład, żeby ponarzekać na torysów i ich rozrzutność. I wtedy przyszło mi do głowy, że niedawno mógł tam być. Potem usłyszałem od Robin, że Blanc de Blanc to nazwa jednego z ich apartamentów, ale nie skojarzyłem tego tak szybko, jak powinienem. Olśnienie spłynęło dopiero kilka godzin później.

– Pomijając całą resztę, cholerny z niego hipokryta, no nie? – odezwał się Wardle, który stał za Strikiem z rękami założonymi na piersi.

– Szukaliście w Woolstone? – spytał Strike.

– W tej norze przy Charlemont Road, w Woolstone, wszędzie – odparł Layborn. – Ale nie martw się. Namierzyliśmy jedną z jego dziewczyn w Dulwich. Właśnie sprawdzamy to miejsce. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziś wieczorem będzie w areszcie.

Layborn zauważył Robin stojącą z komórką w ręce.

– Wiem, że wasi ludzie już się temu przyglądają – zwróciła się do niego – ale mam kontakty w Christie's. Przesłałam tam zdjęcie *Klaczy w żałobie* i właśnie do mnie oddzwonili. Według jednego z ich ekspertów to m o ż e być Stubbs.

– Nawet ja słyszałem o Stubbsie – powiedział Layborn.

– Ile byłby wart, gdyby się okazało, że to prawda? – spytał Wardle.

– Mój kontakt twierdzi, że co najmniej dwadzieścia dwa miliony.

Wardle zagwizdał. Layborn wymamrotał:

– Ja pierdolę!

– Z naszego punktu widzenia jego wartość jest nieistotna – przypomniał im wszystkim Strike. – Liczy się to, czy ktoś mógł ją odkryć.

– Dwadzieścia dwa pieprzone miliony – zauważył Wardle – to zajebisty motyw.

– Cormoran – odezwała się Robin, zdejmując żakiet z oparcia krzesła, na którym go powiesiła – możemy zamienić słówko na korytarzu? Będę musiała już iść, przepraszam – dorzuciła, zwracając się do pozostałych.

– Wszystko w porządku? – spytał Strike, gdy wyszli razem na korytarz i Robin zamknęła drzwi.

– Tak... A właściwie... niezupełnie – poprawiła się. – Może po prostu to przeczytaj. – Podała mu komórkę.

Marszcząc brwi, przewinął esemesy Robin i Matthew, nie pomijając załącznika z „Evening Standard".

– Spotkasz się z nim?

– Muszę. Pewnie dlatego Mitch Patterson znowu zaczął węszyć. Jeśli Matthew pójdzie do gazet i doleje oliwy do ognia, a bez wątpienia jest do tego zdolny... Już i tak interesują się tobą i...

– Zapomnij o mnie i Charlotte – przerwał jej szorstko. – To było dwadzieścia minut, do których mnie zmusiła. Teraz on próbuje zmusić ciebie...

– Wiem o tym – odparła – ale prędzej czy później będę musiała z nim porozmawiać. Większość moich rzeczy nadal jest na Albury Street. W dalszym ciągu mamy wspólne konto w banku.

– Pójść z tobą?

– Dzięki – odpowiedziała wzruszona – ale raczej nie ułatwiłoby to sprawy.

– W takim razie zadzwoń do mnie później, dobrze? Daj znać, jak poszło.

– Jasne – obiecała.

Ruszyła w stronę wind. Nie zauważyła, kto ją minął, idąc w przeciwną stronę, dopóki ten ktoś się nie odezwał:

– Bobbi?

Odwróciła się. Ujrzała przed sobą Flick Purdue, wracającą z toalety w towarzystwie policjantki, która najwyraźniej ją eskortowała. Podobnie jak w wypadku Kinvary, cały jej makijaż spłynął ze łzami. W białej bluzce, którą, jak przypuszczała Robin, Flick włożyła zamiast koszulki Hezbollahu za namową rodziców, wydawała się mała i skurczona.

– Naprawdę mam na imię Robin. Jak się czujesz?

Flick najwyraźniej zmagała się z myślami zbyt potwornymi, by można je było wyartykułować.

– Mam nadzieję, że współpracujesz z policją – dodała Robin. – Powiedz im wszystko, dobrze?

Wydało jej się, że zobaczyła leciutkie potrząśnięcie głową, instynktowny bunt, dogasający żar lojalności, który wciąż się tlił mimo kłopotów, w jakie Flick się wpakowała.

– Musisz to zrobić – powiedziała cicho Robin. – Jego następną ofiarą byłabyś ty. Za dużo wiedziałaś.

69

Przewidziałem wszelkie możliwości. Już dawno temu.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Po dwudziestominutowej podróży metrem Robin wysiadła na stacji Warwick Avenue w części Londynu, której prawie nie znała. Little Venice zawsze budziła w niej niejasne zaciekawienie, ponieważ ekstrawaganckie drugie imię, Venetia, nadano jej na pamiątkę tego, że została poczęta w prawdziwej Wenecji. Odtąd ta część Londynu bez wątpienia miała jej się kojarzyć z Matthew oraz pełnym goryczy i napięcia spotkaniem, które z pewnością czekało ją nad kanałem.

Ruszyła ulicą Clifton Villas. Platany rozpościerały półprzejrzyste, zielonkawe liście na tle kwadratowych domów w kremowym kolorze, których ściany połyskiwały złociście w wieczornym słońcu. Stonowane piękno tego ciepłego letniego wieczoru sprawiło, że nagle Robin ogarnęła przytłaczająca melancholia, bowiem przypomniała sobie bardzo podobny wieczór w Yorkshire, gdzie

dziesięć lat temu, mając ledwie siedemnaście lat, wybiegła z domu rodziców i chwiejąc się na wysokich obcasach, niezwykle podekscytowana spieszyła na pierwszą randkę z Matthew Cunliffe'em, który właśnie zdał egzamin na prawo jazdy i miał ją zabrać na wieczór do Harrogate.

Znów szła w jego stronę – tym razem po to, żeby uzgodnić zasady trwałego rozdzielenia ich losów. Gardziła sobą za smutek, który czuła, za wspominanie radosnych wspólnych doświadczeń poprzedzających miłość, podczas gdy lepiej byłoby się skupić na niewierności i podłości męża.

Skręciła w lewo, przecięła ulicę i szła dalej, teraz już w chłodnym cieniu ceglanego muru biegnącego po prawej stronie Blomfield Road, równolegle do kanału. Zobaczyła rozpędzony radiowóz przejeżdżający nieopodal. Jego widok dodał jej sił. Był niczym przyjazne skinienie czegoś, co, jak już wiedziała, stało się jej prawdziwym życiem – jakby został do niej wysłany, aby jej przypomnieć, kim od początku miała być i jak bardzo kłóciło się to z rolą żony Matthew Cunliffe'a.

W murze osadzono wysoką czarną drewnianą furtkę, przez którą, jak poinstruował ją Matthew w esemesie, miała dotrzeć do baru nad kanałem, lecz gdy spróbowała ją otworzyć, okazało się, że jest zamknięta. Rozejrzała się, ale nigdzie nie było widać Matthew, więc sięgnęła do torebki po telefon, który, choć ściszony, już wibrował, sygnalizując połączenie. Gdy go wyjęła, zadziałał elektryczny zamek furtki i weszła przez nią, przykładając komórkę do ucha.

– Cześć, właśnie...

Strike ryknął jej do ucha:

– U c i e k a j s t a m t ą d, t o n i e M a t t h e w...!

Nastąpiło kilka zdarzeń jednocześnie.

Ktoś wyrwał jej telefon. Robin, która na sekundę zamarła, zauważyła, że w zasięgu wzroku nie ma żadnego baru, a jedynie zaniedbany odcinek nabrzeża pod mostem, otoczony przerośniętymi krzakami, oraz przycumowana ciemna barka „Odile", zwalista i zdezelowana. Potem ktoś uderzył ją mocno pięścią w splot słoneczny i zgięła się wpół, nie mogąc złapać tchu. Pochylona, usłyszała plusk, gdy jej komórka wylądowała w kanale. Ktoś chwycił ją za włosy oraz pasek spodni i zaczął ciągnąć w stronę barki. Nadal brakowało jej powietrza w płucach, żeby krzyczeć. Została wrzucona przez otwarte drzwi na barkę, uderzyła w wąski drewniany stolik i upadła na podłogę.

Drzwi się zatrzasnęły. Usłyszała zgrzyt zamka.

– Siadaj – zabrzmiał męski głos.

Wciąż nie mogąc oddychać, wspięła się na drewnianą tapicerowaną ławkę obok stolika, po czym odwróciła się i spojrzała prosto w lufę rewolweru.

Raphael usiadł na krześle naprzeciw niej.

– Kto do ciebie dzwonił? – spytał ostro i domyśliła się, że z powodu wysiłku związanego z wleczeniem jej na barkę oraz strachu, że mogłaby wydać dźwięk, który zostałby usłyszany przez dzwoniącego, nie miał czasu albo okazji, by spojrzeć na wyświetlacz jej komórki.

– Mój mąż – skłamała szeptem.

Piekła ją głowa w miejscu, gdzie ciągnął ją za włosy. Brzuch bolał ją tak bardzo, że zastanawiała się, czy Raphael przypadkiem nie złamał jej żebra. W dalszym ciągu usiłowała nabrać powietrza w płuca i przez kilka sekund zdezorientowana widziała swoją sytuację jakby w miniaturze, z daleka, zamkniętą w drżącej kropli czasu. Przypuszczała, że w nocy Raphael wrzuci jej obciążone zwłoki do wody, a Matthew, który rzekomo zwabił ją nad kanał, będzie

przesłuchiwany i być może zostanie oskarżony. Zobaczyła zrozpaczone twarze rodziców i braci na swoim pogrzebie w Masham oraz Strike'a stojącego z tyłu kościoła, tak jak na ślubie, wściekłego, ponieważ ziściły się jego obawy i Robin zginęła przez własną nieostrożność.

Gdy jednak z każdym kolejnym oddechem jej płuca ponownie wypełniały się powietrzem, złudzenie, że ogląda to wszystko z daleka, słabło. Była tu i teraz, na tej obskurnej barce, wdychała jej stęchłą woń, uwięziona wśród drewnianych ścian, z wpatrzoną w nią rozszerzoną źrenicą rewolweru i górującymi nad wylotem lufy oczami Raphaela.

Jej strach był prawdziwy i w kambuzie wyczuwało się jego obecność, lecz musiała go od siebie odsunąć, dlatego że nie mógł jej pomóc, a jedynie zaszkodzić. Musiała zachować spokój, skupić się. Postanowiła milczeć. Uznała, że jeśli nie przerwie ciszy, odzyska część siły, której właśnie pozbawił ją napastnik. To był trik terapeutów: niech przerwa trwa, niech wypełni ją słabsza osoba.

– Jesteś bardzo opanowana – odezwał się w końcu Raphael. – Myślałem, że zaczniesz histeryzować i krzyczeć. Dlatego musiałem cię uderzyć. Inaczej bym tego nie zrobił. Teraz to pewnie bez znaczenia, ale naprawdę cię polubiłem, Venetia.

Wiedziała, że próbuje wrócić do roli mężczyzny, który oczarował ją wbrew jej woli w Izbie Gmin. Najwyraźniej sądził, że stara mieszanka żalu i wyrzutów sumienia sprawi, że Robin mu wybaczy i zmięknie, nawet mimo piekącej skóry na głowie, poobijanych żeber i broni wycelowanej prosto w twarz. Nie odpowiedziała. Jego leciutki błagalny uśmiech zniknął i Raphael oznajmił otwarcie:

– Musisz mi powiedzieć, co wie policja. Czy nadal mogę się wyłgać z tego, co na mnie mają. Obawiam się, że potem – lekko uniósł rewolwer, kierując go prosto w czoło Robin (a ona pomyślała

o weterynarzach i jednym czystym strzale, którego odmówiono koniowi pogrzebanemu w leśnej dolince) – nie będziesz mi więcej potrzebna. Stłumię huk poduszką i po zmroku wyrzucę cię za burtę. Ale jeśli policja wie już wszystko, skończę ze sobą jeszcze dziś wieczorem, tutaj, bo nie mam zamiaru wracać do więzienia. Więc rozumiesz, że szczerość leży w twoim interesie, prawda? Tylko jedno z nas zejdzie z tej barki żywe.

Nadal milczała, więc rzucił ze złością:

– Odpowiadaj!

– Tak – bąknęła. – Zrozumiałam.

– A zatem – ciągnął półgłosem – czy naprawdę byłaś przed chwilą w Scotland Yardzie?

– Tak.

– Jest tam Kinvara?

– Tak.

– Aresztowali ją?

– Chyba tak. Siedzi w pokoju przesłuchań razem ze swoim adwokatem.

– Dlaczego ją przymknęli?

– Myślą, że macie romans. Że to wy staliście za tym wszystkim.

– Za jakim „wszystkim”?

– Za szantażem – odrzekła – i za morderstwem.

Przysunął rewolwer tak, że lufa dotknęła jej czoła. Robin poczuła mały, zimny krążek metalu naciskający na skórę.

– Pieprzone bzdury. Jak moglibyśmy mieć romans? Ona mnie nie znosiła. Nie zostawaliśmy sami nawet na dwie minuty.

– Zostawaliście – zaprzeczyła Robin. – Zaraz po twoim wyjściu z więzienia ojciec zaprosił cię do domu Chiswellów. Tego dnia, kiedy coś go zatrzymało w Londynie. Wtedy byliście sami. Przypuszczamy, że właśnie tak to się zaczęło.

– Jakiś dowód?

– Żadnego – odparła – ale wydaje mi się, że jesteś w stanie uwieść każdą kobietę, jeśli tylko...

– Daruj sobie pochlebstwa, nie podziałają na mnie. Litości. „Przypuszczamy, że właśnie tak to się zaczęło"? To wszystko, co macie?

– Nie. O tym, że coś było między wami, świadczyły też inne rzeczy.

– Powiedz jakie. Wymień je wszystkie.

– Będzie mi się lepiej myślało – odrzekła spokojnie – jeśli przestaniesz przyciskać mi lufę do czoła.

Odsunął rewolwer, lecz nadal mierzył jej w twarz.

– Mów – rozkazał. – Szybko.

Jakaś część Robin chciała ulec pragnieniu ciała i rozpłynąć się, unieść ją ku błogiej nieprzytomności. Zdrętwiały jej ręce, mięśnie upodobniły się do miękkiego wosku. Miejsce, do którego Raphael przyciskał broń, wydawało się zimne, przypominało krąg białego ognia zamiast trzeciego oka. Raphael nie włączył światła na barce. Patrzyli sobie w twarz w pogłębiającej się ciemności i wydawało się całkiem możliwe, że zanim ją zastrzeli, Robin przestanie go wyraźnie widzieć...

„Skup się" – powiedział do niej cichy, wyraźny głos przebijający się przez panikę. „Skup się. Im dłużej zajmiesz go rozmową, tym więcej będą mieli czasu, żeby cię znaleźć. Strike wie, że to był podstęp".

Nagle przypomniała sobie radiowóz przemykający na końcu Blomfield Road i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem jej nie szukano, czy policja, wiedząc, że Raphael zwabił ją w to miejsce Londynu, nie wysłała już za nią funkcjonariuszy. Nieistniejący bar miał stać kawałek dalej nad kanałem, a Raphael napisał

w esemesie, że idzie się do niego przez czarną furtkę. Czy Strike się domyśli, że Raphael jest uzbrojony?

Wzięła głęboki oddech.

– Latem zeszłego roku Kinvara rozpłakała się w gabinecie Delli Winn i powiedziała, że nigdy nie była kochana, że została wykorzystana w czyjejś grze.

Musiała mówić powoli. Bez pośpiechu. Czuła, że każda sekunda może mieć znaczenie, że każda sekunda, w której zdoła zainteresować Raphaela swoimi słowami, będzie kolejną sekundą, w której ktoś może przybyć jej na ratunek.

– Della zakładała, że Kinvara mówiła o twoim ojcu, ale kiedy o to spytaliśmy, okazało się, że pani minister nie przypomina sobie, by Kinvara rzeczywiście wymówiła jego imię. Naszym zdaniem uwiodłeś swoją macochę, żeby zemścić się na ojcu, ciągnąłeś romans przez parę miesięcy, ale kiedy Kinvara za bardzo się zaangażowała i zrobiła się zaborcza, rzuciłeś ją.

– To tylko przypuszczenia – ocenił szorstko Raphael. – A zatem same bzdury. Coś jeszcze?

– Dlaczego Kinvara pojechała do miasta w dniu, w którym miała zostać uśpiona jej ukochana klacz?

– Może nie była w stanie patrzeć na śmierć konia. Może nie dopuszczała do siebie tego, jak bardzo jest chory.

– Albo – odrzekła Robin – chciała sprawdzić, co knujecie z Francescą w galerii Drummonda.

– Brak dowodów. Dalej.

– Po powrocie do Oxfordshire przeżyła coś w rodzaju załamania nerwowego. Zaatakowała twojego ojca i trafiła do szpitala.

– Nadal rozpaczała po śmierci dziecka, była nadmiernie przywiązana do swoich koni i ogólnie miała depresję –

wyrecytował Raphael. – Izzy i Fizzy będą się prześcigały, opowiadając o tym, jak bardzo była niezrównoważona. Co jeszcze?

– Tegan mówiła nam, że pewnego dnia Kinvara znowu była szczęśliwa, wręcz w euforii, ale zapytana o powód, skłamała. Powiedziała, że twój ojciec zgodził się zapłacić za pokrycie klaczy przez Totilasa. Sądzimy, że tak naprawdę wznowiłeś z nią romans, a co więcej, nieprzypadkowo zrobiłeś to akurat wtedy. Właśnie zawiozłeś ostatnią partię obrazów do wyceny w galerii Drummonda.

Twarz Raphaela nagle się zapadła, jak gdyby na chwilę wyparowało z niej jego ja. Rewolwer zadrżał mu w dłoni i cienkie włoski na rękach Robin lekko się uniosły, jakby musnął je wietrzyk. Czekała, aż Raphael się odezwie, ale milczał. Po chwili podjęła:

– Naszym zdaniem, pakując te obrazy do samochodu, po raz pierwszy zobaczyłeś *Klacz w żałobie* z bliska i uświadomiłeś sobie, że to może być Stubbs. Dlatego postanowiłeś dać do wyceny inny obraz przedstawiający klacz ze źrebięciem.

– Jakieś dowody?

– Henry Drummond widział zdjęcie, które zrobiłam *Klaczy w żałobie* leżącej na łóżku w domu Chiswellów. Jest gotowy zeznać, że nie było jej wśród obrazów, które wyceniał dla twojego ojca. Obraz, którego wartość oszacował na pięć do ośmiu tysięcy funtów, został namalowany przez Johna Fredericka Herringa i przedstawiał czarno-białą klacz ze źrebięciem. Poza tym Drummond jest gotów zeznać, że znasz się na sztuce wystarczająco dobrze, aby zauważyć, że *Klacz w żałobie* mogła być dziełem Stubbsa.

Twarz Raphaela przestała przypominać maskę. Teraz jego prawie czarne oczy przesuwały się odrobinę z boku na bok, jakby czytał

coś, czego nie widział nikt oprócz niego.

– Widocznie przez pomyłkę zabrałem obraz Fredericka Herringa zamia...

Kilka ulic dalej zawyła policyjna syrena. Raphael odwrócił głowę. Syrena zawodziła jeszcze parę sekund, po czym ucichła równie gwałtownie, jak zabrzmiała.

Obrócił się z powrotem do Robin. Nie wydawał się szczególnie zaniepokojony syreną. Oczywiście, przecież myślał, że gdy wyrwał Robin telefon, rozmawiała z Matthew.

– Taaa. – Wrócił do przerwanego wątku. – Właśnie tak im powiem. Przez pomyłkę zawiozłem do wyceny obraz przedstawiający karosrokatą klacz, nigdy nie widziałem *Klaczy w żałobie*, nie miałem pojęcia, że to mógł być Stubbs.

– Nie mogłeś zabrać obrazu z karosrokatą klaczą przez pomyłkę – zauważyła cicho Robin. – W domu Chiswellów nie było takiego obrazu i cała rodzina jest gotowa o tym zaświadczyć.

– Rodzina – odparł Raphael – nie potrafi zauważyć, co ma tuż przed pieprzonym nosem. Stubbs wisiał w zawilgoconym pokoju gościnnym przez prawie dwadzieścia lat i nikt nie zwrócił na niego uwagi, a wiesz dlaczego? Bo to pieprzone zarozumiałe snoby... *Klacz w żałobie* należała do starej Tinky. Odziedziczyła ten obraz po spłukanym alkoholiku, zramolałym irlandzkim baronecie, za którego wyszła przed poślubieniem mojego dziadka. Nie miała pojęcia, ile jest wart. Zachowała go, bo były na nim konie, a ona je uwielbiała. Po śmierci pierwszego męża przyjechała do Anglii i wycięła ten sam numer, została drogą prywatną pielęgniarką mojego dziadka, a potem jego jeszcze droższą żoną. Umarła, nie pozostawiwszy testamentu, i wszystkie jej klamoty – bo większość z nich to były zwykłe klamoty – zostały wchłonięte przez majątek Chiswellów. Obraz Fredericka Herringa też mógł być jej własnością,

ale nikt go nie zauważał, więc tkwił w jakimś brudnym kącie tego przeklętego domu.

– A jeśli policja namierzy obraz przedstawiający karosrokatą klacz?

– Nie namierzy. Ten obraz należy do mojej matki. Zniszczę go. Jeśli policja o to spyta, powiem, że ojciec postanowił go opchnąć i zainkasować osiem tysiaków. „Widocznie sprzedał go bez pośredników, panie władzo".

– Kinvara nie zna nowej wersji. Nie będzie mogła jej potwierdzić.

– I wtedy jej słynne niezrównoważenie i niezadowolenie ze związku z moim ojcem zadziałają na moją korzyść. Izzy i Fizzy bardzo chętnie opowiedzą całemu światu, że nigdy nie zwracała większej uwagi na to, co robił, bo wcale go nie kochała i wyszła za niego wyłącznie dla pieniędzy. Uzasadniona wątpliwość to wszystko, czego będę potrzebował.

– Co się stanie, kiedy policja powie Kinvarze, że wznowiłeś z nią romans tylko dlatego, że zdałeś sobie sprawę, że wkrótce może się stać bajecznie bogata?

Raphael przeciągle syknął.

– No cóż – odrzekł cicho – jeśli przekonają o tym Kinvarę, będę udupiony. Ale na razie Kinvara wierzy, że jej Raffy kocha ją nad życie, i potrzeba będzie d ł u g i c h perswazji, żeby zmieniła zdanie, bo wtedy całe życie Kinvary legnie w gruzach. Wbiłem jej do głowy, że jeśli nie dowiedzą się o romansie, nie będą mogli nas tknąć. Kazałem jej to dosłownie powtarzać, kiedy ją posuwałem. I uprzedziłem ją, że jeśli zaczną podejrzewać któreś z nas, będą próbowali nas skłócić. Bardzo dobrze ją wyszkoliłem i poradziłem, żeby w razie wątpliwości wypłakiwała sobie oczy, powtarzała, że nikt nigdy o niczym jej nie informował, i udawała kompletnie skołowaną.

– Już powiedziała jedno głupie kłamstwo, próbując cię chronić, i policja o tym wie.

– Jakie kłamstwo?

– O naszyjniku. Nie wspomniała ci? Może przeczuwała, że wpadłbyś w złość.

– C o p o w i e d z i a ł a?

– Strike jej oznajmił, że nie wierzy w tę nową bajeczkę na temat powodu, dla którego rano w dniu śmierci ojca pojechałeś do domu Chiswellów...

– Jak to „nie wierzy"? – zdziwił się Raphael i Robin dostrzegła urażoną miłość własną zmieszaną z panicznym strachem.

– Mnie udało ci się przekonać – zapewniła go. – Sprytnie to rozegrałeś: opowiadasz bajeczkę, udając, że wyjątkowo niechętnie wyjawiasz te informacje. Wszyscy są bardziej skłonni wierzyć w coś, co ich zdaniem sami odkry...

Raphael uniósł rewolwer, tak że lufa znowu znalazła się bliżej jej czoła, i mimo że zimny krążek metalu nie dotknął jeszcze jej skóry, Robin poczuła, jakby już się z nią zetknął.

– Jakie kłamstwo powiedziała Kinvara?

– Podobno przyjechałeś jej powiedzieć, że twoja matka kazała wyjąć brylanty z naszyjnika i zastąpić je sztucznymi kamieniami.

Raphael wydawał się przerażony.

– Co jej strzeliło do łba?

– Przypuszczam, że przeżyła szok, widząc Strike'a i mnie na swoim terenie, podczas gdy ty ukrywałeś się na górze. Strike powiedział, że nie wierzy w bajeczkę o naszyjniku, więc spanikowała i zmyśliła nową wersję. Problem w tym, że tę drugą można zweryfikować.

– Głupia cipa – szepnął Raphael z takim jadem w głosie, że Robin poczuła mrowienie na karku. – Głupia, głupia cipa... Dlaczego po prostu nie trzymała się naszej wersji? I... nie, zaraz... –

zreflektował się z miną człowieka dostrzegającego nagle jakąś sprzyjającą okoliczność, po czym ku połączonej z ulgą konsternacji Robin odsunął rewolwer, który prawie dotykał jej czoła, i cicho się roześmiał. – To d l a t e g o w niedzielę po południu schowała naszyjnik. Opowiadała mi jakieś pierdoły o tym, że nie chce, by Izzy albo Fizzy zakradły się do domu i go zabrały... No tak, jest głupia, ale nie beznadziejna. Dopóki ktoś nie sprawdzi brylantów, nadal będziemy bezpieczni... A żeby znaleźć ten naszyjnik, musieliby rozebrać stajnię. No dobra – podsumował, jakby cały czas mówił do siebie. – Dobra, chyba uda mi się z tego wywinąć. To wszystko, Venetia? Nic więcej nie macie?

– Niezupełnie – odparła Robin. – Jest jeszcze Flick Purdue.

– Nie znam nikogo takiego.

– Owszem, znasz. Poderwałeś ją kilka miesięcy temu i powiedziałeś jej prawdę o szubienicach, wiedząc, że przekaże te informacje Jimmy'emu.

– Pracowity ze mnie chłopak – stwierdził beztrosko Raphael. – I co z tego? Flick nie przyzna się do bzykanka z synem torysowskiego ministra, zwłaszcza że Jimmy mógłby się o tym dowiedzieć. Jest nim zauroczona tak samo jak Kinvara mną.

– To prawda, nie chciała się przyznać, ale najwidoczniej ktoś zauważył, jak następnego dnia rano wymykałeś się z jej mieszkania. Udawała, że jesteś indyjskim kelnerem.

Robin odniosła wrażenie, że jego twarz wykrzywiła się na moment pod wpływem zaskoczenia i niezadowolenia. *Amour propre* Raphaela ucierpiała na myśl, że ktoś mógł go scharakteryzować w taki sposób.

– Okej – odezwał się po chwili – okej, zastanówmy się... A jeśli Flick naprawdę pieprzyła się z jakimś kelnerem, ale złośliwie

wskazała mnie, powodowana tymi wszystkimi bzdurami o walce klasowej i żalem, jaki jej chłopak żywi do mojej rodziny?

– Ukradłeś jej współlokatorce kartę kredytową, wyjmując ją z torebki w kuchni.

Na widok jego zaciśniętych ust domyśliła się, że tego się nie spodziewał. Bez wątpienia zakładał, że jeśli wziąć pod uwagę styl życia Flick, podejrzenia padną na innych ludzi przewijających się przez jej maleńkie, zatłoczone mieszkanie, zwłaszcza na Jimmy'ego.

– Jakieś dowody? – powtórzył.

– Flick pamięta, kiedy dokładnie u niej nocowałeś, i jeżeli Laura zezna, że jej karta kredytowa zginęła właśnie wtedy...

– Tylko że nie ma niezbitych dowodów, że kiedykolwiek tam byłem...

– Skąd Flick wiedziała o szubienicach? Jesteśmy pewni, że to ona powiedziała o nich Jimmy'emu, a nie odwrotnie.

– Przecież nie mogłem jej tego wyjawić, prawda? Jako jedyny z członków rodziny nie miałem o tym pojęcia.

– Wiedziałeś o wszystkim. Kinvara usłyszała całą historię od twojego ojca, a potem ci ją powtórzyła.

– Nie – odparł Raphael. – Moim zdaniem ustalicie raczej tyle, że Flick dowiedziała się o szubienicach od braci Butcher. Mam informacje z dobrego źródła, że jeden z nich mieszka teraz w Londynie. Tak, chyba słyszałem plotki, że któryś z Butcherów posuwał dziewczynę ich kumpla Jimmy'ego. I wierz mi, bracia Butcher nie najlepiej wypadną w sądzie: dwa podejrzane ćwoki przewożące szubienice pod osłoną nocy. Możesz być pewna, że jeśli dojdzie do rozprawy, będę wyglądał w sali sądowej o wiele porządniej i wiarygodniej niż Flick i bracia Butcher.

– Policja ma billingi – nie ustępowała Robin. – Wie o anonimowym telefonie do Gerainta Winna, który wykonano

mniej więcej wtedy, kiedy Flick usłyszała o szubienicach. Naszym zdaniem dałeś Winnowi anonimowy cynk o Samuelu Murapie. Wiedziałeś, że Winn ma żal do Chiswellów. Kinvara wszystko ci powiedziała.

– Nic mi nie wiadomo o tym telefonie, Wysoki Sądzie – odrzekł Raphael – i bardzo mi przykro, że mój zmarły brat potraktował Rhiannon Winn jak ostatni kutas, ale to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Uważamy, że to t y zadzwoniłeś z pogróżkami do biura Izzy w pierwszym dniu swojej pracy i wspomniałeś o ludziach, którzy szczają w gacie, kiedy umierają – powiedziała Robin. – I że to t y wpadłeś na pomysł, aby Kinvara udawała, że ciągle słyszy intruzów na terenie posiadłości. Wszystko zostało pomyślane tak, by jak najwięcej świadków mogło zeznać, że twój ojciec miał powody się bać i popadać w paranoję, że mógł się załamać pod skrajną presją...

– Bo b y ł pod skrajną presją. Szantażował go Jimmy Knight. Geraint Winn naprawdę próbował go usunąć ze stanowiska. To nie są kłamstwa, tylko fakty i wywołają wielką sensację w sali sądowej, zwłaszcza gdy historia Samuela Murape'a wyjdzie na jaw.

– Tylko że popełniłeś głupie błędy, których można było uniknąć.

Wyprostował się i pochylił, a jego łokcie przesunęły się o kilka centymetrów, wskutek czego wylot lufy rewolweru wydał się Robin większy. Oczy Raphaela, które w półmroku upodobniły się do dwóch plam, znów stały się dobrze widoczne – onyksowa czerń i biel. Robin zaczęła się zastanawiać, jak mogła kiedykolwiek uważać go za przystojnego.

– Jakie błędy?

Gdy zadał to pytanie, Robin zauważyła kątem oka migające niebieskie światło, które sunęło po moście, ledwie widoczne za iluminatorem po jej prawej stronie, zasłonięte przed wzrokiem

Raphaela bokiem barki. Światło zniknęło i most znowu pogrążył się w ciemności.

– Przede wszystkim – zaczęła ostrożnie – błędem było spotykanie się z Kinvarą w okresie poprzedzającym morderstwo. Ciągle udawała, że zapomniała, gdzie się umówiła z twoim ojcem, prawda? Tylko po to, żeby spędzić z tobą parę minut, żeby cię zobaczyć i sprawdzić, co u ciebie...

– To nie jest żaden dowód.

– Kiedy jechała w dniu swoich urodzin do Le Manoir aux Quat'Saisons, ktoś ją śledził.

Raphael zmrużył oczy.

– Kto?

– Jimmy Knight. Flick to potwierdziła. Myślał, że Kinvara będzie tam z twoim ojcem, i chciał mu zrobić publiczną awanturę o pieniądze. Oczywiście twojego ojca tam nie było, więc Jimmy wrócił do domu i ze złością napisał na swoim blogu o tym, jak wysoko postawieni torysi szastają pieniędzmi. Przy okazji wymienił nazwę Le Manoir aux Quat'Saisons.

– To też tylko domysły – odparł Raphael – chyba że zobaczył, jak zakradam się do apartamentu Kinvary, ale oczywiście nie mógł tego widzieć, bo zajebiście się starałem, żeby nikt mnie nie zauważył.

– W porządku – powiedziała Robin. – A co z d r u g i m razem, kiedy zostałeś przyłapany na uprawianiu seksu w galerii? Nie byłeś wtedy z Francescą, tylko z Kinvarą.

– Udowodnij to.

– Kinvara była tego dnia w Londynie, kupowała tabletki Lachesis i udawała, że złości się na twojego ojca za to, że nadal utrzymuje z tobą kontakty, co oczywiście było elementem historyjki mającej dowodzić, że cię nie znosiła. Zadzwoniła do twojego ojca, żeby się upewnić, że je lancz gdzie indziej. Strike słyszał tę rozmowę. Nie

przypuszczaliście jednak z Kinvarą, że twój ojciec przebywa zaledwie sto metrów od miejsca, w którym uprawialiście seks. Kiedy wtargnął do toalety, znalazł na podłodze fiolkę lachesis. O mało nie dostał zawału. Wiedział, że Kinvara właśnie po nie przyjechała do miasta. Wiedział, z kim uprawiałeś seks w toalecie.

Uśmiech Raphaela bardziej przypominał grymas.

– Tak, spieprzyliśmy sprawę. Jakiś czas później przyszedł do biura i mówił o Lachesis, która „odmierzała długość życia przypisaną każdemu człowiekowi i wiedziała, kiedy jego czas się skończy”... Dopiero potem zdałem sobie sprawę, że próbował mnie nastraszyć. Wtedy nie miałem pojęcia, o co mu, do diabła, chodzi. Ale kiedy ty i ten twój kulawy szef wspomnieliście o tabletkach w domu Chiswella, Kinvara zrozumiała, co się stało: wypadły jej z kieszeni, kiedy się pieprzyliśmy. Nie wiedzieliśmy, co sprawiło, że nabrał podejrzeń... Dopiero kiedy usłyszałem, że dzwonił do Le Manoir w sprawie klipsa do banknotów Freddiego, uświadomiłem sobie, że się połapał. Potem zaprosił mnie do domu przy Ebury Street i już wiedziałem, że zamierza mnie o to spytać, więc musieliśmy wykonać następny krok: zabić go.

Rzeczowość, z jaką opowiadał o ojcobójstwie, zmroziła Robin. Równie dobrze mógłby mówić o kładzeniu tapety.

– Widocznie zamierzał pokazać mi te tabletki w czasie wielkiej przemowy pod tytułem „Wiem, że posuwasz moją żonę”... Dlaczego nie zauważyłem ich na podłodze? Kiedy było po wszystkim, starałem się zrobić w pokoju porządek, ale widocznie wypadły mu z kieszeni, czy coś... To trudniejsze, niż ci się wydaje – dodał Raphael – zrobić porządek wokół zwłok człowieka, którego przed chwilą wysłało się na tamten świat. W zasadzie to byłem zdziwiony, że tak bardzo mnie to poruszyło.

Jego narcyzm nigdy nie brzmiał wyraźniej. Interesował się wyłącznie samym sobą i współczuł tylko sobie. Martwy ojciec był dla niego niczym.

– Policja spisała zeznania Franceski i jej rodziców – oznajmiła Robin. – Dziewczyna zdecydowanie zaprzecza, że była z tobą w toalecie tego drugiego dnia. Rodzice jej nie wierzyli, ale...

– Nie wierzyli jej, bo jest jeszcze większą pieprzoną kretynką niż Kinvara.

– Policja przeczesuje nagrania ze sklepów, po których, jak twierdzi, chodziła, kiedy ty i Kinvara byliście w łazience.

– Okej – westchnął Raphael. – W najgorszym razie udowodnią, że jej ze mną nie było, ale wtedy wyznam, że przebywałem tam z inną młodą damą i starałem się szarmancko bronić jej dobrego imienia.

– Naprawdę będziesz w stanie znaleźć kobietę skłonną kłamać dla ciebie w sądzie, kiedy zostaniesz oskarżony o morderstwo? – spytała z niedowierzaniem Robin.

– Właścicielka barki ma fioła na moim punkcie – wyjaśnił miękkim głosem. – Coś nas łączyło, jeszcze zanim trafiłem do więzienia. Odwiedzała mnie w pace i w ogóle. Teraz jest na odwyku. Stuknięta cipa, uwielbia dramatyzować. Uważa się za artystkę. Za dużo pije i jest jak wrzód na tyłku, ale pieprzy się jak królik. Nigdy nie zażądała ode mnie zwrotu zapasowego klucza do tej barki, a w tej szufladzie trzyma klucz do domu mamusi...

– Czy przypadkiem nie tam kazałeś dostarczyć hel, rurę i rękawiczki? – zapytała Robin.

Raphael gwałtownie zamrugał. Tego się nie spodziewał.

– Potrzebowałeś adresu, który nie wydawałby się z tobą powiązany. Upewniłeś się, że przesyłka przyjdzie, kiedy właściciele

będą nieobecni, a potem mogłeś wejść do środka, zabrać zawiadomienie o nieudanej próbie doręczenia...

– Tak. W przebraniu odebrałem paczkę i wysłałem ją staremu, kochanemu tacie.

– Flick przyjęła przesyłkę, a Kinvara zadbała o to, by paczka czekała w ukryciu, dopóki nie przyjdzie pora, żeby zabić twojego ojca?

– Zgadza się – potwierdził Raphael. – W więzieniu poznaje się wiele patentów. Lipne papiery, opuszczone budynki, nienależące do nikogo adresy... Cholernie się przydają. Kiedy już będziesz martwa – Robin poczuła mrowienie skóry na głowie – nikt mnie nie skojarzy z żadnym z tych adresów.

– Właścicielka tej barki...

– Będzie wszystkim mówiła, że uprawiała ze mną seks w łazience u Drummonda, pamiętasz? Ona jest w mojej drużynie, Venetia – dodał cicho – więc twoja sytuacja nie wygląda najlepiej, prawda?

– Popełniłeś też inne błędy. – Poczuła suchość w ustach.

– Na przykład?

– Powiedziałeś Flick, że twój ojciec potrzebuje sprzątaczki.

– No tak, bo dzięki temu, że podstępem zdobyła klucz do domu mojego ojca, ona i Jimmy wyglądają cholernie podejrzanie. Ława przysięgłych skupi się na tym, a nie na dociekaniu, skąd wiedziała, że mój ojciec szuka sprzątaczki. Już ci mówiłem, będzie sprawiała wrażenie małej, brudnej dziwki, która miała do niego jakiś żal. To tylko kolejne kłamstwo.

– Problem w tym, że ukradła twojemu ojcu notatkę, którą napisał, próbując zweryfikować bajeczkę Kinvary o Le Manoir aux Quat'Saisons. Znalazłam ją w łazience w mieszkaniu Flick. Kinvara go okłamała, powiedziała mu, że będzie w hotelu ze swoją matką. Pracownicy hotelu zwykle nie udzielają informacji na temat gości,

ale on był ministrem i już u nich nocował, więc chyba udało mu się uzyskać podstępem potwierdzenie, że widzieli na parkingu samochód należący do rodziny i było im przykro, że jej matka jednak nie dojechała. Zapisał sobie nazwę apartamentu, w którym spała Kinvara, prawdopodobnie udając, że ją zapomniał, i próbował zdobyć rachunek, przypuszczalnie po to, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zamówiono dwóch śniadań albo kolacji. Kiedy prokurator przedstawi w sądzie tę notatkę i rachunek...

– To ty znalazłaś tę kartkę, prawda? – spytał Raphael.

Robin poczuła ucisk w żołądku. Nie chciała dawać Raphaelowi kolejnego powodu, żeby ją zastrzelił.

– Po tej kolacji w Nam Long Le Shaker wiedziałem, że cię nie doceniłem – przyznał. To nie był komplement. Raphael patrzył zmrużonymi oczami, jego nozdrza raz po raz rozchylały się z odrazą. – Byłaś w rozsypce, a mimo to zadawałaś zajebiście niewygodne pytania. Poza tym ty i twój szef jesteście bardziej zaprzyjaźnieni z policją, niż przypuszczałem. I nawet po tym, jak dałem cynk „Mail"...

– Więc to byłeś ty. – Robin zastanawiała się, dlaczego wcześniej na to nie wpadła. – To ty nasłałeś na nas dziennikarzy i Mitcha Pattersona...

– Powiedziałem im, że zostawiłaś dla Strike'a męża, ale twój szef dalej posuwa swoją byłą. Tę plotkę usłyszałem od Izzy. Pomyślałem, że muszę coś zrobić, żeby was przystopować, bo ciągle węszyliście wokół mojego alibi... Ale kiedy już cię zastrzelę – po ciele Robin przebiegł lodowaty dreszcz – twój szef będzie zajęty odpowiadaniem na pytania dziennikarzy, jak to się stało, że twoje zwłoki wyłowiono z kanału. To się chyba nazywa upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, prawda?

– Nawet jeśli będę martwa – powiedziała Robin najbardziej opanowanym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć – pozostaną jeszcze zeznania pracowników hotelu i notatka twojego ojca...

– Okej, więc myślał nad tym, co robiła Kinvara w Le Manoir – odrzekł szorstko Raphael. – Przecież ci mówiłem, że nikt mnie tam nie widział. Ta kretynka rzeczywiście poprosiła o dwa kieliszki do szampana, ale mogła być z kimś innym.

– Nie będziesz miał okazji uzgodnić z nią nowej wersji – zauważyła Robin. Jeszcze nigdy nie zaschło jej tak w ustach, język przyklejał się do podniebienia, gdy próbowała zachować spokój i pewność siebie. – Ona siedzi już w areszcie, nie jest taka sprytna jak ty... Zresztą popełniłeś jeszcze inne błędy – dodała prędko – głupie błędy, bo gdy zdałeś sobie sprawę, że ojciec się o was dowiedział, musiałeś wcielić plan w życie w pośpiechu.

– Na przykład?

– Kinvara zabrała opakowanie po amitryptylinie, którą dorzuciła do soku pomarańczowego. Poza tym zapomniała ci powiedzieć, co trzeba zrobić, żeby zamknąć drzwi wejściowe. A do tego – zakończyła, mając świadomość, że wykłada swoją ostatnią kartę – podrzuciła ci klucz na dworcu Paddington.

W ciszy, która między nimi zapadła, Robin odniosła wrażenie, że gdzieś w pobliżu słyszy czyjeś kroki. Nie odważyła się spojrzeć przez iluminator, żeby nie ostrzec Raphaela, który zresztą wydawał się zbyt przerażony tym, co właśnie usłyszał, by cokolwiek zauważyć.

– „Podrzuciła mi klucz"? – powtórzył z kiepsko udawaną brawurą. – O czym ty mówisz, do cholery?

– Klucze do domu przy Ebury Street są zastrzeżone, prawie niemożliwe do skopiowania. Wy dwoje mieliście dostęp tylko do jednego, który należał do niej, ponieważ przed śmiercią twój

ojciec nabrał wobec was podejrzeń i zadbał o to, żeby drugi klucz znalazł się poza twoim zasięgiem. Kinvara potrzebowała klucza, żeby dostać się do domu i dosypać amitryptyliny do soku pomarańczowego, a ty, żeby wejść następnego dnia rano i udusić ojca. Dlatego w ostatniej chwili ułożyliście plan: miała ci przekazać klucz w umówionym miejscu na dworcu Paddington, gdzie udawałeś bezdomnego. Uchwyciła cię kamera. Policja zleciła powiększenie i wyczyszczenie obrazu. Przypuszczają, że w pośpiechu kupiłeś ubranie w sklepie z używaną odzieżą, co może zapewnić kolejnego przydatnego świadka. Przeczesują teraz nagrania z monitoringu, żeby prześledzić, co robiłeś po wyjściu z dworca.

Raphael milczał prawie minutę. Jego spojrzenie przesuwało się lekko z boku na bok, gdy szukał jakiejś luki, drogi ucieczki.

– To... rzeczywiście problem – stwierdził w końcu. – Nie wiedziałem, że na dworcu złapała mnie kamera.

Robin odniosła wrażenie, że powoli opuszcza go nadzieja.

– Jeśli chodzi o wasz plan – podjęła cicho – Kinvara wróciła do domu w Oxfordshire, zadzwoniła do Drummonda i zostawiła mu wiadomość, mówiąc, że chciałaby oddać naszyjnik do wyceny. To miało potwierdzić waszą bajeczkę. Następnego dnia wcześnie rano skorzystano z innego niezarejestrowanego telefonu, żeby zadzwonić do Gerainta Winna i Jimmy'ego Knighta. Obu wywabiono z domów, prawdopodobnie obiecując informacje na temat Chiswella. To ty do nich zadzwoniłeś, chciałeś dopilnować, żeby wyglądali podejrzanie w ewentualnej sprawie o morderstwo.

– Brak dowodów – mruknął odruchowo Raphael, lecz jego oczy nadal gwałtownie przesuwały się z boku na bok, szukając niewidzialnych kół ratunkowych.

– Wszedłeś do domu bardzo wcześnie rano, myśląc, że po wypiciu soku twój ojciec będzie w stanie bliskim śpiączki, ale...

– Na początku był – przerwał. Zaszkliły mu się oczy i Robin poczuła, że Raphael przypomina sobie tamte wydarzenia, obserwując je w swojej głowie. – Półprzytomny, siedział bezwładnie na kanapie. Minąłem go i poszedłem prosto do kuchni, otworzyłem pudło z zabawkami...

Na ułamek sekundy Robin znów zobaczyła głowę w foliowym worku, siwe włosy przyklejone do twarzy, tak że widoczna pozostawała tylko ziejąca czarna dziura ust. To wszystko zrobił Raphael – ten, który właśnie mierzył z rewolweru w jej twarz.

– ...tylko że kiedy wszystko szykowałem, ten stary drań się ocknął, zobaczył, jak przymocowuję rurę do butli z helem, i wrócił, kurwa, do życia. Podniósł się chwiejnie, złapał wiszącą na ścianie szpadę Freddiego i próbował walczyć, ale mu ją wyrwałem. Zgiąłem przy tym ostrze. Popchnąłem go z powrotem na fotel... szamotał się... i w końcu... – Raphael wykonał gest, jakby zakładał ojcu worek na głowę. – Kaput.

– A potem – powiedziała Robin, nadal czując suchość w ustach – wykonałeś z jego komórki połączenia, które miały ci zapewnić alibi. Kinvara oczywiście podała ci jego PIN. I wyszedłeś, nie zamykając należycie drzwi.

Robin nie wiedziała, czy ruch za iluminatorem z lewej strony nie był jedynie wytworem jej wyobraźni. Nie odrywała oczu od Raphaela i lekko drżącego rewolweru.

– Większość tego wszystkiego to poszlaki – mruknął Raphael. Nadal miał szklisty wzrok. – Flick i Francesca mają motyw, żeby kłamać w mojej sprawie... Z Francescą jeszcze definitywnie nie skończyłem... Może miałbym szansę... Może...

– Raff, nie masz żadnych szans – ucięła Robin. – Niedługo Kinvara przestanie dla ciebie kłamać. Kiedy powiedzą jej prawdę o *Klaczy w żałobie*, skojarzy fakty. Myślę, że to ty nalegałeś na przeniesienie

obrazu do salonu, aby uchronić go przed wilgocią w pokoju gościnnym. Jak tego dokonałeś? Wymyśliłeś jakąś bzdurną historyjkę o tym, że obraz przypomina ci jej uśpioną klacz? Kinvara zda sobie sprawę, że wznowiłeś z nią romans, bo poznałeś prawdziwą wartość *Klaczy w żałobie*, a te wszystkie okropne rzeczy, które jej powiedziałeś podczas wcześniejszego rozstania, były szczere. I co najgorsze – dorzuciła – uświadomi sobie, że kiedy na terenie posiadłości usłyszeliście intruzów, tym razem prawdziwych, pozwoliłeś, żeby kobieta, w której rzekomo byłeś szaleńczo zakochany, wyszła z domu po ciemku w koszuli nocnej, podczas gdy sam zostałeś w środku, żeby chronić...

– No dobra! – krzyknął nagle, przysuwając broń, tak że wylot lufy znowu dotknął jej czoła. – P r z e s t a ń, k u r w a, g a d a ć!

Robin siedziała zupełnie nieruchomo. Wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy Raphael pociągnie za spust. Zapowiadał, że stłumi huk wystrzału poduszką, ale być może o tym zapomniał, może tracił panowanie nad sobą.

– Wiesz, jak jest w więzieniu? – spytał.

Próbowała powiedzieć, że nie, lecz nie potrafiła wydobyć głosu.

– Ten hałas – szepnął. – Ten smród. Ci brzydcy, głupi ludzie... niektórzy dosłownie jak zwierzęta. Gorzej niż zwierzęta. Nie miałem pojęcia, że tacy ludzie istnieją. Miejsca, w których każą ci jeść i srać. Ciągle cię obserwują, czekają na przemoc. To pobrzękiwanie, te krzyki, ta pieprzona nędza. Wolałbym zostać pogrzebany żywcem. Więcej tam nie pójdę... Miałem wieść wymarzone życie. Miałem być wolny, zupełnie wolny. Nigdy więcej nie musiałbym się kłaniać typom w rodzaju pieprzonego Drummonda. Na Capri jest willa, którą od dawna mam na oku. Widok na Zatokę Neapolitańską. Miałbym też ładne mieszkanie w Londynie... nowy samochód, kiedy już oddadzą mi cholerne prawo jazdy... Wyobraź

sobie, jak to jest iść i wiedzieć, że jesteś w stanie kupić wszystko, zrobić wszystko. Życie marzeń. Żeby zapewnić sobie spokój, musiałbym jeszcze oczywiście rozwiązać parę drobnych problemów... Flick to łatwizna: późny wieczór, ciemny zaułek, nóż między żebra, ofiara ulicznej zbrodni. A Kinvara... po kilku latach, kiedy już zapisałaby mi wszystko w testamencie, skręciłaby kark, spadając z nieodpowiedniego konia, albo utopiłaby się gdzieś we Włoszech... fatalnie pływa... Potem wszyscy mogliby się pierdolić, no nie? Chiswellowie, ta kurwa – moja matka. Od nikogo niczego bym nie potrzebował. Miałbym wszystko... Tylko że to już przepadło. – Mimo śniadej cery jego twarz poszarzała, w słabym świetle ukazały się ciemne sińce pod zapadniętymi oczami. – Wszystko przepadło. Wiesz co, Venetia? Rozwalę ci ten pieprzony łeb, bo doszedłem do wniosku, że jednak cię nie lubię. Chętnie zobaczę, jak ta twoja pierdolona głowa eksploduje, zanim odstrzelę sobie własną...

– Raff...

– Raff... Raff... – przedrzeźniał ją jękliwym głosem. – Dlaczego wszystkim kobietom się wydaje, że są wyjątkowe? Nie jesteście wyjątkowe, żadna z was nie jest.

Sięgał po sflaczałą poduszkę, która leżała obok.

– Odejdziemy razem. Chciałbym zjawić się w piekle z seksowną dziewczyną pod rę...

Rozległ się głośny trzask wyważanych drzwi. Raphael gwałtownie się odwrócił, mierząc do olbrzymiej postaci, która właśnie wpadła do środka. Robin rzuciła się, żeby chwycić go za rękę, lecz uderzył ją łokciem i poczuła, jak z jej rozciętej wargi tryska krew.

– Raff, nie, nie rób tego... n i e!

Stanął przygarbiony w ciasnym pomieszczeniu i włożył sobie lufę do ust. Strike, który wyważył drzwi, dyszał kilka kroków od niego, a tuż za Strikiem stał Wardle.

– No dalej, strzelaj, pierdolony tchórzu – warknął Cormoran.

Robin chciała zaprotestować, ale nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Rozległ się cichy metaliczny szczęk.

– Wyjąłem naboje w domu Chiswellów, ty głupi sukinsynu – powiedział Strike, po czym pokuśtykał do Raphaela i wyrwał mu rewolwer. – Nie jesteś taki bystry, jak ci się wydaje, co?

Robin słyszała głośne dzwonienie w uszach. Raphael miotał przekleństwa po angielsku i po włosku, wykrzykiwał groźby, rzucał się i wił, gdy Strike pomógł przycisnąć go do stolika, by ułatwić Wardle'owi założenie kajdanek, ale ona chwiejnym krokiem oddaliła się od nich jak we śnie, idąc tyłem w stronę kącika kuchennego, gdzie wisiały garnki i patelnie, a obok maleńkiego zlewu leżała niedorzecznie zwyczajna rolka ręcznika kuchennego. Czuła, jak po uderzeniu Raphaela puchnie jej warga. Oderwała kawałek ręcznika, wsunęła go pod kran z zimną wodą i przycisnęła do zakrwawionych ust, patrząc przez iluminator, jak przez czarną furtkę wbiegają policjanci w mundurach, którzy wkrótce przejęli od Wardle'a rewolwer i szamoczącego się Raphaela wywleczonego z barki.

Przed chwilą trzymano ją na muszce. Wszystko wydawało się odrealnione. Teraz po barce kręcili się policjanci, lecz miała wrażenie, że otacza ją tylko hałas i echo, a gdy nagle zdała sobie sprawę, że obok stoi Strike, wydał jej się jedyną osobą mającą w sobie coś rzeczywistego.

– Skąd wiedziałeś? – spytała niewyraźnie, wciąż przyciskając do ust zimny papier.

– Połapałem się pięć minut po twoim wyjściu. Trzy ostatnie cyfry numeru, z którego przyszły esemesy od rzekomego Matthew, były takie same jak cyfry na końcu jednego z niezarejestrowanych telefonów. Pobiegłem za tobą, ale już cię nie było. Layborn wysłał radiowozy, a ja bez przerwy do ciebie dzwoniłem. Dlaczego nie odbierałaś?

– Miałam ściszony telefon, był w torebce. Teraz leży na dnie kanału.

Marzyła o mocnym drinku. Może, pomyślała mgliście, gdzieś w pobliżu naprawdę jest bar... ale oczywiście nie pozwolono by jej teraz iść do baru. Czekały ją długie godziny w Scotland Yardzie. Wiedziała, że trzeba spisać obszerne zeznania. Że będzie musiała szczegółowo zrelacjonować ostatnią godzinę. Była wyczerpana.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Zadzwoniłem do Izzy i spytałem, czy Raphael zna kogoś w pobliżu tego lipnego adresu, pod który cię skierował. Powiedziała, że spotyka się z jakąś ćpunką z wyższych sfer, która ma tu barkę. Brakowało mu potencjalnych kryjówek. Policja obserwowała jego mieszkanie od co najmniej dwóch dni.

– I wiedziałeś, że w rewolwerze nie ma naboi?

– Liczyłem na to, że nie ma – sprostował. – Równie dobrze mógł sprawdzić i załadować nowe.

Pogrzebał w kieszeni. Gdy zapalał papierosa, lekko drżały mu palce. Zaciągnął się, a potem powiedział:

– Robin, cholernie dobrze się spisałaś, zagadując go tak długo, ale jeśli jeszcze kiedyś napisze do ciebie ktoś z nieznanego numeru, to, do cholery, oddzwoń i sprawdź, kto to jest. I nigdy... p r z e n i g d y... nie opowiadaj podejrzanym o swoim życiu osobistym.

– Czy zanim zaczniesz mnie ochrzaniać, mogłabym przez dwie minuty nacieszyć się tym, że żyję? – spytała, przyciskając kawałek papierowego ręcznika do spuchniętej i krwawiącej wargi.

Strike wydmuchnął smugę dymu.

– No, niech ci będzie – odparł, po czym niezdarnie objął ją ramieniem i przytulił.

EPILOG

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Twoja przeszłość umarła, Rebeko. Już nie ma nad tobą władzy, już nie ma nic wspólnego z tobą, taką, jaką teraz jesteś.

Henrik Ibsen, *Rosmersholm*

Paraolimpiada była i minęła, a wrzesień robił wszystko, żeby zatrzeć wspomnienia długich, wypełnionych flagami państwowymi letnich dni, w czasie których Londyn delektował się zainteresowaniem całego świata. Deszcz bębnił o wysokie okna Cheyne Walk Brasserie, rywalizując z Serge'em Gainsbourgiem nucącym z ukrytych głośników *Black Trombone.*

Strike i Robin przyjechali razem i gdy tylko usiedli, Izzy, która wybrała tę restaurację ze względu na niewielką odległość od swojego mieszkania, zjawiła się w nieco rozchełstanym trenczu Burberry o łopoczących połach i z ociekającą wodą parasolką, której złożenie zajęło jej trochę czasu.

Od rozwiązania sprawy Strike rozmawiał z klientką tylko raz, w dodatku krótko, ponieważ Izzy była zbyt zszokowana i zrozpaczona, by dużo mówić. Dziś spotykali się na prośbę Strike'a, ponieważ w sprawie Chiswella pozostał jeszcze jeden nierozstrzygnięty wątek. Gdy umawiali się telefonicznie na lancz, Izzy powiedziała Strike'owi, że od aresztowania Raphaela rzadko wychodzi z domu. „Nie potrafię spojrzeć ludziom w twarz. To wszystko jest takie okropne".

– Jak się czujesz? – spytała z obawą w głosie, gdy Strike wyszedł zza stolika nakrytego białym obrusem, by odwzajemnić jej mokry uścisk. – Och, biedna Robin, tak mi przykro – dodała, podchodząc pospiesznie z drugiej strony, by uściskać Robin, po czym rzuciła z roztargnieniem do poważnej kelnerki, która wzięła od niej mokry płaszcz i parasolkę: – Och, tak, proszę, dziękuję.

Gdy wreszcie usiadła, powiedziała:

– Obiecałam sobie, że nie będę płakać. – Chwyciła leżącą na stoliku serwetkę i mocno przycisnęła ją do oczu. – Przepraszam... ciągle to robię. P r ó b u j ę nie wprawiać ludzi w zakłopotanie.

Odchrząknęła i usiadła prosto.

– Jestem w szoku – szepnęła.

– To zrozumiałe – odrzekła Robin i Izzy uśmiechnęła się do niej ze łzami w oczach.

„*C'est l'automne de ma vie*" – śpiewał Gainsbourg. „*Plus personne ne m'étonne...*"

– Podoba wam się to miejsce? – spytała Izzy, usiłując znaleźć grunt dla konwencjonalnej rozmowy. – Całkiem ładne, prawda? – dorzuciła, zachęcając ich do podziwiania prowansalskiej restauracji, w której, jak przemknęło przez myśl Strike'owi zaraz po wejściu do środka, panowała atmosfera podobna do tej w mieszkaniu Izzy, tyle że przełożona na francuski. Królowała tu taka sama konserwatywna mieszanka tradycji z nowoczesnością: czarno-białe zdjęcia powieszone na śnieżnobiałych ścianach, krzesła i ławki obite szkarłatną i turkusową skórą oraz staromodne żyrandole z brązu i szkła z różowymi abażurami.

Kelnerka wróciła z kartami dań i zaproponowała, że przyjmie zamówienie na napoje.

– Nie powinniśmy zaczekać? – Izzy zrobiła gest w stronę pustego miejsca.

– Spóźni się – odparł Strike, który marzył o piwie. – Równie dobrze możemy zamówić coś do picia.

Nie musieli już przecież rozwiązywać żadnych zagadek. Dziś chodziło wyłącznie o przekazanie wniosków. Po odejściu kelnerki znowu zapanowała krępująca cisza.

– Och, nie wiem, czy słyszałeś – ożywiła się nagle Izzy, zwracając się do Strike'a z miną osoby, która z ulgą przypomniała sobie o czymś, co z jej punktu widzenia było interesującą plotką. – Charlie trafiła do szpitala.

– Naprawdę? – odrzekł, nie przejawiając szczególnego zainteresowania.

– No, musi odpoczywać. Dostała jakiegoś... wycieku płynu owodniowego czy czegoś w tym rodzaju. W każdym razie zatrzymali ją na obserwacji.

Strike z obojętną miną pokiwał głową. Robin milczała, wstydząc się tego, że chętnie dowiedziałaby się na ten temat czegoś więcej. Podano napoje. Izzy, która wydawała się zbyt podenerwowana, aby zauważyć mało entuzjastyczną reakcję Strike'a na coś, co z jej perspektywy było jedynie wspólnym tematem, ciągnęła:

– Podobno Jago strasznie się wściekł, kiedy przeczytał w gazecie tę wzmiankę na wasz temat. Pewnie jest przeszczęśliwy, że zamknęli ją gdzieś, gdzie może ją mieć na oku...

Wreszcie dostrzegła w twarzy Strike'a coś, co zamknęło jej usta. Upiła duży łyk wina, sprawdziła, czy nikt siedzący przy nielicznych zajętych stolikach ich nie podsłuchuje, po czym powiedziała:

– Domyślam się, że policja informuje was na bieżąco? Wiecie, że Kinvara przyznała się do wszystkiego?

– Tak – potwierdził Strike. – Słyszeliśmy.

Izzy pokręciła głową i jej oczy znowu wypełniły się łzami.

– To takie okropne. Nawet przyjaciele nie znajdują słów... Nadal nie mogę w to uwierzyć. To po prostu zupełnie niepojęte. R a f f... Wiecie, chciałam tam pójść i się z nim zobaczyć. Naprawdę musiałam się z nim zobaczyć... ale odmówił. Nie chce z nikim rozmawiać.

Wypiła więcej wina.

– Chyba oszalał albo coś. Na pewno jest chory, prawda? Skoro zrobił coś takiego, musi być chory psychicznie.

Robin przypomniała sobie ciemną barkę, na której Raphael mówił z uniesieniem o życiu, jakie sobie wymarzył, o willi na Capri, o mieszkaniu w Londynie i o nowym samochodzie, którym mógłby jeździć, gdyby zwrócono mu prawo jazdy zabrane za przejechanie młodej matki. Pomyślała o tym, jak drobiazgowo zaplanował śmierć ojca, i o błędach, które popełnił tylko dlatego, że musiał zabić w pośpiechu. Przypomniała sobie, jaką miał minę, gdy trzymając rewolwer, zadawał jej pytanie, dlaczego wszystkim kobietom wydaje się, że są wyjątkowe: matce, którą nazwał kurwą, macosze, którą uwiódł, Robin, którą zamierzał zabić, żeby nie wejść do piekła samotnie. Czy był chory w jakimkolwiek sensie, który zapewniłby mu pobyt w szpitalu psychiatrycznym zamiast w napawającym go takim przerażeniem więzieniu? A może jego marzenie o ojcobójstwie zrodziło się na mrocznym pustkowiu między chorobą a czystym złem?

– ...miał okropne dzieciństwo – mówiła Izzy. Po chwili, mimo że ani Strike, ani Robin się nie odezwali, dodała: – Naprawdę, wierzcie mi. Nie chcę mówić źle o tacie, ale Freddie był dla niego w s z y s t k i m. Tata nie był dobry dla Raffa i Orki... to znaczy Ornelli, jego matki... No cóż, Torks zawsze powtarza, że to w gruncie rzeczy luksusowa dziwka. Kiedy Raff nie przebywał w szkole

z internatem, ciągała go ze sobą, nieustannie uganiając się za jakimiś facetami.

– Niektórzy mają gorzej – zauważył Strike.

Robin, która właśnie pomyślała, że opis życia Raphaela z matką wydawał się całkiem podobny do tych nielicznych informacji, jakie poznała na temat wczesnych lat Strike'a, zdziwiła się jednak, słysząc, że Cormoran wyraża tę opinię tak otwarcie.

– Wielu ludzi zmaga się z gorszymi problemami niż matka będąca dziewczyną do towarzystwa – powiedział – i wcale ich to nie skłania do popełniania zabójstw. Spójrz na Billy'ego Knighta. W zasadzie wychował się bez matki. Miał agresywnego ojca alkoholika, który bił go i zaniedbywał, aż chłopak zapadł na poważną chorobę psychiczną, a mimo to nigdy nikogo nie skrzywdził. Przyszedł do mojej agencji ogarnięty psychozą, zabiegając o sprawiedliwość dla kogoś innego.

– Tak – odrzekła pospiesznie Izzy. – Tak, to prawda, oczywiście.

Robin miała jednak wrażenie, że nawet teraz Izzy nie jest w stanie porównać bólu Raphaela z bólem Billy'ego. Cierpienie tego pierwszego zawsze wywoływałoby w niej większe współczucie niż cierpienie drugiego, ponieważ Chiswell był z natury kimś innym niż osierocony przez matkę chłopiec bity pod osłoną lasu, w którym zatrudnieni na terenie posiadłości robotnicy żyli według odrębnych praw.

– A oto i on – odezwał się Strike.

Billy Knight właśnie wszedł do restauracji. Na jego ostrzyżonych włosach połyskiwały krople deszczu. W dalszym ciągu miał niedowagę, lecz jego twarz trochę się wypełniła, wyglądał schludniej. Wypisano go ze szpitala zaledwie przed tygodniem i aktualnie mieszkał u Jimmy'ego przy Charlemont Road.

– Cześć – przywitał się ze Strikiem. – Przepraszam za spóźnienie. Metro jechało dłużej, niż przypuszczałem.

– Nie ma sprawy – odpowiedziały chórem obie kobiety.

– Ty jesteś Izzy. – Billy usiadł obok niej. – Dawno cię nie widziałem.

– Tak – przyznała Izzy z nieco przesadną serdecznością. – Minęło sporo czasu, prawda?

Robin podała Billy'emu rękę nad stolikiem.

– Cześć, Billy, jestem Robin.

– Cześć – powtórzył, ściskając jej dłoń.

– Napijesz się wina, Billy? – zaproponowała Izzy. – Albo piwa?

– Nie mogę pić, biorę leki – wyjaśnił.

– Aha, no tak, oczywiście, że tak. – Zmieszała się. – Eee... dobrze, weźmiesz wodę, a tutaj masz kartę dań... Jeszcze nie złożyliśmy zamówienia...

Kiedy kelnerka odeszła, Strike zwrócił się do Billy'ego:

– W szpitalu coś ci obiecałem. Powiedziałem, że dowiem się, co się stało z dzieckiem, które uduszono na twoich oczach.

– No – bąknął zaniepokojony Billy. To właśnie nadzieja na poznanie rozwiązania zagadki liczącej dwadzieścia lat skłoniła go do przyjechania w deszczu z East Ham aż do Chelsea. – Wspomniał pan przez telefon, że już pan wie.

– Tak – potwierdził Strike – ale chcę, żebyś to usłyszał od kogoś, kto zna prawdę, kto to pamięta. Będziesz mógł poznać całą historię.

– Od ciebie? – spytał Billy, odwracając się do Izzy. – Byłaś tam? Obok konia?

– Nie, nie – zaprzeczyła prędko Izzy. – To się stało w czasie wakacji.

Wzmocniła się sporym łykiem wina, odstawiła kieliszek, głęboko zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

– Ja i Fizz byłyśmy wtedy u przyjaciół ze szkoły. Dopiero... później dowiedziałam się, co się stało. A stało się to, że... Freddie przyjechał do domu z uczelni i przywiózł kilkoro przyjaciół. Tata zostawił ich samych w domu, bo musiał pojechać do Londynu na jakąś kolację z dawnymi kolegami z pułku... Freddie potrafił być... Prawdę mówiąc, czasami był okropnie niegrzeczny. Przyniósł z piwnicy mnóstwo dobrego wina, upili się, a potem jedna z dziewczyn powiedziała, że chce się przekonać, ile prawdy jest w tej opowieści o Białym Koniu... Wiesz w której – zwróciła się do pochodzącego z okolic Uffington Billy'ego. – Jeśli obrócisz się trzy razy w oku konia i pomyślisz życzenie...

– Tak. – Billy pokiwał głową. Jego udręczone oczy zrobiły się ogromne.

– No więc wyszli z domu w nocy, ale Freddie... on naprawdę był niegrzeczny... zahaczył po drodze o twój dom, Steda Cottage, dlatego że chciał kupić trochę... hm... marihuany. Twój brat ją uprawiał, prawda?

– Tak – powtórzył Billy.

– Freddie chciał trochę kupić, żeby mogli zapalić obok konia, kiedy dziewczyny wypowiadałyby życzenia. Oczywiście żadne z nich nie powinno prowadzić. Wszyscy byli pijani. W każdym razie kiedy dotarli do twojego domu, twojego ojca tam nie było...

– Pracował w stodole – wtrącił nagle Billy. – Kończył... wiesz co.

Na powierzchnię jego umysłu wypływało jakieś wspomnienie pobudzone opowieścią Izzy. Strike zobaczył, jak lewa ręka Billy'ego mocno trzyma prawą, by zapobiec nawrotowi tiku, który, jak się zdawało, był dla tego młodego mężczyzny czymś w rodzaju gestu odpędzającego zło. Deszcz dalej smagał szyby w oknach restauracji, a Serge Gainsbourg śpiewał: *„Oh, je voudrais tant que tu te souviennes...".*

– No więc – podjęła Izzy, biorąc kolejny głęboki oddech – z tego, co słyszałam od jednej z dziewczyn, które tam były... Nie chcę mówić od której – dorzuciła nieco defensywnie, zwracając się do Strike'a i Robin. – To było dawno temu i ciężko to wszystko przeżyła... W każdym razie Billy, Freddie i jego przyjaciele dobijający się do domu cię obudzili. Było ich całkiem sporo i Jimmy zrobił im skręta, zanim ruszyli w dalszą drogę... Nieważne. – Izzy przełknęła ślinę. – Byłeś głodny i Jimmy... albo może – skrzywiła się – może to był Freddie, nie wiem... któryś z nich uznał, że byłoby zabawnie pokruszyć trochę tego, co palili, i dosypać ci do jogurtu.

Robin wyobraziła sobie przyjaciół Freddiego – być może części z nich podobała się egzotyczna przygoda polegająca na siedzeniu w ciemności w domu jakiegoś robotnika w towarzystwie miejscowego chłopaka, który handlował narkotykami. Reszta, tak jak dziewczyna, która opowiedziała Izzy tę historię, nie do końca wiedziała, co się dzieje, lecz jednocześnie była za młoda i za bardzo bała się roześmianych kolegów i koleżanek, żeby interweniować. Oni wszyscy wydawali się pięcioletniemu Billy'emu dorośli, ale Robin wiedziała, że mieli wtedy od dziewiętnastu do najwyżej dwudziestu jeden lat.

– Tak – powiedział cicho Billy. – Wiedziałem, że coś mi dali.

– Potem Jimmy'emu zachciało się jechać razem z nimi na wzgórze. Podobno spodobała mu się któraś z dziewczyn. Ale po zjedzeniu tego jogurtu kiepsko się czułeś. Nie mógł cię zostawić samego w takim stanie, więc zabrał cię ze sobą. Wpakowaliście się do dwóch land roverów i pojechaliście na Smocze Wzgórze.

– Nie, to nie tak – przerwał jej Billy. Znów miał udręczoną minę. – A ta dziewczynka? Już tam wtedy była. Jechała z nami

samochodem. Pamiętam, jak ją wyjmowali, kiedy dotarliśmy na wzgórze. Płakała i chciała do mamy.

– To... to nie była dziewczynka – odrzekła Izzy. – Po prostu Freddie... No, miał takie dziwne poczucie humoru...

– To była dziewczynka. Miała dziewczyńskie imię – upierał się Billy. – Pamiętam.

– Tak – potwierdziła smutno Izzy. – Raphaela.

– Właśnie! – zawołał Billy i klienci restauracji odwrócili się w jego stronę. – Właśnie! – powtórzył szeptem, wytrzeszczając oczy. – Raphaela, tak do niej mówili...

– To nie była dziewczynka, Billy... To był mój młodszy... mój młodszy...

Izzy znowu przycisnęła chusteczkę do oczu.

– Tak mi przykro... To był mój młodszy brat Raphael. Freddie i jego przyjaciele mieli się nim opiekować, kiedy ojciec pojechał do Londynu. Raff był w dzieciństwie przeuroczy. Jego chyba też obudzili i dziewczyny uznały, że nie mogą zostawić go samego w domu, że powinni go ze sobą zabrać. Freddie nie chciał. Wolał zostawić Raffa samego, ale dziewczyny obiecały, że się nim zajmą. Tylko że kiedy już dotarli na wzgórze, Freddie był okropnie pijany i zdążył wypalić mnóstwo trawki, a mały ciągle płakał, więc Freddie wpadł w złość. Powiedział, że Raff psuje całą zabawę, i...

– Udusił go – dokończył Billy z wystraszoną miną. – To się stało naprawdę, zabił...

– Nie, nie, nie zrobił tego! – zapewniła go zrozpaczona Izzy. – Billy, przecież wiesz, że nie... Na pewno pamiętasz Raffa, przyjeżdżał do nas w każde wakacje, on żyje!

– Freddie złapał Raphaela za szyję – wyjaśnił Strike – i ściskał, dopóki chłopak nie stracił przytomności. Raphael zmoczył spodnie. Upadł. Ale nie umarł.

Lewa ręka Billy'ego nadal mocno ściskała prawą.

– Przecież widziałem.

– Tak, widziałeś – przyznał Strike – i ogólnie rzecz biorąc, byłeś cholernie dobrym świadkiem.

Kelnerka wróciła z zamówieniem. Gdy wszyscy dostali swoje potrawy – Strike wybrał rozbratel z frytkami, obie kobiety sałatkę z komosą ryżową, a Billy zupę, bo chyba tylko to odważył się zamówić – Izzy podjęła przerwaną opowieść.

– Kiedy wróciłam do domu, Raff powiedział mi, co się stało. Był taki mały, taki smutny. Próbowałam porozmawiać o tym z tatą, ale nie chciał mnie słuchać. W sumie to po prostu mnie zbył. Powiedział, że Raphael to mazgaj i ciągle... ciągle narzeka... A teraz patrzę wstecz – powiedziała do Strike'a i Robin, jej oczy znowu wypełniły się łzami – myślę o tym wszystkim... ile nienawiści musiał czuć Raphael po takich zdarzeniach...

– Tak, jego obrońcy prawdopodobnie będą próbowali wykorzystać to w sądzie – zauważył rzeczowo Strike, przypuszczając atak na stek – ale fakty są takie, Izzy, że nie ulegał pragnieniu uśmiercenia waszego ojca, dopóki nie odkrył, że w pokoju na górze wisi Stubbs.

– Rzekomy Stubbs – poprawiła go Izzy, wyjmując z mankietu chusteczkę, żeby wydmuchać nos. – Według Henry'ego Drummonda to kopia. Facet z Christie's ma wielkie nadzieje, ale w Stanach jest pewien miłośnik Stubbsa, który przyleci obejrzeć obraz. Twierdzi, że nie pasuje do zapisków, które Stubbs zrobił na temat zaginionego dzieła... Szczerze mówiąc – pokręciła głową – mam to gdzieś. Do czego ten obraz doprowadził, jaką krzywdę wyrządził naszej rodzinie... Jak dla mnie może trafić na śmietnik. Istnieją ważniejsze rzeczy niż pieniądze – dodała ochrypłym głosem.

Strike miał dobry pretekst, żeby się nie odzywać, ponieważ właśnie wpakował do ust kawał steku, lecz zastanawiał się, czy Izzy przyszło do głowy, że bezbronny mężczyzna na krześle obok niej dzieli z bratem maleńkie dwupokojowe mieszkanie na East Ham i że, mówiąc wprost, należą mu się pieniądze za ostatnią szubienicę. Może po sprzedaży Stubbsa rodzina Chiswellów rozważyłaby wypełnienie tego zobowiązania.

Billy jadł zupę prawie jak w transie, skupiając wzrok w jakimś nieokreślonym punkcie. Jego głęboka zaduma wydała się Robin przepojona spokojem, a nawet szczęściem.

– Więc jednak się pomyliłem, prawda? – spytał wreszcie Billy. Mówił teraz z pewnością siebie człowieka, który twardo stąpa po ziemi. – Zobaczyłem, jak zagrzebują konia, i pomyślałem, że to dziecko. Wszystko mi się pomieszało i tyle.

– Hm – mruknął Strike – niekoniecznie. Wiedziałeś, że dziecko udusił ten sam mężczyzna, który razem z twoim ojcem pochował konia w leśnej dolince. Przypuszczam, że rzadko miałeś do czynienia z Freddiem, był od ciebie znacznie starszy, więc nie do końca wiedziałeś, kto to jest... ale chyba wyparłeś wspomnienie o tamtym koniu i o tym, w jaki sposób zginął. Połączyłeś dwa akty okrucieństwa popełnione przez tę samą osobę.

– A w jaki sposób zginął koń? – zaniepokoił się Billy.

– Nie pamiętasz Spotty? – spytała Izzy.

Zdumiony Billy odłożył łyżkę i wyciągnął rękę, zatrzymując dłoń jakiś metr nad podłogą.

– Chodzi ci o tę małą... tak... pasła się na boisku do krokieta, prawda?

– To była stareńka dropiata miniaturowa klacz – wyjaśniła Izzy, patrząc na Strike'a i Robin. – Ostatnie zwierzę Tinky. Tinky miała okropny gust, nawet jeśli chodziło o konie...

(„...nikt nie zwrócił na niego uwagi, a wiesz dlaczego? Bo to pieprzone zarozumiałe snoby...")

– ...ale Spotty była przeurocza – przyznała Izzy. – Jeśli zjawiłeś się w ogrodzie, chodziła za tobą jak pies... Myślę, że Freddie wcale nie chciał tego zrobić... ale... – ciągnęła z rozpaczą w głosie. – Och, sama już nie wiem. Nie mam pojęcia, co mu strzeliło do głowy... Zawsze łatwo wpadał w złość. Coś go zdenerwowało. Taty akurat nie było w domu, więc wyjął jego strzelbę z szafki na broń, wszedł na dach i zaczął strzelać do ptaków, a potem... No cóż, później mi powiedział, że wcale nie chciał trafić Spotty, ale skoro ją zabił, to chyba musiał mierzyć do czegoś w pobliżu niej, prawda?

„Mierzył do niej" – pomyślał Strike. „Nikt nie pakuje niechcący dwóch kul w łeb zwierzęcia z takiej odległości".

– Potem wpadł w panikę – ciągnęła Izzy. – Poprosił Jacka... to znaczy twojego ojca, Billy, żeby pomógł mu zakopać zwłoki. Kiedy tata wrócił do domu, Freddie powiedział mu, że Spotty się przewróciła i wezwał weterynarza, który ją uśpił, ale oczywiście prawda szybko wyszła na jaw. Tata był w ś c i e k ł y, kiedy odkrył, co się stało. Nie tolerował okrucieństwa wobec zwierząt. Na wieść o śmierci Spotty pękło mi serce – dodała. – Kochałam ją.

– Nie wbiłaś przypadkiem małego krzyża w miejscu, gdzie została pochowana? – spytała Robin, trzymając widelec zastygły w powietrzu.

– Skąd, na Boga, o tym wiesz? – zdumiała się Izzy, a z jej oczu znowu popłynęły łzy i po raz kolejny musiała sięgnąć po chusteczkę.

Nadal padał deszcz, gdy Strike i Robin wyszli razem z restauracji i ruszyli wzdłuż Chelsea Embankment ku mostowi Alberta. Niebieskoszara Tamiza jak zawsze płynęła przed siebie, a jej powierzchni prawie wcale nie zakłócała coraz mocniejsza ulewa,

która w każdej chwili mogła zgasić papierosa Strike'a i zupełnie przemoczyła nieliczne pasemka włosów wystające spod kaptura płaszcza przeciwdeszczowego Robin.

– Tak to już jest z tymi arystokratami – podsumował Strike. – Wolno dusić im dzieci, ale niech nikt się nie waży dotykać ich koni.

– Jesteś trochę niesprawiedliwy – wytknęła mu Robin. – Izzy naprawdę uważa, że Raphael był okropnie traktowany.

– To nic w porównaniu z tym, co go czeka w więzieniu w Dartmoor – odparł obojętnie Strike. – Moje współczucie ma pewne granice.

– Tak – przyznała Robin. – Bardzo wyraźnie to zaznaczyłeś.

Ich mokre buty chlupały na lśniącym chodniku.

– Jak ci idzie z terapią poznawczo-behawioralną? – zainteresował się Strike. Starał się zadawać to pytanie nie częściej niż raz w tygodniu. – Ćwiczysz?

– Bardzo sumiennie – odrzekła Robin.

– Nie żartuj sobie, mówię poważnie...

– Ja też – stwierdziła spokojnie. – Robię co należy. Od tygodni nie miałam ataku paniki. Jak twoja noga?

– Lepiej. Rozciągam się. Przestrzegam diety.

– Właśnie zjadłeś pół pola ziemniaków i większą część krowy.

– To ostatni posiłek, który mogę zapisać na konto Chiswellów – odparł Strike. – Chciałem go jak najlepiej wykorzystać. Jakie masz plany na dzisiejsze popołudnie?

– Muszę odebrać teczkę od Andy'ego, a potem zadzwonię do gościa z Finsbury Park i sprawdzę, czy zechce z nami rozmawiać. Aha, Nick i Ilsa prosili, żeby cię spytać, czy wpadniesz dziś na curry.

Robin uległa argumentom Nicka, Ilsy i samego Strike'a, zgodnie twierdzących, że zamieszkanie w klitce w domu pełnym obcych ludzi to nie najlepsze rozwiązanie dla osoby, która niedawno była

trzymaną na muszce zakładniczką mordercy. Za trzy dni czekała ją przeprowadzka do pokoju w mieszkaniu na Earl's Court – miała je dzielić z zaprzyjaźnionym z Ilsą homoseksualnym aktorem, którego partner właśnie się wyniósł. Jej nowy współlokator wymagał czystości, zdrowia psychicznego i tolerancji dla powrotów do domu o nieregularnych porach.

– Jasne, super – powiedział Strike. – Ale najpierw będę musiał zajrzeć do agencji. Barclay twierdzi, że tym razem przyłapał Doktorka na gorącym uczynku. Kolejna nastolatka, byli razem w hotelu.

– Świetnie – odrzekła Robin. – Nie, nie o to mi chodziło – zreflektowała się. – Chciałam powiedzieć, że...

– A właśnie, że świetnie – oznajmił Strike zdecydowanym tonem, gdy krople deszczu rozpryskiwały się na nich i wokół nich. – Kolejny zadowolony klient. Saldo na naszym koncie w banku wygląda nadzwyczaj porządnie. Chyba będę mógł ci dać małą podwyżkę. No dobra, tutaj skręcam. Do zobaczenia później u Nicka i Ilsy.

Machnęli sobie na pożegnanie, ukrywając lekkie uśmiechy, które odmalowały się na ich twarzach, gdy już znaleźli się w bezpiecznej odległości, i ciesząc się z tego, że za kilka godzin znowu się zobaczą – tym razem przy curry i piwie w domu Nicka i Ilsy. Wkrótce jednak myśli Robin skupiły się na pytaniach, które należało zadać człowiekowi z Finsbury Park.

Pochylając głowę dla ochrony przed deszczem, nie zwróciła uwagi na wspaniałą rezydencję, którą właśnie mijała – mokre od deszczu okna budynku wychodziły na szeroką rzekę, a na drzwiach wejściowych widniały dwa wyrzeźbione łabędzie.

PODZIĘKOWANIA

Z powodów związanych nie tylko ze złożonością fabuły *Zabójcza biel* była jednym z największych wyzwań w mojej karierze pisarskiej, lecz jednocześnie dołączyła do grona moich ulubionych książek. Z całą pewnością nie mogłaby powstać bez pomocy następujących osób.

David Shelley, mój cudowny redaktor, dał mi wystarczająco dużo czasu, żeby mogła powstać dokładnie taka powieść, na jakiej mi zależało. Bez jego wyrozumiałości, cierpliwości i umiejętności *Zabójcza biel* prawdopodobnie w ogóle nie ujrzałaby światła dziennego.

Mój mąż Neil czytał książkę, gdy jeszcze ją pisałam. Jego opinie były bezcenne, a do tego wspierał mnie na tysiąc praktycznych sposobów, lecz chyba najbardziej jestem mu wdzięczna za to, że ani razu nie spytał, dlaczego postanowiłam napisać ogromną, skomplikowaną powieść, pracując jednocześnie nad sztuką teatralną i dwoma scenariuszami. Wiem, że on wie dlaczego, ale tylko nieliczni oparliby się podobnej pokusie.

Pan Galbraith nadal nie może uwierzyć w swoje szczęście, dzięki któremu zyskał fantastycznego agenta i jednocześnie serdecznego przyjaciela. Dziękuję ci, Drugi Neilu (Blair).

Wielu ludzi pomogło mi poznać różne miejsca odwiedzane w tym tomie przez Strike'a i Robin, dzieląc się ze mną swoim doświadczeniem i wiedzą. Jestem ogromnie wdzięczna następującym osobom: Simonowi Berry'emu i Stephenowi Fryowi,

którzy zabrali mnie na wspaniały i niezapomniany lancz w Pratt's oraz umożliwili mi przejrzenie księgi zakładów; posłance Jess Phillips, która bardzo mi pomogła, oprowadzając mnie zarówno po Izbie Gmin, jak i po Portcullis House, i wraz z Sophie Francis-Cansfield, Davidem Doigiem oraz Ianem Stevensem odpowiedziała na niezliczone pytania dotyczące życia w pałacu westminsterskim; baronowej Joannie Shields, która była niezwykle uprzejma i poświęciła mi mnóstwo czasu, oprowadzając mnie po Ministerstwie Kultury, Mediów i Sportu, a także odpowiedziała na wszystkie moje pytania i umożliwiła mi wizytę w Lancaster House; Racquel Black, która ogromnie mi pomogła, zwłaszcza robiąc zdjęcia, gdy mnie wyczerpała się bateria; Ianowi Chapmanowi i Jamesowi Yorke'owi, którzy zorganizowali mi fascynujące zwiedzanie Lancaster House; oraz Brianowi Spannerowi za wycieczkę na Horse Isle.

Przepadłabym z kretesem, gdyby nie moja biurowa i domowa grupa wsparcia. Wielkie podziękowania należą się zatem Di Brooks, Danni Cameron, Angeli Milne, Rossowi Milne'owi i Kaisie Tiensuu za ich ciężką pracę i dobry humor, które bardzo doceniam.

Mam nadzieję, że po szesnastu wspólnie spędzonych latach Fiona Shapcott doskonale wie, ile dla mnie znaczy. Fi, dziękuję ci za wszystko, co robisz.

Mój przyjaciel David Goodwin to dla mnie niezawodne źródło inspiracji i bez niego ta książka nie byłaby taka, jaka jest.

Za to QSC zazwyczaj tylko mi przeszkadza.

Dziękuję Markowi Hutchinsonowi, Rebecce Salt i Nicky Stonehill za to, że przez ostatni rok nie dopuszczali do tego, aby wszystko się posypało – zwłaszcza ja sama.

Na koniec, ale bardzo, bardzo mocno dziękuję moim dzieciom – Jessice, Davidowi i Kenzie – za to, że wciąż ze mną wytrzymują.

Matka pisarka to nie zawsze łatwy przydział, ale bez was i bez waszego taty nie byłoby warto żyć w prawdziwym świecie.

ŹRÓDŁA CYTATÓW Z PIOSENEK

Wherever You Will Go (s. 28, 29 i 31) Words and Music by Aaron Kamin & Alex Band. © 2001 Alex Band Music/Universal Music Careers/BMG Platinum Songs/Amedeo Music. Universal Music Publishing MGB Limited/BMG Rights Management (US) LLC. All Rights Reserved. Used by Permission of Hal Leonard Europe Limited.

No Woman No Cry (s. 98 i 99) Written by Vincent Ford. Published by Fifty Six Hope Road Music Limited/Primary Wave/Blue Mountain Music. All Rights Reserved.

Where Have You Been (s. 419) Words and Music by Lukasz Gottwald, Geoff Mack, Adam Wiles, Esther Dean & Henry Russell Walter. © 2012 Kasz Money Publishing/Dat Damn Dean Music/Prescription Songs/Songs Of Universal Inc/Oneirology Publishing/TSJ Merlyn Licensing BV/Hill And Range Southwind Mus S A. Carlin Music Corporation/Kobalt Music Publishing Limited/Universal/MCA Music Limited/EMI Music Publishing Limited. All Rights Reserved. Used by Permission of Hal Leonard Europe Limited.

Niggas In Paris (s. 448 i 450) Words and Music by Reverend W.A. Donaldson, Kanye West, Chauncey Hollis, Shawn Carter & Mike Dean. © 2011 Unichappell Music Inc. (BMI)/EMI Blackwood Music Inc./Songs Of Universal Inc./Please Gimme My Publishing Inc./U Can't Teach Bein' The Shhh Inc./Carter Boys Music (ASCAP)/Papa George Music (BMI). EMI Music Publishing

Limited/Universal/MCA Music Limited. All rights on behalf of Papa George Music, Carter Boys Music and Unichappell Music Inc. administered by Warner/Chappell North America Ltd. All Rights Reserved. Used by Permission of Hal Leonard Europe Limited, Sony/ATV Music Publishing and Warner/Chappell North America Ltd.

Black Trombone (s. 642 i 643) Words and Music by Serge Gainsbourg. © 1962 Melody Nelson Publishing/Warner Chappell Music France. Imagem Music/Warner/Chappell Overseas Holdings Limited. Used by Permissions of Hal Leonard Europe Limited and Warner/Chappell Overseas Holdings Limited.

La Chanson de Prévert (s. 647) Words and Music by Serge Gainsbourg. © 1961 Melody Nelson Publishing/Warner Chappell Music France. Imagem Music/Warner/Chappell Overseas Holdings Limited. Used by Permissions of Hal Leonard Europe Limited and Warner/Chappell Overseas Holdings Limited.

Przypisy

[1] Wszystkie fragmenty *Rosmersholm* za: H. Ibsen, *Wybór dramatów*, t. 2, tłum. J. Giebułtowicz, Wrocław 1984 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Ostatnio się zastanawiam, / kto zajmie moje miejsce, / kiedy mnie zabraknie, będziesz potrzebowała miłości, / by przegnała chmury zasnuwające twoją twarz.

[3] Pójdę wszędzie tam, gdzie ty, / bylebyś tylko była moja.

[4] J. Austen, *Perswazje*, tłum. A. Przedpełska-Trzeciakowska, Warszawa 1996, s. 24.

[5] *Robbing* (ang.) – rabujący, okradający.

[6] *Chairman* (ang.) – przewodniczący, ale też mężczyzna niosący lektykę.

[7] Platon, *Państwo*, tłum. W. Witwicki, Kęty 2003, s. 334.

[8] Wszystkie fragmenty wierszy Katullusa za: Katullus, *Poezje wszystkie*, tłum. G. Franczak, A. Klęczar, Kraków 2013.

[9] *Bill* (ang.) – rachunek; dziób.

„Widziałem, jak ktoś zabił dziecko. Udusił je... obok konia".

Billy, zdesperowany młody mężczyzna, przychodzi do agencji Cormorana Strike'a, by prosić o wyjaśnienie okoliczności zbrodni, którą widział w dzieciństwie. Klient wyraźnie cierpi na zaburzenia psychiczne, lecz jego opowieść brzmi wiarygodnie. Gdy detektyw dopytuje o szczegóły, Billy w panice ucieka.
Cormoran i Robin – niegdyś asystentka, a obecnie wspólniczka Strike'a – próbują dociec, co kryje się za historią Billy'ego. Śledztwo wiedzie bocznymi uliczkami Londynu ku zakamarkom brytyjskiego parlamentu oraz do ponurej wiejskiej rezydencji.
Nie tylko dochodzenie jest zawiłe, także życie prywatne Strike'a nastręcza mu coraz więcej trudności.

ROBERT GALBRAITH

to pseudonim J.K. Rowling, autorki cyklu o Harrym Potterze i *Trafnego wyboru*.

Galbraith po raz kolejny potwierdza swój talent do opowiadania historii.

DAILY MAIL

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl
ISBN 978-83-271-5900-7
EAN 9788327159007
U.WD.KRW087.1.01.01